

David Eddings

Ukryte miasto

(tłumaczyła: Paulina Braiter)

Dla doktora Bruce`a Braya –

*Za jego entuzjazm i porady techniczne – a także za to,
że utrzymał przy życiu naszą ulubioną autorkę (i żonę)*

i dla Nancy Gray, R.N.,

*która zajmuje się wszystkimi,
zapominając przy tym o sobie.*

Więcej luzu, Nancy!

PROLOG

Profesor Itagne z Wydziału Spraw Zagranicznych Uniwersytetu Matheriońskiego siedział na podeście, przeglądając notatki. Tego pięknego wiosennego wieczoru okna sali, w której odbywało się zebranie pracowników naukowych Kolegium Nauk Politycznych, były szeroko otwarte i do środka wpadał zapach kwiatów i trawy oraz nieco rozpraszające uwagę zgromadzonych ciche echa ptasiego śpiewu.

Emerytowany profesor Gintana z Wydziału Handlu Międzynarodowego stał na mównicy i monotonnym głosem wygłaszał nie kończący się wykład na temat przepisów taryfowych z dwudziestego siódmego wieku. Wąty, siwowłosa, lekko roztertargiony profesor zwany był powszechnie kochanym staruszkiem. Itagne w ogóle go nie słuchał.

Sytuacja nie wygląda zbyt dobrze - pomyślał cierpko, zgniatając w kulkę i odrzucając kolejną pokrytą zapiskami kartkę. Wieści o temacie jego wystąpienia rozeszły się po całej uczelni, toteż salę wypełnili wykładowcy wszelkich możliwych wydziałów - nawet Matematyki Stosowanej i Alchemii Współczesnej; ich oczy lśniły wyczekująco. Pierwsze rzędy zajęli wyłącznie pracownicy Wydziału Historii Najnowszej; w czarnych akademickich szatach wyglądali jak stado wron. Zwarli szeregi, by zapewnić słuchaczom fajerwerki, na które wszyscy liczyli.

Itagne zastanowił się przelotnie, czy może nie lepiej byłoby udać omdlenie. Jak, na Boga - jakiegokolwiek boga - zdoła przetrwać najbliższą godzinę, nie robiąc z siebie kompletnego dumnia? Oczywiście znał wszystkie fakty, ale jaki rozsądny człowiek mógłby w nie uwierzyć? Nawet najprostsza relacja z tego, co naprawdę działo się podczas niedawnego zamieszania, brzmiałaby jak brednie szaleńca. Gdyby ściśle trzymał się prawdy, sępy z Wydziału Historii Najnowszej w ogóle nie musiałyby się odzywać. Samodzielnie zrujnowałby swoją reputację.

Raz jeszcze zerknął do starannie przygotowanych notatek, po czym z ponurą miną złożył je i wsunął na powrót do obszernego rękawa szaty. Dzisiejsze spotkanie zapowiadało się bardziej na niewybredną kłótnię niż na rozsądną dyskusję. Wydział Historii Najnowszej najwyraźniej zamierzał go zakrzyczeć. Itagne wyprostował się. Cóż, jeśli chcą wojny, to będą ją mieli.

Powiał lekki wietrzyk. Zasłony w wysokich oknach zaszeleściły i wyduły się; złote języki płomieni lamp oliwnych zamigotały gwałtownie. Był piękny wiosenny wieczór - wszędzie, poza tą salą.

Rozległy się uprzejme oklaski i stary profesor Gintana, wzruszony i oszołomiony tym uznaniem dla swojej osoby, uklonił się niezgrabnie, ściskając oburącz notatki, i podreptał na miejsce. Wówczas dziekan Kolegium Nauk Politycznych wstał, by zapowiedzieć gwóźdź programu.

- Koledzy - zaczął - zanim profesor Itagne łaskawie podzieli się z nami swymi obserwacjami, chciałbym wykorzystać tę okazję, by przedstawić wam kilku znakomitych gości. Jestem pewien, że wraz ze mną powitacie serdecznie patriarchę Embana, pierwszego sekretarza kościoła z Chyrellos, pana Beviera, rycerza cyrinitę z Arcium, i pana Ulatha z zakonu genidianitów z Thalesii.

Przy wtórze kolejnej porcji grzecznościowych oklasków blady, niezdarny student wprowadził na scenę eleńskich gości. Itagne pospieszył powitać przyjaciół.

- Dzięki Bogu, że przyszlście! - powiedział z ulgą. - Jest tu cały Wydział Historii Najnowszej - no, może poza kilkoma osobami, które zapewne gotują na zewnątrz smołę i szykują worki z pierzem.

- Nie sądziłeś chyba, że brat rzuci cię im na pożarcie? - Emban uśmiechnął się i rozsiadł wygodnie na ławce pod oknem. - Pomyślał, że możesz czuć się samotny, więc przysłał nas, abyśmy dotrzyмали ci towarzystwa.

Wracając na swe miejsce, Itagne czuł się znacznie lepiej. Bevier i Ulath potrafią przynajmniej zapobiec atakom fizycznym.

- A teraz, koledzy i szanowni goście - ciągnął dziekan - profesor Itagne z Wydziału Spraw Zagranicznych odpowie na rozprawę pod tytułem Spór cyrgański: spojrzenie na niedawny kryzys, opublikowaną niedawno przez Wydział Historii Najnowszej. Profesorze Itagne?

Itagne wstał, pewnym siebie krokiem podszedł do katedry i przybrał swą najbardziej obraźliwie uprzejmą minę.

- Dziekание Altusie, szanowni koledzy, szanowne żony kolegów, czcigodni goście... - Zawiesił głos. - Czy kogoś pominąłem? Kilka osób zaśmiało się nerwowo. W sali narastało napięcie.

- Cieszę się zwłaszcza, widząc tak wielu kolegów z Wydziału Historii Najnowszej. - Itagne od razu zadał pierwszy cios. - Ponieważ będę mówił o czymś bliskim ich sercom, lepiej, by wysłuchali mnie osobiście, niż musieli polegać na zniekształconych relacjach z drugiej ręki. - Uśmiechnął się dobrotliwie do siedzących w pierwszym rzędzie skrzywionych akademickich wyrobników. - Słyszycie mnie, panowie? Nie mówię dla was zbyt szybko?

- To oburzające! - zaprotestował głośno tęgi, spocony profesor.

- A będzie jeszcze gorzej, Quinsalu - odparł Itagne. - Jeśli przeszkadza ci prawda, lepiej od razu wyjdź. - Powiódł wzrokiem po twarzach zgromadzonych. - Powiada się, iż poszukiwanie prawdy to najszlachetniejsze zajęcie człowieka, lecz w mrocznych lasach niewiedzy kryją się potwory. Potwory te to „niekompetencja” i „uprzedzenia polityczne”, „świadomy fałsz” i „czysta, uparta głupota”. Nasi wspaniali koledzy z Wydziału Historii Najnowszej śmiało wyruszyli, by stawić czoło owym potworom w swej nowej publikacji Spór cyrgański: spojrzenie na niedawny kryzys. Z głębokim żalem muszę oznajmić, że potwory wygrały.

Odpowiedziały mu głośniejsze śmiechy i piorunujące spojrzenia z pierwszego rzędu.

- Na uczelni tej nigdy nie był sekretem fakt, iż Wydział Historii Najnowszej to twór bardziej polityczny niż naukowy. Od chwili założenia sponsoruje go kanclerz, jedynym zaś powodem istnienia wydziału jest jak najskuteczniejsze ukrywanie jego błędów i absolutnego braku kompetencji. Co prawda kanclerz Pondia Subat i jego współnik, minister spraw wewnętrznych Kołata, nigdy nie przejmowali się zbytnio uczciwością i szczerością, ale, panowie, to przecież uniwersytet. Czy nie powinniśmy choćby udawać, że mówimy prawdę?

- Bzdury! - wrzasnął rosły uczonec z pierwszego rzędu.

- Owszem. - Itagne uniósł oprawny w żółte płótno egzemplarz Sporcy cyrgańskiej. - Ale skoro pan wiedział, że to bzdury, profesorze Pessalt, to czemu ją wydaliście?

Śmiech w sali zabrzmiał jeszcze głośniejszy, zagłuszając rzuconą wściekłym tonem próbę odpowiedzi Pessalta.

- Przyjrzyjmy się bliżej temu wybitnemu dziełu - zaproponował Itagne.

- Wszyscy wiemy, że Pondia Subat to krętacz i nieudacznik, ale rzeczą, która najbardziej zdumiała mnie w waszym Sporcy cyrgańskiej, jest stałe wychwalanie styryckiego renegata Zalasty. Zrobiliście z niego niemal świętego. Jak, na Boga, ktokolwiek - nawet ktoś tak ograniczony jak nasz kanclerz - mógł otaczać czią podobnego łajdaka?

- Jak śmiesz mówić w ten sposób o największym człowieku naszego stulecia?! - ryknął jeden z historyków.

- Jeśli Zalasta jest największym człowiekiem, na jakiego stać nasz wiek, kolego, to marnie widzę nasze perspektywy. Ale zbaczamy z tematu. Kryzys, który Wydział Historii Najnowszej nazwał mianem sporcy cyrgańskiej, rozpoczął się w istocie wiele lat temu.

- O tak! - krzyknął ktoś zjadliwym tonem. - Zauważyliśmy!

- Jakże się cieszę - mruknął Itagne, po raz kolejny wzbudzając głośnie śmiechy wśród słuchaczy. - Do kogo zwrócił się więc po pomoc nasz idiota kanclerz? Oczywiście do Zalasty. A jaka była odpowiedź Zalasty? Nalegał, abyśmy posłali po rycerza pandionitę, księcia

Sparhawk z Elenii. Czemu natychmiast po usłyszeniu pytania - niemal zanim je jeszcze zadano - przyszło mu do głowy akurat to imię, zwłaszcza zważywszy na zadawnione urazy Styrików wobec Elenów? Niewątpliwie książę Sparhawk ma na swoim koncie wiele legendarnych wyczynów, ale dlaczego Zalasta tak pragnął akurat jego towarzystwa? I czemu nie uznał za stosowne wspomnieć, że Sparhawk to Anakha, narzędzie Bhelliomu? Czyżby fakt ten umknął jego uwadze? A może sądził, iż duch, zdolny tworzyć całe wszechświaty, w ogóle się nie liczy? W omawianej tu kupie guana nie znalazłem nawet najmniejszej wzmianki o Bhelliomie. Czyżbyście z rozmysłem zapomnieli o najważniejszym wydarzeniu ostatniego tysiąclecia? Najwyraźniej tak usilnie staraliście się przypisać waszemu ukochanemu kanclerzowi zasługi, nie do niego należące, że postanowiliście pominąć milczeniem kwestię Bhelliomu. Mam rację?

- Bełkot! - huknął głęboki głos.

- Miło mi pana poznać, profesorze Bełkot. Nazywam się Itagne. To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, że sam się pan nam przedstawił. Piękne dzięki, mój chłopcze.

Tym razem odpowiedziały mu ogłuszające salwy śmiechu.

- Szybki jest - szepnął Ulath do Beviera; Itagne dosłyszał tę uwagę.

- Koledzy - rzekł, unosząc głowę. - Twierdzę, że to nie towarzystwa księcia Sparhawkka łaknął Zalasta, lecz Bhelliomu. Klejnot ów jest źródłem nieograniczonej mocy i Zalasta od trzech stuleci próbował dostać go w swoje ręce - z przyczyn zbyt ohydnych, by tu o nich wspominać. Gotów był na wszystko. Zdradził swą wiarę, swój lud, odrzucił własne przekonania - jakiegokolwiek były - byle tylko zdobyć to, co trolle nazywają kwietnym klejnotem.

- Tego już za wiele! - oznajmił korpulentny Quinsal, zrywając się z miejsca. - Ten człowiek oszalał! Teraz zaczyna gadać o trollach! Jesteśmy na wyższej uczelni, Itagne, nie w pokoju dzieciennym. Wybrałeś niewłaściwe forum do prezentacji bajek i historyjek o duchach.

- Pozwól, że ja to załatwię, Itagne - poprosił Ulath, wstając z krzesła i podchodząc do katedry. - W parę minut rozstrzygnę tę kwestię.

- Bardzo proszę - odparł z wdzięcznością Itagne. Ulath położył mocarne dłonie po obu stronach pulpitu.

- Panowie, profesor Itagne prosił, abym objaśnił wam krótko kilka rzeczy - zaczął. - Jak się zdaje, macie pewne problemy z zaakceptowaniem idei istnienia trolli.

- Bynajmniej, panie rycerzu - odpalił Quinsal. - Trolle to eleński mit, nic więcej. Nie widzę tu żadnego problemu.

- Zdumiewające. Pięć lat poświęciłem układaniu gramatyki języka trolli. Twierdzi

pan, że zmarnowałem ten czas?

- Uważam, że jest pan równie szalony jak Itagne.

- Zatem raczej nie powinien mnie pan drażnić, nieprawdaż? Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że jestem od pana znacznie większy. - Ulath zmrużył oczy, wpatrując się w sufit. - Logika głosi, że nie da się udowodnić nieistnienia czegokolwiek. Czy na pewno nie chciałby pan zmienić zdania?

- Nie, panie Ulacie. Nie wyprę się swoich przekonań. Coś takiego jak troll nie istnieje.

- Słyszałeś, Bhłokw? - Ulath lekko podniósł głos. - Ten człowiek twierdzi, że nie istnieje.

Na korytarzu przed salą rozległ się koszmarny ryk. Podwójne drzwi z tyłu audytorium runęły z hukiem do środka, rozbite niemal w drzazgi.

- Spokojnie! - syknął Bevier, gdy Itagne podskoczył ze strachu. - To iluzja. Ulath się zabawia.

- Zechciałbyś się odwrócić i powiedzieć, co tam widzisz, Quinsalu? - poprosił Ulath. - Jak dokładnie nazwałbyś mojego przyjaciela Bhłokwa?

Tkwiący w drzwiach stwór był olbrzymi; jego zwierzęce oblicze wykrzywiała wściekłość. Wyraźnie zgłodniały, wyciągnął potężne łapy.

- Kto to powiedział, U-lat? - spytał złowrogo. - Sprawię mu ból! Rozszarpię na strzępy i pożrę!

- Czy trolle znają tamulski? - wyszeptał Itagne.

- Oczywiście, że nie - Bevier uśmiechnął się lekko. - Ulatha trochę poniosło.

Potworna zjawa w drzwiach złowieszczym rykiem oznajmiła, jakie ma plany wobec całego Wydziału Historii Najnowszej, nie szczędząc najbardziej drastycznych szczegółów.

- Są jeszcze jakieś pytania dotyczące trolli? - spytał łagodnie Ulath, lecz żaden z członków akademii nie usłyszał go pośród wrzasków, krzyków i trzasku padających krzeseł.

Nawet kiedy Ulath odprawił już swą iluzję, trzeba było kwadransa, by zaprowadzić porządek. Gdy Itagne znów podszedł do katedry, jego słuchacze siedzieli w milczeniu, zbici w ciasną gromadkę w pierwszych rzędach sali.

- Wzrusza mnie uwaga, z jaką spijacie słowa z moich ust - Itagne uśmiechnął się - ale potrafię mówić dość głośno, by było mnie słychać nawet z tyłu, więc nie musicie się tak tłoczyć. Ufam, że odwiedziny przyjaciela pana Ulatha wyjaśniły nasze drobne nieporozumienie co do trolli. - Spojrzał na Quinsala, który wciąż leżał skulony na podłodze, jęcząc ze strachu. - Wspaniale - rzekł. - Pokróćce zatem: Książę Sparhawk przybył do Tamuli. Eleni bywają podstępni, toteż żona Sparhawk, królowa Ehlana, zaproponowała, że złoży

oficjalną wizytę w Ma-therionie, a mąż i jego towarzysze dołączą do jej orszaku. Po przybyciu niemal natychmiast odkryli pewne fakty, które, o dziwo, jakoś umknęły naszej uwadze. Po pierwsze to, że cesarz Sarabian ma własny rozum; po drugie, że rząd kierowany przez Pondię Subata współpracował z wrogami.

- Zdrada! - wrzasnął chudy, łysiejący profesor, zrywając się z krzesła.

- Naprawdę, Dalashu? - spytał Itagne. - A kogo właściwie zdradziłem?

- Ależ... no... - zająknął się tamten.

- Wciąż nie rozumiecie, panowie? - Itagne zwrócił się wprost do pracowników Wydziału Historii Najnowszej. - Poprzedni rząd został obalony - przez cesarza we własnej osobie. Tamuli jest teraz monarchią w stylu eleńskim, a cesarz Sarabian rządzi za pomocą dekretów. Poprzedni rząd i jego kanclerz już się nie liczą.

- Kanclerza nie można usunąć z urzędu! - krzyknął Dalash. -Sprawuje go dożywotnio!

- Nawet jeśli to prawda, rozwiązanie narzuca się samo, czyż nie?

- Nie ośmieliłbyś się!

- Nie ja, mój stary. Ta decyzja należy do cesarza. Nie sprzeciwiajcie się mu, panowie. Jeżeli to zrobicie, udekoruje waszymi głowami bramy miasta. Ale wracajmy do tematu; przed zwyczajową przerwą chciałbym wyjaśnić jeszcze parę spraw. Nieudana próba zamachu stała się punktem zwrotnym. Pondia Subat był świadom istnienia spisku i zamierzał stać z boku, załamując ręce, podczas gdy pijana tłuszcza mordowałaby jego wrogów politycznych - w tym najwyraźniej także cesarza. Zanim Dalash znów zacznie krzyczeć o zdradzie, niech lepiej to przemyśli. Wiele dowiedzieliśmy się po owym nieudanym przewrocie - nie tylko o zdradzie kanclerza, ale i ministra spraw wewnętrznych. Najważniejsze jednak okazało się odkrycie, że to właśnie Zalasta kierował całym spiskiem i że działał w porozumieniu z Ekata-sem, najwyższym kapłanem Cyrгона, boga teoretycznie wymarłych Cyrgaich.

W tym momencie książę Sparhawk nie miał wyjścia: musiał wydobyć Bhelliom z ukrycia i posłać do Chyrellos po posiłki. Zapewnił też sobie wsparcie innych sojuszników, a pośród nich Delphae - którzy naprawdę istnieją w całej swej jaśniejącej grozie.

- To absurd! - prychnął pogardliwie naczelny krzykacz Wydziału Historii Najnowszej, muskularny brutal, profesor Pes-salt. - Spodziewasz się, że uwierzymy w te bajeczki?

- Widziałeś już dzisiaj trolla, Pessalcie - przypomniał mu Itagne. - Masz ochotę na odwiedzinę jednego ze Świetlistych? Jeśli chcesz, mogę to zaaranżować - ale, proszę, na zewnątrz. Jeśli rozplyniesz się w kałużę cuchnącego śluzu tu, w sali, nigdy nie pozbędziemy się smrodu.

Dziekan Altus odchrząknął znacząco.

- Oczywiście - zapewnił go Itagne. - Jeszcze tylko kilka minut. - Z powrotem odwrócił się do zebranych: - Skoro już poruszyliśmy temat trolli, równie dobrze możemy wyjaśnić to sobie raz na zawsze. Jak zauważyliście, trolle istnieją naprawdę. Zostały zwabione do Tamuli z ich ojczystych gór północnej Thalesii przez Cyrгона, który udawał jednego z ich bogów.

Prawdziwi bogowie trolli od tysięcy lat tkwili w więzieniu i książe Sparhawk zaproponował im wymianę: wolność w zamian za pomoc w walce. Następnie zebrał sporą armię i poprowadził ją do północnego Atanu, gdzie oszukane trolle zaczęły wznieszać zamieszanie. Miało to zmusić Atanów do powrotu do ich ojczyzny - co pozostawiłoby nas praktycznie bezbronnymi, Atani bowiem tworzą trzon naszej armii. Sparhawk zdawał się postępować dokładnie tak, jak chcieli nasi wrogowie, kiedy jednak Cyrگون i Zalasta posłali do walki trolle, Sparhawk wezwał ich bogów, by odzyskali swych wyznawców. Zdesperowany Cyrگون sięgnął w przeszłość po wielką armię Cyrgaich - a trolle, posłuszne swej naturze, pożarły ich wszystkich.

- Nie oczekujesz chyba, że to przełknimy, Itagne? - wtrącił ze wzgardą profesor Sarafawn, szef Wydziału Historii Najnowszej i szwagier kanclerza.

- To miał być żart, Sarafawnie? Zresztą nieważne. Najkrócej mówiąc, równie dobrze możecie uwierzyć w każde słowo. Brat twojej żony nie dyktuje już oficjalnej wersji historii. Od dziś cesarz spodziewa się, że będziemy podawać studentom czystą prawdę bez zbędnych ozdóbek. W przyszłym miesiącu opublikuję prawdziwą relację z tych wydarzeń. Lepiej już teraz zamów egzemplarz, Sarafawnie, bo w przyszłości będziesz z niej musiał uczyć studentów - zakładając, że w ogóle masz jakąś przyszłość na tej uczelni. Z tego, co mi wiadomo, w przyszłym roku czekają nas spore cięcia budżetowe i zapewne zamkniemy kilka wydziałów. - Zawiesił głos. - Dobrze sobie radzisz z narzędziami, Sarafawnie? Słyszałem, że w Jurze mają niezłą szkołę zawodową. Polubiłbyś Daconię.

Altus ponownie odchrząknął, tym razem bardziej nagłaco.

- Przepraszam, panie dziekanie - powiedział szybko Itagne. -Mój czas dobiega końca, panowie, więc w kilku słowach podsumuję, co zdarzyło się potem. Mimo miążdżącej klęski Cyrگون i Zalasta się nie poddali. W śmiałym posunięciu nieślubny syn Zalasty, Scarpa, zakradł się na teren zespołu pałacowego i porwał królową Ehlanę, pozostawiając wiadomość: w zamian za bezpieczny powrót żony Sparhawk miał oddać Bhelliom.

Po przerwie, na którą cierpliwie czeka dziekan Altus, opowiem o reakcji księcia Sparhawk na to porwanie.

CZEŚĆ PIERWSZA

Berit

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Z łąki podnosiła się mroźna mgła. Napływające z zachodu strzępiaste chmury zasnuwały zimne, szare niebo. Przedmioty nie rzucały cieni, a zamrznięta ziemia była twarda jak żelazo. Zima nieubłaganie obejmowała władzę nad Przylądkiem Północnym.

Licząca tysiące żołnierzy armia Sparhawk, odziana w stal i skóry, stała rozciągnięta w poprzek oszronionej łąki nieopodal ruin Tzady. Pan Berit zatrzymał swego konia pośrodku grupy zakutych w ciężkie zbroje rycerzy kościoła. Razem obserwowali upiorną ucztę, odbywającą się zaledwie kilkaset jardów przed nimi. Berit, młody idealista, nie mógł się pogodzić z zachowaniem ich nowych sojuszników.

Nie chodziło nawet o krzyki. Te bowiem dochodziły z daleka - zaledwie echa odległej agonii - a krzyczący nie byli przecież ludźmi, nie naprawdę, lecz jedynie zjawami, niemal zapomnianymi cieniami dawno wymarłej rasy. Poza tym byli też wrogami - przedstawicielami dzikiego, okrutnego ludu, oddającego cześć niewypowiedzianie straszliwemu bogu.

Tyle że parowali. To właśnie ta część koszmaru nie dawała spokoju panu Beritowi. Choć powtarzał w duchu, że ci Cyrgai nie żyją, że to tylko widma, wskrzeszone magią Cyrgona, fakt, iż ich rozszarpywane i patroszone przez zgłodniałe trolle ciała parowały, sprawił, że mur obronny, chroniący umysł młodzieńca, słabł z każdą chwilą.

- Kłopoty? - spytał współczująco Sparhawk. Jego czarną zbroję pokrywał szron, twarz o ostrych rysach miała ponury wyraz.

Berit poczuł nagłe zmieszanie.

- To nic, panie Sparhawku - skłamał szybko. - Tylko... -Nie mógł znaleźć właściwych słów.

- Wiem. Sam mam problemy z zaakceptowaniem tej części umowy. Rozumiesz chyba, że trolle nie są rozmyślnie okrutne.

Dla nich jesteśmy tylko pożywieniem. Po prostu słuchają głosu natury.

- W tym właśnie rzecz, Sparhawku. Sam pomysł zjedzenia człowieka mrozi mi krew w żyłach.

- Czy pomogłoby, gdybym powiedział: lepiej ich niż nas?

- Niewiele. - Berit zaśmiał się słabo. - Może nie nadaję się do tej roboty? Pozostali przyjmują to spokojniej.

- Nikt nie przyjmuje tego spokojniej, Bericie. Wszyscy czujemy to samo. Spróbuj

wytrzymać. Spotykaliśmy już wcześniej armie z przeszłości. Gdy tylko trolle zabiją generałów Cyrgaich, reszta powinna zniknąć i to załatwi sprawę. - Sparhawk zmarszczył brwi. - Poszukajmy Ulatha - zaproponował. - Właśnie coś przyszło mi do głowy i chciałbym go o to zapytać.

- W porządku - zgodził się szybko Berit. Dwaj pandionicy w czarnych zbrojach zawrócili wierzchowce i ruszyli naprzód przez oszronioną trawę wzdłuż szeregów potężnej armii.

Znaleźli Ulatha, Tyniana i Beviera jakieś sto jardów dalej.

- Mam do ciebie pytanie, Ulacie - rzekł Sparhawk, ściągając wodze Farana.

- Do mnie? Och, Sparhawk, jak to miło z twojej strony! -Ulath zdjął swój stożkowy hełm i z roztargnieniem polerował rękawem zielonej szaty lśniące czarne rogi ogra. - O co chodzi?

- Za każdym razem, gdy mieliśmy do czynienia ze starożytnymi wojownikami, kiedy zabijaliśmy ich przywódców, trupy kurczyły się i wysychały. Jak zareagują na to trolle?

- Skąd mam wiedzieć?

- Podobno jesteś od nich ekspertem.

- Daj spokój, Sparhawk. Coś takiego nigdy dotąd się nie zdarzyło. Nikt nie potrafi przewidzieć, co się stanie w całkowicie nowej sytuacji.

- No to zgadnij - warknął z rozdrażnieniem Sparhawk. Przez moment patrzyli na siebie gniewnie.

- Czemu wypytyujesz akurat Ulatha, Sparhawk? - wtrącił łagodnie Bevier. - Dlaczego po prostu nie ostrzeżesz bogów trolli i nie pozwolisz, by sami to załatwili?

Sparhawk z namysłem potarł dłonią policzek. Jego palce ze szmerem posunęły się po ostrym zaroście.

- Przepraszam, Ulacie - rzekł. - Hałas dobiegający z tej sali bankietowej trochę mnie rozprasza.

- Wiem, co czujesz - odparł cierpko Ulath. - Cieszę się jednak, że poruszyłeś ten temat. Trolle nie zadowolą się suchymi racjami, gdy zaledwie ćwierć mili dalej czeka wielka porcja świeżego mięsa. - Z powrotem włożył hełm, ozdobiony rogami ogra. - Bogowie trolli dotrzymają umowy z Aphrael, lecz myślę, że powinniśmy ich zawczasu uprzedzić. Z całą pewnością wolę, by trzymali w garści swe trolle, gdy obiad nagle im się zestarzeje. Bardzo nie chciałbym zostać deserem.

- Ehlana? - Sephrenia zachłysnęła się.

- Zniż głos! - mruknęła Aphrael, rozglądając się wokół. Od tyłów armii dzieliła je spora odległość, nie były jednak same. Bogini wyciągnęła rękę i dotknęła wygiętej szyi Ch'iel. Dziańet Sephrenii posłusznie oddalił się nieco od Kaltena i Xanetii i zaczął skubać zamrożoną trawę. - Nie znam zbyt wiele szczegółów - rzekła. - Melidere jest ciężko ranna, a Mirtai tak wściekła, że musieli zakuć ją w łańcuchy.

- Kto to zrobił?

- Nie wiem, Sephrenio! Nikt nie rozmawia z Danae. Słyszałam tylko słowo „zakładniczka”. Ktoś zdołał dostać się do zamku, porwać Ehlana i Alean i uciec. Sarabian wychodzi z siebie. Przysłał tu tylu strażników, że Danae nie może wydostać się z pokoju i dowiedzieć, co naprawdę zaszło.

- Musimy zawiadomić Sparhawk.

- Kategorycznie nie! Gdy tylko Ehlana grozi niebezpieczeństwo, Sparhawk wpada w szal. Zanim do tego dopuścimy, musi doprowadzić bezpiecznie swą armię do Matherionu.

- Ale...

- Nie, Sephrenio. I tak wkrótce się dowie. Najpierw więc niech wszyscy znajdą się w bezpiecznym miejscu. Został nam tylko tydzień. Potem słońce zajdzie na dobre i wszystko - oraz wszystkich - skuje lód.

- Chyba masz rację - ustąpiła Sephrenia. Przez moment zastanawiała się, zapatrzona w srebrzysty od szronu las za łąką. -Słowo „zakładniczka” wiele wyjaśnia. Czy potrafiłabyś w jakiś sposób stwierdzić, gdzie znajduje się twoja matka?

Aphrael potrząsnęła głową.

- Nie, nie wystawiając jej przy tym na niebezpieczeństwo. Jeśli zacznę wtykać nos w nie swoje sprawy, Cyrgon wyczuje, że mieszam się do jego planów, i może zrobić coś matce. W tej chwili przede wszystkim nie wolno dopuścić, aby Sparhawk wpadł w furię na wieść o jej porwaniu. - Nagle sapnęła; jej ciemne oczy rozszerzyły się gwałtownie.

- O co chodzi? - spytała zaniepokojona Sephrenia. - Co się dzieje?

- Nie wiem! - wykrzyknęła Aphrael. - To coś potwornego! -Przez chwilę gorączkowo kręciła głową, potem jednak uspokoiła się i w skupieniu zmarszczyła blade czoło. Jej oczy zwężyły się gniewnie. - Ktoś stosuje jedno z zakazanych zaklęć, Sephrenio -oznajmiła głosem równie twardym jak zamrożona ziemia.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie. Czuję jego smród w powietrzu.

* * *

Djarian, nekromanta, był chorobliwie chudym Styrikiem o głęboko zapadniętych oczach. Wyglądał jak trup, a wrażenie to wzmagająca jeszcze otaczająca go woń słodkawej stęchlizny. Podobnie jak pozostali styriccy jeńcy został zakuty w łańcuchy i oddany pod straż rycerzy kościoła, którzy potrafią neutralizować styrickie zaklęcia.

Nad obozowiskiem nieopodal ruin Tzady zapadł już zimny ponury zmierzch, gdy Sparhawk i pozostali zabrali się w końcu do przesłuchiwania więźniów. Kiedy wystawna uczta dobiegła końca, bogowie trolli natychmiast zapanowali nad swymi wyznawcami i polecili im zgromadzić się wokół wielkiego ogniska kilka mil w głębi łąki, gdzie rozpoczęli coś w rodzaju ceremonii religijnej.

- Po prostu odgrywaj swą rolę, Bevierze - poradził po cichu Sparhawk śniademu cyrinicie, gdy sprowadzono przed ich oblicza Djariana. - Zadawaj mu nieistotne pytania, póki Xanetia nie da sygnału, że dowiedziała się wszystkiego.

Bevier przytaknął.

- Mogę to przeciągać jak długo zechcesz, Sparhawk. Zaczynamy.

Biała szata pana Beviera, połyskująca pomarańczowo w migotliwym blasku ognia, sprawiała, że wyglądał niemal jak ksiądz. Przesłuchanie poprzedził długą modlitwą; dopiero później wziął się do rzeczy.

Djarian odpowiadał z napięciem; jego głuchy głos brzmiał niemal tak, jakby dochodził z krypty. Bevier najwyraźniej nie zwracał uwagi na ponury nastrój więźnia. Zachowywał się wzorowo, wręcz pedantycznie, a założone przez niego wełniane rękawiczki bez palców, używane często przez skrybów i uczonych, podkreślały jeszcze to wrażenie. Często się powtarzał, inaczej formułując wcześniej zadane pytania, i z triumfem wskazywał sprzeczności w wypowiedziach więźnia.

Djarian tylko raz porzucił swą małomówność, obrzucając najgorszymi wyzwiskami Zalastę i Cyrгона - za to, że porzucili go na tym niegościnnym polu walki.

- Bevier zachowuje się zupełnie jak prawnik - mruknął Kalten do Sparhawk. - Nie cierpię prawników.

- Robi to celowo - odparł Sparhawk. - Prawnicy lubią zaskakiwać ludzi podchwytliwymi pytaniami i Djarian o tym wie. Bevier zmusza go, aby myślał nieustannie o rzeczach, które powinien ukryć, a tego właśnie potrzebuje Xanetia. Wygląda na to, że znów nie doceniliśmy Beviera.

- To przez te ciągłe modły - wyjaśnił Kalten. - Trudno traktować poważnie człowieka,

który ciągle się modli.

- Jesteśmy rycerzami kościoła, Kaltenie - członkami zakonów religijnych.

- A co to ma do rzeczy?

* * *

- W umyśle swym bardziej martwy jest niż żywy – oznajmiła nieco później Xanetia, gdy zgromadzili się wokół jednego z wielkich ognisk, rozpalonych przez Atanów po to, by przegnać ostry chłód nocy. Na twarzy Anarae i jej szacie z surowej wełny odbijał się blask ognia.

- A zatem mieliśmy rację? - spytał Tynian. - Cyrgon wzmacnia zaklęcia Djariana, pozwalając mu wskrzeszać całe armie?

- Istotnie - odparła.

- A pokaz nienawiści do Zalasty? Czy był szczery? - wtrącił Vanion.

- O tak, panie Vanionie. Djarian wraz z towarzyszami nie-ukontentowani są wielce z jego przywództwa. Braterstwa prawdziwego po swym dowódcy już się nie spodziewają, wspólny cel nie łączy ich i z wątpliwego sojuszu każdy jak największą korzyść odnieść pragnie. Wspólne jest im jedynie sekretne pragnienie Bhelliomu zdobycia.

- Niesnaski wśród nieprzyjaciół to zawsze dobry znak - zauważył Vanion. - Lecz obawiam się, iż nie możemy odrzucić możliwości, że po tym, co się tu dziś zdarzyło, znów zewrą szyki. Czy zdołałaś dowiedzieć się czegoś o ich dalszych planach, Anarae?

- Nie, panie Vanionie. Gotowi na to, co zaszło, nie byli. Jedno wszakże w myślach Djariana wyraźnie się odbija, i niebezpieczna to wizja. Wyrzutkowie Zalasty lękają się wszytcy Cызady z Esos, on bowiem jedyny magię zemoską poznał i sam sięgać umie poza zaświatów wrota, które Azash otworem zostawił. W zasięgu jego groza niewyobrażalna leży. Djarian lęka się, że skoro plany ich w gruzy runęły, Cyrgon w rozpaczycy polecić Cызadzie może, by ten mocy swych nieczystych użył i istoty z mroku wezwał, aby czoło nam stawiły. Vanion z powagą skinął głową.

- Jak zareagowali na plan Stragena? - spytał ciekawie Talen.

- Szkody wielkie im wyrządził - odparła Xanetia. - Polegali bowiem na tych, którzy zginęli.

- Stragen ucieszy się, gdy to usłyszy. Co zamierzali zrobić ze wszystkimi szpiegami i donosicielami?

- Skoro sił zdolnych pokonać Atanów nie mają, Zalasta i poplecznicy jego zamierzali

tajne sługi Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wykorzystać, by urzędników tamulskich w podległych królestwach zabić, a to z nadzieją prac rządu zakłócenia.

- Powinieneś to zapamiętać, Sparhawku - wtrącił Kalten.

- Co?

- Cesarz Sarabian miał pewne wątpliwości, zatwierdzając plan Stragena. Zapewne poczuje się znacznie lepiej, gdy się dowie, iż Stragen jedynie uprzedził zamiary wrogów. Gdyby on ich nie zabił, wymordowaliby naszych ludzi.

- Z punktu widzenia moralności wkraczasz na bardzo grząski grunt, Kaltenie - zauważył z dezaprobatą Bevier.

- Wiem - przyznał Kalten. - Dlatego właśnie muszę biec tak szybko.

* * *

Następnego ranka niebo pokryła gruba warstwa chmur: gęstych, kłębiastych chmur, napływających z zachodu, ciężkich od śniegu. Ponieważ była już późna jesień, a oni dotarli daleko na północ, mieli wrażenie, jakby słońce wschodziło na południu, zabarwiając niebo nad murem Bhelliomu ognistym oranżem i sięgając nieśmiało niskimi pomarańczowymi promieniami, by musnąć płynące szybko chmury płomienną czerwienią.

Wobec przenikliwego mrozu panującego tu, na sklepieniu świata, obozowe ogniska zdawały się słabe i bardzo małe. Rycerze i ich przyjaciele, opatuleni w futrzane płaszcze, kulili się blisko płomieni.

Na północy rozległy się niskie pomruki grzmotów, którym towarzyszyły przebłyski jasnego upiornego światła.

- Burza? - spytał z niedowierzaniem Kalten. - To chyba nieodpowiednia pora roku na burzę z piorunami?

- Zdarza się - Ulath wzruszył ramionami. - Kiedyś na północ od Heidu dopadła mnie burza, która wkrótce zmieniała się w śnieżycę. To niezbyt przyjemne doświadczenie.

- Kto dziś gotuje? - spytał z roztargnieniem Kalten.

- Ty - odparł natychmiast Ulath.

- Nie uważasz, Kaltenie. - Tynian roześmiał się głośno.

- Wiesz, że nie należy zadawać podobnych pytań. Kalten skrzywił się i zaczął podsycać ogień.

- Myślę, że powinniśmy jeszcze dziś wracać na wybrzeże, Sparhawku - oznajmił Vanion. - Jak dotąd pogoda nam dopisywała, ale wątpię, abyśmy mogli zbyt długo na to

liczyć.

Sparhawk przytaknął. Grzmoty stawały się coraz głośniejsze. Ognistoczerwone chmury pobiełały nagle w blasku błyskawic.

A potem rozległ się nagły rytmiczny huk.

- Czy to znowu trzęsienie ziemi?! - zawołał Kring z przerażeniem w głosie.

- Nie - odparł Khalad. - Dźwięk jest zbyt miarowy. Zupełnie jakby ktoś walił w ogromny bęben. - Spojrzał na szczyt muru Bhelliomu. - Co to? - spytał, wskazując ręką.

Z lasu, tuż przy ostrej jak brzytwa krawędzi urwiska, wynurzyło się wzgórze - to znaczy wyglądałoby jak wzgórze, gdyby się nie poruszało.

Patrzyli pod słońce, toteż nie widzieli żadnych szczegółów, gdy jednak wznosiło się coraz wyżej i wyżej, dostrzegli, iż jest to nieco spłaszczona kopuła, z której wystają dwie ostre iglice, sterczące po bokach niczym skrzydła. Tajemnicze wzniesienie wciąż rosło. Po chwili pojęli, że to nie kopuła, ale raczej gigantyczny odwrócony trójkąt, szeroki u góry, spiczasty u dołu, z dziwnymi skrzydlastymi wypustkami po bokach. Dolny wierzchołek zdawał się osadzony na masywnej kolumnie. Tajemniczy twór na tle ognistego nieba wydawał się czarny jak noc; rósł i rósł coraz wyżej, niczym olbrzymia plama ciemności.

W końcu zatrzymał się i otworzył oczy.

Z początku były to dwie cienkie linie ognia, potem jednak płonące oczy otwarły się szerzej, okrutne i ukośne niczym u kota, jarzące się blaskiem jaśniejszym niż samo słońce. Ludzka wyobraźnia nie potrafiła objąć ogromu tego czegoś. To, co z początku wzięli za gigantyczne skrzydła, było uszami stworu.

Istota otwarła paszczę. Ryknęła i zrozumieli, że słyszane wcześniej dźwięki nie były hukami gromów.

Potwór ryknął ponownie. Z jego lśniących niczym błyskawice kłów ściekał ogień czerwony jak krew.

- Klael! - wrzasnęła Aphrael.

I wtedy ponad ostrą krawędź urwiska wydźwignęły się dwie ogromne masywne góry ramion, z których wystrzeliły czarne żagle wielkich nietoperzych skrzydeł.

- Co to jest? - krzyknął Talen.

- To Klael! - krzyknęła ponownie Aphrael.

- Co to jest Kisi?

- Nie co, idioto. Kto! Azash i pozostali starsi bogowie wygnali go! Jakiś kretyn przywołał z powrotem!

Ogromny kształt na szczycie muru wciąż się powiększał, ukażując gigantyczne ręce,

zakończone wielopalczystymi dłońmi. Pod skórą masywnego korpusu rozbłyskiwały pioruny, oświetlając migotliwym blaskiem koszmarnie szczegóły.

Wreszcie potworna istota wyprostowała się na swą pełną wy-sokość osiemdziesięciu, stu stóp ponad szczyt urwiska.

Sparhawka ogarnęła rozpacz. Jak mieliby...

- Błękitna Rózo! - rzekł ostro. - Zrób coś!

- Nie ma takiej potrzeby, Anakho - głos Vaniona zabrzmiał bardzo spokojnie, gdy Bhelliom raz jeszcze przemówił jego ustami. - Klael na moment zaledwie z okowów Cyrgona się wymknął. Cyrgon nie dozwoli na bezpośrednie stworu tego ze mną spotkanie.

- Zatem ta istota należy do Cyrgona?

- Obecnie tak. Z czasem sytuacja zmianie ulegnie i Cyrgon służyć się stanie Klaela.

- Co on robi?! - krzyknęła Betuana.

Koszmar na szczycie urwiska podniósł potężną pięść i zaczął walić w ziemię oślepiającą kulą ognia, ubijając grunt piorunami. Mur zadrżał i zaczął pękać. Osypująca się ziemia i skały z hukiem runęły w dół, uderzając w las u stóp urwiska. Coraz większe kawały ściany odpadały, osuwając się w ogromnej nieprzerwanej lawinie.

- Klael nigdy nie był pewien skrzydeł swoich mocy - zauważył spokojnie Bhelliom. - Walczyć ze mną pragnie, wszelako muru wysokości się lęka. Stopnie zatem dla się szykuje.

Nagle z rykiem dorównującym hukowi trzęsienia ziemi, z którego zrodził się mur, miła urwiska powoli spłynęła naprzód, miażdżąc drzewa w dole i grzebiąc je pod coraz wyższym stosem ziemi i kamieni.

Olbrzymia istota nadal atakowała szczyt urwiska, zrzucając na dół kolejne porcje ziemi tak, by utworzyły stromą pochylnię prowadzącą aż na samą górę.

Nagle stwór zwany Klaelem zniknął. Gwałtowna fala świszczącego wiatru uderzyła w skalną ścianę, zdmuchując wywołane przez lawinę chmury kurzu.

Do świstu dołączył kolejny dźwięk. Sparhawk odwrócił się szybko. Wszystkie trolle padły na twarz, jęcząc z przerażenia.

* * *

- Zawsze o nim wiedzieliśmy - powiedziała z zadumą Aphrael. - Straszylismy się historiami na jego temat. Wzbudzanie u siebie dreszczy lęku sprawia nam perwersyjną przyjemność. Chyba nigdy nie wierzyłam do końca, że naprawdę istnieje.

- Czym dokładnie jest? - spytał Bevier.

- Złem - wzruszyła ramionami. - My jesteśmy ponoć istotą dobra - tak przynajmniej sami uważamy. Klael to nasze przeciwieństwo. Dzięki niemu możemy wyjaśnić istnienie zła. Gdyby nie było Klaela, musielibyśmy sami przyjąć odpowiedzialność za zło, a zaudto się lubimy, by to uczynić.

- Zatem ów Klael to król piekła? - spytał Bevier.

- Coś w tym rodzaju. Tyle że piekło to nie miejsce, ale stan umysłu. Legenda głosi, że kiedy starsi bogowie, Azash i pozostali, pojawili się na ziemi, zastali tu już Klaela. Sami chcieli objąć w posiadanie świat, a on im przeszkadzał. Po tym, jak kilkunastu z nich po kolei próbowało się go pozbyć, co skończyło się ich unicestwieniem, złączyli swe siły i wygnali Klaela.

- Ale skąd on się wziął? To znaczy, tak w ogóle - naciskał Bevier. Bevier a zawsze interesowały początki rzeczy.

- Skąd niby miałabym wiedzieć? Nie było mnie przy tym. Spytaj Bhelliomu.

- Bardziej niż to, skąd pochodzi, interesuje mnie, co potrafi zrobić - rzekł Sparhawk i wyjął Bhelliom z sakiewki u pasa. -Błękitna Rózo, sądzę, iż o Klaelu pomówić winniśmy.

- Zgodzę się z tym, Anakho - odparł klejnot, ponownie przejmując władzę nad Vanionem.

- Skąd on, czy też to, pochodzi? 1 - Klael nie pochodzi, Anakho. Jako i ja, Klael istniał zawsze.

- Czym on... ono jest?

- Koniecznością. Obrazić nie chciałbym cię, lubo Klaela konieczność poza zdolność twą pojmovania wykracza. Bogini-dziecię udatnie to wyjaśniła - najlepiej jak umiała.

- Też mi! - prychnęła Aphrael.

Na wargach Vaniona zatańczył uśmiech.

- Gniewem swym nie darz mnie, Aphrael. Miłuję cię nadal -mimo twego ograniczenia. Młodaś jeszcze, a wiek mądrość i zrozumienie ci przyniesie.

- Ostrożnie, Błękitna Rózo! - ostrzegła kamień Sephrenia.

- No cóż - westchnął Bhelliom. - Przejdźmy tedy do rzeczy. W istocie Klael wygnany został przez starszych bogów, jako rzekła Aphrael - choć duch Kisła, jako i mój, trwa u samych podstaw tego świata oraz reszty moich dzieł. Więcej, co uczynili starsi bogowie, odczynić też mogli, i zakłęcie przywołujące Klaela kryło się w zakłęciu, które go wyгнаło. Tuszę tedy, iż śmiertelnik w magii starszych bogów uczony klątwę odwrócił, ' Klaela przywołując.

- Czy on... to może zostać zniszczone?

- Nie o żadnym „nim” tu mowa, jako i nie o „tym”. Mówimy o Klaelu. Odpowiedź zaś, Anakho, brzmi: nie. Klaela nie można zniszczyć, jako i mnie. Klael wieczny jest.

Sparhawk poczuł, jak ogarnia go rozpacz.

- Chyba mamy kłopot - mruknął do przyjaciół.

- Wina za takowy stan rzeczy mię obciąża. Tak bardzo zajęły mię narodziny najmłodszego mego dziecięcia, iż zaniedbałem nieco ważne me powinności. Moją jest rzeczą wygnać Klaela podczas świata nowego tworzenia. To jednak dziecię tak bardzo mnie uradowało, że wygnanie opóźniłem. Wówczas zasię na czerwony pył natrafiłem, który uwięził mię i obowiązek Klaela wygnania spadł na starszych bogów. Zadanie owo niedoskonale wypełnili, a to przez własną niedoskonałość, dzięki czemu Klael wrócić mógł.

- Wezwany przez Cyrгона? - spytał ponuro Sparhawk.

- Zakłęcie wygnania - i przywołania - styrickie jest. Cyrگون wypowiedzieć by go nie mógł.

- Zatem to Cызada - zgadła Sephrenia. - Całkiem możliwe, że znał zakłęcie. Wątpię jednak, by użył go z własnej woli.

- Prawdopodobnie Cyrгон zmusił go do tego, mateczko -wtrącił Kalten. - Ostatnio jemu i Zalaście nie szło najlepiej.

- Ale żeby wezwać Klaela? - Aphrael zadrżała.

- Zdesperowani ludzie popełniają desperackie czyny. - Kalten wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że to samo dotyczy zdesperowanych bogów.

- Cóż uczynić mamy, Błękitna Rózo? - spytał Sparhawk. -To znaczy z Klaelem.

- Niczego uczynić nie możesz, Anakho. Dobrze się spisałeś w starciu z Azashem, i nie wątpię, iż takó¿ będzie w sporze twym z Cyrgonem. Wobec Klaela jednak byłbyś bezsilnym.

- Jesteśmy zatem skazani. - Sparhawk nagle ogarnęła obezwładniająca niemoc.

- Skazani? Bynajmniej skazani nie jesteście. Czemuż tak łatwo poddajesz się i rozpaczasz, przyjacielu? Nie stworzyłem cię po to, byś Klaelowi stawił czoło. To moja powinność. Klael nieco niepokoił nas będzie, jako to ma w zwyczaju. Potem zasię, jak zawsze, spotkamy się.

- I raz jeszcze przegnasz go z tego świata?

- To nigdy pewne nie jest, Anakho. Zapewniam cię jednak, że starać się będę usilnie wygnać Kisła - jako i Klael starać się będzie wygnać mnie. Starcie nasze w przyszłości nastąpi, a jako często ci powtarzam, przyszłość skryta jest przed nami. Stanę jednak do walki ufny w moc własną, zwątpienie bowiem odbiera siły, a bojaźń i niepewność osłabiają ducha. Do bitwy przystąpić trzeba z sercem lekkim i duchem radosnym.

- Czasami miewasz skłonność do okropnie sentencjonalnego mówienia, Stwórco Światów - w głosie Aphrael zabrzmiała lekko złośliwa nutka.

- Bądź grzeczną - upomniał łagodnie Bhelliom.

* * *

- Anakho! - To był Ghworg, bóg zabijania. Jego potężna postać nadeszła z drugiej strony oszronionej łąki, pozostawiając za sobą ciemną ścieżkę pośród srebrzystych traw.

- Wysłucham słów Ghworga - odparł Sparhawk.

- Czy to ty wezwałeś Klaela? Czy myślisz, że Klael pomoże nam zranić Cyrgona? To niedobrze tak sądzić. Odpraw go z powrotem!

- To nie ja, Ghworgu. Ani nie kwietny klejnot. Myślimy, że Cyrgon wezwał Klaela, aby nas zranić.

- Czy kwietny klejnot może zranić Klaela?

- Nie wiadomo. Moc Klaela dorównuje mocy kwietnego klejnotu.

Bóg zabijania przykucnął na zamarzniętej ziemi, drapiąc wielką łapą włochatą twarz.

- Cyrgon jest niczym, Anakho - zagrzemiał tonem towarzyskiej pogawędki. - Możemy zranić Cyrgona teraz - albo kiedyś później. Musimy zranić Klaela teraz - nie możemy czekać na później.

Sparhawk ukląkł na kolanie.

- Twoje słowa są mądre, Ghworgu.

Wargi Ghworga rozciągnęły się w upiornej parodii uśmiechu.

- Słowo to nie jest u nas często używane, Anakho. Gdyby Khwaj rzekł: „Ghworg jest mądry”, zraniłbym go.

- Nie powiedziałem tak, by cię rozgniewać, Ghworgu.

- Nie jesteś trollem, Anakho. Nie znasz naszych zwyczajów. Musimy zranić Klaela tak, aby odszedł. Jak możemy to zrobić?

- Nie zdołamy go zranić. Tylko kwietny klejnot może zmusić go do odejścia.

Ghworg z potwornym warknięciem huknął pięścią w ziemię. Sparhawk uniósł rękę.

- Cyrgon wezwał Klaela - powiedział. - Klael dołączył do Cyrgona, żeby nas zranić. Zrańmy Cyrgona teraz, nie później. Jeśli to zrobimy, będzie się bał pomagać Klaelowi, gdy kwietny klejnot zechce go ranić i zmusić do odejścia.

Ghworg namyślał się dłuższą chwilę.

- Twoje słowa są dobre, Anakho - rzekł wreszcie. - Jak najlepiej możemy zranić

Cyrgona? Sparhawk zastanowił się szybko.

- Umysł Cyrgona nie jest taki jak twój, Ghworgu, ani jak mój. Nasze umysły są proste, Cyrgona zaś podstępny. Kazał twoim dzieciom walczyć z naszymi przyjaciółmi tu, w krainie zimy, aby zmusić nas do przybycia. Lecz twoje dzieci nie są jego głównymi siłami. Armia Cyrgona przybędzie z krain słońca, by zaatakować naszych przyjaciół w błyszczącym mieście.

- Widziałem to miejsce. Bogini-dziecko rozmawiała tam z nami.

Sparhawk zmarszczył brwi, próbując przypomnieć sobie • szczegóły mapy Vaniona.

- Na południe stąd rozciągają się wyżyny. Ghworg przytaknął.

- Potem, jeszcze dalej na południe, wyżyny obniżają się i stają się płaskie.

- Widzę je - rzekł bóg. - Dobrze je opisałeś, Anakho. To zdumiało Sparhawk. Najwyraźniej Ghworg potrafił wyobrazić sobie cały kontynent.

- Pośrodku tego płaskiego kraju leży kolejna wyżyna, którą ludzkie stwory nazywają Górami Tamulskimi. Ghworg skinął głową.

- Główna armia Cyrgona przejdzie przez tę wyżynę, by dotrzeć do błyszczącego miasta. Wyżyna będzie chłodna, więc wasze dzieci nie ucierpią od słońca.

- Widzę, dokąd zmierzają twoje myśli, Anakho - rzekł Ghworg. - Zabierzemy nasze dzieci na wyżynę i zaczekamy tam na dzieci Cyrgona. Nasze dzieci nie będą jadły dzieci Aphrael. Zjedzą armię Cyrgona.

- To zrani Cyrgona i jego sługi, Ghworgu.

- Tak zatem zrobimy. - Ghworg odwrócił się i wskazał pozostałości lawiny. - Nasze dzieci wejdą po schodach Klaela. Potem Ghnomb zatrzyma czas. Nasze dzieci dotrą na wyżyny, nim tej nocy zajdzie słońce. - Wstał gwałtownie. - Dobrych łowów! - warknął, zawrócił i pomaszerował, by dołączyć do swych braci oraz wciąż przerażonych trolli.

* * *

- Musimy zachowywać się normalnie - powiedział Vanion, gdy wczesnym popołudniem zebrał się wokół ogniska. Sparhawk zauważył, że słońce chyli się już ku zachodowi. - Klael może pojawić się, gdzie zechce i kiedy zechce. Nie możemy uwzględniać go w swoich planach, podobnie jak śnieżycy czy huraganu. Jeśli nie da się czegoś przewidzieć, pozostaje jedynie podjąć pewne środki ostrożności i zignorować to.

- Dobrze powiedziane - pochwaliła królowa Betuana. Betu-ana i Vanion świetnie się rozumieli.

- Co zatem zrobimy, przyjacielu Vanionie? - spytał Tikume.

- Jesteśmy żołnierzami, przyjacielu Tikume - odparł Vanion. - Postępujemy jak żołnierze. Mamy walczyć z armiami, nie z bogami. Scarpa wyjdzie w końcu z dżungli Ardżuny i przypuszczam, że jednocześnie nastąpi drugie uderzenie z Cy-nesgi. Trolle zapewne przeszkodzą Scarpie, ale nie mogą zbyt oddalać się od gór w południowym Tamulu ze względu na klimat. Po wstępnym wstrząsie wywołanym spotkaniem z trollami Scarpa zapewne spróbuje je wyminąć. - Mistrz pandionitów zerknął na mapę. - Musimy rozmieścić nasze siły tak, by mogły zaatakować zarówno Scarpę, jak i wojska cynesgańskie. Uważam, że najlepiej nadaje się do tego Samar.

- Sarna - nie zgodziła się Betuana.

- Oba - wtrącił Ulath. - Siły w Samarze kontrolują teren od południowego skraju gór Atanu aż po Morze Ardżuńskie. A jeśli Scarpa wyminie trolle, będą mogły zaatakować na wschód od południowych Gór Tamulskich. Wojska w Samie zablokują szlak prowadzący przez góry Atanu.

- Racja - poparł go Bevier. - To oznacza podział naszej armii, ale nie mamy zbyt wyboru.

- Moglibyśmy umieścić rycerzy i Peloich w Samarze, a piechotę atańską w Sarnie - dodał Tynian. - Niższa część doliny rzeki Samy świetnie nadaje się do ataku konnicy, a góry wokół miasta to idealny teren dla Atanów.

- Obie pozycje są defensywne - zaprotestował Engessa. - Wojen nie wygrywa się z pozycji defensywnych. Sparhawk i Vanion wymienili długie spojrzenia.

- Mielibyśmy najechać Cynesgę? - spytał z powątpiewaniem ten pierwszy.

- Jeszcze nie - zdecydował Vanion. - Zaczekajmy, póki nie zjawią się tu rycerze z Eosii. Kiedy Komier i pozostali wejdą do Cynesgi z zachodu, wówczas wkroczymy od wschodu. Weźmiemy Cyrгона w kleszcze. Wobec takich sił atakujących z obu stron może wskrzesić wszystkich Cyrgaich, jacy kiedykolwiek żyli, i nadal przegra.

- Aż do chwili, gdy uwolni Kisła - dodała melancholijnie Aphrael.

- Nie, o boska - nie zgodził się Sparhawk. - Bhelliom chce, by Cyrگون posłał przeciw nam Kisła. Jeśli przyjmiemy ten plan, zmusimy go do konfrontacji w miejscu i o czasie przez nas wybranych. Ustalimy lokalizację, Cyrگون uwolni Klaela, a ja Bhelliom. Potem pozostanie nam tylko siedzieć i czekać.

* * *

- Wejdziemy na szczyt muru tak samo jak trolle, Vanionie mistrzu - rzekł Engessa następnego ranka. - Potrafimy się wspinać równie dobrze.

- Nam może to zabrać nieco więcej czasu - dodał Tikume. - Będziemy musieli odpychać na boki głazy, by wprowadzić konie.

- Pomożemy wam, Tikume domi - przyrzekł Engessa.

- Zatem ustalone - podsumował Tynian. - Atani i Peloi udadzą się stąd na południe, aby zająć pozycje w Sarnie i Samarze. My zabierzemy rycerzy z powrotem na wybrzeże i Sorgi przewiezie nas do Matherionu. Stamtąd pojedziemy łodem.

- Właśnie to przewożenie najbardziej mnie niepokoi - oznajmił Sparhawk. - Sorgi będzie musiał zawracać dziesięć razy. Khalad westchnął i uniósł znacząco oczy.

- Rozumiem, że zaraz znów zawstydzisz mnie publicznie rzekł Sparhawk. - Co przeoczyłem?

- Tratwy, Sparhawk - odparł giermek ze znużeniem. - Sorgi zbiera tratwy, żeby zawieźć je na południe, na rynki drewna. Zamierza je spiąć razem w jeden długi pomost. Wsadź rycerzy na statki, konie na pomost i za jednym zamachem wszyscy popłyniemy do Matherionu.

- Zapomniałem o tratwach - przyznał Sparhawk z niemądrą miną.

- Ten pomost nie będzie się poruszał dość szybko - zauważył Uloth.

Xanetia z uwagą przysłuchiwała się ich rozmowie. Teraz spojrzała na Khalada i odezwała się cicho, niemal nieśmiało.

- Azali stały wiatr zza pleców pomógłby ci, młody panie? - spytała.

- O tak, Anarae - odparł z entuzjazmem Khalad. - Moglibyśmy upleść z gałęzi prymitywne żagle.

- Czy Cyrgon albo Kisi nie poczują, jak wywołujesz wiatr, droga siostrze? - spytała Sephrenia.

- Cyrgon magii delfickiej wykryć nie potrafi, Sephrenio - wyjaśniła Xanetia. - Anakha spytać Bhelliom może, azaliż Kisi także nieświadom pozostanie.

- Jak to robicie? - spytała ciekawie Aphrael. Xanetia sprawiała wrażenie lekko zakłopotanej.

- Ukryć nas to przed tobą i krewnymi twymi, o boska Aphrael, miało. Gdy Edaemus klątwę na nas rzucił, sprawił, by magia nasza przed wrogami ukryta była - za wrogów bowiem wonczas was uważaliśmy. Azali uraża cię to, o boska?

- Nie w tych okolicznościach, Anarae. - Flecik skoczyła w ramiona Xanetii i ucałowała ją serdecznie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Pomost z tratw skonstruowany przez marynarzy kapitana Sorgiego miał ćwierć mili długości i sto stóp szerokości. Większą jego część zajmowała ogromna zagroda. Olbrzymi ładunek chybotął się na falach, zmierzając wprost na północ pod groźnym chmurnym niebem, z którego atakowały ich wciąż nowe mroźne deszczowe szkwały. Było okropnie zimno i młodzi rycerze obsługujący tratwy opatulali się futrami. Większość czasu spędzali skuleni pod mizerną osłoną trzepoczących namiotów.

- Wszystko zasada się na pilnowaniu szczegółów, Bericie - oznajmił Khalad. Giermek Sparhawk mocował właśnie na miejscu linę, podtrzymującą prawy koniec jednego z zaimprovizowanych żagli. - Oto gdzie kryje się prawdziwa praca: w szczegółach. - Mrużąc oczy, obejrzał uważnie pokrytą lodem płataninę gałązek, bardziej przypominającą chroniący przed zaspami płot niż żagiel. - Sparhawk kreśli ogólne dalekosiężne plany, pozostawiając innym dbałość o detale. I dobrze, bo kiedy w grę wchodzi drobiazgi i prawdziwa praca, jest beznadziejnym niezdarą.

- Khaladzie! - słowa przyjaciela naprawdę wstrząsnęły Beritem.

- Widziałeś kiedyś, jak używa narzędzi? Nasz ojciec powtarzał nam do znudzenia: „Nigdy nie pozwólcie Sparhawkowi wziąć do ręki narzędzia. Kalten radzi sobie całkiem nieźle, ale Sparhawk to tragedia. Jeśli podasz mu cokolwiek związanego z uczciwą robotą, zrobi sobie tym krzywdę. - Khalad gwałtownie uniósł głowę i zaklął.

- Co się dzieje?

- Nie czujesz? Liny holownicze na bakburcie właśnie zwiotczały. Chodźmy obudzić marynarzy. Nie chcemy, żeby ta wielka krowa znów się odwróciła.

Dwaj odziani w futra młodzieńcy pomaszrowali po pokrytych lodem pniach połączonych tratw, omijając wielką zagrodę, w której konie zbijały się w grupki dla ochrony przed gryzącą lodowatą bryzą, wiejącą od rufy.

W teorii pomysł zbudowania pomostu z tratw brzmiał doskonale, lecz problemy związane ze sterowaniem okazały się znacznie bardziej złożone, niż przewidywali Sorgi czy Khalad. Starannie splecione przegrody z zielonych gałęzi spisywały się nieźle jako żagle, popychające martwy ciężar drewna na południe dzięki bryzie Xanetii, lecz statki Sorgiego miały dodatkowo holować pomost i tu właśnie zaczęły się kłopoty. Żaglowce nigdy nie poruszają się w identycznym tempie, nawet niesione tym samym wiatrem, toteż pięćdziesiąt statków z przodu i po dwadzieścia pięć po bokach musiało dokonywać nieustannych korekt

kursu, aby wielka tratwa poruszała się we właściwym kierunku. Wszystko szło dobrze, póki ktoś się nie zagapił. Dwa dni drogi na południe od muru Bhelliomu kilka rzeczy jednocześnie poszło nie tak i pomost przechylił się i skręcił. Zawiodły wszelkie wysiłki zmierzające do wyprostowania go, toteż musieli rozebrać całą konstrukcję i złożyć ją na nowo - koszmarne harówka, zwłaszcza na mrozie. Nikt nie chciał powtarzać tego doświadczenia.

Gdy dotarli na skraj pomostu, Berit wyjął spod peleryny po-wgniatany mosiężny róg i zadął w niego, okropnie fałszując, w stronę statku za bakburtą. Tymczasem Khalad podniósł żółtą flagę i zaczął wymachiwać nią gwałtownie. Wcześniej ustalone sygnały były bardzo proste: żółta flaga kazała statkom wciągnąć więcej żagli i napiąć hol, niebieska rzucić kotwicę i zaczekać, a czerwona - odrzucić wszystkie liny i zejść im z drogi.

Sznury napięły się ponownie, w miarę jak sygnał Khalada docierał od dowódców do prostych marynarzy, wykonujących najgorszą robotę.

- Jak ci się udaje mieć oko na wszystko? - spytał Berit. - I skąd tak szybko wiedziałeś, że coś jest nie tak?

- Przez ból - odparł cierpko Khalad. - Nie mam ochoty spędzić kilku dni na rozbieraniu tego potwora i składaniu go od nowa na tym deszczu, toteż zwracam uwagę na wszystko, o czym informuje mnie moje ciało. Zmiany można wyczuć nogami, podeszwami stóp. Gdy jedna z lin zwiotczała, zmieniła sposób poruszania ładunku.

- Czy istnieje coś, na czym się nie znasz?

- Niezbyt dobrze tańczę. - Khalad zmrużył oczy dla ochrony przed pierwszymi gryzącymi uderzeniami kolejnej fali deszczu ze śniegiem. - Czas nakarmić i napoić konie - rzekł. - Pogońmy nowicjuszy. Niech przestaną siedzieć i podziwiać własne tytuły i zabiorą się do roboty.

- Naprawdę nie lubisz arystokracji, prawda? - spytał Berit, gdy wędrowali wzdłuż krawędzi zagrody w stronę łopoczących na wietrze namiotów zakonnych nowicjuszy.

- Nie, to nie niechęć. Po prostu nie mam do nich cierpliwości i nie pojmuję, jak mogą być aż tak ślepi na to, co dzieje się wokół. Tytuł musi być naprawdę wielkim ciężarem, skoro jego nosiciele ignorują wszystko poza nim.

- Wiesz chyba, że sam także zostaniesz rycerzem.

- To nie mój pomysł. Sparhawk bywa czasem niemądry. Uważa, iż uczynienie rycerzy ze mnie i z moich braci uczci pamięć ' : naszego ojca. Z całą pewnością ojciec zaśmiewa się z tego do rozpuku.

- Dotarli do namiotów i Khalad uniósł głos.

- W porządku, panowie! - krzyknął. - Czas napoić i nakarmić zwierzęta. Do dzieła! -

Powiódł krytycznym wzrokiem po zagrodzie. Pięć tysięcy koni pozostawia mnóstwo dowodów swojej obecności. - Chyba nadszedł czas, by nasi nowicjusze odebrali następną lekcję błogosławionej pokory - szepnął do Berita.

Następnie znów uniósł głos. - A potem, kiedy skończycie, lepiej znów złapcie się za łopaty i taczki. Nie chcemy przecież, by przybywało nam pracy, prawda, panowie?

* * *

Berit nie zgłębił jeszcze wielu subtelniejszych form magii. Ta część szkolenia pandionitów trwała do końca życia. Posunął się jednak w swych naukach dostatecznie daleko, by poznać „ingerencje”, kiedy się z nimi zetknął. Pomost zdawał się pełznąć wolno na południe, lecz zmiany pór roku zdradziły prawdziwe tempo ich podróży. Po pierwsze, wyrwanie się z okowów mrozu dalekiej północy powinno potrwać znacznie dłużej. Po drugie, dni niemal w oczach stawały się coraz dłuższe.

Jakkolwiek się to działo i ktokolwiek był tego sprawcą, pewnym późnym popołudniem złocistego jesiennego dnia, znacznie wcześniej, niż powinni się tam znaleźć, wylądowali na piaszczystej plaży kilka mil na północ od Matherionu i zaczęli sprowadzać konie z chybottliwych tratw.

- Krótka wycieczka - zauważył lakonicznie Khalad. Razem z Beritem obserwowali wylądunek zwierząt.

- Zauważyłeś! - zaśmiał się Berit.

- Nie byli przesadnie subtelni. Kiedy w ciągu minuty morska piana przestała zamarać mi w brodzie, zacząłem żywić pewne podejrzenia. Czy bardzo trudno nauczyć się magii? - spytał.

- Sama magia to nie problem. Najgorsza jest nauka języka styrickiego. Styricy nie znają żadnych regularnych czasowników. Wszystkie są nieregularne i mają dziewięć czasów.

- Berit, mów po eleńsku.

- Wiesz, co to jest czasownik, prawda?

- Mniej więcej, ale czas?

O dziwo, Berit poczuł się jakby lepiej. A jednak Khalad nie wiedział wszystkiego.

- Popracujemy nad tym. Może Sephrenia poczyni kilka sugestii.

Słońce nieciło na niebie łuny intensywnych barw, gdy przejechali przez opalizujące bramy i znaleźli się w Matherionie o ognistych kopułach. Zanim dotarli do zespołu pałacowego, zapadał już zmrok.

- Co się dzieje ze wszystkimi? - mruknął Khalad, przejeżdżając przez bramę.

- Nie rozumiem - przyznał Berit.

- Gdzie twoje oczy, człowieku? Ci strażnicy patrzyli na Sparhawk, jakby spodziewali się, że zaraz wybuchnie albo zamieni się w smoka. Dzieje się coś dziwnego, Bericie.

Oddział rycerzy kościoła przeciął pograżony w mroku trawnik, zmierzając do koszar, podczas gdy reszta grupy skierowała się w stronę mostu zwodzonego zamku Ehlany.

Zeskoczyli z wierzchowców na oświetlonym pochodniami dziedzińcu i wkroczyli do środka.

- Tu jest jeszcze gorzej - mruknął Khalad. - Trzymajmy się blisko Sparhawk na wypadek, gdybyśmy musieli go unieruchomić. Rycerze przy moście patrzyli na niego z prawdziwym lękiem.

Wspięli się po schodach do apartamentu królewskiego. Mirtai nie zajmowała swego zwykłego posterunku przy drzwiach i to jeszcze bardziej zaniepokoiło Berita. Khalad miał rację. Coś tu było wyraźnie nie w porządku.

Cesarz Sarabian, odziany w swą ulubioną fioletową tunikę i nogawice, nerwowo krążył po wyściełanym błękitnym aksamitem salonie. Na widok zbliżającego się Sparhawk i Vaniona skulił się lekko.

- Wasza wysokość - powitał go Sparhawk, skłaniając głowę. - Dobrze jest znów cię widzieć. - Rozejrzał się. - Gdzie Ehlana? - spytał, kładąc hełm na stole.

- Ummm - jedną chwileczkę, Sparhawk. Jak wam poszło na Przylądku Północnym?

- Mniej więcej tak jak planowaliśmy. Cyrgon nie dowodzi już trollami, ale natknęliśmy się na inny problem, może nawet gorszy.

- Ach tak?

- Opowiemy o wszystkim, gdy dołączy do nas Ehlana. Nie jest to zbyt przyjemna historia i wolałbym jej nie powtarzać. Cesarz posłał ministrowi Oscagnemu bezradne spojrzenie.

- Porozmawiajmy z baronową Melidere, księżę Sparhawk - zaproponował Oscagne. - Coś się tu zdarzyło. Była przy tym obecna, toteż lepiej niż my odpowie na twoje pytania. , - W porządku. - Głos ani twarz Sparhawk nie zdradzały niepokoju, mimo że nerwowość Sarabiana i uniki Oscagne'a świadczyły wyraźnie, iż stało się coś niedobrego.

* * *

Baronowa Melidere siedziała na łóżku. Miała na sobie wdzięczny błękitny szlafrok,

lecz spory bandaż na jej lewym ramieniu stanowił dobitny dowód ciężkich przeżyć. Była blada, ale jej oczy patrzyły zimno i spokojnie. Odziany w białą satynową tunikę Stragen siedział u boku baronowej, nie spuszczać z niej zatroskanego spojrzenia.

- No, wreszcie! - westchnęła Melidere. Jej głos zabrzmiał dźwięcznie i rozsądnie. Posłała miążdzące spojrzenie cesarzowi i jego doradcom. - Widzę, że nasi odważni panowie uznali, że to ja powinnam powiedzieć ci, co tu zaszło, księżę Sparhawku. Postaram się streszczać. Pewnej nocy kilka tygodni temu królowa, Alean i ja szykowałyśmy się do snu. Ktoś zapukał do drzwi i do środka weszło czterech mężczyzn, których wzięliśmy za Peloiich. Mieli ogolone głowy i pelojskie stroje, ale nie byli Peloiimi. Jeden z nich okazał się Kragerem. Pozostali trzej Elronem, baronem Parokiem i Scarpą.

Sparhawk nawet nie drgnął; jego twarz nie zmieniła wyrazu.

- I co dalej? - spytał bez śladu emocji.

- Widzę, że postanowiłeś zachować rozsądek - odparła chłodno Melidere. - To dobrze. Wymieniliśmy kilka zniewag, a potem Scarpą kazał Elronowi mnie zabić - tylko po to, by udowodnić królowej, że nie żartuje. Kiedy Elron mnie zaatakował, odbiłam pchnięcie przegubem. Upadłam na ziemię i wysmarowałam się krwią, żeby wyglądało, iż nie żyję. Ehlana rzuciła się na mnie, udając atak hysterii, w rzeczywistości jednak widziała, co zrobiłam. - Baronowa wyjęła spod poduszki pierścień z rubinem. - To dla ciebie, księżę Sparhawku. Twoja żona schowała go w moim staniku. Kazała mi też coś ci powtórzyć: „Powiedz Sparhawkowi, że nic mi się nie stało i że zabraniam mu oddać Bhelliom, nieważne, czym mi zagrożą”. Tak dokładnie brzmiały jej słowa. Potem nakryła mnie kocem.

Sparhawk odebrał od niej pierścień i wsunął go do na palec.

- Rozumiem - rzekł spokojnie. - Co się stało potem, baronowo?

- Scarpą poinformował twoją żonę, że wraz z przyjaciółmi zabierają ją i Alean jako zakładniczki. Oznajmił, iż jesteś do niej tak głupio przywiązany, że w zamian za jej bezpieczny powrót oddasz mu wszystko. Niewątpliwie zamierza wymienić ją za Bhelliom. Krager miał gotowy list. Odciął pukiel włosów Ehlany i dołączył do niego. Domyślam się, iż dostaniesz kolejne listy, a w każdym z nich kosmyk jej włosów, swoisty dowód autentyczności. Potem zabrali Ehlanę i Alean i wyszli.

- Dziękuję, baronowo. - Sparhawk nadal nie tracił panowania nad sobą. - Okazałaś zdumiewającą odwagę. Czy mógłbym dostać list?

Melidere znów sięgnęła pod poduszkę, wyjęła złożony i zapieczętowany kawałek pergaminu i podała mu.

Od chwili gdy ujrzał ją po raz pierwszy siedzącą na tronie i zamkniętą w kryształach,

Berit kochał swoją królową, choć nigdy nie wspomniał jej o tym fakcie. Rzecz jasna, w jego życiu pojawią się jeszcze inne miłości, ona jednak na zawsze pozostanie pierwsza. Toteż gdy Sparhawk przełamał pieczęć, rozłożył pergamin i łagodnie ujął w dłoń długi pukiel jasnozłocistych włosów, umysł Berita nagle eksplodował. Jego palce zacisnęły się wokół drzewca bojowego topora. Khalad ujął go za rękę i Berit przelotnie zdumiał się, jak silny tamten ma uchwyt.

- To na nic się nie zda, Bericie - rzekł trzeźwo. - Lepiej oddaj mi ten topór, zanim zrobisz coś głupiego.

Berit odetchnął głęboko, ze świstem wciągając powietrze, i otrząsnął się z nagłej furii.

- Przepraszam, Khaladzie - rzekł. - Na moment przestałem nad sobą panować. Już mi lepiej. - Spojrzał na przyjaciela. - Sparhawk pozwolił ci zabić Kragera, prawda?

- Tak twierdzi.

- Nie przydałaby ci się pomoc?

Khalad obdarzył go szybkim uśmiechem.

- Zawsze miło jest mieć towarzystwo, kiedy robi się coś, co może potrwać kilka dni - rzekł.

Sparhawk szybko przeczytał liścik. W dłoni nadal trzymał lok jasnych włosów Ehlany. Berit dostrzegł, jak potężny pan-dionita gwałtownie zaciska szczęki. Sparhawk podał liścik Vanionowi.

- Przeczytaj im go - rzekł beznamiętnie.

Vanion przytaknął i odchrząknął.

- No cóż, Sparhawk - zaczął. - Przypuszczam, że minął ci już pierwszy atak furii. Mam nadzieję, że nie zabiłeś zbyt wielu ludzi, którzy mieli strzec twojej żony.

Obawiam się, że sytuacja jest boleśnie oczywista. Wzięliśmy Ehlaną jako zakładniczkę. Będziesz zachowywał się bez zarzutu, - prawda, stary druhu? I oczywiście nie muszę wyjaśniać, że możesz ją odzyskać w zamian za Bhelliom i pierścienie. Damy ci kilka dni, żebyś się wyzłościł i próbował znaleźć jakieś wyjście. Potem, gdy wróci ci rozsądek i pojmiesz, że nie masz innego wyboru niż robić to, co ci każemy, przyślę ci kolejny list z dokładniejszymi rozkazami. Bądź tak miły i wypełnij je co do joty. Nie chciałbym zostać zmuszony do zabicia twojej żony, więc nie próbuj żadnych sztuczek. Bądź zdrow, Sparhawk, i czekaj na mój następny list. Zorientujesz się, że jest ode mnie, bo ozdobię go kolejnym puklem włosów Ehlany. Przeczytaj go uważnie, jeśli bowiem nasza korespondencja się przeciągnie, twojej żonie zabraknie włosów i będę musiał zacząć używać palców”.

- Podpisano „Krager” - zakończył Vanion.

Kalten, z twarzą stężałą z gniewu, rąbnął pięścią w ścianę.

- Wystarczy! - warknął Vanion.

- Co my zrobimy? - spytał ostro Kalten. - Musi być jakieś wyjście.

- Na pewno nie rzucimy się na oślep na głęboką wodę - odparł mistrz zakonu.

- Gdzie jest Mirtai? - w głosie Kringa zabrzmiał nagły niepokój.

- Nic jej nie jest, domi - zapewnił go Sarabian. - Kiedy odkryła, co się stało, trochę się zdenerwowała.

- Trochę? - mruknął Oscagne. - Trzeba było dwunastu chłopów, by ją uspokoił. Jest w swoim pokoju, domi Kringu - przykuta do łóżka. Postawiliśmy tam też strażników, żeby nie pozwolili jej zrobić sobie krzywdy.

Kring gwałtownie zawrócił na pięcie i wypadł z sypialni Melidere.

- Męczymy panią, prawda, baronowo? - spytał cesarz.

- Ależ nie, wasza wysokość - odparł chłodno i rozejrzała się po zebranych. - Nieco tu tłoczno. Może przejdziemy do salonu? Przypuszczam, że spędzimy tam większą część nocy, toteż równie dobrze możemy wygodnie usiąść. - Odrzuciła kołdrę i zaczęła się podnosić.

Stragen podtrzymał ją łagodnie i podniósł.

- Mogę chodzić, Stragenie - zaprotestowała.

- Nie w mojej obecności. - Zwykła uprzejmość Stragena, połączona z ironicznym rozbawieniem, zniknęła, zastąpiona starannie kontrolowaną lodowatą furią. - Jeszcze jedno, panowie - rzekł. - Kiedy dopadniemy tych ludzi, Elron jest mój. Będę bardzo zirytowany, jeśli ktoś przypadkiem go zabije.

W oczach baronowej Melidere odbiło się zadowolenie. Gdy oparła głowę na barkach Stragena, na jej wargi wypłynął przelotny uśmiezek.

* * *

Caalador czekał na nich w salonie. Jego kolana i łokcie pokrywało błoto, we włosach miał pajęczyny.

- Znalazłem go, wasza wysokość - zameldował cesarzowi. - Jego wylot znajduje się w koszarach wykorzystywanych przez rycerzy kościoła. - Spojrzał pytająco na Sparhawk. - Słyszałem, że wróciliście - rzekł. - Tymczasem zdołaliśmy zebrać trochę informacji.

- Doceniam to, Caaladorze - odparł Sparhawk. Niemal nieludzki spokój potężnego pandionity jeszcze bardziej denerwował pozostałych.

- Stragen był nieco rozkojarzony po tym, co spotkało baronową - oznajmił Caalador -

toteż musiałem zdać się tylko na siebie. Podjąłem pewne dość bezpośrednie kroki. Pomysł wyszedł ode mnie, więc nie wińcie go za to.

- Nie musisz tego robić, Caaladorze - rzekł Stragen, starannie opatrując kocem Melidere. - Nie uczyniłeś nic, czego bym nie aprobował.

- Rozumiem, że poląła się krew - podsumował Ulath.

- Może zacznę od początku. - Caalador przeczesał palcami włosy próbując pozbyć się pajęczyn. - Jeden z ludzi, których zamierzaliśmy zabić podczas Święta Plonów, zdołał uciec zabójcom. Przysłał mi wiadomość, proponując pewne informacje w zamian za darowanie życia. Zgodziłem się i powiedział coś, o czym nie miałem pojęcia. Wiedzieliśmy, że pod trawnikami zespołu pałacowego biegną tunele, lecz nie zdawaliśmy sobie sprawy, iż ich sieć rozciąga się na całe miasto. Właśnie w ten sposób Krager i jego przyjaciele dostali się do środka i tą drogą uprowadzili królową i pokojówkę.

- Mości Caaladorze, zechciej wstrzymać się chwilę - wtrąciła Xanetia. - We wspomnienia ministra spraw wewnętrznych wejrzałam i o tunelach takowych wiedzy żadnej nie znalazłam.

- Nietrudno to wyjaśnić, Anarae - powiedział patriarcha Em-ban. - Ambitni podwładni często miewają sekrety przed swoimi przełożonymi. Teovin, szef tajnej policji, prawdopodobnie miał ochotę na stanowisko Kolaty.

- Zapewne tak właśnie było, wasza świętobliwość - zgodził się Caalador. - W każdym razie mój informator znał położenie 'części tuneli. Natychmiast posłałem ludzi na dół w poszukiwaniu kolejnych i zacząłem przesłuchiwać różnych członków tajnej policji, których udało nam się schwytać. Moje metody były dość bezpośrednie, toteż ci, którzy przeżyli przesłuchanie, z radością zgodzili się na współpracę.

W noc, kiedy uprowadzono królową, w tunelach zaroilo się od ludzi. Dyplomaci zaszyli w ambasadzie cynesgańskiej wiedzieli o planie porwania i zdawali sobie sprawę, że gdy tylko odkryjemy zniknięcie królowej, rozwalimy ich mury. Próbowali uciec tunelami, ja jednak rozstawiłem już tam swoich ludzi. Doszło do licznych hałaśliwych potyczek i schwytaliśmy bądź zabiliśmy cały personel ambasady. Sam ambasador przeżył i pozwoliłem mu obserwować przesłuchania kilkunastu podsekretarzy. Bardzo lubię królową Ehlanę, toteż potraktowałem ich dość obcesowo. - Spojrzał na Sephrenię. - Chyba nie będę zagłębiał się w szczegóły - dodał.

- Dziękuję - mruknęła Styriczka.

- Ambasador nie wiedział zbyt wiele - ciągnął przepaszającym tonem Caalador - powiedział mi jednak, że Scarpa z przyjaciółmi kierują się na południe. Mógł to być fałszywy

trop, ale pewności nie mamy. Jego wysokość polecił zamknąć porty w Mi-cae i Saranth, na wszelki wypadek rozesłał też atańskie patrole na gościniec z Tosa na wybrzeże. Jak dotąd nie mieliśmy żadnych wieści. Wygląda na to, że Scarpa albo nas wyprzedził, albo ukrył się w jakiejś dziurze.

Drzwi otwarły się i dołączył do nich Kring. Jego twarz miała ponury wyraz.

- Rozkułeś ją? - spytał Tynian.

- W tej chwili to nie najlepszy pomysł, przyjacielu Tynianie. Uważa, że jest osobiście odpowiedzialna za porwanie królowej, i chce się zabić. Zabrałem z pokoju wszystkie ostre przedmioty, ale nie sądzę, by można było bezpiecznie uwolnić ją z kajdan.

- Odebrałeś jej też łyżkę? - wtrącił Talen. Oczy Kringa rozszerzyły się.

- O Boże! - krzyknął, rzucając się w stronę drzwi.

* * *

- Gdyby tylko zaczął wrzeszczeć, walić pięścią w ścianę czy coś takiego - mruknął Berit do Khalada następnego ranka, kiedy ponownie zgromadzili się w błękitnym salonie. - Ale on tylko tam siedzi.

- Sparhawk zawsze był skryty - odparł Khalad.

- Mówimy tu o jego żonie, Khaladzie! Siedzi jak kloc. Czy w ogóle nie ma żadnych uczuć?

- Oczywiście, że ma, ale nie zamierza machać nam nimi przed oczami. W tej chwili musi przede wszystkim myśleć, a nie czuć. Słucha i składa elementy w jedną całość. Uczucia zachowuje na chwilę, gdy dostanie w swoje ręce Scarpę.

Sparhawk tkwił w fotelu z córką na kolanach. Zdawało się, iż z roztargnieniem przygląda się podłodze, gładził też odruchowo kotkę księżniczki Danae.

Pan Vanion opowiadał cesarzowi i pozostałym o Klaelu i o strategicznym rozmieszczeniu ich własnych sił - trolle w Górach Tamulskich w południowym Tamulu właściwym, Atani w Sarnie, Peloi Tikumego w Samarze.

Flecek przycupnęła spokojnie na kolanach Sephrenii. Nagle Berit dostrzegł coś, co wcześniej umykało jego uwadze. Zerknął najpierw na księżniczkę Danae, a potem na boginię-dziecko. Wyglądały na rówieśniczki, a ich postawa i zachowanie z niewiadomych przyczyn były niemal identyczne.

Obecność bogini-dziecka wywierała osobliwy wpływ na cesarza Sarabiana. Błyskotliwy i niestały władca kontynentu zdawał się oszołomiony jej odwiedzinami. Siedział

w bezruchu, wpatrując się w nią okrągłymi oczami. Twarz miał bladą i najwyraźniej nie słyszał ani jednego słowa pana Vaniona.

W końcu Aphrael obróciła się i odpowiedziała mu długim spojrzeniem. Następnie powoli zrobiła okropnego zeza.

Cesarz patrzył oszołomiony.

- Czy matka nie nauczyła cię, że nieuprzejmie jest się gapić, Sarabianie? - spytała Aphrael.

- Pamiętaj o swoich manierach - upomniała ją Sephrenia.

- Ma mnie słuchać. Gdybym pragnęła uwielbienia, kupiłabym sobie szczeniaka.

- Wybacz, bogini Aphrael - przeprosił cesarz. - Rzadko odwiedzają mnie bogowie. - Przyjrzał jej się uważnie. - Mam nadzieję, że nie urazi cię to, co powiem, ale bardzo przypominasz córkę księcia Sparhawk. Czy kiedykolwiek spotkałaś jej królewską wysokość?

Sparhawk gwałtownie uniósł wzrok. W jego oczach rozbłysła dziwna iskierka.

- Skoro już o tym wspomniałaś, to nie, nie wydaje mi się - odparła Flecik i popatrzyła na bawiącą się w przeciwległym kącie pokoju księżniczkę. Berit zauważył, iż oczy Sephrenii także rozbłysły szaleńczo, gdy Flecik zsunęła się jej z kolan i ruszyła przez pokój w stronę fotela Sparhawk. - Cześć, Danae - powiedziała bogini-dziecko lekkim tonem.

- Cześć, Aphrael - odparła księżniczka niemal z tą samą intonacją. - Zamierzasz coś zrobić, żeby sprowadzić moją mamę do domu?

- Pracuję nad tym. Dopilnuj ojca, żeby znowu się nie podniecał. Na nic nam się nie przyda, jeśli ze złości eksploduje i będziemy musieli pozbierać do kupy wszystkie jego kawałki.

- Wiem. Zrobię, co będę mogła. Chciałabyś potrzymać moją kotkę?

Flecek zerknęła na Mmrr, której oczy wpatrywały się w nią z wyrazem absolutnej grozy.

- Chyba mnie nie lubi - odmówiła.

- Dopilnuję mojego ojca - zapewniła boginię Danae. - Ty zajmij się pozostałymi.

- W porządku - Aphrael urwała. - Chyba się dogadamy - rzekła. - Nie masz nic przeciwko temu, żeby odwiedzała cię od czasu do czasu?

- Jasne, Aphrael.

Działo się coś bardzo dziwnego. Co prawda Berit nie dostrzegł nic niezwykłego w rozmowie obu dziewczynek, lecz wyraz twarzy Sparhawk - i Sephrenii - wyraźnie wskazywał, że coś wstrząsnęło nimi do głębi. Berit od niechcienia rozejrzał się wokół.

Wszyscy pozostali patrzyli na to spotkanie z lekko pobłażliwymi uśmiezkami - to jest wszyscy oprócz pana Vaniona i Xanetii. Ich oblicza były równie spięte jak Sparhawk i styryckiej czarodziejki. Najwyraźniej zdarzyło się właśnie coś szot kującego, lecz Berit żadną miarą nie potrafił zrozumieć co.

* * *

- Chyba nie powinniśmy odrzucać tej możliwości - oznajmił z powagą Oscagne. - Baronowa Melidere raz po raz demonstrowała, że ma nader przenikliwy umysł.

- Dziękuję, ekscelencjo - odparła słodko Melidere.

- To nie miał być komplement, baronowo - odparł chłodno Tamul. - Twoja bystrość stanowi atut, który można wykorzystać w obecnej sytuacji. Ty widziałas Scarpę, my nie. Naprawdę uważasz, że jest szalony?

- Tak ekscelencjo, całkiem szalony. Przekonało mnie o tym nie tylko jego zachowanie. Krager i pozostali traktowali go niczym żywą kobrę. Przeraza ich.

- To doskonale pasuje do raportów, które przysłali mi złodzieje z Ardżuny - zgodził się Caalador. - Kiedy ludzie opowiadają o szaleńcach, zazwyczaj mocno przesadzają, ale o tym fakcie wspominał każdy kolejny meldunek.

- Jeśli próbujesz pocieszyć Sparhawk'a i mnie, to dziwnie się do tego zabierasz, Caaladorze - rzucił oskarżycielsko Kalten. - Sugerujesz, że kobiety, które kochamy, są więźniarkami wariata. Może im zrobić wszystko.

- Nie jest to aż tak złe, na jakie wygląda, panie Kaltenie - odparł Oscagne. - Jeśli Scarpa zwariował, czy porwanie nie mogło być jego własnym pomysłem? Wówczas rozwiązanie nasuwa się samo. Książę Sparhawk wysłucha dokładnie otrzymanych instrukcji, a kiedy Scarpa pojawi się z królową Ehlaną i Alean, jego wysokość po prostu poda mu Bhelliom. Wszyscy wiemy, co wtedy stanie się ze Scarpa.

- Kojarzysz szaleństwo z niedorozwojem umysłowym, Oscagne - nie zgodził się Sarabian - a jedno niekoniecznie musi iść w parze z drugim. Zalasta wie, że pierścienie ochronią go, jeżeli kiedykolwiek dostanie w swe ręce Bhelliom, a jeśli jemu o tym wiadomo, musimy przyjąć, iż Scarpie także. Zanim spróbuje dotknąć klejnotu, z pewnością zażąda pierścieni.

- Mamy zatem trzy możliwości - podsumował patriarcha Em-ban. - Cyrgon polecił Zalaście zaaranżować porwanie, Zalasta sam wpadł na ten pomysł albo też Scarpa jest tak szalony, iż uważa, że może po prostu wziąć w rękę Bhelliom i bez żadnych nauk czy

przygotowań zacząć wydawać mu rozkazy.

- Istnieje jeszcze jedna ewentualność, wasza świątobliwość - wtrącił Ulath. - Kisi mógł już przejąć władzę. Wówczas byłby to jego sposób zmuszenia Bhelliomu do rozpoczęcia zwyczajowej walki.

- Czy w tej chwili robi to jakąkolwiek różnicę? - spytał Sparhawk. - Nie dowiemy się, czyj to pomysł, póki ów ktoś nie pokaże się, by dokonać wymiany.

- Powinniśmy przygotować zawczasu jakiś plan, książę Sparhawku - zauważył Oscagne. - Zawsze lepiej jest przemyśleć każdą sytuację, abyśmy wiedzieli, co mamy robić.

- Ja już wiem, co zrobię, ekscelencjo - odparł złowieszczo Sparhawk.

- W tej chwili nic. - Vanion szybko zmienił temat. - Pozostaje nam jedynie czekać na list od Kragera.

- Istotnie - zgodził się Ulath. - Krager przekaże nam instrukcje dla Sparhawk. Być może z nich uda nam się wyczytać, kto wpadł na pomysł porwania.

* * *

- Ty też to zauważyłeś, prawda? - rzekł Berit do Khalada tego wieczoru, gdy obaj szykowali się do snu.

- Co zauważyłem?

- Nie udawaj niewiniątka, Khaladzie. Widzisz wszystko, co dzieje się wokół ciebie. Nic ci nie umyka. Kiedy Flecik i Danae rozmawiały ze sobą, Sparhawk i Sephrenia zachowywali się bardzo dziwnie.

- Owszem - przyznał spokojnie Khalad. - I co z tego?

- Nie jesteś ciekaw dlaczego?

- Czy przyszło ci do głowy, że to zapewne nie nasza sprawa? Berit zignorował słowa przyjaciela.

- Widziałeś, jak bardzo są podobne do siebie? Khalad wzruszył ramionami.

- Ty jesteś fachowcem od dziewczyn.

Berit zarumienił się nagle, w duchu przeklinając się za to.

- To nie sekret, wiesz chyba - ciągnął Khalad. - Cesarzową Elyssoun łatwo przejrzeć. Nie ukrywa swych uczuć, podobnie jak... - no, wiesz.

- To dobra dziewczyna - Berit natychmiast stanął w jej obronie. - Tyle że jej rodacy nie znają czegoś takiego jak nasza moralność. Nie potrafią nawet pojąć idei wierności.

- Nie ciskam w nią kamieniami. Jeśli jej zachowanie nie niepokoi męża, to mnie z

pewnością także. Jestem chłopakiem ze wsi, pamiętasz? Dla nas takie rzeczy są bardziej oczywiste.

Na twoim miejscu, Bericie, nie przywiązywałbym się do niej zanadto. Wkrótce znajdzie sobie nowego adoratora.

- Już to zrobiła. Nie chce jednak zrywać naszej przyjaźni. Pragnie obdzielać nią mnie i jego - oraz z pół tuzina innych, o których wcześniej zapomniała wspomnieć.

- Temu światu przyda się więcej przyjaźni, Bericie. - Khalad uśmiechnął się szeroko. - Gdyby ludzie traktowali się bardziej przyjacielsko, nie znalazłbyśmy wojen.

* * *

List od Kragera przyszedł dwa dni później. Jego autentyczność potwierdzał kolejny pukiel włosów Ehlany. Myśl o obleśnym pijaku obcinającym złociste włosy królowej z niewiadomych przyczyn rozwścieczyła Berita. Vanion ponownie przeczytał głośno list, podczas gdy Sparhawk siedział z boku, łagodnie gładząc w palcach pukiel włosów żony.

„Sparhawk, stary druhu - zaczynał się list. - Nie masz chyba nic przeciw temu, żebym tak cię nazywał? Zawsze zadziwiał mnie sposób, w jaki wymawiał to Martel, kiedy wszystko szło po jego myśli. Prawdę mówiąc, była to jedyna rzecz, jaką w nim podziwiałem.

Ale dość już miłych wspomnień. Czeka cię wycieczka, Sparhawk. Chcemy, abys zabrał giermka i wybrał się szlakiem lądowym do Beresy w południowo-wschodniej Ardżunie. Będziesz obserwowany, więc nie zbaczaj z drogi. Nie pozwól, by Kalten i pozostałe małpiszony jechali za tobą, nie ukrywaj w kieszeni Sephrenii, zamienionej w mysz albo pchłę, i absolutnie nie używaj Bhelliomu - nawet do rozpalenia ognisk. Wiem, że możemy liczyć na twoją całkowitą współpracę, stary druhu. A jeśli złamiesz zasady, nigdy już nie ujrzysz Ehlany żywej.

Zawsze miło się z tobą rozmawia, Sparhawk, zwłaszcza teraz, gdy to ty masz związane ręce. Weź Khalada i Bhelliom i jedź do Beresy. Tam dostaniesz kolejne instrukcje.

Z wyrazami sympatii, Krager”.

ROZDZIAŁ TRZECI

Wciąż tylko rozmawiali i rozmawiali, a każde „może”, „zapewne”, „prawdopodobnie”, czy wreszcie „z drugiej strony” sprawiało, że Sparhawk miał ochotę zgrzytać zębami. Wszystko to były jedynie czyste spekulacje, bezużyteczne zgadywanki, nie kończąca się gadanina, jakże odległa od sensu całej sprawy! Siedział nieco z boku, trzymając w dłoni pukiel jasnych włosów. Kosmyk wydawał mu się niemal żywy; owijał się wokół palców rycerza, pieszcząc je miękko.

Oczywiście wszystko to działo się wyłącznie z jego winy. Nie powinien był pozwolić Ehlanie na przyjazd do Tamuli. Problem jednak sięgał głębiej. Ehlanie od urodzenia groziło niebezpieczeństwo i zawsze z jego powodu, dlatego, że był Anakhą. Xa-netia twierdziła, iż Anakhą jest niezwyciężony, myliła się jednak. Można go zranić tak jak każdego żonatego mężczyznę. Poślubiając Ehlaną, natychmiast wystawił ją na ryzyko, na które będzie narażona aż do swej śmierci.

Nigdy nie powinien był jej poślubić. Kochał ją, oczywiście, ale czy narażanie stanowiło dowód miłości? W duchu przeklinał słabość, która sprawiła, że zgodził się choćby rozważyć ten bezsensowny pomysł, gdy pierwszy raz poruszyła ten temat. Był żołnierzem, a żołnierze nie powinni się żenić - zwłaszcza starzy, sfatygowani weterani, mający za sobą zbyt wiele bitew, a wokół zbyt wielu wrogów. Czy okazał się samolubnym głupcem -odrażającym starym lubieżnikiem, gotowym wykorzystać niemądre zadurzenie młodej dziewczyny? Co prawda Ehlana oznajmiła stanowczo, iż umrze, jeśli za niego nie wyjdzie, on jednak wiedział, że to niemożliwe. Ludzie umierają od ciosów miecza w brzuch albo ze starości, ale nigdy z miłości. Powinien był zaśmiać jej się w twarz i odmówić wykonania tego absurdalnego rozkazu. Wówczas mógłby zaaranżować stosowne małżeństwo, wydać ją za młodego przystojnego szlachcica o nienaganych manierach i bezpiecznych nawykach. Gdyby tak zrobił, w tej chwili przebywałaby bezpiecznie w Cimmurze, miast znaleźć się w rękach szaleńców, czarodziejów-odstępców i obcych bogów, których w ogóle nie obchodziło jej życie.

A oni wciąż gadali. Po co strzępili sobie języki? Nie miał przecież żadnego wyboru. Sparhawk posłucha poleceń, ponieważ zależy od tego życie Ehlany. Pozostali z pewnością będą się z nim spierać, a dyskusje jedynie go zirytują. Zapewne najlepiej byłoby zabrać Bhelliom i Khalada i wymknąć się z Matherionu, nie dając im szansy doprowadzenia go do szału bezsensowną paplaniną.

Dopiero powiew wiosennego wietrzyku na policzku i łagodne muśnięcie przebudziły go z ponurej zadumy.

- Przeszkadzać ci w rozmyślaniach twych, panie rycerzu, nie było moim zamiarem - przeprosiła biała łania - lecz pani ma pragnie z tobą pomówić.

Sparhawk rozejrzał się ze zdumieniem. Nie siedział już w błękitnym salonie matheriońskiego zamku, a głosy jego towarzyszy ucichły w dali, zastąpione łagodnym szmerem fal na złotym piasku. Jego krzesło stało na marmurowej posadzce świątyni Aphrael, położonej na małej wysepce, wyłaniającej się z morza niczym klejnot. Wietrzyk wiał pod tęczowym niebem, a starożytne dęby otaczające alabastrową świątynię szumiały cicho.

- Zapomniałeś mnie tedy - upomniała go łagodna biała istota. W jej wilgotnych oczach dostrzegł lekki smutek.

- Nigdy - odparł. - Pamiętać będę cię zawsze, drogie me stworzenie, jako i czas, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. -Kwieciste frazy same napływały mu do ust.

Łania westchnęła radośnie i położyła mu śnieżnobiałą głowę na kolanach. Sparhawk pogładził wygiętą szyję zwierzęcia i rozejrzał się.

Bogini-dziecko Aphrael, odziana w białą szatę i otoczona jaśniejącym nimbem boskości siedziała spokojnie na gałęzi jednego z pobliskich dębów. Uniosła do ust swój flet i zagrała niemal szyderczą frazę.

- Co ty znowu wyprawiasz, Aphrael?! - zawołał Sparhawk, z rozmysłem odrzucając uroczysty ton, który sam mu się nasuwał.

- Uznałam, że może zechcesz porozmawiać - odparła, opuszczając flet. - Chyba że potrzebujesz czasu na jeszcze trochę samoudręczeń? Chciałbyś może bicz, żeby móc się poumartwiać? Nie spiesz się, ojczu. Ta chwila potrwa tak długo, jak zechcę. - Bogini wyciągnęła powalaną sokiem z trawy stopkę, postawiła ją w pustym powietrzu i spokojnie zesłała nieistniejącymi schodami na alabastrową posadzkę świątyni. Usiadła na niej, skrzyżowała nogi w kostkach i uniosła flet do ust. - Czy masz coś przeciw temu, żebym zagrała?

- Co ty właściwie wyprawiasz? - spytał. Wzruszyła ramionami.

- Znow ta tajemnicza potrzeba wynajdowania sobie pokuty! Tyle że dziś nie ma na to czasu. Nie byłabym boginią, gdybym nie potrafiła zadowolić różnych potrzeb naraz. - Sięgnęła po flet. - Masz jakieś ulubione melodie, których chciałbyś posłuchać?

- Mówisz poważnie, prawda? B s n - Owszem. - Ponownie zagrała kilka nut.

Sparhawk przez chwilę patrzył na nią z wściekłością, wreszcie się poddał.

- Możemy o tym pomówić? - spytał.

- A zatem wrócił ci rozum? Już? Zdumiewające. Rycerz rozejrzał się po wyspie.
- Gdzie jest to miejsce? - spytał ciekawie. Bogini-dziecko wzruszyła ramionami.
- Gdziekolwiek zechcę. Zabieram je ze sobą wszędzie, dokąd się udaję. Czy naprawdę myślałeś poważnie o tym wszystkim, Sparhawku? Rzeczywiście zamierzasz złapać Bhelliom, chwycić Khalada za kark, wskoczyć na grzbiet Farana i spróbować pojechać w trzy strony naraz?

- Vanion i pozostali wciąż tylko gadają, Aphrael, a gadanina do niczego nas nie doprowadzi.

- Rozmawiałeś z Bhelliomem o twoim pomysle?

- Ta decyzja należy do mnie, Aphrael. Ehlana jest moją żoną.

- Cóż za odwaga, Sparhawku! Podejmujesz decyzję dotyczącą Bhelliomu, nie zasięgając nawet jego opinii. Niech cię nie zmyli jego pozorna uprzejmość, ojczu. To tylko odbicie archaicznej mowy. Bhelliom nie zrobi czegoś, jeśli wie, że jest to złe, nieważne, jak bardzo użalałbyś się nad sobą. A gdybyś zanadto się upierał, może postanowić stworzyć nowe słońce - jakieś sześć cali od twojego serca.

- Mam jeszcze pierścienie, Aphrael. Dzięki nim to ja wciąż wydaję rozkazy.

Bogini wyśmiała go.

- Naprawdę sądzisz, że pierścienie coś znaczą, Sparhawku? Nie mają żadnej władzy nad Bhelliomem. To był tylko podstęp, zmierzający do ukrycia faktu, iż klejnot ma własną świadomość - oraz wolę i cel, do którego dąży. Bhelliom może ignorować pierścienie, kiedy tylko zechce.

- Do czego mnie zatem potrzebował?

- Bo jesteś koniecznością, Sparhawku - jak wiatr, przyływ czy deszcz. Jesteś równie niezbędny jak Klael - czy Bhelliom -czy też w końcu ja. Któregoś dnia wrócimy tu i porozmawiamy spokojnie o koniecznościach, w tej chwili jednak trochę brak nam czasu.

- Czy twój wczorajszy wirtuozerski występ także był niezbędny? Czy świat skończyłby się, gdybyś nie odbyła publicznie rozmowy z samą sobą?

- To, co zrobiłam wczoraj, ojczu, było korzystne, nie konieczne. Jestem tym, kim jestem i nie mogę tego zmienić. Gdy przechodzę kolejną przemianę, zazwyczaj wokół znajdują się ludzie, którzy znają obie dziewczynki i zaczynają zauważać podobieństwa. Zawsze pamiętam o tym, by spotkały się publicznie. Dzięki temu unikam krępujących pytań i niechcianych podejrzeń.

- Wiesz chyba, że śmiertelnie przeraziłaś Mmrr. Przytaknęła.

- Wynagrodzę to jej. To zawsze pewien problem. Zwierzęta potrafią przeniknąć

wzrokiem moje przebranie. Nie patrzą na nas tak jak my na siebie nawzajem.

Sparhawk westchnął.

- Co ja teraz pocznę, Aphrael?

- Miałam nadzieję, że odwiedziny tutaj przywrócą ci rozsądek. Wizyta w rzeczywistości zazwyczaj ma podobny efekt. Uniósł wzrok ku jej prywatnemu tęczowemu niebu.

- To jest twoja wizja rzeczywistości?

- Nie podoba ci się moja rzeczywistość?

- Jest urocza. - Sparhawk z roztargnieniem pogładził szyję białej łani. - Ale to tylko sen.

- Czy aby na pewno, Sparhawkku? Jesteś pewien, że to nie rzeczywistość, a tamto miejsce to jedynie sen?

- Nie rób tego. Przez ciebie zaczyna mnie boleć głowa. Co mam teraz robić?

- Po pierwsze, radziłabym ci odbyć długą rozmowę z Bhelliomem. Wszystkie te gorzkie żale i rozważania arbitralnych decyzji mocno go zaniepokoiły.

- W porządku. A potem?

- Nie sięgam myślami tak daleko w przyszłość. - Uśmiechnęła się szeroko. - Pracuję jednak nad tym, kochaniutki - dodała.

* * *

- Nic im nie będzie, Kaltenie. - Sparhawk łagodnie poklepał siedzącego przyjaciela po ramieniu.

Kalten uniósł wzrok. W jego oczach błyszczała beznadziejna rozpacz.

- Jesteś pewien, Sparhawkku?

- Jeśli tylko nie potracimy głów, nie spotka ich krzywda. Kiedy wróciłem z Rendoru, Ehlanie groziło znacznie większe niebezpieczeństwo, a jednak poradziliśmy z nim sobie, prawda?

- Pewnie masz rację. - Kaltén wyprostował się na krześle i szarpnięciem naciągnął błękitną tunikę. Jego twarz nie miała żadnego wyrazu. - Chyba pójdę i poszukam jakichś ludzi, których mógłbym skrzywdzić - oznajmił.

- Nie masz nic przeciw mojemu towarzystwu? - Jeśli chcesz, możesz mi pomóc - Kaltén potarł dłonią policzek. - Tak sobie myślałem... - zaczął. - Wiesz, że jeśli posłuchasz ich rozkazów przekazanych w liście, Krager będzie mógł przez następny rok posyłać cię tam i

z powrotem z jednego końca Tamuli na drugi?

- A mam jakiś wybór? Będą mnie obserwować.

- Niech sobie obserwują. Pamiętasz, jak poznaliśmy Berita?

- Był wówczas nowicjuszem w domu zakonnym w Cimmurze. - Sparhawk wzruszył ramionami.

- Nie kiedy ja zobaczyłem go po raz pierwszy. Wracalem właśnie z wygnania w Lamorkandii i zatrzymałem się w przydrożnej tawemie nieopodal Cimmury. Był tam Berit z Kurikiem, miał na sobie twoją zbroję. Znam cię od maleńkiego, Sparhawk, ale nawet ja nie potrafiłem poznać, że to nie ty. Jeśli mnie się to nie udało, z pewnością nie uda się też szpiegom Kragera. Jeżeli ktoś ma uganiać się po Tamuli, niech zrobi to Berit. Ty i ja mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Sparhawk patrzył na niego ze zdumieniem.

- To najlepszy pomysł, jaki dotąd słyszałem! - Powiódł wzrokiem po pozostałych. - Proszę o uwagę - rzekł.

Natychmiast umilkli i zwrócili się ku niemu. Ich twarze wyrażały lęk.

- Czas brać się do roboty - oznajmił. - Kalten przypomniał mi właśnie, że w przeszłości posługiwaliśmy się panem Beritem jako przynętą. Berit jest niemal tego wzrostu co ja i moja zbroja na niego pasuje - mniej więcej. Przy spuszczonej przyłbicy nikt nie potrafi stwierdzić, że nie jest mną. Jeśli uda nam się go

przekonać, by znów przebrał się za steranego latami, zmęczonego żołnierza, może zdołamy zgotować kilka niespodzianek Kragerowi i jego przyjaciołom.

- Nie musisz prosić, Sparhawk - rzekł Berit.

- Zanim zgłosisz się na ochotnika, poznaj choć trochę szczegółów - upomniał przyjaciela zbolalym głosem Khalad.

- Twój ojciec mawiał niemal dokładnie to samo - zauważył Berit.

- I czemu go nie słuchałeś?

- To ciekawy plan, książę Sparhawk. - Mina Oscagne'a zdradzała lekkie powątpiewanie. - Ale czyż nie jest niezwykle niebezpieczny?

- Nie boję się, ekscelencjo - zaprotestował Berit.

- Nie o twoje bezpieczeństwo mi chodziło, młody panie, lecz królowej Ehlany. W chwili gdy ktoś przeniknie twoje przebranie, cóż... - Oscagne rozłożył szeroko ręce.

- Będziemy zatem musieli dopilnować, by przebranie było idealne - wtrąciła Sephrenia.

- Nie może wiecznie trzymać spuszczonej przyłbicy, Sephrenio - zaprotestował

Sarabian.

- Chyba nie będzie musiał. - Styriczka spojrzała z namysłem na Xanetię. - Czy dostatecznie sobie ufamy, żeby współpracować, Anarae? - spytała. - Chodzi mi o coś trochę poważniejszego niż dotychczasowe nasze działania.

- Z uwagę propozycji twej wysłucham, siostró ma.

- Delficka magia kieruje się głównie do wewnątrz, nieprawdaż?

Xanetia przytaknęła.

- Zapewne dlatego nikt jej nie czuje ani nie słyszy, odwrotnie niż w magii styryckiej. My zmieniamy otoczenie i nasza magia sięga na zewnątrz. W obecnej sytuacji żadna z nich nie zda się na nic sama, ale gdybyśmy je połączyły... - Nie dokończyła.

- Ciekawa myśl - rzekła z namysłem Aphrael.

- Niezupełnie rozumiem - przyznał Vanion.

- Anarae i ja będziemy musiały nieco poeksperymentować - wyjaśniła Sephrenia. - Jeśli jednak uda się to, o czym myślę, sprawimy, iż Berit będzie tak bardzo podobny do Sparhawka, że będą wyglądali jak odbicia w lustrze.

* * *

- Póki obie wiemy dokładnie, co robimy, to nie takie trudne - zapewniła Sephrenia Sparhawka, gdy nieco później dołączył wraz z Beritem do niej, Vaniona i Anarae w jej komnacie.

- I to naprawdę zadziała? - spytał z powątpiewaniem.

- Nie wypróbowały tego jeszcze, Sparhawku - odparł Vanion - więc nie mają pewności.

- To nie brzmi zbyt zachęcająco. Moja twarz nie jest może najpiękniejsza, ale innej nie mam.

- Niebezpieczeństwo żadne tobie alibo młodemu panu Beritowi, Anakho, nie grozi - rzekła Kanetia. - W czasach dawnych konieczność często ludziom mym dolinę porzucać nakazywała i pośród innych się wyprawić. Dzięki temu podstępowi tożsamość swą skrywaliśmy.

- Oto jak działa nasz plan, Sparhawku - wyjaśniła Sephrenia. - Xanetia rzuca delfickie zaklęcie, które w zwykłych okolicznościach upodobniłoby jej rysy do twoich. W chwili jednak, gdy je wypowie, ja rzucam styryckie zaklęcie odbijające je na Berita.

- Czy każdy Styryk w Matherionie cię nie usłyszy?

- To właśnie jest najpiękniejsze, Sparhawk - powiedziała Aphrael. - Samo zaklęcie pochodzi od Xanetii, a nikt poza nią nie słyszy ani nie czuje magii delfickiej. Cyrgon we własnej osobie mógłby przycupnąć w sąsiednim pokoju i też niczego by nie usłyszał.

- Jesteś pewna, że się uda?

- Istnieje tylko jeden sposób, by to sprawdzić.

Sparhawk, rzecz jasna, nie poczuł niczego. Ostatecznie był jedynie modelem. Obserwacja stopniowej przemiany Berita okazała się jednak osobliwym przeżyciem.

Gdy połączone zaklęcie zadziało, Sparhawk uważnie obejrzał swego młodego przyjaciela.

- Rzeczywiście tak wyglądam? - spytał Vaniona, czując lekki zawód.

- W ogóle nie potrafię was odróżnić.

- Ten nos jest rzeczywiście krzywy, prawda?

- Sądziliśmy, że wiesz.

- Nigdy dotąd nie przyglądałem się sobie od tej strony. - Sparhawk spojrzał krytycznie na oczy Berita. - Chyba powinieneś nieco je zmrużyć - zaproponował. - Mój wzrok nie jest już tak dobry jak kiedyś. To jedna z rzeczy, które czekają cię na starość.

- Spróbuję to zapamiętać. - Nawet głos Berita uległ zmianie.

- Naprawdę taki mam głos? - Sparhawk był niemal załamany. Vanion przytaknął. Rycerz potrząsnął głową.

- Oglądanie się oczami innych i słuchanie ich uszami niewątpliwie psuje naszą opinię o sobie - przyznał. Raz jeszcze popatrzył na Berita. - Nic nie czułem, a ty?

Berit skinął głową, głośno przełykając ślinę.

- Jak było?

- Wolałbym o tym nie mówić. - Młodzieniec czubkami palców obmacał swą nową twarz, krzywiąc się boleśnie.

* * *

- Nadal nie mogę ich rozróżnić - zdumiewał się Kalten, patrząc najpierw na Berita, a potem na Sparhawk.

- O to właśnie chodziło - przypomniał mu Sparhawk.

- Który to ty?

- Bądź poważny, Kaltenie.

- Teraz, kiedy wiemy, jak to zrobić, możemy poczynić również inne zmiany -

oznajmiła Sephrenia. - Wszystkim wam damy nowe twarze, abyście mogli poruszać się swobodnie. Natomiast mężczyźni noszących wasze twarze umieszczę tu, w pałacu. Podejrzewam, że wciąż jesteśmy obserwowani, nawet po Świącie Plonów. Dzięki temu zlikwidujemy ów mały problem.

- Później możemy nakreślić bardziej szczegółowe plany -dodał Vanion. - Ale najpierw wyprawmy w drogę Berita i Khalada. Jak wygląda najczęściej używany szlak lądem stąd do Beresy? - Rozwinął mapę i rozłożył na stole.

- Większość ludzi podróżuje drogą morską - odparł Oscagne. - Pozostali zazwyczaj przecinają półwysep, po czym wsiadają na statek w Micae i przeprawiają się przez zatokę na kontynent.

- Nie widzę tu żadnych dróg - Vanion zmarszczył brwi.

- To teren niemal nie zamieszkaany, panie Vanionie - Oscagne wzruszył ramionami. - Słone mokradła i tak dalej. Jeśli nawet są tam jakieś ścieżki, nie zaznacza się ich na mapach.

- Postarajcie się wybrać jak najlepszą trasę - rzekł Vanion, zwracając się do dwóch młodzieńców. - Gdy wyminiecie już Góry Tamulskie, dotrzecie do gościńca biegnącego zachodnim skrajem dżungli.

- Na waszym miejscu trzymałbym się z dala od tych gór, Bericie - dodał Ulath. - Pamiętaj, że kryją się tam trolle. Berit przytaknął.

- Lepiej porozmawiaj z Faranem, Sparhawk - podsunął Khalad. - Nie sądzę, by dał się nabrać tylko dlatego, że Berit ma teraz twoją twarz. A jeśli nasza maskarada ma kogoś przekonać, on musi go dosiadać.

- Zupełnie zapomniałem - przyznał Sparhawk.

- Tak też sądziłem.

- W porządku zatem. - Vanion znów zaczął instruować obu przyjaciół. - Gościńcem pojedziecie do Lydros, stamtąd udacie się drogą wokół południowego skraju Ardżuny do Beresy. To najlogiczniejsza trasa i zapewne będą się spodziewali, że ją wybierzecie.

- Ta podróż sporo potrwa, panie Vanionie - zauważył Khalad.

- Najwyraźniej Krager i jego przyjaciele tego właśnie chcą. Gdyby się spieszyli, poleciliby Sparhawkowi wsiąść na statek.

- Daj Berkowi pierścień żony, Sparhawk - rozkazała Recik.

- Co?

- Zalasta potrafi go wyczuć, a jeśli on to umie, to i Cyrgon także - a już z pewnością Klael. Jeśli nie oddasz Beritowi pierścienia, zmiana jego twarzy będzie tylko stratą czasu.

- Narazasz Berita i Khalada na ogromne niebezpieczeństwo -zauważyła krytycznie

Sephrenia.

- Za to nam płacą, mateczko. - Khalad wzruszył ramionami.

- Będę ich pilnować - zapewniła siostrę Aphrael. Spojrzała uważnie na Berita. -

Wezwij mnie.

- Słucham?

- Użyj zaklęcia, Bericie - wyjaśniła z przesadną cierpliwością. - Chcę się upewnić, że dobrze to robisz.

- Och... - Berit starannie wypowiedział zaklęcie przywołania, poruszając dłońmi w skomplikowanych gestach towarzyszących magii.

- Źle wymówiłeś kajerasticon - poprawiła. Sephrenia bez większego powodzenia usiłowała powstrzymać śmiech.

- Co cię tak rozbawiło? - spytał Talen.

- Wymowa pana Berita zmieniła nieco znaczenie jego słów - wyjaśnił Stragen.

- Co powiedział? - dopytywał się ciekawie Talen.

- Nieważne - ucięła szybko Flecik. - Nie będziemy powtarzali sztubackich dowcipów na temat różnic pomiędzy chłopcami a dziewczynkami. Poćwicz jeszcze, Bericie. A teraz spróbuj tajemnego przywołania.

- A to co? - mruknął Itagne do Vaniona.

- Używamy go do przekazywania wiadomości, ekscelencjo - wyjaśnił Vanion. - Przyzywa świadomość bogini-dziecka, lecz nie jej obecność. Dzięki temu zaklęciu możemy za jej pośrednictwem przesłać komuś informację.

- Czy to nie jest nieco poniżające dla bogini-dziecka? Naprawdę każecie jej spełniać wasze życzenia i przynosić wiadomości?

- Nie czuję się obrażona, Itagne. - Aphrael uśmiechnęła się. - Ostatecznie żyjemy tylko po to, by służyć tym, których kochamy, nieprawdaż?

Tym razem wymowa Berita nie wzbudziła żadnych zastrzeżeń.

- Zapewne i tak tym właśnie zaklęciem będziesz się posługiwał najczęściej, Bericie - rzekł Vanion. - Krager uprzedził Sparhawk, by ten nie używał magii, więc staraj się robić to dyskretnie. Jeśli dostaniesz kolejne instrukcje, posłuchaj ich, ale przekaz też wieść Aphrael.

- Teraz nie ma chyba sensu wbijać go w zbroję Sparhawk, prawda, panie Vanionie? - spytał Khalad.

- Słuszna uwaga - zgodził się Vanion. - Kolczuga zupełnie wystarczy, Bericie. Chcemy przecież, żeby widzieli twoją twarz.

- Tak jest, mój panie.

- Lepiej idźcie już spać - ciągnął Vanion. - Wyruszącie jutro wczesnym rankiem.

- Ale nie za wczesnym - poprawił Caalador. - Nie chcieli-byśta, coby szpiegi zaspały i nie zoczyły jech przed odjazdem. Nowysińska gemba złamanego szelonga niewarta, jak się ji nie pokaże, co nie?

* * *

Następnego ranka dziedziniec był zimny i wilgotny. Kopyły miasta pokrywała cienka warstwa lśniącey mgły. Sparhawk wyprowadził Farana ze stajni.

- Uważajcie na siebie - uprzedził dwóch młodzieńców w kolczugach i płaszczach podróźnych.

- Już to mówiłeś, mój panie - przypomniał mu Khalad. - Nie jesteśmy z Beritem głusi.

- Lepiej zapomnij to imię, Khaladzie - rzekł krytycznie Sparhawk. - Zaczynij myśleć o swym przyjacielu jak o mnie. Jedno drobne przejęzyczenie w niewłaściwym momencie mogłoby wydać całą maskaradę.

- Będę o tym pamiętał.

- Potrzebujesz pieniędzy?

- Myślałem, że już nigdy nie spytasz.

- Jesteś równie nieznośny jak twój ojciec. - Sparhawk wy- ** ciągnął z za pasa sakiewkę i podał giermkowi. Następnie ujął ** stanowczo pysk Farana i spojrział prosto w oczy wielkiego srokacza. - Chcę, żebyś poszedł z Beritem, Faranie - rzekł. - Zachowuj się, jakbym to był ja.

Wierzchowiec zastrzygł uszami i odwrócił wzrok.

- Uważaj - rzucił ostro Sparhawk. - To ważne. Faran westchnął.

- Wie, co do niego mówisz, Sparhawk - wtrącił Khalad. - Nie jest głupi, tylko złośliwy.

Sparhawk oddał wodze Beritowi. Nagle przypomniał coś sobie.

- Będziemy potrzebowali hasła - rzekł. - Gdybyśmy musieli się z wami skontaktować, nie poznacie nas, bo wszyscy dosta-'niemy nowe twarze. Wybierzcie coś zwyczajnego.

Zastanawiali się przez chwilę.

- Może barani róg? - podsunął Berit. - Nietrudno go będzie wpleść do zwykłej rozmowy, a poza tym używaliśmy go już wcześniej.

Sparhawk przypomniał sobie nagle Ulesima, najulubieńskiego ucznia świętego Arashama, stojącego na kupie gruzów ze strzałą Kurika sterczącą z czoła i słowami „barani

róg” na ustach.

- Doskonale, Bericie... to znaczy panie Sparhawk. Wszyscy pamiętamy to słowo. Lepiej już ruszajcie. Młodzieńcy przytaknęli i dosiedli koni.

- Powodzenia! - rzekł Sparhawk.

- Tobie też, mój panie - odparł Khalad. A potem obaj odwrócili się i ruszyli wolno w stronę zwozonego mostu.

* * *

- Tak naprawdę dysponujemy tylko nazwą: Beresa - zastanawiał się głośno Sarabian nieco później. - Krager napisał w liście, że Sparhawk otrzyma tam kolejne instrukcje.

- To mógł być podstęp, wasza wysokość - zauważył Itagne. -W istocie do wymiany może dojść w dowolnym miejscu i o dowolnym czasie. Zapewne właśnie dlatego polecono im jechać ładem.

- Racja - zgodził się Caalador. - Scarpa i Zalasta równie dobrze mogą czekać na plaży po zachodniej stronie Zatoki Mi-caeńskiej, żeby tam załatwić sprawę.

- Strasznie to wszystko komplikujemy - wtrącił Talen. - Cze-

56

mu Sparhawk nie każe Bhelliomowi uratować królowej? Mógłby ją tu sprowadzić, zanim Scarpa zorientuje się, że zniknęła.

- Nie. - Aphrael potrząsnęła głową. - Bhelliom nie może tego zrobić. Podobnie jak ja.

- Czemu nie?

- Bo nie wiemy, gdzie ona jest - i nie możemy jej szukać, ponieważ wówczas wykryją naszą obecność.

- Nie miałem o tym pojęcia.

Aphrael wywróciła oczami.

- Mężczyźni! - westchnęła.

- Ehlana wykazała się świetnym refleksem, oddając pierścień Melidere - rzekła Sephrenia - lecz zlokalizowanie jej byłoby znacznie łatwiejsze, gdyby wciąż miała go przy sobie.

- Raczej w to wątpię, kochana - oświadczył Vanion. - Zalasta świetnie zdaje sobie sprawę, iż potrafimy ustalić położenie pierścieni. Gdyby Ehlana wciąż go miała, Scarpa natychmiast przekazałby go Kragerowi bądź Elronowi i wysłał ich jak najdalej od siebie.

- Zakładasz, że Zalasta jest w to zamieszany - zauważyła czarodziejka. - Wiesz chyba,

że istnieje możliwość, iż Scarpa działa samodzielnie.

- Zawsze lepiej jest zakładać najgorsze! - Wzruszył ramionami. - Nasza sytuacja wygląda znacznie gorzej, jeśli uczestniczą w tym Cyrgon i Zalasta. Jeżeli mamy do czynienia wyłącznie ze Scarpą, z łatwością się go pozbedziemy.

- Ale dopiero gdy Ehlana i Alean znajdą się w bezpiecznym miejscu - poprawił Sparhawk.

- To chyba oczywiste, Sparhawku - przytaknął Vanion.

- A zatem wszystko będzie zależec od chwili wymiany - zauważył Sarabian. - Możemy poczynić przygotowania, ale nie zdołamy zrobić nic poważniejszego, póki Scarpa nie pokaże nam Ehlany.

- A to znaczy, że musimy trzymać się blisko Berita i Khala-da - dodał Tynian.

- Nie. - Aphrael energicznie potrząsnęła głową. - Jeżeli zaczniecie deptać im po piętach, tylko wszystko zdradzicie. To ja będę ich obserwować. Nie noszę zbroi, więc nikt nie wywacha mnie z odległości tysiąca kroków. Itagne ma rację. Wymiana może nastąpić w każdej chwili. Dam znać Sparhawkowi w momencie, kiedy Scarpa pokaże się z Ehlana i Alean. Wówczas Bhelliom może przenieść go - z nożem w ręku - tuż za jego plecy. Odzyskamy nasze damy i kontrolę nad sytuacją.

- Czyli pozostają kwestie czysto militarne - zastanawiał się w głos patriarchy Emban. - Powinniśmy wysłać wiadomość Komierowi i Bergstenowi. Będziemy potrzebowali rycerzy kościoła w Cynesdze i Ardżunie, a nie w Edomie czy Astelu - ani tu, w Matherionie. Po zejściu z gór Zemochu niech pojedą prosto na południowy wschód. Dysponując Atanami w Sarnie, wschodnimi Peloi i rycerzami kościoła w Samarze, trollami w Górach Tamulskich oraz armią Komiera i Bergstena po zachodniej stronie pustyni cynesgańskiej, zdołamy wycisnąć krainę Cyrgaich jak cytrynę.

- I zobaczyć, jakie wyskoczą z niej pestki - dodał ponuro Kał ten.

* * *

Patriarcha Emban, sekretarz kościoła Chyrellos, należał do ludzi, którzy uwielbiają listy i spisy. Korpulentny ksiądz odruchowo sporządzał spis podczas każdej dyskusji. Kiedy omawia się plany, nieodmiennie nadchodzi taki moment, gdy poruszono już wszystkie zagadnienia i uczestnicy zaczynają powtarzać to, co uzgodniono wcześniej. Właśnie w takich chwilach Emban wyciągał swoją listę.

- W porządku zatem - rzekł tonem wyraźnie wskazującym, że podsumowuje

wcześniejsze ustalenia. - Sparhawk popłynie do Beresy razem z milordem Stragenem i młodym panem Tale-nem. Zgadza się?

- Dzięki temu znajdzie się na miejscu, w razie gdyby Berit i Khalad dojechali aż tak daleko, wasza świątobliwość - odparł Vanion. - Stragen i Talen mają też swoje kontakty w Beresie, toteż zapewne szybko zdołają się dowiedzieć, kto jeszcze przebywa w mieście.

Emban odhaczył pierwszy punkt.

- Następnie: pan Kalten, pan Bevier i moiści Caalador poze-glują na południe innym statkiem i udadzą się do dżungli Ar-dżuny.

Caalador przytaknął.

- Mam przyjaciela w Dęło, który zna kilku członków band rozbójników kryjących się w dżungli. Dołączymy do jednej z owych band, tak żebyśmy mogli mieć oko na Natayos i przekazać wiadomość, jeśli dojdzie do wymarszu armii Scarpy.

- Racja. - Emban odkreślił kolejny punkt. - Następnie: pan Ulath i pan Tynian pojedą w Góry Tamulskie, by utrzymywać kontakt z trollami. - Zmarszczył brwi. - Czemu Tynian tam jedzie? - spytał. - Nie zna przecież języka trolli.

- Tynian i ja świetnie się dogadujemy - zagrział Ulath. - A czułbym się okropnie samotny, gdybym musiał przebywać wyłącznie w towarzystwie trolli. Nie ma pan pojęcia, jak przygnębiająca może być samotność wśród trolli, wasza świątobliwość.

- Jeśli to ci sprawia przyjemność, panie Ulacie. - Emban wzruszył ramionami. - Sephrenia i Anarae Xanetia udadzą się do Delphaeusu, aby powiadomić Anariego Cedona o najnowszych wydarzeniach i wyjaśnić, co robimy.

- Oraz przekonać się, czy zdołamy doprowadzić do pokoju pomiędzy Styricum a Delphae - dodała Sephrenia. Emban zapisał to na swej liście.

- Pan Vanion, królowa Betuana, ambasador Itagne i domi Kring wraz z pięcioma tysiącami rycerzy skierują się do zachodniego Tamulu i dołączą do sił stacjonujących w Sarnie i Samarze.

- Gdzie właściwie jest domi Kring? - wtrąciła Betuana, rozglądając się w poszukiwaniu niskiego Peloi.

- Pełni straż przy Mirtai - odparła księżniczka Danae. -Wciąż obawia się, że Mirtai spróbuje się zabić.

- To poważny problem - zauważył Bevier. - W takich okolicznościach Kring może nie zechcieć opuścić Matherionu.

- Jeśli trzeba, damy sobie radę bez niego - rzekł Vanion. -Z łatwością dogadam się wprost z Tikumem. Obecność Kringa ułatwiłaby sprawę, ale jeśli naprawdę sądzi, że Mirtai

może zrobić coś głupiego, poradzę sobie sam.

Emban skinął głową.

- Cesarz Sarabian, minister spraw zagranicznych Oscagne i ja zostaniemy w Matherionie, pilnując domu, a bogini-dziecko pomoże nam utrzymywać łączność między sobą. Czy coś pominąłem?

- A co ja mam robić, Embanie? - spytała słodko Danae.

- Wasza królewska wysokość zostanie z nami w Matherionie - odparł Emban - aby rozjaśniać ponure noce słonecznym blaskiem swego uśmiechu.

- Naśmiewasz się ze mnie, wasza świątobliwość?

- Oczywiście, że nie, księżniczko.

* * *

Stwierdzenie, że Mirtai cierpi, byłoby zdecydowanym eufemizmem. Kiedy Kring ze zrozpaczoną miną przyprowadził ją do sali rady, wciąż była w kajdanach.

- Nic do niej nie dociera - rzekł domi. - Chyba zapomniała nawet, że jesteśmy zaręczeni.

Złocistoskóra atkańska olbrzymka nie patrzyła na nich. Natychmiast osunęła się na podłogę, nie kryjąc rozpaczy.

- Zawiodła swą właścicielkę. - Betuana wzruszyła ramionami. - Musi albo ją pomścić, albo zginąć.

- Niezupełnie, wasza wysokość - nie zgodziła się córka Sparhawk, zsuwając się z fotela w kącie, z którego obserwowała całą naradę. Teraz posadziła Roilę przy jednej poręczu, a Mmrr przy drugiej i z poważną miną na swej drobnej twarzy podeszła do olbrzymki. - Atano Mirtai - rzekła surowo - wstań z podłogi.

Mirtai obdarzyła ją niechętnym spojrzeniem, po czym powoli ' dźwignęła się przy wtórze brzęku łańcuchów.

- Pod nieobecność mojej matki ja jestem królową - oznajmiła Danae.

Sparhawk zamrugnął ze zdumienia.

- Nie jesteś Ehlaną - odparła Mirtai.

- Wcale jej nie udaję. Stwierdzam tylko fakt prawny. Sarabianie, czy nie tak to działa? Czy władza mojej matki nie przechodzi na mnie podczas jej nieobecności?

- No cóż, technicznie rzecz biorąc, chyba tak.

- Technicznie rzecz biorąc, akurat! Jestem następczynią królowej Ehliny. Do chwili

jej powrotu obejmując władzę. To zaś oznacza, że tymczasowo należy do mnie wszystko, co posiada: jej tron, korona, klejnoty i jej osobista niewolnica.

- Nie chciałbym sprzeciwiać się jej w sądzie - przyznał Emban.

- Dziękuję, wasza świątobliwość - rzekła Danae. - W porządku, Atano Mirtai, słyszałaś ich. Teraz należysz do mnie. Mirtai skrzywiła się gniewnie.

- Nie rób tego - warknęła Danae. - Uważaj. Jestem twoją właścicielką i zabraniam ci się zabić. Zabraniam ci też uciec. Potrzebuję cię tutaj. Zostaniesz ze mną i Melidere i będziesz nas strzegła. Zawiodłaś moją matkę. Nie zawieźdź mnie.

Mirtai zeszywniała, a potem gniewnym szarpnięciem zerwała łańcuchy.

- Będzie jak każesz, wasza wysokość - rzekła. Jej oczy płonęły. Danae ze złośliwym uśmiechem powiodła wzrokiem po twarzach zebranych.

- Widzicie? - rzekła. - To nie było takie trudne.

ROZDZIAŁ CZWARTY

To był mały jednomasztowy frachtowiec o ciekłym poszyciu i połatanych żaglach. Z całą pewnością nie śmigał po falach. Berit i Khalad, odziani w kolczugi i płaszcze podróżne, stali na dziobie, spoglądając na roztaczający się przed nimi ołowiano-szary przestwór Zatoki Micaeńskiej, gdy tymczasem niezgrabny stateczek parł ciężko naprzód.

- Czy to już brzeg? - spytał z nadzieją Berit. Khalad wyteżył wzrok, patrząc w dal ponad pomarszczoną wodą.

- Nie, tylko ławica chmur. Nie poruszamy się zbyt szybko, panie. Obawiam się, że nie dotrzemy dziś do brzegu. - Rozejrzył się i zniżył głos. - Zachowaj czujność po zachodzie słońca - polecił. - Załoga tej łajby to szczury lądowe, a kapitan jest niewiele lepszy. Uważam, że powinniśmy spać dziś na zmianę.

Berit powiódł wzrokiem po krążącej po pokładzie zbieraninie mętów.

- Żałuję, że nie mam mojego topora - mruknął.

- Nie mów głośno takich rzeczy, Bericie - wymamrotał Khalad. - Sparhawk nie używa topora bojowego. Krager o tym wie, a jeden z tych żeglarzy może dla niego pracować.

- Wciąż? Po Świącie Plonów?

- Nikomu nigdy nie udało się wybić wszystkich szczurów, mój panie, a wystarczy zaledwie jeden. Zachowujmy się, jakbyśmy byli pod stałą obserwacją i jakby podsłuchiowano każde nasze słowo - dla bezpieczeństwa.

- Ucieszę się, kiedy zejdem na brzeg. Naprawdę musieliśmy odbywać pierwszy etap podróży wodą?

- Taki jest zwyczaj. - Khalad wzruszył ramionami. - Nie przejmuj się. Jeśli trzeba, utrzymamy w szachu marynarzy.

- Nie to mnie martwi, Khaladzie. Ta łajba przedziera się przez fale jak wieloryb z przetrąconym karkiem. Niedobrze mi od tego.

- Zjedz kawałek suchego chleba.

- Wolę nie. To naprawdę paskudne uczucie, Khaladzie.

- Ale przecież przeżywamy przygodę, mój panie - rzekł radośnie Khalad. - Czyż podniecenie tym faktem nie wynagradza ci wyrzeczeń?

- Nie do końca.

- To ty chciałeś zostać rycerzem.

- Tak, wiem. I w tej chwili usilnie próbuję sobie przypomnieć dlaczego.

* * *

Patriarcha Emban zareagował ogromnym oburzeniem.

- To naprawdę skandal, Vanionie! - zaprotestował, drepcząc wraz z pozostałymi w stronę kaplicy w zachodnim skrzydle.

- Jeśli Dolmant kiedykolwiek dowie się, że zezwoliłem na uprawianie czarnoksięstwa w poświęcanym miejscu, pozbawi mnie święceń.

- To najbezpieczniejsze miejsce, Embanie - odparł Vanion. -Pretekst obrzędów religijnych pozwala nam pozbyć się z zachodniego skrzydła wszystkich Tamulów. Poza tym kaplica najprawdopodobniej nigdy nie została poświęcona. To imitacja zam-: ku wzniesiona po to, by Eleni czuli się jak w domu. Ludzie, którzy go zbudowali, nie mogli znać rytuału poświęcania.

- Ale nie wiesz na pewno, że nie została poświęcona.

- A ty nie wiesz, czy została. Jeśli tak bardzo ci to przeszkadza, Embanie, możesz wyświęcić ją ponownie, kiedy już skończymy.

Twarz patriarchy zbladła.

- Zdajesz sobie sprawę, co się z tym wiąże, Vanionie? -zaprotestował. - Całe godziny modlitw, leżenie krzyżem przed ołtarzem... posty? - Jego grube policzki zatrzęśły się. - Dobry Boże, posty!

Sephrenia, Flecik i Xanetia wśliznęły się do kaplicy kilka godzin wcześniej. Siedziały dyskretnie w kącie, słuchając chóru rycerzy kościoła, śpiewających hymny.

Emban i Vanion wciąż się sprzecali, gdy dołączyli do dam.

- O co chodzi? - spytała Sephrenia.

- Patriarcha Emban i pan Vanion nie mogą dojść do porozumienia, czy kaplica została wyświęcona, czy nie, mateczko -wyjaśnił Kalten.

- Nie została - oznajmiła Flecik, lekko wzruszając ramionami.

- Skąd wiesz? - spytał Emban.

Spojrzała na niego z cierpiętniczą miną.

- Kim jestem, wasza świętobliwość? - spytała. Patriarcha zamrugał.

- Och, z jakichś przyczyn ciągle o tym zapominam. Czy istnieje sposób, w jaki potrafisz stwierdzić, że miejsce zostało wyświęcone?

- Oczywiście, że tak. Wierz mi, Embanie, ta kaplica nigdy nie została poświęcona waszemu eleńskiemu bogu. - Aphrael zawiesiła głos. - Niedaleko stąd było kiedyś miejsce

poświęcone drzewu, jakieś osiemnaście tysięcy lat temu.

- Drzewu?

- Bardzo pięknemu drzewu - dębowi. Nie wiadomo dlaczego, to zawsze są dęby. Nikt nie chce oddawać czci wiązowi. Wielu ludzi czciło drzewa. Choćby dlatego, że są przewidywalne.

- Jak ktokolwiek zdrowy na umyśle mógłby oddawać cześć drzewu?

- A kto powiedział, że religia jest produktem zdrowych umysłów? Czasami wy, ludzie, naprawdę nas zaskakujecie.

Ponieważ w większości wypadków chodziło o wymianę twarzy, Sephrenia i Xanetia poeksperymentowały nieco, zmieniając zakłęcie, które obdarzyło Berita rysami Sparhawk. Jednak w przypadku Sparhawk niepotrzebna była wymiana, toteż załatwiły go pierwszego. Usiadł obok swego starego przyjaciela, pana Endrika, weterana, z którym - obok Kaltena i Martela - odbywał nowicjat. Xanetia zbliżyła się do nich. Delficzka zbladła, a głowę jej zaczęła otaczać miękka poświata. Starannie obejrzała Endrika, po czym jej głos wzniósł się, gdy zaintonowała delfickie zakłęcie w swym dziwnie akcentowanym archaicznym tamulskim. Sephrenia stała u jej boku, rzucając jednocześnie zakłęcie styryckie.

Gdy Xanetia uwolniła zakłęcie, Sparhawk nic nie poczuł. Potem, w ostatnim momencie, Sephrenia wyciągnęła dłoń, wsuwając ją między twarz pana Endrika i Xanetię, i jednocześnie wypowiedziała zakłęcie styryckie. Tym razem Sparhawk poczuł to aż za mocno. Jego rysy zdawały się mięknać niczym topniejący wosk. Czuł, jak zmienia mu się twarz niczym mokra glina pod ręką garncarza. Prostowanie złamanego nosa okazało się dość bolesne, a wydłużenie szczęki sprawiło, że poruszone zęby zabolały.

- Jak sądzisz? - spytała Vaniona Sephrenia, kiedy proces dobiegł końca.

- Wątpię, by dało ich się upodobnić jeszcze bardziej - odparł Vanion, mierząc wzrokiem obu mężczyzn. - Jakie to uczucie mieć bliźniaka, Endriku?

- Sam nic nie czułem, mój panie - odparł Endrik, przyglądając się ciekawie Sparhawkowi.

- A ja tak - rzekł Sparhawk, delikatnie dotykając odmienionego nosa. - Czy ból w końcu ustępuje, Anarae? - spytał.

- Z czasem mniej dostrzegać go będziesz, gdy do odmiennych rysów przywykniesz, Anakho. Azali nie uprzedzałam cię, iż bólu się możesz spodziewać?

- Rzeczywiście. - Sparhawk wzruszył ramionami.

- Naprawdę tak wyglądam? - spytał Endrik.

- Tak - odparł Vanion.

- Powinienem bardziej o siebie zadbać. Czas nie był dla mnie łaskawy.

- Czy to wszystko, czego chcesz od tych dwóch, Anarae? -wtrącił Vanion.

- Odmiana zakończona została, panie Vanionie - odparła Xa-netia.

- Musimy porozmawiać, Sparhawku - oznajmił mistrz. -Przejdźmy do zakrystii, tam nie będziemy przeszkadzać, gdy nasze panie zajmą się pozostałymi.

Sparhawk przytaknął, wstał i podążył w ślad za przyjacielem w stronę małych drzwiczek po lewej stronie ołtarza.

Vanion zaprowadził go do środka i zniknął drzwi za nimi.

- Ustalileś wszystko z Sorgim? - spytał. Sparhawk usiadł.

- Rozmawiałem z nim wczoraj - rzekł. - Powiedziałem, że kilku moich przyjaciół musi dostać się do Beresy, nie zwracając niczyjej uwagi. Jak zwykle paru członków załogi porzuciło pracę, toteż zatrzymał dla nas trzy miejsca. Stragen, Talen i ja dołączymy do nich. Powinniśmy niepostrzeżenie dotrzeć do Beresy.

- Podejrzewam, że to cię sporo kosztowało. Ceny Sorgiego bywają raczej słone.

Sparhawk pomasaował obolałą szczękę.

- Nie było tak źle - rzekł. - Sorgi jest mi winien kilka przysług, poza tym dałem mu czas, żeby załatwił sobie ładunek. W ten sposób pokryje większość kosztów.

- Udacie się stąd wprost na nabrzeże? Sparhawk przytaknął.

- Skorzystamy z odkrytego przez Caaladora tunelu pod koszarami. Uprzedziłem Sorgiego, że trzej nowi członkowie załogi zameldują się u niego około północy.

- Zatem poześlujecie jutro?

Sparhawk potrząsnął głową.

- Pojutrze. Jutro musimy załadować towary.

- Uczciwa praca, Sparhawku? - Vanion uśmiechnął się.

- Zaczynasz gadać jak Khalad.

- Chłopak ma cięty język.

- Podobnie jak jego ojciec.

- Przestań trzeć twarz, Sparhawku. Zedrzesz sobie skórę. - Vanion urwał. - Jakie to uczucie?

- Bardzo dziwne.

- Bolesne?

- Nos owszem. Mam wrażenie, jakby ktoś znów go złamał. Ciesz się, że nie musisz przez to przechodzić.

- Nie miałyby to wiele sensu. W odróżnieniu od was nie zamierzam skradać się

uliczkami. - Vanion ze współczuciem spojrział na przyjaciela. - Odzyskamy ją, Sparhawk.

- Oczywiście. Czy to wszystko? - Sparhawk z rozmysłem nie pozwalał, by w tonie jego głosu odbiły się jakiegokolwiek emocje. Najważniejszą rzeczą było nie czuć.

- Uważaj i staraj się pohamować swój temperament. Sparhawk przytaknął.

- Zobaczmy, co słyhać u pozostałych. Zmiany niewątpliwie okazały się mylące. Trudno było stwierdzić, z kim się rozmawia, i czasami Sparhawk zaskakiwało, kto odpowiedział na jego pytania. Pożegnali się i cicho wymknęli z kaplicy wraz z głównym oddziałem rycerzy kościoła. Przecięli oświetlony pochodniami główny dziedziniec, opuścili most zwodzony i ruszyli naprzód pogrążonymi w nocnym mroku trawnikami do koszar rycerzy. Tam Sparhawk, Stragen i Talen przebrali się w wysmarowane smołą stroje marynarskie, podczas gdy pozostali także przywdziali znoszone i niedopasowane ubrania ludzi niższego stanu. Następnie wszyscy udali się do piwnicy.

Caalador, obecnie obdarzony twarzą deirańskiego rycerza w średnim wieku, poprowadził ich w głąb porośniętego pajęczynami tunelu, przyświecając sobie kopczą pochodnią. Gdy przebyli jakąś milę, zatrzymał się i uniósł światło.

- To twoje wyjście, Sparhawk - rzekł, wskazując wąskie, strome schody. - Znajdziecie się w alejce. Jaśniutko, wonieć tam słodko nie wonieje, ale jest ciemno i porzundnie. - Urwał. -Przepraszam, Stragenie - rzekł - chciałem, żebyście zapamiętali moje pożegnanie.

- Cóż za uprzejmość! - mruknął Stragen.

- Powodzenia, Sparhawk - rzucił Caalador.

- Dzięki, Caaladorze.

Ucisnęli sobie dłonie, po czym złodziej uniósł pochodnię i poprowadził resztę oddziału cuchnącym wilgocią i pleśnią korytarzem ku ich celom, pozostawiając Sparhawk, Stragena i Talena samych w ciemności.

* * *

- Nic im nie grozi, Vanionie - zapewniała mistrza zakonu Flecik, podczas gdy panie pakowały się. - Będę im towarzyszyć i potrafię o nie zadbać.

- Zgadzam się na dziesięciu rycerzy - oznajmił, ustępując nieco.

- Będą nam tylko zawadą, mój drogi - wtrąciła Sephrenia. -Chcę jednak, żebyś to ty uważał na siebie. Oddział zbrojnych stanowi bardziej oczywisty cel ataku niż mała grupka podróźnych.

- Ale samotna podróż nie jest bezpieczna dla dam - zaprotestował. - W lasach zawsze czają się rabusie i im podobni.

- Nie zatrzymamy się w jednym miejscu dość długo, by przyciągnąć uwagę rabusiów czy kogokolwiek innego - zapewniła go Flecik. - Za dwa dni znajdziemy się w Delphaeusie. Mogłybyśmy tam dotrzeć w jeden dzień, zanim jednak wejść do jego doliny, muszę najpierw zatrzymać się i odbyć długą rozmowę Edaemusem. Może trzeba będzie go poprzekonywać.

- Kiedyż z Matherionu uchodzicie, panie Vanionie? - spytała Xanetia.

- Pod koniec tygodnia, Anarae - odparł. - Musimy doprowadzić do porządku nasz sprzęt, a poza tym pozostaje jeszcze kwestia zorganizowania taborów.

- Zabierz, ciepłe ubrania - poleciła Sephrenia. - Pogoda może zmienić się w każdej chwili.

- Tak jest, kochana. Jak długo zostanieie w Delphaeusie?

- Nie mamy pewności. Aphrael da ci znać. Musimy omówić z Anarim Cedonem wiele spraw. Fakt, że Cyrgon sprowadził Klaela, komplikuje wszystko.

- Istotnie - przytaknęła Xanetia. - Okazać się może, iż Edae-musa błagać o powrót nam przyjdzie.

- Zgodziłby się?

Flecek posłała mu łobuzerski uśmiech.

- Poproszę go osobiście, Vanionie, a wiesz, jak dobrze sobie z tym radzę. Jeśli naprawdę czegoś pragnę, niemal zawsze to dostaję.

* * *

- Hej, ty tam! Żwawiej, żwawiej! - ryknął bosman Sorgiego -rosły mężczyzna o byczym karku - strzelając z bata pod nogami Stragena.

Stragen, mogący się teraz poszczycić warkoczami i sumiastym wąsem jasnowłosego rycerza genidianity, opuścił na pokład belę towaru i sięgnął po sztylet.

- Nie! - Sparhawk szturchnął go łokciem. - Podnieś to. Przez moment przyjaciel patrzył na niego wściekle, po czym schylił się i uniósł belę.

- To nie było częścią umowy - mruknął.

- On wcale nie zamierzał uderzyć cię batem - zapewnił rozwścieczonego Thalezyczyka Talen. - Marynarze zawsze narzekają, ale bat jest jedynie na pokaz. Bosman, który rzeczywiście smaga ludzi, któregoś nocy zazwyczaj kończy za burtą.

- Możliwe - warknął Stragen - ale uprzedzam od razu, jeśli ten kretyń choćby muśnie

mnie swoim batem, nie zdąży nawet popływać. W mgnieniu oka wypruję mu flaki.

- Hej, wy tam, nowi! - huknął bosman. - Gadajcie w wolnym czasie. Jesteście tu po to, by pracować, nie rozmawiać o pogodzie. - Znów strzelił z bata.

* * *

- Mogłaby to zrobić, Khaladzie - upierał się Berit.

- Chyba za długo przebywałeś na słońcu - odparł Khalad. Jechali na południe pustą plażą pod zachmurzonym niebem. Za plażą rozciągały się niegościnnie słone mokradła; suche trzciny kołysane mocną bryzą uderzały o siebie z trzaskiem. Khalad dźwignął się w strzemionach i rozejrzał, po czym znów opadł na siodło. - To idiotyczny pomysł, mój panie.

- Spróbuj zachować otwarty umysł, Khaladzie. Aphrael to bogini. Może wszystko.

- Nie wątpię, ale czemu właściwie miałyby to robić?

- Cóż... - Berit zmagął się z tą myślą. - Możliwe, że ma jakiś powód. Coś, czego ty i ja nie potrafimy pojąć?

- Czy tak właśnie wpływają na człowieka nauki Styrików? Zaczynasz dostrzegać bogów pod każdym krzakiem. To zwykły zbieg okoliczności. Rzeczywiście są do siebie podobne, ale nic poza tym.

- Możesz sobie być sceptykiem, Khaladzie, ja jednak nadal uważam, że dzieje się coś bardzo dziwnego.

- A ja twierdzę, iż twoja sugestia to absurd.

- Absurd czy nie, ich zachowania są takie same; gesty i mimika są identyczne i w obu da się wyczuć to samo przekonanie o własnej wyższości.

- Oczywiście. Aphrael to bogini, a Danae następczyni tronu. Są kimś lepszym od innych - a przynajmniej tak uważają. Jak się zdaje, przeoczyłeś też fakt, że widzieliśmy je razem w tym samym pokoju, o tej samej porze. Na miłość boską, nawet ze sobą rozmawiały.

- Khaladzie, to niczego nie dowodzi. Aphrael jest boginią i jeśli chce, najprawdopodobniej może znaleźć się w dziesiątkach różnych miejsc jednocześnie.

- To nadal sprowadza nas do pytania: po co? Jaki miałyby w tym cel? Nawet bogowie kierują się czymś w swoim postępowaniu.

- Nie wiemy tego, Khaladzie. Może po prostu ją to bawi?

- Naprawdę aż tak bardzo pragniesz stać się świadkiem cudu, Bericie?

- Mogłaby to zrobić - upierał się Berit.

- W porządku. I co z tego?

- Nie jesteś nawet odrobinę ciekaw?
- Nieszczerólnie. - Khalad wzruszył ramionami.

* * *

Ulath i Tynian mieli na sobie niedobre resztki mundurów jednego z nielicznych oddziałów armii tamulskiej, który przyjmował ochotników z królestw eleńskich zachodniej Daresii. Wypożyczone przez nich twarze należały do dwóch surowych rycerzy w średnim wieku, zaprawionych w bojach weteranów. Statek, którym płynęli, był jedną z owych sponiewieranych, źle utrzymanych kryp, krążących po wodach przybrzeżnych. Niewielka suma zapłacona za przejazd zapewniła im dokładnie to, czego pragnęli - przejazd. I nic ponadto. Zabrali ze sobą własny prowiant, wodę i pocerowane koce. Sypiali i jedli na pokładzie. Celem ich podróży była mała przybrzeżna wioska, leżąca dwadzieścia pięć lig od podnóża Gór Tamulskich. Przez całą drogę wylegiwali się na pokładzie, sącząc tanie wino i grając w kości o groszowe stawki.

Niebo zasnuły chmury, gdy szalupa statku wysadziła ich na skrzypiącym pomoście wioski. Dzień był chłodny, Góry Tamulskie stanowiły jedynie niską smugę na horyzoncie.

- Jak się nazywał ten handlarz koni? - spytał Tynian.

- Sablis - mruknął Ulath.

- Mam nadzieję, że Oscagne się nie myli - rzekł Tynian. - Jeśli ten Sablis wypadł z branży, będziemy musieli dotrzeć w góry pieszo.

Ulath przeciął pomost i podszedł do skrzywionego mężczyzny, który naprawiał sieć rybacką.

- Powiedz mi, przyjacielu - rzekł uprzejmie po tamulsku - gdzie znajdziemy Sablisa, handlarza koni.

- A co się stanie, jeśli nie mam ochoty wam mówić? - odparł tamten. Jękliwy nosowy głos zdradzał, iż jego właściciel należy do grona złośliwców, którzy prędzej umrą, niż okażą komuś pomoc czy grzeczność.

Tynian spotykał już jemu podobnych: małych ludzi, święcie przekonanych o własnej ważności; ludzi, którzy uwielbiali bezinteresownie drażnić się z innymi.

- Pozwól, że ja to załatwię - mruknął, kładąc w uspokajającym geście dłoń na ramieniu swego kompana. Ulath zdążył już napiąć mięśnie, gotów uciec się do przemocy.

- Ładna sieć - zauważył nonszalancko Tynian, podnosząc jej skraj. Następnie dobył sztyletu i zaczął przecinać sznurki.

- Co ty wyprawiasz?! - wrzasnął skrzywiony rybak.

- Pokazuję ci co - wyjaśnił Tynian. - Powiedziałeś „co się stanie, jeśli nie mam ochoty wam mówić”? Oto odpowiedź. Przemyśl to. Mój przyjaciel i ja nie spieszymy się specjalnie. Możemy zaczekać. - Mocniej chwycił sieć i zaczął powoli piłować ją nożem.

- Przestań! - wrzasnął tamten z przerażeniem.

- Zatem gdzie możemy znaleźć Sablisa? - spytał Ulath niewinnym tonem.

- Jego zagrody są po wschodniej stronie miasta - padła gorączkowa odpowiedź. Chudy człowieczek pospiesznie zebrał swą sieć i przycisnął do piersi, zupełnie jak matka chroniąca dziecko.

- Miłego dnia, ziomku - rzekł Tynian, chowając sztylet. - Nie potrafię nawet wyrazić naszej wdzięczności za twą pomoc. - Obaj rycerze odwrócili się i pomaszrowali wzdłuż nabrzeża w stronę biednej wioski.

* * *

W ich obozie panował idealny porządek. Wszystko miało swoje miejsce i leżało tam, gdzie trzeba. Berit już dawno zauważył, iż Khalad nieodmiennie rozbija obóz dokładnie w ten sam sposób. Najwyraźniej w jego umyśle odbiła się wizja idealnego obozowiska, którą raz na zawsze wził sobie na wzór. Khalad bywał czasami nieznośnie pedantyczny.

- Ile dziś przejechaliśmy? - spytał Berit, gdy myli talerze po kolacji.

- Dziesięć lig. - Khalad wzruszył ramionami. - Jak zwykle. Dziesięć lig to standardowa odległość na płaskim terenie.

- To będzie trwało wieczność - poskarżył się Berit.

- Nie. Może jednak ci się tak wydawać. - Khalad rozejrzał się, po czym zniżył głos do szeptu. - Tak naprawdę wcale nam się nie spieszy, Bericie - rzekł. - Moglibyśmy nawet odrobinę zwolnić.

- Co takiego?

- Mów ciszej. Sparhawk i pozostali mają do przebycia długą drogę i chcemy być pewni, że znajdą się na miejscu, zanim Krager - czy ktokolwiek inny - nawiąże z nami kontakt. Nie wiemy, gdzie ani kiedy to nastąpi, toteż najlepszą metodą odwołania tej chwili jest zwolnić. - Khalad spojrzał w mrok poza kręgiem światła. - Jak dobrze sobie radzisz z magią?

- Niespecjalnie - przyznał Berit, pilnie szorując talerz. - Wciąż muszę się wiele nauczyć. A co chciałbyś, żebym zrobił?

- Czy mógłbyś sprawić, aby jeden z naszych koni okulał -nie robiąc mu krzywdy?

Berit zastanawiał się przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

- Chyba nie znam żadnego takiego zaklęcia.

- Szkoda. Kulawy koń stanowiłby dobry pretekst do zwolnienia.

Uczucie nadeszło nagle: zimny, kłujący dreszcz, skupiony na karku Berita.

- Starczy już tego dobrego - rzekł młody rycerz, podnosząc głos. - Nie płacą mi aż tyle, żebym przecierał dziury w blaszanych talerzach. - Oplukał naczynie, otrząsnął je z wody i wsunął do juków.

- Ty też to poczułeś? - szepnął Khalad, nie poruszając ustami. To zaskoczyło Berita. Skąd Khalad wiedział?

Berit ściągnął rzemienie juków i niemal niedostrzegalnie skinął głową.

- Podyśmy nieco ogień i chodźmy spać - powiedział dość głośno, by słyhać go było poza kręgiem ognia.

Obydwaj skierowali się w stronę stosu drewna. Berit zaczął mamrotać pod nosem zaklęcie, ukrywając towarzyszące mu drobne gesty.

- Kto to jest? - I znów wargi Khalada się nie poruszyły.

- Wciąż nad tym pracuję - szepnął Berit. Uwolnił zaklęcie tak powoli, że zdawało się niemal ściekać z czubków jego palców.

Po chwili powróciło zrozumienie, zupełnie jakby rozpoznał czyjś akcent - tyle że nikt nic nie mówił.

- To Styrik - rzekł cicho.

- Zalasta?

- Raczej nie. Chybabym go rozpoznał. Ktoś, kogo nigdy dotąd nie spotkałem.

- Nie za dużo drewna, mój panie? - rzekł głośno Khalad. - Pamiętaj, że ten stos musi nam jeszcze wystarczyć na śniadanie.

- Dobrze mówisz - odparł z aprobatą Berit. Ponownie sięgnął w mrok, bardzo ostrożnie. - Oddała się - mruknął. - Skąd wiedziałeś, że nas obserwuje?

- Czujęm. - Khalad wzruszył ramionami. - Zawsze wiem, kiedy ktoś na mnie patrzy. Ile hałasu narobisz, kontaktując się z Aphrael?

- To jedno z lepszych zaklęć. W ogóle go nie słyhać.

- Lepiej jej o tym powiedz. Niech wie, że nas obserwują i że jest w to zamieszany Styrik.

Khalad ukląkł i zaczął starannie wsuwać połamane gałęzie do ognia.

- Twoje przebranie chyba się sprawdza - zauważył.

- Skąd ten wniosek?

- Gdyby wiedzieli, kim naprawdę jesteś, nie marnowaliby na ciebie Styrika.

- Chyba że zostali im już tylko Styricy. Urządzone przez Stragena obchody Święta Plonów mogły okazać się skuteczniejsze, niż sądzimy.

- Moglibyśmy się o to sprzeczać przez całą noc i nie dojść do żadnych wniosków. Po prostu powiedz Aphrael o naszym gościu. Przekaze to innym i niech oni zawracają sobie głowę, próbując wszystko logicznie wytłumaczyć.

- Nie ciekawi cię to?

- Nie aż tak, żebym miał z tego powodu nie dosypiać. To jedna z zalet bycia chłopem, mój panie. Nie musimy znajdować odpowiedzi na najważniejsze pytania świata. Tę przyjemność pozostawiamy wam, arystokracji.

- Dzięki - mruknął kwaśno Berit.

- Bardzo proszę, mój panie. - Khalad uśmiechnął się szeroko.

* * *

Sparhawk nigdy dotąd nie musiał zarabiać na życie i odkrył, że niespecjalnie mu się to podoba. Wkrótce znienawidził twardo-głowego bosmana kapitana Sorgiego. Był to głupi, złośliwy i niepotrzebnie okrutny prostak. Płaszczył się niemiłosiernie, gdy tylko Sorgi pojawił się na pokładzie, kiedy jednak kapitan wracał pod pokład, bosman dawał nad sobą zapanować swej prawdziwej naturze. Szczególną przyjemność zdawało się sprawiać mu nękanie najnowszych członków załogi, toteż przydzielał im najgorsze, najbardziej męczące i obrzydliwe zadania na statku. Sparhawk odkrył nagle, iż w pełni podziela przesady klasowe Khalada. Czasami nocą przyłapywał się na tym, że poważnie rozważa morderstwo.

- Każdy nienawidzi swego pracodawcy, Fronie - powiedział Stragen, używając pseudonimu Sparhawk. - To naturalna kolej rzeczy.

- Mógłbym go znieść, gdyby nie dokładał wszelkich sił, żeby nam dopiec - warknął Sparhawk, szorując pokład kawałem pumeksu.

- Za to mu płacą, przyjacielu. Wściekli ludzie ciężiej pracują. Twój problem polega częściowo na tym, że zawsze patrzysz mu prosto w oczy. Nie wyróżniałby cię tak, gdybyś spuścił wzrok. Jeśli tego nie zrobisz, to będzie dla ciebie bardzo długa podróż.

- Albo krótka dla niego - odparł Sparhawk z mroczną miną.

Zastanawiał się nad tym tej nocy, próbując bez powodzenia zasnąć w hamaku. Pożałował gwałtownie, iż nie może dostać w swe ręce idioty, który wymyślił, że ludzie mają

sypiać w hamakach. Kołysanie statku sprawiało, że huśtał się gwałtownie i Sparhawk miał wrażenie, iż zaraz wypadnie.

- Anakho. - Głos był jedynie szeptem w jego umyśle.

- Błękitna Rózo? - odparł oszołomiony Sparhawk.

- Proszę, Anakho, głośno nie przemawiaj. Głos twój jako grzmot zabrzmiał w uszach moich. Cicho mów w głębiach umysłu twego. Ja cię usłyszę.

- Jak to możliwe? - Sparhawk pospiesznie inaczej sformułował tę myśl. - Zamkniętyś przecie.

- Cóż ma moc zdolną mię uwięzić, Anakho? Gdy sam jesteś i umysł twój wolnym pozostaje, wówczas pomówić możemy.

- Nie wiedziałem o tym.

- Dotąd potrzeby takiej nie było.

- Rozumiem. Ale teraz jest.

- Tak.

- Jako barierę złota przeniknąłeś?

- Bariera dla mnie nie jest, Anakho. Inni, gdy zamknięty w twej szkatule, wyczuć mię nie mogą, ja jednak sięgnąć do ciebie potrafię. Zwłaszcza zaś gdy blisko mnie pozostajesz.

Sparhawk położył rękę na wiszącej na szyi skórzanej sakwie i poczuł kanciaste kształty szkatułki.

- I w razie potrzeby i ja mówić tak z tobą mogę?

- Jako i teraz, Anakho.

- Dobrze to wiedzieć.

- Niepokój twój wyczuwam, Anakho, i podzielam lęk o los twej małżonki.

- Miłe to z twojej strony, Błękitna Rózo.

- Wysiłeków wszelkich dołoż, by królową swą uwolnić, Anakho. Ja tymczasem obserwować nieprzyjaciół naszych będę. - Klejnot pod dłonią Sparhawka umilkł na chwilę. - Wysłuchaj mię, przyjacielu - podjął Bhelliom. - Gdyby stało się, że wyjścia innego przed sobą nie dostrzeżesz, nie lękaj się i oddaj mię, coby wolność połowicy zapewnić.

- Tego nie uczynię, albowiem mi zabroniła.

- Nie lękaj się, gdybyś uczynić to musiał, Anakho, ja bowiem nie poddam się Cyrgonowi, nawet gdyby los dziecięcia mego, które kocham jako i ty własne, zagrożony był mą odmową. Pewny bądź, iż nie dozwolę, by dziecię me — ani twoje czy twego ludu -w niewolę Cyrгона popadło, czy gorzej jeszcze, Klcela. Przyrzekam ci tedy, iż nigdy się tak nie

stanie. Gdyby zaś klęska nam groziła, przyrzekam zniszczyć córę mą i wszystkich, co na niej żyją, byle tylko temu zapobiec.

- I to ma mnie pocieszyć?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Była stale zmęczona, czasami zbliżając się niebezpiecznie do krańcowego wyczerpania, prześladowały ją też wilgoć i brud. Ubranie miała podarte i poszarpane, włosy wręcz w ruinie, jednakże te rzeczy się nie liczyły. Z chęcią poddawała się niewygodom i upokorzeniom, byle tylko powstrzymać szaleńca, który je porwał, przed wyrządzeniem krzywdy przerażonej Alean.

Świadomość, że Scarpa jest szalony, docierała do niej powoli. Od pierwszej chwili, gdy go ujrzała, wiedziała, że ma do czynienia z bezwzględny fanatykiem, jednakże z każdym nie kończącym się dniem niewoli dostrzegła nowe, coraz bardziej przekonujące dowody jego obłądu.

Był okrutny, ale Ehlana stykała się już z okrutnymi ludźmi. Potem, jak ją i Alean zmusili do biegu wilgotnymi tunelami pod ulicami Matherionu aż na przedmieścia stolicy, brutalnie wsadzili na siodła czekających koni i związali, porywacze dosłownie powlekli je w szalonym tempie drogą prowadzącą do portu Micae, na południowo-zachodnim wybrzeżu półwyspu, siedemdziesiąt pięć lig od stolicy. Normalny człowiek nie znęca się nad zwierzętami, od których zależy jego życie. To był pierwszy dowód szaleństwa Scarpy. Ich porywacz poganiał konie, chłoszcząc je niemiłosiernie, aż w końcu biedne stworzenia zaczęły potykać się z wyczerpania. Jedynymi słowami, jakie padły z jego ust przez te cztery dni, były: „Szybciej! Szybciej!”

Ehlana zadrżała, wspominając grozę nie kończącej się jazdy. Oni...

Jej koń potknął się na błotnistej ścieżce. Gwałtownie szarpnięta naprzód, powróciła myślami do rzeczywistości. Sznur, którym ciasno przywiązano jej przeguby do łęku siodła, wpił się w ciało i rany znów zaczęły krwawić. Próbowwała nieco zmienić pozycję, tak by więzy nie drażniły poranionego ciała.

- Co robisz? - spytał ostro Scarpa. Jego głos był szorstki, bliski krzyku. Scarpa zawsze krzyczał, kiedy się do niej zwracał.

- Próbuję tylko przesunąć sznur, aby nie kaleczył mi głębiej przegubów, panie Scarpo - odparła pokornie. Na samym początku podróży polecono jej tak się do niego zwracać i szybko odkryła, iż nieposłuszeństwo karane było okrutnym traktowaniem Alean oraz wstrzymywaniem im racji jedzenia i wody.

- Nie jesteś tu po, by zażywać wygód, kobieto! - wrzasnął wściekle. - Masz mnie słuchać! Widzę, co robisz. Jeśli nie przestaniesz próbować rozluźnić więzów, użyję drutu! -

Przymrużył oczy i ponownie dostrzegła dziwny błękitnawy odcień białek i nienormalnie wielkie źrenice.

- Tak, panie Scarpo - odparła swym najpokorniejszym tonem.

Zmierzył ją gniewnym, pełnym podejrzliwości spojrzeniem. Jego głodne szalone oczy poszukiwały jakiegokolwiek pretekstu, by mógł ukarać bądź poniżyć swe więźniarki.

Ehlana spuściła wzrok, wpatrując się w wyboisty, błotnisty szlak, zagłębiający się coraz bardziej w cuchnącą płataninę lian i drzew na południowym wybrzeżu Daresii.

Statek, na który wsiedli w porcie Micae, był smukłym, pomalowanym na czarno korsarskim żaglowcem, bez wątpienia nie służącym uczciwym celom. Wraz z Alean zostały bezceremonialnie zawleczone pod pokład i uwięzione w ciasnym pomieszczeniu, cuchnącym zęzą i pogrążonym w całkowitej ciemności. Dwie godziny po wyjściu w morze drzwi ich celi otwały się i do środka wmaszerował Krager wraz z dwoma smagłymi marynarzami. Jeden z nich niósł całkiem porządną posiłek, a drugi dwa cebrzyki gorącej wody, mydło i naręcze szmat, służących za ręczniki. Ehlana z trudem oparła się pokusie rzucenia mu się na szyję.

- Naprawdę bardzo mi przykro, Ehlano - rzekł Krager, mrużąc krótkowzroczne oczy - ale nie panuję nad sytuacją. Bądź bardzo ostrożna w rozmowach ze Scarpa. Pewnie zauważyłaś, że nie jest do końca normalny. - Rozejrzał się nerwowo, po czym położył na stole z desek garść tanich łojowych świec i wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi.

Po pięciu dniach żeglugi, niedługo po północy, dotarli do Ananu, portu na skraju dżungli południowego wybrzeża. Tam Ehlana i Alean zostały umieszczone w zamkniętym powozie, na którego koźle zasiadł baron Parok. Podczas przesiadki ze statku do powozu Ehlana dyskretnie przyjrzała się każdemu ze swych porywaczy w poszukiwaniu oznak słabości. Krager, mimo swego pijaństwa, był zbyt przebiegły, a Parok od dawna współpracował ze Scarpa i najwidoczniej nie przeszkadzało mu szaleństwo przyjaciela. Następnie chłodno oceniła Elrona. Już wcześniej zauważyła, że fircykowaty astelski poeta za żadną cenę nie chce spojrzeć jej prosto w oczy. Zamach na Melidere najwyraźniej wzbudził u niego wyrzuty sumienia. Elron nie był człowiekiem czynu, raczej pozerem, niezdolnym do przelewu krwi. Nagle przypomniała sobie, jak bardzo pysznił się swymi długimi lokami, gdy spotkała go po raz pierwszy, i zaciekało ją, do jakiej groźby posunął się Scarpa, żeby zmusić go do ogolenia głowy, by mógł udawać jednego z Peloich Kringa. Uznała, iż gwałt zadany fryzurze wzbudził w poecie niechęć do towarzyszy. Elron wyraźnie nie miał ochoty uczestniczyć w całej sprawie, a to czyniło go najsłabszym ogniwem. Dobrze zapamiętała sobie tę konkluzję. Być może nadejdzie czas, kiedy zdoła odnieść z niej jakąś korzyść.

Powóz dowiózł je z nabrzeża aż do wielkiego domu na przedmieściach Ananu. Tam

Scarpa spotkał się z wychudzonym Sty-rikiem o kanciastych rysach twarzy, charakterystycznych dla jego rasy. Imię przybysza brzmiało Kęska, jego oczy miały wyraz człowieka skazanego na wieczne potępienie.

- Nie obchodzą mnie niewygody! - niemal wrzasnął Scarpa w trakcie rozmowy ze Styrikiem. - Czas jest najważniejszy, Kesko, czas! Po prostu zrób to! Zniesiemy wszystko, co nas nie zabije.

Następnego ranka aż za dobrze zrozumiała znaczenie tych ‘; słów. Kęska najwyraźniej był jednym z magów renegatów, ale niezbyt dobrym. Przy ogromnym wysiłku potrafił skrócić mile dzielące ich od celu, do którego zmierzał Scarpa, lecz zaledwie po kilka naraz, a przyspieszeniu towarzyszył nieznośny, dławiący ból. Ehlana miała wrażenie, jakby niezdarny czarodziej unosił ich i popychał naprzód na oślep resztkami swych sił. Po każdym kolejnym potwornym skoku nie była pewna, czy wciąż jest w jednym kawałku. Obolała i posiniaczona, starała się jednak ukryć ból przed Alean. Łagodna wielkooka pokojówka płakała prawie bez przerwy, oszołomiona męczarniami, strachem i rozpaczliwym położeniem ich obu.

Ehlana otrząsnęła się z zamyślenia i rozejrzała czujnie. Znow zapadał wieczór. Zachmurzone niebo ciemniało nad ich głowami i nieubłaganie zbliżała się pora dnia, której Ehlana obawiała się najbardziej.

Scarpa spojrział z pogardą na Keskę, który chwiał się w siodle niczym wiotka trzcina, wyraźnie bliski wyczerpania.

- Zajechaliliśmy wystarczająco daleko - oznajmił. - Rozbijcie obóz i ściągnijcie kobiety z koni. - Jego mętne oczy rozbłysły, gdy spojrział Ehlanie prosto w twarz. - Czas, by zubożała królowa Elenów znow błagała o kolację. Mam nadzieję, że tym razem okaże się bardziej przekonująca. Naprawdę przykro mi odmawiać, gdy jej prośby nie są dość szczere.

* * *

- Ehlano - szepnął Krager, kładąc jej rękę na ramieniu. Ognisko przygasło i zarzyło się słabo. Ehlana słyszała dobiegające z drugiej strony prymitywnego obozowiska odgłosy chrapania.

- Co? - spytała krótko.

- Zniż głos. - Nadal miał na sobie czarny skórzany pelojski kaftan. Jego ogoloną głowę pokrywała rzadka szczecina. Cuchnący winem oddech niemal zwał z nóg. - Robię ci przysługę. Nie narażaj mnie. Zakładam, iż zorientowałaś się już, że Scarpa jest kompletnie szalony.

- Doprawdy? - odparła z ironią. - Cóż za zdumiewające stwierdzenie!

- Proszę, nie utrudniaj wszystkiego jeszcze bardziej. Wygląda na to, że popełniłem niewielki błąd w ocenie. Gdybym w pełni orientował się, jak obłąkany jest ten półstyrycki bękart, nigdy nie zgodziłbym się uczestniczyć w jego idiotycznym przedsięwzięciu.

- Czemu wariaci tak cię przyciągają, Kragerze? Wzruszył ramionami.

- Może to skaza na moim charakterze. Scarpa jest święcie przekonany, że zdoła przechrzyć swego ojca - a nawet Cyr-gona. Nie wierzy, by Sparhawk oddał Bhelliom w zamian za ciebie, i zdołał niemal przekonać pozostałych. Z pewnością spostrzegłaś już, co czuje wobec kobiet.

- Demonstrował to dostatecznie często - rzekła z goryczą. -Czy podziela zainteresowania barona Harparina małymi chłopcami?

- Scarpę interesuje jedynie on sam. Tylko siebie darzy namiętnością. Widziałem, jak godzinami przycinał swoją brodę, pozwalała mu to bowiem podziwiać odbicie w lustrze. Nie miałaś jeszcze okazji poznać jego czarującej osobowości w pełnym rozkwicie. Szczegóły wyprawy zajmują to, co nazywa umysłem. Zaczekaj, aż dotrzemy do Natayos. Wówczas ujrzysz, jak wpada w szal. W porównaniu z nim Martel i Annias to ideały normalności. Nie śmiem zostać tu zbyt długo, więc słuchaj uważnie. Scarpa uważa, że Sparhawk - kiedy już przybędzie - zabierze ze sobą Bhelliom, ale nie po to, by go na ciebie wymienić. Jest absolutnie przekonany, iż twój mąż przyjedzie, aby zmierzyć się z Cyrgonem, i wierzy, że w walce zniszczą się nawzajem.

- Sparhawk ma Bhelliom, ty głupcze, a Bhelliom jada bogów na śniadanie.

- Nie przyszedłem tu się spierać. Może Sparhawk wygra, a może nie. To nie ma nic do rzeczy. Ważne jest, w co wierzy Scarpa. Zdołał przekonać samego siebie, że Sparhawk i Cyrgon unicestwią się nawzajem. Wówczas Bhelliom pozostanie bezpieczny, w zasięgu ręki.

- A co z Zalastą?

- Mam dziwne przeczucie, że Scarpa nie spodziewa się, by Zalastą dożył końca walki. Gotów jest zabić każdego, kto wejdzie mu w drogę.

- Zamordowałby własnego ojca? Krager wzruszył ramionami.

- Więzy krwi nic nie znaczą dla Scarpy. Kiedy był młody, uznał, że matka i przyrodnie siostry wiedzą o nim rzeczy, które nie powinny dotrzeć do władz, więc je zabił. I tak ich nienawidził, toteż niewiele się tym przejął. Jeśli Sparhawk i Cyrgon rzeczywiście unicestwią się nawzajem, a w tym czasie Zalastą dozna nagłego śmiertelnego ataku moralności, Scarpa może być jedyną osobą, która przejmie Bhelliom. Ma w tych dżunglach całą armię, a gdyby zdobył też Bhelliom, może mu się udać. Pomaszeruje na Matherion,

zajmie miasto i wymorduje rząd. Potem koronuje się na cesarza. Osobiście w to wątpię, toteż, na miłość boską, opanuj swój temperament. W jego planach się nie liczysz, lecz w moich i Zalasty odgrywasz kluczową rolę. Jeśli zrobisz cokolwiek, by sprowokować Scarpę, zabije cię równie szybko, jak polecił Elronowi zabić twoją damę dworu. Zalastą i ja wierzymy, iż Sparhawk wymieni Bhelliom za ciebie, ale tylko jeśli będziesz żyła. Nie rozwścieczaj tego wariata. Jeżeli cię zabije, nasze plany wezmą w łeb.

- Czemu mi to mówisz, Kragerze? Chodzi ci o coś jeszcze, prawda?

- Oczywiście. Gdyby nam się nie powiodło, chciałbym, byś przemówiła w mojej obronie podczas procesu.

- Obawiam się, że to na nic ci się nie zda - odparła słodko. - Nie czeka cię żaden proces. Sparhawk oddał cię już Khaladowi, a Khalad podjął decyzję.

- Khalad? - głos Kragera zadrżał lekko.

- Najstarszy syn Kurika. Uważa, że przyczyniłeś się do śmierci jego ojca, i czuje się w obowiązku coś z tym zrobić. Przypuszczam, że mógłbyś go przekonać, ale radziłabym ci mówić bardzo szybko. Khalad to gwałtowny młody człowiek i zanim wypowiesz trzy słowa, zdąży powiesić cię na haku do mięsa.

Krager nie odpowiedział, lecz oddalił się w milczeniu; jego ogolona czaszka połyskiwała w ciemności. Ehlana musiała przyznać w duchu, że nie było to specjalnie imponujące zwycięstwo, lecz w jej sytuacji liczył się każdy, nawet najmniejszy, triumf.

* * *

- Naprawdę to robią? - w szorstkim głosie Scarpy pobrzmiwała tęsknota.

- To stary zwyczaj, panie Scarpo - odparła ustępliwie Ehlana, spuszczać wzrok. Znów jechali błotnistą ścieżką. - Cesarz Sarabian planuje jednak zaniechać tej praktyki.

- Zostanie przywrócona natychmiast po mojej koronacji. - Oczy Scarpy rozbłysły. - To właściwa oznaka szacunku. - Szaleniec miał na sobie stary aksamitny płaszcz, wyświechtany po latach noszenia, który zarzucił dramatycznym gestem na jedno ramię w groteskowej imitacji imperialnej szaty. Przy każdym zdaniu przybierał coraz to nowe absurdalne pozy.

- Jak sobie życzysz, panie Scarpo. - Powtarzanie po raz kolejny tych samych rzeczy było co prawda nużące, lecz zajmowało myśli Scarpy, a kiedy ich porywacz skupiał swą uwagę na ceremoniach i zwyczajach cesarskiego dworu w Matherionie, nie miał czasu wymyślać nowych sposobów uprzykrzania życia więźniarkom.

- Opisz to ponownie - polecił. - Muszę wiedzieć dokładnie, jak się to robi, abym mógł

karać wszystkich, którzy postąpią wbrew zwyczajowi.

Ehlana westchnęła.

- Gdy jego wysokość zbliża się, dworacy klękają...

- Na oba kolana?

- Tak, panie Scarpo.

- Wspaniale! Wspaniale! - Jego twarz promieniała zachwytem. - Mów dalej.

- Potem, gdy cesarz ich mija, skłaniają się, opierając dłonie na podłodze, i dotykają czołami posadzki.

- Cudownie! - Nagle zachichotał wysokim, niemal dziewczęcym głosem, który kompletnie ją zaskoczył. Zerknęła na niego szybko. Jego rysy wykrzywiły się groteskowo w wyrazie nieziemskiego zachwytu, a potem oczy rozszerzyły się w niemal religijnej ekstazie. - I Tamulowie rządzący światem poddadzą się mojej potędze! - zadeklamował donośnym głosem. - Cała władza będzie moja! Rządy świata spoczną w moich rękach, a nieposłuszeństwo oznaczać będzie śmierć!

Słyszając tę gadaninę, Ehlana zadrżała.

Kiedy wilgotny mrok ogarnął leśny obóz, przyszedł do niej znowu, przyciągany głodem, żądzą, której nie umiał opanować. Było to wstrętne, lecz Ehlana szybko pojęła, iż jej wiedza, dotycząca tradycji i zwyczajów dworskich daje jej nad nim ogromną władzę. Głód Scarpy był wszechogarniający i tylko ona umiała go zaspokoić. Toteż korzystała z tej władzy, czerpiąc z niej siłę i pewność siebie, napawając się nią, nawet gdy Krager i pozostali odsuwali się z odrazą i przerażeniem.

- Dziewięć żon, mówisz! - Głos Scarpy brzmiał niemal błagalnie. - Czemu nie dziewięćdziesiąt? Czemu nie dziewięćset?

- Tak każe zwyczaj, panie Scarpo. Jego pochodzenie jest chyba oczywiste.

- Och, jasne, jasne. - Zastanawiał się przez chwilę. - Ja będę miał dziewięć tysięcy - oznajmił. - A każdą bardziej pociągającą niż poprzednia. Kiedy zaś z nimi skończę, oddam je wiernym żołnierzom. Niechaj żadna kobieta nie śmie sądzić, że zyska władzę dzięki moim łaskom. Wszystkie kobiety to dziwki! Będę je kupował i wyrzucał, kiedy mnie znudzą. - Jego wyłupiaste oczy wpatrywały się w ognisko. Migoczące płomienie odbijały się w nich i jeszcze jakby podsycaly ukryte szaleństwo.

Nachylił się i położył na jej ramieniu dłoń w porozumiewawczym geście.

- Widzę to, czego inni nie dostrzegają, bo są zbyt głupi. Inni patrzą, ale nie widzą, ale ja widzę. O tak! I to jak wyraźnie! Wszyscy w tym uczestniczą, wiesz. Absolutnie wszyscy. Obserwują mnie. Zawsze mnie obserwowali. Nigdy nie mogę uwolnić się od ich oczu,

patrzących na mnie, patrzących, śledzących. I rozmów. Rozmów za zasłoną dłoni. Cynamonowych oddechów owiewających twarze. Wszyscy wstrętnei, zepsuci - spiskują, zmawiają się przeciw mnie. Próbują mnie zniszczyć. Ich oczy -miękkie, ukryte, ocienione rzęsami, kryjącymi sztylety nienawiści. Ciągłe patrzają, patrzają. - Jego głos brzmiał coraz ciszej i ciszej. - I mówią, mówią. Za zasłoną dłoni, tak abym nie słyszał ich słów. Szepczą. Zawsze to słyszę. Syczące szmery ich nie kończących się szeptów. Ich wzrok podąża za mną, gdziekolwiek idę - a także śmiechy i szepty. Słyszę syk, syk ich szeptów, nie kończących się szeptów, zawsze powtarzających moje imię - Ssscar-pa, Ssscar-pa, Ssscar-pa, i raz jeszcze, i jeszcze; syczą mi w uszy. Wystawiają na pokaz okrągłe ramiona, wywracają poczernionymi oczami, spiskują, zmawiają się ciągłym syczącym szeptem, zawsze próbują mnie zranić, Ssscar-pa, Ssscar-pa, próbują mnie poniżyć. - Jego błękitnawe białka połyskiwały dziko, usta i brodę pokrywały drobinki piany. - Sprawili, że byłem niczym. Nazywali mnie bękartem Selgi i dawali mi grosze, abym poprowadził ich do łóżka mojej matki i sióstr. Bili mnie, śmiali się, kiedy krzychałem. Pożądali mojej matki i sióstr. I wszędzie wokół te syki, a ja czułem zapach dźwięków - słodki, dławiący zapach gnijącego ciała i starych żądź, fioletowych, wijących się wśród płynnych syków, ich szeptów...

Nagle w szalonych oczach rozblęła panika. Odskoczył od niej i upadł, kuląc się w błocie.

- Proszę, matko! - wrzasnął. - Ja tego nie zrobiłem! To Silbie! Proszęproszęproszę, nie zamykaj mnie tam znowu! Nie każ mi siedzieć po ciemku! Proszęproszęproszę, nie po ciemku! Nie po ciemku! - Zerwał się na nogi i uciekł do lasu, odprowadzany echami ostatniego „proszęproszęproszę”.

Ehlana poczuła, jak nagle ogarniają nieznośna bolesna litość. Schyliła głowę i zapłakała.

* * *

Zalasta czekał na nich w Natayos. W szesnastym i na początku siedemnastego wieku cywilizacja ardzuńska rozkwitła. Rozkwit ten zawdzięczała zresztą świetnie prosperującemu handlowi niewolników. Jednakże najazd na południowy Atan w połączeniu z kilkoma poważnymi błędami politycznymi tamulskich administratorów tego rejonu doprowadził do niekontrolowanej atańskiej ekspedycji karnej. Natayos było wówczas klejnotem wśród tutejszych miast, pełnym wyniosłych budowli i szerokich alej. Obecnie w miejscu tym pozostały tylko zapomniane ruiny, ukryte w dżungli. Splecione pnącza porastały zwalone

budynki, rozległe sale stały się domem skrzeczących małp i barwnych tropikalnych ptaków, a w mroku piwnic zamieszkały węże i ich ofiary, szczury.

Teraz jednak ludzie powrócili do Natayos. Stacjonowała tam armia Scarpy; oddziały Ardżunich, Cynesgan i zbieranina obdartych Elenów oczyściły dzielnice nieopodal północnej bramy starożytnego miasta, pozbywając się pnączy, drzew, małp i gadów po to, by mógł tam zamieszkać człowiek.

Zalasta stał oparty na lasce przy na wpół zwalonej bramie.

Twarz nad srebrzystą brodą miał ściągnięta ze zmęczenia. Oczy spoglądały z beznadziejnym bólem. Jego pierwszą reakcją na widok syna z więźniarkami była wściekłość. Warknął na Scarpę po styricku, w języku, który zdawał się wręcz stworzony do udzielania reprymend. Niestety Ehlana nie rozumiała ani słowa, niemniej jednak z głęboką satysfakcją patrzyła, jak twarz Scarpy przybiera załęczony wyraz. Mimo swej pozy i przekonania o własnej absolutnej wyższości Scarpa nadal zdawał się lękać starego Styrika, który przypadkiem go spłodził.

Raz, i tylko raz, najwyraźniej urażony czymś, co powiedział do niego Zalasta tonem najwyższej pogardy, Scarpa wyprostował się i warknął coś w odpowiedzi. Reakcja Zalasty była natychmiastowa i gwałtowna. Potężnym ciosem posłał syna na ziemię, po czym wycelował w niego wypolerowaną laską i wymamrotał kilka słów. Z czubka laski wystrzeliła ognista plama światła, która uderzyła chwiejącego się Scarpę prosto w brzuch. Szalencie zgął się wpół, wbijając palce w brzuch i wrzeszcząc z bólu. Upadł w błoto, kopiąc i wijąc się coraz mocniej, w miarę jak zakłęcie Zalasty wnikało głębiej w ciało. Jego ojciec, wciąż celując weń śmiertcioną laską, przez kilka nie kończących się minut obserwował wstrząsnanego drgawkami syna.

- Teraz już rozumiesz? - spytał w końcu martwym głosem, tym razem po tamulsku.

- Tak! Tak, ojcze! - wrzasnął Scarpa. - Przestań! Błagam cię! Zalasta pozwolił mu więc się jeszcze trochę, po czym powoli uniósł laskę.

- Nie ty tu rządzisz - oznajmił. - Jesteś jedynie chorym na umyśle błaznem. Tuzin innych ludzi mogłoby dowodzić tą armią, więc nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości. Następnym razem, syn czy nie syn, pozwolę, by zakłęcie zadziało w pełni. Ból jest jak choroba, Scarpo. Po kilku dniach bądź tygodniach ciało zaczyna poddawać się rozkładowi. Można umrzeć z bólu. Nie zmuszaj mnie, abym ci to udowodnił. - Z tymi słowami odwrócił się plecami do pobladłego, zlanego potem syna. - Proszę przyjąć moje przeprosiny, wasza wysokość - rzekł, zwracając się do Ehlany. - Nie chciałem tego.

- A czego chciałeś, Zalasto? - spytała chłodno.

- Cały spór dotyczy twojego męża i mnie, Ehlano. Nigdy nie zamierzałem narażać cię na takie niewygody. Ten kretyn, którego niestety muszę uznać za potomka, sam postanowił znęcać się nad tobą. Przysięgam, że w dniu, w którym uczyni to ponownie, nie dożyje zachodu słońca.

- Rozumiem. Ból i poniżenia nie były częścią twojego planu. Ale porwanie - owszem. Co za różnica, Zalasto? - Styrik westchnął i przetarł oczy znużoną dłonią.

- To było konieczne - rzekł.

- Ale po co? Wiesz przecież, że Sephrenia nigdy ci się nie odda. Nawet jeśli Bhelliom i pierścienie wpadną w twoje ręce, nie zdołasz jej zmusić, by cię pokochała.

- Istnieją jeszcze inne względy, królowo Ehlano - odrzekł ze smutkiem. - Proszę, weź ze sobą pokojówkę i chodź za mną. Zaprowadzę was do waszych kwater.

- Pewnie w jakimś lochu? Ponownie westchnął.

- Nie, Ehlano. Wasze pokoje są czyste i wygodne. Sam tego dopilnowałem. Gwarantuję, iż wasze męki dobiegły końca.

- Moje męki, jak je nazywasz, nie zakończą się, póki nie wrócę do męża i córki.

- Módlmy się zatem, żeby nastąpiło to jak najszybciej. To już jednak zależy od księcia Sparhawk. Musi jedynie postępować zgodnie z instrukcjami. Twoje pokoje są niedaleko. Proszę, chodź ze mną.

Poprowadził je do pobliskiego budynku i otworzył drzwi. Ich więzienie okazało się niemal luksusowe. Był to apartament składający się z kilku sypialni, jadalni, dużego salonu i nawet kuchni. W budynku niewątpliwie mieścił się kiedyś pałac jakiegoś szlachcica i choć wyższe piętra już dawno się zawaliły, pokoje na parterze, o sufitach podpartych potężnymi łukami, pozostały nietknięte. Meble były ozdobne, choć nie pasowały do siebie. Podłogi pokrywały dywany, a w oknach wisiały zasłony - nie do końca jednak przesłaniając niedawno zamontowane, solidne żelazne kraty.

Wielki kominki wypełniały płonące drwa - nie dla ochrony przed minimalnym chłodem ardzuńskiej zimy, lecz po to, by wysuszyć powietrze w pokojach, w których przez tysiąc lat zalegała wilgoć. Więźniarki znalazły tam również świeżo posłane łóżka i stroje ardzuńskiego kroju. Lecz przede wszystkim odkryły komnatę z wielką marmurową wanną w podłodze. Oczy Ehlany spojrzały tęsknie na ten ostateczny luksus. Była nią tak zafascynowana, że ledwie słyszała przeprosiny Zalasty. Po kilku niewyraźnych odpowiedziach Styrik pojął, że jego dalsza obecność nie będzie mile widziana, toteż pożegnał się uprzejmie i wyszedł.

- Alean, moja droga - rzekła Ehlana rozmarzonym głosem - to całkiem spora wanna -

wystarczająca dla nas obu, nie sądzisz? Alean także patrzyła na wannę z nieskrywaną tęsknotą.

- Z łatwością, wasza wysokość.

- Jak uważasz, ile czasu trzeba, by nagrzać dość wody?

- W kuchni jest mnóstwo dużych garnków i kociołków, moja j królowo - odparła łagodna pokojówka. - I napalono we wszyst- ,, kich kominkach. To nie potrwa zbyt długo.

- Cudownie - odparła z entuzjazmem Ehlana. - Może zatem zaczniemy?

* * *

- Kim dokładnie jest Klael, Zalasto? - spytała Ehlana Styrika kilka dni później, gdy zjawił się u nich. Zalasta często odwiedzał , ich więzienie, jakby wizyty te w jakiś sposób łagodziły jego poczucie winy. Zawsze dużo mówił: długie, chaotyczne, czasem nie powiązane ze sobą przemowy zdradzały niekiedy znacznie więcej, niż zamierzał powiedzieć.

- Klael to wieczna istota - odparł. Ehlana zauważyła mimochodem, że mocno akcentowany eleński, który tak bardzo irytował ją po ich pierwszym spotkaniu w Sarsos, ustąpił pola zwykłej wymowie. Kolejny podstęp - uznała w duchu.

- Klael jest bardziej odwieczny niż bogowie tego świata -ciągnął Zalasta. - W jakiś sposób łączy się z Bhelliomem. To konkurujące ze sobą porządki rzeczy czy coś w tym stylu. Byłem nieco zdenerwowany, gdy Cyrgon wyjaśniał mi to wszystko, toteż nie do końca zrozumiałem.

- Wyobrażam sobie - mruknęła.

Związek łączący ją i Zalastę był szczególnie. Okoliczności sprawiały, iż ataki gniewu i dumne gesty stanowiłyby jedynie stratę czasu, toteż Ehlana traktowała go uprzejmie. Ze swej strony Zalasta wydawał się wdzięczny i owa wdzięczność sprawiała, iż bardziej się otwierał. Uprzejmość, która nic ją nie kosztowała, pozwoliła Ehlanie zdobyć wiele użytecznych informacji, wyluskanych z gadaniny Styrika.

- W każdym razie - ciągnął Zalasta - Cyzada był przerażony, kiedy Cyrgon rozkazał mu wezwać Klaela, i usilnie starał się namówić boga, by tego nie robił. Cyrgon jednak pozostawał niewzruszony, a kiedy Sparhawk zręcznie odebrał mu trolle, wpadł we wściekłość. Nigdy nie braliśmy pod uwagę ewentualności, że Sparhawk mógłby uwolnić z więzienia bogów trolli.

- To był pomysł pana Ulatha - wtrąciła Ehlana. - Ulath zna ^ie na trollach.

- Najwyraźniej. W każdym razie Cyrgon zmusił Cyzadę do wezwania Klaela, lecz

Klael natychmiast po przywołaniu wyruszył na poszukiwanie Bhelliomu. To poruszyło Cyrгона - zamierzał trzymać Klaela w odwodzie, można rzec, w ukryciu, i uwolnić go z zaskoczenia. Plany te spełzły na niczym, gdy Klael popędził na Przylądek Północny stawić czoło Bhelliomowi. Teraz Sparhawk wie, że Klael tu jest - choć nie mam pojęcia, jak mógłby zareagować. Dlatego właśnie wezwanie Klaela było tak wielkim idiotyzmem. Jego nie da się kontrolować. Usiłowałam wyjaśnić to Cyrgonowi, ale nie chciał mnie słuchać. Naszym celem jest zdobycie Bhelliomu, a Klael i Bhelliom to odwieczni wrogowie. Gdy tylko Cyrgon ujmie w dłoń Bhelliom, Klael go zaatakuje, a jestem pewien, iż Klael dysponuje nieskończenie większą mocą niż on. - Zalasta obejrzał się ostrożnie. - Obawiam się, że Cyrgai w znacznej mierze są odbiciem własnego boga. Cyrgon nienawidzi inteligencji i gardzi nią. Czasami bywa przerażająco głupi.

- Przykro mi to mówić, Zalasto - rzekła nieszczercze Ehlana -lecz najwyraźniej przejawiasz tendencję do otaczania się nieudacznikami. Annias, jak się zdaje, był dość sprytny, lecz obsesja na punkcie stolca arcyprałata zaszkodziła jego osądowi; a żądza zemsty Martela sprawiła, że on sam także nie myślał racjonalnie. Z tego, co słyszałam, Otha był tępy jak pień, a Azash tak żywiołowy, że obchodziły go wyłącznie własne namiętności. Nie potrafił nawet logicznie myśleć.

- Wiesz o wszystkim, prawda, Ehlano? - rzekł. - Skąd, u licha, zdobyłaś te informacje?

- Nie wolno mi powiedzieć - odparła.

- To zresztą nieważne - rzekł z roztargnieniem. Nagle jego twarz przybrała tęskny wyraz. - Jak się miewa Sephrenia? - spytał.

- Bardzo dobrze. Kiedy jednak dowiedziała się o tobie, przeżyła wstrząs, a próba zamachu na życie Aphrael była naprawdę kiepskim pomysłem. To właśnie przekonało Sephrenię o twojej zdradzie.

- Straciłem głowę - wyznał. - Ta przeklęta Delficzka jednym gestem zniszczyła trzysta lat cierpliwej pracy.

- Przypuszczam, że to nie moja sprawa, ale czemu nie zaakceptowałeś faktu, że Sephrenia jest całkowicie oddana Aphrael, i nie dałeś sobie spokoju? Wiesz chyba, że w żaden sposób nie mógłbyś konkurować z boginią-dzieckiem.

- Czy ty mogłabyś zaakceptować fakt, iż Sparhawk oddał się innej? - spytał oskarżycielsko.

- Nie - przyznała. - Chyba nie. Miłość sprawia, że robimy najdziwniejsze rzeczy, prawda, Zalasto? Ja przynajmniej otwarcie postawiłam sprawę. Może gdybyś nie próbował podstępów i kłamstw, wszystko potoczyłoby się inaczej. Aphrael daje się czasem przekonać.

- Może i tak - odparł, po czym westchnął głęboko. - Ale teraz nigdy już tego nie sprawdzimy.

- Nie. Już na to za późno.

* * *

- Szklarz uszkodził taflę, osadzając ją w ramie, królowo - powiedziała cicho Alean, wskazując pęknięty kącik pęcherzyko-watego szkła w dolnym rogu okna. - Był bardzo niezręczny.

- Skąd tyle wiesz o tym fachu, Alean? - spytała Ehlana.

- Mój ojciec w młodości terminował u szklarza - odparła sarniooka dziewczyna. - Naprawiał okna w naszej wiosce. -Przytknęła czubek rozpalonego pogrzebacza do kropelki ołowiu, podtrzymującej pękniętą szybę. - Muszę być bardzo ostrożna -rzekła, marszcząc brwi w skupieniu. - Jeśli jednak nie popełnię błędu, oblużę ten kawałek szkła tak, że da się go wyjmować i wkładać z powrotem. W ten sposób będziemy mogły słuchać ich rozmów na ulicy, a potem wtykać szkło na miejsce, by nie zorientowali się, co zrobiliśmy. Pomyślałam, że zaciekawia cię ich rozmowy, pani, a oni zawsze gromadzą się tuż pod tym oknem.

- Prawdziwy z ciebie skarb, Alean! - wykrzyknęła Ehlana, impulsywnie obejmując dziewczynę.

- Ostrożnie, pani! - zawołała z niepokojem Alean. - Gorące żelazo!

Pokojówka miała rację. Uszkodzone okno wychodziła na róg budynku, a Zalasta, Scarpa i pozostali kwaterowali w sąsiedniej budowli. Za każdym razem, gdy pragnęli omówić coś tak, by nie słyszeli ich żołnierze, zbierali się w osłoniętym murami zaułku tuż pod oknem. Małe szybki taniego szkła zamocowane w ramie w najlepszym razie były zaledwie półprzezroczyste, toteż przy zachowaniu minimalnej ostrożności wprowadzona przez Alean modyfikacja pozwalała Ehlanie słuchać, a nawet częściowo obserwować z ukrycia.

W dzień po jej rozmowie z Zalasta ujrzała zbliżającą się znajomą białą szatę. Twarz Styrika wyrażała najgłębszą melancholię. Tuż za nim dreptali Scarpa i Krager.

- Musisz się z tego otrząsnąć, ojczy - mówił nagłaco Scarpa. - Żołnierze zaczynają gadać.

- Niech sobie gadają - odparł krótko Zalasta.

- Nie, ojczy - zaprotestował Scarpa głębokim teatralnym głosem. - Nie możemy do tego dopuścić. Ci ludzie to zwierzęta. Niedostępne są im żadne myśli. Jeśli zaczniesz wędrować po ulicach z miną chłopca, któremu właśnie zdechł pies, zaczną myśleć, że coś jest

nie tak, i dezerterować całymi oddziałami. Zbyt wiele czasu i wysiłku poświęciłem, by zgromadzić te armie, abyś teraz rozpędził ich tylko dlatego, że użalasz się nad sobą.

- Nigdy nie zrozumiesz, Scarpo - odparł Zalasta. - Nie potrafisz nawet pojąć znaczenia słowa: miłość. Ty nikogo nie kochasz.

- Ależ tak, Zalasto, Kocham - warknął Scarpa. - Kocham samego siebie. To jedyny rozsądny rodzaj miłości.

Ehlana przypadkiem patrzyła właśnie na Kragera. Oczy pijaka spoglądały bystro, czujnie. Dyskretnie schował za plecy swój nieodłączny kufel i wylał większość wina. Następnie uniósł naczynie, hałaśliwie wypił resztę i beknął.

- Prze... praszam - wymamrotał i oparł się o ścianę, chwiejąc się niepewnie na nogach.

Scarpa posłał mu pełne irytacji, lekceważące spojrzenie, Ehlana jednak dokonała w myślach nowej oceny Kragera. Nie zawsze był tak pijany, na jakiego wyglądał.

- Wszystko to na nic, Scarpo - jęknął Zalasta. - Sprzymierzyłem się z szaleńcami, degeneratami i zbrodniarzami - na próżno. Sądziłem, że kiedy Aphrael zginie, Sephrenia zwróci się ku mnie. Ale ona tego nie zrobi. Prędzej umrze, niż zwiąże się ze mną.

Oczy Scarpy zwięzły się.

- Niech zatem umrze - rzekł brutalnie. - Nie potrafisz wbić sobie do głowy, że wszystkie kobiety są takie same? Kobiety to towar, jak bele siana czy baryłki wina. Spójrz na Kragera. Ile uczucia żywi wobec pustej baryłki? To nowe, pełne kocha, prawda, Kragerze?

Krager uśmiechnął się szyderczo, po czym znów beknął.

- Prze... praszam - powtórzył.

- W ogóle nie pojmuję, skąd u ciebie ta obsesja - ciągnął Scarpa, wbijając igły w najczulszy punkt ojca. - Sephrenia to teraz przechodzony towar. Vanion posiadał ją dziesiątki razy. Masz tak mało godności, by zadowolić się resztkami po Elenie?

Nagle Zalasta z gniewnym okrzykiem rąbnął pięścią w kamienny mur.

- Prawdopodobnie tak się do niej przyzwyczaił, że nie traci już czasu na słodkie słówka - mówił Scarpa. - Po prostu bierze, czego chce, odwraca się na drugi bok i zaczyna chrapać. Wiesz, jak wyglądają eleńskie gody. A ona zapewne jest nie lepsza. Zrobił z niej Elenkę, ojciec. Nie jest już Styriczką, stała się Elenką, a nawet gorzej - mieszańcem. Naprawdę zdumiewa mnie, że marnujesz swe czyste uczucia na mieszańca. - Prychnął z pogardą. - Nie jest lepsza niż moja matka czy siostry, a wiesz dobrze, kim były.

Twarz Zalasty wykrzywiła się. Odrzucił głowę i dosłownie , zawył.

- Prędzej zobaczę ją martwą!

Błada brodata twarz Scarpy wykrzywiła się przebiegle.

- Czemu więc jej nie zabijesz, ojcze? - spytał sugestywnym szeptem. - Gdy uczciwa kobieta raz trafi do łóżka Elena, nigdy już nie można jej zaufać. Wiesz przecież. Nawet gdybyś ją przekonał, żeby za ciebie wyszła, nie dochowałaby ci wierności. - W nieszczerym geście współczucia położył dłoń na ramieniu ojca. - Zabij ją - poradził. - Przynajmniej twoje wspomnienia pozostaną czyste. Ona sama nigdy taka nie będzie.

Zalasta zaskowyczał, szarpiąc brodę długimi palcami. Następnie odwrócił się na pięcie i odbiegł w głąb ulicy.

Krager wyprostował się; jego pijacka poza zniknęła.

- Zdajesz sobie sprawę, że okropnie ryzykowałeś - rzekł ostrzegawczym tonem.

Scarpa spojrział na niego ostro.

- Bardzo dobrze, Kragerze - mruknął. - Niemal idealnie odegrałeś rolę pijaka.

- Kwestia praktyki. - Krager wzruszył ramionami. - Masz szczęście, że cię nie unicestwił, Scarpo, ani nie skręcił ci flaków w jeden węzeł.

- Nie mógłby tego zrobić. - Scarpa uśmiechnął się pogardliwie. - Sam jestem niezłym magiem i wiem doskonale, że rzucanie zaklęć wymaga trzeźwego umysłu. Nieustannie podsyciałem w nim wściekłość. W takim stanie jego magia nie przerwałaby nawet pajęczyny. Miejmy nadzieję, że rzeczywiście zabije Sephrenię. To poruszyłoby Sparhawkiem. Nie mówiąc już o tym, że gdy tylko pragnienie jego życia stanie się kawałem martwego mięsa, Zalasta najprawdopodobniej poderżnie sobie gardło.

- Naprawdę go nienawidzisz?

- A ty byś nie nienawidził na moim miejscu, mości Kragerze? Kiedy byłem dzieckiem, mógł zabrać mnie ze sobą, on jednak składał nam tylko wizyty i pokazywał, co znaczy być Styrikiem, a potem znów odjeżdżał, pozostawiając mnie na łasce dziwek. Jeśli brak mu odwagi, by poderżnąć sobie gardło, z radością mu w tym pomogę. - Oczy Scarpy błyszczały, uśmiechał się szeroko. - Gdzie twoja baryłka z winem, Kragerze? W tej chwili mam ochotę się upić. - I zaczął się śmiać bulgoczącym szalonym śmiechem, bez śladu rozbawienia ani jakichkolwiek ludzkich uczuć.

* * *

- To nic nie da! - Ehlana cisnęła grzebieniem w kąt komnaty. - Spójrz, co zrobili z moimi włosami! - Ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem.

- Da się to jeszcze naprawić, pani - odparła miękko Alean. - Pamiętam pewną fryzurę, którą noszą w Cammorii. - Uniosła ciężkie jasne loki po prawej stronie głowy Ehlany i

przerzuciła je na drugą stronę. - Widzisz, pani? Zakrywa wszystkie łyse miejsca i wygląda naprawdę szykownie.

Ehlana z nadzieją zerknęła w lusterko.

- Rzeczywiście, nie wygląda aż tak źle, prawda? - ustąpiła.

- A gdybyśmy wpięły ci za prawe ucho kwiat, byłoby jeszcze lepiej.

- Alean, jesteś cudowna! - wykrzyknęła radośnie królowa. — Co ja bym bez ciebie poczęła?

Czesanie zabrało im niemal godzinę, wreszcie jednak łyse miejsca zostały zasłonięte i Ehlana poczuła, że dzięki temu odzyskała nieco godności.

Tego wieczoru jednak odwiedził je Krager. Stał, kołysząc się w drzwiach, patrząc na nią przekrwionymi oczami. Na jego wargach tańczył pijacki uśmieszek.

- Czas żniw, Ehlano - oznajmił wyciągając sztylet. - Wygląda na to, że znów potrzeba mi porcji twoich włosów.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Niebo nadal było zachmurzone, ale na szczęście nie padało. Ostry wiatr znad Zatoki Micaeńskiej przewiewał ich na wylot, toteż obaj ciasno opatulili się płaszczami. Choć Khalad twierdził, że najkorzystniej dla nich jest utrzymać wolne tempo, Berita zżerała niecierpliwość. Co prawda odgrywali tylko niewielką rolę w ogólnych planach, lecz wiedział, że prędzej czy później dojdzie wreszcie do konfrontacji sił, i chciał to już mieć za sobą.

- Jak możesz być taki spokojny? - spytał Khalada. Minęło już południe, a wiatr od morza był tego dnia szczególnie zimny i wilgotny.

- Jestem rolnikiem, Sparhawk - odparł giermek, drapiąc się po krótkiej czarnej brodzie. - Czekanie na to, by dojrzały plony, uczy człowieka nie spodziewać się zmian z dnia na dzień.

- Chyba nigdy nie zastanawiałem się, jak to jest: siedzieć beczynn timer i czekać, aż coś wyrośnie.

- Rolnicy raczej rzadko siedzą beczynn timer - poinformował go Khalad. - Na farmie zwykle jest więcej rzeczy do zrobienia niż godzin dziennego światła, a jeśli zaczniesz się nudzić, zawsze pozostaje ci obserwowanie nieba. Praca całego roku może pójść na marne przez krótkotrwałą suszę albo nagłe gradobicie.

- O tym też nie pomyślałem. - Berit zastanowił się chwilę. - To dlatego umiesz tak trafnie przepowiadać pogodę?

- Owszem.

- Kryje się w tym jednak coś więcej. Zawsze wiesz o wszystkim, co dzieje się wokół ciebie. Wtedy, na pomoście, natychmiast wyczuwałeś najmniejsze zmiany jego kursu.

- To się nazywa „mieć oko na wszystko”, mój panie. Świat wokół wciąż do nas krzyczy, lecz większość ludzi w ogóle go nie słucha. To mnie naprawdę zadziwia. Nie pojmuję, jak można nie dostrzegać tak wielu rzeczy.

Berit przyjął jego słowa z lekką urazą.

- No dobrze, a co w tej chwili krzyczy do ciebie świat, choć ja nie słyszę?

- Mówi mi, że dziś wieczór będziemy potrzebowali solidnego schronienia. Pogoda wkrótce się pogorszy.

- Skąd ten wniosek? Khalad wskazał ręką.

- Widzisz te mewy?

- Owszem. Ale co one mają z tym wspólnego?

Khalad westchnął.

- Czym żywią się mewy, mój panie?

- Praktycznie wszystkim - zwłaszcza zaś rybami.

- Czemu zatem lecą w głąb łądu? Nie znajdują tam przecież zbyt wielu ryb. Zobaczyły nad zatoką coś, co im się nie spodobało, i uciekają. Praktycznie jedyną rzeczą, jaka może przerazić mewę, jest wiatr - i towarzyszące mu wysokie fale. Nad morzem zrywa się sztorm i zmierza w tę stronę. To właśnie krzyczy do mnie świat.

- A zatem wszystko opiera się na zdrowym rozsądku?

- Jak większość rzeczy, Sparhawku - na rozsądku i doświadczeniu. - Khalad uśmiechnął się lekko. - Nadal wyczuwam obecność przysłanego przez Kragera Styrika. Wciąż nas obserwuje. Jeśli podobnie jak ty nie zwraca uwagi na otoczenie, czeka go niezbyt przyjemna noc.

Berit zaśmiał się złośliwie.

- Jakoś mnie to nie martwi - odparł.

* * *

Nie była to już wieś, ale jeszcze nie do końca miasto. Po pierwsze, mogła się poszczycić trzema ulicami; po drugie, naliczyli co najmniej sześć piętrowych budynków. Jednakże ulice były błotniste i wędrowały po nich świnie. Domy zbudowano głównie z drewna i pokryto strzechami. Przy teoretycznie głównej ulicy stała gospoda, spory budynek, przed którym czekały dwa rozklekotane wozy, zaprzężone w znudzone muły. Ulath ściągnął wodze zmęczonego starego konia, kupionego w wiosce.

- Jak myślisz? - zagadnął przyjaciela.

- Sądziłem już, że nigdy nie spytasz - odparł Tynian.

- Równie dobrze możemy od razu wynająć pokój - zaproponował Ulath. - I tak zapada wieczór, a mnie zmęczyło sypianie na ziemi. Poza tym zaczynam już tęsknić za kąpielą.

Tynian uniósł wzrok ku odległym o kilkanaście lig szczytom Gór Tamulskich, rysującym się ostro na tle zachodniego nieba.

- Nie chciałbym kazać trollom czekać, Ulacie - odparł z udawaną powagą.

- Nie jesteśmy przecież umówieni na konkretną datę. Zresztątrolle i tak niczego nie zauważą. Ich wycucie czasu jest dość mgliste.

Wjechali na podwórze, przywiązali wierzchowce do poręczy przed stajnią i weszli do gospody.

- Potrzebny nam pokój - poinformował właściciela Ulath w mocno akcentowanym tamulskim.

Gospodarz - niski, przebiegły mężczyzna - oszacował wzrokiem przybyszów, dostrzegając fragmenty mundurów, z których • składały się ich stroje. Jego twarz skrzywiła się z odrazy.

Żołnierze na ogół nie byli zbyt mile widziani w wiejskich społecznościach, i to nie bez przyczyny.

- No cóż - odparł jęklwym, zawodzącym głosem - sam nie wiem. To środek sezonu...

- Późna jesień? - przerwał sceptycznie Tynian. - To jest wasz środek sezonu?

- No... przecież w każdej chwili mogą zjawić się wozacy. Ulath zajrzał ponad ramieniem karczmarza do niskiej, zadymionej sali jadalnej.

- Naliczyłem trzech - oznajmił krótko.

- Wkrótce z pewnością dołączą do nich następni - odrzekł nieco zbyt pospiesznie tamten.

- Ależ oczywiście. - W głosie Tyniana zabrzmiała ironia. -Tyle że my już tu jesteśmy i mamy pieniądze. Wolisz zaryzykować pewny zarobek, licząc na szczęśliwy traf, który miałby sprowadzić tu o północy jakiś wóz?

- On po prostu nie chce się zadawać ze zwolnionymi z wojska weteranami, kapralu - wtrącił Ulath. - Chodźmy pomówić z miejscowym komisarzem. Z pewnością zainteresuje go, jak nasz przyjaciel traktuje żołnierzy jego wysokości.

- Jestem wiernym poddanym jego wysokości - zaprotestował gospodarz - i goszczenie pod moim dachem dzielnych weteranów to dla mnie prawdziwy zaszczyt.

- Ile? - uciął dyskusję Tynian.

- Pół korony?

- Nie wygląda na zbyt pewnego ceny, prawda, sierżancie? -zauważył Tynian. - Chyba źle się zrozumieliśmy - dodał, zwracając się do załęcznionego gospodarza. - Nie chcemy kupić tego pokoju, tylko wynająć go na jedną noc.

Ulath przyglądał się surowo wyraźnie przerażonemu Tamulowi.

- Osiem groszy - oświadczył nie znoszącym sprzeciwu tonem.

- Osiem? - zaprotestował piskliwie gospodarz.

- Bierz albo nie - ale decyduj się szybko. Potrzebujemy światła, żeby znaleźć komisarza.

- Twardy z pana człowiek, sierżancie.

- Nikt nie obiecywał ci łatwego życia. - Ulath odliczył monety i z brzękiem podrzucił

na dłoni. - Chcesz je czy nie?

Po chwili bolesnego wahania gospodarz niechętnie wziął monety.

- Wiesz chyba, że zepsułeś mi całą zabawę? - poskarżył się Tynian; obaj wracali do stajni, aby zająć się końmi.

- Chce mi się pić. - Ulath wzruszył ramionami. - Poza tym para byłych żołnierzy wiedziałyby z góry, ile dokładnie zapłacić, prawda? - Podrapał się po twarzy. - Zastanawiam się, czy pan Gerda miałby coś przeciw temu, gdybym zgolił jego brodę. Okropnie swędzi.

- To nie jest naprawdę jego twarz, Ulacie. Wciąż należy do ciebie. Po prostu odmieniono cię tak, byś wyglądał jak on.

- Zgoda, ale kiedy obie panie z powrotem zamienią nasze twarze, użyją mojej jako wzoru dla Gerdy i po wszystkim będzie tam stał z gołą brodą. Może mu się to nie spodobać.

Rozsiedłali konie, wprowadzili je do boksów i wrócili do baru. Tamulskie karczmy różniły się wyraźnie od eleńskich. Choćby stoły - były znacznie niższe. Sali nie ogrzewał kominek, lecz porcelanowy piecyk, który jednak dymił równie mocno jak otwarte palenisko. Wino serwowano w delikatnych kubkach, a piwo w tanich cynowych kuflach. Ogólna woń była jednak taka sama.

Właśnie unosili do ust po drugim kuflu, gdy do karczmy wmaszerował Tamul w poplamionej jedzeniem wełnianej szacie i z oficjalną miną podszedł prosto do ich stołu.

- Jeśli nie macie nic przeciw temu, chciałbym obejrzeć wasze dokumenty - oznajmił nieznośnie wyniosłym tonem.

- A jeśli mamy? - spytał Ulath. Przybysz wzdrygnął się lekko.

- Co takiego?

- Powiedziałeś: „jeśli nie macie nic przeciw temu”. A gdybyśmy tak mieli?

- Sprawdzanie dokumentów należy do moich obowiązków.

- Po co więc prosisz? - Ulath sięgnął za pazuchę czerwonej mundurowej kurtki i wyciągnął pogniecioną kartkę papieru. - W naszym dawnym regimencie szarże nigdy o nic nie prosiły.

Tamul uważnie przestudiował dokumenty, dostarczone im przez Oscagne'a jako część przebrania.

- Wygląda na to, że wszystko jest w porządku - rzekł pojednawczo. - Przepraszam, że potraktowałem was tak ostro. Kazano ; nam mieć oko na dezertersów - wiecie, całe to zamieszanie i tak dalej. Najwyraźniej według niektórych armia nagle traci na atrakcyjności, gdy tylko zanoszą się na walkę. - Spojrzał na nich z lekką zazdrością. - Widzę, że stacjonowaliście w Matherionie.

Tynian przytaknął.

- To dobra służba - tyle że pełna inspekcji i pucowania. Siądźcie, komisarzu.

Tamul uśmiechnął się słabo.

- Tylko podkomisarzu, kapralu - poprawił. - Ta dziura jest za mała na pełnego komisarza. - Rozsiadł się na krześle. - Dokąd jedziecie?

- Do domu - odparł Ulath. - Verelu w Daconii.

- Wybaczcie mi tę uwagę, sierżancie, ale nie wyglądacie na Dacitę.

Ulath wzruszył ramionami.

- Wrodziłem się w matkę. Zanim poślubiła ojca, była Astelką. Powiedzcie mi, podkomisarzu, czy oszczędzilibyśmy sobie sporo czasu, gdybyśmy przejechali prosto przez Góry Tamulskie aż do

Sopalu? Pomyśleliśmy, że złapiemy tam prom albo statek handlowy, przepawimy się przez Morze Ardzuńskie do Tiany i stamtąd ruszymy do Saras. To już blisko Verelu.

- Radziłbym trzymać się z dala od Gór Tamulskich, przyjaciele.

- Kiepska pogoda? - spytał Tynian.

- To zawsze możliwe o tej porze roku, kapralu, ale ostatnio z gór napływają niepokojące meldunki. Wygląda na to, że tamtejsze niedźwiedzie zaczęły nagle mnożyć się jak króliki. Wszyscy podróżni przejeżdżający tędy w ciągu ostatnich tygodni wspominają, że je widzieli. Na szczęście są płochliwe.

- Niedźwiedzie, powiadacie? Tamul uśmiechnął się.

- Oczywiście w tłumaczeniu. Głupi wieśniacy mówią o nich: potwory, ale przecież wszyscy wiemy, czym są wielkie włochate stworzenia, żyjące w górach.

- Wieśniacy często przesadzają. - Ulath roześmiał się, wychylając resztę piwa. - Kiedyś podczas ćwiczeń w terenie podbiegł do nas chłop, wrzeszcząc, że ściga go wataha wilków. Kiedy poszliśmy się rozejrzeć, okazało się, że to jeden mały lis. Rozmiar i liczba dzikich zwierząt, które dostrzegają chłopci, rośnie z każdą godziną.

- I opróżnionym kuflem - uzupełnił Tynian. Jeszcze chwilę rozmawiali z uprzejmym urzędnikiem, który w końcu wstał i odszedł, życząc im szerokiej drogi.

- No, dobrze wiedzieć, że trolle dotarły tak daleko na południe - rzekł Ulath. - Zdecydowanie nie miałem ochoty ich szukać.

- Ich bogowie wskazują im drogę, Ulacie - przypomniał Tynian.

- Widzę, że nigdy nie rozmawiałeś z bogami trolli. - Ulath się roześmiał. - Ich orientacja w terenie bywa dość mętna -zapewne dlatego, że na kompasie trolli występują tylko dwa kierunki.

- Tak?

- Północ i nie północ. To trochę utrudnia wyszukiwanie celów.

* * *

Burza była w istocie jedną z tych krótkich, gwałtownych wichur, które pojawiają się znikąd późną jesienią. Khalad od razu odrzucił możliwość znalezienia schronienia na słonych mokradłach, toteż zawrócili na plażę. Na brzegu płytkiej zatoczki znalazł to, czego szukał: stos wyrzuconego przez fale drewna. Po kilku godzinach ciężkiej pracy dysponowali niewielkim, przytulnym szałasem po zawietrznej stronie sterty.

Wichura uderzyła o zmierzchu. Wiatr świszczął i skowyczał wśród drewnianych szczap. Fale z hukiem atakowały plażę, a powietrze przeszywały poziome strugi deszczu.

Jednakże Khalad i Berit siedzieli bezpiecznie w ciepłe. Oparci o potężny, biały od wody i soli pień, tworzący tylną ścianę szałasu, wyciągali nogi do wesoło potrzaskującego ognia.

- Nieustannie mnie zadziwiasz, Khaladzie - powiedział Berit. - Skąd wiedziałeś, że wśród tego drewna znajdziesz deski?

- Zawsze tam są. - Khalad wzruszył ramionami. - Za każdym razem, kiedy natkniesz się na wieki stos drewna wyrzuconego przez morze, znajdziesz w nim obrobione kawałki. Ludzie budują z desek statki, a statki się rozbijają. Deski unoszą się na wodzie, póki wiatr, prądy i pływy nie zniosą ich w to samo osłonięte miejsce, w którym zbierają się patyki i pnie. - Uniósł rękę i poklepał sufit. - Przyznaję jednak, że znalezienie całej pokrywy luku było szczęśliwym trafem. - Wstał i przeszedł na przód szałasu. - Nieźle dmucha - zauważył, wyciągając ręce do ognia. - I jest zimno. Zapewne przed pomocą deszcz zmiesza się ze śniegiem.

- Owszem - zgodził się Berit. - Szczerze współczuję wszystkim, którzy taką noc muszą spędzić na dworze. - Uśmiechnął się szeroko.

- Ja też. - Khalad odpowiedział równie szerokim uśmiechem. Zniżył głos, choć nie było takiej potrzeby. - Czy wyczuwasz, o czym on myśli?

- Tylko w ogólnych zarysach - odparł Berit. - Fatalnie mu ł się wiedzie.

- Biedaczek.

- I jeszcze coś. Zamierza podejść do nas i porozmawiać. Ma dla nas jakąś wiadomość.

- Kiedy? Jeszcze dzisiaj? Berit potrząsnął głową.

- Ma rozkaz trzymać się z daleka aż do jutra rana. Ktoś powiedział mu, co i kiedy ma

robić, i nasz przyjaciel bardzo boi się tego kogoś, toteż dokładnie wypełni jego polecenia. Jak tam ‘ szynka?

Khalad dobył sztyletu i podważył ostrzem pokrywkę żelaznego garnka, do połowy zagrzebanego w żarze. Unosząca się spod niej para pachniała smakowicie.

- Jest gotowa. Gdy tylko dojdzie fasola, możemy siadać do kolacji.

- Jeśli nasz towarzysz kryje się po zawietrznej, zapach powinien dodatkowo go unieszczęśliwić - zachichotał Berit.

- Poważnie wątpię, Sparhawk. To Styrik i nie wolno mu jeść wieprzowiny.

- Ach, prawda. Zapomniałem. Skoro jednak jest odstępca, może wyzwolił się z dietetycznych przesądów.

- Przekonamy się rano. Kiedy do nas przyjdzie, zaproponuję mu kawałek. Może odkroisz kilka kromek chleba? Upiekę je na pokrywce.

* * *

Następnego ranka wiatr nieco zelżał, a deszcz, już nie tak ulewny, powracał jedynie od czasu do czasu krótkimi falami, złośliwie bębniącymi o dach szałas. Po śniadaniu, złożonym z szynki i fasoli, zaczęli się pakować.

- Co teraz? - spytał Berit.

- Niech on przyjdzie do nas. Nie będzie w tym nic dziwnego, jeśli zaczekamy, póki deszcz zupełnie nie ustanie. - Khalad spojrzał z namysłem na przyjaciela. - Czy nie obrazisz się, jeśli udzielę ci pewnej rady, mój panie?

- Oczywiście, że nie.

- Wyglądasz jak Sparhawk, ale nie mówisz jak on i zachowujesz się nieco inaczej. Kiedy zjawi się Styrik, powitaj go z surową, groźną miną. Nie otwieraj szeroko oczu - Sparhawk wciąż je mruży. Pamiętaj też, żeby zniżyć głos. Kiedy Sparhawk wpada w złość, zaczyna mówić bardzo cicho - i zwraca się do ludzi „ziomku”. Potrafi nadać temu słowu wiele znaczenia.

- Rzeczywiście, bez przerwy wszystkim „ziomkuje”. Prawie o tym zapomniałem. Pozwalam ci poprawiać mnie za każdym razem, kiedy zrobię coś nie w stylu prawdziwego Sparhawka, Khaladzie.

- Pozwalasz?!

- Chyba nie najlepiej to ująłem.

- Zdecydowanie, Bericie. Zdecydowanie.

* * *

- W Matherionie zrobiło się dla nas za gorąco - oznajmił Caalador, wygodnie rozpięrając się na krześle. Spojrzał wprost na siedzącego naprzeciw mężczyznę o surowej twarzy. - Z pewnością rozumiesz, co mam na myśli, Ordenie.

Mężczyzna roześmiał się.

- O tak - odparł. - Mnie samemu także zdarzyło się kilka razy opuszczać w pośpiechu jakieś miejsce, a stróże prawa deptali mi po piętach.

Orden był potężnym Elenem z Yardenaise, prowadzącym mocno nieciekawą tawernę na nabrzeżu w Dęło. Prosperował znakomicie, gdyż eleńscy złoczyńcy dobrze się czub w znajomym otoczeniu rodzimej karczmy, a Orden chętnie kupował od nich łupy -za jedną dziesiątą wartości - nie zadając żadnych pytań.

- Tak naprawdę potrzebujemy nowego zajęcia. - Caalador wskazał ręką Kaltena i Beviera, zaopatrzonych w nowe twarze i tanie, niedobre stroje. - Pewien wysoki urzędnik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych dowodził grupą policjantów, która zatrzymała nas i zaczęła zadawać kłopotliwe pytania. - Uśmiechnął się szeroko do Beviera, obdarzonego złowrogim obliczem jednego ze swych braci cyrinitów, który straciwszy oko w potyczce w Rendorze, przesłaniał pusty oczodół czarną przepaską. - Mojemu jednookiemu przyjacielowi nie spodobało się jego zachowanie, więc odrąbał mu głowę swą dziwaczną siekierką.

Orden zerknął na broń, leżącą na stole obok kufla z piwem.

- To halabarda, prawda?

Bevier mruknął potakująco. Kalten uznał, że przyjaciel daje się ponieść swym skłonnościom aktorskim. Czarna opaska na oku wystarczyłaby w zupełności, lecz praktyka w amatorskim studenckim kółku teatralnym sprawiła, że Bevier wyraźnie przesadzał. Niewątpliwie pragnął wyglądać na niebezpiecznego zawodowca, w istocie jednak sprawiał wrażenie obłąkanego mordercy.

- Czy halabardy nie miewają zwykle dłuższych trzonów? - spytał Orden.

- Nie mieściła mi się pod tuniką - warknął Bevier - więc odpiłowałem parę stóp styliska. W walce sprawdza się równie dobrze - trzeba po prostu mocniej rąbać. Nie mam nic przeciwko krwi i krzykom, toteż świetnie mi odpowiada.

Orden zadrżał i zbladł lekko.

- To najpaskudniejsza broń, jaką kiedykolwiek widziałem - przyznał.

- Może właśnie dlatego tak bardzo ją lubię - odparł Bevier

Orden odwrócił się do Caaladora.

- Jakie zajęcie interesowałoby ciebie i twoich przyjaciół, Ezeku?

- Pomyśleliśmy, że może spróbujemy naszych sił w rozbojach na gościńcach czy czymś podobnym - odrzekł Caalador. - No wiesz: świeże powietrze, wysiłek fizyczny, zdrowa żywność, żadnej policji w okolicy, te rzeczy. Za nasze głowy wyznaczono sporą nagrodę, a teraz, kiedy cesarz rozwiązał Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, zadania policji przejęli Atani. Wiedziałeś, że Atanów nie da się przekupić?

Orden przytaknął z ponurą miną.

- O tak. Oburzające. - Z namysłem przyjrzał się „Ezekowi”, na oko Deiraninowi w średnim wieku. - Mógłbyś opisać mi Caaladora, Ezeku? Nie żebym ci nie wierzył, ale ostatnio sporo się pozmieniało, agenci, którzy brali od nas łapówki, nie żyją albo siedzą w więzieniach, toteż wszyscy musimy zachować ostrożność.

- Nie ma sprawy, Ordenie - zapewnił go Caalador. - W dzisiejszych czasach nie ufałbym nikomu, kto nie zachowuje ostrożności. Caalador to Cammorianin. Ma kręcone włosy i czerwoną twarz. Jest raczej solidnie zbudowany - wiesz, szerokie bary, gruby kark i zaczątki brzucha.

Karczmarz posłał mu przebiegłe spojrzenie.

- Co ci powiedział? Powtórz słowo w słowo.

- Nu, panoczku - zaczął Caalador, nieco przesadnie akcentując dialekt - stareńki Caalador kazał nam przyńć tu do was, do Dęło, i powynszyć za gościem Ordenem - bo tynzech Orden wi, co piszcy w trawie miendzy tutyjszymi rabusiami.

Orden odprężył się i wybuchnął śmiechem.

- Rzeczywiście, to cały Caalador - rzekł. - Wiedziałem, że mówisz prawdę, zanim jeszcze zdążyłeś powiedzieć dwa słowa.

- Okropnie kaleczy język - zgodził się Caalador - ale nie jest taki głupi, na jakiego wygląda. Kalten uniósł dłoń, kryjąc uśmiech.

- O tak, cwaniura z niego, że hej - przytaknął Orden, naśladowując dialekt. - Wkrótce sam się przekonasz, iż napady na gościńcach nie przynoszą tu zbyt wielkich zysków, Ezeku, głównie dlatego, że nie mamy w okolicy zbyt wielu gościńców. W dżungli jest bezpiecznie, to prawda - nawet Atani nie znajdują nikogo w tej gęstwinie - ale nie liczcie na duże łupy. Trzech ludzi działających samotnie w tym lesie nie zdoła związać końca z końcem. Chyba będziecie musieli dołączyć do jednej z istniejących band. Nieźle zarabiają, napadając na posiadłości i najeżdżając wsie i miasteczka. To wymaga sporych sił, więc zawsze mają wolne miejsca. - Wyprostował się, z namysłem stukając w brodę palcem. - Rozumiem, że

wolelibyście trafić daleko od miasta?

- Im dalej, tym lepiej - odparł Caalador.

- Narstil działa wokół ruin Natayos. Gwarantuję, że tam nie będzie was niepokoić żadna policja. Gość imieniem Scarpa wybrał ruiny na kwaterę główną swojej armii. To wariat, rewolucjonista, który zamierza obalić tamulski rząd. Narstil często z nim współpracuje. To dość ryzykowne, ale w tamtej części kraju można nieźle się obłowić.

- Zdaje się, że znalazłeś idealne rozwiązanie, Ordenie - rzekł z zapalem Caalador.

Kalten dyskretnie odetchnął z ulgą. Bez żadnych namów z ich strony Orden zaproponował dokładnie to, czego szukali. Jeśli dołączą do tej bandy rabusiów, znajdą się dostatecznie blisko Natayos, by poczuć smród dymu z ognisk. Nawet nie śmieli liczyć na tyle szczęścia.

- Powiem ci coś, Ezeku - zagadnął Orden. - Jeżeli chcesz, napiszę list do Narstila i przedstawię mu ciebie i przyjaciół.

- Będziemy wdzięczni, Ordenie.

- Zanim jednak zmarnuję papier i atrament, może pomówimy o tym, ile mi zapłacisz za ten list?

* * *

Styrik był mokry, brudny i niemal siny z zimna. Dygotał tak gwałtownie, że jego głos załamał się, gdy wezwał ich krzykiem.

- Mam dla was wiadomość! - zawołał. - Nie denerwujcie się i nie zróbcie czegoś głupiego. - Mówił po eleńsku, co Berit przyjął z prawdziwą ulgą. Jego styricki nie był najlepszy. Stanowiło to jedyną poważną skazę na jego przebraniu.

- Chodź zatem, ziomku! - odkrzyknął do mężczyzny, który czekał z nieszczęśliwą miną nieco dalej na plaży. - I trzymaj ręce na widoku!

- Nie rozkazuj mi, Elenie - warknął Styrik. - Tutaj to ja wydaję polecenia.

- Zatem dostarcz wiadomość z miejsca, gdzie stoisz - odparł zimno Berit. - Możesz się nie spieszyć. Siedzę tu sobie w ciepłe, więc czekanie, aż się zdecydujesz, nie sprawi mi zbytnej przykrości.

- To pisemna wiadomość - oznajmił mężczyzna po styricku, a przynajmniej Berkowi zdawało się, że to właśnie powiedział.

- Przyjacielu - wtrącił szybko Khalad - mamy tu dość draż-/liwą sytuację i wiele możliwości nieporozumień, lepiej więc nie irytuj mnie, mówiąc w języku, którego nie

rozumiem. Pan Sparhawk zna styricki, ale ja nie, a cios moim nożem w brzuch zabije cię równie łatwo. Oczywiście później będzie mi bardzo przykro, ale ty pozostaniesz martwy.

- Mogę wejść? - spytał Styrik po eleńsku.

- Chodź, ziomku - polecił Berit.

Posłaniec o kanciastej twarzy zbliżył się do szałasu, tęsknie patrząc na ognisko.

- Naprawdę nie wyglądasz najlepiej, stary druhu - zauważył Berit. - Nie mogłeś użyć zaklęcia, żeby przegnać deszcz? Styrik puścił jego słowa mimo uszu.

- Rozkazano mi przekazać ci to - rzekł, sięgając za samodziałową szatę i wyciągając małą, impregnowaną paczuszkę.

- Następnym razem, zanim wsadzisz rękę za pazuchę, uprzedź mnie, ziomku - ostrzegł go cicho Berit, mrużąc oczy. - Jak słusznie zauważył mój przyjaciel, z łatwością możemy źle się zrozumieć. Zaskakiwanie mnie, gdy jestem tak blisko, to dobry sposób, by obejrzeć własne wnętrze.

Styrik głośno przełknął ślinę i cofnął się, gdy tylko Berit odebrał paczuszkę.

- Przyjacielu, podczas gdy pan Sparhawk będzie czytał list, może zechcesz poczęstować się kawałkiem wieprzowiny? - zaproponował Khalad. - Tłuszcz dobrze robi twoim wnętrznościom.

Styrik zadrżał; jego twarz przybrała znekany wyraz.

- Nic tak nie służy żołądkowi jak porządna porcyjka wieprzowego smalcu - dodał radośnie Khalad. - Pewnie sprawiają to odpadki i przegniłe pomyje, którymi karmi się świnię.

Przybysz wyglądał, jakby zbierało mu się na wymioty.

- Dostarczyłeś swoją wiadomość, ziomku - powiedział chłodno Berit. - Z pewnością dokąds się wybierasz, a my w żadnym razie nie chcielibyśmy cię zatrzymywać.

- Na pewno ją zrozumiałeś?

- Przeczytałem list. Eleni doskonale umieją czytać. W odróżnieniu od was, Styrików, nie jesteśmy analfabetami. Wiadomość nie poprawiła mi humoru, toteż radziłbym ci oddalić się czym prędzej.

Posłaniec cofnął się z lękiem. Po kilku krokach odwrócił się i uciekł.

- Co piszą? - spytał Khalad.

Berit z czułością trzymał w dłoni pukiel włosów królowej.

- Nastąpiła zmiana planów. Mamy wyminąć Góry Tamulskie i skręcić na zachód. Teraz chcę, abyśmy udali się do Sopalu.

- Lepiej zawiadom Aphrael.

Nagle usłyszeli znajomy dźwięk fletu. Obaj młodzieńcy odwrócili się gwałtownie.

Bogini-dziecko siedziała ze skrzyżowanymi nogami na posłaniu Khalada, grając na flecie żalosną styricką melodię.

- Czemu tak się gapicie? Mówiłam przecież, że będę się wami opiekować.

- Czy to aby rozsądne, o boska? - spytał Berit. - Styrik jest zaledwie kilkaset jardów stąd i zapewne potrafi wyczuć twoją obecność.

- W tej chwili nie potrafi. - Aphrael uśmiechnęła się złośliwie. - Jest zbyt zajęty powstrzymywaniem swego żołądka przed wywróceniem się na nice. Cała ta gadanina o smalcu wieprzowym była naprawdę okrutna, Khaladzie.

- Wiem.

- Musiałeś opisywać wszystko tak obrazowo?

- Nie miałem pojęcia, że kręcisz się w pobliżu. Co mamy robić?

- Jedźcie do Sopalu, tak jak wam kazał. Ja zawiadomię pozostałych. - Urwała. - Co zrobiłeś z tą szynką, Khaladzie? - spytała. - Udało ci się sprawić, że pachnie niemal jadalnie.

- To pewnie goździki. - Giermek wzruszył ramionami. -Prawdę mówiąc, nikt nie przepada za smakiem wieprzowiny, ale matka nauczyła mnie, że niemal wszystko można przyrządzić tak, by dało się zjeść - jeśli użyje się dość przypraw. Pamiętaj o tym, kiedy znów przyjdzie ci do głowy podać komuś koźlę.

Aphrael pokazała mu język i zniknęła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W górach Zemochu padał śnieg, suche drobne płatki, które osiadały na ziemi niczym pierze w nieruchomym powietrzu. Był ostry mróz i armię rycerzy kościoła otaczała chmura pary, przypominająca gęstą mgłę. Wierzchowce parły naprzód, wzbijając w powietrze chmary śnieżnych płatków. Mistrzowie zakonów rycerskich jechali na przedzie, odziani w pełne zbroje i opatuleni w futra: mistrz Abriel z zakonu cyrinitów, wciąż pełen wigoru mimo zaawansowanego wieku, obok Darellona, mistrza alcjoni-tów, i pana Heldina, zrytego bliznami weterana, pełniącego pod nieobecność Sparhawk'a obowiązki mistrza pandionitów. Patriarcha Bergsten trzymał się nieco z boku. Rosły dostojnik kościelny owinął się futrami aż po uszy, a hełm z rogami ogra nadawał mu wojowniczy wygląd, któremu przeczył jednak niewielki czarny modlitewnik. Mistrz genidianitów, Komier, wysunął się naprzód wraz ze zwiadowcami.

- Chyba już nigdy w życiu nie będzie mi ciepło - jęknął Abriel, ciasniej owijając się płaszczem. - Wiek rozrzedza krew. Nigdy się nie starzej, Darellonie.

- Alternatywa nie jest zbyt pociągająca, panie Abrielu. - Darellon był szczupłym Deiraninem, niemal ginącym w masywnej zbroi. Zniżył głos: - Nie musiałeś nam towarzyszyć, przyjacielu. Sarathi by zrozumiał.

- Och nie, Darellonie. To zapewne moja ostatnia kampania. Za nic bym jej nie opuścił. - Abriel zerknął naprzód. - Co tam robi Komier?

- Pan Komier powiedział, że chce rzucić okiem na ruiny Zemochu - rzekł grzmiącym basem pan Heldin. - Najwyraźniej Thalezyjczycy lubią oglądać pozostałe po wojnie zgliszcza.

- To barbarzyńcy - mruknął kwaśno Abriel, po czym obejrzał się szybko na Bergstena, demonstracyjnie pogrążonego w lekturze modlitewnika. - Nie musicie tego powtarzać, panowie - dodał, zwracając się do Darellona i Heldina.

- Nawet mi się nie śniło - odparł Bergsten, nie unosząc wzroku.

- Wasza świątobliwość ma nieprzyzwoicie ostry słuch.

- To efekt wysłuchiwania spowiedzi. Grzechy innych ludzie wykrzykują z dachów, ale gdy opisują własne, ledwie ich słychać. - Bergsten uniósł głowę i wskazał ręką. - Wraca Komier.

Mistrz zakonu genidianitów z wesołą miną ściągnął końskie wodze, wzbijając w górę wielką chmurę pylistych płatków.

- Kiedy Sparhawk niszczy jakieś miejsce, nie pozostaje kamień na kamieniu - oznajmił radośnie. - Nie do końca wierzyłem Ułathowi, gdy mówił, że nasz przyjaciel ze złamanym nosem zdmuchnął dach świątyni Azasha, teraz jednak wierzę. Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Wątpię, czy w całym mieście został choć jeden budynek nadający się do zamieszkania.

- Rzeczywiście ci się to podoba, prawda, Komierze? - spytał oskarżycielsko Abriel.

- Wystarczy, panowie - wtrącił szybko Bergsten. - Nie będziemy wskrzeszać starej dyskusji. Walczymy na różne sposoby. Arkowie lubią budować forty i flanki, a Thalezyjczycy je burzyć. To część rzemiosła wojennego. Za to nam płacą.

- Nam, wasza świątobliwość? - zagrział łagodnie Heldin.

- Wiesz, o co mi chodzi, Heldinie. Osobiście, rzecz jasna, już się w to nie mieszam, ale...

- Czemu więc zabrałeś ze sobą topór, Bergstenie? - spytał Komier.

Bergsten posłał mu nieprzyjemne spojrzenie.

- Przez pamięć dawnych czasów - i ponieważ wy, thalezyj-scy bandyci, słuchacie z większą uwagą człowieka z toporem w dłoniach.

- Rycerze, wasza świątobliwość - poprawił łagodnie Komier swego rodaka. - Teraz nazywamy się rycerzami. Kiedyś byliśmy rozbójnikami, lecz obecnie maniery nam się poprawiły.

- Kościół docenia wasze starania poprawy, choć doskonale wie, że łesz jak najęty.

Abriel uśmiechnął się dyskretnie pod osłoną dłoni. Bergsten sam był kiedyś rycerzem genidianitą i czasem czuł się nieswojo w sutannie.

- Kto ma mapę? - spytał bardziej po to, by zapobiec nieuniknionej kłótni niż z rzeczywistej ciekawości.

Heldin, przy wtórce pobrzękiwania czarnej zbroi, rozpiął jeden z juków.

- Co chciałbyś wiedzieć, panie? - spytał, wyciągając mapę.

- To, co zwykle. Jak daleko? Jak długo? Czy czekają nas nieprzyjemne niespodzianki?

- Od granicy Astelu dzieli nas nieco ponad sto lig - odparł Heldin, zerkając na mapę.

- A stamtąd co najmniej jeszcze dziewięćset lig do Matherionu.

- Co najmniej sto dni - mruknął ponuro Bergsten.

- Jeśli nie natkniemy się na kłopoty, wasza świątobliwość -dodał Darellon.

- Obejrzyj się przez ramię, Darellonie. Mamy za sobą sto tysięcy rycerzy kościoła. Nie istnieje kłopot, któremu nie dalibyśmy rady. Jak wygląda teren przed nami, Heldinie?

- Jakies trzy dni stąd znajduje się naturalna granica, wasza świątobliwość. Wszystkie

rzeki po tej stronie wpadają do Zatoki Merjuku. Po drugiej spływają na Astelskie Bagna. Podejrzewam, że po przekroczeniu granicy teren zacznie się obniżać, chyba że 'Otha sprawił, iż wody w Zemochu płyną pod górę. W tym momencie podjechał do nich genidianita.

- Właśnie doścignął nas posłaniec z Emsatu, panie Komierze - zameldował. - Twierdzi, że przynosi ważne wieści.

Komier przytaknął, ściągnął wodze i zawrócił w stronę armii.

Pozostali jechali naprzód w gęstniejącej śnieżycy.

Gdy Komier wrócił w towarzystwie znużonego posłańca, zaśmiewał się donośnie. i - Co cię tak śmieszy? - spytał Bergsten.

- Dobre wieści z domu, wasza świątobliwość - odparł wesoło Komier. - Powtórz naszemu umiłowanemu patriarsze to, co mi powiedziałeś - rozkazał posłańcowi.

- Tak jest - odparł Thalezyczyk o jasnych warkoczach. - To się zdarzyło kilka tygodni temu, wasza świątobliwość. Pewnego ranka służba pałacowa nie mogła znaleźć ani śladu księcia regenta. Strażnicy przez dwa dni przetrząsali pałac, ale tego szczura nigdzie nie było.

- Więcej szacunku, człowieku! - warknął Bergsten. - Avin to ostatecznie księżę regent - choć rzeczywiście niezły z niego szczur.

- Przepraszam, wasza świątobliwość. W każdym razie nikt w stolicy nie wiedział, co się dzieje. Avin Wargunsson nigdy nie wyruszał w drogę bez całej orkiestry, która fanfarami ogłaszała jego przybycie. W końcu jeden ze służących zauważył pełną beczkę wina w jego gabinecie. To go zdziwiło, bo Avin nie przepadał za winem. Postanowili więc przyjrzeć jej się nieco uważniej. Wyraźnie ktoś ją otwierał, bo sporo wina wylało się na podłogę. Cóż, wasza świątobliwość, poszukiwania Avina sprawiły, że zaschło im w gardłach, postanowili zatem otworzyć beczkę; kiedy jednak próbowali podważyć wieko, okazało się, że zostało zabite gwoździami. W Thalesii nikt nie zabija tak beczek, więc wszyscy natychmiast nabrali podejrzeń. Przynieśli obcęgi, wyciągnęli gwoździe, unieśli wieko - i ujrzeli Avina martwego jak kamień, pływającego twarzą w dół w beczce.

- Nie mówisz poważnie!

- Owszem, wasza świątobliwość. Ktoś w Emsacie ma chyba bardzo skrzywione poczucie humoru. Zadał sobie trud, by wtoczyć beczkę z winem do gabinetu Avina, tylko po to, by go tam wepchnąć i zabić wieko. Avin wyraźnie walczył: pod paznokciami miał drzazgi, a na wieku od środka znaleźliśmy rysy. Kiedy wyłowili go z beczki, przez następne pół godziny wyciekało z niego wino. Służba pałacowa próbowała umyć go przed pogrzebem, ale wiecie, jak trudno pozbyć się plam z wina. Gdy złożyli go na marach w katedrze w Emsacie, twarz miał bardzo fioletową. - Posłaniec z namysłem potarł policzek. - To był najdziwniejszy

pogrzeb, w jakim kiedykolwiek uczestniczyłem. Prymas Emsatu usiłował powstrzymać śmiech, kiedy odprawiał egzekwie, ale nie wychodziło mu to najlepiej i wkrótce całe zgromadzenie wybuchnęło śmiechem. Avin leżał pośrodku na marach nie większy niż młody kozioł i fioletowy niczym dojrzała śliwka, a wokół ludzie pokładali się ze śmiechu.

- Przynajmniej wszyscy go zauważyli - mruknął Komier. - To zawsze było dla niego najważniejsze.

- Och, zauważyli go z całą pewnością, panie Komierze. Wszyscy w katedrze wpatrywali się w niego. A potem, kiedy złożono go w królewskiej krypcie, całe miasto zaczęło świętować. Wszyscy wznosiliśmy toasty za pamięć Avina Wargunssona. Kiedy nadchodzi zima, w Thalesii trudno znaleźć coś śmiesznego, lecz Avin zdołał uprzyjemnić nam tę porę roku.

- Jakie to było wino? - spytał w powagę patriarcha Bergsten.

- Arcjańskie czerwone, wasza świętobliwość.

- Wiadomo jaki rocznik?

- Z tego, co słyszałem, przedostatni.

- Dobry rok - westchnął Bergsten. - Przypuszczam, że nie dało się go ocalić.

- Nie po tym, jak Avin moczył się w nim przez dwa dni, wasza świętobliwość.

Bergsten westchnął ponownie.

- Co za marnotrawstwo! - mruknął. A potem skulił się w siodle, wyjąc ze śmiechu.

* * *

Kiedy Ulath i Tynian dotarli do podnóża Gór Tamulskich, nadeszły mrozy. Góry Tamulskie były jedną z tych geograficznych anomalii, które pojawiają się tu i ówdzie, skupiskiem zwietrzałych łagodnych szczytów, zupełnie nie przypominających sąsiadujących z nimi ostrych wierzchołków porośniętych świerkami, sosnami i jodłami. Łagodne zbocza Gór Tamulskich pokrywała gęstwina drzew liściastych, witająca nadchodzącą zimę nagimi gałęziami.

Dwaj rycerze zachowywali ostrożność, trzymając się otwartych terenów i czyniąc dość hałasu, by wszem wobec oznajmić swą obecność. * - Nierozsądnie jest zaskakiwać trolla - wyjaśnił Ulath.

- Jesteś pewny, że tu są? - spytał Tynian, gdy zagłębiali się pomiędzy góry. Ulath przytaknął.

- Widziałem ślady, czy raczej miejsca, gdzie próbowały je zatrzeć - i poruszoną

ziemię, tam gdzie zagrzebywały odchody. Trolle starają się ukryć swą obecność przed ludźmi. Łatwiej upolować obiad, jeśli zwierzyna nie wie, że jesteś w pobliżu.

- Bogowie trolli przyrzekli Aphrael, że ich wyznawcy nie będą już jadali ludzi.

- Zanim co głupsze trolle przywykną do tej idei, może minąć kilka pokoleń - a trolle, gdy się naprawdę uprą, potrafią być okropnie głupie. Lepiej zachowajmy czujność. Gdy tylko dotrzemy na wierzchołek jednego ze wzgórz, odprawię obrzęd przywołania bogów trolli. Potem powinniśmy już być bezpieczni. Musimy zachować ostrożność.

- Czemu zatem nie odprawisz obrzędu tutaj? Ulath potrząsnął głową.

- Kwestia wychowania. Nie powinno się wzywać bogów trolli, póki nie znajdzie się wyżej, w ich prawdziwej krainie.

- To nie jest kraina trolli, Ulacie.

- Teraz już jest. Znajdźmy miejsce na obóz.

Noc spędzili na wąskiej półce, dzięki czemu za plecami mieli pionową ścianę, a przed sobą strome zbocze. Na zmianę pełnili wartę i gdy pierwszy brzask dnia zaczął rozjaśniać zachmurzone niebo, Tynian potrząsnął Ulathem.

- W krzakach u stóp urwiska coś się rusza - szepnął.

Ulath usiadł, odruchowo sięgając po topór. Przechylił głowę, nasłuchując.

- Troll - oznajmił po chwili.

- Skąd wiesz?

- Ktokolwiek czyni ten hałas, robi to celowo. Sarna nie miotałaby się tak, a wszystkie niedźwiedzie zapadły już w sen zimowy. Troll chce, byśmy wiedzieli, że tam jest.

- Co zrobimy?

- Najpierw podsycimy ogień. Dajmy mu znać, że nie śpimy. I nie poruszajmy się zbyt szybko. - Odrzucił koc, podczas gdy Tynian wsunął do ognia naręczę gałęzi.

- Nie powinniśmy zaprosić go, żeby się ogrzał? - spytał.

- Nie czuje zimna.

- Przecież jest mróz, Ulacie.

- Po to właśnie ma futro. Trolle rozpalają ogień dla światła, nie ciepła. Może zaczniesz przyrządzać śniadanie? Nie przyjdzie do nas przed rankiem.

- Dziś nie moja kolej.

- Ja muszę go pilnować.

- Mogę to robić równie dobrze jak ty.

- Nie wiedziałbyś, czego wypatrywać, Tynianie - wyjaśnił rozsądnie Ulath. Zazwyczaj

mówił bardzo rozsądnie, gdy usiłował wykręcić się od gotowania.

Stopniowo światło stawało się coraz jaśniejsze. Proces ten zawsze ich zadziwiał. Mogli spoglądać w ciemność otaczającego ich lasu i nagle uświadomić sobie, że dostrzegają drzewa, skały i krzaki w miejscu, gdzie wcześniej panował nieprzenikniony mrok.

Tynian przyniósł Ulathowi talerz parującej szynki oraz kawał podeschniętego chleba.

- Zostaw szynkę na rożnie - polecił Ulath.

Jego towarzysz przytaknął, wziął własny talerz i dołączył do przyjaciela siedzącego na skraju skalnej półki. Jedząc, nie spuszczała wzroku z gęstej brzeziny, porastającej strome zbocze pod nimi.

- Tam jest - oznajmił Ulath - tuż obok wielkiego kamienia.

- Rzeczywiście - odparł Tynian. - Teraz go widzę. Dokładnie stapia się z otoczeniem, prawda?

- Taka jest natura trolli, Tynianie. Są częścią lasu.

- Sephrenia twierdzi, że łączy nas odległe pokrewieństwo.

- Pewnie się nie myli. Nie ma zbyt wielu różnic dzielących nas od trolli. One są większe i odżywiają się nieco inaczej.

- Ile to jeszcze potrwa?

- Nie mam pojęcia. Z tego, co wiem, coś takiego nigdy dotąd się nie zdarzyło.

- Co teraz zrobi?

- Gdy tylko upewni się, iż wiemy, że tam jest, prawdopodobnie spróbuje nawiązać z nami kontakt.

- Czy orientuje się, że znasz język trolli?

- Możliwe. Bogowie trolli już mnie spotkali i wiedzą, iż należę do tego samego stada co Sparhawk.

- Dziwnie to ująłeś.

- Staram się myśleć jak troll. Jeśli mi się uda, może zdołam przewidzieć, co zaraz zrobi.

I wówczas troll krzyknął coś do nich.

- Co on powiedział? - spytał nerwowo Tynian.

- Chce wiedzieć, co ma robić. Jest zupełnie ogłupiały.

- On jest ogłupiały? A ja?

- Kazano mu spotkać nas i zaprowadzić do bogów trolli. Nie ma pojęcia o naszych zwyczajach i odpowiednim zachowaniu. Będziemy musieli mu pomóc. Schowaj miecz do pochwy. Nie pogarszajmy jeszcze dodatkowo sytuacji. - Ulath wstał, pilnując się, by nie

uczynić tego zbyt szybko. Podnosząc głos, zawołał w języku trolli: - Podejdź do dziecka Khwaja, które rozpaliliśmy. Zjemy razem i pomówimy o tym, co trzeba zrobić.

- Co mu powiedziałaś?

- Zaprosiłem go na śniadanie.

- Co takiego? Chcesz, żeby troll stojący zaledwie o kilka stóp od ciebie zaczął jeść?

- To środek ostrożności. Nieuprzejmie byłoby nas zabić po tym, jak zjadł razem z nami.

- Nieuprzejmie? To przecież troll, Ulathie.

- Fakt, iż jest trollem, nie oznacza, że musi mieć złe maniery. A, byłbym zapomniiał. Kiedy tu podejdzie, będzie chciał nas obwąchać. Uprzejmość każe obwąchać także jego. Nie będzie to przyjemne, ale wytrzymaj. Trolle postępują tak, by móc się rozpoznać, kiedy znów się spotkają.

- Chyba straciłeś rozum.

- Po prostu mnie naśladuj. Ja zajmę się mówieniem.

- A co innego mi pozostaje, tępy pniu? Nie znam przecież języka trolli, pamiętasz?

- Naprawdę? Zdumiewające. Sądziłem, że każdy wykształcony człowiek mówi tym językiem.

Troll zbliżył się ostrożnie, z łatwością przedzierając się przez brzezinę. Mocno pomagał sobie rękami, przytrzymując się pni i poruszając całym ciałem. Miał nieco ponad cztery łokcie wzrostu i lśniące brązowe futro. Jego oblicze w pewnym stopniu przypominało małpie, choć brakowało mu wysuniętego pyska, a w głęboko osadzonych oczach tliła się iskra inteligencji. Wspiął się na półkę, na której obozowali, po czym przykucnął, opierając przedramiona na kolanach i trzymając łapy na widoku.

- Nie mam pałki - warknął.

Ulath demonstracyjnie odłożył na bok topór i wyciągnął puste dłonie.

- Nie mam pałki - powtórzył zwyczajowe słowa powitania. -Odepnij miecz, Tynianie - mruknął. - Odłóż go.

Tynian zaczął protestować, ale uznał, że nie ma to sensu.

- Dziecko Khwaja, które rozpaliliście, jest dobre - rzekł troll, wskazując ognisko. - Khwaj będzie zadowolony.

- Dobrze jest zadowalać bogów - odparł Ulath. Nagle troll rąbnął pięścią w ziemię.

- Nie tak powinno być! - oznajmił nieszczęśliwym tonem.

- Nie - zgodził się Ulath, kucając podobnie jak przybysz. -Nie tak. Bogowie jednak mają swoje powody. Powiedzieli, że nie wolno nam się zabijać. Ani zjadać.

- Słyszałem, jak to mówili. Czy mogliśmy ich źle zrozumieć?

- Chyba nie.

- Może mają chore umysły?

- Możliwe. Wciąż jednak musimy ich słuchać.

- O czym rozmawiacie? - spytał nerwowo Tynian.

- O kwestiach filozoficznych. - Ulath wzruszył ramionami. Przyjaciół przyglądał mu się bez słowa.

- To dość złożona sprawa. Chodzi o to, czy mamy moralny obowiązek słuchać bogów, nawet jeśli oszaleli. Ja twierdzę, że tak. Oczywiście instynkt samozachowawczy wpływa na moją decyzję w tej materii.

- Czy on nie umie mówić? - spytał troll, wskazując Tynia-na. - Czy zna tylko ptasie dźwięki?

- Ptasie dźwięki zastępują nam mowę. Chcesz zjeść z nami? Troll spojrzał z uznaniem na ich konie.

- Te stwory? - spytał.

- Nie. - Ulath potrząsnął głową. - One nas noszą.

- Macie chore nogi? Dlatego jesteście tacy niscy?

- Nie. Stwory biegają szybciej niż my. Noszą nas, gdy chcemy poruszać się prędko.

- To co jecie?

- Świnie.

- Świnia jest dobra. Sarna lepsza.

- Tak.

- Gdzie ta świnia? Jest martwa? Jeśli wciąż żyje, zabije.

- Jest martwa. Troll rozejrzał się.

- Nie widzę jej.

- Przynieśliśmy tylko kawałek. - Ulath wskazał wielką szynkę, piekącą się nad ogniem.

- Dzielicie się jedzeniem z dzieckiem Khwaja? Ulath zdecydował się na razie nie wyjaśniać tajemnic kulinarnych.

- Tak - rzekł. - Taki mamy zwyczaj.

- Czy Khwaj raduje się, że dzielicie się jedzeniem z jego dzieckiem?

- Tak uważamy. - Ulath dobył sztyletu, uniósł znad ognia rożen i odciął kawał mięsa, ważący jakieś trzy funty.

- Chorują ci zęby? - w głosie trolla zabrzmiała współczująca nutka. - Miałem kiedyś

chory ząb. Sprawił mi dużo bólu.

- Nasz rodzaj nie ma ostrych zębów - wyjaśnił Ulath. - Zjesz z nami?

- Tak.

Troll podniósł się z miejsca i podszedł do ognia, górując nad nimi.

- Jedzenie było w pobliżu dziecka Khwaja - ostrzegł Ulath. - Jest gorące. Może zranić ci wargi.

- Zwą mnie Bhlok w - przedstawił się troll.

- A mnie Ulath.

- U-lat? Dziwne miano. - Bhlok wskazał Tyniana. - Jak jego zwał?

- Tynian - odparł Ulath.

- Tin-in. To dziwniejsze niż U-lat.

- Ptasie dźwięki naszej mowy sprawiają, że brzmi ona dziwnie.

Troll pochylił się i powąchał czubek głowy Ulatha. Rycerz z trudem opanował nagle pragnienie, by zacząć wrzeszczeć i uciec w stronę najbliższych drzew. W odpowiedzi uprzejmie powąchał futro Bhloka. Prawdę mówiąc, troll nie pachniał nawet tak strasznie. Następnie potwór i Tynian obwąchali się nawzajem.

- Teraz was znam - rzekł Bhlok.

- To dobrze. - Ulath ofiarował mu kawał parującej szynki.

Bhlok wziął ją od niego i wepchnął do pyska, po czym błyskawicznie wypluł mięso na dłoń.

- Gorące - wyjaśnił z niemądrą miną.

- Dmuchamy na nie, by je ochłodzić i zjeść, nie raniąc ust - poinstruował go Ulath.

Troll przez chwilę dmuchał hałaśliwie na szynkę. W końcu z powrotem uniósł ją do pyska, przeżuł z namysłem i przełknął.

- Smakuje inaczej - rzekł dyplomatycznie. I westchnął. - To mi się nie podoba, U-lat - zwierzył się nieszczęśliwym tonem. - Nie tak powinno być.

- Nie - zgodził się Ulath. - Nie tak.

- Powinniśmy zabijać się nawzajem. Zabijałem i jadłem ludzkie stwory, odkąd pierwszy raz przybyły w góry trolli. Tak właśnie powinno być. Myślę, że bogowie mają chore umysły, skoro zmuszają nas do tego. - Jego następne westchnienie miało moc huraganu. - Dobrze jednak mówisz. Musimy robić, co nam każą. Pewnego dnia ich umysły wyzdrowieją. Wtedy znów pozwolą nam się zabijać. - Wstał gwałtownie. - Chcą was widzieć. Zaprowadzę was do nich.

- Pójdziemy z tobą.

Przez następne półtora dnia podążali za Bhłokwem w góry. W końcu doprowadził ich na pokrytą śniegiem polanę, gdzie w wielkim zagłębieniu płonęło ognisko. Tam czekali na nich bogowie trolli.

- Aphrael przyszła do nas - oznajmiła jedna z ogromnych postaci: Ghworg.

- Mówiła, że to uczyni - odparł Ulath. - Mówiła, że kiedy stanie się coś, o czym powinniśmy wiedzieć, przyjdzie i powie nam.

- Przytknęła usta do naszych twarzy. - Ghworg był wyraźnie zdumiony.

- Często tak robi. To jej sprawia przyjemność.

- Nie bolało - rzekł z powątpiewaniem Ghworg, dotykając policzka w miejscu, gdzie pocałowała go Aphrael.

- Co on powiedział? - spytał cicho Tynian.

- Aphrael przybyła tu i rozmawiała z nimi - wyjaśnił Ulath. - Pocałowała ich nawet kilka razy. Znasz przecież Aphrael.

- Pocałowała bogów trolli? - Tynian zbladł gwałtownie.

- Co on powiedział? - spytał Ghworg.

- Chciał wiedzieć, co mówiłeś.

- Niedobrze, Ulacie z Thalesii. Nie powinien mówić do ciebie słowami, których nie rozumiemy. Jak się nazywa?

- Zwą go Tynian z Deiry.

- Sprawie, by Tynian z Deiry znał naszą mowę.

- Przygotuj się - ostrzegł przyjaciela Ulath.

- Na co? Co się stanie, Ulacie?

- Ghworg nauczy cię języka trolli.

- Jedną chwileczkę... - Nagle Tynian przycisnął dłonie do głowy, krzyknął i padł na ziemię, zwijając się w mękach. Atak ustąpił szybko, lecz rycerz, podnosząc się z ziemi, był błądy i wodził wokół oszalałym wzrokiem.

- Ty jesteś Tynian z Deiry? - spytał Ghworg w mowie trolli.

- Tak. - Głos Tyniana drżał wyraźnie.

- Rozumiesz moje słowa?

- Są całkiem jasne.

- To dobrze. Kiedy jesteś przy nas, nie używaj innej mowy. Gdy to robisz, nie ufamy ci.

- Zapamiętam.

- To dobrze. Aphrael przybyła do nas. Powiedziała, że temu, którego zwą Berit,

zakazano jechać do miejsca zwanego Beresą. Zamiast tego ma jechać do miejsca zwanego Sopal. Mówiła, że zrozumiecie, co to znaczy. - Urwał, marszcząc czoło. - Rozumiecie? - spytał.

- Rozumiemy? - Tynian spojrział na Ulatha, mówiąc w języku trolli.

- Nie jestem pewien. - Ulath wstał, podszedł do swego konia i wyciągnął z juków mapę. Następnie wrócił do ognia. - To jest obraz ziemi - wyjaśnił olbrzymim postaciom. - Sporządzamy je, abyśmy wiedzieli, dokąd zmierzamy.

Schlee zerknął na mapę.

- Ziemia nie tak wygląda - rzekł. Przykucnął i przebijając palcami warstwę śniegu, wbił je w piach. - Ziemia wygląda tak.

Ulath podskoczył, gdy grunt pod ich stopami zadrżał lekko. Nie była to mapa, lecz miniaturowa wersja całego kontynentu.

- To bardzo dobry obraz ziemi - rzekł z zachwytem. Schlee wzruszył ramionami.

- Przytknąłem rękę do ziemi i poczułem jej kształt. Tak właśnie wygląda.

- Gdzie jest Beresą? - spytał Ulatha Tynian, patrząc z podziwem na maleńkie włoski drzew, porastające niczym zarost miniaturowe góry.

Ulath spojrział na własną mapę i przeszedł kilka jardów na południe, w stronę błyszczącej tafli, pokrytej drobniutkimi falami. Jego stopy zagłębiły się lekko w odtworzone przez Schlee Południowe Morze Tamulskie.

- Tutaj - odparł w mowie trolli, schylając się i przytykając palec do wybrzeża.

- Tam właśnie kazali Anace udać się ci, którzy zabrali jego kobietę - wyjaśnił bogom trolli Tynian.

- Nie rozumiemy - odparł brutalnie Khwaj.

- Anakha lubi swoją kobietę.

- Tak powinno być.

- Złości się, gdy coś jej grozi. Ci, którzy ją zabrali, wiedzą o tym. Powiedzieli, że jej nie oddadzą, jeśli nie da im kwietnego klejnotu.

Bogowie trolli dłuższą chwilę usiłowali pojąć jego słowa. Nagle Khwaj ryknął ogłuszająco. Tryskający z jego ust ogień stopił śnieg w promieniu pięćdziesięciu jardów.

- To złe! - zagrzemiał. - Nie tak powinno być! Ich spór dotyczy Anakhy, nie jego kobiety. Znajdę tych złych! Zamienię ich w ogień, które nigdy nie gasną! Będą krzyczeli z bólu całą wieczność!

Tynian zadrżał, wstrząśnięty potwornością tego pomysłu. Następnie, z wielką pomocą Ulatha, wyjaśnił, jakie podstępny umożliwiły ich przebrania.

- Naprawdę wyglądasz inaczej niż przedtem, Ulacie z Tha-lesii? - spytał Ghworg, przyglądając mu się uważnie.

- Zupełnie inaczej, Ghworgu.

- To dziwne. Mnie wydajesz się taki sam. - Bóg zastanowił się przez chwilę. - Może to nie takie dziwne - poprawił. - Wy wszyscy wyglądacie dla mnie tak samo. - Zaciśnął ogromne pięści. - Khwaj ma rację. Musimy zranić złych. Pokaż nam, gdzie kazano pójść temu, którego zwą Berit.

Ulath ponownie spojrział na mapę i poszukał w miniaturowym świecie wielkiego jeziora, znanego jako Morze Ardzuńskie.

- To tu, Ghworgu - rzekł, schylając się ponownie i przytykając palec do miejsca na wybrzeżu. Nagle pochylił się niżej, spoglądając na ziemię. - Naprawdę tu jest! - krzyknął. - Widzę maleńkie budynki! To Sopal!

- Oczywiście - odrzekł Schlee, jakby nie miało to żadnego znaczenia. - Obraz nie byłby dobry, gdybym coś opuścił.

- Oszukano nas - oznajmił Tynian. - Myśleliśmy, że nasi wrogowie są w miejscu zwanym Beresą. Ale nie są. Są w miejscu zwanym Sopal. Ten, którego zwą Berit, nie ma ze sobą kwietnego klejnotu. Anakha ma kwietny klejnot. Anakha wiezie go do miejsca zwanego Beresą. Jeśli źli spotkają się z Beritem w miejscu zwanym Sopal, nie będzie miał ze sobą kwietnego klejnotu, żeby im go oddać. Wpadną w złość i mogą zranić kobietę Anakhy.

- Może za dobrze go nauczyłem - mruknął Ghworg. - Teraz dużo mówi.

Schlee jednak uważnie słuchał oracji Tyniana.

- Ale mówi prawdę. Kobieta Anakhy jest w niebezpieczeństwie. Ci, co ją porwali, mogą ją też zabić. - Skóra na jego ogromnych ramionach zdrząła, strząsając osiadające na niej bezustannie płatki śniegu. Twarz boga wykrzywiła się w skupieniu. - Myślę, że to rozzłościłoby Anakhę. Mógłby rozzłościć się tak bardzo, że wzniósłby kwietny klejnot i sprawił, że świat by odszedł. Musimy powstrzymać złych przed zranieniem jego kobiety.

- Tynian z Deiry i ja udamy się do miejsca zwanego Sopal -oznajmił Ulath. - Źli nie poznają nas, bo nasze twarze zostały zmienione. Będziemy w pobliżu, kiedy źli powiedzą Beritowi, że oddadzą mu kobietę Anakhy, jeśli on odda im kwietny klejnot. Kiedy to zrobią, zabijemy ich i zabierzemy kobietę Anakhy.

- Słusznie mówi - wtrącił Zoka, zwracając się do pozostałych bogów trolli. - Jego myśli są dobre. Pomóżmy mu i jego towarzyszowi - ale nie pozwólmy im zabić złych. Zabicie ich nie wystarczy. Myśl Khwaja była lepsza. Niech Khwaj zamieni ich w ogień, które nigdy nie zgasną, niech zawsze płoną. Tak będzie lepiej.

- Umieszczę te istoty ludzkie w czasie, który nie płynie -rzekł Ghnomb. - Kiedy pójdą do miejsca zwanego Sopal, gdy świat stanie w miejscu, będziemy patrzeć na nich na obrazie ziemi Schlee.

- Naprawdę potraficie dostrzec coś tak małego jak człowiek na obrazie ziemi Schlee? - spytał ze zdumieniem boga jedzenia Ulath.

- A wy nie? - Ghnomb sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zaskoczonego. - Wyślemy z wami Bhlokwa i będziemy was obserwować na obrazie ziemi Schlee. Potem, kiedy zli pokażą kobietę Anakhy temu, którego zwą Berit, by udowodnić, że naprawdę ją mają, ty i Tynian z Deiry wyjdziecie z czasu, który nie płynie, i odbierzecie im ją.

- Później ja sięgnę w głąb obrazu ziemi Schlee i złapię ich -dodał ponuro Khwaj - sprowadzę tutaj i zamienię w ogień, które nigdy nie gasną.

- Potrafisz sięgnąć w obraz ziemi Schlee i przenieść złych z prawdziwego świata? - spytał zaskoczony Ulath.

- To łatwe. - Khwaj wzruszył ramionami. Tynian gwałtownie potrząsał głową.

- Co? - spytał Schlee.

- Te, którego zwą Zalastą, także umie wejść w czas, który nie płynie. Widzieliśmy, jak to robił.

- To nieistotne - odparł Khwaj. - Ten, którego zwą Zalastą, jest jednym ze złych. Jego też zamienię w ogień, który nigdy nie gaśnie. Będzie wiecznie płonął w czasie, który nie płynie. Ogień w tym miejscu jest równie gorący jak tutaj.

* * *

Gdy przekroczyli górski łańcuch, oddzielający rzeki płynące na zachód od tych płynących na wschód, śnieg stał się gęstszy i bardziej mokry. Ciężka chmura wilgotnego powietrza, wisząca stale nad Astelskimi Bagnami, sięgnęła wschodnich zboczy Gór Zemoskich, uwalniając niewiarygodne śnieżyce. Wielkie zasy przykryły lasy i zablokowały przełęcze. Rycerze kościoła z ponurą zawziętością przebijali się przez mokry śnieg, podążając doliną południowego odgałęzienia rzeki Esos w stronę zemoskie-go miasta Basne.

Patriarcha Abriel z zakonu cyri nitów rozpoczął kampanię w dobrym nastroju. Zdrowie wciąż mu dopisywało, a długie lata szkolenia wojskowego sprawiły, że pozostawał w znakomitej kondycji. Jednakże nieubłagane zbliżał się do siedemdziesiątki i wkrótce odkrył, iż codzienne poranne wstawanie staje się coraz trudniejsze - choć za żadne skarby nie przyznałby się do tego.

Wczesnym przedpołudniem kolejnego śnieżnego dnia jedna z grup zwiadowców, wyprzedzająca główny pochód, powróciła, prowadząc trzech Zemochów odzianych w kozłe skóry. Mężczyźni byli brudni, wychudzeni i przerażeni. Patriarcha Bergsten wyjechał im na spotkanie. Gdy główne siły zrównały się z nim, dyskutował właśnie zawzięcie z rycerzem z Arcium.

- Ależ to Zemochowie, wasza świątobliwość! - protestował gwałtownie rycerz.

- Naszym wrogiem był Otha, panie rycerzu - oznajmił zimno Bergsten - nie ci przesądni nieszczęśnicy. Dajcie im trochę jedzenia, ciepłe ubrania i wypuście.

- Ale...

- Nie będziemy dłużej dyskutować na ten temat, prawda? - spytał Bergsten złowieszczym tonem, prostując się na całą imponującą wysokość.

Rycerz rozważył sytuację i cofnął się kilka kroków.

- No... nie, wasza świątobliwość - odparł. - Chyba nie.

- Nasz święty ojciec docenia twoje posłuszeństwo, synu - rzekł Bergsten.

- Czy dowiedziałeś się czegoś użytecznego od tych trzech? - spytał Komier.

- Niewiele. - Bergsten z powrotem dosiadł swego konia. - Jakaś armia zajmuje pozycje gdzieś na wschód od Argochu. Poza tym usłyszałem od nich tylko mnóstwo przesądnej gadaniny. Żadnych szczegółów.

- Zatem zanosi się na walkę. - Komier z wyczekiwaniem zatarł ręce.

- Raczej w to wątpię - nie zgodził się Bergsten. - Z tego, ' co udało mi się zrozumieć z ich bełkotu, czekające na nas siły złożone są głównie z amatorów, jakichś fanatyków religijnych. Nasz święty ojciec z Chyrellos nie zyskał sobie wielu przyjaciół w tej części świata, gdy w dziewiątym wieku próbował połączyć ponownie odłamy eleńskiego kościoła z zachodniej Daresii.

- To było niemal dwa tysiące lat temu, Bergstenie - zaprotestował Komier. — Nie za długo, by żywić urazę? Bergsten wzruszył ramionami.

- Stare urazy są najlepsze. Wyślij zwiadowców nieco dalej, Komierze. Zobaczmy, czy zdołamy dowiedzieć się czegoś więcej o tym Komitecie Powitalnym. Przydałoby się kilku jeńców.

- Wiem, jak to zrobić, Bergstenie.

- Więc zrób. Nie siedź i nie gadaj.

Minęli Argoch i zwiadowcy Komiera schwytali kilkunastu jeńców. Patriarcha Bergsten przesłuchał pobieżnie ubogo ubranych, nieuczonych eleńskich chłopów i polecił ich wypuścić.

- Wasza miłość! - zaprotestował Darellon. - To bardzo niemądra decyzja. Ci ludzie pobiegną natychmiast do swych towarzyszy i opowiedzą o wszystkim, co widzieli.

- Owszem - rzekł Bergsten. - Wiem. Chcę, żeby to zrobili. Chcę też, by uprzedzili wszystkich swych przyjaciół, że widzieli sto tysięcy rycerzy kościoła schodzących z gór. Zachęcam ich do dezercji, Darellonie. Nie chcemy zabijać tych biednych zbłąkanych fanatyków, jedynie usunąć ich z drogi.

- Nadal uważam, że ze strategicznego punktu widzenia to nierozsądne, wasza świętość.

- Masz prawo do swego zdania, synu - odparł Bergsten.

W sprawach nie związanych z wiarą nasz święty ojciec zachęca do dyskusowania o odmiennych stanowiskach.

- Nie ma co dyskutować, skoro już pan ich wypuścił, wasza świętość.

- Wyobraź sobie, że mnie także przyszło to do głowy.

Przeciwnik czekał na nich w szerokiej dolinie rzeki Esos, na południe od zemoskiego miasta Basne, trzydzieści lig na zachód od astelskiej granicy. Meldunki zwiadowców i informacje wydobyte od jeńców okazały się ściśle. Nie mieli przed sobą regularnych wojsk, lecz tłuszcę, marnie uzbrojoną i niewyszkoloną.

Mistrzowie czterech zakonów zebrali się wokół patriarchy Bergstena, by rozważyć sytuację.

- To wyznawcy naszej wiary - rzekł Bergsten. - Nasz spór z nimi dotyczy organizacji władz kościelnych, nie podstaw samej religii. Tych kwestii nie rozstrzyga się na polu bitewnym, więc nie chcę, aby zabito zbyt wielu.

- Raczej się na to nie zanosi, wasza świętość - rzekł' mistrz Abriel.

- Mają nad nami dwukrotną przewagę liczebną, panie Abrie-lu - przypomniał pan Heldin.

- Jedna szarża powinna wyrównać szansę, Heldinie - odparł Abriel. - Ci ludzie to amatorzy, pełni entuzjazmu, lecz niewy-szkoleni, a połowa z nich jest uzbrojona wyłącznie w widły. Jeśli opuścimy przyłbice, uniesiemy kopie i zaatakujemy masą, większość ich jeszcze w przyszłym tygodniu będzie uciekać.

To był ostatni błąd, jaki miał kiedykolwiek popełnić czcigodny pan Abriel. Konni rycerze z niezwykłą precyzją rozjechali się na boki, tworząc ławę sięgającą w poprzek całej rodziny. Szereg za szeregiem, cyrinitów, pandionitów, genidianitów i alcjonitów odzianych w stal i dosiadających rumaków bojowych, utworzyły pokaz zorganizowanej wrogości zapewne najgroźniejszy w całym znanym świecie.

Mistrzowie czekali pośrodku pierwszego szeregu. Za plecami mieli młodszych rangą rycerzy. Zewsząd przybywali posłańcy z wieściami, że wszyscy są gotowi.

- Już chyba wystarczy - powiedział niecierpliwie Komier. - Nie sądzę, by tabory także musiały dołączyć do ataku. - Rozejrzał się po przyjaciółach. - Zaczynamy, panowie. Pokażmy tej zbieraninie, jak atakują prawdziwi rycerze. - Dał sygnał potężnemu genidancie i rycerz zadał ogłuszająco w róg ogra.

Pierwszy szereg opuścił przyłbice i ruszył naprzód. Idealnie zdyscyplinowani jeźdźcy i konie galopowali w doskonale prostej linii niczym ruchoma stalowa ściana.

W połowie drogi atakujący opuścili las kopii i natychmiast przeciwnicy zaczęli dezertować. Źle wyszkoleni poddani i chłopci uciekali, odrzucając broń i wrzeszcząc ze strachu. Tu i tam bardziej zdyscyplinowane oddziały utrzymały pozycje, lecz ucieczka sprzymierzeńców z obu stron niebezpiecznie odsłoniła ich flanki.

Rycerze zderzyli się z nimi z ogłuszającym hukiem. Raz jeszcze Abriel poczuł stare podniecenie bitewne. Jego kopia strzaskała się w zderzeniu z pospiesznie wzniesioną tarczą, toteż odrzucił bezużyteczną broń i dobył miecza. Rozejrzał się i dostrzegł, że plecami chłopów zgromadziły się inne siły, dotąd ukryte. I ta armia nie przypominała niczego, co Abriel dotąd /ogładał. Żołnierze byli wysocy, roślejsi nawet niż Thalezyjczycy. Nosili kolczugi i napierśniki, a ich pancerze ciaśniej przylegały do ciała niż u zwykłych wojowników. Każdy mięsień odcinał się wyraźnie pod lśniącą stalą. Hełmy stanowiły niezwykle stalowe kopie głów nieprawdopodobnych bestii; nie miały przyłbic, lecz stalowe maski wykute tak, by przypominały rysy poszczególnych osób - Abriel sądził, że ich właściciele. Po plecach mistrza cyrinitów przebiegł dreszcz. Rysy owych twarzy nie były ludzkie.

Pośrodku nieludzkiej armii wznosił się potężny skórzany namiot: żebrowany, lśniący, czarny namiot gigantycznych rozmiarów.

Nagle poruszył się, otworzył i rozpostarł szeroko... dwa wielkie skrzydła, zakrzywione, podobne do nietoperzych. I wówczas zza zasłony skrzydeł ukazała się niewiarygodnie wielka istota, stwór absolutnej ciemności o głowie w kształcie odwróconego klina, ze sterczącymi spiczastymi uszami. W straszliwie pustym obliczu płonęło dwoje skośnych oczu, dwie olbrzymie ręce wyciągnęły się ku nim łakomie. Pod lśniącą czarną skórą tańczyły pioruny, a ziemia, na której stał potwór, dymiła i płonęła.

Abriel poczuł niezwykle spokojny. Uniósł przyłbicę, by spojrzeć wprost w oblicze piekieł.

- Nareszcie! - mruknął. - Godny przeciwnik.

A potem zatrzasnął przyłbicę, uniósł ciężką tarczę i miecz, który nosił z honorem przez ponad pół wieku. Jego niezłomna ręka dźwignęła broń w obliczu wznoszącego się przed nim ogromu.

- Za Boga i Arcium! - huknął gwałtownie, przygotował się i runął na spotkanie zagłady.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Edaemus był obrażony - delikatnie mówiąc. Plama jaskrawo-białego światła, pod którą to postacią krył się bóg Delphae, migotała na obrzeżach czerwonym blaskiem, a cienka warstewka śniegu, pokrywająca niewielkie zagłębienie, wychodzące na dolinę Świetlistych, topniała z sykiem i parowała w żarze jego gniewu.

- Nie! - powtarzał z uporem. - Kategorycznie nie!

- Och, bądź rozsądny, kuzynie - przymilała się Aphrael. -Sytuacja uległa zmianie. Trwasz przy czymś, co nie ma już znaczenia. Przedtem istniały pewne powody do pozostawiania wiecznymi wrogami. Przyznaję, moja rodzina nie zachowała się najpiękniej podczas wojny z Cyrgaimi, ale działo się to bardzo dawno temu. Ciągłe kurczowe trzymanie się dawnych uraz to zwykła dziecinada.

- Jakżeś mogła, Xanetio? - spytał oskarżycielsko Edaemus. -Jakżeś mogła coś takiego uczynić?

- Postąpiłam tak, by planu naszego spełnienie przybliżyć, o ukochany - odparła Delficzka. Sephrenię zaskoczył głęboko osobisty stosunek Xanetii do jej boga. - Rozkazałeś mi pomoc Anace ofiarować, a że miłością Sephrenię darzy, z nią musiałam do zgody dojść. Kiedy zaś mur wrogości dzielący nas przełamaliśmy i ufnością się darzyć nauczyłyśmy, szacunek i cel wspólny, ku któremu dążymy, niechęć zniweczyły, a miłość nieproszona miejsce jej zajęła. W sercu mym Sephrenia siostrą drogą mi się stała.

- Błuznierstwo! W obecności mej zwać ci jej tak nie wolno!

- Jako każesz, ukochany - odparła, pokornie skłaniając głowę. Potem jednak jej podbródek uniósł się, a wewnętrzne światło rozbłysło z nową mocą. - Wszelako, z tobą czy bez ciebie, myśleć tak o niej będę w serca mego głębi.

- Jesteś już gotów nas wysłuchać, Edaemusie - wtrąciła Aphrael - czy może pozłóścisz się jeszcze parę wieków?

- Śmiałaś, Aphrael! - rzucił oskarżycielskim tonem.

- Tak, wiem. To część mojego uroku. Wiesz chyba, że Cyrgon próbuje dostać w swe ręce Bhelliom? A może tak bardzo zajęła cię zabawa w berka z gwiazdami, że straciłeś kontakt z rzeczywistością?

- Zachowuj się - upomniała ją Sephrenia.

- To okropnie męczące. Od dziesięciu tysięcy lat Edaemus tuli do piersi swą nienawiść niczym chore szczenię. - Bogini--dziecko spojrziała krytycznie na lśniącą obecność boga

Delphae. - Twoje światła mi nie imponują. Gdyby mi się chciało, też bym tak umiała.

Edaemus rozbłysnął jeszcze jaśniej. Otaczający go czerwony nimb pociemniał.

- Co za nudziarstwo! - westchnęła Aphrael. - Przykro mi, /Xanetio, ale tracimy tu czas. Będziemy musieli poradzić sobie z Klaelem sami, Bhelliom i ja. Twój marudny bóg na nic nam się nie przyda.

- Klaelem! - wykrzyknął Edaemus.

- To cię ruszyło, co? - prychnęła Aphrael. - Czy teraz wysłuchasz mnie wreszcie?

- Któż to uczynił? Któż Klaela uwolnił i na świat wypuścił?

- Z pewnością nie ja. Wszystko szło po myśli Cyrгона, gdy nagle Anakha wkroczył do gry. Wiesz, jak Cyrgon nie znosi przegrywać. Zaczął łamać reguły. Pomożesz nam, czy wolisz dąsać się przez następnych sto tysięcy? Tylko szybko, Edae-musie - dodała, pstrykając palcami. - Zdecyduj się. Nie mam całego dnia.

* * *

- Czemu sądzicie, że potrzebuję więcej ludzi? - spytał ostro Narstil. Był to chorobliwie chudy Ardżuni o żyłastych ramionach i zapadniętych policzkach. Siedział przy stole pod rozłożystym drzewem, pośrodku obozowiska głęboko w dżungli Ardżuny.

- Kierujesz ryzykownym interesem. - Caalador wzruszył ramionami, rozglądając się po nieporządnym obozie. - Kradniesz meble, dywany i gobeliny. Czyli najeżdżasz wioski i majątki na uboczu. Zaatakowani ludzie walczą, a to oznacza ofiary. Niemal połowa twoich ludzi jest w tej chwili w bandażach, i pewnie po każdym napadzie zostawiasz za sobą kilka trupów. Przywódcy podobnych band zawsze potrzebują ludzi.

- W tej chwili nie mam żadnych wolnych miejsc.

- Mogę kilka załatwić - powiedział złowieszczo Bevier, demonstracyjnie przeciągając palcem po ostrzu swej halabardy.

- Posłuchaj, Narstilu - dodał Caalador nieco bardziej pojednawczym tonem - widzieliśmy twoich ludzi. Sam przyznaj -zebrałeś grupkę miejscowych osiłków, którzy wpadli w kłopoty, kradnąc kurczęta i podbierając cudze kozy. Brak ci zawodowców, i to właśnie ci proponujemy - profesjonalizm. Twoi chłopcy nadymają się i próbują wyglądać groźnie, ale zabijanie nie leży w ich naturze i dlatego obrywają, gdy dochodzi do walki. Nam zabijanie nie przeszkadza. Przywykliśmy do niego. Twoi młodzi śmiałkowie muszą udowodniać sobie nawzajem swą odwagę, my - nie. Orden nas zna. W przeciwnym razie nie przysłałby ci listu. - Jego oczy zwężyły się lekko. - Wierz mi, Narstilu, wszyscy znacznie

uprościmy sobie życie, jeśli dołączymy do ciebie, zamiast zakładać konkurencyjną grupę.

Narstil mocno stracił na pewności siebie.

- Pomyślę nad tym - rzekł.

- Byle szybko. I niech ci nie wpadnie do głowy próba wyeliminowania potencjalnej konkurencji. Twój chłopcy nie daliby sobie rady, a ja i moi przyjaciele bez wątpienia wzięlibyśmy to sobie do serca.

* * *

- Przestań! - upomniała siostrę Sephrenia, gdy cała czwórka wędrowała przypominającymi korytarze wąskimi uliczkami Delphaeusu w stronę domostwa Cedona, Anariego ludu Xanetii.

- Edaemus też to robi - odparła Aphrael.

- To jego miasto i jego lud. Nieuprzejmie jest zachowywać się tak w gościnie.

Xanetia spojrzała na nie pytająco.

- Moja siostra się popisuje - wyjaśniła Sephrenia.

- Wcale nie! - zaprotestowała bogini-dziecko.

- Właśnie że tak, Aphrael, i obie o tym wiemy. Już to przerabialiśmy. Przestań natychmiast.

- Nie rozumiem - przyznała Xanetia.

- To dlatego, że przywykłaś do jego obecności, siostrze - wytłumaczyła ze znużeniem Styriczka. - Aphrael nie powinna demonstracyjnie okazywać swojej boskości w obecności wyznawców innych bogów. To oznaka okropnie złego wychowania i ona dobrze o tym wie. Robi to tylko po to, by zirytować Edaemusa. Dziwne, że ta jej boskość nie zrównała dotąd miasta z ziemią albo nie podpaliła wszystkich tutejszych strzech.

- Mówisz paskudne rzeczy, Sephrenio! - rzuciła Aphrael.

- Zachowuj się zatem. i

- Nie, jeśli Edaemus nie zrobi tego samego. Styriczka westchnęła, przewracając oczami.

Wkrótce dotarli do południowego skrzydła miasta-budynku Delphaeusu i pokonawszy mroczny korytarz, stanęli przed drzwiami Cedona. Anari czekał na nich; jego sędziwa twarz - wyrażała zachwyty. Na widok światła, będącego Edaemusem, padł na kolana, jednakże bóg przygasł, przybrał ludzką postać i łagodnie dźwignął go z kłęczek.

- Potrzeby nie ma takowej, stary druhu - rzekł.

- Ależ, Edaemusie - wtrąciła Aphrael - jesteś naprawdę całkiem przystojny! Nie powinieneś chować się przed nami w całym tym świetle.

Na pozbawionej wieku twarzy boga Delphae zatańczył lekki 'uśmieszek.

- Pochlebstwem swym zwieść mię nie próbuj, Aphrael. Znam T. cię, jako i twoje zwyczaje. Nie zniewolisz mię tak łatwo.

- Ach tak? Już zniewolonym jesteś, Edaemusie. Na razie igrasz z tobą jeno, lecz palce me już na twym sercu spoczęły. Niedługo zacisnę je i moim cię uczynię. - Zaśmiała się srebrzyście. - Ale to sprawa pomiędzy mną, a tobą, kuzynie. Tymczasem mamy na głowie inne rzeczy.

Xanetia czule uścisnęła starego Cedona.

- Jako widzisz, najdroższy przyjacielu, zmiany wielkie nadchodzą. Groza, której czoło stawić musimy, świat cały odmieni. Niebezpieczeństwem tedy się zajmijmy, abyśmy potem rzeczy odmianę rozważyć w spokoju mogli.

W ślad za Cedonem zeszli po trzech kamiennych stopniach do niskiej komnaty Anariego, pokoju o zakrzywionych białych ścianach, wygodnie umeblowanego i skąpanego w pogodnym blasku ognia.

- Opowiedz im o wszystkim, Xanetio - zaproponowała Aphrael, wdrapując się na kolana Sephrenii. - To może wyjaśni, czemu musiałam złamać wszystkie zasady i przybyć tutaj. - Posłała Edaemusowi wyniosłe spojrzenie. - Wbrew temu, co zapewne sądzisz, kuzynie, odebrałam staranne wychowanie, ale sytuacja jest krytyczna.

Sephrenia oparła się wygodnie, słuchając, jak Xanetia relacjonuje wydarzenia ostatnich miesięcy. W Delphaeusie panował niezmacony spokój, błoga cisza, której Styriczka nie dostrzegła podczas poprzedniej wizyty. Wówczas umysł jej wypełniała całkowicie obsesyjna nienawiść, tak mocna, że przesłaniała szczegóły otoczenia. Delphae zwrócili się do Sparhawk'a z prośbą, aby zamknął ich dolinę przed resztą świata, lecz nagle wydało jej się to niepotrzebne. Oni już żyli osobno - do tego stopnia, że nie sprawiali wrażenia ludzi. W pewnym sensie Sephrenia im zazdrościła.

- Szału można dostać, prawda? - szepnęła bogini-dziecko. - A słowa, których szukasz, to „pogoda ducha”.

- Ty zaś robisz wszystko, co w twojej mocy, żeby ją zmać?

- Nadal są częścią tego świata, Sephrenio - przynajmniej na jakiś czas. Przypominam im jedynie, że my także istniejemy.

- Byłaś okropnie niegrzeczna dla Edaemusa.

- Usiłuję przywołać go do rzeczywistości. Ostatnie sto wieków spędził samotnie i

zapomniał, jak to jest mieć przy sobie nas wszystkim. Odświeżam jego pamięć. Prawdę mówiąc, dobrze mu to zrobi. Zaczynał popadać w samouwielbienie. - Zsunęła się z kolan siostry. - Przepraszam, ale już czas na następną lekcję. - Przeszła przez komnatę i zatrzymała się przed Edaemusem, patrząc na niego błagalnie wielkimi ciemnymi oczami.

Bóg Delphae był tak zasłuchany w opowieść Xanetii, że zupełnie nie zwracał uwagi na Aphrael, i kiedy wyciągnęła do niego ręce, odruchowo podniósł ją i posadził sobie na kolanach.

Sephrenia uśmiechnęła się.

- Ostatnio zaś - zakończyła swą relację Xanetia - młody pan Berit nowe rozkazy otrzymał. Zawrócić ma i do Sopalu nad Morzem Ardzuńskim podążyć. O zmianie podróży celu boginię-dziecię powiadomił, ona zasię nam wieści przyniosła. Bogowie trolli zamierzają panów Ulatha i Tyniana do Sopalu przenieść i ukryć ich w beczasie - tako go bowiem zowią. Tam zaczekać chcą, aż nieprzyjaciele nasi królową Ehlanę przywiodą, by za Bhelliom ją wymienić - by wonczas z ukrycia wyskoczyć i brankę uwolnić.

- Bezczasie? - powtórzył zdumiony Cedon.

- W zatrzymanym trwaniu - wyjaśniła Aphrael. - Trolle to myśliwi i ich bogowie znaleźli im nową kryjówkę, tak by mogły niepostrzeżenie podkraść się do zdobyczy. Sprytny pomysł, ale ma swoje wady.

Edaemus spytał ją o coś w języku, którego Sephrenia nieraz próbowała się nauczyć, ale nigdy nie zdołała. Aphrael szybko odpowiedziała, słowom towarzyszyły skomplikowane gesty.

- Ach tak! - rzekł wreszcie bóg Delphae po tamulsku. Jego twarz rozjaśnił przebłysk zrozumienia. - Osobliwa to idea.

- Wiesz, jacy są bogowie trolli. - Aphrael skrzywiła się lekko.

- Azali prawdą jest, że zmusiłaś ich do żądań twych niewiarygodnych przyjęcia?

- Miałam coś, czego potrzebowali. - Wzruszyła ramionami. - Od trzystu lat usiłowali wymyślić jakiś sposób ucieczki z Bhel-liomu. Nie byli zachwyceni moimi warunkami, ale nie mieli wyboru.

- Okrutnaś, Aphrael.

- Niezupełnie. Robiłam to, co konieczne, a konieczność nie bywa ani okrutna, ani przychylna. Gdy parę dni temu złożyłam im wizytę, pocałowałam ich kilka razy i poczuli się lepiej -przynajmniej kiedy zorientowali się, że nie zamierzam ugryźć.

- Nie uczyniłaś tego! - Edaemus spojrział na nią, wstrząśnięty.

- Nie są tacy źli - tłumaczyła się Aphrael. - Zapewne mogłam zamiast tego podrapać

ich za uszami, ale bałam się, że urażę godność bogów trolli, więc ich pocałowałam. - Uśmiechnęła się. - Jeszcze kilka pocałunków, a zaczęliby się do mnie łąsić jak szczeniaki.

Edaemus wyprostował się i zamrugał, zaskoczony, jakby dopiero teraz zauważył, gdzie siedzi bogini-dziecko.

Aphrael obdarzyła go kolejnym ze swych tajemniczych uśmiezków i poklepała po policzku.

- Wszystko w porządku, kuzynie. Wkrótce przywykniesz. Wszyscy przywykają. - Zsunęła mu się z kolan i poszła dołączyć do siostry.

* * *

- Ja tu siedzę! - warknął groźnie rostry opryszek niewiadomego pochodzenia, gdy Kalten rzucił juki i koce na wolne miejsce pod wielkim drzewem.

- Siedziałeś - poprawił Kalten.

- Nie możesz ot tak sobie przyjść i ukraść mojego miejsca!

- Naprawdę? A jest jakiś zakaz? - Kalten wyprostował się. Przewyższał tamtego co najmniej o głowę, a jego mięśnie napięły się pod koleczugą. - Ja i moi przyjaciele zamierzamy tu zostać - oznajmił beznamiętnie - więc zabierz swoje rzeczy i inne śmieci i zjeżdżaj stąd.

- Nie zwykłem wysłuchiwać rozkazów Elenów!

- Wielka szkoda. A teraz rusz się. Mam sporo do zrobienia.

Kalten nie był w najlepszym humorze. Świadomość grożącego Alean niebezpieczeństwa dręczyła go bezustannie i nawet najdrobniejsza uraza doprowadzała go niemal do stanu wrzenia.

Musiało się to odbić na jego twarzy, bo mężczyzna cofnął się kilka kroków.

- Dalej - polecił Kalten.

- Wróć tu - wypalił tamten, znów ruszając do tyłu.

- Nie mogę się już doczekać. - Kalten demonstracyjnie odwrócił się plecami.

W tym momencie dołączyli do niego Caalador i Bevier.

- Kłopoty? - spytał Caalador.

- Za dużo powiedziane. - Kalten wzruszył ramionami. - Po prostu ustalałem naszą pozycję. Za każdym razem, kiedy znajdziecie się w nowej sytuacji, musicie zastraszyć kilku ludzi, żeby inni zrozumieli, że nie pozwolicie sobą pomiatać. Rozgośćmy się.

Rozbili obóz i właśnie zbierali mech i liście na posłania, kiedy podszedł do nich Narstil.

- Widzę, że się urządzacie, Ezeku - rzekł. Jego głos brzmiał pojednawczo, choć niezupełnie serdecznie.

- Już prawie skończyliśmy - odparł Caalador.

- Ładnie rozbijacie obóz - zauważył Narstil. - Porządnie.

- Bałagan w obozie to znak bałaganu w głowie - oznajmił Caalador. - Miło, że wpadłeś, Narstilu. Słyszeliśmy, że niedaleko stacjonuje armia. Sprawiają ci jakieś kłopoty?

- Zawarliśmy z nimi układ. My ich nie okradamy, a oni nas nie niepokoją. Zresztą ci w Natayos to nie prawdziwa armia, raczej wielka banda buntowników. Chcą obalić rząd.

- A kto nie chce? Narstil roześmiał się.

- Prawdę mówiąc, obecność tej zbieraniny przynosi mi spore korzyści. Fakt, że tu są, zniechęca policję do odwiedzania tej części dżungli, a jednym z powodów, dla których nas tolerują, jest to, że napadamy podróżnych, na skutek czego ludzie nie węższą wokół Natayos. Poza tym handlujemy z nimi. Kupują praktycznie wszystko, co zdołamy ukraść.

- Jak daleko stąd do Natayos?

- Jakies dziesięć mil. To stare ruiny. Scarpa - on tam dowodzi - wprowadził się do nich parę lat temu i ufortyfikował. Co dzień sprowadza nowych zwolenników. Nie przepadam za nim, ale interesy idą świetnie.

- Jaki on jest?

- To wariat. Czasami tak mu odbija, że wyje do księżyca. Świącie wierzy, że pewnego dnia zostanie cesarzem, i podejrzewam, że już wkrótce wyprowadzi z ruin swoją hordę. Tu, w dżungli, jest bezpieczny, ale gdy tylko wymaszeruje, Atafii zmiażdżą go jak robaka. Zostaną z niego ochłapy.

- I mamy się tym martwić? - wtrącił Bevier.

- Osobiście nic mnie nie obchodzi - zapewnił pozornie jednookiego siłacza Narstil. - Żałuję jedynie utraty rynku zbytu.

- Czy każdy może wejść do Natayos i wyjść z niego, kiedy tylko przyjdzie mu ochota? - spytał niby od niechcienia Kalten.

- Jeśli prowadzisz muła, obładowanego jedzeniem bądź trunkiem, powitają cię z otwartymi ramionami. Co kilka dni wysyłam im zaprzężony w woły wóz pełny beczek piwa. Wiesz, jak żołnierze lubią piwo.

- O tak - zgodził się Kalten. - Poznałem w życiu sporo żołnierzy. Ich świat staje w miejscu, gdy tylko ktoś wybije szpunt z beczki.

* * *

- Ze zdolności nad światłem, z ciał naszych promieniującym, panowania umiejętność ta pochodzi - wyjaśnił Cedon. - To, co wzrokiem zwiemy, w ogromnym zaiste stopniu na świetle polega. Zmiana doskonała nie jest - lekki blask wciąż pozostaje i czuwać musimy, by cienie obecności naszej nie zdradziły, lecz starań dołożywszy, pozostać niepostrzeżeni umiemy.

- To dopiero ciekawe różnice - wtrąciła Aphrael. - Bogowie trolli manipulują czasem, wy - światłem, a ja - uwagą ludzi, przed którymi pragnę się ukryć, wszyscy jednak próbujemy osiągnąć choćby częściową niewidzialność.

- Wieszli o kimś, kto prawdziwie niewidzialnym stać się umie, o boska? - spytała Xanetia.

- Ja - nie. A ty, kuzynie? Edaemus potrząsnął głową.

- Potrafimy jednak zbliżyć się do tego - ciągnęła bogini--dziecko. - Prawdziwa niewidzialność miałaby prawdopodobnie swoje wady. To doskonały pomysł, Anari Cedonie, ale nie chcę, by Xanetia narażała się na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Za bardzo ją kocham.

Delficzka zarumieniła się lekko, po czym zerknęła na Edae-musa; na jej twarzy malowało się poczucie winy. Sephrenia zaśmiała się.

- Zaprawdę ostrzec cię muszę, Edaemusie - rzekła. - Strzeż pilnie swych wyznawców. Moja bogini słynie z upodobania do kradzieży. - Z namysłem zmarszczyła brwi. - Gdyby Xanetia niepostrzeżenie odwiedziła Sopał, mogłaby nam bardzo pomóc.

Jej umiejętność sięgania w umysły innych pozwoliłaby szybko sprawdzić, czy jest tam Ehlana. Jeśli jest, moglibyśmy podjąć stosowne kroki. Jeżeli nie, znaczy to, że Sopał stanowi jedynie kolejną zmyłkę.

Cedon spojrzał na swego boga.

- Myślę, o ukochany, że zaangażować się w sprawy świata tego musimy mocniej, niżesmy wcześniej zamiarowali. W umyśle Anakhy troska o połowicy losy pierwszeństwo nade wszelkimi innymi sprawami wzięła, i przyrzeczenia nam złożonego spełnić nie może, póki całej i zdrowej nie odzyska.

Edaemus westchnął.

- Wierę, iż w słowach twych mądrość się kryje, mój Anari. I choć radości mej to nie budzi, zdaje się, że odrzucić niechęć naszą musimy i do poszukiwań żony Anakhy dołączyć, pomocy naszej używając.

- Jesteś pewien, że chcesz się w to zaangażować, Edaemusie? - spytała Aphrael. -

Naprawdę pewien?

- Rzekłem, Aphrael.

- I nie ciekawi cię, czemu tak bardzo przejmuję się losami dwójki Elenów? Wiesz chyba, że mają własnego boga. Jak sądzisz, dlaczego interesuję się nimi?

- Czemuż zawsze okrężnie przemawiasz. Aphrael?

- Bo lubię zaskakiwać swych rozmówców - odparła ze słodyczą. - Chciałabym ci bardzo podziękować za troskę o bezpieczeństwo mojej matki i ojca, kuzynie. Niezmiernie mnie wzruszyłeś.

Edaemus patrzył na nią, oniemiały ze zdumienia.

- Nie uczyniłaś tego! - wykrztusił.

- Ktoś musiał. - Wzruszyła ramionami. - Jedno z nas musiało mieć oko na Bhelliom. Anakha to dziecię Bhelliomu, póki jednak trzymam w garści jego serce, do pewnego stopnia mogę go kontrolować.

- Ale to przecież Eleni!

- Och, dorośnij wreszcie, Edaemusie. Eleni, Styricy, Del-phae - jaka to różnica? Jeśli masz otwarte serce, możesz pokochać ich wszystkich.

- Ale oni jedzą świnie!

- Wiem. - Wzdrygnęła się. - Wierz mi, wiem doskonale. To jedna z rzeczy, nad którymi pracuję.

* * *

Senga był dobrodusznym rabusiem, którego przodkowie wywodzili się z tak wielu różnych ras, że nie dało się określić, do jakiej należy. Często się uśmiechał, mówił głośno i bez skrępowania, i miał zaraźliwy śmiech. Kalten polubił go, a i Senga zdawał się dostrzegać w eleńskim banicie, znanym mu jako Col, bratnią duszę. Wjeżdżając do zatłoczonego obozowiska Narstila, pełnego nieporządných stosów mebli i domowych sprzętów, zaśmiewał się tubalnie.

- Hej, Col! - huknął, zbliżywszy się do drzewa, pod którym rozbili swój namiot Kalten, Caalador i Bevier. - Trzeba było pojechać ze mną! Wóz pełen beczek piwa otwiera wszystkie drzwi w Natayos.

- Wojsko działa mi na nerwy - odparł Kalten. - Oficerowie zawsze szukają nowych rekrutów - zazwyczaj posiłkując się bronią - a generałowie, jak na mój gust, zanadto moralizują. Z jakichś powodów samo określenie „stan wojenny” mrozi mi krew w żyłach.

- Scarpa dorastał w tawemie, przyjacielu - zapewnił go Senga - a jego matka była ladacznicą, toteż oswoił się z ciemniejszymi stronami ludzkiej natury.

- Jak ci poszło?

Senga uśmiechnął się szeroko, wywrócił oczami i zadzwięczał pełnym trzosem.

- Dość dobrze, bym zaczął zastanawiać się nad porzuceniem świata zbrodni i otwarciem własnego browaru. Jedyne szkopułem w tym, że nasi przyjaciele z Natayos zapewne nie ostaną tam długo. Jeśli założę browar, a moi klienci wymaszerują i dadzą się zabić Atanom, będę musiał sam wypić całe piwo, a nikt nie ma aż takiego pragnienia.

- Czemu sądzisz, że ci buntownicy szykują się do wymarszu?

- Bez szczególnych powodów. - Senga wyciągnął się wygodnie na ziemi i podał Kaltenowi bukłak z winem. - Scarpa wyjechał kilka tygodni temu. W zeszłym miesiącu wraz z dwoma czy trzema Elenami opuścił Natayos i nikt, z kim rozmawiałem, nie miał pojęcia, dokąd się udał ani po co.

Kalten pilnował się, by nie zdradzić zainteresowania.

- Słyszałem, że to wariat. Szaleńcy nie potrzebują powodów dla swych czynów ani celów podróży.

- Jasne, Scarpa jest na to dość szalony, ale potrafi wzbudzić zapal w swoich ludziach. Kiedy postanawia wygłosić mowę, lepiej poszukaj sobie wygodnego miejsca, bo zajmie mu to co najmniej sześć godzin. W każdym razie jakiś czas temu wyjechał

i jego armia zamierzała spędzić M- zuntnitjtattk teraz, kiedy wrócił, wszystko się zmieniło.

Kalten nadstawił ucha.

- Wrócił?

- Owszem, przyjacielu. Napijmy się. - Senga uniósł bukłak i wlał sobie do gardła szeroką strugę trunku, po czym otarł ręką podbródek. - Razem ze swymi eleńskimi kompanami zjawiał się w Natayos zaledwie cztery dni temu. Słyszałem, że mieli ze sobą kobiety.

Kalten pochylił się i zaczął demonstracyjnie poprawiać pas z mieczem, aby ukryć nagłe podniecenie.

- Myślałem, że Scarpa nienawidzi kobiet - zauważył, starając się, by zabrzmiało to niewinnie.

- O tak, przyjacielu, ale z tego, co słyszałem, te dwie nie są zwykłymi panienkami do zabawy, spotkanymi po drodze. Po pierwsze, miały związane ręce, a gość, z którym rozmawiałem, twierdził, że były nieco obdarte, ale nie wyglądały na dziewczynki. Nie zdołał

przyjrzeć się bliżej, bo Scarpa szybko zaprowadził je do domu, wyraźnie przygotowanego dla specjalnych gości - no wiesz, eleganckie meble, dywany, te rzeczy.

- Wyróżniały się czymś? - rycerz niemal wstrzymał oddech. Senga wzruszył ramionami i pociągnął łyk wina.

- Chyba tylko tym, że nie traktowali ich jak zwykłych żołnierskich dziewczek. - Podrapał się po głowie. - Gość wspominał jeszcze o czymś - rzekł. - Co to było?

Tym razem Kalten naprawdę wstrzymał oddech.

- A tak - rzekł Senga - już pamiętam. Mówił, że kobiety, które Scarpa sprowadził do Natayos, zadając sobie tyle trudu, to Elenki. Dziwne, prawda?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Leżąca na południowo-wschodnim wybrzeżu Ardżuny Beresa była niskim, brzydkim miastem, przycupniętym niczym ropucha na plaży, oddzielającej Południowe Morze Tamulskie od zielonej bagnistej dżungli. Podstawowy produkt tego regionu stanowił węgiel drzewny, i chmura gryzącego dymu wisiała w wilgotnym powietrzu nad Beresa niczym przekleństwo.

Kapitan Sorgi rzucił kotwicę niedaleko nabrzeża i zszedł na ląd, aby zasięgnąć rady zarządcy portu.

Sparhawk, Stragen i Talen, odziani w płócienne kaftany, opierali się o reling, spoglądając ponad cuchnącą wodą w stronę celu swej podróży.

- Mam wspaniały pomysł, Fronie - powiedział Stragen, zwracając się do Sparhawka.

- Czyli?

- Może byśmy tak porzucili statek?

- Niezła próba, Vymenze - zaśmiał się Talen. Cała trójka zdążyła już przywyknąć do swych przybranych imion.

Sparhawk rozejrzał się uważnie, upewniając się, że w pobliżu nie ma żadnych członków załogi.

- Zwykły marynarz nie odszedłby, nie odebrałszy zapłaty. Nie róbmy niczego, co mogłoby zwrócić na nas uwagę. Pozostał nam jedynie wyładunek towarów.

- Pod batem bosmana - dodał ponuro Stragen. - Ten człowiek naprawdę wystawia na próbę moją cierpliwość. Sam jego widok sprawia, że mam ochotę go zabić.

- Wytrzymamy ten ostatni raz - odparł Sparhawk. - To miasto jest pełne nieprzyjaznych oczu. Krager z pewnością zostawił tu swych ludzi, żeby sprawdzić, czy nie próbuję za jego plecami gromadzić sił.

- Dostrzegłem właśnie pewną wadę naszego planu, Fronie - rzekł Stragen. - Sorgi wie, że nie jesteśmy zwykłymi marynarzami. Czy może się wygadać?

Sparhawk potrząsnął głową.

- Umie trzymać język za zębami. Płacimy mu za to, żeby dyskretnie przewiózł nas do Beresy, a on zawsze wywiązuje się ze swych zobowiązań.

Kapitan wrócił na pokład późnym popołudniem. Natychmiast podnieśli kotwicę i przycumowali do jednego z pomostów przy nabrzeżu. Następnego ranka wyładowali towary. Bosman z rzadka jedynie strzelał z bata i wyładunek szedł bardzo szybko.

Wreszcie, kiedy opróżniono ładownie, marynarze ustawili się w kolejce wzdłuż nadbudówki. Sorgi zasiadł przy małym stoliku i położył przed sobą księgę rachunkową oraz stosiki monet. Płacąc, wygłaszał krótką przemowę pod adresem każdego marynarza. Kazania różniły się nieznacznie, lecz ich ogólny sens pozostawał ten sam: „Unikaj kłopotów i punktualnie wracaj na statek. Kiedy nadejdzie czas, by podnieść kotwicę, nie będę na ciebie czekał”. Kiedy Sparhawk i jego przyjaciele stanęli przed nim, usłyszeli to samo. Kapitan niczym nie zdradził się, że wie, iż różnią się czymkolwiek od pozostałych członków załogi.

Wkrótce cała trójka niecierpliwym krokiem zeszła po trapie na ląd, dźwigając swe worki żeglarskie.

- Teraz rozumiem, czemu marynarze w porcie są tak skłonni do bójki - mruknął Sparhawk. - Nie była to zbyt długa podróż, a jednak mam wielką ochotę poszaleć.

- Dokąd teraz? - spytał Talen, gdy dotarli na ulicę.

- Jest tu gospoda „Odoczynek Żeglarza” - odparł Stragen. - Podobno to ciche, czyste miejsce, poza główną strefą walk na nabrzeżach. Możemy tam założyć bazę wypadową.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy wędrowali gwarnymi, cuchnącymi ulicami Beresy. Tutejsze domy zbudowano w większości z ociosanych bali, gdyż w rozległej, bagnistej delcie rzeki Ardżun kamień stanowił prawdziwą rzadkość, i zgnilizna atakowała drewno, jeszcze zanim umieszczono je na miejscu. Wszędzie wokół rosły mech i pleśń; w powietrzu wisiała zimna wilgoć i gryzący dym z wypałami węgla drzewnego tuż za miastem. Ardżuni byli znacznie smaglejsi od swych tamulskich kuzynów z północy. Cały czas oglądali się za siebie i nawet spacerując błotnistymi ulicami swego brzydkiego miasta, wyglądali, jakby skradali się ukradkiem.

Maszerując ubogą uliczką, Sparhawk wymamrotał pod nosem zaklęcie i uwolnił je powoli, tak by nie zaalarmować śledzących ich ludzi. Był pewien, że czają się w pobliżu.

- I co? - spytał Talen. Dostatecznie długo znał Sparhawk, by umieć stwierdzić, że potężny pandionita używa magii.

- Są tutaj - odparł rycerz. - Wyczuwam co najmniej trzech.

- Koncentrują się na nas? - w głosie Stragena brzmiało napięcie.

Sparhawk pokręcił głową.

- Nie, nie skupiają uwagi na niczym szczególnym. Nie są Styrikami, więc nie wiedzą, że ich szukałem. Idźmy dalej. Jeśli ruszą za nami, dam wam znać.

„Odoczynek Żeglarza” był przytulną, przysadzistą gospodą, udekorowaną sieciami rybackimi i innymi morskimi drobiazgami. Prowadził ją rosły mężczyzna, były kapitan, i jego równie potężna żona. Pod swym dachem nie tolerowali żadnych wybryków i zanim przyjęli

pieniądze od potencjalnego lokatora, recytowali mu długą listę obowiązujących w gospodzie przepisów. Sparhawk nie słyszał nawet o części rzeczy, które objęto zakazem.

- Dokąd teraz? - spytał Talen, kiedy złożyli już w pokoju worki i wyszli z powrotem na błotnistą uliczkę.

- Wracamy na nabrzeże - odparł Stragen. - Przywódca miejscowych złodziei nazywa się Estokin. Utrzymuje rozległe kontakty z przemytnikami i marynarzami, podkradającymi towary z ładowni. Dostałem od Caaladora list polecający. Oficjalnie mamy się upewnić, czy w Święto Plonów otrzymał to, za co zapłacił. Ardżuni nie cieszą się powszechnym zaufaniem, toteż Estokina nie powinna zdziwić nasza wizyta.

Estokin z Ardżuni był niewątpliwie od urodzenia predestynowany do kariery w świecie przestępczym. Sparhawk nigdy w życiu nie widział równie złowrogiej twarzy. Lewe oko Estokina wyraźnie zezowało, cały czas mrużył powieki. Brodę miał rzadką i niechlujną, jego skórę pokrywały łuszczycowe plamy. Nieustannie drapał się po nich, rozsiewając wokół zamieć białych płatków. Jego wysoki, nosowy głos przypominał brzęczenie głodnego komara, a oddech cuchnął czosnkiem, tanim winem i marynowanymi śledziami.

- Czyżby Caalador oskarżał mnie o oszustwo, Vymerze? - spytał z dobrze udanym oburzeniem.

- Oczywiście, że nie. - Stragen odchylił się na rozklekotanym krześle w klitce na tyłach śmierdzącej portowej knajpy. - Gdyby tak myślał, już byś nie żył. Chce wiedzieć, czy kogoś pominęliśmy, to wszystko. Czy miejscowi bardzo przejęli się nagłym pojawieniem tak wielu trupów?

Estokin przyjrzał się Stragenowi, mrużąc swe zdrowe oko.

- Ile ta wiadomość jest dla niego warta?

- Powiedział, że jeśli będziesz współpracował, pozwala nam darować ci życie - odparł chłodno Stragen.

- Nie możesz tak mi grozić, Vymerze! - wykrztusił Ardżuni.

- Wcale ci nie groziłem, stary druhu. Po prostu uświadomiłem, na czym stoisz. A teraz przejdźmy do rzeczy. Kogo w Be-resie zaniepokoiły nasze czystki?

- Niewielu. - Najwyraźniej lodowata pewność siebie Stragena przekonała Estokina, by zachowywał się uprzejmie. - Kręcił się tu Styrik, który przed Świętem Plonów rozdawał pieniądze na prawo i lewo.

- Co kupował?

- Głównie informacje. Był na liście Caaladora, ale zdołał uciec - odjechał w dżungłę. Posłałem za nim kilku miejscowych skrytobójców.

- Chętnie bym z nim pomówił, zanim wyprawią go do grobu.

- Marne szansę, Vymrze. Do tej chwili zagłębili się już daleko w chaszczce. - Estokin podrapał się po czole, posyłając w powietrze kolejną porcję płatków. - Nie mam pojęcia, czemu Caalador chciał, żebyśmy zabili tych ludzi, i nieszczególnie mnie to obchodzi, lecz nieco orientuję się w polityce, a w Ardżunie oznacza ona Scarpę. Powinniście uprzedzić Caaladora, żeby zachował ostrożność. Rozmawiałem z kilkoma dezertierami z jego armii buntowników. Wszyscy słyszeliśmy historie o szaleństwie Scarpy, ale powiem wam coś, przyjaciele: żadna z nich nie dorównuje rzeczywistości. Jeśli choć połowa z tego, co do mnie dociera, odpowiada prawdzie, to Scarpa jest najobłąkańszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi.

Żołądek Sparhawk zacisnął się w zimnym strachu.

* * *

- Ojcze?

Sparhawk gwałtownie usiadł w łóżku.

- Obudziłeś się? — spytała bogini-dziecko. Jej głos odbił się w umyśle rycerza ogłuszającym rykiem.

- Oczywiście. Proszę, mów trochę ciszej. Zęby mnie boją od tego hałasu.

- Chciałam być pewna, że mnie słyszysz. Przynoszę wieści. Berit i Khalad otrzymali nowe instrukcje od Kragera. Teraz mają się udać do Sopalu, nie do Beresy.

Sparhawk zaklął.

- Proszę, ojcze, oszczędź mi takiego języka. Jestem w końcu matką dziewczynką.

Zignorował jej słowa.

- Czy do wymiany dojdzie właśnie w Sopalu?

- Trudno powiedzieć. Bevier także pozostaje ze mną w kontakcie. Kalten rozmawiał z rozbójnikiem handlującym z Żołnierzami w Natayos i twierdzi, że Scarpa tam wrócił. Słyszał też od niego, że Scarpa przywiózł ze sobą dwie Ełenki.

Serce Sparhawk zabilo mocniej.

- Był tego pewien?

- Kalten tak sądzi. Tamten nie miał powodu go okłamywać. Oczywiście sprzedawca piwa nie widział tego na własne oczy, więc nie podniecaj się zanadto. To może być starannie przygotowana historyjka. Zalasta jest w Natayos i może chcieć cię tam zwabić albo zmusić do ujawnienia sekretów ukrytych w rękawie. Zna cię dość dobrze, by wiedzieć, że spróbujesz

czegoś, czego się nie spodziewa.

- Potrafisz stwierdzić z całą pewnością, czy twoja matka naprawdę przebywa w Natayos?

- Obawiam się, że nie. Scarpę obeszląbym z łatwością, ale Zalasta wyczułby mnie natychmiast. To zbyt ryzykowne.

- Co jeszcze nowego słyszeć?

- Ulath i Tynian spotkali się z bogami trolli. Ghnomb zabierze ich do Sopalu w zastygłym czasie, który tak lubi. Będą tam czekać na Berita i Khalada. Ghnomb zna inny sposób zabawy z czasem, toteż będzie ich przerzucał z chwili do chwili. Trudno to wyjaśnić, ale obaj będą mogli obserwować innych, ich zaś nikt nie dostrzeże. Jeśli Scarpa i Zalasta spróbują dokonać wymiany w Sopalu, Tynian i Ulath natychmiast zaatakują, aby ocalić matkę i Alean.

- Wiesz chyba, że Zalasta potrafi podążać za nimi.

- To by mu się nie opłaciło, ojciec. Kiedy Khwaj usłyszał o matce, wpadł we wściekłość, zamierza więc czekać w bezczynie. Gdyby Zalasta usiłował ścigać Ulatha i Tyniana, Khwaj go podpali — ogniem, który nigdy nie zgaśnie.

- Mógłbym chyba polubić Khwaja.

- Sephrenia i Xanetia są w Delphaeusie - ciągnęła Aphrael. -Edaemus nie jest zbyt skłonny do współpracy, ale wiadomość o Klalu mocno nim wstrząsnęła i może zdołam go wywabić z jego wieży z kości słoniowej. Wie, że porwanie matki zagraża umowie, którą zawarłeś z Cedonem, toteż zgodził się pomóc nam ją uratować. Popracuję nad nim jeszcze. Przy odrobinie wysiłku może przekonam go, by pozwolił Delphae wyjść z doliny. Mogliby okazać się niezwykle użyteczni.

- Czemu nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

- A co byś zrobił, Sparhawk? Wyskoczył ze statku Sorgiego i popłynął w pław do brzegu?

- Muszę wiedzieć o wszystkim na bieżąco, Aphrael.

- Po co? Pozwól, że to ja będę się martwić i przejmować, Sparhawk. Ty wpadasz jedynie w złość. Postanowił puścić tę uwagę mimo uszu.

- Poinformuję o tym Bhelliom.

- Kategorycznie nie! Nie śmiemy otworzyć tej szkatułki. Jeśli to zrobimy, Cyrgon bądź Klal natychmiast wyczują Bhelliom.

- Czyżbyś nie wiedziała? - spytał łagodnie. - Nie muszę otwierać pudełka, żeby pomówić z Bhelliomem. Możemy się porozumiewać poprzez złoto.

- Czemu mi nie powiedziałeś?

- A co byś zrobiła? Wskoczyła do morza i rzuciła się w pław za statkiem Sorgiego?

Zapadła długa chwila milczenia.

- Lubisz odwracać moje słowa i wpychać mi je do gardła, prawda, Sparhawk?

- Oczywiście. Chciałabyś uprzedzić mnie o czymś jeszcze, o boska?

Lecz wrażenie jej obecności już zniknęło, pozostawiając po sobie jedynie obrażoną ciszę.

* * *

- Gdzie jest - aaa - Vymer? - spytał Talena Sparhawk, gdy w kilka minut później chłopak pojawił się w pokoju.

- Wyszedł coś załatwić - odparł ogólnikowo Talen.

- Co załatwić?

- Kazał mi nie mówić.

- W porządku. A ja każę ci zignorować jego zakaz. Do tego jestem tutaj i mam cię pod ręką.

- Niezbyt subtelnie to ująłeś.

- Nikt nie jest doskonały. Co on knuje? Talen westchnął.

- Zaraz jak poszedłeś się położyć, wpadł tu jeden z ludzi Estokina. Powiedział, że w mieście jest trzech Elenów, którzy rozgłaszają wszem wobec, że zapłacą sporą sumkę za informacje o jakichkolwiek obcych szykujących się do dłuższego pobytu w mieście. Vymer postanowił ich sprawdzić. - Talen spojrzał znacząco na ściany małego pokoiku. - Podejrzewam, że chce się przekonać, jak sporą sumkę mieli na myśli. Wiesz, jaki jest Vymer, kiedy w grę wchodzi zysk.

- Powinien był mnie uprzedzić - odparł ostrożnie Sparhawk. - Ja też nie mam nic przeciw szybkiemu zyskowi.

- Skłonność do dzielenia się z innymi nie leży w charakterze Vymera, Fronie. - Talen dotknął ucha, po czym położył palec na ustach. - Może wyjdziemy i rozejrzemy się za nim?

- Dobry pomysł. - Sparhawk szybko naciągnął ubranie i obaj zbiegli po schodach na ulicę.

- Właśnie doświadczyłem przeżycia mistycznego - mruknął Sparhawk po drodze do zatłoczonych doków.

- Ach tak?

- Jednych z boskich odwiedzin.

- Aaa. I co miała do powiedzenia nawiedzająca cię boska istota?

- Nasz przyjaciel ze złamanym nosem dostał kolejny liścik. Zamiast przyjeżdżać tutaj kazano mu skierować się do S opalu. Talen wymamrotał paskudne przekleństwo.

- Też tak uważam. Czy to nie Vymer idzie ulicą? - Sparhawk wskazał jasnowłosego mężczyznę w poplamionym smołą kubraku, zmierzającego ku nim chwiejnym krokiem.

Talen przyjrzał mu się przelotnie.

- Chyba tak. - Skrzywił się. - Damy, które nas zmieniły, trochę przedobrzyły. On nawet chodzi inaczej.

- Co robicie tak późno na dworze? - spytał Stragen, dołączając do nich.

- Poczuliśmy się samotni - odparł beznamyślnie Sparhawk.

- Beze mnie? Wzruszające. Przespacerujmy się plażą, przyjaciele. Nagle zatęskniłem za wonią słonej wody i miłym głośnym szumem fal rozbijających się o brzeg.

Minęli ostatnie pomosty i wyszli na piasek. Chmury już odpłynęły; na niebie lśnił jasny księżyc. Dotarłszy na skraj plaży, zatrzymali się i patrzyli w milczeniu na długie grzebienie fal, napływających z Południowego Morza Tamulskiego, by z głośnym szumem rozbić się na mokrym piasku.

- Co ty kombinujesz, Stragenie? - spytał ostro Sparhawk.

- Załatwiam interesy, stary druhu. Właśnie wstąpiliśmy w szeregi wywiadu wroga.

- Co takiego?

- Ci trzej, których wyczułeś, kiedy tu przybyliśmy, potrzebują zaufanych ludzi. Zaproponowałem im nasze usługi.

- Zupełnie oszalałeś?

- Oczywiście, że nie. Zastanów się, Sparhawk. Czy istnieje lepszy sposób zdobycia informacji? Nasze obchody Święta Plonów drastycznie przerzedziły ich szeregi, więc nie mogą sobie pozwolić na zbytnią wybredność. Zapłaciłem Estokinowi, żeby za nas poręczył, a potem opowiedziałem im kilka kłamstw. Spodziewają się, że niejaki pan Sparhawk przyśle tu tłumy ciekawskich. Mamy meldować o wszystkich podejrzanych przybyszach. Dostarczyłem im wspaniałego kandydata.

- Ach, tak? Kogo?

- Bosmana kapitana Sorgiego - no wiesz, tego z batem. Sparhawk roześmiał się. ' - To naprawdę okrutne z twojej strony, Stragenie.

- Też tak sędzę.

- Aphrael złożyła nam wizytę - wtrącił Talen. - Powiedziała Sparhawkowi, że Berit i

mój brat dostali nowe rozkazy. Teraz mają się skierować do Sopalu na brzegu Morza Ardzuńskiego.

Stragen zaklął.

- Już to mówiłem - poinformował go Talen.

- Przypuszczam, że powinniśmy się byli tego spodziewać -oznajmił Sparhawk. - Krager pracuje dla przeciwnika i zna nas dość dobrze, by przynajmniej częściowo przewidzieć, jak reagujemy. - Nagle uderzył pięścią w dłoń. - Tak chciałbym porozmawiać z Sephrenią! - wybuchnął.

- O ile pamiętam, to możesz - odparł Stragen. - Czy Aphrael nie sprawiła kiedyś, że skontaktowałeś się z Sephrenią, gdy ona była w Sarsos, a ty w Cimmurze?

Sparhawk poczuł się nagle dość głupio.

- Zupełnie o tym zapomniałem - przyznał.

- Nie szkodzi, stary druhu - powiedział wielkodusznie Stragen. - Masz mnóstwo spraw na głowie. Może zamienisz kilka słów z naszą boską kapryśnicą i namówisz ją, żeby zorganizowała naradę wojenną? Chyba nadszedł już czas na spotkanie w szerszym gronie.

* * *

Jeszcze zanim otworzył oczy, Sparhawk wiedział, gdzie jest. Zapach polnych kwiatów i kwitnących drzew natychmiast skojarzył mu się z wieczną wiosną prywatnej rzeczywistości Aphrael.

- Azali ocknąłeś się już, Anakho? - spytała biała łania, muskając nosem jego dłoń.

- Tak, miłe 'stworzenie - odparł, otwierając oczy i dotykając lekko jej głowy. Znów był w pawilonie. Przez uniesioną klapę widział nakrapianą kwiatami łąkę, migotliwe lazurowe morze i tęczowe niebo.

- Pozostali przybycia twego na wyspie oczekują - oznajmiła łania.

- Spieszmy tam zatem - rzekł, wstając z łoża. W ślad za nią wyszedł na łąkę, gdzie biała tygrysica obserwowała pobłażliwie niezgrabne zabawy swych grubołapych kociąt. Sparhawk zastanowił się przez moment, czy są to te same kocięta, które widział podczas swej pierwszej wizyty w zaczarowanej krainie Aphrael wiele lat wcześniej.

- Oczywiście, że tak, Sparhawk - wyszeptał mu do ucha głos bogini-dziecka. - Tu nigdy nic się nie zmienia.

Uśmiechnął się.

Biała łania poprowadziła go do pięknej, niepraktycznej łodzi, z dziobem jak szyja

łabędzia, żaglami jak skrzydła, misternie przyozdobionej i tak płytko zanurzonej, że nawet kichnięcie wy-. wróciłoby ją, gdyby istniała w prawdziwym świecie.

- Krytyk! - rzuciła oskarżycielsko Aphrael.

- To twój sen, o boska. Możesz umieszczać w nim wszelkie nieprawdopodobieństwa, jakie tylko zechcesz,

- Och, dziękuję ci, Sparhawk! - Jej głos ociekał ironią.

Szmaragdowozielona wysepka, zwieńczona gajem pradawnych dębów i alabastrową świątynią Aphrael, przycupnęła wśród toni szafirowego morza i łódź o łabędzim dziobie w ciągu kilku minut dotknęła złocistego piasku. Sparhawk rozejrzał się, wychodząc na plażę. Przebrania, jakie większość z nich nosiła w prawdziwym świecie, zniknęły; tu, w wiecznym śnie. wszyscy mieli własne twarze. Część ich była już tu wcześniej; oblicza pozostałych wyrażały zachwyt i oszołomienie, gdy tak stali w bujnej zielonej trawie, porastającej zbocza zaklętej wysepki.

Bogini-dziecko i Sephrenia siedziały obok siebie na alabastrowej ławie w świątyni. Aphrael z melancholijną miną wygrywała na swym flecie złożoną styricką melodię.

- Co cię zatrzymało, Sparhawk? - spytała, odkładając prymitywny instrument.

- Osoba zawiadująca moją podróżą zabrała mnie dłuższą trasą - odparł. - Czy wszyscy już tu są?

- Wszyscy, którzy mieli być. Chodźcie na górę i zaczynajmy. Posłusznie wspięli się do świątyni.

- Gdzie jest to miejsce? - spytał z nabożnym podziwem Sa-rabian.

- Aphrael nosi je w swym umyśle, wasza wysokość - odparł

Vanion. - Od czasu do czasu zaprasza nas tutaj. Lubi się nim chwalić.

- Nie bądź złośliwy, Vanionie - upomniała go bogini-dziecko.

- A nie lubisz?

- Oczywiście, ale niegrzecznie jest mówić o tym wprost.

- Z jakichś przyczyn czuję się tu inaczej - zauważył Caala-dor. - Lepiej.

Vanion uśmiechnął się.

- To bardzo zdrowe miejsce, przyjacielu. Pod koniec wojny zemoskiej poważnie zachorowałem - prawdę mówiąc, o mało nie umarłem. Aphrael sprowadziła mnie tu na miesiąc i kiedy odszedłem, byłem obrzydliwie zdrowy.

Dotarli do małej świątyni i zasiedli na marmurowych ławach ustawionych pod kolumnami. Sparhawk rozejrzał się, marszcząc brwi.

- Gdzie jest Emban? - spytał gospodynię.

- Jego przybycie tutaj nie byłoby właściwe, Sparhawk. Wasz eleński bóg czyni wyjątek dla rycerzy kościoła, ale gdybym sprowadziła tu jednego z patriarchów, wpadłby w szal. Nie zaprosiłam też Atanów - ani Peloich. - Uśmiechnęła się. - Jedni i drudzy nie wierzą w ekumenizm i zapewne nie czuliby się zbyt dobrze w tym miejscu. - Wywróciła oczami. - Nie masz pojęcia, jak długo musiałam przekonywać Edaemusa, żeby pozwolił przybyć Xanetii. Nie lubi mnie. Uważa, że jestem frywolna.

- Ty? - spytał Sparhawk z udanym zdumieniem. - Jak ktokolwiek mógłby tak sądzić?

- Przejdźmy do rzeczy - wtrąciła Sephrenia. - Bericie, może ty zaczniesz? Wszyscy mniej więcej wiemy, co się stało, ale nie znamy szczegółów.

- Dobrze, pani Sephrenio - odparł młodzieniec. - Khalad i ja jechaliśmy wzdłuż wybrzeża. Odkąd zeszliliśmy ze statku, obserwowano nas. Użyłem zaklęcia i zidentyfikowałem szpiega. To był Styrik. Po kilkunastu dniach zbliżył się do nas i oddał nam kolejny liścik od Kragera. Polecono nam w nim dalej jechać brzegiem, lecz kiedy miniemy Góry Tamulskie, zamiast nadal podróżować na południe mamy skręcić do Sopalu. Tam dostaniemy dalsze instrukcje. List niewątpliwie pochodził od Kragera. Dołączyli do niego następny pukiel włosów królowej Ehlany.

- Kiedy spotkam się z Kragerem, pomówię z nim o tym - oznajmił złowieszczo Khalad. - Chcę się upewnić, że zrozumie, jak bardzo nie podoba nam się to, że dotykał włosów królowej. Wierz mi, Sparhawk, zanim z nim skończę, pożałuje tego.

- Pokładam w tobie całkowite zaufanie, Khaladzie - odparł Sparhawk.

- Byłbym zapomniał - dodał Khalad. - Czy ktoś z was wie, jak nie czyniąc koniowi krzywdy, sprawić, by jeden z naszych okulał? Chciałbym, żebyśmy mogli od czasu do czasu z Beritem zwolnić, nie wzbudzając podejrzeń. Kulejący koń wyjaśniłby szpiegom nagłe zmiany tempa.

- Pomówię o tym z Faranem - obiecała Aphrael.

- Nie musisz kuleć w drodze do Sopalu - powiedział Khaladowi Ulath. - Ghnomb dopilnuje, abyśmy z Tynianem dotarli tam na długo przed waszym przybyciem. Może ujrzyte nas tam, a może nie. Czasem trudno jest mi wytłumaczyć pewne rzeczy bogom trolli. My jednak zobaczymy was z pewnością. Jeśli nie zdołam wyjaśnić tego Ghnombowi, wsunę ci do kieszeni liścik.

- Gdybyśmy jednak naprawdę się ujawnili, z pewnością zachwyci cię nasz towarzysz podróży. - Tynian zaśmiał się cicho. Berit spojrzał na niego pytająco.

- A kto to, panie Tynianie?

- Bhlok. Jest trollem.

- To pomysł Ghnomba - wyjaśnił Ulath. - Zanim przemówię do bogów trolli, muszę odbyć krótką ceremonię. Bhlok - nie, więc jego towarzystwo usprawnia komunikację. W każdym razie będziemy tam niewidoczni. Jeśli Scarpa i Zalasta spróbują dokonać wymiany w Sopalu, wyjdziemy z bezczasu, złapiemy was wszystkich i znów znikniemy.

- Zakładając, że zabiorą królową Ehlanę do Sopalu, aby dokonać wymiany - wtrącił Itagne. - Dysponujemy jednak pewnymi informacjami, które temu przeczą. Pan Kalten słyszał plotki, że Scarpa przetrzymuje królową i jej pokojówkę w Natayos.

- Nie zakładałbym się o to, ekscelencjo - rzekł Kalten. - W najlepszym razie to informacja z drugiej ręki. Człowiek, z którym rozmawiałem, prawdopodobnie nie jest dość bystry, by samemu to wymyślić, i nie miał powodów, żeby mnie okłamywać, ale jego informacje pochodzą od kogoś innego, toteż cała ta sprawa nieco cuchnie.

- W tym dokładnie problem, panie Kaltenie - powiedział Sarabian. - Żołnierze plotkują gorzej niż stare baby. - Pociągnął się za ucho i uniósł wzrok ku tęczowemu niebu. - Druga strona wie, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie stanowiło mojego jedyne źródła informacji, toteż spodziewają się, że będę miał w Natayos swoje oczy i uszy. Historia, którą słyszał pan Kalten, mogła zostać spreparowana specjalnie dla nas. Księżę Sparhawk, czy istnieje jakikolwiek sposób, by wykorzystać Bhelliom do potwierdzenia pogłosek?

- To zbyt niebezpieczne - oznajmiła Sephrenia. - Gdyby Sparhawk to zrobił, Zalasta zorientowałaby się natychmiast.

- Nie byłbym taki pewien, mateczko - nie zgodził się Sparhawk. - Dopiero niedawno odkryliśmy, że złota skrzynka nie do końca izoluje Bhelliom. Mam dziwne przeczucie, że mnóstwo z tego, co wiemy o Bhelliomie - a raczej co wydaje nam się, że wiemy - to czyste wymysły. Pierścienie ewidentnie nie odgrywają żadnej roli - może jedynie ułatwiają komunikację - a złota szkatułka także nie stanowi przeszkody. Możliwe, iż Bhelliom zaszczerpił nam tę myśl, by zapobiec zamknięciu go w żelazie. Tylko zgaduję, lecz wydaje mi się, że dotyk żelaza wciąż sprawia mu ból. Trudno jednak orzec, czy ból ten wystarczy, by go uwięzić.

- On ma rację, wiesz - dodała Aphrael, zwracając się do siostry. - Znaczna część wiadomości na temat Bhelliomu pochodzi od Ghweriga, a Bhelliom całkowicie go kontrolował. Nasz błąd polegał na tym, iż uwierzyliśmy, że Ghwerig wie, co mówi.

- Wciąż jednak nie znamy odpowiedzi na pytanie, czy moglibyśmy użyć Bhelliomu do zbadania sytuacji w Natayos - podsumował Sparhawk. - A wolałbym nie eksperymentować.

- Ja udam się do Natayos - powiedziała cicho Xanetia. - Zamiarem mym początkowo było niewidoczną do Sopalu powędrować, wszelako pan Tynian i pan Ulath znajdują się tam

pierwsi i czy królowa zaiste do miasta dotarła, stwierdzić zdołają. Wyruszę tedy do Natayos, by tam jej poszukać.

- Kategorycznie nie! - rzucił Sarabian. - Zabraniam!

- Poddaną twą nie jestem, Sarabianie z Tamuli - przypomniała mu. - Nie lękaj się wszelako, niebezpieczeństwo żadne mi nie grozi, łże tam jestem, poznać nikt nie zdoła, ja zaś spoglądać wokół mogę i w myśli ludzi wejrzeć. Azali królowa i jej służka w Natayos się znalazły, stwierdzić rychło zdołam. Pakt z Anakhą zawierając, takową właśnie pomoc ofiarowaliśmy.

- To zbyt niebezpieczne - upierał się cesarz.

- Wierę, iż o innym mym darze zapomniałeś, Sarabianie z Tamuli - odparła stanowczo. - Klątwa Edaemusa wciąż ciąży nade mną i dotyk mój śmierć niesie, jeśli zechcę. Nie lękaj się o mnie, Sarabianie. Gdyby bowiem konieczność uczynić mi to nakazała, śmierć i grozę w Natayos zasieję. Choć wyznanie to ból mi sprawia, raz jeszcze Natayos w pustkowiu zamienić mogę, w dżunglą porośłe ruiny, gdzie mieszkają jedynie umarli.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Miasto Sarna w zachodnim Tamulu leżało tuż po południowej stronie granicy z Atanem, w głębokiej dolinie rzeki, od której wzięło swoją nazwę. Otaczające je wysokie, strome góry porastał gęsty, ciemny, wiecznie zielony las, szumiący w powiewach ^muchającego z pustkowi północy wiatru. Było zimno, a ołowiane niebo wypluwało z siebie twarde grudki śniegu, gdy armia rycerzy kościoła pod dowództwem Vaniona rozpoczęła powolną jazdę długą, stromą drogą, wiodącą w głąb doliny. Vanion i Itagne, otuleni ciężkimi płaszczami, jechali na czele kolumny.

- Zdecydowanie wolałbym zostać na wyspie Aphrael - rzekł Tamul; wstrząsany dreszczami, ciasniej owinął się połami płaszcza. - Nigdy nie przepadałem za tą porą roku.

- Jesteśmy już prawie na miejscu, ekscelencjo - odparł Vanion.

- Czy często prowadzicie kampanie zimą, panie Vanionie? - spytał Itagne. - To znaczy w Eosii.

- Staramy się tego unikać, ekscelencjo - rzekł Vanion. - Lamorkowie walczą ze sobą zimą, lecz reszta z nas ma zazwyczaj więcej rozsądku.

- Kiepski to czas na prowadzenie wojny. Vanion uśmiechnął się lekko.

- Rzeczywiście, przyjacielu, ale nie dlatego staramy się tego nie robić. W istocie to kwestia ekonomii. Kampania zimowa jest znacznie kosztowniejsza, bo trzeba kupować siano dla koni. To wydatki sprawiają, że gdy spadnie śnieg, królowie eleńscy zaczynają nagle miłować pokój. - Vanion uniósł się w strzemionach i spojrzał naprzód. - Betuana już czeka - rzekł. - Lepiej wyjedźmy jej na spotkanie.

Itagne przytaknął i obaj podcięli konie.

Królowa Atanu rozstała się z nimi w Dąsanie, na wschodnim skraju gór, uparłszy się, że wyruszy naprzód. Rzecz jasna, miała kilka doskonałych powodów, lecz w głębi ducha Vanion podejrzewał, że kierowała nią nie konieczność, lecz niecierpliwość. Betuana była zbyt uprzejma, żeby o tym wspominać, lecz wyraźnie nie przepadała za końmi i korzystała z każdej okazji, by je wyprzedzić. Wraz z Engessą, podobnie jak ona odzianym w futra wydr, czekała na poboczu milę przed miastem.

- Mielście jakieś kłopoty? - spytała.

- Nie, wasza wysokość - odparł Vanion. Jego czarna zbroja zadźwięczała, gdy rycerz zeskoczył z siodła. - Obserwowali nas, ale nie ma w tym nic niezwykłego. Co słyhać w Cynsedze?

- Przesuwają swoje siły pod granicę, Vanionie mistrzu - odparł cicho Engessą. - I to niezbyt dyskretnie. Przerzywaliśmy ich linie zaopatrzenia i chwytałyśmy w pułapki oddziały zwiadowcze, żeby wytrącić ich z równowagi, ale widać wyraźnie, że zamierzają ją przekroczyć.

Vanion przytaknął.

- Mniej więcej tego się spodziewaliśmy. Jeśli wasza wysokość nie ma nic przeciw temu, zanim zagłębimy się w dyskusję, chciałbym dopilnować rozlokowania moich ludzi. Lepiej mi się myśli, gdy załatwię wszystkie drobiazgi.

- Oczywiście - zgodziła się Betuana. - Engessą Atan i ja przygotowaliśmy dla nich kwatery. Kiedy wyruszacie do Samaru?

- Jutro bądź pojutrze, Betuano królowo. Peloim Tikumego przydałoby się tam wsparcie. Pilnują sporego terenu.

- Posłał do Peli po posiłki, Vanionie mistrzu - wtrącił Engessą. - Za jakiś tydzień garnizon w Samarze znacznie się powiększy.

- Dobrze. Pozwólcie, że was opuszczę i pogonię moich rycerzy. Mamy wiele do omówienia.

Na dnie doliny rzeki Sarny noc zapadała szybko. Było już ciemno, gdy Vanion dołączył do pozostałych w siedzibie dowództwa miejskiego garnizonu Atanów. Podobnie jak wszystkie atkańskie budowle i ten budynek był czysto funkcjonalny, pozbawiony wszelkich ozdób. Jedyny wyjątek od tej reguły stanowiła wielka mapa, pokrywająca całą ścianę w sali narad. Kolorową płachtę papieru ozdabiały rozrzucone tu i ówdzie ilustracje. Vanion wykapał się pospiesznie i ubrał w prosty strój. Lata praktyki nauczyły go, iż zbroja bywa imponująca, a nawet użyteczna, lecz nikt nie zdołał uczynić jej wygodną ani pozbawić charakterystycznej woni.

- Czy kwatery są zadowalające? - spytała Betuana.

- Naturalnie, wasza wysokość - odparł, siadając w fotelu. - Znasz już szczegóły naszego spotkania z boginią-dzieckiem? Skinęła głową.

- Itagne ambasador przekazał mi pełny raport - odparła i na moment zawiesiła głos. - Przyznaję, że jesteśmy ciekawi, dlaczego nas wykluczono - dodała.

- Ze względów ideologicznych, wasza wysokość - wyjaśnił Vanion. - Z tego, co rozumiem, w podobnych sytuacjach bogów obowiązuje niezwykle złożona etykieta. Aphrael nie chciała urazić waszego boga, zapraszając jego dzieci na wyspę. Odnotowaliśmy także kilka innych nieobecności. Był cesarz Sarabian i ambasador Itagne, ale nie minister spraw zagranicznych Oscagne.

Itagne lekko zmarszczył brwi.

- Cesarz i ja jesteśmy sceptykami - moglibyście nas nazwać agnostykami - ale Oscagne to zakamieniały ateista. Czy to może być wytłumaczenie?

- Możliwe. Przy następnej okazji spytam Aphrael. Engessa rozejrzał się.

- Kiedy was spotkałem, nie widziałem Kringa domiego, Vanionie mistrzu - zauważył.

- Kring zabrał swoich ludzi i skręcił w stronę Samaru wkrótce potem, jak opuściliście nas z jej wysokością. Uznał, że bardziej się przyda w Sarnie - a wiesz, jak c/.ują się zachodni Peloi w górach i lasach.

- Czy Cynesganie zapuszczali się już poza granice?

- Nie, Vanionie mistrzu - odparł Engessa. - Na razie gromadzą się w wyznaczonych miejscach i sprowadzają zapasy. - Wstał i podszedł do mapy. - Wielki oddział wyruszył niedawno z Cynestry - rzekł, wskazując cynesgańską stolicę. - Zajęli pozycje nieopodal granicy, mniej więcej naprzeciw nas. Kolejna armia ustawiła się naprzeciwko Samaru.

Vanion przytaknął.

- Cyrgon zachowuje się bardziej jak generał niż jak bóg. Nie zostawi za sobą ufortyfikowanych pozycji. Zanim uderzy w głąb Tamulu, będzie musiał unieszkodliwić Samar i Sarnę. Przypuszczam, że tutejsza armia ma rozkaz zająć Sarnę, zablokować południową granicę Atanu, po czym skręcić na północny wschód w stronę Tualas. Jestem pewien, że nie chcą, by cały naród atański zaatakował ich z gór.

- Nie znajdzie się dość Cyrgaich, by zatrzymać moich ludzi -oznajmiła Betuana.

- Z pewnością, wasza wysokość, lecz prawdopodobnie będzie ich dosyć, żeby spowolnić wasze ruchy, a Cyrgon może rekrutować armie z przeszłości i dodatkowo utrudniać wam życie. - Ze ściągniętymi wargami przyjrzał się mapie. - Chyba widzę, dokąd zmierza. Matherion leży na półwyspie, do którego klucz stanowi wąski przesmyk lądu w Tosie. Gdybym miał się założyć, powiedziałbym, że tam właśnie dojdzie do głównej bitwy. Scarpa wyruszy na północ z Natayos. Prawdopodobnie południowi Cynesganie planują zająć Samar, a potem okrążyć od północy Morze Ardzuńskie i dołączyć do niego w okolicy Gór Tamulskich. Stamtąd połączone armie pomaszerują zachodnim wybrzeżem Zatoki Micaeńskiej do Tosy. - Uśmiechnął się lekko. - Oczywiście w Górach Tamulskich czeka ich paskudna niespodzianka. Przypuszczam, że zanim to się skończy, Cyrgon pożałuje, iż w ogóle słyszał o trollach.

- Wyślę armię z południowego Atanu do Tosy, Vanionie mistrzu - oświadczyła Betuana - lecz pozostawię dość moich ludzi wzdłuż południowej i wschodniej granicy, by związać połowę Cynesgan.

- Tymczasem sądzę, że możemy przeszkodzić im w przygotowaniach - dodał Engessa.
- Kilka wycieczek przez granicę opóźni główny atak.

- A tego właśnie potrzebujemy. - Vanion zachichotał. - Jeśli zatrzymamy ich dostatecznie długo, do zachodniej granicy Cyr-gona dotrze sto tysięcy rycerzy kościoła. Myślę, że w tym momencie zapomni o Tosie.

* * *

- Nie martw się o niego, Fronie - pocieszył Sparhawk Stra-gen. - Potrafi zadbać o siebie.

- Chyba czasem zapominamy, że to tylko chłopak, Vymerze. Jeszcze nawet nie goli się regularnie.

- Reldin przestał być chłopcem, nim jego głos zaczął się zmieniać. - Stragen z pełną namysłu miną wyciągnął się na łóżku. - Nasza szczególna praca sprawia, że najczęściej tracimy dzieciństwo. Mogłoby być miło ganiać z kółkiem czy łapać kijanki, ale... - Wzruszył ramionami.

- Co zamierzasz zrobić, kiedy to wszystko się skończy? - spytał Sparhawk. - Zakładając, że przeżyjemy?

- Pewna znana nam obu dama jakiś czas temu zaproponowała mi małżeństwo. To część niezwykle atrakcyjnej umowy. Sam pomysł małżeństwa nigdy mnie nie pociągał, ale interes jest zbyt dobry, bym mógł go przepuścić.

- Kryje się w tym coś jeszcze, prawda?

- Tak - przyznał Stragen. - Po tym, co zrobiła owej nocy -w Matherionie, nie zamierzam pozwolić jej się wymknąć. To jedna z najrozsądniejszych i najodważniejszych osób, jakie znam.

- A do tego ładna.

- Zauważyłeś. - Stragen westchnął. - Obawiam się, że skończę jako szanowany członek społeczności, przyjacielu.

- Szokujące.

- Nieprawdaż? Najpierw jednak muszę załatwić pewną sprawę. Chyba dam mojej ukochanej w prezencie głowę pewnego znanego nam astelskiego poety. Jeśli znajdę dobrego rzemieślnika, może nawet każę wypchać to trofeum, by mogła powiesić je sobie na ścianie. ‘ - Każda dziewczyna marzy o podobnym prezencie ślubnym.

- Może nie każda - Stragen uśmiechnął się szeroko - ale ja pokochałem bardzo

wyjątkową damę.

* * *

- Ale przecież jest ich tak wielu, U-lat - powiedział Bhlok w żałości. - Nie dostrzegą braku jednego, prawda?

- Jestem pewien, że dostrzegą, Bhlok - poinformował rosłego brązowego trolla Ulath. - Ludzkie stwory nie są jak sarny. Bardzo uważają na pozostałych członków stada. Jeśli zjesz jednego z nich, będą wiedzieli, że tu jesteśmy. Lepiej złap i zjedz jakiegoś psa.

- Czy pies jest dobry do jedzenia?

- Nie mam pojęcia. Zjedz go i powiedz, co o nim sądzisz.

Bhlok mruknął potakująco i przycupnął.

Proces, który Ghnomb nazwał przełamywaniem chwili na pół, wywołał dość osobliwy efekt. Po pierwsze, blask południa przygasł do poziomu zmroku, a obywatele Sopalu zdawali się chodzić po swoim mieście szybkim, chwiejnym krokiem. Bóg jedzenia zapewnił, że ponieważ są obecni jedynie w części każdej chwili, stali się praktycznie niewidzialni. Ulath dostrzegł w tym wyjaśnieniu sporą logiczną dziurę, ale zakłęcie działało.

Tynian wrócił do niego, potrząsając głową.

- Nie da się ich zrozumieć - rzekł. - Czasami słyszę słowo czy dwa, ale reszta to czysty bełkot.

- Znowu wydaje z siebie ptasie dźwięki - poskarżył się Bhlok.

- Lepiej mów w mowie trolli, Tynianie - upomniał przyjaciela Ulath. - Denerwujesz Bhlokwa.

- Zapomniałem - przyznał Tynian, powracając do potwornego języka trolli. - Ja... - zawahał się. - Jakie słowo oznacza, że żałujesz, iż czegoś nie zrobiłeś? - spytał ich włochatego towarzysza.

- Nie ma takiego słowa, Tin-in - odparł Bhlok.

- Mógłbyś poprosić Ghnomba, aby sprawił, żebyśmy rozumieli, co mówią ludzkie stwory? - wtrącił Ulath.

- Czemu? Po co to? - Twarz Bhlokwa zdradzała zdumienie.

- Gdybyśmy rozumieli, co mówią, wiedzielibyśmy, których członków stada powinniśmy śledzić - wyjaśnił Tynian. - To oni słyszeli o złych.

- Nie wszyscy słyszeli? - spytał troll zaskoczony.

- Nie. Tylko część.

- Ludzkie stwory są bardzo dziwne. Porozmawiam z Ghnombem. Może zrozumie. -
Wstał z ziemi, górując nad nimi. - Zrobię to, gdy tylko wrócę.

- Dokąd idziesz? - spytał uprzejmie Tynian.

- Jestem głodny. Idę zjeść psa. Potem wrócę i pomówię z Ghnombem. - Urwał. - Jeśli też jesteście głodni, mogę przynieść psa i wam.

- Ach, nie, Bhlokwie - odparł Tynian. - Chyba w tej chwili nie jestem głodny. Miło jednak, że spytałeś.

- Jesteśmy towarzyszami stada. - Bhlokw wzruszył ramionami. - Tak trzeba. - Po tych słowach odszedł w dół ulicy.

* * *

- W istocie to niezbyt daleko - powiedziała siostrze Aphrael, gdy wraz z Xanetią wyjechały z doliny Delphaeusu w stronę Dirgis w południowym Atanie - lecz Edaemus nadal waha się, czy nam pomóc, więc muszę zachowywać się jak należy. Gdybym zaczęła manipulować w domu jego dzieci, mógłby się obrazić.

- Nigdy dotąd nie używałaś tego słowa - zauważyła Se-phrenia.

- To pewnie wpływ Sparhawk - odparł bogini-dziecko. - Samo określenie jest zresztą użyteczne, obejmuje też rzeczy, o których wolelibyśmy nie rozmawiać w obecności obcych. Kiedy dotrzemy do Dirgis, opuścimy ojczyznę Delphae. Wówczas będę mogła manipulować sobie do woli.

- Azali wiesz, ile czasu trzeba nam, by do Natayos dotrzeć, bogini? - spytała Xanetia. Delficzka ponownie odmieniła swój wygląd i przygasiła blask, by ukryć własne pochodzenie.

- Nie więcej niż kilka godzin - prawdziwego czasu. - Aphrael wzruszyła ramionami. - Nie potrafię skakać tak daleko jak Bhel-liom, ale w razie potrzeby umiem pokonywać całkiem spore odległości. W rozpaczliwej sytuacji mogłybyśmy tam pofrunąć.

Sephrenia zadrżała.

- Nie jest aż tak źle, Aphrael.

Xanetia spojrzała ze zdumieniem na swą styricką siostrę.

- Ona się boi - wyjaśniła Aphrael.

- Nie, Aphrael - poprawiła Sephrenia. - Nie boję się. Jestem przerażona. To straszliwe uczucie, Xanetio. Zrobiła mi to jakieś pięć razy w ciągu ostatnich trzystu lat. Za każdym razem od-chorowywałam to tygodniami.

- Powtarzam ci, żebyś nie patrzyła w dół, Sephrenio - rzekła bogini-dziecko. - Gdybyś

jedynie skupiła się na chmurach, nie spoglądając na ziemię, czułabyś się lepiej.

- Nic nie poradzę, Aphrael.

- Azali lęk tak wielki myśl ta w tobie budzi, o siostrze? - spytała Xanetia.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, Xanetio. Mkniesz naprzód wiedząc, że od ziemi dzieli cię jedynie pięć tysięcy stóp pustego powietrza. To koszmarnie!

- Załatwimy to inaczej - zapewniła ją Aphrael.

- Natychmiast zacznę układać modlitwę dziękczynną.

- Noc spędzimy w Dirgis - oznajmiła bogini. - A potem, jutro rano, ruszymy do Natayos. Sephrenia i ja zostaniemy w lasach, Xanetio, a ty udasz się do miasta i rozejrzysz. Jeśli naprawdę przetrzymują tam matkę, powinniśmy wkrótce rozwiązać ten mały kryzys. Gdy Sparhawk dowie się, gdzie dokładnie znaleźć Ehlanę, runie na Scarpę i jego ojca niczym rozgniewana góra. Kiedy skończy, Natayos przestanie być ruiną. Zostanie po nim tylko jedna wielka dziura.

* * *

- Widział je - zameldował Talen. - Opisał je zbyt dokładnie, by mógł być to wymysł. - Młody złodziej powrócił właśnie z wyprawy w mniej ciekawe dzielnice Beresy.

- Co to za człowiek? - spytał Sparhawk. - To zbyt ważna sprawa, abyśmy mogli uwierzyć zwykłemu plotkom.

- Dacita - odparł Talen - ulicznik z Jury. Obchodzi go jedynie własna sakiewka. Dołączył do armii Scarpy tylko dlatego, iż zachwycił go pomysł wzięcia udziału w złupieniu Matherionu. Nie mówimy tu o kimś kierującym się szczytnymi ideałami. Gdy , dotarł do Natayos i dowiedział się, że może dojść do prawdziwej walki, zaczął tracić entuzjazm. Znalazłem go w jednej z najpaskudniejszych tawern, jakie kiedykolwiek widziałem. Był pijany w trupa. Wierz mi, Fronie, nie mógłby mnie oszukać. Powiedziałem, iż zastanawiam się nad wstąpieniem do armii Scarpy, a on zareagował jak dobry tatuś: „Nawet o tym nie myśl, chłopcze. To potworne”. W tym stylu. Twierdzi, że Scarpa to kompletny wariat, przekonany o własnej potędze, który uważa, iż jednym dmuchnięciem zdoła zmiażdżyć Atanów. Podobno właśnie podjął decyzję o dezercji, kiedy Scarpa powrócił do Natayos - wraz z Kragerem, Elronem i baronem Parokiem. Mieli ze sobą królową i Alean. Zalasta wyszedł im na spotkanie. Dacita był akurat w pobliżu, toteż słyszał, co mówili. Najwyraźniej Zalaście pozostała wciąż odrobina dobrego wychowania, toteż nie był zachwycony tym, jak Scarpa je traktował. Zaczęli się kłócić i Zalasta splótł czarami swego syna w skomplikowany

węzeł. Podobno Scarpa przez jakiś czas zwijał się z bólu niczym robak na gorącym kamieniu. Potem Zalasta zaprowadził panie do wielkiego domu, przygotowanego na ich przybycie. Ze słów dezertera wynika, że panują tam wszelkie luksusy - jeśli pominąć kraty w oknach.

- Mógł wyuczyć się tego wszystkiego na pamięć - upierał się Sparhawk. - Może nie był tak pijany, na jakiego wyglądał.

- Wierz mi, Fronie, był - zapewnił go Talen. - W drodze do karczmy obciąłem kilka mieszkań - żeby nie wyjść z wprawy - toteż miałem mnóstwo pieniędzy. Wlałem w niego dość piwa, by oszołomić cały pułk.

- On chyba ma rację, Fronie - wtrącił Stragen. - Ta historia jest zbyt szczegółowa, by mogli ją zmyślić.

- A jeśli dezertera przysłano po to, by snuł spreparowane historyjki, czemu miałby tracić czas i wysiłek, zabawiając młodego kieszonkowca? - dodał Talen. - Żaden z nas nie wygląda tak jak wówczas, gdy Zalasta widział nas ostatnio. I wątpię, by nawet on odgadł, jak Sephrenia i Xanetia połączyły siły, żeby nas odmienić.

- Nadal uważam, że powinniśmy poczekać - upierał się Sparhawk. - Za dzień lub dwa Aphrael dotrze z Xanetią do Natayos. A Xanetia potrafi bez żadnych wątpliwości dowiedzieć się, czy to właśnie Ehlanę zamknięto w owym domu.

- Moglibyśmy przynajmniej się zbliżyć - rzekł Stragen.

- Po co? Dla mojego niebieskiego przyjaciela odległość nie ma żadnego znaczenia. - Sparhawk dotknął wypukłości pod tuniką. - Gdy tylko upewnię się, że jest tam Ehлана, złożymy wizytę Zalaście i jego bękartowi. Może nawet zaproszę Khwaja? Ma wobec nich plany, które całkiem mi się spodobały.

* * *

Nagle światło jasno rozbłysło, a obywatele Sopalu przestali podskakiwać niczym marionetki na sznurkach i zaczęli chodzić jak normalni ludzie. Pół dnia zabrało im tłumaczenie Ghnombo-wi, czemu muszą powrócić do prawdziwego czasu, i bóg jedzenia wciąż miał poważne zastrzeżenia co do tego pomysłu.

- Zaczekam w tawemie przy końcu ulicy - poinformował Tynian Ulatha, gdy obaj wyszli z wąskiej alejki. - Pamiętasz hasło? ' Ulath mruknął potakująco.

- To nie potrwa długo - rzekł. Przeszedł przez ulicę w stronę pary podróżnych, którzy właśnie wjechali do miasta. - Masz bardzo ładny łąk siodła, ziomku - powiedział do jednego z nich, mężczyzny ze złamanym nosem, dosiadającego potężnego srokacza. - Z czego go

zrobiono? Z baraniego rogu?

Berit spojrział na niego ze zdumieniem, po czym rozejrzał się szybko po wąskiej uliczce nieopodal wschodniej bramy Sopalu.

- Musielibyście spytać rzemieślnika, sierzancie - odparł, dostrzegając podartą kurtkę mundurową jasnowłosego Elena. - Zechcecie posłużyć radą mnie i mojemu przyjacielowi?

- Rady nic nie kosztują. Pytaj.

- Znacie może tu, w Sopalu, dobrą gospodę?

- Ta, w której zatrzymaliśmy się z przyjacielem, jest całkiem niezła. To trzy ulice stąd.

- Ulath wskazał kierunek. - Na froncie wisi szyld przedstawiający dzika, choć obrazek nie jest podobny do żadnego dzika, jakiego zdarzyło mi się oglądać.

- Poszukamy jej.

- Może spotkamy tam was z moim przyjacielem. Zazwyczaj po kolacji można nas zastać w szynku.

- Wpadniemy tam - jeśli zdecydujemy się zostać. Ulath przytaknął i pomaszerował do tawerny, gdzie przy stole blisko paleniska czekał Tynian.

- Co zrobiłeś z naszym włochatym kolegą? - spytał.

- Poszedł poszukać kolejnego psa - odparł Tynian. - Możliwe, że popełniłeś błąd, sierzancie. Chyba mu zasmakowały i jeśli zostaniemy tu dłużej, w całym mieście zabraknie kundli.

Ulath rozsiadł się wygodnie.

- Spotkałem na ulicy ziomka z Elenii - rzekł dość głośno, by usłyszeli go inni goście.

- Ach tak? - spytał od niechcienia Tynian. - Astela czy Edom-czyka?

- Trudno rzec. W przeszłości złamano mu nos, toteż niełatwo określić jego rasę. Szukał dobrej gospody, więc poleciłem mu tę, w której mieszkamy. Może nawet się tam spotkamy? Dobrze byłoby dla odmiany posłuchać eleńskiego. Zmęczyli mnie ludzie gadający po tamulsku. Jeśli już skończyłeś, może wybierzemy się do portu i sprawdzimy, czy ktoś nie przewiózłby nas na drugą stronę jeziora, do Tiany.

Tynian opróżnił kufel.

- Chodźmy - rzekł, wstając.

Obaj wyszli z tawerny i wrócili do swojej gospody, rozmawiając niezobowiązująco i starając się sprawiać wrażenie ludzi, którym się nie spieszy.

- Chcę obejrzeć lewą przednią podkowę mojego konia -oznajmił Ulath, gdy dotarli na miejsce. - Idź naprzód, spotkamy się w szynku.

- A gdzież by indziej? - zaśmiał się Tynian. Zgodnie z oczekiwaniami Ulatha Khalad

był już w stajni i demonstracyjnie czyścił Farana.

- Widzę, że postanowiliście się tu zatrzymać z przyjacielem -rzekł od niechcienia rosły Thalezyjczyk.

- Odpowiada nam. - Khalad wzruszył ramionami.

- Słuchaj uważnie. - Ulath zniżył głos niemal do szeptu. -Zdołaliśmy zebrać nieco informacji. Do niczego tu nie dojdzie. Dostaniecie kolejną wiadomość.

Khalad przytaknął.

- Każą wam w niej przepłynąć przez jezioro do Tiany. Uważajcie, co mówicie na łodzi, bo na pokładzie będzie ktoś pracujący dla strony przeciwnej - Ardżuni z długą blizną na policzku.

- Będę miał na niego oko.

- W Tianie dostaniecie kolejny liścik - ciągnął Ulath. - Każą wam okrążyć jezioro aż do Ardżunu.

- To dłuższa droga - zaprotestował Khalad. - Jazda stąd prosto do Ardżunu trwałaby o połowę krócej.

- Najwyraźniej nie chcą, żebyście przybyli tam za szybko. Pewnie mają w zapasie jeszcze kilka niespodzianek. Nie dam sobie uciąć głowy, ale podejrzewam, że z Ardżunu pošlą was do Derelu. Jeśli Kalten ma rację i Ehlanę przetrzymują w Natayos, to byłby następny logiczny krok. Khalad ponownie przytaknął.

- Powiem Beritowi. Chyba lepiej będzie, jeśli nie wstąpimy do szynku. Z pewnością nas obserwują i jeżeli zaczniemy rozmawiać z innymi Hienami, zaalarmujemy naszych przeciwników.

Konie w stajni zaczęły nagle rzeć i kopać w ścianki boksów. ,

- Co się tu dzieje? - spytał ostro Khalad. - I co to za dziwna woń?

Ulath wymamrotał pod nosem przekleństwo. Następnie, podnosząc głos, przemówił w języku trolli:

- Bhłokwie, nie powinieneś przychodzić do nor ludzkich stworów. Jadłeś psa i ludzkie stwory i ich zwierzęta mogą cię wyczuć.

W pełnej urazy ciszy niewidoczny towarzysz Ulatha wycofał się ze stajni.

* * *

Betuana i Engessa, odziani w lśniące wydrze futra, dołączyli do rycerzy Vaniona na południe od Sarny. Za radą Engessy skierowali się wprost na zachód, tak by wynurzyć się z

gór we wschodniej Cynesdze.

- Obserwowaliśmy ich, Vanionie mistrzu - oznajmił atański olbrzym, biegnąc obok wierzchowca Vaniona. - Główne zapasy zgromadzili zaledwie pięć lig na zachód od granicy.

- Czy wasza wysokość ma jakieś niecierpiące zwłoki sprawy do załatwienia? - spytał biegnącą po drugiej stronie Betuanę Vanion.

- Nic, co nie mogłoby poczekać. Czemu pytasz?

- Skoro już tu jesteśmy, równie dobrze moglibyśmy wybrać się na małą wycieczkę i spalić te zapasy. Moi rycerze zaczynają się niecierpliwić. Odrobina wysiłku nieźle im zrobi.

- Jest dość chłodno - zauważyła z leciutkim uśmiechem. -Przydałaby się odrobina ognia.

- To co, ruszamy?

- Czemu nie.

Cynesgański obóz zaopatrzeniowy zajmował około pięciu akrów. Leżał w skalistym, pozbawionym drzew zagłębieniu. Bronił go regiment żołnierzy w powłóczystych szatach. Gdy kolumna rycerzy pojawiła się w polu widzenia, obrońcy pogalopowali im na spotkanie. Manewr ten można najłagodniej określić jako taktyczną pomyłkę. Żwirowa pustynia cynesgańska była płaska i wolna od przeszkód, toteż nic nie mogło powstrzymać szarży rycerzy kościoła. Obie strony zderzyły się z ogłuszającym traskiem i rycerze, zaledwie po chwilowym wahaniu, ruszyli naprzód, ciała rannych i zabitych tratując stalowymi podkownikami wierzchowców, podczas gdy kwiczące konie przeciwników uciekały w popłochu.

- Imponujące - przyznała Betuana, biegnąc u boku wierzchowca Vaniona. - Ale czy to nie męczące - znosić miesiącami ciężar i woń zbroi dla kilku minut rozrywki?

- Każdy styl prowadzenia walki ma swoje minusy, wasza wysokość - odparł Vanion, podnosząc przyłbicę. - W zbrojnych szarżach chodzi też o to, by przekonać przeciwników do unikania konfrontacji. Na dłuższą metę pozwala to ograniczyć liczbę ofiar.

- Reputacja srogich i nieubłaganych istotnie stanowi dobrą broń, Vanionie mistrzu - zgodziła się królowa.

- Nam się podoba. - Uśmiechnął się. - Rozpalmy to ognisko, żeby wasza wysokość mogła ogrzać nogi.

- To byłoby miłe - odparła wesoło.

Tuż przed nimi sterczało piaszczyste wzgórze, wznoszące się niczym lekko zaokrąglona piramida wprost na drodze do obozu zaopatrzeniowego. Kilkoma prostymi gestami Vanion polecił rycerzom rozdzielić się, okrążyć oba zbocza i zniszczyć zapasy armii Cyrгона. Pogalopowali naprzód do wtóru ogłuszającego brzęku stali, oznajmiającego

nadejście niezwycięzonych wojsk.

I wówczas wzgorze się poruszyło. Pokrywający je piasek zadrżał i opadł w wielkiej chmurze, z której wynurzyły się dwa lśniące czarne gigantyczne skrzydła, ukazując trójkątne oblicze Klaela. Potwór ostatecznego mroku ryknął i w jego paszczy rozbłyły kły błyskawic, poszarpane i migoczące, a spod osłony wielkich skrzydeł wynurzyła się armia, jakiej Vanion jeszcze nie oglądał.

Byli wysocy jak Atani i jeszcze bardziej muskularni. Potężne ramiona mieli nagie, a stalowe napierśniki obciskały ich niczym druga skóra, ukazując węzły mięśni. Hełmy wieńczyły dziwne ozdoby - rogi, racice, sztywne stalowe skrzydła - i, podobnie jak pancerze, także i przyłbice przylegały do twarzy, dokładnie oddając rysy każdego wojownika. W owych lśniących obliczach nie znać było ani odrobiny człowieczeństwa. Czoła mieli niewiarygodnie szerokie. Podobnie jak u samego Kładą ich twarze także zwężyły się do szpiczastych podbródków. W szparach na oczy płonął ogień, w miejscu nosa ziały dwa bliźniacze otwory.

Usta owych masek były otwarte, wypełniały je okrutne szpiczaste zęby.

Żołnierze wyroili się spod skrzydeł Kładą. Jego błyskawice tańczyły wokół nich. W dłoniach dzierżyli broń wyglądającą na połączenie maczugi i topora, stalowe okropieństwa, rodem wprost z sennego koszmaru.

Byli zbyt blisko, by atakujący mogli się wycofać, toteż rycerze nadal pędzący galopem rozpoczęli walkę, nie zdążywszy nawet w pełni pojąć natury wroga.

Siła zderzenia obu armii wstrząsnęła ziemią, a towarzyszący mu stalowy grzmot po sekundzie zmienił się na chaos dźwięków: uderzeń, wrzasków, bolesnych kwików koni, zgrzytu rozdzieranego metalu.

- Odtrąbić odwrót! - huknął Vanion do dowódcy genidiani-tów. - Dmuchać w óg ogra, człowieku! Zabierzmy stąd naszych ludzi!

Rzeź była potworna. Nieludzka armia Kładą rozdzierała na strzępy konie i ludzi. Vanion wbił ostrogi w bok wierzchowca, który skoczył naprzód. Mistrz pandionitów przebił kopią stalowy napierśnik jednego z obcych stworów i ujrzał krew - a przynajmniej to mogła być krew, gęsta i żółta - tryskającą ze stalowych ust maski. Stwór cofnął się, lecz jednocześnie zamachnął swą straszną bronią. Vanion wypuścił z dłoni kopię, pozostawiając potwora przebitego i unieruchomionego, i dobył miecza.

To była długa walka. Stwór znosił ciosy, które rozczłonkowałyby dorosłego człowieka. W końcu jednak Vanion porąbał go niemal jak chłop ścinający twarde, zdrewniały krzak.

- Engessa! - krzyk wściekłości i rozpaczki Betuany przebił się ponad odgłosy bitwy.

Vanion ściągnął wodze swojego konia i ujrzał królową Ata-nów pędzącą na pomoc powalonemu generałowi. Nawet potworne istoty wezwane przez Kisła zdrząły ze strachu w obliczu jej furii, gdy przedzierała się do Engessy.

Vanion ruszył ku niej. Jego miecz połyskiwał w zimnym świetle, rozpryskując na wszystkie strony fontanny żółtej krwi.

- Możesz go podnieść?! - krzyknął do Betuany. Królowa schyliła się i bez żadnego wysiłku dźwignęła powalonego przyjaciela.

- Cofnij się! - wrzasnął Vanion. - Będę was osłaniał! Z tymi słowy skierował konia tak, by zagrozić drogę pędzącym ku niej potworom.

Twarz Betuany zastygła w beznadziejnym bólu. Kiedy tak biegła na tyły, tuląc w ramionach bezwładne ciało Engessy, z jej oczu spływały strugi łez.

Vanion zacisnął zęby, podniósł miecz i runął do ataku.

* * *

Gdy dotarły do Dirgis, Sephrenia była bardzo zmęczona.

- Nie jestem głodna - powiedziała do Xanetii i Aphrael, kiedy znalazły sobie pokój w porządnej gospodzie niedaleko centrum miasta. - Potrzebna mi jedynie gorąca kąpiel i dwanaście godzin snu.

- Azali czujesz się słabo, sestro ma? - W głosie Xanetii dźwięczała troska.

Sephrenia uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Nie, moja droga - odparła, kładąc dłoń na ramieniu Ana-rae - jestem tylko nieco znużona. Powoli zaczynam mieć trochę dosyć tej całej ganianiny. Wy dwie idźcie, zjedzcie kolację. Poproście tylko, by ktoś przyniósł mi do pokoju dzbanek herbaty. Na razie wystarczy. Wynagrodzę to sobie podczas śniadania. Błagam, nie hałasujcie zbytnio, gdy przyjdziecie się położyć.

Następne pół godziny spędziła nader przyjemnie, zanurzona po uszy w parującej wodzie w łaźni. Potem wróciła do pokoju ciasno owinięta w styricką szatę, oświetlając sobie drogę świecą.

Ich pokój nie należał do największych, był jednak ciepły i przytulny, ogrzany jednym z porcelanowych pieców, jakże powszechnych w Tamuli. Sephrenii podobał się ten pomysł. System ów pozwalał uchronić podłogę przed popiołem i zarem. Przyciągnęła krzesło do piecyka i zaczęła szczotkować długie włosy.

- Próżność, Sephrenio? Po tych wszystkich latach?

Na dźwięk znanego głosu na wpół podniosła się z miejsca. Zalasta bardzo się zmienił. Porzucił swą styrycką szatę na rzecz skórzanego kaftana ardzuńskiego kroju, mocnych płóciennych spodni i butów o grubych podeszwach. Do tego stopnia zaparł się swego dziedzictwa, że miał u boku krótki miecz. Jego siwe włosy i broda były potargane, a twarz znużona i spięta.

- Proszę, kochana, nie rób sceny - rzekł. W jego zmęczonym głosie nie brzmiało żadne uczucie oprócz głębokiego smutku. Westchnął. - Gdzie popełniliśmy błąd, Sephrenio? - spytał z żalem. - Co nas rozdzieliło i doprowadziło do tak żalosego stanu?

- Nie chcesz chyba, żebym ci powiedziała, prawda, Za-lasto? - odparła. - Czemu nie mogłeś po prostu zrezygnować? Kochałam cię - oczywiście, nie w ten sposób, ale to była miłość. Nie mogłeś tego zaakceptować i zapomnieć o reszcie?

- Najwyraźniej me. Nawet mi to na myśl nie przyszło.

- Wiesz chyba, że Sparhawk cię zabije.

- Może. Szczerze mówiąc, nie dbam już o to.

- Czego zatem chcesz? Po co tu przybyłeś?

- Pragnąłem zobaczyć cię po raz ostatni - usłyszeć twój głos. - Podniósł się z krzesła w kącie. - Wszystko mogło być zupełnie inaczej - gdyby nie Aphrael. To ona zabrała cię do krain Elenów i sprowadziła na złą drogę. Jesteś Styryczką, Sephrenio. My, Styrycy, nie mieszmamy się z eleńskimi barbarzyńcami.

- Mylisz się, Zalasto. Anakha jest Elenem. Dlatego musimy z nimi współdziałać. A teraz lepiej odejdz. Aphrael kończy na dole kolację. Jeśli cię tu zastanie, zje na deser twoje serce.

- Za chwilę. Najpierw muszę coś załatwić. Potem może robić ze mną, co zechce. - Nagle jego twarz wykrzywiła się w gwałtownym wybuchu rozpacz. - Czemu, Sephrenio? Czemu? Jak mogłaś znieść nieczysty dotyk tego eleńskiego dzikusa?

- Vaniona? Nie zrozumiałbyś. Nie potrafiłbyś tego pojąć. - Stała z zaciętą miną. - Zrób, co masz do zrobienia, i odejdz. Twój widok przyprawia mnie o mdłości.

- Doskonale. - Jego oblicze przybrało kamienny wyraz.

Nie zdziwiła się nawet, gdy spod kaftana dobył długi sztylet z brązu. Mimo wszystko wciąż był na tyle Styrykiem, by nie znosić dotyku stali.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo tego żałuję - rzekł zbliżając się.

Próbowała walczyć, drapała go po twarzy i oczach, wzywając pomocy. Przez moment ogarnęła ją triumfalna radość, gdy chwyciła brodę Zalasty i ujrzała, jak krzywi się z bólu. Zaczęła nią szarpać tam i z powrotem, on jednak uwolnił się, odpychając ją brutalnie.

Potykając się, niemal upadła na krzesło. I to właśnie doprowadziło ją do zguby. W chwili gdy usiłowała się podnieść, złapał ją za włosy i wiedziała, że to koniec. W rozpaczy przywołała w pamięci twarz Vaniona, wypełniając nią umysł i nie ustając w próbach wydrapania oczu napastnika.

I wtedy Zalasta wbił sztylet wprost w jej pierś i wyrwał go.

Krzyknęła, padając do tyłu i przyciskając dłoń do rany, czując, jak spomiędzy jej palców tryska krew.

Chwycił ją w ramiona.

- Kocham cię, Sephrenio - wykrztusił łamiącym się głosem, patrząc, jak w jej oczach gaśnie światło.

CZEŚĆ DRUGA
NATAYOS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Nie mogę znaleźć nikogo, kto zostałby w miejscu dostatecznie długo, bym mógł go wypytać - warknął Komier, pewnego chmurnego popołudnia powracając ze zwiadu wraz ze swymi ludźmi. Krzywiąc się, zerknął przez ramię na puste brązowe pola, pozostawione odłogiem na zimę, każde z nich otoczone niskie kamiennym murkiem. Ostrożnie poruszył złamaną prawą ręką.

- Ci astelscy poddani na sam nasz widok umykają do lasu niczym spłoszone łanie.

- Co mamy przed sobą? - spytał Darellon. Jego hełm wisiał na łęku, tak mocno wgnieciony, że nie pasował już na grubo obandażowaną głowę. Wciąż nie mógł skupić wzroku, przez opatrunek przesączała się krew.

Komier wyjął mapę i przyjrzał jej się uważnie.

- Zbliżamy się do rzeki Astel - oznajmił. - Po drugiej stronie widzieliśmy miasto - najprawdopodobniej Darsas. Nie zdołałem jednak schwytać kogokolwiek, kto by to potwierdził. Nie jestem może najpiękniejszy, ale nigdy dotąd ludzie nie uciekali przede mną z takim przerażeniem.

- Emban uprzedzał nas o tym - wtrącił Bergsten. - Cały kraj roi się od agitatorów, którzy wmawiają poddanym, że mamy rogi i ogony i przybywamy, aby spalić ich kościoły, a ich samych, pod groźbą miecza, zmusić do przyjęcia herezji. Podobno za wszystkim stoi osobnik zwany Pałaszem.

- Chcę go dostać w swoje ręce - mruknął groźnie Komier. - Chyba przebiję go mieczem, a później rozpalę wokół ognisko.

- Nie podburzajmy dodatkowo miejscowych, Komierze - ostrzegł Darellon. - W tej chwili powinniśmy raczej unikać starcia. - Obejrzał się na kolumnę poturbowanych rycerzy i długi sznur wozów, wiozących ciężko rannych.

- Dostrzegłeś jakiegokolwiek oznaki zorganizowanego oporu? - spytał Heldin.

- Jak dotąd nie. Spodziewam się, iż wszystko się wyjaśni, kiedy dotrzemy do Darsas. Jeśli most nad rzeką Astel został zburzony, a na murach zastaniemy gotowych do strzału łuczników, będziemy wiedzieli, iż przesłanie miłości i dobrej woli Pałusza dotarło do władz. - Twarz mistrza genidianitów pociemniała. Wyprostował ramiona. - Nie szkodzi. Zdobywałem już miasta. To dla mnie nie nowina.

- Jak dotąd zdołałeś doprowadzić do śmierci Abriela i trzeciej części rycerzy kościoła, Komierze - powiedział ostro Bergsten. - Myślę, że zapewniłeś już sobie miejsce w

podręcznikach historii. Zanim zacniemy wywazać bramy i palić domy, spróbujmy negocjować.

- Już w nowicjacie miałeś niewyparzoną gębę, Bergstenie. Powinienem być coś z tym zrobić, zanim przywdziałeś sutannę. Bergsten znacząco poprawił swój topór wojenny.

- Mogę ją zdjąć, kiedy tylko zechcesz, stary druhu - rzekł.

- Rozpraszacie się, panowie - wtrącił Darellon. Jego mowa brzmiała nieco bełkotliwie.

- Nasi ranni potrzebują opieki. To nie czas na walki, czy to z miejscowymi, czy między sobą. Uważam, że zanim zacniemy budować maszyny oblężnicze, my czterej powinniśmy pojechać naprzód z białą flagą i dowiedzieć się, skąd wieje wiatr.

- Czyżbym słyszał głos rozsądku? - zagrzemiał łagodnie Heldin.

Przywiązali do kopii pana Heldina lśniący biały cyrinicki płaszcz i ruszyli naprzód, kierując się ku pogrążonemu w ponurym półmroku zachodniemu brzegowi rzeki Astel.

Miasto za rzeką było niewątpliwie eleńskie i bardzo stare, pełne smukłych wież i iglic. Stało dumnie i twardo na przeciwległym brzegu pod łopoczącymi czerwonymi, złotymi i niebieskimi proporcami, zdającymi się oznamiać, iż było tu zawsze i pozostanie na wieki. Miało wyniosłe, grube mury i ciężkie zamknięte bramy. Drogę przez most blokowali wysocy, brązowoskórzy wojownicy bez zbroi, za to dzierżący w dłoniach zdecydowanie nieprzyjemną broń.

- Atani - rozpoznał ich pan Heldin. - Z całą pewnością nie chcemy z nimi walczyć.

Szeregi złowieszczej piechoty rozdzieliły się i na spotkanie przybyszom wyjechał stary pomarszczony Tamul w złotej szacie. Obok niego podążał astelski kapłan w czerni, wyróżniający się ogromną gęstą brodą.

- Bądźcie pozdrowieni, panowie rycerze - powitał ich suchym, chrapliwym głosem łysy stary Tamul. - Króla Alberena zastanawiają wasze zamiary. Nieczęsto widzimy w tej części świata rycerzy kościoła.

- Pan jest zapewne ambasadorem Fontanem - odgadł Bergsten. - Emban doskonale pana opisał.

- Sądziłem, że jest lepiej wychowany - mruknął Fontan. Bergsten obdarzył go przelotnym uśmiechem.

- Może pan przekazać wiadomość do miasta, ekscelencjo, „„, i uspokoić jego wysokość. Nasze zamiary są całkowicie pokojowe.

- Z pewnością go to ucieszy.

- Emban i pan Tynian wrócili do Chyrellos parę miesięcy temu - ciągnął Bergsten. - Sparhawk powiadomił nas, iż sytuacja wymyka się spod kontroli. Dolmant rozkazał nam

zatem pomóc zaprowadzić porządek. - Rosły patriarcha się skrzywił. - Obawiam się, że początki nie były najlepsze. Niedaleko Basne doszło do niefortunnego starcia. Mamy wielu rannych potrzebujących pomocy.

- Zawiadomię okoliczne klasztory, panie rycerzu - rzekł brodaty kapłan, stojący u boku Fontana.

- Bergsten nie jest już rycerzem, wasza dostojność - poprawił go Komier. - Kiedyś nim był, lecz Bóg miał wobec niego inne plany. Teraz to patriarcha kościoła. Modli się całkiem sprawnie, ale nie zdołaliśmy jeszcze odebrać mu topora.

- Zapominam o swoich manierach - przeprosił Fontan. - Mój przyjaciel to archimandryta Monsel, oficjalna głowa kościoła astelskiego.

- Wasza świętobliwość. - Bergsten uprzejmie skłonił głowę.

- Wasza świętobliwość - odparł Monsel, przyglądając się ciekawie księdzu o postawie wojownika. - Przeprowadziłem z waszym przyjacielem Embanem kilka niezwykle zajmujących dyskusji, dotyczących różnic doktrynalnych. Może podejmiemy ten wątek? Najpierw jednak zajmijmy się rannymi. Ilu ich jest?

- Jakies dwadzieścia tysięcy, wasza świętobliwość - odparł ponuro Komier. - Trudno mi przedstawić dokładne obliczenia. Co godzina umierają dziesiątki następnych.

- Na miłość boską, cóż takiego spotkaliście w tych górach? - wykrztusił Monsel.

- Z tego, co widzieliśmy, króla piekieł we własnej osobie, wasza świętobliwość - odparł Darellon. - Pozostawiliśmy na polu bitwy trzydzieści tysięcy martwych rycerzy - głównie cy-rinitów. Pan Abriel, ich mistrz, poprowadził atak. Oni podążali tuż za nim. Gdy ujrzeli, czemu przyjdzie im stawić czoło, nie mogli się już wycofać. - Westchnął. - Abriel zbliżał się do siedemdziesiątki i obawiał się, iż prowadzi ostatni atak.

- Tu miał rację - mruknął kwaśno Komier. - Nie pozostało z niego nawet tyle, by wyprawić pogrzeb.

- Ale miał piękną śmierć - dodał Heldin. - Ekscelencjo, czy dysponuje pan szybkimi posłańcami? Sparhawk i Vanion liczą na to, że wkrótce dotrzemy do Matherionu. Powinniśmy więc uprzedzić ich, że nieco się spóźnimy.

* * *

- Nazywa się Valash - poinformował Sparhawk i Talena Stragen, gdy cała trójka, wciąż odziana w wysmarowane smołą marynarskie kubraki, skręciła z hałaśliwej, skąpanej w blasku pochodni ulicy w mroczną, cuchnącą alejkę. - On i jego dwaj przyjaciele to Dacici z

Verelu.

- Zdołałeś się dowiedzieć, dla kogo pracują? - spytał Sparhawk.

Przystanęli na moment, czekając, by ich oczy przywykły do ciemności, a węch do smrodu. Uliczki Beresy były wyjątkowo nieprzyjemne.

- Słyszałem, jak jeden z nich wspominał o Ogerajinie - odparł Stragen. - To chyba ma sens. Jak się zdaje, Ogerajin i Za-lasta są starymi przyjaciółmi.

- Sądziłem, że mózg Ogerajina gnije - zaproponował Talen.

- Może miewa przebłyski trzeźwości. Tak naprawdę jednak nie ma znaczenia, kto ich wynajął. Wszystkie meldunki i tak trafią do Kragera. Z tego, co się zdołałem zorientować, przesłali ich tu, by ocenili szkody poniesione podczas Świąta Plonów i zebrali wszelkie informacje, jakie wpadną im w ucho. Mają pieniądze, ale nie przejawiają zbytnej ochoty, by się z nimi rozstawać. Tkwią w tym wyłącznie dla zysku - i po to, by sprawiać wrażenie ważniejszych, niż są w istocie.

- Czy Krager przybywa tu, by ich wysłuchać? - chciał wiedzieć Sparhawk.

- Ostatnio nie. Valash porozumiewa się z nim przez posłańca. Ci trzej stanowczo nie są w swoim żywiole. Chcą zatrzymać jak najwięcej pieniędzy, które dostali od Ogerajina, lecz jednocześnie zależy im, by nie przeoczyć czegoś istotnego. W żadnym razie nie zasługują na miano zawodowców. Większość czasu spędzają na obmyśleniu sposobów zdobycia informacji bez płacenia za nie.

- Wymarzone ofiary dla oszusta - mruknął Talen. - Czym się zajmowali w Verelu?

- Sprzedawali dzieci ludziom o stosownych upodobaniach - odparł z niesmakiem Stragen. - Z tego, co wiem, Ogerajin był kiedyś jednym z ich najlepszych klientów.

- Czyli są na samym dnie?

- Zapewne nawet niżej. - Stragen rozejrzał się, sprawdzając, czy są sami. - Valash chce was poznać. - Wskazał ręką koniec uliczki. - Jest tam, na górze. Wynajmuje kąt na poddaszu od jegomościa handlującego kradzionym towarem.

Talen uśmiechnął się paskudnie.

- Gdyby ci Dacici zaczęli przekazywać Kragerowi zbyt wiele błędnych informacji i fałszywych pogłosek, ten mógłby uznać, że nie są już mu dużej potrzebni, prawda?

- Prawdopodobnie. - Stragen wzruszył ramionami.

- To pobudza moje zdolności twórcze.

- Dlaczegoż to?

- Nie lubię ludzi, którzy handlują dziećmi. Czysto osobiste uprzedzenie. Chodźmy się spotkać z tym Valashem. Chciałbym sprawdzić, czy jest tak łatwowierny, jak mówisz.

Wspięli się po skrzypiących zewnętrznych schodach do rozchwianych, wyraźnie naprawianych drzwi, które niewątpliwie wiele razy wkopywano do środka. Kryjące się za nimi poddasze było niewiarygodnie zagracone najróżnorodniejszymi znoszonymi ubraniami, poobijanymi meblami i powgniatanymi naczyniami kuchennymi. W kątach walały się nawet połamane narzędzia rolnicze, pokryte grubą warstwą kurzu.

- Niektórzy kradną wszystko, co im wpadnie w ręce - prychnął Talen.

Po drugiej stronie pomieszczenia migotała samotna świeca. W jej niepewnym świetle ujrzeli samotnego Elena, drzemiącego przy stole. Mężczyzna miał na sobie krótką zieloną brokatową kurtę dacońskiego kroju, a rzadkie włosy barwy błota sterczały wokół wychudzonej głowy, przypominając brudną aureolę. Gdy skierowali się ku niemu, drgnął i szybko chwycił plik dokumentów, po czym zaczął przerzucać je z ważną miną. Kiedy się zbliżyli, uniósł wzrok z udanym zniecierpliwieniem.

- Spóźniłeś się, Vymenze - rzucił oskarżycielsko piskliwym, nosowym głosem.

- Przepraszam, mości Valashu - odparł służalczo Stragen. - Fron i ja musieliśmy wydobyć młodego Reldina z poważnych oparów. Reldin jest bardzo dobry, ale czasami przesadza. Chciałeś poznać moich współników. - Położył dłoń na ramieniu Sparhawk. - Oto Fron. Jest mistrzem knajpianych bójek, toteż zostawiamy mu swobodę w sytuacjach, które można rozstrzygnąć za pomocą kilku tęgich ciosów bądź kopniaka w brzuch. Chłopak nazywa się Reldin. To najrzeczniejszy złodziejasek, jakiego zdarzyło mi się poznać. Potrafi wcisnąć się w myśią dziurę, a słuch ma dosyć czuły, by dosłyszeć mrówki przechodzące przez ulicę po drugiej stronie miasta.

- Chcę go tylko wynająć, Vymenze - odparł Valash - a nie kupić. - Zachichotał z własnego dowcipu, po czym spojrzał na nich z uśmiechem, wyraźnie spodziewając się, że do niego dołączą. Talen jednak się nie roześmiał. Jego oczy rozblęły lodowato.

Valash zdawał się nieco zaskoczony przyjęciem swego dowcipu.

- Czemu nosicie marynarskie stroje? - spytał, bardziej po to, by coś powiedzieć, niż z prawdziwej ciekawości. Stragen wzruszył ramionami.

- To portowe miasto, mości Valashu. Na ulicach roi się od marynarzy, więc trzech dodatkowych nie zwróci niczyjej uwagi. Valash mruknął.

- Macie cokolwiek wartego mojego czasu? - spytał wyniosłym, znudzonym tonem.

Talen pospiesznie zdjął czapkę.

- Sam musisz zdecydować, mości Valashu - wymamrotał, kłaniając się niezręcznie. - Natknąłem się na coś, co mogłoby cię zainteresować.

- Mów zatem - polecił Valash.

- No cóż, w eleganckiej dzielnicy, w wielkim domu mieszka pewien bogaty tamulski kupiec. Na ścianie w jego gabinecie wisi gobelin, na który od dawna mam oko. To piękna sztuka - mnóstwo drobnych ściegów, a jego barwy niezbyt spłówiały. Jedyne kłopot w tym, że pokrywa całą ścianę. Za naprawdę dobry gobelin można dostać majątek, ale tylko jeśli da się go wydobyć w jednym kawałku. Pocięty nie jest wart zbyt wiele. W każdym razie zeszłej nocy poszedłem tam, aby spróbować znaleźć sposób wyniesienia gobelinu bez porznięcia go na sztuki. Kupiec był jednak w gabinecie razem z przyjacielem - jakimś szlachcicem z cesarskiego dworu w Matherionie. Podśluchiwałem pod drzwiami. Szlachcic powtarzał właśnie kupcowi plotki krążące po pałacu cesarskim. Wszyscy mówią, że cesarz nie jest zachwycony zachowaniem tych ludzi z Eosii. Próba obalenia rządu zeszłej jesieni naprawdę go przeraziła i chciałby zawrzeć ugodę z nieprzyjaciółmi, ale ów Sparhawk nie pozwala mu na to. Sa-rabian jest przekonany, że przegrają, toteż w sekrecie zebrał wielką flotę, załadował na nią swój skarb i gdy tylko na horyzoncie pojawią się kłopoty, zamierza uciec. Wszyscy dworacy znają ten plan, toteż w tajemnicy czynią przygotowania do własnej ucieczki, gdy rozpoczną się walki. Wkrótce Sparhawk obudzi się i ujrzy u bram nieprzyjacielską armię, a wokół nie będzie nikogo, kto mógłby ją powstrzymać. - Zawiesił głos. - Czy takich właśnie informacji szukałeś?

Dacita z wysiłkiem spróbował ukryć podniecenie, przybierając lekceważącą minę.

- To dla nas nic nowego. Potwierdza jedynie wcześniejsze doniesienia. - Z wahaniem pchnął w stronę młodzieńca parę małych srebrnych monet. - Przekażę tę wiadomość do Panem-Dea i zobaczymy, co o tym sądzą.

Talen spojrział na monety. Po chwili przeniósł wzrok na Va-lasha i z powrotem wcisnął na głowę czapkę.

- Pójdę już, Vymerze - oznajmił beznamiętnie. - I nie każ mi więcej marnować czasu na to skąpiradło.

- Nie tak prędko - mruknął pojednawczo Stragen. - Pozwól, że najpierw z nim pomówię.

- Popelniasz błąd, Valashu - poinformował Dacitę Sparhawk. - Masz u pasa ciężką sakiewkę. Jeśli spróbujesz oszukać Reldina, któregoś nocy wróci tu i zwinie ją całą. Nie zostawi nawet tyle, byś mógł kupić śniadanie.

Valash ochronnym gestem położył dłoń na sakiewce. Następnie, z wyraźną niechęcią, rozplatał rzemyki.

- Sądziłem, że pan Scarpa jest w Natayos - zauważył mimochodem Stragen. - Czy przeniósł swe centrum dowodzenia do Panem-Dea?

Zlany potem Valash odliczał monety, zatrzymując każdą z nich na moment w palcach, jakby żegnał się ze starymi przyjaciółmi.

- Jest wiele rzeczy, których nie wiesz, Vymenze - odparł. Kładąc na stole pieniądze, popatrzył błagalnie na Talena. Ten nawet nie drgnął. Valash jęknął cicho, dodając następne monety.

- Tak już lepiej - odrzekł Talen, zbierając zapłatę.

- Zatem Scarpa przeniósł się? - nie ustępował Stragen.

- Oczywiście, że nie - odparł Valash. - Nie sądziłeś chyba, że cała jego armia stacjonuje w Natayos?

- Tak właśnie słyszałem. Rozumiem, że ma jeszcze inne kryjówki.

- Jasne. Tylko głupiec umieszcza wszystkie swe siły w jednym miejscu. A wierz mi, Scarpa nie jest głupcem. Od lat rekrutuje ludzi w eleńskich królestwach zachodniego Tamuli, następnie wysyła ich wszystkich do Lydros, a potem do Panem-Dea na szkolenia. Stamtąd udają się do Synaąy albo Norenji. W Natayos stacjonują tylko doborowe siły. Armia, którą stworzył, jest przynajmniej pięć razy liczniejsza, niż sądzi większość ludzi. W dżunglach dosłownie roi się od jego żołnierzy.

Sparhawk starannie ukrył uśmiech. Najwyraźniej Valash pragnął, by ludzie uważali go za kogoś ważnego, i pragnienie to sprawiało, iż zdradzał rzeczy, o których nie powinien wspominać.

- Nie wiedziałem, że Scarpa ma tak wielką armię - przyznał Stragen. - Nagle poczułem się lepiej. Miło by było choć raz stać po stronie zwycięzców.

- Najwyższy czas - warknął Sparhawk. - Trochę zmęczyło mnie już uciekanie ze wszystkich miast, jakie odwiedzamy. Wyganiają nas, zanim zdążę wypakować swój worek. - Mrużąc oczy, spojrzał na Valasha. - A skoro już o tym mowa, czy możemy oczekiwać, że w razie kłopotów, gdybyśmy musieli uciekać, ludzie Scarpy nas przyjmą?

- Co mogłoby pójść nie tak?

- Widziałeś kiedyś z bliska Atana, Valashu? Są wielcy jak drzewa i rośli jak byki. Nie traktują ludzi zbyt uprzejmie, toteż chciałbym mieć w zanadrzu przyjazne miejsce, w razie gdybym musiał uciekać. Czy w lasach można znaleźć jakąś bezpieczną kryjówkę?

Twarz Valasha przybrała czujny wyraz. Najwyraźniej Dacita zorientował się, że już i tak powiedział zbyt dużo.

- Ach, chyba wiemy już wszystko, czego nam trzeba, Fronie - wtrącił gładko Stragen. - Jeśli będziemy potrzebować kryjówki, z pewnością taką znajdziemy. Nie wątpię, iż mości Valashowi wiadomo o wielu rzeczach, o których nie powinien mówić.

Valash nadał się lekko, spoglądając na nich wyniośle.

- Doskonale pojmujesz sytuację, Vymerze - rzekł. - Nie powinienem ujawniać rzeczy, które lord Scarpa zdradził mi w ścisłej tajemnicy. - Znacząco uniósł papiery.

- Nie będziemy ci dłużej przeszkadzać, mości Valashu - powiedział Stragen, cofając się wolno. - Powęszymy w mieście i damy ci znać, jeśli natrafimy na coś ciekawego.

- Będę wdzięczny, Vymerze - odparł Valash, przekładając dokumenty.

- Co za dureń! - mruknął Talen, gdy cała trójka ostrożnie schodziła po rozklekotanych schodach prowadzących na ulicę.

- Skąd się tak dobrze znasz na gobelinach? - spytał Sparhawk.

- W ogóle się na nich nie znam.

- Sprawiałeś takie wrażenie.

- Często sprawiam wrażenie, że wiem o czymś, o czym nie mam pojęcia. To pomaga wypełnić czas, gdy próbuję sprzedać bezwartościowy towar. Gdy oczy Valasha zamglily się na wspomnienie słowa „gobelin”, wiedziałem już, że nie zna się na nich lepiej niż ja. Był zbyt zajęty przekonywaniem nas o swej ważności, żeby słuchać uważnie. Mógłbym zrobić na nim majątek. Sprzedałbym mu niebieskie masło.

Sparhawk spojrział na niego pytająco.

- To takie powiedzonko oszustów - wyjaśnił Stragen. - Jego znaczenie jest nieco skomplikowane.

- Z pewnością.

- Chcesz, żebym ci wytłumaczył?

- Nieszczególnie.

* * *

- Czy to zwyczaj rodzinny? A może czcisz w ten sposób pamięć ojca? - spytał Khalada Berit. Obaj młodzieńcy, okryci kolczugami i szarymi płaszczami, opierali się o przedni reling niewielkiej krypy, przedzierającej się przez fale Morza Ardzuń-skiego w drodze z Sopalu do Tiany.

Khalad wzruszył ramionami.

- Bynajmniej. Chodzi o to, że mężczyźni w mojej rodzinie -z wyjątkiem Talena - mają bardzo mocny zarost. Gdybym nie nosił brody, musiałbym się golić dwa razy dziennie, a tak przycinam ją nożycami raz w tygodniu i mam spokój. Dzięki temu oszczędzam sporo czasu.

Berit potarł dłonią odmieniony policzek.

- Ciekawe, co zrobiłby Sparhawk, gdybym zapuścił mu brodę? - zastanowił się głośno.

- Pewnie nic. Ale królowa Ehlana zapewne obrałaby cię ze skóry jak jabłko. Podoba jej się jego twarz - taka, jaka jest. Lubi nawet ten złamany nos.

- Wygląda na to, że czeka nas zmiana pogody. - Berit wskazał na zachód.

Khalad zmarszczył brwi.

- Skąd to się wzięło? Minutę temu niebo było zupełnie czyste. Dziwne, że nic nie wyczułem.

Nad zachodnim horyzontem wisiała niska fioletowoczarna ławica chmur. Ciemna i złowieszcza, rosła w zastraszającym tempie. W jej głębi migotały błyskawice, nad ciemnymi sfalowanymi wodami jeziora rozległ się głuchy odgłos grzmotu.

- Mam nadzieję, że marynarze wiedzą, co robią - rzekł Berit. - Zapowiada się paskudny szkwał.

Wciąż obserwowali atramentowoczarną chmurę, która wznosiła się wyżej i wyżej, pokrywając coraz większą połać zachodniego nieba. ,

- To nie jest naturalna burza, Bericie - mruknął z napięciem Khalad. - Zbliża się zbyt szybko.

Nagle rozległ się ogłuszający grzmot. Chmura zbielała i zadrżała, przeszyta dziesiątkami błyskawic. Gdy błękitnobiały blask przegnał ciemność, na moment ukazując istotę skrytą we wnętrzu chmury, obaj młodzieńcy ją rozpoznali.

- Klael! - wykrztusił Berit, patrząc na potwornego skrzydła-[tego stwora, na wpół skrytego w burzowych obłokach.

Następna błyskawica rozjaśniła niebo i niezgrabna krypa zadrżała pod naporem fali ogłuszającego dźwięku. Odwrócony klin oblicza Klaala zdawał się falować i zmieniać pośród burzowej zasłony. Ukośne oczy zapłonęły nagłym gniewem. Wielkie nietoperze skrzydła uderzyły w nadciągający sztorm. Potworna paszcza otworzyła się, rycząc wściekle. Klael wył z furją, a jego gigantyczne ręce sięgały w mroczne powietrze, szukając zachłannie czegoś, czego tam nie było.

A potem stwór zniknął. Nienaturalna chmura rozpadła się na strzępy i odpłynęła na południowy wschód, pozostawiając po sobie jedynie brudną smugę na horyzoncie. W powietrzu unosił się smród siarki.

- Lepiej przekaż wiadomość Aphrael - powiedział ponuro Khalad. - Klael znów jest na wolności. Szuka czegoś i tu tego nie znalazł. Bóg wie, gdzie skieruje się teraz.

* * *

- Ręka Komiera jest złamana w trzech miejscach - zagrział pan Heldin, dołączając do odzianego w kolczugę patriarchy Bergstena, ambasadora Fontana i archimandryty Monsela, czekających w zapchanym książkami gabinecie Monsela we wschodnim skrzydle pałacu - a Darellon wciąż widzi podwójnie.

Komier może podróżować, jeśli zajdzie taka konieczność, myślę jednak, iż Darellona powinniśmy zostawić tu do wyzdrowienia.

- Ilu rycerzy nadaje się do jazdy? - spytał Bergsten.

- Najwyżej czterdzieści tysięcy, wasza świątobliwość.

- Będziemy musieli zadowolić się tą liczbą. Emban wiedział, że podążymy tym szlakiem; wysłał do nas całe oddziały posłańców. W południowo-wschodnim Tamuli sytuacja dojrzała do wybuchu. Wrogowie porwali żonę Sparhawk i chcą wymienić ją na Bhelliom. W dżunglach Ardżuny czeka armia buntowników, szykująca się do wymarszu na Matherion, dwie kolejne armie zbierają się przy wschodniej granicy Cynesgi. Jeśli się połączą, przegramy. Emban chce, abyśmy ruszyli na wschód i stepami, póki nie minimy Astelskich Bagien, a potem skręcili ; na południe i oblegali cynesgańską stolicę. Potrzebuje dywersji, która odciągnęłaby ich wojska od granicy. Pan Heldin wyciągnął mapę.

- To może się udać - rzekł po chwili namysłu. - Choć do takiego zadania jest nas trochę mało.

- Damy sobie radę. Vanion wyszedł już w pole, ale Cyneskanie mają nad nim ogromną przewagę liczebną. Jeśli nie odciągniemy choć części z nich, zmiażdżą go.

Heldin spojrział z namysłem na rosnącego thalezyjskiego patriarchę.

- To ci się nie spodoba, wasza świątobliwość - rzekł - ale nie mamy wyboru.

- Mów dalej - polecił Bergsten.

- Będziesz musiał odwiesić sutannę na haczyk i przejąć dowództwo. Abriel zginął, Darellon jest ranny, a jeśli Komier wda się w walkę, nie uniesie nawet własnego topora.

- Ty wciąż tu jesteś, Heldinie. Możesz pokierować armią. Heldin potrząsnął głową.

- Nie należę do grona mistrzów zakonnych, wasza świątobliwość, i wszyscy rycerze o tym wiedzą. Jestem też pandionitą, a pozostałe zakony nie przepadają za nami. Przez ostatnie kilka wieków nie zyskaliśmy sobie zbyt wielu przyjaciół. Inne zakony nie uznają mnie jako dowódcy. Ty jesteś patriarchą, mówisz w imieniu Sarathiego - i kościoła. Zaakceptują cię bez sprzeciwu.

- Nie ma mowy.

- Zatem będziemy musieli tu tkwić, póki Dolmant nie przyśle zastępcy.

- Nie możemy czekać.

- I o to chodzi. Czy mam twoją zgodę, by powiadomić rycerzy, że przejmujesz dowództwo?

- Nie mogę, Heldinie. Wiesz, że nie wolno mi używać magii.

- Myślę, że zdołamy to załatwić, wasza świątobliwość. W naszych szeregach jest wielu zdolnych czarodziejów. Po prostu mów nam, co mamy zrobić, a my załatwimy resztę.

- Złożyłem przysięgę.

- Przedtem złożyłeś inną, panie Bergstanie. Przyrzekłeś bronić kościoła. W obecnej sytuacji ta przysięga ma pierwszeństwo.

Ubrany w czerń brodaty archimandryta Monsel przyjrzał się uważnie dręczonemu wahaniem Thalezyjczykowi. Następnie odezwał się od niechcenia:

- Czy zechcesz wysłuchać niezależnej opinii, Bergstanie? Patriarcha skrzywił się w odpowiedzi.

- I tak ją usłyszysz - dodał niewzruszenie astelski kapłan. -Biorąc pod uwagę naturę naszego przeciwnika, musimy uznać, iż doszło do kryzysu wiary. Wszelkie inne prawa ulegają zawieszeniu. Bóg potrzebuje twojego topora, Bergstanie, nie teologii. -Zmrużył oczy, patrząc na thalezyjskiego patriarchę. - Nie wydajesz się przekonany - dodał.

- Nie chcę cię urazić, Monselu, ale kryzys wiary to nie pretekst, na który możemy się powołać, kiedy tylko chcemy nagiąć zasady.

- W porządku. Spróbujmy zatem czegoś innego. Jesteśmy w Astelu, a wasz kościół w Chyrellos uznaje moją władzę w tym królestwie. Póki przebywamy w Astelu, to ja przemawiam w imieniu Boga.

Bergsten zdjął hełm i z roztargnieniem zaczął polerować rękawem lśniące czarne rogi ogra.

- Teoretycznie, owszem - ustąpił.

- Teoria to podstawa doktryny, wasza świątobliwość. — Gęsta broda Monsela zjeżyła się w ferworze dyskusji. - Zgadzasz się więc, że tu, w Astelu, przemawiam w imieniu Boga?

- W porządku, chwilowo przyjmuję ten argument.

- Niezmiernie się cieszę; nie chciałbym cię ekskomunikować. Zatem przemawiam głosem Boga. Bóg chce, abyś objął dowództwo nad rycerzami kościoła. Ruszaj zatem, mój synu, i powal wrogów Boga. Niechaj niebiosa wzmocnią twe ramię!

Mrużąc oczy, Bergsten wyjrzał przez okno. Przez długą chwilę wpatrywał się w brudnobrazowe niebo, przetrawiając na pozór słuszne argumenty archimandryty.

- Przyjmujesz pełną odpowiedzialność, Monselu? - spytał w końcu.

- Owszem.

- To mi wystarczy. - Bergsten z powrotem wsunął hełm na głowę. - Panie Heldinie, powiadom rycerzy, że przejmuję dowodzenie nad czterema zakonami. Każ im poczynić wszelkie niezbędne przygotowania. Wyruszamy jutro o świcie.

- Tak jest, generale Bergstenie - odparł Heldin, prostując się posłusznie.

* * *

- Anakho - głos Bhelliomu zabrzmiał echem w otchłani umysłu Sparhawk - ocknąć się musisz.

Zanim jeszcze otworzył oczy, Sparhawk poczuł lekkie do-, tknięcie na rzemieniu okalającym mu szyję. Chwytał drobną dłoń i uniósł powieki.

- Co ty wyprawiasz? - spytał boginię-dziecko.

- Muszę dostać Bhelliom, Sparhawk! - W jej głosie brzmiała desperacja, z oczu płynęły strumienie łez.

- Co się dzieje, Aphrael? Uspokój się i opowiedz mi, co się stało.

- Sephrenia została pchnięta nożem! Ona umiera! Proszę, Sparhawk, daj mi Bhelliom! Natychmiast zerwał się na nogi.

- Gdzie to się stało?

- W Dirgis. Szykowała się do snu, kiedy Zalasta wtargnął do jej pokoju. Pchnął ją w serce, Sparhawk! Proszę, ojcze, daj mi Bhelliom! Muszę go mieć, żeby ją ocalić!

- Ona wciąż żyje?

- Tak, ale nie wiem, jak długo! Jest przy niej Xanetia. Używa delfickiego zaklęcia, podtrzymującego jej oddech, ale ona umiera! Moja siostra umiera! - Bogini jęknęła głośno i rzuciła mu się w ramiona, szlochając niepowstrzymanie.

- Przestań, Aphrael! To nic nie da. Kiedy to się stało?

- Parę godzin temu. Proszę, Sparhawk! Tylko Bhelliom może ją uratować.

- Nie możemy, Aphrael! Jeśli wyjmemy Bhelliom ze szkatuły, Cyrgon natychmiast zorientuje się, że próbujemy go oszukać, i Scarpa zabije twoją matkę!

Bogini-dziecko przywarła do niego, wstrząsana szlochami.

- Wiem! - wykrztusiła. - Co my poczniemy, ojcze? Nie możemy pozwolić jej umrzeć!

- Nie możesz czegoś zrobić?

- Nóż dotknął jej serca, Sparhawk! Nie potrafię tego odwrócić! Tylko Bhelliom ma taką moc!

Sparhawk miał wrażenie, jakby jego dusza skurczyła się nagle. Rąbnął pięścią w ścianę i uniósł twarz.

- Co mam robić? - krzyknął w niebo. - Na miłość boską, co mam robić?

- Spokój odzyskaj, Anakho. - Głos Bhelliomu zabrzmiał ostro w jego umyśle. - Gniew swój okazując, ni Sephrenii, ni małżonce swej nie usłuzysz.

- Musimy coś zrobić, Błękitna Różo!

- W chwili tej decyzje podejmować niezdolnyś, ja zatem pokierować tobą muszę. Idź i bogini-dziecięcia prośbom zadośćuczyn.

- Żonę mą na śmierć skazesz!

- To pewne nie jest, Anakho. Sephrenia wszelako bliska jest śmierci. To jeno się liczy. Jej pierwszej przeto pomóc musisz.

- Nie! Nie mogę tego zrobić!

- Posłuszny mi będziesz, Anakho! Moim jesteś tworem i woli mej podlegasz! Idź zatem i czyn, jako każę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Sparhawk zaczął grzebać w swym worku, wyrzucając ubrania na podłogę.

- Co ty wyprawiasz? - spytała ostro Aphrael. - Musimy się ^pieszyć!
- Chcę zostawić wiadomość Stragenowi, ale nie mogę znaleźć papieru.
- Masz. - W jej wyciągniętej ręce pojawiła się czysta kartka.
- Dziękuję. - Sięgnął po nią, nie przestając szukać w bagażu.
- Szybciej, Sparhawk!
- Potrzebuję czegoś do pisania.

Wymamrotała coś po styricku i podała mu pióro i niewielki kałamarz.

„Vymerze - nabazgrał Sparhawk - coś się wydarzyło i muszę wyjechać na jakiś czas. Miej oko na Reldina”. Podpisał liścik: „Fron”. Następnie położył go na środku łóżka Stragena.

- A teraz możemy już iść? - spytała niecierpliwie.
- Jak to załatwisz? - Podniósł płaszcz.
- Najpierw musimy wydostać się z miasta. Nie chcę, by ktoś nas widział. Z której strony jest najbliżej do lasu?
- Od wschodu. Niecałą milę.
- Dobrze.

Opuścili pokój, zbiegli po schodach i wypadli na ulicę. Tam Sparhawk podniósł ją i owinął płaszczem.

- Sama potrafisz chodzić - zaprotestowała.
- Ale nie niepostrzeżenie. Jesteś Styryczką i ludzie to zauważą. - Ruszył naprzód, trzymając ją w ramionach.
- Nie możesz iść szybciej?
- Pozwól, że załatwię to po swojemu, Aphrael. Jeśli zacznę biec, ludzie pomyślą, że cię ukradłem. - Rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy nikt na ulicy nie jest zbyt blisko, aby ich usłyszeć. - Jak to zrobisz? - spytał. - W okolicy kręcą się ludzie, którzy potrafią wyczuć twoją działalność. Nie chcemy zwrócić ich uwagi.

Zmarszczyła brwi.

- Nie jestem pewna. Kiedy tu przybyłam, byłam dość zdenerwowana, i
- Próbujesz zabić swoją matkę?
- To okropne, co mówisz. - Z namysłem ściągnęła wargi. -; Zawsze jest jakiś hałas -

rzekła.

- Niezupełnie zrozumiałem.

- To się wiąże ze sposobem, w jaki nakładają się nasze światy. Dźwięki z jednego przenikają do drugiego. Większość ludzi nas nie słyszy ani nie czuje, kiedy się poruszamy, lecz my zawsze potrafimy wyczuć się i usłyszeć nawzajem.

Sparhawk przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby uniknąć hałaśliwej bójki, toczącej się przed drzwiami żeglarskiej tawerny.

- Skoro pozostali cię słyszą, jak ukryjesz to, co chcesz zrobić?

- Nie dałeś mi skończyć, Sparhawk. Nie jesteśmy tu sami. Otaczają nas inni - moja rodzina, bogowie tamulscy, twój eleński bóg, najróżniejsze duchy i zjawy. Poza tym w powietrzu dosłownie roi się od Bezsilnych. Czasami zbierają się w stada niczym migrujące ptaki.

Sparhawk zatrzymał się i cofnął o krok, przepuszczając klekoczący wóz z węglem drzewnym.

- Kim są ci Bezsilni? - spytał. - Są niebezpieczni?

- Ani trochę. Tak naprawdę w ogóle nie istnieją. To jedynie wspomnienia - stare mity i legendy.

- Czy są prawdziwi? Mógłbym ich zobaczyć?

- Nie, chyba żebyś w nich wierzył. Kiedyś byli bogami, lecz ich wyznawcy albo wymarli, albo nawrócili się na inną wiarę. Płaczą i miotają się na krawędziach rzeczywistości, pozbawieni substancji bądź myśli. Pozostały im jedynie pragnienia. - Westchnęła. - My także wychodzimy z mody, Sparhawk - jak zeszloroczne suknie, stare buty czy kapelusze. Bezsilni to odrzuceni bogowie, którzy kurczą się i maleją w miarę upływu lat, aż w końcu zostają z nich jedynie żalodne jęki. - Ponownie westchnęła. - W każdym razie - dodała - wszyscy oni czynią hałas i czasem trudno jest się skupić czy dosłyszeć coś szczególnego.

Minęli kolejną cuchnącą tawernę.

- Czy ów hałas, o którym mówisz, to coś w tym rodzaju? - spytał Sparhawk, wskazując głową rozśpiewaną salę. - Pozbawiony znaczenia dźwięk, który wypełnia ci uszy i zagłusza to, czego naprawdę nasłuchujesz?

- Mniej więcej. Mamy też jednak parę dodatkowych zmysłów; na przykład zawsze wiemy, kiedy w pobliżu znajdują się inni, orientujemy się też, gdy zaczynają coś robić - majstrują, jeśli tak to chcesz nazywać. Może w tym całym hałasie zdołam nas ukryć. Jak daleko jeszcze?

Skręcił w cichą uliczkę.

- Zbliżamy się do skraju miasta.

Objął ją mocniej i ruszył naprzód, nieco przyspieszając kroku. Tu, na przedmieściach Beresy, domy były nieco solidniejsze. Wznosiły się dumnie po obu stronach ulicy.

- Kiedy miniemy wypalamie drewna, dotrzemy do lasu -rzekł. - Jesteś pewna, że ów hałas, którego nie słyszę, zagłuszy twoje zaklęcia?

- Zobaczę, może uda mi się uzyskać pomoc. Właśnie wpadłam na pewien pomysł. Cyrgon nie wie dokładnie, gdzie jestem, i potrzebuje nieco czasu, by mnie zidentyfikować i ustalić dokładne położenie. -Poproszę innych, żeby tu przybyli i urządzili sobie przyjęcie. Jeśli będą zabawiać się dość głośno, a ja zadziałam dostatecznie szybko, nie zorientuje się nawet, że tu byłam.

Przy posępnych ogniskach wypalarni węgla drzewnego krzątało się zaledwie kilku robotników, obojętnych ludzi, poczerniałych od pracy i mocno pijanych, miotających się wśród dymu i płomieni niczym piekielne chochliki, tańczące w wiecznym żarze. Sparhawk szedł teraz bardzo szybko, niosąc zdenerwowaną boginię-dziecko w stronę skraju puszczy.

- Będę musiała widzieć niebo - poinformowała go. - Nie życzę sobie, by wchodziły mi w paradę gałęzie. - Zawiesiła głos. - Boisz się wysokości? - spytała.

- Nieszczęśliwie. Dlaczego?

- Tak tylko pytam. Nie wystrasz się, kiedy zaczniemy. Nie pozwolę, żeby coś ci się przydarzyło. Będziesz całkowicie bezpieczny, póki nie wypuszczę twojej dłoni. - Ponownie urwała. -O rany - mruknęła - właśnie coś mi się przypomniało.

- Co takiego? - Odsunął gałąź i wśliznął się w ciemność lasu.

- Kiedy to robię, muszę być prawdziwa.

- Co to znaczy prawdziwa? Teraz przecież jesteś prawdziwa, nieprawdaż?

- Niezupełnie. Nie zadawaj pytań, Sparhawk. Po prostu znajdź mi kawałek otwartego nieba i na jakiś czas nie zwracaj głowy. Muszę wezwać pomoc - jeśli ją znajdę.

Sparhawk przeciskał się przez splątane poszycie. Jego żołądek ścisnął się w zimną kulę, serce ciążyło mu jak kamień. Stojący przed nimi potworny dylemat dręczył go, zdawał się niemal rozrywać go na dwoje. Sepszenia umierała, jednakże, by ocalić jej życie, musiał narazić Ehlane. Jedynie moc woli Bhelliomu sprawiała, że mógł działać. Jego własnego ducha paraliżowały sprzeczne potrzeby dwóch kobiet, które kochał najbardziej na całym świecie. Przepychał się przez plataninę krzaków i drzew w bezsilnej rozpacz.

W końcu wydostał się z gęstwiny krzewów na niewielką polanę pokrytą grubym dywanem mchu. W małym stawie zasilanym przez bulgoczący strumyk pomrukiwały odbicia gwiazd, rozrzuconych na czarnym aksamicie nocy niczym kryształowe ziarna. Było to ciche,

niemal magiczne miejsce, lecz oczy Sparhawka nie dostrzegały jego piękna. Zatrzymał się i postawił Aphrael na ziemi. Małeńka twarz bogini nie wyrażała niczego, jej oczy spoglądały martwo naprzód.

- No, wreszcie - rzekła w końcu pełnym irytacji tonem. - Okropnie trudno cokolwiek im wyjaśnić. Wciąż tylko paplają bez sensu.

- O kim ty mówisz?

- O tamulskich bogach. Teraz rozumiem, czemu Oscagne został ateistą. W końcu udało mi się ich przekonać, żeby pobawili się w tym miejscu. To powinno pomóc ukryć nas przed Cyrgonem.

- Bawić się?

- To dzieci, Sparhawku. Maluchy, miesiącami bawiące się i grające w berka. Cyrgon ich nienawidzi, toteż za żadne skarby świata nie zbliży się do nich. To powinno pomóc. Dotrą tu za kilka minut. Potem będziemy mogli ruszać w drogę. Odwróć się, ojczu. Nie lubię, kiedy ludzie patrzą, jak się zmieniam.

- Widziałem cię już - w każdym razie twoje odbicie.

- To mi nie przeszkadza. Sam proces przemiany jest jednak dość ponizający. Po prostu się odwróć, ojczu. I tak nie zrozumiesz.

Posłusznie obrócił się na pięcie i zapatrzył w nocne niebo. Brakowało na nim kilku znajomych konstelacji. Inne znalazły się w nowych miejscach.

- W porządku ojczu, możesz już spojrzeć. - Jej głos był głębszy, dźwięczniejszy. Odwrócił się.

- Mogłabyś coś na siebie włożyć?

- Po co?

- Po prostu to zrób, Aphrael. Zaspokój mój kaprys.

- To takie bezsensowne. - Wyciągnęła rękę, chwyciła przejrzysty welon utkany z niczego i owinęła się nim. - Lepiej? - spytała.

- Niespecjalnie. Możemy już ruszać?

- Zaraz sprawdzę. - Na moment jej oczy spojrzały w dal. - Nadchodzą - oznajmiła. - Trochę zbczyli z drogi. Niewiele trzeba, aby odwrócić ich uwagę. Teraz posłuchaj bardzo uważnie. Staraj się przez cały czas zachować spokój. I pamiętaj, że nie pozwolę, by stała ci się krzywda. Nie spadniesz.

- Nie spadnę? Skąd? O czym ty mówisz?

- Sam zobaczysz. Załatwiłabym to inaczej, ale musimy szybko dotrzeć do Dirgis, a nie chcę, by Cyrgon zdążył mnie zlokalizować. Z początku zachowamy ostrożność, żebyś mógł

do tego przywyknąć. - Lekko odwróciła głowę. - Już tu są. Możemy ruszać.

Sparhawk przechylił głowę. Przez sekundę wydało mu się, iż słyszy odległy dziecięcy śmiech, równie dobrze jednak mógł to być szmer wiatru, poruszającego liśćmi drzew.

- Podaj mi rękę - poleciała.

Posłusznie ujął jej dłoń. Wydała mu się bardzo ciepła, przyjazna.

- Patrz w niebo, Sparhawk - rozkazała oszalamiająco piękna młoda kobieta.

Unióśł twarz i ujrzał lśniący bładą rąbek księżyca, wynurzający się niespiesznie ponad linię drzew.

- Możesz już popatrzeć w dół.

Posłuchał i odkrył, że stoją jakieś dziesięć stóp ponad zmarszczoną taflą stawu. Mięśnie Sparhawk napięły się.

- Nie rób tego! - rzuciła ostro. - Odpręż się. Jeśli będę musiała cię wlec w powietrzu niczym wypełniony wodą kajak, tylko nas spowolnisz.

Spróbował; bez większego powodzenia. Był niemal pewien, że oczy go okłamują. Czuł pod stopami twardy grunt. Tupnął nawet i jego stopa uderzyła o solidne podłoże.

- To tylko chwilowe - wyjaśniła bogini. - Niedługo nie będziesz tego potrzebował. Sephrenii zawsze musisz zapewniać solidne oparcie. - Jej głos załamał się w cichym szlochu. - Proszę, opanuj się, Sparhawk - błagała. - Musimy się spieszyć. Spójrz w niebo, wzniesiemy się nieco.

Niczego nie poczuł, nawet pędu powietrza czy ciężenia w żołądku. Gdy jednak znów opuścił wzrok, polana i zakłęty staw zmały do rozmiarów kropki. Maleńkie światła Beresy migotały w miniaturowych oknach, a księżyc kreślił długi lśniący szlak na falach Morza Tamulskiego.

- Dobrze się czujesz? - Nadal mówiła jak Aphrael, lecz jej głos, a przede wszystkim wygląd uległy zupełnej przemianie. Rysy jej twarzy łączyły w sobie cechy Flecika i Danae, czyniąc z niej dorosłą kobietę, która kiedyś była obiema dziewczynkami. Sparhawk nie odpowiedział, tupnął jedynie kilkakrotnie w twardą pustkę pod stopami.

- Kiedy ruszymy, nie zdołam tego utrzymać - uprzedziła go. - Będziemy lecieli zbyt szybko. Po prostu trzymaj mnie za rękę i nie denerwuj się, bo jeszcze połamiesz mi palce.

- Nie zaskakuj mnie więc. Wyrosną ci skrzydła?

- Cóż za absurdalny pomysł! Nie jestem ptakiem, Sparhawk. Skrzydła tylko by mi zawadzały. Po prostu się odpręż. - Przyjrzała mu się uważnie. - Znosisz to naprawdę dobrze. Na tym etapie Sephrenia zazwyczaj wpada w histerię. Czy czułbyś się lepiej, gdybyś siedział?

- Na czym?

- Nieważne. Może lepiej stójmy. Odetchnij głęboko i zaczynajmy.

Sparhawk odkrył, iż lepiej się czuje, patrząc w górę. Wolał mieć przed oczami gwiazdy i wschodzący księżyc niż potworną pustkę pod stopami.

Nie odbierał żadnego wrażenia ruchu, w uszach nie świszczła mu wiatr, a płaszcz nie łopotał. Stał tylko, trzymając rękę Aphrael, zapatrzony w księżyc, który ociężale umykał na południe. Nagle dostrzegł dobiegający z dołu słaby blask.

- A niech to! - mruknęła bogini.

- Co się stało? - Jego głos zabrzmiał nieco chrapliwie.

- Chmury.

Sparhawk spojrział w dół i ujrzał pod sobą baśniowy świat. Kłębiasta biała chmura, połyskująca w blasku księżyca, rozciągała się bez końca. Z falistej niematerialnej równiny wystrzelały góry rzadkiej mgły, między nimi wznosiły się milczące kolumny i zamczyska obłoków. Sparhawk z zachwytem oglądał skapaną w promieniach księżyca miękką krainę chmur, umykającą chyżo w tył.

- Piękne - szepnął.

- Może, ale nie widzę ziemi. , - Chyba tak wolę.

- Potrzebuję punktów odniesienia, Sparhawk. Nie widzę, gdzie jestem, więc nie potrafię określić, dokąd zmierzam. Bhel-liom umie znaleźć każde miejsce, dysponując jedynie nazwą, ale ja nie. Potrzebuję wskazówek, a przez te chmury niczego nie widzę.

- Czemu nie posłużysz się gwiazdami?

- Co?

- Tak właśnie postępują żeglarze, kiedy wypływają w morze. Gwiazdy nie zmieniają położenia, toteż marynarze wybierają jedną z nich bądź całą konstelację i sterują w jej stronę.

Zapadła długa cisza. Sparhawk patrzył, jak krajobraz obłoków powoli zwalnia i zatrzymuje się w miejscu.

- Czasami jesteś tak bystry, że nie mogę cię znieść, Sparhawk - rzuciła cierpko trzymająca go za rękę bogini. t - Chcesz powiedzieć, że nigdy nie przyszło ci to do głowy?

- Nieczęsto latam nocą - broniła się. - Schodzimy niżej. Muszę znaleźć jakieś punkty orientacyjne.

Opadli w dół. Chmury popędziły im na spotkanie i nagle zanurzyli się w gęstych, lepkich oparach.

- Są zrobione z mgły, prawda? To znaczy chmury - rzekł ze zdumieniem Sparhawk.

- A tyś myślał, że z czego?

- Nie wiem, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Z jakichś powodów wydało mi się

to dziwne.

Wkrótce wynurzyli się z chmur. Pozbawione srebrzystej księżycowej poświaty, wisiały nisko nad ich głowami niczym brudna powoła przesłaniająca światło. Ziemię pod nimi skrywała niemal nieprzenikniona ciemność. Płynęli naprzód, stojąc w powietrzu i skręcając bez celu w poszukiwaniu czegoś, co zdołaliby rozpoznać.

- Tam! - wskazał Sparhawk. - To musi być spore miasto. Widać mnóstwo światełek.

Ruszyli w tamtym kierunku, przyciągani blaskiem niczym bezmyślne owady. Spoglądając w dół, Sparhawk poczuł się dziwnie nierzeczywiście. Leżące w dole miasto zdawało się maleńkie. Niczym dziecięca zabawka przycupnęło na brzegu wielkiej wody. Rycerz podrapał się po policzku, próbując przywołać w pamięci szczegóły mapy.

- To chyba Sopal - rzekł. - Jezioro to niemal na pewno Morze Ardzuńskie. - Nagle urwał. Zakręciło mu się w głowie. - Przelecieliśmy ponad trzysta lig, Aphrael! - krzyknął. - Prawie tysiąc mil!

- Owszem, jeśli to rzeczywiście Sopal.

- Musi nim być. Morze Ardzuńskie jest jedynym większym zbiornikiem wodnym w tej części kontynentu, a Sopal leży na jego wschodnim brzegu. Na południu znaleźlibyśmy Ardzun, a na zachodzie Tianę. - Popatrzył na nią z niedowierzaniem. - Tysiąc mil! A opuściliśmy Beresę zaledwie godzinę temu! Jak szybko lecimy?

- Co za różnica? Grunt, że tu dotarliśmy. Tylko to się liczy. - Młoda kobieta, trzymająca go za rękę, spojrzała z namysłem na miniaturowe miasto nad jeziorem. - Dirgis leży nieco na zachód, więc nie powinniśmy lecieć wprost na północ. - Okręciła ich nieco w powietrzu, póki nie zwrócili się na północny zachód. - Mniej więcej dobrze. Nie ruszaj głową, Sparhawk. Patrz w tamtym kierunku. Podniesiemy się i wybierzesz gwiazdę.

Szybko przelecieli przez chmury i Sparhawk ujrzał znajomy gwiazdozbiór Wilka, świecący nad zamglonym horyzontem.

- Tam - wskazał. - Pięć gwiazd, tworzących kształt psiej głowy.

- Nie przypomina to żadnego znanego mi psa.

- Musisz posłużyć się wyobraźnią. Czemu nigdy nie wpadłaś na pomysł, by sterować wedle gwiazd? Wzruszyła ramionami.

- Zapewne dlatego, że mój wzrok sięga dalej niż twój. Ty widzisz niebo jako powierzchnię - rodzaj odwróconej misy z wymalowanymi na niej gwiazdami, które dzieli od ciebie jednakowa odległość. To dlatego dostrzegasz w tym skupisku gwiazd psią głowę. Ja nie, bo widzę różnice odległości. Miej oko na swego psa, Sparhawk. Daj mi znać, kiedy zaczniemy zbaczać z kursu.

Migoczące w srebrzystym blasku chmury pod nimi znów się ruszyły. Przez jakiś czas lecieli w milczeniu.

- Nie jest nawet tak źle - zauważył Sparhawk. - Przynajmniej kiedy już się do tego przywyknie.

- To lepsze niż iść piechotą - odparła okryta zwiewnym welonem bogini.

- Z początku jednak włosy stanęły mi dęba.

- Sephrenia nigdy nie wyzbyła się lęku. Gdy tylko jej stopy opuszczą twardy grunt, wpada w panikę. Sparhawkowi nagle coś się przypomniało.

- Chwileczkę! - zaprotestował. - Kiedy zabiliśmy Ghweriga i ukradliśmy Bhelliom, wynurzyłaś się z przepaści w jego jaskini, a ona wyszła ci w powietrzu na powitanie. Wtedy nie panikowała.

- Nie. To był chyba najodważniejszy wyczyn, na jaki kiedykolwiek się zdobyła. Niemal pękłam z dumy.

- Czy była przytomna, kiedy ją znalazłaś?

- Chwilami. Zdołała nam powiedzieć, kto ją zaatakował. Udało mi się zwolnić bicie jej serca i uśmierzyć ból. Jest teraz bardzo spokojna. - Głos Aphrael zadrżał. - Spodziewa się, że umrze, Sparhawk. Czuje ranę w swym sercu i wie, co to oznacza. Kiedy odchodziłam, przekazywała Xanetii ostatnią wiadomość dla Vaniona. - Młoda bogini zdusiła szloch. - Moglibyśmy pomówić o czymś innym?

- Oczywiście. - Sparhawk oderwał wzrok od znajomej konstelacji. - Tuż przed nami z chmur sterczy górski wierzchołek. , - Jesteśmy więc niemal na miejscu. Dirgis leży w wielkiej kotlinie za pierwszym pasmem.

Lecieli coraz wolniej, mijając ośnieżone szczyty wysuniętego najbardziej na południe przyczółka gór Atanu, wierzchołki wynurzające się z chmur niczym lodowe wyspy. Okazało się, iż kotlinę za nimi okrywa jedynie cienka warstwa chmur.

Obniżyli się, szybując niczym puszkami mleczu w stronę porośniętych lasem wzgórz i dolin kotliny. W blasku księżyca grunt pod nimi rysował się ostro, pozbawiony wszelkich barw. W oddali po lewej rozbłysły nowe światelka - czerwone pochodnie w wąskich uliczkach, złote płomyki świec w maleńkich oknach.

- Oto Dirgis - oznajmiła Aphrael. - Wylądujemy poza miastem. Zanim tam wkroczymy, powinnam chyba znów się zmienić.

- Albo założyć coś jeszcze.

- To cię rzeczywiście gryzie, prawda, Sparhawk? Jestem brzydka czy co?

- Nie, wręcz przeciwnie - i przeszkadza mi to tym bardziej. Nie mogę się skupić, kiedy

stoisz obok naga, Aphrael.

- Tak naprawdę nie jestem kobietą, Sparhawk - w każdym razie nie w tym sensie, który ci przeszkadza. Nie mógłbyś myśleć o mnie jako o klaczy? Albo łani?

- Nie mógłbym. Zrób to, co musisz, Aphrael. Nie sądzę, aby moje myśli stanowiły w tej chwili najlepszy temat do rozmów.

- Rumienisz się, Sparhawk?

- Prawdę mówiąc, tak. Możemy zostawić ten temat?

- To naprawdę słodkie z twojej strony.

- Przystaniesz wreszcie?

Wylądowali w pustej dolince pół mili od przedmieść Dirgis.

Sparhawk odwrócił się, pozwalając, by bogini-dziecko ponownie przyjęła postać styryckiej dziewczynki znanej wszystkim pod imieniem Recik.

- Lepiej? - spytała, gdy na nią spojrział.

- Znacznie. - Podniósł ją i ruszył w stronę miasta. Maszerując szybko, miarowo, całkowicie skupił się na swych krokach. Pomagało mu to unikać niepotrzebnych myśli.

Weszli wprost do miasta, skręcili z głównej ulicy i dotarli do sporego piętrowego budynku.

- To tutaj - powiedziała Aphrael. - Wystarczy tylko wejść do środka i na górę. Sprawię, że gospodarz będzie patrzył w inną stronę.

Sparhawk pchnął drzwi, przeciął jadalnię i wspiął się po schodach.

Zastali Xanetię jaśniejącą białym blaskiem. W ramionach tuliła Sephrenię. Obie kobiety siedziały na wąskim łóżku w małym pokoiku o ścianach zbudowanych z ledwie ociosanych bali, typowym przytulnym pomieszczeniu, jakie można znaleźć w górskich gospodach całego świata. Stał w nim porcelanowy piecyk, parę krzeseł i nocne stoliki obok każdego łóżka. Dwie świece rzucały złocisty blask na obie kobiety. Przód szaty Sephrenii pokrywała krew, jej twarz była śmiertelnie blada, zabarwiona złowrogą szarością. Sparhawk spojrział na nią i w jego sercu zapłonął gniew.

- Zranię za to Zalastę! - warknął w języku trolli. Aphrael posłała mu zdumione spojrzenie, po czym także odezwała się w nosowej mowie trolli.

- Twoja myśl jest dobra, Anakho - zgodziła się gwałtownie. -Zrań go mocno. - Szorstki dźwięk trollowego „zrań” zadowolili ich oboje. - Ale jego serce należy do mnie - dodała. - Zauważyłaś jakieś zmiany? - spytała Xanetię, wracając do tamulskiego.

- Żadnej, o boska - odparła Xanetia tonem zdradzającym krańcowe wyczerpanie. - Udzielam drogiej mej siostrze sił własnych, aby ją podtrzymać, wszelako zapasy ich niemal

już wyczerpałam. Wkrótce umrzemy obie.

- Nie, miła Xanetio - zaprzeczyła Aphrael. - Nie utracę was obu. Nie lękaj się wszakże, albowiem Anakha przybył z Bhel-liomem zdrowie wam przywrócić.

- Nie wolno mu - zaprotestowała Xanetia. - Jeśli to uczyni, życie swej królowej narazi. Lepiej tedy, abyśmy z siostrą mą zginęły.

- Nie bądź taka szlachetna, Xanetio - rzuciła cierpko Aphrael.- Cierpnie mi od tego skóra. Porozmawiaj z Bhelliomem, Sparhawk. Dowiedz się, jak mamy to zrobić.

- Błękitna Rózo - powiedział Sparhawk, muskając palcami wypukłość pod kaftanem.

- Słyszę cię, Anakho. - Tym razem głos w jego umyśle zabrzmiał cicho jak szept.

- Przybyliśmy do miejsca, gdzie zraniona Sephrenia spoczywa.

- Tak.

- Cóż teraz począć mamy? Błagam cię, Błękitna Rózo, nie czyń niczego, co zagrozić może mej małżonce.

- Upomnienia twe niepotrzebnymi są, Anakho. O braku ufności świadczą. Zaczynamy. Oddaj mi wolę swą. Przez twe usta bowiem pomówić muszę Z Anarae Xanetią. Nagle Sparhawk ogarnęła dziwna obojętność. Czuł, jak się rozdziela. Jego świadomość opuściła ciało.

- Wysłuchaj mnie, Xanetio. - To był odmieniony głos Sparhawk, on sam jednak nie wiedział nawet, że przemówił.

- Słucham z uwagą wielką, Stwórco Światów - odparła wyczerpana Anarae.

- Niechaj bogini-dziecię brzemię twe przejmie i siostrę swą podtrzyma. Dłoni twych mi trzeba.

Aphrael usiadła miękko na łóżku, odebrała Sephrenię z objęć Xanetii i przytuliła ją czule.

- Ujmij w dłoń szkatułkę, Anakho - polecił Bhelliom - i Xanetii oddaj.

Sparhawk poruszał się sztywno, wyjmując złote puzdro spod tuniki i zdejmując z szyi rzemień, na którym wisiało.

- Zbierz wokół siebie spokój błogi, którym klątwa Edaemusa cię obdarza, Xanetio - rozkazał Anarae Bhelliom głosem Sparhawk - i ujmij w dłonie szkatułkę oraz mą esencję, pozwalając, by spokój twój także nas ogarnął.

Xanetia przytaknęła. Wyciągnęła lśniące ręce i odebrała Sparhawkowi skrzynkę.

- Dobrze. Teraz w ramiona boginię-dziecię ujmij, obejmij ją i przywiedź do mnie.

Xanetia przycisnęła do siebie zarówno Aphrael, jak i Sephrenię.

- Wspaniale. Umysł bystrym masz, Xanetio. Tak bowiem jeszcze jest lepiej. Aphrael,

otwórz szkatułę i wydobądź mię z niej. - Bhelliom urwał. - I żadnych sztuczek - uprzedził ją, uciekając się do zaskakująco nowoczesnej frazy. - Dotknięciem swym zwodniczym i fortelem zwieść mię nie próbuj.

- Nie bądź niemądry, Stwórco Światów.

- Znam cię, Aphrael, i wiem, iżes bardziej niebezpieczna aniżeli Azash czy Cyrgon. Siły swe skupmy na siostry twej uleczeniu.

Bogini-dziecko uniosła pokrywkę szkatułki i wyjęła z niej lśniąca szafirową różę. Sparhawk, oszołomiony, patrzył, jak biały blask otaczający Xanetię zabarwia się słabym błękitem, gdy poświata Bhelliomu dołączyła do jej własnej.

- Niby okład do rany mię przyłóż, abym uleczyć mógł to, co Zalasta zniszczył.

Sparhawk był żołnierzem i znał się na obrażeniach. Kiedy ujrzał głębokie, ociekające krwią cięcie w lewej piersi Sephrenii, jego żołądek ścisnął się gwałtownie.

Aphrael uniosła Bhelliom i łagodnie przytknęła go do krwawiącej rany. Sephrenia zaczęła świecić lazurowym blaskiem. Lekko uniosła głowę.

- Nie! - zaprotestowała słabo, próbując odepchnąć dłoń bogini.

Sparhawk ujął jej obie ręce i przytrzymał.

- Wszystko w porządku, mateczko - skłamał cicho. - Wszystkim się zajęliśmy.

Rana w piersi Sephrenii zamknęła się, pozostawiając paskudną fioletową bliznę. A potem, na ich oczach, szafirowa róża podjęła pracę. Blizna skurczyła się do cienkiej białej linii, która stawała się coraz słabsza i słabsza, by w końcu zupełnie zniknąć.

Sephrenia zaczęła kaszeleć. Był to głośny mokry kaszel, przywodzący na myśl niedoszłego topielca.

- Przynies mi miskę, Sparhawk - poleciła Aphrael. - Moja siostra musi pozbyć się krwi z płuc.

Sparhawk zdjął ze stolika wielką płytką miednicę i podał ją Aphrael.

- Proszę - rzekła. - Możesz już ją wziąć. - Oddała mu zamkniętą szkatułkę, wzięła miskę i przystawiła ją Sephrenii pod brodę. - Już dobrze - rzekła zachęcająco do siostry, gdy drobna Styriczka zaczęła krztusić się i wypluwać kawały skrzepniętej krwi. - Wyrzuć je z siebie.

Sparhawk odwrócił wzrok. Nie był to piękny widok.

- Ucisz niepokój swój, Anakho - powiedział miękko Bhelliom. - Wrogowie twoi nieświadomi są tego, co tu zaszło. - Klejnot na moment umilkł. - Nie doceniłem Edaemusa, przebiegły jest bowiem niezmiernie. Nikt inny dostrzec nie umiałby prawdziwej wagi tego, co uczynił. Klątwa na dzieciach jego ciężąca jedyną skuteczną metodą ukrycia ich się stała. Drzą

wszelako na myśl, jaki ból sprawić mu musiała.

- Nie rozumiem - przyznał Sparhawk.

- Błogosławieństwo dźwięczy w powietrzu i wibruje niczym odgłos dzwonu, Anakho, klątwa jednak ciemna jest i cicha. Gdyby blask z Anarae Xanetii bijący błogosławieństwem był, cały świat dostrzegaliby i czuł miłość z niego płynącą, Edaemus jednakowoż klątwą go uczynił. Na tym właśnie mądrość jego się zasadza. Przeklęci wyrzutkami są, w mroku skrytymi, i nikt, człek ni bóg, ruchów ich w świecie nie postrzega. Gdy w dłonie swe puzdro ujęła, Anarae Xanetia wszelki odgłos i poczucie obecności mej stłumiła. A kiedy Aphrael i Sephrenię objęła, otaczając je swym świetlistym mrokiem, nikt żywy wykryć by mię nie zdołał. Wybranka twa bezpieczna jest - na razie. Nieprzyjaciele twoi nie wiedzą, co tu zaszło.

Serce Sparhawk zabiło mocniej.

- Wstyd mi wielce, iż ufać ci przestałem, Błękitna Różo -przeprosił.

- Poruszony byłeś, Anakho. Z radością ci wybaczam.

- Sparhawk. - Głos Sephrenii zabrzmiał niewiele donośniej niż szept.

- Tak, mateczko? - Podszedł szybko do jej łóżka.

- Nie powinienes być się na to zgodzić. Naraziłeś Ehlaną na straszliwe niebezpieczeństwo. Sądziłam, że jesteś silniejszy.

- Wszystko w porządku, Sephrenio - zapewnił ją. - Bhelliom właśnie mi to wyjaśnił. Nikt nic nie słyszał ani nie czuł, kiedy cię uzdrawiał.

- Jak to możliwe?

- Dzięki obecności Xanetii i jej dotknięciu. Bhelliom twierdzi, że całkowicie zagłuszyła wszystko, co się działo. Zdaje się, że ma to coś wspólnego z różnicą pomiędzy błogosławieństwem a klątwą. Mniejsza jednak o szczegóły. Grunt, że nie naraziliśmy Ehlany na żadne niebezpieczeństwo. Jak się czujesz?

- Skoro naprawdę chcesz wiedzieć, jak podtopiony kociak. -Uśmiechnęła się słabo, po czym westchnęła. - Nigdy nie uwierzyłam, że Zalasta jest zdolny do czegoś takiego.

- Sprawię, że pożałuje, iż kiedykolwiek o tym pomyślał -odparł ponuro Sparhawk. - Wyrwę mu serce, upiekę na rożnie, a potem podam Aphrael na srebrnym talerzu.

- Czyż nie jest miły z niego chłopiec? - powiedziała czule Aphrael.

- Nie. - Głos Sephrenii zabrzmiał zdumiewająco stanowczo. - Doceniam waszą troskę, moi drodzy, ale nie życzę sobie, byście choć tknęli Zalastę. To mnie pchnął nożem, toteż ja zdecyduję, kto go dostanie.

- To uczciwe postawienie sprawy - ustąpił Sparhawk.

- Co ci chodzi po głowie, Sephrenio? - spytała Aphrael.

- Kiedy Vanion dowie się o wszystkim, będzie bardzo zły. Nie chcę, żeby się wściekał i rozwał meble, toteż zamierzam podarować mu Zalastę - owiniętego jaskrawoczerwoną kokardą.

- Ale serce należy do mnie - upierała się Aphrael.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Niebo przesłoniły ciężkie chmury, zimny, suchy wiatr atakował bezlitośnie pustkowia Pustyni Cynesgańskiej, gdy Vanion prowadził odwrót na wschód. Połowa zbrojnych rycerzy zginęła w starciu z żołnierzami Kisła, tylko nieliczni uniknęli poważ-/nych obrażeń. Vanion opuścił Sarnę na czele armii; powracał, prowadząc kolumnę jęczących inwalidów, poobijanych i poranionych - a przecież doszło jedynie do niewielkiej potyczki.

Czterech Atanów dźwigało na noszach Engessę. Królowa Be-tuana maszerowała u jego boku z twarzą wykrzywioną bólem. Vanion westchnął. Engessa wciąż oddychał, ale bardzo słabo.

Mistrz zakonu wyprostował się w siodle, próbując otrząsnąć się z szoku i rozpacz oraz myśleć rozsądnie. Walka z wojownikami Klaela zdziesiątkowała rycerzy kościoła, a to oni stanowili podstawę ich planu. Bez zbrojnych jeźdźców wschodnia granica Tamulu przestała być bezpieczna.

Vanion wymamrotał paskudne przekleństwo. Pozostało mu jedynie uprzedzić pozostałych o zmianie sytuacji.

- Panie Endriku! - zawołał do starego weterana, jadącego niedaleko za nim. - Przejmij prowadzenie, ja muszę coś załatwić. Endrik wyjechał mu na spotkanie.

- Kierujcie się na wschód - rzucił Vanion. - Niedługo wrócę. - Spiał ostrogami zmęczonego konia i pojechał naprzód.

Gdy wyprzedził kolumnę o jakąś milę, ściągnął wodze i rzucił zakłęcie przywołania.

Nic się nie stało.

Rzucił je ponownie, tym razem bardziej stanowczo.

- O co chodzi? - Dźwięczący w jego uszach głos Aphrael brzmiał okropnie niecierpliwie.

- Mam złe wieści, o boska - odparł.

- Co jeszcze mogło pójść nie tak? Pospiesz się, Vanionie. Jestem w tej chwili bardzo zajęta.

- Na pustyni natknęliśmy się na Klcela. Miał ze sobą armię olbrzymów i mocno oberwaliśmy. Powiedz Sparhawkowi, że najprawdopodobniej nie zdołam utrzymać Samaru, jeśli Cynesganie zaczną go oblegać. Straciłem połowę rycerzy, a ci, którzy mi zostali, nie są w stanie walczyć. Peloi Tikumego to dzielni ludzie, lecz nie mają doświadczenia w oblężeniach.

- Kiedy to się stało?

- Jakieś cztery godziny temu. Mogłabyś znaleźć Abriela i pozostałych mistrzów? Do tej pory powinni dotrzeć do Zemochu bądź zachodniego Astelu. Trzeba koniecznie uprzedzić ich o Klcelu. Powiedz, żeby pod żadnym pozorem nie angażowali się w bitwy z wojskami Klcela. Nie możemy ich pokonać. Jeśli główna armia rycerzy kościoła zostanie wciągnięta w zasadzkę i zniszczona, przegramy tę wojnę.

- Kim są ci olbrzymi, o których wspomniałeś, Vanionie?

- Nie mieliśmy czasu, by się przedstawić. Są jednak więksi niż Atani - niemal dorównują wzrostem trollom. Noszą bardzo obcisłe zbroje i stalowe maski na twarzach. Ich broń nie przypomina niczego, co zdarzyło mi się oglądać. I mają żółtą krew.

- Żółtą? To niemożliwe!

- Mimo wszystko jest żółta. Jeśli chcesz, możesz mnie odwiedzić i obejrzeć mój miecz. Zabiłem kilku, gdy osłaniałem odwrót Betuany.

- Odwrót? Betuany?

- Niosła Engessę.

- Co z Engessa?

- Wysforował się do przodu i zaatakowali go żołnierze Klcela. Dobrze walczył, lecz mieli przewagę liczebną. Ruszyliśmy z odsieczą i Betuana przebiła się do Engessy. Zaleciłem odwrót, a potem osłaniałem Betuanę, dźwigającą Engessę na tyły. Zabieramy go do Samy, lecz obawiam się, że to strata czasu. Ma Z boku wgniecioną czaszkę i zapewne go stracimy.

- Nie mów tak, Vanionie. Nawet o tym nie myśl. Zawsze istnieje nadzieja.

- Tym razem niewielka, o boska. Gdy cios uszkodzi mózg człowieka, pozostaje tylko wykopać mu grób.

- Nie pozwolę, by umarł, Vanionie. Jak szybko możesz przywieźć go do Sarny?

- Za dwa dni, Aphrael. Dotarcie tutaj zabrało nam dwa dni, co oznacza, iż powrót będzie trwał tyle samo.

- Wytrzyma tak długo?

- Wątpię.

Bogini rzuciła krótkie paskudne słowo po styricku.

- Gdzie jesteście?

- Dwadzieścia lig na południe od Samy, jakieś pięć lig w głąb pustyni.

- Zastańcie tam. Odszukam was i przybędę.

- Uważaj, kiedy zbliżysz się do Betuany. Zachowuje się bardzo osobliwie.

- Mów otwarcie, Vanionie. Nie mam czasu na zagadki.

- Nie jestem pewien, na czym to polega, Aphrael. Betuana jest wojowniczką i wie, że w bitwach giną ludzie. Jednak jej reakcja na to, co spotkało Engessę, była - cóż - przesadna. Zupełnie się załamała.

- Pamiętaj, że jest Atanką, Vanionie. To bardzo uczuciowi ludzie. Wracaj i zatrzymaj swoją kolumnę. Wkrótce tam będę.

Vanion przytaknął, choć nie było nikogo, kto mógłby ujrzeć skinienie głowy. Zawrócił konia i pojechał dołączyć do swych rycerzy.

- Coś się zmieniło? - spytał królową Betuanę. Atanką uniosła mokrą od łez twarz.

- Raz otworzył oczy, Vanionie mistrzu - odparła. - Wątpię jednak, by mnie zobaczył. - Trzymała w dłoni rękę Engessy.

- Rozmawiałem z Aphrael - poinformował ją. - Wkrótce się zjawi, aby go obejrzeć. Nie trać jeszcze nadziei, Betuano. Kiedyś Aphrael uleczyła mnie, a byłem bliższy śmierci niż Engessa.

- Jest bardzo silny - przyznała Betuana. - Jeśli bogini-dziec-ko zdoła uleczyć jego rany, zanim umrze... - Jej głos załamał się lekko.

- Nic mu nie będzie, wasza wysokość - odparł, starając się, by w słowach tych zabrzmiała otucha, której sam nie czuł. - Mogłabyś przesłać wiadomość swojemu mężowi - o Klaelu? Powinien wiedzieć o żołnierzach, których tamten skrywa pod skrzydłami.

- Wyprawię biegacza. Czy mam kazać Androlowi przybyć do Sarny zamiast do Tosy? Klael jest tutaj, armia Scarpy nieprędko dotrze do Tosy - a i to pod warunkiem, że uda się jej uniknąć trolli.

- Zaczekajmy, póki nie porozumiem się z pozostałymi. Czy król Androl już wymaszerował?

- Powinien. Androl zawsze natychmiast reaguje na moje wezwanie. To dobry człowiek - i bardzo, bardzo odważny. - Powiedziała to, zupełnie jakby broniła męża przed niewypowiedzianą krytyką. Vanion jednak dostrzegł, iż cały czas z roztargnieniem gładziła poszarzałą twarz Engessy.

* * *

- Musiał się bardzo spieszyć - zauważył Stragen, wciąż pró-’c bując rozszyfrować związły liścik Sparhawk.

- Nigdy nie radził sobie z pisaniem listów. - Talen wzruszył ramionami. - Może poza tym jednym razem, gdy całymi dniami układał kłamstwa o naszych przygodach na wyspie

Tęga.

- Pewnie to wyczerpało jego talent. - Stragen złożył liścik i przyjrzał mu się uważnie. -

Pergamin - mruknął. - Skąd wziął pergamin?

- Kto wie? Może powie nam, kiedy wróci. Przejdźmy się po plaży. Muszę rozruszać mięśnie.

- W porządku. - Stragen narzucił płaszcz i wraz z młodym złodziejem wyszli na ulicę.

Południowe Morze Tamulskie było spokojne. Księżycowy szlak na jego ciemnej powierzchni połyskiwał srebrzystą bielą.

- Ładnie tu - zauważył Talen, gdy obaj dotarli na mokry piasek tuż nad wodą.

- Owszem - zgodził się Stragen.

- Chyba wpadłem na pewien pomysł.

- Ja także.

- Mów więc.

- Nie, ty pierwszy.

- W porządku. Cynesganie gromadzą się przy granicy, mam rację?

- Owszem.

- Dobra historyjka mogłaby ich odgromadzić.

- Nie sądzę, by istniało takie słowo.

- Przyszliśmy tu omawiać problemy leksykalne? Co zrobią Cynesganie, jeśli usłyszą o nadejściu rycerzy kościoła? Czy nie poślą im na spotkanie armii?

- Zdaje się, że Sparhawk i Vanion chcą utrzymać w sekrecie przybycie rycerzy.

- Stragenie, jak zdołasz utrzymać w tajemnicy przemarsz stu tysięcy ludzi? Załóżmy, iż poinformuję Valasha, że z wiarygodnych źródeł usłyszałem o flocie okrętów pod banderami kościoła, okrążającej południowy przylądek Daconii i kierującej się w stronę Kaftalu. Czy nie zaniepokoi to naszych przeciwników? Nawet jeśli wiedzą o rycerzach w Zemochu, będą musieli wysłać wojska na spotkanie floty. Nie mogą zignorować możliwości, że rycerze nadciągają z dwóch kierunków naraz.

Stragen zaśmiał się nagle.

- Co cię tak rozśmieszyło?

- Zbyt długo przebywamy razem, Talenie. Zaczynamy podobnie myśleć. Ja z kolei uznałem, iż warto powiedzieć Valashowi, że Atani zamierzają przekroczyć stopy wschodniego Astelu i uderzyć na północną Cynesgę, kierując się na stolicę.

- Niezły plan - mruknął Talen.

- Podobnie jak twój. - Stragen, mrużąc oczy, spojrział w dal ponad iskrzącą się w

blasku księżycyca wodą. - Obie historie są strategicznie prawdopodobne - zastanawiał się w głos. - Podobne posunięcia bardzo pasują do wojskowych. Planujemy jednoczesny atak ze wschodu i zachodu. Gdybyśmy zdołali przekonać Cyrгона, że uderzymy z północy i południa, moglibyśmy odciągnąć jego wojska dość daleko, by nie zdążyły odeprzeć prawdziwych ataków.

- Nie wspominając o tym, że rozdzielilibyśmy jego armię.

- Ale musimy działać bardzo ostrożnie - uprzedził Stragen. - Wątpię, by nawet Valash był dość łatwowerny, żeby przełknąć te historyjki, jeśli wspomnimy o nich jednocześnie. Wolałbym, aby bajeczkę o Atanach przekazał mu ktoś inny.

- Sparhawk prawdopodobnie mógłby przekonać Aphrael, żeby to załatwiła - zasugerował Talen.

- Jeśli w ogóle wróci. Jego liścik był dość tajemniczy. Zaczniemy jednak działać. Możemy nieco zmodyfikować twoją historię. Cofnij swą wymyśloną flotę do Yalesii. Dajmy Cyrго-nowi trochę czasu, by mógł martwić się jej przybyciem. Dopiero potem wskażemy Kaftal jako punkt docelowy. Ja tymczasem zaplanuję kilka aluzji dotyczących Atanów zbliżających się do północno-zachodniej granicy. Na tym poprzestaniemy do powrotu Sparhawka.

Talen westchnął.

- Co znowu?

- To niemal legalne, prawda?

- Owszem, chyba tak. To cię gnębi?

- Jeśli wszystko jest legalne, czemu tak świetnie się bawię?

* * *

- Nic? - spytał Ulath, rozpinając kołnierz czerwonej kurtki mundurowej.

- Ani śladu - odparł Tynian. - Rzuciłem zaklęcie cztery razy i wciąż nie mogę jej wywołać.

- Może jest zajęta?

- Owszem, to możliwe.

Ulath z namysłem potarł policzek.

- Definitywnie zgolę brodę pana Gerdy - mruknął. - Wiesz, może dzieje się tak dlatego, iż jesteśmy w beczasie. Gdy znaleźliśmy się tu po raz pierwszy - jeszcze w Pelosii - żadne z naszych zaklęć nie działało.

- Ale to zaklęcie jest inne, Ulacie. Nie próbuję przecież nic zrobić. Chcę tylko pomówić z Aphrael.

- Owszem, ale mieszasz magię. Usiłujesz użyć styrickiego zaklęcia, zanurzony po uszy w czarach trolli.

- Może w tym tkwi problem. Spróbuję ponownie, gdy dotrzemy do Ardżunu i wrócimy do normalnego czasu.

W szarym świetle zastygłego momentu Ghnomba pojawił się Bhlokw. Wracając ku nim, wyminął stado nieruchomych ptaków, wiszących w powietrzu.

- W następnej dolinie są kryjówki ludzkich stworów - zameldował.

- Wiele czy kilka? - spytał Ulath.

- Wiele - odparł Bhlokw. - Czy ludzkie stwory będą tam mieć psy?

- Obok kryjówek ludzkich stworów zawsze znajdziesz psy, Bhlokwie.

- Śpieszmy się wiec. - Włochaty troll urwał. - Jak ludzkie stwory nazywają to miejsce?

- To miejsce zwane Ardżun - chyba.

- Czy do tego miejsca chcieliśmy pójść?

- Tak.

- Czemu?

- Żli kazali człowiekowi zwanemu Berit, by się tam udał. Myślimy, że powinniśmy być tam w pękniętej chwili Ghnomba i posłuchać ptasich dźwięków ludzkich stworów. Jeden ze złych może powiedzieć, dokąd pójdzie stamtąd człowiek zwany Berit. W następnym miejscu może będzie kobieta Anakhy. Dobrze byłoby to wiedzieć.

Włochate czoło Bhlokwa zmarszczyło się, gdy troll przetrwał zasłyszane informacje.

- Czy łowy ludzkich stworów zawsze są takie nieproste?

- Nasza natura jest nieprosta.

- Nie bolą was od tego głowy?

Ulath uśmiechnął się, uważając, by nie pokazać zębów.

- Czasami bolą - przyznał.

- Myślę, że proste łowy są lepsze niż nieproste łowy. Łowy ludzkich stworów są tak nieproste, że czasem zapominam, po co poluję. Trolle polują na rzeczy do jedzenia. Ludzkie stwory polują na myśli.

Ulatha zaskoczyła nieco przenikliwość trolla.

- Twoja myśl może być dobra - przyznał. - Ludzkie stwory naprawdę polują na myśli. Bardzo je cenimy.

- Myśl jest dobra, U-lat, ale nie da się jej zjeść.

- Polujemy na myśli, gdy nasze brzuchy są pełne.

- Tym właśnie różnią siętrolle od ludzkich stworów, U-lat. Jestem trollem. Mój brzuch nigdy nie jest pełny. Pośpieszmy się. Dobrze będzie wiedzieć, czy psy w tym miejscu są równie smaczne jak tamte psy. - Zawiesił głos. - Nie chcę wzbudzić twojego gniewu, U-lat, myślę jednak, że psy ludzkich stworów są smaczniejsze niż same ludzkie stwory. - Podrapał się grubą łapą po policzku. - Gdyby mój brzuch był pusty, wciąż zjadłbym t ludzkiego stwora, ale wolałbym psa.

- Chodźmy zatem poszukać ci psa.

- Twoja myśl jest dobra, U-lat. - Potężny troll wyciągnął rękę i czule poklepał Ulatha po głowie, niemal powalając go na kolana.

* * *

Bogini-dziecko musnęła lekko palcami bok rannej głowy En-gessy. Jej oczy zamglily się na moment.

- I co? - spytał Vanion z napięciem.

- Nie poganiaj mnie, Vanionie. Mózg jest bardzo skomplikowany. - Podjęła przerwane badanie. - To niemożliwe - oznajmiła w końcu, cofając rękę.

Betuana jęknęła.

- Proszę, Betuano, przestań. Chcę tylko powiedzieć, że nie dam rady zrobić tego tutaj. Będę musiała zabrać go gdzie indziej.

- Na wyspę? - odgadł Vanion. Skinęła głową.

- Tam kontroluję rzeczywistość. To wciąż jest Cynesga -kraina Cyrgona. Wątpię, by udzielił mi zezwolenia. Nawet gdybym grzecznie go poprosiła. Czy możesz się tu modlić, Betuano?

Królowa Atanów potrząsnęła głową.

- Tylko w samym Atanie.

- Będę musiała o tym pomówić z waszym bogiem. To naprawdę niewygodne. - Aphrael schyliła się ponownie i położyła dłoń na piersi Engessy.

Zdawało się, iż atański generał przestał oddychać. Jego twarz i ciało pokryły się nagłą warstwą szronu.

- Zabiłaś go! - wrzasnęła Betuana.

- Cicho. Po prostu zamroziłam Engessę, by powstrzymać krwawienie, póki nie sprowadzę go na wyspę. Sama rana nie jest taka ciężka, ale krwotok rozdziera na strzępy

resztki mózgu. Zamrożenie zamieni go w wąską strużkę. To wszystko, co mogę zrobić w tej chwili. Powinno jednak wystarczyć, by uchronić jego ciało przed dalszymi uszkodzeniami w czasie drogi do Sarny.

- Nie ma już nadziei. - Twarz Betuany wykrzywiła się w bólu.

- O czym ty mówisz? W ciągu dnia bądź dwóch postawię Engesę na nogi. Ale najpierw muszę sprowadzić go na wyspę, gdzie kontroluję czas. Mózg to łatwizna. Dopiero serce jest takie... Nieważne zresztą. Posłuchaj, Betuano, gdy tylko z Yanio-nem dotrzecie do Samy, ruszaj za granicę Atanu, jak najszybciej umiesz. Kiedy ją przekroczysz, padnij na kolana i zacznij modlić się do waszego boga. Będzie uparty - zawsze taki jest - lecz nie ustępuj. Nękał go tak długo, aż ustąpi. Potrzebuję jego zgody, by zabrać Engesę na wyspę. Gdyby nic innego nie podziałało, obiecaj mu, że kiedyś oddam mu przysługę. Nie wdawaj się jednak w szczegóły. Podkreślaj fakt, iż ja mogę ocalić Engesę, a on nie.

- Uczynię, jak każesz, o boska - oznajmiła Betuana.

- Ja nie każę, Betuano, tylko sugeruję. Nie mam władzy, by ci rozkazywać. - Bogini-dziecko odwróciła się do Vaniona. -Pokaż mi swój miecz - rzekła. - Chcę obejrzeć tę złotą krew.

Vanion dobył miecz i wyciągnął rękojeścią naprzód.

Zadrzała.

- Ty go trzymaj, mój drogi. Stal budzi we mnie mdłości. Mrużąc oczy, przyjrzała się plamom na ostrzu.

- Zdumiewające - mruknęła. - To w ogóle nie jest krew.

- Tryskała, kiedy ich zraniliśmy.

- Może. Lecz to nadal nie krew. Raczej rodzaj żółci. Kłsel sprowadza swych sojuszników z daleka. Ci olbrzymi, na których się natknęliście, nie pochodzą stąd. Na tym świecie nie ma podobnych istot.

- Zauważyliśmy to niemal natychmiast, o boska.

- Nie mówię o ich kształcie czy rozmiarach, Vanionie. Nie mają nawet takich samych organów wewnętrznych jak ludzie i zwierzęta. Przypuszczam, że nie mają też płuc.

- Wszystko ma płuca, Aphrael - może z wyjątkiem ryb.

- Tutaj, mój drogi. Jeśli w żyłach tych stworów płynie żółć zamiast krwi, to znaczy, że muszą polegać na swych wątrobach, by... - Urwała, marszcząc brwi. - To chyba możliwe - dodała z lekkim powątpiewaniem. - Zdecydowanie jednak nie chciałabym powąchać powietrza w ich świecie.

- Wiesz chyba, że nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz.

- Nic nie szkodzi, mój drogi. - Uśmiechnęła się. - I tak cię kocham.
- Dziękuję. !
- Nie ma za co.

* * *

- To mógłby być piękny kraj, przyjacielu Tikume - rzekł Kring, poprawiając czarny skórzany kaftan i rozglądając się po skalistej pustyni. - Teren jest otwarty i dość równy. Potrzeba mu / tylko wody - i kilku uczciwych mieszkańców.

Obaj jechali na przedzie nieporządnego oddziału Peloich.

Tikume uśmiechnął się szeroko.

- Jak się nad tym zastanowić, przyjacielu Kringu, piekłu też by to wystarczyło. Kring się roześmiał.

- Jak daleko stąd do obozu Cynesgan?

- Jeszcze pięć lig. To łatwa walka, domi Kringu. Cyneskanie dosiadają koni i używają zakrzywionych mieczy przypominających nasze szable, lecz ich wierzchowce nie są najlepsze, a oni sami nie przykładają się do ćwiczeń z bronią. Co jeszcze lepsze, ubierają się w zwiewne szaty o długich łopoczących rękawach. Większość czasu spędzają wyplątując się z własnych ubrań.

Uśmiech Kringa miał w sobie coś drapieżnego.

- Nieźle uciekają - dodał Tikume - ale zawsze wracają.

- Do tych samych obozów? - spytał z niedowierzaniem Kring.

Tikume przytaknął.

- To tylko ułatwia sprawę. Nie musimy ich nawet szukać.

- Niewiarygodne. Czy ich przywódcy to zmurszałe pnie?

- Z tego, co słyszałem, rozkazy dostają od Cyrgona. - Tikume pogładził dłonią gładko ogoloną czaszkę. - Sądzisz, iż herezją byłoby twierdzić, że nawet bóg bywa głupi?

- Póki nie mówisz o naszym bogu, chyba nic ci nie grozi.

- Nie chciałbym kłopotów z kościołem.

- Patriarcha Emban to rozsądny człowiek, domi Tikume. Nie wyklnie cię tylko dlatego, że niepochlebnie wyrażasz się o naszym wrogu. - Kring dźwignął się w strzemionach i spojrział w dal brązowej, zasłanej zwirem ogromnej równiny Pustyni Cy-nesgańskiej. - Nie mogę się już doczekać. Od dawna nie uczestniczyłem w porządnej walce. - Z powrotem opadł na siodło. - Och, byłbym zapomniał. Rozmawiałem z przyjacielem Oscag-ne'em na temat

możliwego ustanowienia okupu za uszy Cynes-gan. Odmówił.

- Wielka szkoda. Ludzie lepiej walczą, jeśli mają jakąś zachętę.

- Takie rzeczy wchodzą w krew. W północnym Atanie stoczyliśmy bitwę z trollami i zdążyłem już do połowy odciąć ucho martwego trolla, zanim sobie przypomniałem, że nikt go ode mnie nie kupi. Dziwne to wzgórze, prawda? - Wskazał przed siebie na niemal idealnie półokrągłą kopułę sterczącą pośrodku pustyni.

- Istotnie, dość osobliwe - zgodził się Tikume. - Na zboczach nie ma kamieni, tylko pył. Pewnie to wielka wydma.

- Podobno wydmy w Rendorze tak właśnie wyglądają. Wiatr unosi piasek, pozostawiając okrągłe wzgórza.

- Czy pył zachowywałby się jak piasek?

- Najwyraźniej. Masz przed sobą dowód.

I wówczas, na ich oczach, wzgórze pękło na pół, a jego zbocza rozprostowały się powoli. Ujrzeni przed sobą trójkątne oblicze KJaela, który z ogłuszającym hukiem dźwignął się na nogi, otrzepując ze swych lśniąco czarnych skrzydeł ogromne potoki pyłu.

Kring gwałtownie ściągnął wodze.

- Wiedziałem, że coś jest nie tak z tym wzgórzem! - wykrzyknął, przeklinając własny brak uwagi. Armia Peloich otoczyła swych wodzów.

- Tym razem nie przybył sam! - krzyknął Tikume. - Pod skrzydłami ukrywa żołnierzy. Stójcie!

- Wielkie draby, nieprawdaż? - Kring zmrużył oczy, przyglądając się pędzącym ku nim zbrojnym wojownikom. - Ale, duzi czy mali, to nadal piechota. Nie potrzeba nam innej przewagi, prawda?

- Prawda! - zachichotał Tikume. - To powinno być zabawniejsze niż ściganie Cynesgan.

- Ciekawe, czy mają uszy. - Kring dobył szabli. - Jeśli tak, może powinniśmy je pozbierać. Wciąż nie zrezygnowałem z nacisków na przyjaciela Oscagne'a.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. - Tikume uniósł włócznię i poprowadził atak.

Standardowa taktyka Peloich wyraźnie zaskoczyła żołnierzy KJaela. Wspaniałe wierzchowce nomadów były zręczne niczym jelenie, a upodobanie wschodnich Peloich do oszczepów dawało im dodatkową przewagę. Jeźdźcy rozdzielili się na niewielkie grupki i rozpoczęli atak. Śmigali naprzód w długich szeregach; każda grupa skupiała całą uwagę na jednym z potworów w stalowych maskach, każdy kolejny Peloi ciskał oszczepem w potężne

cielsko z bliskiej odległości, a potem znów umykał. Po kilku takich atakach przednie szeregi nieprzyjaciół najeżyły się krótkimi drzewcami sterczącymi z ciał włócznie.

Żołnierze Klaela denerwowali się coraz bardziej, atakując bezskutecznie zręcznych prześladowców ciężkimi maczugami. Głównie młócili powietrze, bardzo rzadko trafiając w cel.

- Niezła walka - wydyszał Kring do przyjaciela. - Są wielcy, ale nie dość szybcy.

- I w niezbyt dobrej formie - dodał Tikume. - Ostatni, którego przygwoździłem, dyszał i charczał jak dziurawy miech.

- Rzeczywiście, mają chyba problemy z oddychaniem - zgodził się Kring. Jego oczy zwężyły się nagle. - Chwileczkę, spróbujmy czegoś nowego. Powiedz swoim dzieciom, by podjeżdżały do nich i odjeżdżały. Nie marnujcie oszczepów.

- Niezupełnie rozumiem, domi.

- Czy kiedykolwiek wybrałeś się w wysokie góry?

- Kilka razy. Czemu?

- Pamiętasz, jak trudno jest tam oddychać?

- Zwłaszcza z początku. Pamiętam, jak kręciło mi się w głowie.

- Właśnie. Nie wiem, gdzie Klael zaciągnął swoich żołnierzy, ale na pewno nie w tych okolicach. Chyba przywykli do gęściej-szego powietrza. Zmusimy ich, aby nas ścigali. Po co zadawać sobie trud i zabijać ich, jeśli powietrze załatwi to za nas.

- Warto spróbować. - Tikume wzruszył ramionami. - Nie będzie już jednak tak zabawnie.

- Później możemy zabawić się z Cynesganami - odparł Kring. - Najpierw zaganiajmy na śmierć piechotę Klaela. Potem możemy wyróżnić w pień kawalerię Cyrgona.

* * *

- Pozwól, że ja pokieruję rozmową - powiedział Talenowi Stragen, gdy obaj wspinali się po trzeszczących schodach prowadzących na strych. - Nieźle poznałem Valasha, więc potrafię oceniać jego reakcje lepiej niż ty.

- W porządku. - Talen wzruszył ramionami. - Jest twój. Pozwolę ci się zabawić.

Stragen otworzył drzwi cuchnącego pleśnią strychu i obaj zaczęli przeciskać się między stosami rzeczy do kąta Valasha.

Kościsty Dacita w brokatowej kurcie nie był sam. W fotelu przy stole rozparł się wychudzony Styrik, którego twarz pokrywały otwarte zaropiałe rany. Prawa ręka Styrika

zwisła bezwładnie u boku, prawa strona owrzodzonej twarzy zapadła się, a powieka opadała, niemal całkowicie przykrywając oko. Mamrotał do siebie, wyraźnie nieświadom swego otoczenia.

- To nie najlepszy moment, Vymerze - uprzedził Valash.

- Mam ważne wieści, mości Valashu - odparł szybko Stragen.

- W porządku, ale streszczaj się.

Gdy podeszli do stołu, żołądek Talena ścisnął się nagle. Pogrążonego w letargu Styrika otaczał przemożny smród gnijącego ciała.

- Oto mój pan - oznajmił krótko Valash.

- Ogerajin? - spytał Stragen.

- Skąd znasz jego imię?

- Wspomniałeś je chyba kiedyś - a może któryś z twoich przyjaciół? Nie jest zbyt chory, by tak siedzieć?

- To nie twoja sprawa, Vymerze. Jakie ważne wieści mi przynosisz?

- Nie ja, mości Valashu. Reldin coś usłyszał.

- Mów zatem, chłopcze.

- Tak jest, mości Valashu. - Talen pochylał głowę w ukłonie. - Dziś rano wybrałem się do tawerny w porcie i podsłuchałem rozmowę pary edomskich marynarzy. Sprawiali wrażenie podnieconych, toteż podkradłem się bliżej, żeby sprawdzić, co ich tak zdenerwowało. Wiesz chyba, co Edomczycy sądzą o kościele Chyrellos.

- Przejdź do rzeczy, Reldinie.

- Oczywiście. Próbowałem tylko wyjaśnić. W każdym razie jeden z marynarzy przybył właśnie do portu i mówił drugiemu, by przekazał wiadomość komuś w Edomie - chyba nazywał się Rebal. Najwyraźniej pierwszy marynarz przyplłynął z Yalesii, a kiedy opuszczał tamtejszy port, jego statek wyminął flotę zbliżającą się do nabrzeży Yalles.

- Co w tym takiego ważnego? - spytał ostro Valash.

- Właśnie do tego zmierzam. Pierwszy marynarz był taki zdenerwowany, bo okręty, które ujrzął, płynęły pod banderą Chyrellos, a na ich pokładach roiło się od ludzi w zbrojach. Wciąż belkotał o rycerzach kościoła, przybywających, by narzucić herezję mieszkańcom Tamuli.

Valash przyglądał mu się przerażony, otwierając usta ze zdumienia.

- Gdy tylko to usłyszałem, wymknąłem się stamtąd. Vymer uważa, że mogłoby cię to zainteresować, ale ja nie byłem pewien. Co nas obchodzą kłótnie Elenów o ich religię? Nas to przecież nie dotyczy, prawda?

- Ile statków liczyła flota? - spytał zduszonym głosem Valash. Jego oczy niemal wyszły z orbit.

- Marynarz nie podał zbyt wielu szczegółów, mości Valashu. Odniosłem wrażenie, że zabrakło mu liczb, które potrafiłby wymienić. Zdaje się, że flota sięgała od horyzontu po horyzont. Jeśli ci ludzie w zbrojach to rzeczywiście rycerze kościoła, powiedziałbym, iż na pokładach znaleźli się wszyscy. Słyszałem 'o nich całkiem sporo i nie chciałbym być tym, którego zaatakują. Jak sądzisz, mości Valashu, ile warta jest ta informacja?

Valash bez słowa protestu sięgnął po sakiewkę.

- Czy ostatnio do miasta przybyli posłańcy z leśnych obozów, mości Valashu? - spytał nagle Stragen.

- To nie twoja sprawa, Vymerze.

- Jak sobie życzysz, panie Valashu. Chciałem tylko powiedzieć, że powinieneś ostrzec ich przed publicznymi rozmowami. Niedawno natknąłem się na paru ludzi, którzy wyglądali, jakby żyli w lesie. Jeden z nich mówił drugiemu, że nie mogą nic zrobić, póki Cyrga nie przyśle instrukcji Scarpie. Kto to jest Cyrga? Nigdy o nim nie słyszałem.

- To nie ktoś, Vymerze - wtrącił Talen. - To „gdzie”. Cyrga jest miastem w Cynesdze.

- Naprawdę? - W oczach Stragana zabłyśła ciekawość. - Pierwszy raz w życiu słyszę tę nazwę. Gdzie to jest? Którędy można dotrzeć do Cyrgi?

- Szlak wiedzie obok Studni Vigaya - oznajmił chory Oge-rajin dźwięcznym, donośnym głosem.

Valash zachłysnął się lekko i bezskutecznie próbował machnąć ostrzegawczo ręką przed oczami swego pana. Ogerajin odsunął go.

- Zwróć się plecami do świtu - ciągnął Styrik.

- Mistrzu Ogerajinie! - zaprotestował piskliwie Valash.

- Milcz, łotrze! - zagrzmiął Ogerajin. - Odpowiem na pytanie wędrowca. Jeśli zamierza stanąć przed Cyrgonem i pokłonić się mu, musi znać drogę. Podążaj, o wędrowcze, obok Studni Vigaya i skieruj się na północny zachód w głąb pustyni. Celem twym będą Zakazane Góry, gdzie nikt wniknąć nie może bez zgody Cyrgona, chyba na własne ryzyko. Gdy dotrzesz do owych czarnych złowrogich szczytów, szukaj Kolumn Cyrgona, one bowiem wskażą ci drogę, a bez nich Cyrga na zawsze pozostanie w ukryciu.

- Proszę, mistrzu. - Valash bezskutecznie załamywał ręce, przyglądając się z rozpaczą gadającemu w malignie szaleńcowi.

- Rozkazałem ci milczeć, łotrze. Odezwij się raz jeszcze, a niechybnie zginiesz. - Ogerajin odwrócił się i przygwoździł Stragena spojrzeniem swego zdrowego oka. - Nie

złękniij się, wędrowcze, Solnych Równin, które nomadzi przekroczyć się boją. Śmiało przekrocz martwe białe pola, których jedyni mieszkańcy żyją w kamieniołomach i wydobywają cenną sól.

Ze skraju Solnych Równin ujrzysz nisko na horyzoncie czarne sylwetki Zakazanych Gór i jeśli Cyrgon zechce, jego ogniste białe kolumny poprowadzą cię do Ukrytego Miasta.

Nie pozwól, by zniechęciła cię Równina Kości. Należą one do bezimiennych niewolników, pracujących w znoju do śmierci dla wybranego ludu Cyrgona, a po odsłużeniu swego czasu oddawanych na żer pustyni.

Za Równiną Kości dotrzesz do Wrót Uludy, za którymi leży niewidoczne Ukryte Miasto Cyrga. Oko śmiertelnika wrót owych nie dostrzeże. Wznoszą się niczym pęknięty mur na skraju łańcucha Zakazanych Gór, przegradzając ci drogę. Skieruj wzrok jednak na dwie białe Kolumny Cyrgona i kroki swe skieruj w stronę pustki między nimi. Świadectwu swych oczu nie ufaj, albowiem solidny na pozór mur jest niczym mgła i przekroczyć go możesz. Przebądź go zatem i podążaj mrocznym korytarzem aż do Doliny Bohaterów, gdzie spoczywają niezliczone hufce Cyrgona. Pograżone w niespokojnym śnie, oczekują wezwania jego potężnego głosu, raz jeszcze nakazującego im powalić nieprzyjaciół.

Valash cofnął się o krok i gwałtownym gestem wezwał Ta-lena.

Zaciekawiony Talen podążył w ślad za Dacitą.

- Nie zwracaj uwagi na mistrza Ogerajina, chłopcze - powiedział. - Ostatnio nie najlepiej się czuje i często miewa podobne ataki.

- Sam się tego domyśliłem, mości Valashu. Nie powinieneś zaprowadzić go do lekarza? Bredzi jak w malignie.

- Lekarz w niczym mu już nie pomoże. - Valash wzruszył ramionami. - Upewnij się, że Vymer rozumie, iż stary nie wie, co mówi. - Sprawiał wrażenie niezwykle zatroskanego gadaniną Ogerajina.

- On już to wie, mości Valashu. Gdy tylko ktoś zaczyna wygadywać bajdy z zasię, azaliż i wtedy, można być pewnym, że brak mu piątej kleпки.

Nękany chorobą Styrik nadal deklamował głuchym, donośnym głosem:

- Poza Doliną Bohaterów ujrzysz Studnię Cyrgona połyskującą w słońcu i żywiącą całe Ukryte Miasto. Nieopodal studni, pośród pól zrytych kanałami, czarna Cyrga wznosi się niczym góra pośród murów nocy. Pójdź śmiało do miasta błogosławionych Cyrgaich stromymi stopniami aż na sam szczyt. A tam, u korony świata, znajdziesz biel pośród czerni, kolumnę kredową podtrzymującą krużganek i dach najświętszej ze świątyń, gdzie Cyrgon płonie wiecznie na uświęconym ołtarzu.

Padnij na twarz w jego straszliwej obecności, krzyżąc: „Va-net, tyek Alcor! Vala Cyrgon!” i jeśli zechce, wysłucha cię, a jeśli nie zechce, zniszczy.

Oto, wędrowcze, droga do Ukrytego Miasta, leżącego w sercu potężnego Cyrgona, króla i boga wszystkiego, co jest i będzie.

Nagle twarz oszalałego Styrika wykrzywiła się w groteskowym grymasie radości i z jego ust dobył się przesywający obląkańczy chichot.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- W porządku, Sparhawku, możesz się już odwrócić.

- Jesteś ubrana? Aphrael westchnęła.

- Chwileczkę. - Rozległ się szelest satyny. - Wystarczy? - spytała cierpko.

Sparhawk odwrócił się. Bogini miała na sobie lśniąca białą szatę.

- Tak już lepiej.

- Świętoszek. Podaj mi rękę.

Ujął jej smukłą dłoń i razem poszybowali w górę, wznosząc się ponad porośnięte lasem wzgórze na wschód od Dirgis.

- Żeby dotrzeć do Sarny, musisz zboczyć nieco ze szlaku na południe - powiedział.

- Wiem, gdzie to jest - odparła z irytacją.

- Próbowałem tylko pomóc.

Ziemia pod nimi ruszyła w tył, gdy nabierając prędkości, poszybowali na południowy zachód.

- Czy ludzie z dołu nas widzą? - spytał ciekawie.

- Oczywiście, że nie. A czemu?

- Tak się zastanawiałem. Przyszło mi do głowy, że gdyby widzieli, mogłoby to wyjaśnić wiele różnych historii, pojawiających się w ludowych opowieściach.

- Wy, ludzie, jesteście bardzo twórczy. Umiecie wymyślać najdziwniejsze historie bez naszej pomocy.

- Jesteś dziś w paskudnym nastroju. Ile czasu zajmie nam dotarcie na miejsce?

- Kilka minut.

- Ciekawy sposób podróżowania. ‘

- Ma swoje wady.

Przez chwilę lecieli w milczeniu.

- Miasto przed nami to Sarna - rzekła w końcu Aphrael.

- Sądysz, że Vanion już tu dotarł?

- Wątpię. Może zjawi się trochę później. Lądujemy. - Łagodnie opadli na polanę jakąś milę od północnego krańca miasta i Aphrael przybrała z powrotem znajomą postać Flecika. - Ponieś mnie - poleciła, wyciągając rękę.

- Umiesz przecież chodzić.

- Właśnie przeniosłam cię całą drogę z Dirgis. Tak będzie sprawiedliwie, Sparhawku.

Uśmiechnął się.

- Tylko się z tobą droczyłem, Aphrael. - Uniósł ją i ruszył przez las w stronę miasta. -

Dokąd? - spytał.

- Do baraków Atanów. Vanion twierdzi, że jest tam Itagne. -Zmarszczyła brwi. - To naprawdę nieznośne! - westchnęła.

- Co się stało?

- Pan Anosian jest niemożliwy. W ogóle nie potrafię zrozumieć, co mówi.

- Gdzie on jest?

- W Samarze. Usiłuje powiedzieć mi o czymś, co odkryli właśnie Kring i Tikume, ale dociera do mnie zaledwie co trzecie słowo. Czemu nie skupi się na swych studiach?

- Anosian jest, no...

- Słowo, którego szukasz, brzmi: leniwy, Sparhawk.

- Lubi oszczędzać swą energię - Sparhawk bronił swego towarzysza pandionity.

- Oczywiście. - Zmarszczyła czoło. - Zatrzymaj się na chwilę - poleciła.

- O co chodzi?

- Właśnie przyszło mi coś do głowy.

- Co tym razem?

- Pomyślałam, że Tynian mógł być nieco zbyt dokładny, wybierając rycerzy, których sprowadził z Chyrellos.

- Zebrał najlepszych ludzi, jakich zdołał znaleźć.

- I właśnie w tym problem. Zastanawiałam się, czemu nie docierają do mnie żadne raporty od Komiera. Wątpię, by Tynian zostawił mu choć jednego pandionitę, który umie coś więcej niż Anosian. Niewielu z was potrafi sięgnąć dalej niż na kilka lig i Tynian niechęć wybrał ich wszystkich.

- Udało ci się zrozumieć cokolwiek z tego, co przekazał ci Anosian?

- Mówił coś o oddychaniu. Ktoś ma z nim problemy. Po spotkaniu z Itagne'em wybiorę się tam. Może Anosian zdoła wysłować się jaśniej, jeśli znajdę się w tym samym pokoju.

- Bądź grzeczna.

Przeszli przez bramę miasta i wkroczyli do Samy. Sparhawk przeniósł boginię-dziecko wąskimi uliczkami do ponurej kamiennej fortecy, w której mieścił się miejscowy garnizon atański.

Itagne'a zastali w wielkiej sali konferencyjnej. Odziany w czerwoną szatę, przyglądał się uważnie pokrywającej całą ścianę mapie.

- A, Itagne - rzekł Sparhawk. - Tu jesteś. - Postawił Flecika na ziemi.
- Obawiam się, że pana nie znam, panie...?
- To ja, Itagne, Sparhawk.
- Nigdy do tego nie przywyknę - mruknął Itagne. - Sądziłem, że jesteś w Beresie.
- Byłem. Do wczoraj.
- Jakim cudem dotarłeś tu tak szybko?

Sparhawk położył dłoń na małym ramieniu Flecika.

- Musisz pytać?
- Och! Co cię sprowadza do Sarny?
- Vanion miał problemy na pustyni. Już wraca. Wraz z Betuana dźwigają na noszach Engessę.

- Chcesz powiedzieć, że jest na tym świecie coś tak wielkiego, że potrafi zranić Engessę?

- Może nie na tym świecie, Itagne - odparła Aphrael. - Klael sprowadził swą armię z daleka. Jego żołnierze są bardzo osobliwi. Vanion i Betuana powinni się tu zjawić dziś po południu. Potem Betuana musi udać się do Atanu. Jak to daleko stąd?

Itagne spojrział na mapę.

- Piętnaście lig.
- Świetnie. Nie powinno więc jej to zabrać zbyt dużo czasu. Musi przekonać swego boga, by pozwolił mi zabrać Engessę na wyspę. Ma wgnieciony bok czaszki. Nie zdołam tego naprawić tutaj.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Itagne.

- Miło, że tak o mnie myślisz. Uśmiechnął się lekko.

- Co jeszcze się zdarzyło? - spytał.

- Całkiem sporo - odparł Sparhawk. - Zalasta próbował zabić Sephrenię.

- Nie mówisz poważnie!

- Obawiam się, że tak. Musieliśmy użyć Bhelliomu, by ocalić jej życie.

- Sparhawk! - Oczy Itagne'a rozszerzyły się.

- Wszystko w porządku, Itagne - zapewniła go Aphrael, przechodząc przez pokój i wyciągając ręce do Tamula.

- Czy to nie naraziło królowej Ehlany? - spytał, sadzając ją sobie na kolana.

Sparhawk potrząsnął głową.

- Xanetia potrafi stłumić wszelkie dźwięki. Ehlana wciąż jest bezpieczna - przynajmniej tak twierdzi Bhelliom. - Jego twarz zdradzała jednak troskę.

- Dzięki Bogu!

- Bardzo proszę - odparła Aphrael - ale w istocie był to pomysł Bhelliomu. Nadal jednak mamy sporo problemów. Spotkanie Vaniona z armią Klaela kosztowało go połowę rycerzy.

- To klęska! Bez tych rycerzy nie zdołamy utrzymać Samaru!

- Nie bądź taki pewien, Itagne. Właśnie otrzymałam niewy-jaźną wiadomość od pandionity imieniem Anosian. Jest w Samarze. Kring i Tikume odkryli coś dotyczącego żołnierzy Klaela. Wybiorę się tam i dowiem wszystkiego.

- Klael śledził Berita i Khalada - ciągnął Sparhawk. - Ujrzeli go, przekraczając Morze Ardzuńskie. - Podrapał się po policzku. - Coś pominąłem, Aphrael?

- Mnóstwo rzeczy - odparła - ale nie mają zbyt wiele wspólnego z tym, co tu robimy. - Ucałowała Itagne'a i zsunęła się mu z kolan. - Wkrótce wrócę - przyrzekła. - Jeśli Vanion dotrze tu przede mną, łagodnie przekazcie mu wieści o Sephrenii i powiedzcie, że nic jej już nie grozi. Kontrolujcie go, panowie. Jest zima i potrzebujemy dachu nad głową.

Podeszła do drzwi, otworzyła je i przekroczywszy próg, zniknęła.

* * *

Tiana leżała na północnym wybrzeżu wielkiego jeziora, znanego jako Morze Ardzuńskie. Było to ludne tamulskie miasto z rozległą, zatłoczoną przystanią. Gdy tylko ich niezgrabny prom przycumował do brzegu, Berit i Khalad sprowadzili z niego konie i wskoczyli na siodła.

- Przypomnij mi, jak się nazywa ta gospoda? - rzekł Khalad.

- „Pod Białą Mewą” - odparł Berit.

- Poetycko - stwierdził Khalad.

- Zapewne inne nazwy były już zajęte. W każdym mieście można mieć ograniczoną liczbę lwów, smoków i dzików. W przeciwnym razie ludzie zaczynają się mylić.

- Krager podaje nam w swych liścikach coraz dokładniejsze instrukcje - powiedział Khalad. - Gdy posłał nas do Sopalu, wymienił jedynie nazwę miasta. Teraz wybiera nam gospody. To może oznaczać, że zbliżamy się do końca naszej małej wycieczki.

- Pan Ulath twierdzi, że stąd wyślą nas do Ardżunu.

- Gdybym wiedział, że będziemy tak długo wędrować wokół jeziora, zabrałbym ze sobą wędkę.

- Osobiście nie przepadam za rybami.

- A kto przepada? To wymówka, pozwalająca wyjść z domu. Moi bracia i ja odkryliśmy, że jeśli zbyt długo siedzimy beczynnie, nasze matki zaczynają wynajdywać nam zajęcia.

- Masz dziwną rodzinę, Khaladzie. Większości ludzi wystarczy jedna matka.

- To był pomysł ojca. O, jest „Pod Białą Mewą”. - Khalad wskazał ręką.

Gospoda była zdumiewająco czysta i porządna. Dysponowała dobrze zaopatrzoną stajnią, a w pokojach panował porządek graniczący z pedanterią. Obaj młodzieńcy dopilnowali oporządzenia koni, zostawili juki w sypialni i skorzystali z łaźni na tyłach gospody. Potem, czując się znacznie lepiej, przeszli do baru, aby zabić czas do kolacji. Khalad wstał i uważnie obejrzał porcelanowy piecyk.

- Pomysłowe - powiedział, zwracając się do Berita. - Ciekawe, czy przyjąłby się w Eosii.

- Osobiście lubię widok ognia - odparł Berit.

- Zawsze możesz popatrzeć sobie na świecę. Palenisko nie jest zbyt wydajne, poza tym strasznie brudzi. Piecyk byłby znacznie praktyczniejszy - i można na nim gotować. Gdy wrócimy do domu, chyba zbuduję taki moim matkom.

Berit roześmiał się.

- Jeśli zaczniesz przemeblowywać im kuchnię, potraktują cię miotłami.

- Chyba nie. Wizja gulaszu nie przyprawionego popiołem może im się spodobać.

Mężczyzna, który zbliżył się do ich stołu, miał na sobie opończę z kapturem, częściowo kryjącym twarz.

- Nie będziecie mieli nic przeciw temu, jeśli do was dołączę? - spytał, siadając i unosząc głowę.

Był to ten sam Styrik, którego ostatnio spotkali na brzegu Zatoki Micaeńskiej.

- Szybko się zjawieś, ziomku - rzekł Berit. - Oczywiście, wiedziałeś, dokąd zmierzasz, a my nie.

- Czy długo trwało, zanim wyschłeś? - spytał Khalad.

- Może pominiemy grzecznościowe gadki? - powiedział chłodno Styrik. - Mam dla was kolejne instrukcje.

- Chcesz powiedzieć, że nie odwiedziłeś nas po to, by odnowić starą znajomość? - wtrącił Khalad. - Jestem niepokieszony.

- Bardzo śmieszne. - Styrik zawahał się. - Zaraz sięgnę do kieszeni po list, więc nie wyciągajcie noży.

- Nawet nam się nie śni, stary druhu - odparł przeciągle Khalad.

- To dla ciebie, Sparhawk. - Styrik podał Beritowi zapieczętowany pergamin.

Berit przełamał pieczęć, ostrożnie podniósł potwierdzający . autentyczność listu pukiel włosów królowej i zaczął czytać na głos:

- „Sparhawk! Jedź łądem do Ardżunu. Tam otrzymasz dalsze / instrukcje. Krager”.

- Musiał być bardziej pijany niż zwykle - zauważył Khalad. - Tym razem nie zawracał sobie głowy złośliwymi komentarzami. Tak z czystej ciekawości, przyjacielu, czemu nie posłał nas z So-palu prosto do Ardżunu? Mógłby oszczędzić wszystkim sporo czasu.

- Nie twoja sprawa, Elenie. Rób, co ci każą.

- Jestem chłopem, Styriku, więc przywykłem do tego. Książę Sparhawk natomiast może zacząć się niecierpliwić. A wówczas pogarsza mu się humor. - Mrużąc oczy, Khalad przyjrzał się kanciastej twarzy posłańca. - A skoro już poruszyliśmy ten temat, mam dla ciebie przyjacielską radę, stary druhu. Od Ardżunu dzieli nas dwadzieścia dni końskiej jazdy. Kiedy tam dotrze, będzie w bardzo nieprzyjemnym nastroju. Jeśli to ty przekazesz nam wiadomość, lepiej nie zbliżaj się do niego.

- Myślę, że zdołamy sprawić, by zapomniał o swych humorach - prychnął pogardliwie Styrik. - Nie macie dwudziestu dni, aby dotrzeć do Ardżunu, tylko czternaście. Nie spóźnijcie się. -Zawrócił na pięcie i ruszył w stronę drzewi.

- Chodźmy - rzucił Khalad.

- Dokąd?

- Za nim.

- Po co? Khalad westchnął.

- Żeby nim potrząsnąć, Bericie - wyjaśnił z przesadną cierpliwością. - Chcę go rozebrać i dokładnie przeszukać ubranie. Możliwe, że ma przy sobie następny list.

- Oszalałeś? Jeśli to zrobimy, zabiją królową.

- Tylko dlatego, że przetrzepaliśmy skórę ich chłopcu na posyłki? Nie bądź głupi. Chcą Bhelliomu, a królowa jest jedyną zakładniczką, jaką mogą na niego wymienić. Moglibyśmy rutynowo zabijać wszystkich kolejnych posłańców, a oni nic by jej nie zrobili. Chodźmy, potrząsnijmy nieco tym Styrikiem i sprawdźmy jego kieszenie. Jeśli uda nam się znaleźć kolejny list, może zdołamy ich wyprzedzić.

- Wiesz, chyba masz rację. Nie skrzywdzą przecież królowej, prawda?

- Nie ma mowy, mój panie. No dalej, nauczmy tego Styrika odrobiny dobrych manier. Dokładnie tak postąpiłby Sparhawk.

- Rzeczywiście, to do niego podobne. - Berit spojrzał uważnie na swego przyjaciela. - Ten jegomość naprawdę cię drażni, zgadza się?

- Prawdę mówiąc, owszem. Nie podoba mi się jego podejście.
- Chodźmy zatem je zmienić.

* * *

- Nie zrobię nic głupiego - oznajmił Kalten. - Chcę się po prostu rozejrzeć. - Trójka przyjaciół siedziała pod swym drzewem w zatłoczonym obozie Narstila w dżungli. Rozpalili ognisko, nad którym piekły się trzy ociekające tłuszczem skradzione kurczaki.

- To nie zaszkodzi - dodał Caalador, zwracając się do Be-viera. - Może kiedyś będziemy musieli odwiedzić ten obóz. Na wszelki wypadek powinniśmy rozpoznać teren.

- Jesteś pewien, że zdołasz opanować swój temperament? - spytał Kaltena Bevier. - Wiesz chyba, że będziesz tam sam?

- Zdążyłem już dorosnąć, Bevierze - zapewnił go Kalten. - Nie zrobię nic hałaśliwego, póki wszystko nie wróci do normy. Podobna szansa może nam się już nie przytrafić. Senga zaprosił mnie, żebym pojechał z nim i pomógł mu sprzedawać piwo. To najnaturalniejsza rzecz pod słońcem, a zresztą nikt mnie nie rozpozna. Kto wie, może zdobędę w Natayos cenne informacje. A jeśli przypadkiem dostrzegę kogoś znajomego w oknie, będziemy wiedzieli na pewno, gdzie ukryto nasze dwie przyjaciółki. Wówczas gość ze złamanym nosem zamieni słówko ze swym błękitnym przyjacielem i zabrają je stąd w mgnieniu oka. Wtedy będziemy mogli pójść tam i zademonstrować kilku osobom, jak bardzo nas zdenerwowały.

- Osobiście jestem za - rzekł Caalador.

- Z taktycznego punktu widzenia to ma sens - przyznał Bevier - ale jeśli, ummm, Col wpadnie w kłopoty, nie będzie mógł wezwać nas na pomoc.

- Nie zamierzam wpadać w kłopoty, bo nie zamierzam robić nic niezwykłego. I tak pojedę, Shallagu, więc nie trać czasu, próbując mnie przekonać.

Senga zbliżył się ku nim, przemierzając zatłoczony obóz.

- Załadowaliśmy już wóz, Colu! - zawołał. - Jesteś gotowy? Kalten wstał.

- Czekam tylko na ciebie, Sengo - odparł, ściągając z rożna na wpół surowego kurczaka i dołączając do swego nowego przyjaciela. - Nudzę się, siedząc tak i licząc drzewa.

Dotarcie do Natayos zabrało im trzy godziny, nie da się bowiem pogonić wołu. Szlak był nieźle przetarty; wił się w dżungli, wymijając kolejne przeszkody.

- To tam - oznajmił Senga, gdy wóz, podskakując, pokonał bród na wąskim

strumieniu. Wskazał ręką drugą stronę pokrytej ściętymi pniakami polany, gdzie wznosiło się starożytne miasto, ruiny tak stare, iż upływ stuleci zaokrąglił w nich nawet najtwardsze kamienie. - Kiedy dotrzemy na miejsce, trzymaj się blisko mnie, Colu. Jest tam kilka zakątków, które powinniśmy omijać. Zwłaszcza pewien budynek tuż obok bramy. Naprawdę nie życzą sobie, by ktoś zbliżał się do niego.

- Ach, tak? - Kalten, mrużąc oczy, przyjrzał się porośniętym mchem ruinom. - Co tam trzymają takiego cennego?

- Nie mam najbledszego pojęcia i nie jestem dość ciekaw, by nadstawiać głowę, pytając.

- Może to ich skarbiec? - zastanawiał się w głos Kalten. -Jeśli armia Scarpy jest tak wielka, jak mówisz, zapewne zebrali sporo łupów.

Senga wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że to możliwe, ale nie zamierzam walczyć ze strażnikami, żeby osobiście się przekonać. Jesteśmy tu po to, by sprzedawać piwo, Colu. W ten sposób zdobędziemy sporą działkę ich skarbu, i to bez żadnego ryzyka.

- Ale to takie uczciwe! - zaprotestował Kalten, uśmiechając się szeroko. - Ludzie tacy jak my nie powinni zajmować się uczciwą pracą. To niemoralne.

Senga roześmiał się i smagnął trzymaną w dłoni długą witką zad wołu. Trzeszczący wóz potoczył się w stronę zrujnowanych murów, podskakując na nierównej drodze.

- Hej, Sengo! - wykrzyknął na powitanie jeden ze strażników przy bramie. - Czemu tak długo nie przyjeżdżałeś? Od twojej ostatniej wizyty było tu sucho jak na pustyni.

- Niedługo zaharujecie na śmierć mojego piwowara - odparł Senga. - Nie nadąża z zaspokajaniem waszego pragnienia. Musimy pozwolić piwu nieco dojrzeć, zanim je wypijecie. Niedojrzałe piwo nie działa zbyt dobrze na wnętrzności. :

- Nie podniosłeś chyba znowu cen?

- Nie, są takie same jak przedtem. ‘

- Założę się, że to dziesięć razy więcej, niż sam zapłaciłeś.

- Nie aż tak wiele. Gdzie mam się ustawić?

- Tam gdzie ostatnio. Przekażę innym wiadomość, żeby zaczęli ustawiać się w kolejce.

- Tym razem chcę mieć strażników, Mondro - rzekł Senga. -Gdy opróżnimy ostatnią baryłkę, nie życzę sobie kolejnych awantur, tak jak poprzednim razem.

- Dopilnuję tego. Zachowaj trochę dla mnie.

Wóz przetoczył się przez bramę i wjechał na szeroką ulicę. Większość porastającego

bruk mchu została zerwana, odsłaniając kamienie. Najwyraźniej przez ostatnie lata w Natayos prowadzono intensywne prace. Nowi przybysze zebrali kamienie z murów i niedbale umieścili je na miejscach, podpierając okorowanymi pniami. Zrujnowane dachy zastąpiono prymitywnymi strzechami splecionymi z gałęzi, w których natychmiast zagnieździły się wrzaskliwe tropikalne ptaki. Tu i ówdzie poczerniałe stosy na wpył spalonych drzew i krzaków oznaczały miejsca, w których obojętni na wszystko robotnicy próbowali pozbyć się roślin wy-karczowanych z ulic i domów. Mieszkający tu ludzie kręcili się bez celu po ulicach. Kalten dostrzegł Elenów z Astelu, Edomu i Daconii, a także Ardżunich i Cynesgan. Wszyscy razem tworzyli bandę nie ogolonych obdartusów, którzy najwyraźniej nie znali znaczenia słowa: dyscyplina.

- Ile za to dostajesz? - spytał Kalten, poklepując jedną z baryłek piwa na wozie.

- Grosz za ćwierć kwarty - odparł Senga.

- To zdzierstwo!

- Nie muszą go kupować. - Senga wzruszył ramionami. -Bierz pieniądze, zanim zaczniesz nalewać. Nie wierz nikomu na słowo.

- Uciszyłeś moje moralne skrupuły, Sengo - roześmiał się Kalten. - Przy tej cenie trudno to nazwać uczciwą pracą.

- Oto budynek, o którym ci wspominałem.

Kalten starał się zachować spokój, kiedy odwróciwszy głowę, przyjrzał się solidnie wyglądającej ruinie.

- Naprawdę nie chcą, żeby ktoś tam zajrzał - rzekł. - Kraty w oknach sprawiają, że wygląda jak więzienie.

- Niezupełnie, Colu. Są po to, żeby nie wpuszczać ludzi do środka, a nie zatrzymać ich wewnątrz.

Kalten mruknął potakująco, nie spuszczać uważnego spojrzenia z budynku. W zakratowanych oknach połyskiwały niezbyt zręcznie osadzone szyby z taniego mętnego szkła. Zaciągnięte wewnątrz zasłony wykluczały możliwość przyjrzenia się przedmiotom - bądź osobom - które skrywały. Drzwi pilnowali strażnicy, strzegący też narożników budowli. Kalten miał ochotę zawyć ze złości. Możliwe, iż łagodna dziewczyna, stanowiąca sens jego życia, znajdowała się zaledwie dwadzieścia jardów od niego, „równie dobrze jednak mogłaby przebywać po drugiej stronie księżyca; a nawet gdyby wyjrzała przez zamglone szkło, nie rozpoznałaby jego odmienionych rysów.

Senga opłacił piwem strażników na placu, po czym wraz z towarzyszem zabrali się do pracy. Buntownicy Scarpy wrzeszczeli co prawda i śmiali się głośno, w gruncie rzeczy jednak

zachowywali się całkiem przyjaźnie. Natychmiast utworzyli kolejkę i podchodzili dwójkami do tyłu wozu, gdzie Senga i Kalten napełniali przyniesione przez nich naczynia bursztynowym płynem. Kilku próbowało się spierać co do objętości przyniesionych garnków, dzbanów czy kufli, lecz Senga miał w tej materii ostatnie słowo, a każdy, kto protestował zbyt głośno, był odsyłany na koniec kolejki. Poprzez następną godzinę mógł przemyśleć sprawę.

Dopiero gdy obaj handlowcy opróżnili ostatnią baryłkę i odprawili z niczym rozczarowanych spóźnialskich, Kalten dostrzegł znajomą postać, zbliżającą się chwiejnym krokiem do stojącego na omszałym placu wozu. Krager nie wyglądał najlepiej. Jego ogolona głowa połyskiwała bielą rybiego brzucha, a dziesięciolecia pijaństwa odcisnęły swoje piętno na wychudzonej twarzy. Ubranie, choć niewątpliwie kosztowne, miał brudne i wygniecione. Bezustannie wstrząsały nim paralityczne drgawki przebiegające falami całe ciało.

- Nie przypuszczam, abyś przywiózł wino - rzekł z nadzieją do Sengi.

- Nie ma na nie zbytniego popytu - odparł tamten, zamykając tylną klapę wozu. -

Większość tych ludzi woli piwo.

- Znasz jakieś miejsce, gdzie można zdobyć wino?

- Mogę popytać. Co preferujesz?

- Arcjańskie czerwone, jeśli się da.

Senga zagwizdał. ?

- To cię będzie kosztowało, przyjacielu. Prawdopodobnie zdołałbym znaleźć jakiegoś miejscowego sikacza, ale towar z importu - to mocno ulży twojej sakiewce. :•

Krager uśmiechnął się lekceważąco.

- Nie ma sprawy - rzekł bełkotliwie. - Chwilowo dysponuję sporym majątkiem.

Miejscowe wina smakują jak pomyje. Chcę prawdziwego trunku.

- To może trochę potrwać - rzekł z powątpiewaniem Senga. - Mam kontakty w Dęło i może coś znajdę, ale to bardzo daleko.

- Kiedy wracasz?

- Za parę dni. Browar, w którym kupuję te szczyzny, pracuje dzień i noc, a i tak wciąż nie mogę nadążyć.

- Przywieź mi więc kilka beczulek miejscowego sikacza. Dość, bym przetrwał, póki nie znajdziesz czerwonego arcjań-skiego.

- Możesz na mnie liczyć - oznajmił Senga, po czym spojrzał twardo na Kragera. - Potrzebuję jednak zaliczki. Będę musiał kupić to wino, zanim ci je sprzedam. Zarabiam całkiem nieźle, ale nie jestem jeszcze aż tak bogaty.

Krager niezgrabnie sięgnął po sakiewkę.

Nagle Kalten poczuł nieznośne zniecierpliwienie. Był teraz pewien, że Alean jest w mieście. Obecność Kragera praktycznie to potwierdzała. Więźniarki niemal na pewno przetrzymywano w budynku o zakratowanych oknach. Bezwzględnie musiał wracać do obozowiska Narstila, aby Bevier mógł przekazać wiadomość Aphrael. Gdyby Xanetia zdołała niepostrzeżenie zakraść się do Natayos, mogłaby albo przeniknąć mury więzienia, albo też sięgnąć w głąb przesiąkniętego winem umysłu Kragera, aby potwierdzić to, co i tak niemal wydawało się pewne. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za kilka dni Sparhawk i on sam połączą się z kobietami, które kochają. Wtedy będą mogli tu przybyć i niezbyt przyjemnie potraktować ludzi odpowiedzialnych za ich porwanie.

* * *

Vanion i Betuana dotarli do Sarny późnym popołudniem. Atańska królowa bezzwłocznie wyruszyła w stronę granicy.

- To było potworne, Sparhawk - rzekł Vanion, ze znużeniem wyciągnawszy się w fotelu i odłożywszy hełm na stół. - Nie przypominali żadnych żołnierzy, jakich zdarzyło mi się oglądać. Są potężni i szybcy, a skórę mają tak twardą, że przez większość czasu mój miecz odbijał się od niej. Nie wiem, gdzie znalazł ich Klael, ale mają złotą krew i starli na miazgę moich rycerzy.

- Kring i Tikume także się na nich natknęli - odparł Sparhawk. - Anosian usiłował przekazać wiadomość Aphrael, ale tak bardzo zniekształcił zakłęcie, że nie mogła nic zrozumieć. Jest trochę zła na Tyniana. Kiedy zbierał rycerzy, by ich zawieźć do Matherionu, przypadkowo wybrał wszystkich pandionitów, którzy choć trochę znali się na magii. To dlatego nie dostaję meldunków od Komiera.

- Możliwe, że będziemy musieli wysłać kogoś, żeby do nich dołączył i zajął się komunikacją - tyle że dotarcie tam zajmie mu całe tygodnie.

- Nie, jeśli Aphrael go zabierze - nie zgodził się Sparhawk. -Przeniosła mnie z Beresy do Sopalu, prawie tysiąc mil, w niecałe pół godziny.

- Żartujesz.

- Spodobałoby ci się latanie, Vanionie.

- Za dużo mówisz, Sparhawk. Odwrócili się szybko.

Bogini-dziecko siedziała w fotelu po drugiej stronie komnaty. Poplamione sokiem z trawy stopy położyła na stole.

- Naprawdę bym wolał, żebyś tego nie robiła - powiedział Sparhawk.

- Bardziej odpowiadałaby ci jakaś zapowiedź, Sparhawk? Gromady duchów, śpiewające hymny pochwalne na mą cześć? Nieco ostentacyjne, ale mogę to załatwić.

- Zapomnij, że cokolwiek mówiłem.

- Chętnie. Odbyłam pogawędkę z Anosianem, który natychmiast zaczął ćwiczyć - bardzo intensywnie. Kring i Tikume natknęli się na pustyni na Kładą i jego żołnierzy i odkryli coś, o czym powinniście wiedzieć. Miałam rację, Vanionie. W żyłach żołnierzy Kisła zamiast krwi płynie żółć, ponieważ oddychają wątrobami. To oznacza, iż powietrze ich świata różni się od naszego - prawdopodobnie przypomina gaz błotny. Jest w nim coś, czego potrzebują, a nie dostają tego z naszym powietrzem. Peloi posłużyli się swoją standardową taktyką nagłych wypadów i uników. Po pewnym czasie te potwory zaczęły padać z nóg. Następnym razem, kiedy je spotkacie, po prostu zawracajcie i zaczynajcie uciekać. Jeśli spróbują was ścigać, uduszają się. Czy Betuana ruszyła już w drogę?

- Tak, o boska - odparł Itagne.

- To dobrze. Im szybciej sprowadzę Engessę na moją wyspę, tym szybciej znów stanie na nogi.

- Chciałem cię o to zapytać - wtrącił Sparhawk. - Mówisz, że ma uszkodzony mózg.

- Tak.

- Ludzki mózg jest bardzo skomplikowany, prawda?

- Nie tak bardzo jak nasze, ale w żadnym razie nie można go nazwać prostym.

- I potrafisz uleczyć mózg Engessy na swojej wyspie?

- Oczywiście.

- Jeśli umiesz naprawić mózg, powinnaś umieć naprawić czyjeś serce. Czemu po prostu nie zabrałaś Sephrenii na wyspę i nie wyleczyłaś jej tam? Dlaczego przybyłaś do Beresy i próbowałaś ukraść Bhelliom?

- Co takiego?! - ryknął Vanion, zrywając się na równe nogi.

- Wspaniale, Sparhawk - powiedziała cierpko Aphrael. - Zachwyca mnie twoja subtelność. Nic jej nie będzie, Vanionie. Bhelliom ją uleczył.

Vanion rąbnął pięścią w stół, po czym z wyraźnym wysiłkiem opanował gniew.

- Czy ktoś zechciałby mi uprzejmie powiedzieć, co się stało? - spytał lodowatym tonem.

- Przyjechałyśmy do Dirgis. - Aphrael wzruszyła ramionami. - Sephrenia była sama w pokoju, gdy zjawił się Zalasta i pchnął ją nożem w serce.

- Dobry Boże!

- Nic jej nie jest, Vanionie. Bhelliom się tym zajął. Szybko odzyskuje siły. Czuwa

przy niej Xanetia. Vanion ruszył w stronę drzwi.

- Och, wracaj tutaj - poleciła mu bogini-dziecko. - Gdy tylko przeniosę Engessę na wyspę i zajmę się jego raną, zabiorę cię do Dirgis. Zresztą w tej chwili Sephrenia śpi, a widywałeś już ją uśpioną - wiele razy.

Vanion zarumienił się lekko, po czym odwrócił z niemądrą miną.

- Wciąż nie odpowiedziałaś na moje pytanie - wtrącił Sparhawk. - Jeśli potrafisz naprawić mózg, czemu nie umiesz wyleczyć serca?

- Bo mózg mogę wyłączyć, by nad nim pracować, Sparhawk - odparła cierpiętniczym tonem. - Serce musi bić, a nie mogę się nim zająć, kiedy wciąż podskakuje.

- To chyba ma sens.

- Nie wiesz przypadkiem, gdzie mógłbym znaleźć Zalastę? - spytał Vanion złowrogo.

- Prawdopodobnie wrócił już do Natayos - odparła Aphrael.

- Gdy już złożę wizytę Sephrenii, mogłabyś mnie tam zabrać? Naprawdę chciałbym z nim pomówić.

- Ja dostanę jego serce - uprzedziła bogini-dziecko. Vanion spojrzał na nią z osobliwą miną.

- To taki żart - wyjaśnił Sparhawk. <!^

- Ja nie żartuję, Sparhawk - oznajmiła ponuro Aphrael.”,

- Nie wolno nam udać się do Natayos - rzekł Sparhawk. - Być może jest tam Ehlana i Scarpa zabije ją, jeśli zaczniemy dobijać się do bramy. Poza tym, zanim zrobisz cokolwiek Zala-ście, będziesz musiał pomówić z Khwajem. / - Khwajem? - spytał Vanion.

- Tynian wspomniał Aphrael, że Khwaj żywi pewne plany wobec naszego styrickiego przyjaciela. Chce go podpalić.

- Znam ciekawsze pomysły - rzekł twardo Vanion.

- Nie byłbym taki pewien, mój panie. Khwaj chce podpalić Zalastę. Ale nie chce spalić go na śmierć. Mówił raczej o wiecznym płomieniu - a Zalasta miałby cierpieć w nim bez końca.

Vanion zastanowił się przez chwilę.

- Cóż za uroczy plan! - rzekł w końcu.

* * *

- Pani - szepnęła nagle Alean. - Chodź szybko. Zalasta wrócił.

Ehlana nasunęła na czoło Iniany zawój i dołączyła do pokojówki przy uszkodzonym

oknie. Kwef był pomysłem Alean. Okrywał ciasno zrujnowaną fryzurę królowej, osłaniając także gardło i podbródek. Trudno go było nazwać wygodnym, lecz przynajmniej ukrywał szkody wyrządzone nożem Kragera. Schyliła się i wyrzała przez mały trójkątny otwór w szybie.

Wychudzoną twarz Zalasty wykrzywiała rozpacz, jego oczy spoglądały martwo. Scarpa podbiegł do niego, patrząc wyczekująco.

- I co? - spytał.

- Odejdź, Scarpo - polecił Zalasta.

- Chciałem się tylko upewnić, że nic ci nie jest, ojczy — odparł kłamliwie Scarpa. Podczas nieobecności Styrika sporządził sobie prymitywną koronę ze złotego półmiska. Najwyraźniej nie był świadom tego, jak absurdalnie wygląda z przekrzywioną ozdobą na wygolonej czaszce.

- Zostaw mnie! - zagrział Zalasta. - Zejdź mi z oczu!

- Czy ona nie żyje? - Scarpa zignorował złowrogą groźbę, dźwięcząca w głosie ojca. Oblicze Zalasty stwardniało.

- Tak - odrzekł dziwnie obojętnym tonem. - Wbiłem nóż prosto w jej serce. W tej chwili zastanawiam się, czy potrafię żyć z tym, co uczyniłem. Ależ proszę, Scarpo, zostań przy mnie. Ostatecznie to był twój pomysł. Możliwe, że zechcę cię za niego nagrodzić.

Scarpa cofnął się; wyglądał, jakby nagle wróciła mu świadomość. Jego oczy patrzyły z lękiem.

Zalasta warknął dwa słowa po styricku i wyciągnął dłoń, zakrzywiając palce jak szpony. Scarpa złapał się za brzuch i wrzasnął. Jego prowizoryczna korona spadła niepostrzeżenie, gdy Zalasta przyciągnął go magicznym sposobem.

- Twoje nadzieje są żałośnie oczywiste, Scarpo - warknął Zalasta. Jego twarz dzieliło od oblicza syna zaledwie kilka cali. -Lecz plan, który uknułeś, ma jedną drobną wadę. Całkiem możliwe, że zabiję się za to, co uczyniłem Sephrenii, ale najpierw zabiję ciebie - tak boleśnie, jak tylko zdołam. Może zresztą i tak cię zabiję. Tak naprawdę wcale cię nie lubię, Scarpo. Kiedyś czułem się odpowiedzialny za ciebie, ale ty nie znasz nawet znaczenia tego słowa. - W jego oczach zapłonął nagły ogień. -Twoje szaleństwo może być zaraźliwe, synu. Sam zaczynam tracić kontakt z rzeczywistością. Namówiłeś mnie, żebym zabił Sephrenię, a kochałem ją znacznie bardziej, niż mógłbym kiedykolwiek pokochać ciebie. - Wyprostował palce. - A teraz uciekaj, Scarpo. Zabierz swoją koronę zabawkę i zmykaj stąd. Kiedy postanowię cię zabić, nie umkniesz.

Scarpa umknął, lecz Ehlana nie widziała, jak odbiegał. Z jej oczu płynęły łzy. Ze

zduszonym jękiem odwróciła się od okna.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Kiedy Sparhawk obudził się następnego ranka, w Samie padał śnieg; gęsty, ciężki śnieg, wirujący i tańczący w silnym wietrze, wiejącym z leżących na północy gór Atanu. Rycerz z kwaśną miną wyjrzał przez okno swej sypialni i poszedł szukać towarzyszy.

Itagne'a zastał w sali wojennej. Tamul siedział przy piecu z plikiem dokumentów na kolanach.

- Coś ważnego? - spytał Sparhawk, wchodząc do środka.

- Bynajmniej - odparł Itagne. Z pełną niesmaku miną odłożył papiery. - Zeszłej wiosny, nim Oscagne wyrwał mnie z codziennego życia i posłał do Cynestry, popełniłem poważny błąd. Prowadziłem wykłady ze stosunków międzynarodowych na uniwersytecie. W pewnym momencie przejęczyłem się i wypowiedziałem fatalne słowa: „Napiszcie pracę”. Teraz muszę przedzierać się przez stosy tych śmieci. - Zadrzał.

- Są aż takie złe?

- Niewiarygodnie złe. Studentom nie powinno dawać się do ręki pióra. Jak dotąd natknąłem się na piętnaście różnych wersji moich notatek z wykładów - bez wyjątku oddanych drewnianym, nieskładnym językiem.

- Gdzie jest Vanion?

- Odwiedza rannych. Widziałeś dziś rano Aphrael? Sparhawk potrząsnął głową.

- Może być gdziekolwiek.

- Naprawdę przyleciała z tobą z Dirgis?

- O tak. A wcześniej z Beresy. To niezwykle przeżycie. I zawsze rozpoczyna się od tej samej dyskusji. Itagne spojrział na niego pytająco.

- Kiedy to robi, musi przybrać swą prawdziwą postać.

- Oślepiające światło? Obłoki chwały i tak dalej?

- Nie, nic z tych rzeczy. Tyle że przy nas zawsze udaje małą dziewczynkę, gdy w istocie jest młodą kobietą.

- O co się kłócicie?

- O to, czy założy na siebie jakieś ubranie. Najwyraźniej bogowie ich nie potrzebują i nie do końca pojmują, na czym polega skromność. Jej pierwsze pojawienie nieodmiennie mnie rozprasza.

- Wyobrażam sobie.

Drzwi do komnaty otwarły się i do środka wszedł Vanion, otrzepując płaszcz ze

śniegu.

- Jak twoi ludzie? - spytał Sparhawk.

- Nie najlepiej - odparł mistrz zakonu. - Żałuję, że nie wiedzieliśmy więcej o żołnierzach Klaela, kiedy się z nim starliśmy. Straciłem w tej potyczce bez potrzeby wielu dobrych rycerzy. Gdybym zachował rozsądek, zacząłbym coś podejrzewać, gdy nie podjęli pościgu po naszym odwrocie.

- Jak długo walczyliście?

- Zdawało się, że całe godziny. Prawdopodobnie jednak nie trwało dłużej niż dziesięć minut.

- Kiedy dotrzesz do Samaru, pomów z Kringiem i Tikumem. Powinniśmy oszacować, jak długo ci żołnierze mogą działać w naszym powietrzu, zanim zaczną padać z nóg.

Vanion przytaknął.

Potem nie mieli już nic do roboty. Poranek ciągnął się bez końca.

Tuż przed południem ze śnieżnej zamieci wynurzyła się Be-tuana, odziana w obcisły strój z wydrzonych skór. Królowa biegła ku nim bez widocznego wysiłku. Jej niemal nieludzka siła zdawała się dziwnie niepokojąca. Kiedy wkroczyła do komnaty, w której czekali, wyglądała na zupełnie wypoczętą.

- Odświeżająca wycieczka - zauważyła, zdejmując futro. Ujęła w palce kosmyk mokrych, czarnych jak noc włosów i przyjrzała mu się krytycznie. - Czy ktoś tu ma grzebień?
- spytała.

Nagle wszyscy wzdrygnęli się, gdy z drugiego końca komnaty dobiegł ogłuszający grzmot trąb. Odwrócili się i ujrzeli boginię-

-dziecko. Otoczona nimbem oślepiającego światła, siedziała z błogą miną w powietrzu, uśmiechając się słodko do Sparhawka.

- Czy o to mniej więcej ci chodziło? - spytała. Rycerz uniósł wzrok ku niebu.

- Dlaczego ja? - jęknął. Po czym spojrzał na jej uśmiechniętą twarzyczkę. - Poddaję się, Aphrael, wygrałaś.

- Oczywiście. Ja zawsze wygrywam. - Delikatnie osiadła na podłodze i jej blask przygasł. - Chodź tu, Betuano. Pozwól, że ja cię uczeszę. - Wyciągnęła ręce i natychmiast pojawiły się w nich grzebień i ręcznik.

Królowa Atanów podeszła do niej i usiadła w fotelu.

- Co powiedział? - spytała Aphrael, owijając ociekające wodą włosy Betuany ręcznikiem.

- Z początku mówił: nie - odparła królowa - i powtórzył to „ drugi i trzeci raz. Jeśli

dobrze pamiętam, przy dwunastym razie zaczął słabnąć.

- Wiedziałam, że się uda. - Aphrael uśmiechnęła się, wycierając energicznie loki Betuany.

- Czy coś nam umknęło? - spytał Vanion.

- Atani bardzo rzadko wzywają swego boga, toteż gdy to czynią, praktycznie musi odpowiedzieć. Prawdopodobnie zajmował się czymś innym i za każdym razem, gdy Betuana go wzy-/ wała, musiał to odstawić i pójść sprawdzić, czego chce.

- Byłam bardzo uprzejma - rzekła z uśmiechem królowa -ale wciąż prosiłam. On się ciebie boi, o boska.

- Wiem. - Aphrael odłożyła ręcznik i podniosła grzebień. -Myśli, że ukradnę mu duszę, albo coś w tym stylu. Nawet się do mnie nie zbliży.

- Kiedy zrozumiał, że będę go wzywać, dopóki nie da mi zezwolenia - ciągnęła Betuana - w końcu ustąpił.

- Zawsze ustępują. - Aphrael wzruszyła ramionami. - Jeśli wciąż będziesz prosić, w końcu dostaniesz to, czego pragniesz.

- To się nazywa gderanie, o boska - wtrącił Sparhawk.

- Czy masz ochotę przez parę dni słuchać nieustannych fanfar, Sparhawku?

- Nie, dzięki. Miło jednak, że zapytałaś.

- Na pewno udzielił pozwolenia? - spytała królową Aphrael. Betuana uśmiechnęła się.

- Bez cienia wątpliwości. Rzekł: „Powiedz jej, że może zrobić, co tylko zechce. I daj mi spokój”.

- To dobrze. Zabiorę zatem Engesę na wyspę. - Aphrael ściągnęła wargi. - Może lepiej wyślij biegacza do swego męża. Powiedz mu o żołnierzach Klaela. Znam twojego męża; będziesz musiała rozkazać mu, by ich nie atakował. Nigdy nie spotkałam kogoś tak całkowicie niezdolnego do odwrotu.

- Postaram się mu to wyjaśnić - odparła z lekkim powątpiewaniem Betuana.

- Powodzenia! Proszę. - Aphrael podała jej grzebień. - Teraz zabiorę Engesę na wyspę, odmrozę go i wezmę się do pracy.

* * *

Ulath zarządził postój na przedmieściach i Bhlokw wezwał Ghnomba. Bóg jedzenia ukazał im się, trzymając w łapie na wpół pożarty zad jakiegoś zwierzęcia.

- Dotarliśmy do miejsca, gdzie kazano przybyć temu, którego zwą Berit -

poinformował ogromnego boga trolli Ulath. - Byłoby dobrze, gdybyśmy teraz wyszli z bezczasu i znaleźli się w czasie pękniętych chwil.

Ghnomb spojrział na niego ze zdumieniem, najwyraźniej nie pojmując, o co mu chodzi.

- U-lat i Tin-in polują na myśli - wyjaśnił Bhlok. - Ludzkie stwory mają nie tylko brzuchy w brzuchach, ale też brzuchy w umysłach. Muszą napęlić oba brzuchy. Ich brzuchobrzuchy są już pełne. Dlatego proszą cię o to. Chcą teraz napęlić myślobrzuchy.

Na brutalnym obliczu Ghnomba powoli zagościł wyraz zrozumienia.

- Czemu nie powiedziałeś tego wcześniej, Ulacie z Thalesii? Ulath zaciął się, nie wiedząc, co odrzec.

- To Bhlok odkrył, że mamy myślobrzuchy - wtrącił Tynian. - Nie wiedzieliśmy o tym. Wiedzieliśmy tylko, że nasze umysły są głodne. Dobrze, że Ghworg wysłał Bhloka z nami na łowy. Bhlok to bardzo dobry myśliwy.

Troll uśmiechnął się szeroko.

Ulath szybko rozbudował tę przenośnię.

- Nasze myślobrzuchy łakną myśli o złych - wyjaśnił. - Umiemy wytropić te myśli w ptasich dźwiękach mowy ludzkich stworów. Staniemy po jednej stronie pękniętej chwili, tak by nas nie widzieli, i zaczniemy słuchać ptasich dźwięków. Podążymy ich tropem do tych, na których polujemy, a oni nie będą wiedzieli, że tam jesteśmy. Wtedy wysłuchamy ich ptasich dźwięków i odkryjemy, gdzie ukryli kobietę Anakhy.

- Dobrze polujecie - rzekł z aprobatą Ghnomb. - Nigdy dotąd nie pomyślałem, że można tak polować. To prawie tak dobre jak łowy na jedzenie. Pomogę wam.

- Cieszy nas twoja pomoc - podziękował mu Tynian.

Ardzun był stolicą królestwa Ardżuny, sporym miastem na północnym brzegu jeziora. Pałac królewski i bogate domy szlacheckich rodów wznosiły się na wzgórzach w południowej części miasta. Dzielnica handlowa leżała blisko wody.

Ulath i Tynian ukryli swe konie i w szarym półświetle pękniętych chwil Ghnomba ruszyli pieszo do miasta. Tam rozdzielili się i zaczęli szukać pożywienia, którego łaknęły ich myślobrzuchy. Bhlok tymczasem polował na psy.

Kiedy Ulath wyszedł z kolejnej ponurej spelunki nieopodał doków, zapadał już wieczór.

- To potrwa cały miesiąc - wymamrotał pod nosem. W kilku rozmowach, które zdołał dosłyszeć, padło imię Scarpy i za każdym razem zbliżał się, by posłuchać uważniej. Na nieszczęście Scarpa i jego ludzie stanowili popularny temat konwersacji, toteż Ulath nie

zdołał wyłapać niczego ciekawego.

- Zejść mi z drogi! - Głos brzmiał ostro, władczo. Ulath odwrócił się, aby sprawdzić, do kogo należy.

Ujrzał przed sobą Dacitę w bogatym stroju. Mężczyzna dosiadał pięknego karego wierzchowca; lata hulanki odcisnęły niezatarte piętno na jego twarzy.

Choć nigdy wcześniej go nie widział, Ulath natychmiast rozpoznał przybysza. Ołówek Talena idealnie uchwycił jego rysy. Rycerz uśmiechnął się.

- No, no. Tak już lepiej.

Wyszedł na ulicę i podążył za rozbrykanym karosem. ' Ich celem okazał się jeden z wielkich domów w pobliżu pałacu królewskiego. Służący w liberii wypadł na dwór, aby powitać wyniosłego Elena.

- Niecierpliwie wyglądaliśmy twego przybycia, panie -oznajmił, kłaniając się uniznienie.

- Zawołaj kogoś, żeby zajął się moim koniem - warknął Elen, zsiadając z wierzchowca. - Wszyscy już są?

- Tak, baronie Paroku.

- Zdumiewające. Nie stój tak, dumniu. Natychmiast zaprowadź mnie do nich.

- Tak, panie baronie.

Ulath uśmiechnął się ponownie i w ślad za nimi wszedł do domu.

Pokój, do którego zaprowadził ich służący, wyglądał na gabinet. Ściany pokrywały szafy z książkami; ustawione w nich księgi były nowiutkie, wyraźnie nietknięte. W pokoju znajdowało się około tuzina ludzi: Eleni, Ardżuni i nawet jeden Styrik.

- Przejdźmy do rzeczy - polecił baron Parok, lekceważącym gestem rzucając na stół kapelusz z piórem i rękawiczki. - Co macie mi do przekazania?

- Książę Sparhawk dotarł do Tiany, baronie Paroku - odparł samotny Styrik.

- Spodziewaliśmy się tego.

- Nie spodziewaliśmy się jednak, jak potraktuje mego krew-niaka. On i ten brutal, którego nazywa giermkim, śledzili naszego posłańca i zaatakowali go. Zdarli z niego ubranie i prze-’ szukali wszystkie kieszenie.

Parok zaśmiał się szorstko.

- Miałem okazję poznać twego kuzyna, Zoreku - rzekł. -; Jestem pewien, że zasłużył sobie na to. Co powiedział księciu, że tak go potraktowali?

- Oddał im list, panie, a wówczas ten łajdak giermek wspomniawszy obraźliwym tonem o dwudziestodniowej konnej podróży. Mój kuzyn poczuł się urażony i oznajmił, że mają na nią

jedynie czternaście dni.

- Nie takie dostał instrukcje - warknął Parok. - Czy Sparhawk go zabił?

- Nie, panie - odparł Zorek, wyraźnie nadąsany.

- Szkoda - mruknął złowieszczo baron. - Teraz sam będę musiał to załatwić. Wy, Styrycy, macie o sobie zbyt wysokie mniemanie. W wolnej chwili znajdę twojego kuzyna i powieszę jego flaki na płocie jako przykład dla innych. Płacimy wam, żebyście robili to, co się wam każe, nie wymyślali własne plany. - Rozejrzył się. - Kto ma następny list?

- Ja, panie - odparł zamożnie odziany Edomczyk.

- Lepiej wstrzymaj się z jego dostarczeniem. Twórcze zapędy kuzyna Zoreka zepsuły nasze plany. Niech Sparhawk posiedzi tam z tydzień. Wtedy przekaż mu list z poleceniem jazdy do Derelu. Pan Scarpa chce wyruszyć z armią na północ, zanim wyślemy Sparhawką do Natayos w celu dokonania wymiany.

- Baronie Paroku - wtrącił arogancko wylupiastooki Ardżuni w brokatowej tunice - to opóźnienie, zwłaszcza tu, w stolicy, zagraża mojemu królowi. Ten Sparhawk słynie ze swej drażliwości i wciąż ma w posiadaniu klejnot mocy. Jego wysokość nie życzy sobie, by eleński barbarzyńca zatrzymał się na dłużej w Ardżunie. Natychmiast wypraw go do Derelu. Jeśli ma zniszczyć jakieś miasto, to lepiej Derel niż Ardżun.

- Masz zdumiewająco dobry słuch, księżę Milanisie - odparł sardonicznie Parok. - Naprawdę słyszysz, co mówi król Rakya, znajdując się milę od pałacu?

- Jestem tu po to, by bronić interesów jego wysokości, baronie. Król upoważnił mnie, bym przemawiał w jego imieniu. Jego przymierze z panem Scarpa nie jest wyryte w kamieniu.

Wyślij księcia Sparhawką w dalszą drogę.. Nie chcemy go tu, w Ardżunie.

- A jeśli tego nie zrobię? Milanis wzruszył ramionami.

- Jego wysokość zerwie przymierze i złoży pełny raport o waszych posunięciach — jak również o dalszych planach -tamulskiemu ambasadorowi.

- Widzę, że stare porzekadło o tym, iż tylko głupiec ufa Ardżunim, wciąż pozostało prawdziwe.

- Rób, co ci każe, Paroku - warknął Milanis. - Nie zwracaj mi głowy nudnymi protestami i rasistowskimi uwagami. List jego wysokości do ambasadora tamulskiego został już napisany. Potrzebujemy tylko pretekstu, żeby go wysłać.

W tym momencie pojawił się służący z dzbanem wina i tacą kielichów. Ułath skorzystał z otwartych drzwi i wysliznął się z pokoju. Wiedział, że znalezienie Tyniana i Bhłokwa zajmie mu sporo czasu, a potem będą musieli przygotować dokładny raport dla

Aphrael.

Jednakże opuściwszy dom, pan Ulath pozwolił sobie na chwileczkę zapomnienia. Skoczył wysoko z triumfalnym okrzykiem, radośnie klaskając w dłonie. Następnie przybrał dostojną minę i ruszył na poszukiwanie przyjaciół.

* * *

Okryty czarną zbroją pan Heldin zawrócił konia i dołączył do patriarchy Bergstena, jadącego na czele kolumny.

- Udało ci się? - spytał Heldin. Bergsten potrząsnął głową.

- Pan Tynian był bardzo dokładny - zagrzniał swym głębokim basem. - Przeczesał szeregi pandionitów, jakby szukał złota. Najwyraźniej zabrał ze sobą wszystkich, którzy potrafią wymówić choćby kilka słów po styricku.

- Ty jednak znasz zaklęcia.

- Owszem, ale Aphrael mnie nie słyszy. Mój głos jest dla niej zbyt niski.

- To mi nasuwa kilka ciekawych kwestii teologicznych - zauważył Bergsten.

- Moglibyśmy rozważyć je kiedy indziej, wasza świątobliwość? W tej chwili musimy powiadomić Sparhawk i Vaniona o tym, co zaszło w Zemochu. Zanim dotrą do nich posłańcy ambasadora Fontana, wojna może się już skończyć.

- Porozmawiaj z innymi zakonami, Heldinie - zasugerował Bergsten.

- Nie sądzę, by coś to dało, wasza świątobliwość. Każdy zakon współpracuje z innym styrickim bogiem, który przekazuje mu swoje sekrety. My musimy zawiadomić Aphrael. To ona siedzi na ramieniu Sparhawk.

- Heldinie, w czasie nowicjatu zbyt wiele czasu poświęciłeś ćwiczeniom z bronią. Teologia ma swoje zastosowania.

- Owszem, wasza świątobliwość. - Heldin westchnął, unosząc wzrok i szykując się na wysłuchanie kazania.

- Przestań - upomniął go Bergsten. - Nie mówię o eleńskiej teologii, tylko o błędnych przekonaniach Styrików. Ilu jest bogów styrickich?

- Tysiąc, wasza świątobliwość - odparł natychmiast Heldin. - Sephrenia stale to podkreślała.

- Czy tysiąc młodszych bogów istnieje niezależnie od siebie?

- Z tego, co wiem, wszyscy są spokrewnieni. Coś jak jedna wielka rodzina.

- Zdumiewające. Więc jednak słuchałeś nauk Sephrenii. Wy, pandionicy, oddajecie

cześć Aphrael, prawda?

- Cześć to zbyt mocne słowo.

- Słyszałem historie o Aphrael, Heldinie. - Bergsten się uśmiechnął. - Wyznaczyła sobie ponoć osobisty cel. Próbuje ukraść całą ludzkość. Ja jestem członkiem zakonu genidiani-tów... - Urwał. - Byłem - poprawił się. - W potrzebie zwracamy się do Hanki; cyrinici kontaktują się z Romalicem, a alcjonici z Setrasem. Jak sądzisz, czy w swych mglistych niebiosach, gdzieś ponad chmurami, ci styriccy bogowie od czasu do czasu rozmawiają ze sobą?

- Skończ z tą łopatologią, Bergstenie. Coś przeoczyłem, to wszystko. Nie jestem głupi.

- Nigdy tak nie twierdziłem - rzekł Bergsten z uśmiechem. -Potrzebujesz jedynie duchowego przywództwa. Po to właśnie istnieje nasz święty ojciec. Przyjdź do mnie ze swymi duchowymi kłopotami, synu, a poprowadzę cię łagodnie - nie posłuchasz, wezmę topór i pogonię cię siłą.

- Widzę, że wasza świątobliwość wyznaje zasady kościoła muskularnego - zauważył kwaśno Heldin.

- To mój problem duchowy, nie twój, synu. A teraz idź, poszukaj alcjonyty. Legendy głoszą, że Aphrael i Setras są ze sobą bardzo blisko. Myślę, że możemy liczyć, iż Setras przekaże wiadomość swej złodziejskiej kuzynce.

- Wasza świątobliwość! - zaprotestował Heldin.

- Kościół od wieków ma oko na Aphrael, Heldinie. Wiemy wszystko o waszej wspaniałej bogini-dziecku i jej sztuczkach. Nie pozwól, by cię pocałowała, przyjacielu. Jeśli to zrobi, starczy chwila nieuwagi, by podwędziła ci duszę.

* * *

Tym razem mieli już tuzin rozklekotanych wozów, ciągniętych przez woły. Wszystkie były wyładowane po brzegi baryłkami piwa. Senga najął też kilka tuzinów obdartych rabusiów Narstila, by pomogli mu pilnować i sprzedawać towar. Kalten gładko wprowadził do kompanii Caaladora i Beviera.

- Nadal uważam, że popełniasz błąd, Sengo - rzekł, zwracając się do swego dobrodusznego pracodawcy. Rozchwiany wóz ^podskakiwał na wyboistej dróżce, wiodącej w stronę Natayos. -Całkowicie opanowałeś rynek. Czemu obniżasz ceny?

- Bo w ten sposób więcej zarobię.

- To nie ma sensu.

- Posłuchaj, Colu - wyjaśnił cierpliwie Senga. - Gdy przybyłem tu po raz pierwszy, miałem tylko jeden wóz piwa. Mogłem dostać każdą cenę, bo piwo było rzadkością.

- To chyba logiczne.

- Teraz jednak dysponuję niemal nieograniczonymi zapasami, toteż zamierzam zarabiać na obrotach, nie na cenie.

- Właśnie ta część nie ma sensu.

- Ujmijmy to w ten sposób. Co byś wolał? Ukraść dziesięć koron jednemu człowiekowi czy po groszu dziesięciu tysiącom? Kalten dokonał szybkich rachunków na palcach.

- Ach! - rzekł wreszcie. - Teraz rozumiem, do czego zmierzasz. Bardzo sprytnie, Sengo. Jego towarzysz nadął się lekko.

- Nigdy nie zaszkodzi myśleć perspektywicznie, Colu. Tak naprawdę martwi mnie fakt, iż warzenie piwa nie jest wcale takie trudne. Jeśli jakiś spryciarz zdobędzie przepis, może założyć tu własny browar. Nie chciałbym angażować się w wojnę cenową, właśnie kiedy wszystko zaczyna iść jak z płatka.

Opuścili obóz Narstila o świcie i późnym rankiem dotarli do Natayos. Bez przeszkód przejechali bramę, minęli dom o zakratowanych oknach i znów ustawili się na tym samym placu co poprzednio. Jako najbliższy wspólnik Sengi, Kalten został awansowany na szefa ochrony. Groźna reputacja, jaką zyskał sobie wcześniej w obozowisku Narstila, gwarantowała, że żaden z rabusiów nie ośmielił się kwestionować jego rozkazów. Obecność Beviera, uzbrojonego w halabardę jednookiego szaleńca o wyraźnie morderczych skłonnościach, wzmacniała jeszcze władzę Kaltena.

- Maluško tu zdziałamy, Colu - mruknął Caalador; obaj pilnowali jednego z wozów. - Stareńki Senga tak siem zamartwia, że ktoś mógłby nie zapłacić, żeśmy są tu uwiązane niczym para psich na smyczach.

- Zaczekaj trochę, Ezeku - poradził Kalten. - Kiedy wszyscy już się upiją, będziemy mieli więcej swobody.

Bevier podszedł do nich nonszalanckim krokiem, ściskając w dłoni halabardę ze spiłowanym styliskiem. Z niejasnych powodów ludzie bez cienia protestu schodzili mu z drogi.

- Właśnie coś przyszło mi do głowy - powiedział.

- Chcesz kogoś zabić? - podsunął Kalten.

- Bądź poważny, Colu. Może zabierzesz na bok swojego przyjaciela Sengę i poradzisz mu, by założył tu interes? To następny logiczny krok, a dzięki niemu mielibyśmy pretekst, by

tu zostać. Gdybyśmy wyprzątnęli jeden ze zrujnowanych budynków i otworzyli tawernę, moglibyśmy w niej pracować. To znacznie logiczniejsze niż sprzedawanie piwa z wozów.

- Dobrzutko gada, Colu - rzekł Caalador. - Stareńki Shallag wygląda, jakby chlał juchę ode rana, ale za tom przepaskom pracuje niekiepski mózdzek.

Kalten zastanowił się chwilę.

- Rzeczywiście, to by nam pozwoliło zostać w Natayos. Mielibyśmy oko na wszystko. - Rozejrzył się. - Senga martwi się, że ktoś mógłby założyć własny browar - rzekł głośniej na użytek stojących w pobliżu żołnierzy. - Gdybyśmy zostali tu we trzech, prawdopodobnie przekonalibyśmy każdego, kto wpadłby na taki pomysł, żeby znalazł sobie inne zajęcie. Pójdę, pogadam z Senga i zobaczę, co o tym myśli.

Zastał swego dobrodusznego przyjaciela za prowizorycznym stołem obok jednego z wozów. Senga z rozmarzoną miną przeliczał pieniądze.

- Cudownie, prawda, Colu? - rzekł z uniesieniem.

- To tylko grosze.

- Wiem. Ale jest ich tak wiele.

- Shallag wpadł na pewien pomysł.

- Chce przerzedzić tłum, odrąbując głowę co trzeciemu żołnierzowi w kolejce?

- Shallag nie jest aż taki zły.

Naprawdę? Wszyscy w naszym obozie śnią o nim koszmary.

- Odkąd przybył do Ardżuny, nie zabił nikogo.

- Oszczędza się. Gra na czas, póki nie zdoła zgromadzić kilku tuzinów osób w jednym miejscu i zabić wszystkich naraz.

- Chcesz posłuchać o jego pomysłe czy wolisz opowiadać marne dowcipy?

- Przepraszam. Mów dalej.

- Uważa, że powinniśmy wyprzątnąć jeden z pustych domów i założyć w nim tawerę.

- Chcesz powiedzieć: prawdziwy lokal? Z szynkwasem, stołami i tak dalej?

- Czemu nie? Teraz, gdy twój piwowar pracuje z całych sił, masz dostęp do stałego źródła, a klienci mieszkają właśnie tutaj. I jeśli założysz tu lokal, możesz sprzedawać piwo co dzień, zamiast przyjeżdżać raz w tygodniu. Wówczas klienci będą przychodzić stopniowo, grupkami, zamiast całą armią.

- Nigdy o tym nie pomyślałem - przyznał Senga. - Sądziłem, że zarobię szybko pewną sumkę, a potem ucieknę za granicę. Mógłbym założyć prawdziwą tawernę, Colu. Prawdziwy, uczciwy, legalny interes! Nie musiałbym już kraść.

- Widziałem twoje ceny, Sengo. Nie martw się, wciąż kradniesz.

Senga puścił jego słowa mimo uszu.

- Może nazwałbym ją „Pałac Sengi” - rzekł z rozmarzeniem. Zmarszczył czoło. - Nie - uznał. - To zbyt wspaniała nazwa jak na karczmę piwną. Chyba nazwę ją po prostu „U Sengi”. Byłby to zdecydowanie trwalszy pomnik niż nagrobek z wyrytą datą, kiedy zostałem powieszony. - Nagle potrząsnął głową i westchnął. - Nie, Colu - rzekł z żalem. - To się nie uda. Gdybym odesłał ciebie i innych strażników, żołnierze Scarpy wmaszerowaliby tu i zabrali piwo bez zapłaty.

- Czemu zatem miałbyś nas odsyłać? Po prostu zostaniemy tu i dopilnujemy, by zapłacili.

- Wątpię, by Narstilowi spodobało się, że nie wracamy na noc do obozu.

- Sengo - powiedział łagodnie Kalten. - Czy naprawdę potrzebujesz jeszcze Narstila? Jesteś teraz uczciwym przedsiębiorcą. Nie powinienesz zadawać się z bandytami.

Senga roześmiał się.

- Wyprzedzasz mnie, Colu. Daj mi trochę czasu, bym zmienił swój sposób myślenia. - Nagle zaklął.

- Co się stało?

- To piękny pomysł, Colu, ale nic z tego.

- Czemu?

- Bo do założenia lokalu potrzebuję zgody Scarpy, a nie zamierzam zbliżać się do niego, żeby go o nią poprosić.

- Chyba nie będziesz musiał, przyjacielu. Wczoraj przeszukałem stopy śmieci w obozowisku Narstila i zgadnij, co znalazłem.

- Co?

- Elegancką, okutą srebrem beczułkę czerwonego arcjańskiego-go wina. Ma nawet srebrny kranik. Człowiek, który ją ukradł, nie wiedział, ile jest warta. To piwosz. Odkupiłem ją za pół korony. Jeśli ci ją sprzedam, możesz podarować ją temu Krage-rowi. Niech on przekona Scarpę, by udzielił ci zezwolenia na założenie tu interesu.

- Colu, jesteś genialny! Ile chcesz za tę beczułkę czerwonego arcjańskiego?

- Och, jakieś pięć koron.

- Pięć koron! Dziesięć razy tyle, ile zapłaciłeś? To rozbój!

- No wiesz, Sengo. Jesteś moim przyjacielem, ale interes to interes.

Wkrótce znaleźli Kragera siedzącego na zburzonym murze i bez większego zainteresowania obserwującego przekrwionymi oczami tłum spragnionych żołnierzy na placu. W dłoni trzymał kufel i od czasu do czasu pociągał z niego łyk, krzywiąc się z niesmakiem.

- O, tu jesteś, mości Kragerze - rzekł jowialnie Senga. -Może byś tak wylał te szczyny i spróbował łyk tego? - Poklepał dźwiganą pod pachą ozdobną baryłkę.

- Znów lokalny sikacz? - spytał Krager.

- Spróbuj i powiedz, co o tym sądzisz - zasugerował Senga.

Krager wylał wino na ziemię i uniósł cynowy kufel. Senga odkręcił srebrny kranik i nalał mu pół kubka arcjańskiego czerwonego.

Mrużąc oczy, Krager przyjrzał się naczyniu i podejrzliwie powąchał trunek. W zachwycie wyrócił oczami.

- O rany, rany! - westchnął z głębokim podziwem. Pociągnął mały łyk i niemal zadrżał z rozkoszy.

- Pomyślałem, że będzie ci smakowało - powiedział Senga. -A teraz, kiedy zyskałem już twoją uwagę, mam dla ciebie poważną propozycję. Chciałbym założyć tu, w Natayos, stałą tawernę, ale potrzebuję zezwolenia. Uznałbym to za prawdziwą przysługę, gdybyś zechciał szepnąć dobre słówko panu Scarpie i zdobył jego zgodę. Byłbym ci bardzo wdzięczny.

- Jak bardzo? - spytał szybko Krager.

- Prawdopodobnie tak bardzo - Senga ponownie poklepał zdobioną srebrem baryłkę. - Powiedz panu Scarpie, że nie sprawię żadnych kłopotów. Wybiorę sobie jeden z pustych budynków nieco na uboczu, sam go wysprzątam i naprawię dach. Zapewnię mu własną ochronę i dopilnuję, by żaden z żołnierzy nie przesadził z piciem.

- Możesz już zaczynać pracę, mości Sengo - odparł Krager, nie spuszczać oka z baryłki. - Masz moją osobistą gwarancję, że pan Scarpa się zgodzi. - Sięgnął po wino.

Senga cofnął się o krok.

- Najpierw pozwolenie, mości Kragerze - rzekł stanowczo. -W tej chwili doceniam twoją chęć współpracy. Wdzięczność nadejdzie, gdy Scarpa udzieli zgody.

W tym momencie na zatłoczony plac wbiegł Elron.

- Kragerze! - krzyknął piskliwie. - Chodź natychmiast! Pan Scarpa jest wściekły! Rozkazał nam wszystkim bezzwłocznie spotkać się w kwaterze głównej!

- Co się stało? - Krager zerwał się z miejsca.

- Cyzada właśnie przybył z Cynesgi. Powiedział Zalaście, że Klael przyjrzał się człowiekowi, którego śledziliśmy. To nie Sparhawk, Kragerze! Ktokolwiek to jest, wygląda jak Sparhawk, ale Klael natychmiast poznał, że to ktoś inny!

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Wiem, że to on, pani - upierała się Alean.

- Alean, moja droga - odparła łagodnie Ehlana - on zupełnie nie przypomina pana Kaltena.

- Nie mam pojęcia, jak to zrobili, ale ten mężczyzna na ulicy to Kalten. Moje serce bije mocniej za każdym razem, gdy przechodzi obok nas.

Ehlana wyrzała ukradkiem przez niewielki otwór w szybie. Nieznajomy rzeczywiście wyglądał na Elena, a Sephrenia była przecież czarodziejką.

Na wspomnienie Sephrenii do oczu królowej znów napłynęły łzy. Wyprostowała się, ocierając je szybko.

- Już odszedł - rzekła. - Co sprawia, że jesteś tak pewna, moja droga?

- Tysiące rzeczy, pani - drobiazgow. Sposób, w jaki przekrzywia głowę, zabawny ruch ramion, gdy idzie, jego śmiech, to, jak poprawia pas z mieczem. Jakimś cudem odmienili mu twarz, ale wiem, że to on.

- Może i masz rację, Alean - przyznała z lekkim powątpiewaniem Ehlana. - Sama prawdopodobnie rozpoznałabym Sparhawk w tłumie - nieważne, czyje nosiłby rysy.

- Właśnie, pani. Nasze serca znają tych, których kochamy. Ehlana zaczęła krążyć po pokoju, poprawiając odruchowo okrywający głowę kwef.

- Nie jest to niemożliwe - uznała w końcu. - Sparhawk opowiadał mi o tym, jak się maskował podczas pobytu w Ren-dorze, a styricka magia potrafi zapewne odmienić ludzkie twarze. I oczywiście, jeśli nawet Sephrenia nie umiałaby tego dokonać, z pewnością zdołałby to zrobić Bhelliom. Zaufajmy więc twemu sercu i uznajmy, że ten człowiek to istotnie pan Kalten.

- Wiem, że to on, pani.

- To ma sens - zastanawiała się głośno Ehlana. - Jeśli Sparhawk jakimś sposobem dowiedział się, że tu jesteśmy, niewątpliwie zechce mieć przy nas paru przyjaciół, zanim reszta z nich przybędzie nam na ratunek. - Zmarszczyła brwi, nagle bowiem przyszła jej do głowy pewna myśl. - A może nie wie tego na pewno? Może Kalten zjawił się tutaj, żeby się rozejrzeć? Musimy wymyślić, jak dać mu znak, że nas znalazł, zanim zrezygnuje i pójdzie gdzie indziej.

- Ależ, pani - zaprotestowała wielkooka dziewczyna - nie możemy go zawołać, to straszliwie niebezpieczne. - Schyliła się i ponownie wyrzała na ulicę. - On wraca -

zameldowała.

- Śpiewaj, Alean! - wykrzyknęła gwałtownie Ehlana.

- Co?

- Śpiewaj! Jeśli ktokolwiek na świecie rozpozna twój głos, to na pewno Kalten!

Oczy dziewczyny rozszerzyły się w nagłym zrozumieniu. ‘ - Istotnie!

- Odsuń się, pozwól mi obserwować jego twarz. Śpiewaj całą duszą, Alean! Złam mu serce!

Głos Alean drżał lekko, gdy jej dźwięczny sopran wzniósł się bez wysiłku w rozdzierająco smutnej pieśni. Zaśpiewała Mego modrookiego lubego, bardzo starą balladę, która - jak dobrze wiedziała Ehiana - miała specjalne znaczenie dla jej pokojówki i jasnowłosego pandionity. Królowa raz jeszcze zerknęła przez okno. Obdarty mężczyzna na ulicy zmarł, jakby słodki głos Alean przygwoździł go do ziemi.

Ehlana pozbyła się jakichkolwiek wątpliwości. To naprawdę był Kalten! Z oczu płynęły mu łzy, twarz wyrażała zachwyt i uwielbienie.

Potem zaś uczynił coś nieoczekiwanego, co kazało Ehlanie zrewidować dotychczasową opinię o jego inteligencji: usiadł na porośniętych mchem kamieniach, zdjął but i zaczął gwizdać, wtórując pieśni Alean. On wiedział! I gwizdząc, dawał im znać, że wie! Nawet Sparhawk nie zareagowałby równie szybko i nie wpadłby na tak doskonałe rozwiązanie.

- Wystarczy, Alean - syknęła królowa. - Zrozumiał naszą wiadomość. Alean umilkła.

- Co ty tu robisz? - spytał ostro jeden z arduńskich wartowników.

- Kamyk wpadł mi do buta - wyjaśnił Kalten, potrząsając właśnie zzutym trzewikiem.

- Wydawał się wielki jak głaz.

- W porządku, ruszaj w drogę.

Odmienione rysy Kaltena wyostrzyły się groźnie. Wciągnął z powrotem but i wstał.

- Przyjacielu - rzekł z naciskiem - wkrótce zejdziesz ze służby i może postanowisz wpaść do tawerny Sengi na kilka kufli. Zajmuję się tam ochroną, i jeśli zaczniesz mną tutaj pomiatać, mogę uznać, iż jesteś zbyt hałaśliwy, żeby cię obsłużyć, kiedy się tam znajdziesz. Rozumiesz?

- Mam trzymać ludzi z dala od tego budynku - tłumaczył się wartownik, pospiesznie zmieniając ton.

- Ale uprzejmie, przyjacielu, uprzejmie. Wszyscy ludzie w tym mieście są uzbrojeni po zęby, więc musimy traktować się bardzo grzecznie. - Kalten zerknął ukradkiem na zakratowane okno, z którego Ehlana obserwowała całą scenę. - Nauczyłem się grzeczności,

kiedy dołączył do nas Shallag - znasz go, prawda? Jednooki gość z halabardą?

Wartownik zadrżał.

- Czy jest tak straszny, jak wygląda?

- Jeszcze gorszy. Jeśli choć kichniesz, odrąbie ci głowę. -Kalten wyprostował plecy. - No, powinienem już wracać do tawerny. Jak mawia mój kolega Ezek: „Niczegusieńko nie zaro-bita, wałynsajonc siem po ulicech”. Wpadnij do nas po pracy, przyjacielu. Postawię ci piwo. - To rzekłszy, oddalił się, wciąż pogwizdując Mego modrookiego lubego.

- Prawdziwy z niego skarb, Alean. - Serce Ehlany biło radośnie. - Nie daj się zwieść jego wyglądowi. W ciągu dwóch minut przekazał mi więcej informacji, niż Sparhawkowi udałoby się w godzinę.

- Pani? - Alean popatrzyła na nią, niczego nie pojmując.

- Wie, że tu jesteśmy. Kiedy śpiewałaś, gwizdał ci do wtóru. Powiedział mi też, że są tu z nim pan Bevier i Caalador.

- Jak?

- Rozmawiał z wartownikiem. Bevier jest zapewne jedynym człowiekiem w Daresii, uzbrojonym w halabardę, a ich drugi towarzysz mówi zupełnie jak Caalador. Wiedzą, że tu jesteśmy, Alean, a skoro oni wiedzą, wie i Sparhawk. Możemy zacząć się pakować. Wkrótce wracamy do Matherionu. - Roześmiała się wesoło, obejmując pokojówkę.

* * *

Maszerując pustymi uliczkami w stronę tawerny Sengi, Kalten usilnie starał się zachować obojętną minę, jednak rozpieszczająca go radość sprawiała, że z najwyższym trudem powstrzymywał śmiech.

Kiedy armia Scarpy przybyła do Natayos, oczyściła północne dzielnice i przywróciła tamtejsze domy do stanu częściowej używalności, lecz większa część miasta nadal leżała w gruzach.

Senga rozważył kilka możliwych lokalizacji dla tawerny i postanowił - bardzo rozsądnie - zorganizować swój przybytek nieco dalej w głębi starego miasta; dzięki temu miał nadzieję uwolnić się od nadgorliwych sierżantów i młodszych eleńskich oficerów, nadrabiających braki w rozumie niewzruszonym fanatyzmem przekonań. Wybrał niski, przysadzisty budynek o grubych ścianach, niestety pozbawiony dachu - to jednak z łatwością dało się naprawić przy użyciu płótna z namiotów. Zastanawiał się, czy nie wynająć kilku żołnierzy, by po służbie wykarczowali krzaki z ulicy prowadzącej z obozowiska Scarpy

wprost do drzwi karczmy, ale Caalador przekonał go, by nie marnował pieniędzy.

- A po kiego ci to, Sengo? - spytał zaganianego przedsiębiorcę, powracając do swego ulubionego dialektu. - Kiedy pogna ich pragnienie, goście z woja sami ci sprzuntną - bez zad-niusieńkiej zapłaty.

Tawerna przycupnęła wśród ruin, odróżniając się od nich jedynie płóciennym dachem i wiszącym na ścianie krzywym szyldem z napisem U SENGI.

Kalten wszedł do środka bocznymi drzwiami i przystanął, czekając, aż wzrok przywyknie do półmroku. Choć dopiero co minęło południe, wewnątrz panował spory tłok. Sześciu opasanych fartuchami rozbójników z obozu Narstila krzątało się gorączkowo za zbitą z nie heblowanych desek ladą, nalewając pienne piwo i zbierając pieniądze.

Po chwili zaczął przepychać się przez hałaśliwy tłumek, szukając Beviera i Caaladora. Dostrzegł ich siedzących przy stole na przedzie sali. Halabarda Beviera i solidna pałka Caaladora leżały na widoku, stale przypominając biesiadnikom, że choć nikt nie broni im dobrej zabawy, muszą ściśle przestrzegać ograniczeń.

Kalten usiadł powoli, nie zdradzając rozpierającej go radości. Pochylił się, wzywając ku sobie przyjaciół.

- Są tutaj - powiedział cicho. Caalador rozejrzał się po sali.

- No - odparł przeciągle - może nie wszyscy, ale ci po słyźbie na sto dwa.

- Nie mówię o tych ludziach, Ezeku, tylko o domu z zakratowanymi oknami. Osoby, których szukamy, są z całą pewnością w środku.

- Skąd wiesz? - spytał ostrym szeptem Bevier. - Widziałeś je?

- Nie musiałem. Jedna z nich to moja bardzo bliska przyjaciółka, która mnie rozpoznała - mimo tej twarzy. Nie pytajcie jak.

- Jesteś pewien? - naciskał Bevier.

- Och, tak. Wspomniana przyjaciółka zaczęła śpiewać głosem, który rozpoznałbym podczas najgorszego sztormu. To bardzo stara pieśń, wiele znacząca dla nas obojga. Zostałem rozpoznany, nie ma co do tego cienia wątpliwości. Przyjaciółka, o której mowa, śpiewa tę pieśń wyłącznie dla mnie.

- Nie przypuszczam, abyś zdołał znaleźć sposób powiadomienia ich, że zrozumiałeś wiadomość - rzekł Caalador. - Oczywiście nie wyważając drzwi.

- Nie musiałem wyważać drzwi. Zacząłem gwizdać do wtóru. Robiłem to już wcześniej, więc moja przyjaciółka wiedziała, co próbuję jej przekazać. Potem nawiązałem rozmowę z jednym z wartowników, i przemyciłem w niej dość aluzji, by zorientowały się w sytuacji.

Caalador odchylił się na krześle.

- Twój pomyslik z tom tu tawernom udał ci się, Shallagu. Odkunt jom otwarliśmy, zbiramy kupę ciekawych jinfermacji. Kalten rozejrzał się szybko.

- Na razie jest całkiem spokojnie - rzekł cicho. - Bójki zaczną się pewnie dopiero po zmierzchu. Może przespacerujemy się po ruinach? Chyba powinniśmy uciąć sobie kolejną pogawędkę z pewną dziewczynką. Tym razem mamy dla niej pomyslnę wieści.

- No to ruszajmy - odparł Caalador, wstając z miejsca. Przepchnął się do lady, zamienił parę słów z mokrym od piany barmanem i poprowadził ich na zewnątrz. Okrążywszy tawernę, zaczęli przedzierać się zduszoną pnączami boczną uliczką, mijając zwalone budynki, na których siedziały wielobarwne ptaki, wrzeszczące ogłuszająco. W końcu ukryli się w jednej z ruin. Kalten i Caalador stali na straży, podczas gdy Bevier rzucał zaklęcie.

Po chwili cyrinita wynurzył się z gruzów z szerokim uśmiechem na obliczu.

- Lepiej nastaw się psychicznie, Kaltenie - rzekł.

- Na co?

- Następnym razem, kiedy się spotkacie, Aphrael zamierza zacałować cię do nieprzytomności.

- Chyba jakoś to zniosę. Rozumiem, że się ucieszyła.

- Prawie przebiła mi bębenki w uszach.

- Cóż, jak mawia nasza bogini: „Żyjemy tylko po to, by sprawiać radość tym, których kochamy”.

* * *

Scarpa zaczął wrzeszczeć, zanim jeszcze przestąpił próg. Jego głos był wysoki i piskliwy, zaimprovizowana korona przekrzywiła się gwałtownie. Najwyraźniej znów miał atak histerycznej wściekłości. Na jego wargach i brodzie zbierała się piana.

- Twój mąż cię zdradził, kobieto! - ryknął na Ehlanę. - ' Zemszczę się za jego perfidię! Zapłacisz mi życiem! - Ruszył ku niej, wyciągając ręce z zakrzywionymi niczym szpony palcami. W tym momencie w drzwiach stanął Zalasta.

- Nie! - warknął lodowatym tonem. Scarpa odwrócił się do ojca.

- Nie wtrącaj się! - zawył. - Ona jest moim więźniem! Ukarzę ją za zdradę Sparhawk! -

- Bynajmniej. Zrobisz to, co ci każę. - Zalasta mówił po eleńsku; wszelkie ślady obcego akcentu zniknęły.

- Złamał moje rozkazy! Zapłaci za to!

- Czyżbyś był aż tak głupi, by tego nie przewidzieć? Mówiłem ci, jaki to przebiegły człowiek, ale twój umysł jest do tego stopnia szalony, że mnie nie słuchałeś.

- Wydałem mu rozkaz! - Głos Scarpy wzniósł się w piskliwym wrzasku. Szaleniec tupnął, najpierw jedną nogą, potem drugą. Po chwili zaczął skakać, dosłownie tańcząc z wściekłości. - Jestem cesarzem! Musi mnie słuchać!

Tym razem Zalasta nie musiał nawet posiłkować się magią. Po prostu machnął laską i powalił oszalonego syna na ziemię. Korona odtoczyła się w kąt.

- Brzydę się tobą - rzekł z pogardą. - Nie mam cierpliwości do twoich dziecinnych ataków. Nie jesteś cesarzem. W takim stanie w ogóle się nie liczysz. - Jego twarz zachowała obojętny wyraz, oczy spoglądały w dal. - Uważaj, Scarpo - rzekł złowrogim tonem. - Na tym świecie nie zostało już nic, co bym kochał. Wyzwoliłeś mnie z ostatnich ludzkich więzów. Jeśli mnie zirytujesz, rozdepczę cię jak robaka.

Scarpa odpelznął, byle dalej od straszliwego starca. Z jego ust bryzgała piana.

- Co się stało? - spytała z niepokojem Ehlana.

- Jeden z moich współpracowników - Cyzada z Esos - przyjechał właśnie z Cynesgi - odrzekł Zalasta. - Przyniósł wieści, których powinniśmy się byli spodziewać. Twój mąż to podstępny człowiek. Sądziliśmy, że już go mamy, ale się wyśliznął.

- Nie rozumiem.

- Kiedy cię porwaliśmy, zostawiliśmy mu instrukcje. Miał zabrać giermka i ruszyć konno do Beresy w południowej Ardżu-nie. Nasi ludzie pilnowali go i wyglądało na to, że posłuchał. Nie zrobił tego jednak. Najwyraźniej nie zależy mu na tobie aż tak bardzo, jak nam się zdawało.

- Po prostu słucha moich rozkazów, Zalasto. Kategorycznie zabroniłam mu oddać Bhelliom, niezależnie od okoliczności.

- Jak ci się to udało? - Zalasta sprawiał wrażenie szczerze zdumionego.

- Twój obłąkany syn kazał Elronowi zabić baronową Meli-dere. Elron to beznadziejny oferma, toteż Melidere udało się odbić cios. Pracują dla mnie wspaniali ludzie, Zalasto. Melidere doskonale zagrała martwą. Ja udałam histerię i kiedy okrywałam ją kocem, zdążyłam wyszeptać jej kilka poleceń. - Zerknęła na niego z ukosa. - Twój umysł zaczyna chyba szwankować. Nie zauważyłeś nawet, że nie mam swego pierścienia. Jego także zostawiłam Melidere.

- Bardzo sprytnie, Ehlano - mruknął. - Ty i twój mąż jesteście godnymi przeciwnikami.

- Miło mi, że nas doceniasz. Jak Sparhawkowi udało się was oszukać?

- Nie jesteśmy pewni. Nasi ludzie śledzili go od chwili, gdy opuścił zespół pałacowy w Matherionie i cały czas dokładnie wypełniał rozkazy. Kilka razy kazaliśmy mu nawet zboczyć z drogi, żeby zapobiec podstępom. Potem Klael znów się wymknął i ruszył na poszukiwanie Bhelliomu. Człowiek, którego uważaliśmy za Sparhawką, przeprowadził się właśnie statkiem przez Morze Ardzuńskie ze swoim giermkiem, Khaladem. Kładowi wystarczyło jedno spojrzenie, by poznać, że osobnik przypominający twojego męża nie jest Anakhą. Oto wiadomość, którą przywiózł nam Cyzada.

Ehlana obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Zatem Sparhawk krąży gdzieś - z Bhelliomem w garści i żądzą mordy w sercu - a ty nie masz pojęcia, gdzie się podziewa, i najpewniej także, jak wygląda. Masz spory problem, Zalasto.

- Wasza wysokość błyskawicznie kojarzy fakty. Okazujesz większą bystrość niż moi koledzy.

- To akurat niewielka sztuka. Otaczają cię durnie. Które z moich genialnych posunięć tak podziwiasz? Uśmiechnął się słabo.

- Nawet cię lubię, Ehlano. Jesteś odważną kobietą. Moja kolekcja durniów nie pojęła jeszcze w pełni wszystkich następstw postępu twojego męża. Skoro udało mu się jakoś sprawić, by ktoś inny upodobił się do niego, bez wątpienia potrafi też odmienić własne rysy.

- Stale to robi, Zalasto. Podczas pobytu w Rendorze nabył ogromnego doświadczenia z przebraniem. Twoje plany sypią się, w gruzy. Radzę ci uciekać, póki czas.

- Rzeczywiście, wkrótce wyjadę, ale ty udasz się ze mną. Każ pokojówce szykować się do drogi.

- Co ty mówisz? - Scarpa zerwał się z podłogi. - Ona nie może wyjechać! - wrzasnął. - Mamy tu dokonać wymiany!

- Ty kretynie - prychnął ze wzgardą Zalasta. - Nie sądziłeś chyba, że pozwolę ci to zrobić? Nigdy nie zamierzałem cię dopuścić na mniej niż pięć mil od Bhelliomu.

Scarpa patrzył na niego oszołomiony.

- Próbowałem ocalić ci życie, idioto. Bhelliom zniszczyłby cię, gdybyś go tylko dotknął.

- Nie, gdybym miał pierścienie. One by mnie ochroniły. - Scarpa powiódł wokół oszalałym wzrokiem.

- Pierścienie nic nie znaczą. Nie mają żadnej władzy nad Bhelliomem.

- Kłamiesz!

- Rozpaczliwie chcesz w to uwierzyć, prawda, Scarpo? Myślałeś, że wystarczy tylko założyć parę pierścieni, by zyskać władzę nad najpotężniejszą siłą we wszechświecie. Troll karzeł Ghwerig wykuł pierścienie na rozkaz Bhelliomu. Miały zwieść trolla; sprawić, by uwierzył, że kontroluje klejnot. Bhelliom wpłynął na Ghweriga, by ten zrobił pierścienie, a potem oszukał Aphrael, zachęcając, żeby je ukradła. Wszyscy do tego stopnia zajęliśmy się pierścieniami, że nie próbowaliśmy nawet ukraść Bhelliomu z królewskiej korony Thalesii.

Scarpa ożywił się nagle.

- Przechytrzyłeś samego siebie, starcze. Skoro Bhelliom jest tak śmiertelnie groźny, czemu królowie Thalesii mogli go dotknąć i nie zginąć?

- Ponieważ Bhelliom jest żywy, głupcze. Ma świadomość. Zabija tylko tych, których chce zabić - a ciebie z całą pewnością zaliczyłby do tego grona. Jesteś w końcu moim synem, a nawet ja przez większość czasu mam ochotę cię zabić. Umyśliłeś sobie w tej tępej, obłąkanej głowie, że po prostu ujmiesz w dłoń Bhelliomu i zaczniesz wydawać mu rozkazy?

Szalenie poczerwieniał.

- Wbij sobie do durnego łba, że tylko bóg - i Anakha - może bezpiecznie dotknąć Bhelliomu i użyć jego mocy. Zdałem sobie z tego sprawę ponad sto lat temu. Uważasz, że dlaczego zawarłem układ z Azashem - czy z Cyrgonem? Sądziłeś, że kierowało mną religijne uniesienie? - Na jego wargach zatańczył okrutny uśmiech. - Naprawdę myślałeś, że dzięki Bhelliomowi zdołasz mnie pokonać, Scarpo? Zamierzałeś założyć pierścienie, złapać Bhelliom i kazać mu mnie zabić? Niemal żałuję, że do tego nie doszło. Z rozkoszą zobaczyłbym wyraz twojej twarzy w chwili, gdy Bhelliom wolno zamieniłby cię w kamień. - Zalasta wyprostował się. - Dość już tego - rzekł i podszedł do drzwi. - Chodźcie tu! - warknął. - Wszyscy!

Czekający za progiem mężczyźni z wyraźnym lękiem i wahaniem weszli do środka. Krager całkowicie wytrzeźwiał ze strachu, a Elron kulił się, przerażony. Towarzyszył im chudy, żylasty Styrik o drugiej brodzie, krzaczastych brwiach i zapadniętych, gorejących oczach.

- W porządku, panowie - zaczął Zalasta. - Ostatnie wydarzenia zmuszają nas do zmiany planów. Przedyskutowaliśmy tę kwestię z moim synem, który najwyraźniej woli jeszcze pożyć, bo zgodził się posłuchać moich poleceń. Zamierzam zabrać królową i jej służkę w bezpieczne miejsce. Natayos nie jest już pewną kryjówką. Sparhawk może przebywać dosłownie wszędzie. Możliwe, że dotarł już tutaj. Chcę, żebyście wy trzej zostali ze Scarpa. Nadal wysyłajcie fałszywemu Sparhawkowi listy z instrukcjami. Nie pozwólcie, by wrogowie zorientowali się, że odkryliśmy ich podstęp. Dajcie mi parę dni, a potem

przekażcie rozkazy do Panem-Dea. Polećcie im przygotować kwatery dla dwóch wysoko urodzonych dam. Oczekajcie kolejne dwa dni i wyślijcie do nich zamknięty powóz. Dyskrecja to dla tych kretynów w Panem-Dea całkowicie obce pojęcie, więc wieści o waszych rozkazach natychmiast rozejdą się po całej południowej Ardżunie. Cyzado, chcę, żebyś przypilnował mojego obłąkanego syna. Jeśli choć na krok odstąpi od moich instrukcji, masz wezwać z zaświatów jednego ze sług Azasha i kazać mu go zabić. Popuść wodze fantazji, stary druhu. Wybierz najokrutniejszego i najohydniejszego demona, jakiego uda ci się znaleźć. Jeżeli Scarpa znów mnie nie posłucha, chcę, żeby umierał bardzo długo, i chcę, by jego krzyki słyszano aż w Matherionie.

Martwe oczy Cyzady rozbłysły okrutnym blaskiem. Ze złowrogim uśmiechem przygwoździł wzrokiem nagle otrzeźwiałego Scarpę.

- Dopilnuję tego, Zalasto - obiecał głuchym głosem. - Znam doskonałego kandydata.

Scarpa cofnął się, zdjęty strachem.

- Dokąd zabierzesz więźniarki, panie Zalasto? - wykrztusił słabo Elron. - Gdzie możecie czuć się bezpieczni przed tym mściwym potworem Anakhą?

- Nie musisz tego wiedzieć, Elronie - odparł czarodziej. - Pandionici słyną z bezlitosnego przesłuchiwania jeńców. Jeśli nie będziesz czegoś wiedział, nic nie zdradzisz - nawet kiedy wezmą cię na tortury.

- Tortury? - Oczy Elrona rozszerzyły się nagle, a głos załamał w piskliwym jęku.

- Żyjemy w prawdziwym świecie, nie w romantycznym śnie. Czas odgrywania bohatera już minął. Nie wątpię, iż zaimponujesz nam, heroicznie znosząc męki, jakim z pewnością poddadzą cię, jeśli wpadniesz im w ręce.

Elron odsunął się, bliski omdlenia.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Jej wysokość księżniczka Danae z Elenii siedziała zamyślona przy bocznym oknie na wyższym piętrze zamku matki. Pogoda na zewnątrz zmieniała się z minuty na minutę; porywisty wiatr gnał po trawniku tabun suchych liści, umykających chyżo niczym stadko spłoszonych myszy polnych. Danae z roztargnieniem głaskała mruczącą kotkę, rozważając szansę i możliwości.

Mirtai - ponura, niewzruszona, okryta atańskim napierśnikiem z błyszczącej stali i czarnej skóry - stała kilka kroków dalej w głębi korytarza. Jej twarz miała cierpiętniczy wyraz, dłoń spoczywała na rękojeści miecza.

- Wciąż jesteś na mnie zła? - spytała złotoskórą olbrzymkę Danae, nie zadając sobie nawet tyle trudu, by się odwrócić.

- Nie do mnie należy ocenianie moich właścicieli. - Mirtai okazywała w tej kwestii wyjątkowy upór.

- Och, przestań. Podejdź tutaj.

Mirtai przemaszerała korytarzem do miejsca, gdzie siedziała jej kapryśna mała właścicielka.

- Tak?

- Zamierzam spróbować jeszcze raz. Tym razem słuchaj, proszę.

- Jak wasza wysokość sobie życzy.

- To się robi męczące. Kochamy cię, Mirtai.

- Czy wasza wysokość przemawia w królewskiej liczbie mnogiej?

- Zaraz się obrażę. Mam imię. Znasz je. Wszyscy cię kochamy i gdybyś się zabiła, złamałabyś nam serca. Potraktowałam cię tak, bo chciałam, żebyś się opanowała, głuptasie.

- Wiem, czemu to zrobiłaś, Danae, ale czy musiałaś poniżyć mnie przy wszystkich?

- Przepraszam.

- Nie możesz. Jesteś królową, a królowe nie przepraszają.

- A właśnie że mogę, jeśli zechcę. - Danae urwała. - O! -dodała po chwili.

Mirtai wybuchnęła śmiechem i nagle uściskała dziewczynkę.

- Nigdy się nie nauczysz, jak być królową, Danae.

- No nie wiem. Bycie królową oznacza, że mogę dostać, co tylko zechcę. I tak to dostaję. Dla czegoś tak łatwego nie potrzebuję korony ani armii.

- Wasza wysokość, jesteś paskudnie rozpuszczoną młodą panienką.

- Wiem, i napawam się każdą chwilą.

W tym momencie księżniczka usłyszała słaby, odległy pomruk, odgłos, którego Mirtai, rzecz jasna, nie mogła nawet wyczuć.

- Może byś poszła poszukać Melidere? - zaproponowała, po czym westchnęła, przewracając oczami. - Już chyba czas na kolejną dziewczynską lekcję.

- Baronowa uczy cię etykiety i tradycyjnych dygów, Danae -upomniała ją Mirtai. - Jeśli masz zostać królową, musisz to umieć.

- Osobiście uważam, że to głupie. Idź, Mirtai. Zaraz cię dogonię.

Gdy olbrzymka odeszła w głąb zamku, księżniczka Danae przemówiła cicho, patrząc w przestrzeń:

- O co chodzi, Setrasie?

- Umiesz już przecież dygać, Aphrael - odparł jej krętowłosy kuzyn, pojawiając się nagle tuż obok. - Po co ci lekcje?

- Dzięki nim Melidere ma zajęcie i nie pakuje się w kłopoty. Poświęciłam mnóstwo czasu i wysiłku, żeby skojarzyć ich ze Stragenem. Nie chcę, żeby to zepsuła, nudząc się i szukając dodatkowej rozrywki.

- To dla ciebie bardzo ważne, prawda? - W głosie Setrasa brzmiało lekkie zdumienie. - Czemu w ogóle interesują cię ich rytuały godowe?

- Wątpię, byś to zrozumiał, Setrasie.

- Jestem równie stary jak ty.

- Owszem, ale nie zwracasz najmniejszej uwagi na to, co robią twoi wyznawcy, kiedy zostają sami.

- Wiem dobrze, co robią. To idiotyczne.

- Im się podoba.

- Kwiaty radzą z tym sobie znacznie bardziej elegancko. -Pociągnął nosem.

- Czy właśnie o tym chciałeś ze mną rozmawiać?

- Och, byłbym zapomniał. Mam dla ciebie wiadomość. Pewien rycerz alcjonita - jeden z tych, którzy mi służą; chyba go znasz: mężczyzna o okrągłej twarzy, nazywa się Tynian...

- Tak?

- Wrócił do Chyrellos po pomoc i wygląda na to, że niechcący wyłuskał z ich szeregów wszystkich pandionitów, umiejących się z tobą kontaktować. Sprowadził ich do tej części świata, więc wśród rycerzy kościoła nie pozostał nikt, kto mógłby powiadomić cię o wydarzeniach w Zemochu.

- Tak, już o tym wiem. Anakha zamierza poważnie pomówić z Tynianem. Co się stało

w Zemochu?

- Rycerze kościoła spotkali się z Kładem. Trzecia ich część zginęła.

Bogini-dziecko wyrzuciła z siebie długą litanię paskudnych przekleństw.

- Aphrael! - zachłysnął się jej towarzysz. - Nie powinnaś tak mówić!

- Och, daj spokój, Setrasie! Czemu nie powiedziałeś mi tego od razu?

- Tamto bardziej mnie zaciekało - przyznał. - Poza tym nie wszyscy zostali zabici, Aphrael. Zostało jeszcze całkiem sporo. Niedługo będzie ich tylu co przedtem. Mnożą się w szalonym tempie.

- Kocham ich wszystkich, gamoni! Nie chcę tracić żadnego z nich!

- Jesteś zachłanna. To jedna z twoich wad, kuzynko. Wiesz przecież, że nie możesz zatrzymać wszystkich.

- Nie zakładałabym się, Setrasie. Ja dopiero zaczynani. -Nagle wyrzuciła ręce w górę.

- To nieznośne! Nawet nie rozumiesz wiadomości, którą próbujesz mi przekazać. Gdzie są teraz rycerze kościoła?

- Na stepach środkowego Astelu, w drodze do Cynesgi. Kiedy tam dotrą, pewnie znów natkną się na Kładą. Mam nadzieję, że nie zabije ich wszystkich.

- Kto nimi dowodzi?

- Gdy opuścili Chyrellos, kierował nimi jeden ze sług Ro-malica - starzec imieniem Abriel - ale zginął w Zemochu, toteż teraz rozkazuje im wysoki kapłan boga eleńskiego, Thalezyjczyk Bergsten.

- Powinnaś się była domyślić - odparła. - Najpierw muszę załatwić kilka spraw. Potem poszukam Bergstena i dowiem się, co naprawdę zaszło.

- Staralem się tylko pomóc. - W głosie Setrasa zabrzmiała nutka urazy.

- Świetnie się spisałeś, kuzynie - wybaczyła mu Aphrael. -To nie twoja wina, że nie jesteś na bieżąco.

- Mam na głowie mnóstwo ważnych rzeczy, Aphrael - bronił się. - Odwiedź kiedyś moją pracownię - dodał promiennie. -Niedawno stworzyłem świetny zachód słońca. Doskonałe dzieło. Jest tak piękny, że go sobie zostawiłem.

- Setrasie! Nie możesz ot tak zatrzymać słońca!

- Nikt tam nie mieszka, Aphrael. Niczego nie zauważą.

- O rany! - Ukryła twarz w dłoniach.

- Zawiodłem cię, prawda? - Dolna warga boga zadrzała, w jego wielkich, przejrzystych oczach zakręciły się łzy. - A tak bardzo staram się, żebyście byli ze mnie dumni.

- Nie, Setrasie - odparła. - Wciąż cię kocham. Rozpromienił się.
- A więc wszystko w porządku?
- Jesteś wspaniały, Setrasie. - Ucałowała go. - A teraz idź. Muszę pomówić z innymi.
- Ale przyjdiesz i obejrzysz mój zachód słońca?
- Oczywiście, kuzynie. Możesz już iść. — Podniosła drzemią* ca kotkę i dmuchnęła we włochate ucho. - Obudź się, Mmir — poleciała.

Żółte oczy otwały się.

- Wracaj do naszego gniazda - powiedziała księżniczka po kociemu. - Ja muszę jeszcze coś zrobić.

Postawiła Mmrr na podłodze. Kotka wygięła grzbiet, uniosła ogon na kształt znaku zapytania i ziewnęła, po czym niespiesznie odbiegła korytarzem.

Danae rozejrzała się, badając otoczenie wzrokiem i myślami, by upewnić się, że jest sama. Po zamku krążyło sporo mężczyzn, a pojawienie się nagiej bogini zawsze podniecało ludzkich samców. Oczywiście pochlebiało to jej próżności, ale też było dość dziwne dla istoty całkowicie pozbawionej popędu płciowego. Mimo wielu prób Aphrael nie potrafiła pojąć, jak mężczyźni mogą być w swych instynktach tak niewybredni.

Bogini-dziecko na moment przybrała swą prawdziwą postać, po czym rozdzieliła się na dwie dziewczynki.

- Rośniesz, Danae - zauważyła Flecik.

- Aż tak to widać? Już?

- Daje się dostrzec. Ale masz jeszcze trochę czasu, zanim zupełnie dorośniesz. Jesteś pewna, że chcesz przez to przejść?

- Może dzięki temu zrozumiemy ich nieco lepiej. Wątpię, by Setras w ogóle orientował się, że do... no wiesz, potrzeba kobiety i mężczyzny. - Danae się zarumieniła.

- Setras nie grzeszy przesadną bystrością. Mogę pożyczyć Mirtai? - spytała Flecik.

- Po co?

- Tak naprawdę wcale jej tu nie potrzebujesz, a po tym, co się stało w Dirgis, chciałabym, by ktoś zaufany przypilnował Sephrenii.

- Dobry pomysł. Porozmawiajmy z Sarabianem i pozostałymi. Będą mogli zawiadomić tych, z którymi nie mamy kontaktu.

Flecik przytaknęła.

- Byłoby znacznie wygodniej, gdyby wszyscy należeli do nas.

Danae roześmiała się.

- Setras miał chyba rację. Naprawdę jesteśmy zachłanne.

- Kochamy ich wszystkich, Danae. Nie widzę powodów, dla których oni nie mogliby kochać nas.

Dziewczynki ruszyły naprzód, trzymając się za ręce.

- Danae - zagadnęła Flecik - myślisz, że Mirtai boi się wysokości?

* * *

- Wygląda zupełnie jak rysunek Talena, prawda? - mruknął Tynian.

- Rzeczywiście, jest bardzo podobny - zgodził się Ulath. - Ten chłopak ma ogromny talent.

- Owszem. A do tego nieźle rysuje.

Ulath zaśmiał się krótko, po czym spojrzał na grupkę mężczyzn, zebranych wokół Paroka, i odciągnął na bok Tyniana.

- Parok wydaje rozkazy - szepnął - ale Ardżuni w błyszczącej tunice przemawia w imieniu króla Rakyi.

- Sarabian będzie bardzo zirytowany zachowaniem króla Ardżunu.

Ulath przytaknął.

- Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy wkrótce ujrzeli na tronie nowego władcę.

- Co dokładnie Parok powiedział o Natayos? Nie przesłyszałeś się aby?

- Nie ma mowy. Tuż przedtem, nim zaczął się kłócić z księciem Milanisem, Parok wspomniał, że zanim przekażą Spar-hawkowi ostatnie instrukcje, Scarpa chce wyprowadzić armię z Natayos. Niemal zacząłem wiwatować, kiedy usłyszałem, że zamierzają wysłać tam Sparhawk, aby dokonał wymiany.

- Musimy jednak zachować ostrożność. Możliwe, że przetrzymują Ehlanę gdzie indziej. Mogą ją zabrać do Natayos dopiero w ostatniej chwili.

- Dowiemy się na pewno, gdy tylko dotrze tam Xanetia. — Ulath wzruszył ramionami.

Drzwi pełnej książek komnaty otwarły się i do środka wbiegł lokaj w liberii.

- Ważna wiadomość z Natayos, baronie - oznajmił. - Posłaniec niemal zajeździł konia na śmierć.

- Konie są tanie. Przyślij go tutaj.

- Mógłbym się nauczyć nie lubić tego gościa - mruknął Tynian.

- Ja już go nie lubię - odrzekł Ulath. Nagle spojrzał porozumiewawczo na przyjaciela.

- Jesteśmy tak jakby niewidzialni? - spytał.

- Tak twierdzi Ghnomb.

- Wyobrażasz sobie wyraz twarzy Paroka, gdyby nagle niewidzialny nóż wypruł mu trzewia?

- Powoli - dodał Tynian. - Bardzo, bardzo powoli. Posłańcem z Natayos okazał się obdarty Dacita, ze zmęczenia chwiejący się na nogach.

- Baronie - wydyszał - dzięki Bogu, że cię znalazłem!

- Gadaj, człowieku!

- Mógłbym najpierw dostać trochę wody?

- Najpierw wiadomość. Potem pij sobie, ile zechcesz.

- Pan Scarpa polecił mi poinformować cię, że człowiek, którego śledzisz, nie jest Sparhawkiem.

- Widzę, że Scarpa w końcu kompletnie oszalał.

- Nie, baronie. Zalasta to potwierdza. Ktoś imieniem Klael -chyba sądzą, że wiesz, o kim mowa - przyjrzał się człowiekowi, któremu przekazujecie instrukcje. W każdym razie zawiadomił nas, że mężczyzna ze złamanym nosem co prawda wygląda jak Sparhawk, ale nim nie jest. Ten Klael najwyraźniej umie go rozpoznać.

Parok bluznął potokiem przekleństw.

- A niech to! - warknął Tynian. - Zawiadomię Aphrael. Lepiej ściągnijmy Berita i Khalada w bezpieczne miejsce.

- Czy Scarpa zabił żonę Sparhawk? - spytał baron Parok.

- Nie, panie baronie. Zamierzał to zrobić, ale Zalasta go powstrzymał. Mam ci przekazać, abyś nie robił nic, co mogłoby uprzedzić oszusta, że przejrzelśmy jego podstęp. Zalasta potrzebuje czasu, żeby przenieść więźniarki do bezpiecznej kryjówki. Chce, żebyście działali dalej, jak gdyby nic się nie stało. Gdy dowiedzie kobiety na miejsce, da wam znać, że możecie już zabić niby-Sparhawk.

- A zatem Zalasta przejął dowodzenie?

- Tak, baronie Paroku. Pan Scarpa jest nieco - rozkojarzony; tak to można nazwać.

- Równie dobrze możesz powiedzieć: szalony. To dokładniejsze określenie. - Parok zaczął krążyć po komnacie. - Zastanawiałem się, czego trzeba, żeby Scarpa załamał się kompletnie -mruknął. - Chyba tak jest lepiej. Zalasta to Styrik, ale przynajmniej ma po kolei w głowie. Wracaj i przekaz mu, że otrzymałem wiadomość i nie zrobię niczego, co mogłoby pokrzyżować mu plany. Niech wie, że nie przepadam za Scarpa i może liczyć na moją całkowitą lojalność.

- Tak uczynię, baronie. c.i Książę Milanis wstał i podszedł do okna.

- Na Boga, co to za straszny smród?! - wykrzyknął. Tynian odwrócił się i ujrzał przygarbionego trolla, stojącego tuż za ich plecami.

- Bhlokwie - rzekł - nie powinieneś w ten sposób wchodzić do gniazd ludzkich stworów.

- Przysyła mnie Khwaj, Tin-in - wyjaśnił Bhlokw. - Khwaja zmęczyło czekanie. Chce spalić złych wiecznym ogniem.

Nagle ich mroczną półchwilę wypełnił dym i poczuli obok siebie przytłaczającą obecność boga ognia.

- Wasze łowy trwają zbyt długo, Ulacie z Thalesii. Czy znalazłeś już któregoś ze złych? Jeśli tak, wskaż mi go. Sprawię, że będzie płonął wiecznie.

Tynian i Ulath wymienili przeciągłe spojrzenia. Po chwili wargi Tyniana wygięły się w złowrogim uśmiechu.

- Czemu nie? - zgodził się Ulath, patrząc na migoczącą postać boga ognia. - Nasze łowy udały się, Khwaju - oznajmił. -Znaleźliśmy jednego z tych, którzy ukradli kobietę Anakhy. Możesz już sprawić, by płonął wiecznie. - Zawiesił głos. - Jednak polujemy też na innych - dodał. - Nie chcemy ich spłoszyć, bo potem trudniej ich będzie upolować. Czy Ghnomb mógłby przenieść do beczasu tego, którego znaleźliśmy? Tu możesz go spalić. Kiedy będzie płonął w beczasie, inni członkowie stada nie poczują dymu i nie usłyszą, jak krzyczy, zraniony, więc nie uciekną.

- Twoja myśl jest dobra, Ulacie z Thalesii - zgodził się Khwaj. - Porozmawiam o tym z Ghnombem. Sprawię, że ten, co ma płonąć wiecznie, zapłonie w czasie, który stoi w miejscu. Kogo z nich mam spalić?

- Tego - odparł Ulath, wskazując barona Paroka. Książę Milanis odwracał się właśnie od okna, kiedy zamarł, zastygając niczym posąg.

Baron Parok wciąż krążył niespokojnie po pokoju.

- Musimy podjąć dodatkowe środki ostrożności - rzekł, nie dostrzegając, iż otaczający go ludzie przestali się ruszać. Nagle odwrócił się i o mało nie wpadł na wyczerpanego posłańca z Na-tayos. - Zejdź mi z drogi, durniu! - warknął.

Mężczyzna ani drgnął.

- Kazałem ci zanieść wiadomość Zalaście! - ryknął Parok. -Czemu wciąż tu jesteś? - Uderzył posłańca na odlew w twarz i krzyknął z bólu, gdy jego ręka zderzyła się z czymś twardszym niż kamień. - Co się z wami dzieje? - jego głos wzniósł się w histerycznym krzyku.

- Co on powiedział? - spytał złowrogo Khwaj. Parok spojrział na olbrzymiego boga

trolli, wrzasnął i rzucił się do drzwi.

- Nie rozumie, że jest teraz w beczasie - odparł w języku trolli Ulath.

- Powinien wiedzieć, za co ponosi karę - uznał Khwaj. -Czy zrozumie, jeśli porozmawiasz z nim w ptasich dźwiękach ludzkich stworów?

- Sprawię, żeby zrozumiał - przyrzekł Ulath.

- To dobrze. Przemów do niego.

Parok tłukł rozpaczliwie pięściami w nie dające się otworzyć i drzwi.

- Nic ci z tego nie przyjdzie, stary druhu - powiedział uprzej-• mię Ulath. - Twoja sytuacja, baronie, zdecydowanie się pogorszyła. Ten wielki gość, któremu dymi z uszu, to Khwaj, bóg ognia trolli. Nie spodobało mu się, że porwał królową Ehlanę.

- Kim jesteś? - wykrztusił Parok. - Co się tu dzieje?

- Znalazłeś się w miejscu kary, baronie - odrzekł Tynian. -Jak właśnie wyjaśnił mój przyjaciel, wzbudziłeś niezadowolenie Khwaja. Trolle są niezwykle moralną rasą. Rzeczy, które dla nas stanowią chleb powszedni - porwania, otrucia, uprowadzenia dla okupu - ogromnie je oburzają. Jedno może cię pocieszyć, baronie Paroku. Będziesz żył wiecznie. Nigdy nie umrzesz.

- O czym ty mówisz?

- Przekonasz się.

- Czy już rozumie? - spytał niecierpliwie Khwaj.

- Myślimy, że tak - odparł w mowie trolli Ulath.

- To dobrze. - Khwaj z nieubłaganą miną zbliżył się do skulonego Dacity, wyciągając potężną łapę. Powoli opuścił ją na głowę Paroka. - Płoń! - warknął.

Baron Parok wrzasnął.

Nagle jego twarz jakby pękła; spod skóry trysnął oślepiający ogień. Tunika zadymiała i zmieniła się w garść popiołu.

Ponownie zawył.

Jego postać pozostała ludzka, lecz wypełniały ją płomienie. Baron płonął bez końca, podskakując i skowycząc z bólu.

Khwaj rąbnął łapą w nieruchome drzwi, które rozpadły się na płonące drzazgi.

- Idź! - zagrzemiał. - Biegnij! Biegnij przez wieczność i płoń przez wieczność!

Płonący Dacita wrzasnął.

Miasto Ardzun trwało w bezruchu wiecznej sekundy ciągłego „teraz”. Mieszkańcy stali w miejscach niczym posągi, nie dostrzegając śmigającego cichymi ulicami ognistego upiora. Nie słyszeli jego jęków bólu. Nie widzieli, jak pędzi w stronę jeziora.

Baron Parok biegł, płonąc, pozostawiając za sobą smugę tłustego dymu. Dotarł do brzegu i popędził na długi pomost nad mrocznymi wodami Morza Ardzuńskiego. Gdy osiągnął koniec pomostu, nie zatrzymał się, lecz skoczył naprzód, desperacko łaknąc ochłody. Lecz, podobnie jak sama chwila, powierzchnia jeziora także zastygła w bezruchu, twarda niczym diament. Ognisty upiór zaskowyczał gniewnie. Klęcząc na błyszczącej tafli tłukł w nią pięściami, błagając, by wpuściła go do środka, by mógł zatonać w błogosławionym chłodzie tuż poza jego zasięgiem. A potem Parok zerwał się na nogi, gnany straszliwym rozkazem boga trolli. Ciągłe wrzeszcząc z bólu, ludzka postać, odcisnięta w wiecznym ogniu, biegła po czarnym kryształ, malejąc w dali, aż w końcu stała się tylko jasną iskierką w mroku nocy. Cichy okrzyk bólu i wiecznej samotności odbił się echem od obojętnych brzegów jeziora.

* * *

- Chciałbym, żeby Sparhawk już wrócił - mruknął Talen, gdy wraz ze Stragenem znów wdrapywali się na strych Valasha po trzeszczących schodach. - Zdobyliśmy ważne informacje i w żaden sposób nie możemy przekazać ich pozostałym.

- W tej chwili nic na to nie poradzimy - odparł Stragen. -Zobaczmy, jak Valash zareaguje na twoją najnowszą historyjkę. Nie zdradzaj żadnych szczegółów, póki nie zobaczymy, na co zwraca uwagę.

- A potem nauczysz mnie, jak się okrada przechodniów? -spytał Talen z udanym zapalem.

- W porządku. - Stragen westchnął. - Przepraszam. Przyznaję, że wiesz, co robisz.

- Och, dzięki ci, Vymerze! - krzyknął Talen. - Dzięki ci, dzięki!

- Spędzasz zbyt wiele czasu w towarzystwie księżniczki Da-nae - wymamrotał cierpko Stragen. - Mam nadzieję, że za ciebie wyjdzie. Zasłużyłeś sobie na to.

- Ugryź się w język, Stragenie. Umiem jeszcze biegać szybciej niż ona.

- Ucieczka nie zawsze pomaga, Reldinie. Ja też sądziłem, że zdołam uciec, ale Melidere zwała mnie z nóg jednym słowem.

- Ach, tak? Jakim?

- Zysk, przyjacielu. Pomachała mi przed nosem nieograniczonymi zasobami złota.

- Sprzedałeś się, Stragenie - rzucił oskarżycielsko Talen. -Dla pieniędzy zdradziłeś wszystkich kawalerów tego świata.

- A ty byś tego nie zrobił? Nie mówimy tu o kilku szelągach.

- To kwestia zasad - odparł wyniośle Talen. - Nigdy nie sprzedałbym się za pieniądze.

: - Danae raczej nie zaoferuje ci pieniędzy, mój niewinny przyjacielu. Jeśli zaczniesz już biec, może zdołasz jej uciec, ale wątpię. Znałem twojego ojca. Mężczyźni z twojej rodziny mają słabość na pewnym punkcie. Danae cię dostanie, Talenie. Nie masz żadnych szans.

- Moglibyśmy pomówić o czymś innym? To dość drażliwy temat.

Stragen roześmiał się, po czym otworzył wielokrotnie naprawiane drzwi na szczycie schodów.

W słabym blasku samotnej świecy ujrzeli Valasha, który ze zbolałym wyrazem twarzy słuchał Ogerajina, śliniącego się i bełkoczącego długie serie nie powiązanych z sobą słów.

- Wcale mu się nie polepsza - zauważył cicho Stragen, gdy wraz z Talenem dołączyli do nich przy stole.

- Jemu już się nie polepszy, Vymenze. - Valash westchnął.

Parę razy widziałem ofiary tej choroby. Nie zbliżajcie się do niego. W tym stadium jest okropnie zaraźliwa.

- Jasne. Nie chciałbym tego złapać. - Talen zadrżał.

- Macie coś dla mnie? - spytał Valash.

- Nie dam za to głowy, mości Valashu - odparł ostrożnie Talen. - Informacje nie pochodzą z całkiem pewnego źródła, zapewne jednak zechcesz przekazać je do Panem-Dea. To dotyczy ich bezpośrednio, więc mogą zdecydować się podjąć dodatkowe środki bezpieczeństwa.

- Mów - polecił Valash.

- Cóż, podsłuchałem rozmowę dwóch ardzuńskich żołnierzy w portowej tawernie - to znaczy prawdziwych ardzuńskich żołnierzy, nie rekrutów pana Scarpy. Dyskutowali o rozkazach, które otrzymali właśnie ze stolicy Ardżuny. Z tego, co zdołałem się zorientować, polecono im poczynić przygotowania do długiej kampanii w dżungli. Są przekonani, że mają zaatakować obóz pana Scarpy w Panem-Dea.

- Niemożliwe! - prychnął Valash.

- Mówili, że rozkazy pochodzą od samego króla Rakyi. Oczywiście otrzymali je oficerowie, toteż żołnierze zapewne coś pokręcili, ale wierzą święcie, iż armia ardzuńska zaatakuje siły Scarpy. Pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć.

- Ci żołnierze byli pijani, Reldinie. Król Rakya jest naszym sojusznikiem.

- Naprawdę? Zdumiewające. Powinien więc zawiadomić o tym swoje wojsko. Ci dwaj, których podsłuchałem, dosłownie ślinili się na myśl o łupach, jakie wyniosą z Panem-

Dea.

- Królowa jedzie do Panem-Dea - zanucił nagle Ogerajin skrzypiącym głosem na melodię starej kołysanki. - Królowa jedzie do Panem-Dea. - Ostatnie słowo przeszło w piskliwy chichot.

Na twarzy Valasha odbił się gwałtowny niepokój.

- Uspokój się, mości Ogerajinie - rzekł, zerkając z troską na Talena i Stragena.

- Królowa jedzie do Panem-Dea, jedzie w białej karecie -śpiewał, fałszując, Ogerajin.

- Nie zwracajcie na niego uwagi - powiedział trochę zbyt szybko Valash. - Bredzi w malignie.

- Naprawdę mu odbiło - zauważył Stragen.

- Sześć siwych koni i sześć srebrnych kół... - śpiewał Ogerajin.

- Słyszeliście kiedyś podobne brednie? - Valash zaśmiał się słabo.

- Nasza obecność musi go niepokoić - uznał Stragen. - Czy zazwyczaj zasypia późnym wieczorem?

- Zwykle tak.

- To dobrze. Od tej pory będziemy z Reldinem przychodzili po północy, kiedy śpi.

- Będę wam bardzo wdzięczny, Vymenze. - Valash spojrział na nich; jego twarz wciąż zdradzała troskę. - Nie zawsze taki był. To ta choroba.

- Nie wątpię. Pewnie nie wie nawet, co mówi.

- Właśnie, właśnie. Zupełnie stracił rozum. Zapomnijcie o jego wariackich śpiewkach.

- Valash złapał wiszącą u pasa sakiewkę i odliczył kilkanaście monet. - Proszę. Wpadnijcie zno-’wu, kiedy będzie spał.

Obaj złodzieje ukłonili się i wyszli.

- Nerwowy, prawda? - spytał Talen, gdy zaczęli schodzić na dół. „ - Zauważyłeś. Zapomniał się do tego stopnia, że sam otworzył mieszek.

Dotarli do stóp schodów.

- Dokąd teraz? - zagadnął Talen.

- Chwilowo donikąd. Zachowaj to dla siebie, Talenie.

- Co takiego?

Ale Stragen przemawiał już w dzwicznym języku styrickim, wykonując w powietrzu przed sobą skomplikowane gesty.

Talen patrzył, jak jego towarzysz otwiera dłonie i porusza nimi, jakby coś rzucał, niczym człowiek wypuszczający gołębia. Jego oczy zamglily się, wargi przez chwilę poruszały się bezdźwięcznie. Wreszcie uśmiechnął się.

- Zaskoczyłem ją - powiedział. - Chodźmy.

- Co się tu dzieje? - spytał ostro Talen.

- Przekazałem Aphrael wszystko, czego się dowiedzieliśmy. - Stragen wzruszył ramionami.

- Ty? Kiedy się nauczyłeś styryckiej magii?

- To nie takie trudne, Talenie. - Stragen uśmiechnął się szeroko. - Dostatecznie często widywałem, jak Sparhawk to robi, a poza tym znam styrycki. Gesty okazały się nieco bardziej skomplikowane, ale Aphrael udzieliła mi instrukcji. Następnym razem pójdzie mi lepiej.

- Skąd wiedziałeś, że się uda?

- Nie wiedziałem. Uznałem, że warto spróbować. Aphrael jest ze mnie bardzo zadowolona.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że właśnie zgłosiłeś się na ochotnika, aby jej służyć? Przynajmniej tyle o niej wiem. Teraz jesteś jej niewolnikiem, Stragenie. Należysz do niej.

- No cóż. - Stragen wzruszył ramionami. - Można by trafić gorzej. Aphrael sama jest złodziejką, nie wątpię więc, że się dogadamy. - Wyprostował ramiona. - Idziesz?

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Jesteś całkowicie pewna? - spytał niecierpliwie Sparhawk boginię-dziecko.

- Kaltel jest - odparła. - Przechodził obok budynku, gdy Alean zaczęła śpiewać. Wierzysz chyba, że rozpoznał jej głos? , Sparhawk przytaknął.

- Swoim śpiewem mogłaby go wskrzesić z martwych. Jak szybko możesz przenieść mnie do Natayos?

- Najpierw zawiadźmy o Dirgis. Chcę poinformować o najnowszych wydarzeniach Xaneti i Sephrenię.

- Ja już o nich wiem. Muszę się dostać do Natayos, Aphrael.

- Wszystko w swoim czasie, Sparhawk. Podróż do Dirgis nie potrwa długo, a możliwe, że któreś z nich wpadnie na jakiś użyteczny pomysł.

- Aphrael... - zaczął protestować.

- Zrobimy to po mojemu - ucięła stanowczo. - Zwłoka nie będzie zbyt wielka, a tymczasem może zdołasz opanować swój temperament. Tamci czekają już w komnacie z mapą na ścianie. Zabierzmy ich i w drogę!

Zanim ruszyli, doszło do krótkiego sporu.

- Nie potrzebuję konia - upierała się Betuana, mocniej zawiązując sznurowadła wysokich do kostek butów. Aphrael westchnęła.

- Proszę, nie sprzeciwiaj się, Betuano.

- Umiem biegać szybciej niż koń. Po co mi takie brzemię?

- Bo wiesz, jak daleko stąd do Dirgis, a koń nie wie. Tak jest dla mnie łatwiej. Proszę, Betuano, zrób to. - Bogini-dziecko spojrzała błagalnie na zbrojną atzańską królową.

Betuana roześmiała się i ustąpiła.

I tak wyszli razem na zaśnieżony dziedziniec, dosiedli wierzchowców i wyjechali na ulice Sarny. Na niebie wisiary ciężkie chmury, przesłaniające górskie pasma. Padał gęsty śnieg. Opuścili miasto wschodnią bramą i powoli zaczęli przebijać się w górę stromego zbocza na szczyt jaru. Sparhawk, Itagne i Vanion jechali na przedzie, przecierając szlak przed królową Atanu, która, spowita w ciężki płaszcz, trzymała w ramionach boginię-dziecko. Sparhawk niepokoiła dziwna dwoistość osobowości małej bogini. Wiedział, że mądrość Aphrael przekracza jego zdolności pojmowania, ale przecież była jednocześnie małą dziewczynką. Potem jednak przypomniał sobie nagą, rzeczywistą postać prawdziwej bogini i stracił wszelką nadzieję, że kiedykolwiek ją zrozumie.

- Nie możemy jechać szybciej? - spytał ostro Vanion.

Przyjaciel Sparhawk znosił męki wyczekiwania od momentu, kiedy dowiedział się o zamachu na Sephrenię, i chwilami Sparhawk obawiał się, że będzie musiał powstrzymać go siłą.

- Szybkość nie ma tu znaczenia, Vanionie - rzekł. - Możemy biec albo wlec się, lecz nadal dotrzemy tam w tym samym czasie.

- Jak możesz być tak spokojny?

- Po pewnym czasie człowiek obojętnieje, Vanionie. - Sparhawk roześmiał się sucho.

Jakiś kwadrans później osiągnęli szczyt wysokiego wzgórza i w dole ujrzeli miasto Dirgis - nad którym świeciło jasne słońce.

- To niewiarygodne! - wykrzyknął Itagne. Odwrócił się, spoglądając na dopiero co przemierzony szlak, i jego oczy rozwarły się nagle.

- Prosiłam, żebyś tego nie robił, Itagne - przypomniała mu Aphrael.

- Tam wciąż pada śnieg - wykrztusił - ale... - Ponownie spojrzął na skąpane w słonecznym blasku lodowe pola przed nimi.

- Czemu ludzie zawsze zatrzymują się akurat w tym miejscu? - spytała rozdrażnionym tonem bogini. - Ruszaj, Itagne. Kiedy miniesz przejście pomiędzy dwoma miejscami, wszystko wróci do normy.

Itagne posłusznie uniósł wzrok i patrząc naprzód, wyjechał na jasne słońce.

- Rozumiesz to, Sparhawk? - spytał napiętym głosem.

- Mniej więcej. Naprawdę chcesz usłyszeć, co się dzieje, kiedy przekraczasz miejsce, w którym zniknęło dwieście mil? Tamul zadrżał. Pokonawszy długie zbocze, wkroczyli między domy.

- Jak daleko jeszcze? - dopytywał się Vanion.

- Niedaleko - odparł Sparhawk. - To niezbyt wielkie miasto. Przemierzyli wąskie uliczki, w których odgarnięty niedbale śnieg leżał w przyzmacz wzdłuż ścian budynków. W końcu dotarli do gospody, skręcili na dziedziniec i zeskoczyli z koni.

- Wszystkiego dopilnowałam, Betuano - zapewniała atańską królową Aphrael. - Utrzymuję go pogrążonego w głębokim śnie, aby ciało mogło dojść do siebie.

- Kto się nim opiekuje? Może powinnam do niego dołączyć?

- Nie, Betuano - ucięła stanowczo Aphrael. - Na razie nie wolno mi cię tam zabrać. I

- Ale on jest sam. I

- Oczywiście, że nie. Siedzę tuż przy nim.

- Ale przecież... - Betuana spojrzała na nią pytająco.

- Postaraj się o tym nie myśleć. - Bogini-dziecko w skupieniu ściągnęła wargi. - Engessa Atan to skryty człowiek - prawdopodobnie dlatego, że jest tak milczący. Nie zdawałam sobie, sprawy z tego, jak wiele jest wart, póki nie wniknęłam w jego umysł.

- Ja zawsze wiedziałam - odparła Betuana. - Jak długo będziesz musiała trzymać go z daleka ode mnie - od nas? Aphrael nie skomentowała przejęzyczenia królowej.

- Kilka tygodni. Chcę mieć pewność, że wszystko się zagoiło. Wejźmy do środka, zanim Vanion dostanie apopleksji.

Sparhawk poprowadził ich do gospody; karczmarz zdawał się tak zajęty ścieraniem stołu, że nie dostrzegał niczego innego. Wspięli się po schodach i Sparhawk z zaskoczeniem odkrył, iż przy drzwiach pokoju Sephrenii pełni straż Mirtai.

- Co ty tu robisz? - spytał. - Sądziłem, że jesteś w Mathe-rionie.

- Wypożyczono mnie - odparła. - Jak stary płaszcz.

- Wiesz, że to nieprawda, Mirtai - wtrąciła Aphrael. - Danae absolutnie nic nie grozi, a ja potrzebowałam kogoś, na kim mogę polegać, żeby strzegł Sephrenii. Wejźmy do środka.

Gdy otwarli drzwi, Sephrenia siedziała na łóżku. Xanetia krzątała się wokół niej. Przez okno wpadały oślepiające promienie słońca. Vanion podszedł wprost do ukochanej kobiety, ukląkł u jej boku i delikatnie objął.

- Już nigdy nie spuszczę cię z oka - rzekł zdławionym głosem. Sephrenia ujęła jego twarz w dłoń i ucałowała.

- Zrobisz sobie krzywdę.

- Ciii, Vanionie - odparła, tuląc jego głowę i przyciskając do swej piersi.

Wielkie oczy Aphrael zalśniły od łez. Po chwili otrząsnęła się ze wzruszenia.

- Zaczynamy - rzuciła rozkazująco. - Od naszego spotkania; zdarzyło się wiele rzeczy.

- A wszystkie z nich złe - dodał ponuro Itagne. \

- Niezupełnie - zaprzeczyła. - Najgorsze jest to, że Kitel schwytał rycerzy kościoła w pułapkę w górach Zemochu. Miał przy sobie swoich niezwykłych żołnierzy i nasi przyjaciele, wliczając rannych i zabitych, stracili trzecią część armii.

- Dobry Boże! - jęknął Itagne.

Ponieważ Sparhawk znał już szczegóły niedawnych wydarzeń, jego myśli powędrowały ku tajemnicy żołnierzy Kisła. Musnął palcami wypukłość pod tuniką.

- Błękitna Różo - rzekł w ciszy swojego umysłu.

- Słyszę cię, o Anakho.

- Przyjaciele nasi znów Klcela spotkali. Z nieznannej krainy wojowników ze sobą

sprowadził.

- Spodziewać się można tego było. Klcel do walki z ludźmi niezbyt się nadaje, a to z powodu swego wzrostu.

- W oczach jego jesteście jako myszy - podsumował Sparhawk.

- Słowem tym krzywdzisz się, Anakho.

- Możliwe. Żołnierze ci zdają mi się nie z tego świata. Krew ich żółta jest, a oblicza do twarzy Klcela podobne.

- Ach - odparł głos - pomnij tedy, iie mówiłem ci kiedyś, że Z Klcelem w zwyczaju mamy walkę stacząc o władzę nad każdym światem przeze mnie stworzonym.

- Tak.

- Z bólem przyznać to muszę, Anakho, iie nie zawsze w walkach owych zwyciężyć mi przyszło. Kitel światów mych część mi odebrał i właśnie z jednego z owych światów — najpewniej z Ar-cery - istoty, z którymi kompani twoi się zmierzili, sprowadził.

- Groźni są, Błękitna Rózo, lecz nie niezwyciężeni. Podczas dłuższych walk oznaki znużenia u nich dostrzegliśmy.

- Zdumiałbym się, gdyby ich nie zdradzali. Jeden oddech powietrzem Arcery wystarczyłby, by płuca ci spalić. Powietrze tego świata słodkie jest i zdrowe, tak tedy gatunek twój i inne stworzenia wchłaniać je mogą. Istoty z Arcery mniej szczęścia mają. Ich sposób cuchnących miazmatów ojczyzny wchłaniania znacznie bardziej jest złożony, niżli zwykłe oddychanie. Co więcej, to, co dla cię trujące, dla nich niezbędnym się stało. Wierzę, iie powietrze wasze rzadkie nieprzyjemnym im się zdaje.

- I śmiercionośnym? - naciskał Sparhawk.

- Z czasem na pewno.

- Zechciałbyś przeto oszacować, jak wiele czasu trzeba, by powietrze owo ich zabito?

- Zawziętyś, Anakho.

- Tylko przyparty do muru. Błękitna Roto. Wojownicy Kleela sprawie naszej zagrażają, przeto wiedzieć musimy, jak długo przetrwać tu mogą.

- Czas ów różny jest dla każdego wojownika, nie dłuższy zasię nitli dzień, wysiłek takóž proces ów przyspiesza.

- Dziękuję ci, Błękitna Rózo. Z towarzyszami moimi taktykę przygotuję, tak by informacje twe jak najlepiej wykorzystać.

- Uważaj, Sparhawk - upomniała go Aphrael.

- Przepraszam - rzekł. - Naradzałem się z naszym przyjacielem. - Poklepał wypukłość

na piersiach, po czym spojrział na Vaniona.

- Dowiedziałem się czegoś więcej o słabych stronach żołnierzy Klaela - powiedział. - Będziemy musieli opracować stosowną taktykę.

Vanion przytaknął.

- Czy Berit i Khalad na pewno są bezpieczni? - spytała »‘; dziewczynkę Sephrenia. Aphrael skinęła głową.

- Zalasta nie chce, abyśmy wiedzieli, iż odkrył, że go oszukujemy. Wydał rozkazy, żeby wszyscy zachowywali się jak gdyby nigdy nic. - Zastanowiła się przez moment. - To chyba wszystko - rzekła. - Bergsten maszeruje stepami. Kalten, Bevier i Caalador są już w Natayos, a Ulath, Tynian i ich przyboczny troll wkrótce tam dotrą.

- Czy mogłabyś zawiadomić cesarza? - poprosił Itagne. - Powinien wiedzieć, że król Ardżuny sprzymierzył się ze Scarpą.

- Zajmę się tym - przyrzekła. Nagle lekko zmarszczyła brwi. - Sephrenio - powiedziała. - Czy uczyłaś Stragena naszych tajemnic?

- Nie. Dlaczego?

- Właśnie rzucił zakłęcie tajnego wezwania. Nie zrobił tego zbyt zręcznie, ale go usłyszałam.

- Jakim cudem się tego nauczył?! - wykrzyknął Vanion, wciąż nie wypuszczając Sephrenii.

- Prawdopodobnie obserwując was. Stragen jest bardzo bystry, poza tym zna styricki. Kradzież tajemnic bardzo przypomina przetrzepywanie kieszeni. W każdym razie to właśnie Stragen powiadomił mnie o innych warowniach Scarpy. Teraz z Talenem sprzedają swemu Dacie fałszywe historyjki, by wywołać zamęt wśród strony przeciwnej.

- Tuszę, iż czas nadszedł, bym do Natayos się udała - oznajmiła Xanetia. - Obecność królowej Anakhy potwierdzić musimy i do uwolnienia jej przygotowania poczynić.

- Zanim Zalasta spróbuje ją przenieść - dodał Sparhawk. - Lepiej udam się tam z tobą. Pozostali są już na miejscu i ktoś powinien przypilnować Kaltena, by nie zrobił niczego pochopnego. Poza tym, jeśli Ehlana i Alean rzeczywiście tam są, równie dobrze możemy uwolnić je od razu. Wówczas rozpędzę armię Scarpy i pojedziemy zamienić kilka słów z Cyrgonem.

- I Zalasta - uzupełnił ponuro Vanion.

- A przy okazji - wtrąciła Aphrael - czy ktoś prowadzi spis ludzi, którymi chcemy się zająć? Jeśli tak, może wykreślić z niego barona Paroka.

- Czyżby Ulath go zabił? - odgadł Sparhawk.

- Och, on wciąż żyje, Sparhawku. Widzisz, kiedy Khwaj zaczął wypytywać Ulatha i Tyniana o ludzi, którzy porwali Ehla-nę, dali mu Paroka.

- Co się stało? - spytał Itagne.

- Ghnomb zatrzymał czas. - Wzruszyła ramionami. - Wtedy Khwaj podpalił Paroka. Płomienie ogarnęły go całkowicie. Wciąż ucieka, i będzie uciekał - i płonął - w owej pustej nieruchomej chwili przez całą wieczność.

- Dobry Boże! - wykrztusił ze grozą Itagne.

- Przekażę to Khwajowi - obiecała bogini-dziecko. - Z pewnością ucieszy się, że ci się spodobało.

* * *

Powietrze było suche i chłodne, niebo miało osobliwie szara barwę. Tynian i Ulath wyjechali z Ardżunu w zastygłej chwili; Bhlok w biegł pomiędzy ich końmi.

- Jak sądzisz, ile czasu trzeba, byśmy dotarli do Natayos? - spytał Tynian.

- Och - odparł Ulath - nie wiem. Zapewne parę sekund.

- Bardzo śmieszne.

- Mnie się podobało. - Ulath uniósł wzrok, spoglądając na stado wiszących w powietrzu ptaków. - Ciekawe, czy podczas pobytu w beczasie człowiek się starzeje.

- Nie wiem. Pewnie mógłbyś spytać barona Paroka.

- Wątpię, aby zdołał udzielić rozsądnej odpowiedzi. - Ulath podrapał się po brodatym policzku. - Definitywnie zamierzam się ogolić. A jeśli Gerdzie się to nie spodoba, jego sprawa. - Nagle przypomniał sobie coś, o co dawno już chciał spytać kudłatego przyjaciela. - Bhlokwie - rzekł.

- Tak, U-lat?

- Smutno nam, że nasze łowy prowadzą do krain słońca, • gdzie gorąco może cię zranić.

- Nie rani mnie, U-lat. W beczasie nie ma gorąca ani zimna. Ulath spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Jesteś pewien? - spytał z niedowierzaniem.

- Czujesz gorąco? - odparł pytaniem Bhlok w.

- Nie - przyznał Ulath. - Nie czuję. Myślałem... - Urwał, marszcząc brwi i próbując sformułować następne pytanie w języku trolli. - Kiedy ty i twoi towarzysze stada zjedliście dzieci Cyrgona, umarłe i nieumarłe, byliśmy daleko na północy. / - Tak. To było na pomoc od

miejsca, gdzie jesteśmy teraz.

- Potem Ghnomb zabrał cię i twych towarzyszy stada w bez-czas.

- Tak.

Potem Ghworg poprowadził was do krain słońca.

- Tak.

- Kiedy to zrobił, nie zranił was?

- Nie. Zraniły nas tylko rzeczy, które nie były takie, jak powinny.

- Co nie było takie, jak powinno?

- Wszystkie trolle biegły w jednym stadzie. Nie tak być powinno. Stada trolli nie są liczne. To niedobry sposób łowów. -Bhlok w potarł włochatą twarz ciężką łapą. - Nie polowaliśmy w ten sposób, gdy byliśmy w górach trolli, tam gdzie nasze miejsce. Myślałem, że umysł Ghworga zachorował, kiedy ukazał się nam, kazał nam przekroczyć lód, który nigdy nie topnieje i przybyć do tego miejsca. Nie Ghworg to zrobił. To był Cyrgon. Cyrgon uczynił się podobnym do Ghworga i przemówił głosem Ghworga. To mój umysł zachorował. Myśli powinny mi powiedzieć, że to nie był Ghworg.

- Czy to, że trolle biegają w jednym stadzie, rani cię?

- Bardzo, U-lat. Znam Greka od wielu śniegów. Jego stado poluje niedaleko mojego, w górach trolli. Nie lubię Greka. Od ostatnich dwóch śniegów zamierzałem go zabić. Ghworg nie pozwala mi go zabić. To mnie rani.

- Nie zawsze tak będzie, Bhlokwie - pocieszył go Ulath. -Gdy zabijemy wszystkie dzieci Cyrgona, bogowie zabiorą trolle z powrotem w góry trolli. Wtedy wszystko stanie się takie, jak powinno.

- Ucieszę się, gdy do tego dojdzie. Naprawdę chciałbym zabić Greka. - Bhlok w ponurą miną pobiegł naprzód.

- O co w tym wszystkim chodziło? - spytał Tynian.

- Nie jestem pewien - przyznał Ulath. - Chyba powoli zaczynam rozumieć. Wiem, że mam to tuż przed sobą, ale nie potrafię jeszcze dokładnie określić.

- Tymczasem miejmy nadzieję, że bogowie trolli zdołają opanować ludobójcze instynkty swych dzieci. - - Trollobójcze - poprawił Ulath.

- Co?

- Powiedziałeś „ludobójcze”. Bhlok chce zabić Greka. Grek jest trollem. Odpowiednie słowo brzmi „trollobójcze”.

- Czepiasz się szczegółów, Ulacie.

- Fakty pozostają faktami, Tynianie - odparł Ulath lekko urażonym tonem.

* * *

Wczesnym rankiem następnego dnia Aphrael powróciła z Sarny. Niebo na wschodzie jaśniało bladą zapowiedzią świtu, choć nad zachodnim horyzontem wciąż jeszcze świecił księżyc.

Sparhawk i Xanetia czekali zaledwie pół godziny. Nagle usłyszeli znajomy dźwięk fletu dobiegający z mrocznego lasu.

- Szybko ci poszło - zauważył Sparhawk, gdy dołączyła do nich bogini-dziecko.

- Ostatecznie Sama nie leży po drugiej stronie kontynentu. Sparhawk - odparła. - Dotarli cało i bezpiecznie. - Uśmiechnęła się. - Vanion jest okropny. Kiedy wychodziłam, usiłował zmusić Sephrenię, żeby położyła się do łóżka.

- Była bardzo osłabiona, Aphrael - przypomniał jej Sparhawk.

- Ale już nie jest. Musi jak najwięcej chodzić. Odwróćcie się. Xanetia spojrzała na nią pytająco.

- To jeden z jej kaprysów - wyjaśnił Sparhawk. - Nie lubi, kiedy ludzie patrzą, jak się zmienia. - Zerknął na boginię-dziecko. - Tym razem nie zapomnij o ubraniu, Aphrael. Nie chcemy urazić Anarae.

- Jesteś okropnie męczący, Sparhawk. Odwróćcie się, proszę. Cały proces trwał zaledwie kilka chwil.

- W porządku - rzekła Aphrael.

Sparhawk zauważył, że bogini ponownie okryła się białą satynową szatą.

- Pięknaś ponad wszelkie wyobrażenie, o boska - westchnęła Xanetia.

Aphrael wzruszyła ramionami.

- Oszukuję. Ufasz mi Anarae?

- Choćby życiem własnym, boska Aphrael.

- Mam nadzieję, że słuchasz uważnie, Sparhawk.

- Zorganizowałaś jakiś hałas, który ukryłby nas przed Za-lastą?

- Nie muszę. Tym razem towarzyszy nam Xanetia, a jej obecność zagłusza wszystko.

- Chyba o tym nie pomyślałem - przyznał.

- No dobrze, Anarae - zaczęła Aphrael. - Teraz złapiemy się za rękę, a potem wzlecimy w powietrze. Lepiej, żebyś nie patrzyła w dół. Gdy tylko uniesiemy się nad wierzchołki gór, ruszymy naprzód. Nie będziesz czuła wiatru, zimna ani żadnego ruchu. Po prostu trzymaj mnie za rękę i staraj się myśleć o czymś innym. To nie potrwa długo. - Mrużąc

oczy popatrzyła ku wschodowi. - Lepiej już ruszajmy. Chciałabym dotrzeć do Natayos i znaleźć tam dobrą kryjówkę, zanim żołnierze Scarpy się obudzą. - Wyciągnęła rękę; Sparhawk i Xanetia uchwycili je.

Rycerz z trudem opanowywał nerwy, patrząc, jak ziemia od-, dała się szybko, gdy wzlecieli ku porannemu niebu.

- Znów mnie ściskasz, Sparhawk - upomniała go Aphrael.

- Przepraszam. Jeszcze do tego nie przywykłem. - Obejrzał się na Xanetię.

Anarae, jaśniejąca białym blaskiem, wyglądała niczym uosobienie spokoju.

- Świat pięknym jest - rzekła miękko. W jej głosie dźwięczała nuta zachwyty.

- Zwłaszcza jeśli wzniesiesz się dość wysoko, by nie dostrzegać brzydoty - dodała Aphrael z uśmiechem. - Od czasu do czasu przybywam tu, żeby pomyśleć. To jedyne miejsce, w którym z całą pewnością nikt mi nie przeszkodzi. - Sprawdziła, skąd świeci świeżo wzeszłe słońce, które w miarę jak się wznosiło, zdawało się niemal biec w górę po niebie, po czym ze zdecydowaną miną odwróciła się na południowy wschód i lekko skinęła głową. Ziemia pod nimi poruszyła się i zaczęła odpływać w tył.

- Takowy sposób podróżowania miłym mi się zdaje - zauważyła Xanetia.

- Osobiście także go lubię - zgodziła się Aphrael. - Z pewną nością jest szybszy niż ślimacza jazda konna.

Mknęli na południowy wschód, spowici płaszczem ciszy.

- Morze Ardzuńskie - oznajmił Sparhawk, wskazując wielki zbiornik wodny po prawej.

- Takie małe? - spytała Xanetia. - Sądziłam, iż większe będzie.

- Jesteśmy dość wysoko - wyjaśniła Aphrael. - Z daleka wszystko wydaje się mniejsze.

Lecieli dalej i wkrótce znaleźli się nad gęstą zieloną dżunglą, pokrywającą południowo-wschodnie wybrzeże kontynentu.

- Trochę się obniżymy - upредиła Aphrael. - Skieruję się na Dęło, a potem skręcimy na południowy zachód, do Natayos.

- Azali ludzie na ziemi nas nie dostrzegą? - spytała Xanetia.

- Nie. Choć to ciekawy pomysł. Twoje światło z pewnością by ich zdumiało. Gdyby ludzie ujrzeli nad głowami przelatujące anioły, mogłoby to doprowadzić do narodzin nowych religii. O, jest Dęło.

Ardzuński port wyglądał jak dziecięca zabawka, ciśnięta niedbale na brzeg ciemnoniebieskiego Morza Tamulskiego. Podróżnicy skręcili, podążając wzdłuż brzegu i

obniżając stopniowo lot. Aphrael uważnie wpatrywała się w pędzącą im na spotkanie dżunglę.

- Tam - rzekła z triumfem.

Być może nie od razu dostrzegliby ruiny, gdyby nie to, że ich pomocną dzielnicę oczyszczono z krzaków i drzew, porastających gęsto pozostałą część starożytnego miasta. W promieniach porannego słońca szare kamienie na wpół zwałonych budynków odcinały się ostro od zielonego tła, a prowadząca na północ droga była niczym żółta szrama, głęboka blizna na ciemnym obliczu dżungli.

Osiedli łagodnie na szlaku ćwierć mili na północ od ruin. Sparhawk natychmiast poprowadził swe towarzyszkę sto kroków w głąb zarośli. Z trudem opanowywał podniecenie. Jeśli Kalten miał rację, znajdował się niecałą milę od miejsca, w którym przetrzymywano Ehlanę.

- Zaczynaj, Xanetio - poprosiła Aphrael. - Chcę cię obejrzeć, zanim pójdziesz do miasta. Wolałabym cię nie narażać. Upewnijmy się, że nikt cię nie zobaczy.

- Zanadto troszczysz się o mnie, o boska. Z upływem stuleci my, Delphae, sztukę tę do perfekcji doprowadziliśmy. - Anarae wyprostowała się. Jej twarz przybrała wyraz niemal nienaturalnego spokoju. Postać Delficzki zdawała się migotać. Pod samodziałową szatą zalśniły tęczowe błyski. Xanetia stawała się coraz jaśniejsza, jakby rozpływała się w powietrzu.

A potem pozostał z niej jedynie niewyraźny kształt. Sparhawk z łatwością dostrzegł pnie drzew za jej plecami.

- Jak sprawiasz, że widzimy rzeczy za tobą? - spytała ciekawie Aphrael.

- Strumień światła uginamy, o boska. Na tym właśnie przebranie to polega. Światło opływa nas niczym bystra struga, unosząc z sobą obrazy rzeczy, które ciała nasze normalnie przesłaniają.

- Interesujące. Taka możliwość w ogóle nie przyszłaby mi do głowy.

- Strzec się jednak musimy - dodała Xanetia. - Nasze cienie, niczym zdradzieckie duchy, innym ujawnić nas mogą.

- To proste. Nie wychodź na słońce.

Sparhawk ukrył lekki uśmiech. Nawet bogini potrafiła czasami udzielać przeraźliwie oczywistych rad.

- Zaleceń twych pilnie przestrzegać będę, o boska - odparła z przesadnym spokojem Xanetia.

- Naśmiewasz się ze mnie, prawda, Xanetio?

- Oczywiście, że nie, boska Aphrael. - Teraz zniknął już nawet zarys jej postaci i głos Xanetii zdawał się dochodzić znikąd. - Do dzieła zatem! - rzekła. Jej beczelny głos odpłynął w stronę drogi. - Powrócę niebawem.

- Będę musiała pogratulować Edaemusowi - rzekła Aphrael. - To bardzo sprytna sztuczka. Odwróć się, Sparhawk. Muszę się zmienić.

Gdy bogini-dziecko przybrała znajomą postać Flecika, razem ze Sparhawkiem usadowili się wygodnie i czekali. Słońce powoli wznosiło się na niebie. Dżungla parowała. W powietrzu dźwięczało od świergotu ptaków i brzęczenia owadów. Czas zdawał się wlec bez końca. Byli tak blisko Ehlany, że Sparhawk wyobrażał sobie niemal, iż czuje jej zapach.

- Czy Ulath i Tynian już tu dotarli? - spytał, bardziej po to, by oderwać się od swych ciągłych zmartwień, niż z prawdziwej ciekawości.

- Prawdopodobnie - odparła Flecik. - Wyruszyli z Ardżunu wczoraj rano. Zapewne im wydawało się, że podróż trwa trzy tygodnie, ale dla nas była jedynie mgnieniem oka.

- Zastanawiam się, czy zostali w beczasie, czy dołączyli do armii Scarpy.

- Trudno mi powiedzieć. Może powinnam była sprawdzić przed odejściem Xanetii.

Nagle usłyszeli głosy kilku ludzi na drodze. Sparhawk podkradł się bliżej; Aphrael podążała tuż za nim.

- Ponieważ nie ufam tym żołnierzom, Colu - mówił jeden z nich, zwracając się do jasnowłosego Elena.

- Mamy jasny dzień, Sengo. Nikt nie zaatakuje twoich wozów w pełnym słońcu.

- Nigdy dosyć ostrożności. W Natayos zaczyna brakować pieniędzy, a to piwo jest podstawą mojego interesu. Spragnieni ludzie, którym brak gotówki, zdolni są do wszystkiego.

- Rozważałeś możliwość obniżenia cen? - spytał groźnie wyglądający mężczyzna z czarną opaską na oku.

- Ugryź się w język, Shallagu - odparł Senga.

- To tylko propozycja. - Jednooki brutal wzruszył ramionami i tuzin ciężkozbrojnych mężczyzn oddalił się poza zasięg słuchu.

- Oczywiście rozpoznałeś ich - mruknęła Aphrael.

- Owszem. To Kalten i Bevier. Nie widziałem natomiast Ca-aladora. - Zastanowił się przez chwilę. - Poradzisz tu sobie? To znaczy sama?

- Cóż, to okropnie niebezpieczne, Sparhawk. Wszędzie wokół krążą lwy, tygrysy, niedźwiedzie...

- To było głupie pytanie, prawda?

- Raczej tak. Co ci chodzi po głowie?

- Kalten i Bevier niewątpliwie pracują dla tego gościa imieniem Senga. Chyba poproszę, żeby za mnie poręczyli. Wyraźnie działają w Natayos, toteż jeśli zatrudnię się jako strażnik piwa, będę mógł przeniknąć do miasta, nie zwracając niczyjej uwagi.

- Czy zdołasz się opanować, kiedy dotrzesz tak blisko matki?

- Nie zamierzam zrobić niczego głupiego, Aphrael.

- Zatem zgoda. Masz moje pozwolenie.

- Och, dzięki ci, boska Aphrael. Dzięki ci, dzięki, dzięki.

- Masz niewyparzony język, Sparhawk - powiedziała cierpko.

- To pewnie wpływ otoczenia. - Wzruszył ramionami.

- Muszę wrócić na krótko do Sarny - oznajmiła Aphrael. - Kiedy dotrzesz do miasta, postaraj się nie wpaść w kłopoty.

- Będę za tobą tęsknił. - Uśmiechnął się szeroko.

- Masz dziś dziwny nastrój.

- Czuję się świetnie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wydostaniemy twoją matkę jeszcze przed zachodem słońca.

- Zobaczymy.

Czekali, podczas gdy słońce wznosiło się coraz wyżej ponad wschodni horyzont. Wreszcie usłyszeli nadciągające z północy ciężko wyładowane wozy.

- Będę cię informował - przyrzekł Sparhawk i wyszedł z krzaków, stając na poboczu błotnistej drogi.

Pierwszy wóz, ciągnięty przez cztery cierpliwe woły, wynurzył się zza zakrętu. Cały tył miał wyładowany beczkami. Na koźle, obok woźnicy o wyglądzie łotra, siedział mężczyzna zwany Sengą. Kalten, z dziwnie znajomym wyrazem odmienionej twarzy, przycupnął na stosie beczek.

- Hej, Colu! - zawołał Sparhawk. - Dobrze mi się zdawało, że rozpoznaję twój głos, kiedy przejeżdżałeś tędy jakiś czas temu.

- Niech mnie piorun świśnie, jeśli to nie Fron! – wykrzyknął Kalten, szeroko się uśmiechając. Sparhawk poniewczasie zadał sobie pytanie, co by się stało, gdyby tamten go nie rozpoznał.

Kalten śmiał się ze szczerą radością.

- Wszyscy sądziliśmy, że gdy w Matherionie zrobiło się za gorąco, uciekłeś na morze.

- Nie powiodło mi się. - Sparhawk wzruszył ramionami. - Na pokładzie był bosman, który zbyt chętnie sięgał po bat.

Pewnej ciemnej nocy postanowił nagle popłynąć do brzegu. Nie mam pojęcia, co go

napadło. Kiedy pomagałem mu przejść przez burtę, od brzegu dzieliło nas dwadzieścia lig.

- Ludzie robią czasem dziwne rzeczy. Co tu porabiasz?

- Słyszałem o tej armii i pomyślałem, że to dobra kryjówka. Krążą plotki, iż niejaki Scarpa zamierza zaatakować Matherion. Mam tam kilka rachunków do wyrównania, więc postanowiłem dołączyć do niego - dla zabawy i zysku.

- Chyba znajdziemy ci lepsze miejsce niż na tyłach armii Scarpy. - Kalten szturchnął stopą ramię Sengi. - Ten jegomość stojący po kostki w błocie to nasz stary druh z Matherionu - poinformował karczmarza. - Nazywa się Fron i świetnie sobie radzi w walce. Gdy ruszyła na nas policja, stał ramię w ramię z Shallagiem, powstrzymując ich i pozwalając nam uciec. Myślisz, że znajdziemy dla niego miejsce w Natayos?

- Ręczysz za niego, Colu? - spytał Senga.

- W razie kłopotów nie znalazłbyś nikogo lepszego.

- Ty kierujesz ochroną. Wynajmuj, kogo tylko chcesz.

- Miałem nadzieję, że tak na to spojrzysz. - Kalten wezwał gestem Sparhawk. - Włóż tutaj, Fronie. Pokażę ci cuda Natayos.

- Z wozu z piwem?

- A znasz lepsze miejsce?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kring przybył do Sarny późnym popołudniem tego samego dnia, kiedy Aphrael przeniosła tam z Dirgis Sephrenię i jej towarzyszy. Mirtai spokojnie zeszła na dziedziniec atańskiego garnizonu, by powitać swego krzywonogiego oblubieńca. Oboje objęli się sztywno, po czym weszli do budynku.

- Zdawała się dość opanowana - zauważył cicho Vanion, obserwując wraz z Betuaną zakochaną parę z okna sali narad.

- Nie wypada otwarcie okazywać swoich uczuć, Vanionie mistrzu - odparła królowa. - Należy zachować pozory, choć serce wolałoby postąpić inaczej.

- Ach, tak.

- Witaj, przyjacielu Vanionie - rzekł Kring, wchodząc do sali wraz z ukochaną. Właśnie ciebie szukałem.

- Mnie też miło cię widzieć, przyjacielu Kringu. Co słychać w Samarze?

- Cisza i spokój. Cynesganie wycofali się spod granicy. Czy na południu dzieje się coś, o czym mi nie mówiliście?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. Czemu pytasz?

- Cynesganie zbierali się po drugiej stronie granicy i oczekiwaliśmy, że w każdej chwili mogą rozpocząć oblężenie Samaru. Nagle, kilka dni temu, wycofali się i odeszli, pozostawiając zaledwie kilka oddziałów. Reszta armii pomaszerowała na południe.

- Czemu zrobili coś takiego? - Vanion zmarszczył brwi.

- Prawdopodobnie ruszyli na spotkanie rycerzy kościoła - odparła Aphrael.

Vanion odwrócił się i ujrzał boginię-dziecko siedzącą spokojnie na kolanach Sephrenii. Jeszcze chwilę wcześniej nie było jej tam. Uznał jednak, że nie ma o czym mówić. Aphrael nigdy się nie zmieni.

- Rycerze kościoła nie nadciągają z tamtej strony, o boska - przypomniał.

- My o tym wiemy, Vanionie - odparła. - Ale Stragen i Talen w Beresie nie próżnowali. Zdołali przekonać szpiega, że po Zatoce Dacońskiej krąży wielka flota okrętów pod banderami kościoła. Najwyraźniej Dacita przekazał wieści dalej i najwyższe dowództwo Cynesgan potraktowało je dostatecznie poważnie, by wysłać swe główne siły do obrony południowej Cynesgi.

- Ale przecież wiedzą, że rycerze kościoła przybywają lądem przez Astel.

- Wiadomo im o tym oddziale, panie Vanionie - odparł Itagne - lecz najwyraźniej

wierzą, iż morzem nadciąga kolejny.

- Nie ma nas aż tak wielu, Itagne.

- Obaj zdajemy sobie z tego sprawę, panie Vanionie. W Tamuli jednak powszechnie uważa się, że wasze zakony liczą sobie co najmniej milion wojowników. Słowa „rycerze kościoła” przywołują wizje armii sięgających od horyzontu po horyzont. Vanion zmarszczył brwi.

- Ach! - rzekł wreszcie. - Podczas wojen zemoskich połączyliśmy siły z armiami królów Eosii. Tamulscy obserwatorzy musieli uznać, iż wszyscy noszący zbroje to rycerze kościoła.

- Chyba porozmawiam z cesarzem - zastanawiał się głośno Itagne. - Nasza dwójka złodziei zasłużyła sobie na tytuły szlacheckie. Ich wymyślona flota ściągnęła znad granicy północno-wschodniej armii i najprawdopodobniej zablokowała także Ar-dżunich.

- To wspaniała flota. - Vanion uśmiechnął się szeroko. - I nie trzeba nawet żywić marynarzy. Podtrzymujmy te opowieści. - Spojrzał na Aphrael. - Czy mogłabyś załatwić nam iluzję, o boska?

- Smoki? Anielskie hufce?

- Co powiesz na tysiąc statków na horyzoncie?

- A co dostanę w zamian?

- Przestać się droczyć - upomniała ją łagodnym uśmiechem Sephrenia.

- Gdzie chciałbyś wysłać swe wymyślone okręty, Vanionie? Mistrz pandionitów zastanowił się przez chwilę.

- Może niech krążą wzdłuż brzegów Daconii i zachodniej Ardżuny? - zaproponował. - Niech Cynesganie i Ardżuni pomęczą się, próbując zająć pozycje tak, by móc bronić się przed inwazją.

- Natychmiast się tym zajmę - odparła, zeskakując z kolan siostry - zanim zapomnę.

- Czy kiedykolwiek o czymś zapomniałaś? - Sephrenia uśmiechnęła się.

- Nie wiem. Kiedyś chyba z pewnością. Prawdopodobnie zapomniałam, kiedy dokładnie. - Pożegnała ich drwiącym uśmieszkiem, po czym zniknęła.

* * *

Siedzący u boku Mirtai Kring, mrużąc oczy, przyglądał się sufitowi, z roztargnieniem gładząc dłonią porośniętą szczeciną czaszkę. Drugiej ręki nie mógł użyć, bo zawładnęła nią Mirtai. Jej zadowolona, niemal błoga mina wyraźnie świadczyła, że w przewidywalnej

przyszłości Atanka nie zamierza wypuścić zdobyczy.

- Jeśli boska Aphrael zdoła na dobre odwrócić uwagę cynes-gańskich wojsk, wraz z Tikumem utrzymamy Samar bez dodatkowej pomocy - rzekł domi. - Zwłaszcza teraz, kiedy wiemy, jak się rozprawić z żołnierzami Kładą. - Mocniej potarł palcami głowę.

- Przestań - upomniała go Mirtai. - Ogołę cię, jak tylko skończymy.

- Tak, ukochana - zgodził się natychmiast.

- To mi o czymś przypomniało - rzekł Vanion. - Sparhawk rozmawiał z Bhelliomem. Żołnierze Kisła mogą oddychać naszym powietrzem zaledwie dzień; potem zaczynają umierać, a wysiłek przyspiesza ten proces. Jeśli znów się na nich natkniecie, nie pozwólcie im odpocząć.

Kring przytaknął.

Do komnaty wszedł wysoki Atan i szepnął coś Itagne'owi.

- W tej chwili jestem okropnie zajęty - zaprotestował Tamul.

- On bardzo nalega, Itagne ambasadorze.

- No dobrze - Itagne wstał z miejsca. - Zaraz wrócę, panie Vanionie - rzekł i w ślad za Atanem opuścił pokój.

- Czy Sparhawk dowiedział się, z jakiego kraju pochodzą żołnierze Klécła, przyjacielu Vanionie? - spytał Kring. - Wolałbym unikać tego miejsca.

- Nie sądzę, abyś musiał się tym przejmować, domi Kringu - powiedziała z uśmiechem Sephrenia. - Kisi sprowadził swoich żołnierzy spoza gwiazd.

Peloi zmarszczył brwi.

- Powinieneś chyba porozmawiać ze Sparhawkiem, przyjacielu Vanionie. Jasne, lubię walczyć jak każdy, ale jeśli zamierza wypowiedzieć wojnę całemu wszechświatowi, wypadałoby najpierw nas uprzedzić.

- Z całą pewnością pomówię z nim o tym, domi Kringu - odrzekł Vanion, po czym westchnął. - Żałuję, że wcześniej nie wiedzieliśmy o żołnierzach Kisła. Rycerze kościoła natknęli się na nich w górach Zemochu. Połowa ich poległa lub została ranna.

- Przykro mi, przyjacielu Vanionie. Straciłeś wielu starych towarzyszy?

- Wielu, domi Kringu - odparł ze smutkiem Vanion. - Wielu.

- Jak się miewa przyjaciel Engessa? - spytał Betuanę Kring.

- Aphrael twierdzi, że zdrowieje, domi - odparła. - Wolałabym jednak przekonać się o tym osobiście.

Itagne powrócił w towarzystwie Tamula odzianego w nieco staromodny strój.

- Zechciej dopilnować, by nam nie przeszkadzano - poprosił atańskiego strażnika na

korytarzu. Następnie zamknął drzwi i zasunął rygiel. - Dla odmiany mam dobre wieści - oznajmił, kładąc dłoń na ramieniu nieznajomego. - Pozwólcie, że wam przedstawię mojego drogiego - choć dopiero co poznanego - przyjaciela, Ekrasiosa.

Betuana uniosła brwi.

- To nie jest tamulskie imię - zauważyła.

- Istotnie, wasza wysokość - zgodził się Itagne. - Nie jest. Prawdę mówiąc, to imię delfickie. Delphae są niezwykle muzykalnym ludem, prawdopodobnie dlatego, że wciąż posługują się klasycznym tamulskim. Mój przyjaciel przybył tu, by nas zawiadomić, że Delphae postanowili porzucić swą wspaniałą izolację. Ekrasiosie, to jest mistrz Vanion, bliski przyjaciel Anakhy. Ta dumna dama to Betuana, królowa Atanów. Niski mężczyzna to Kring, domi zachodnich Peloi. Wysoką urodziwą dziewczyną ściskającą jego dłoń jest Mirtai, jego narzeczona, a piękna Sty-riczka to Sephrenia, najwyższa kapłanka bogini Aphrael.

- Szlachetni państwo - powitał ich Ekrasios, kłaniając się uroczyście. - Pozdrowienia od ukochanego Edaemusa wam przynoszę. Boska Aphrael przekonać go zdołała, że do wspólnego celu zmierzamy, toteż złagodził zakaz przez wiele stuleci na nas ciążyący. Przesłano mnie do cię, panie Vanionie, abym rzekł, że wraz z towarzyszami mymi pod twą władzę się oddaję. Dokąd tedy skierować się winniśmy, by sprawie naszej posłużyć?

- Jeśli mogę, lordzie Vanionie - wtrącił Itagne. - Właśnie przyszło mi do głowy, że Delphae najlepiej poradzą sobie z opróżnieniem ruin w dżunglach Ardżuny. Gdyby Ekrasios z przyjaciółmi pojawili się w pełni swego blasku u bram obozu Scarpy, buntownicy prawdopodobnie wróciliby do domu i znaleźli sobie spokojne zajęcia - ile sił w nogach.

- Dobrze powiedziane - mruknęła z aprobatą Mirtai.

* * *

- Trzeba mu przyznać, że dużo podróżuje - szepnął do Ty-niana Ulath, gdy na starożytnej ulicy pojawił się wóz z piwem, na którego szczycie przysiedli Sparhawk i Kalten. - Jeszcze niedawno był w Dirgis.

- Prawidła natyry nie obejmują stareńkiego Sporhawk - odparł Tynian, nieudolnie naśladowując dialekt Caaladora. - Jak sądzisz, czy powinniśmy przejść w prawdziwy czas, czy raczej zostać tutaj?

- Myślę, że bardziej przydamy się niewidzialni - odparł Ulath.

- Mnie to nie przeszkadza, ale w jaki sposób przekażemy Sparhawkowi i pozostałym wieść, że dotarliśmy na miejsce?

- Wsunę mu do kieszeni liścik albo zatrąbię wprost do ucha.
- To powinno zwrócić jego uwagę.

W tym momencie ulicą zbliżył się do nich Bhlokw. Jego mała twarz miała ponury wyraz.

- Nie ma tu psów - oznajmił w języku trolli.
- Żołnierze zazwyczaj nie hodują zwierząt, Bhlokwie - wyjaśnił Tynian.
- Czuję głód, Tin-in. Czy ludzkie stwory zauważą, jeśli upoluję jednego z ich stada?

Małego?

- To może być problem - mruknął Tynian do Ulatha. - Powinniśmy dbać o to, by nasz przyjaciel nie chodził głodny. Ulath podrapał się po świeżo ogolonym policzku.

- Nie możemy po prostu pozwolić mu działać - odparł. - Jeśli zaczniesz łapać ludzi i wciągać ich w pęknięte chwile, zwróci cię uwagę.

- Jest niewidzialny, Ulacie.

- Owszem. Ale gdy jakiś Ardżuni nagle zniknie i jego kości zaczną wylatywać znikąd, ludzie z pewnością to dostrzegą. - Odwrócił się do trolla: - Myślmy, że niedobrze by było, gdybyś zabił i zjadł ludzkie stwory, Bhlokwie. Polujemy tu na myśli i jeśli zabijesz i zjesz ludzkie stwory, spłoszysz je.

- Nie podobają mi się łowy na myśli, U-lat - poskarżył się Bhlokw. - Sprawiają, że wszystko jest nieproste.

- Niedaleko jest las, Bhlokwie - wtrącił Tynian. - Musi tam być mnóstwo rzeczy dobrych do jedzenia.

- Nie jestem ogrem, Tin-in - zaprotestował Bhlokw lekko urażonym tonem. - Nie jadam drzew.

- Wśród drzew powinny być stwory dobre do jedzenia, Bhlokwie - wyjaśnił Ulath. - To właśnie próbował powiedzieć Tin-in. Nie chciał cię obrazić.

Bhlokw przez moment patrzył wrogo na Tyniana.

- Idę teraz na łowy - rzekł gwałtownie. Następnie odwrócił się i odszedł.

- Musisz bardzo uważać, Tynianie - ostrzegł przyjaciela Ulath. - Jeśli chcesz walki, wystarczy tylko zasugerować trollowi, że jest ogrem.

- Naprawdę żywią takie uprzedzenia? - spytał ze zdumieniem Tynian.

- Nie masz pojęcia, jak wielkie - odrzekł Ulath. - Trolle i ogry nienawidzą się od zarania dziejów.

- Sądziłem, iż uprzedzenia to ludzka słabość.

- Pewne wady są zbyt dobre, by zachowywać je tylko dla siebie. Chodźmy za

Sparhawkiem i dajmy mu znać, że tu jesteśmy. Może ma dla nas jakieś zadanie.

Pomaszerowali w ślad za wozami z piwem, toczącymi się krętymi uprzątniętymi ulicami w stronę tej części Natayos, którą wciąż porastały gęste chaszczki i krzewy. Wozy pokonały ostatni zakręt, po czym okrążyły pokryty płóciennym dachem budynek, nad którego drzwiami wisiał prymitywny szyld z napisem „U Sengi”.

- Cały Kalten - mruknął Tynian. - Zawsze blisko piwa.

- Rzeczywiście - zgodził się Ulath. - Zaczekaj tutaj, pójdę powiadomić Sparhawk, że jesteśmy w Natayos. - Podszedł do miejsca, w którym Sparhawk, Kalten i Bevier, wszyscy trzej odmienieni, stali z boku, podczas gdy Senga doglądał rozładunku wozów. - Barani róg - rzekł cicho. - Nie denerwujcie się i nie rozglądajcie. I tak mnie nie zobaczycie.

- Ulath? - spytał z niedowierzaniem Kalten.

- Zgadza się. Dotarliśmy tu wczoraj, razem z Tynianem i Bhlokmem. Trochę węszyliśmy wokół.

- Jak ci się udało stać niewidzialnym? - spytał Bevier noszący przepaskę na oku.

- Nie jesteśmy niewidzialni. Ghnomb przełamuje sekundy na dwie części. Jesteśmy obecni tylko podczas mniejszej. Dlatego nas nie widzicie.

- Ale ty nas widzisz?

- Owszem.

- Ulacie! To kompletnie nielogiczne.

- Wiem, ale Ghnomb wierzy, że to działa, i zapewne jego wiara jest dość silna, by pokonać logikę. Jesteśmy tu z Tynianem i nikt nas nie widzi. Co chcecie, żebyśmy zrobili?

- Możecie się dostać do budynku obok bramy? - spytał szybko Sparhawk. - Tego z zakratowanymi oknami?

- Nie ma mowy. Już sprawdzaliśmy. Zbyt wielu wartowników przy drzwiach. BhJokw próbował nawet dostać się przez dach, ale wszystko zostało zamknięte.

- Tam w środku jest moja żona, Ulacie! - wykrzyknął Sparhawk. - Chcesz powiedzieć, że próbowałeś posłać trolla do tego samego budynku?

- Bhlok w nie zrobiłby jej krzywdy, Sparhawk - najwyżej trochę przestraszył, ale nic poza tym. Pomyśleliśmy, że może zdołałby dostać się przez dach, zabrał Ehlane i Alean i wyniósł je. - Ulath zawiesił głos. - Prawdę mówiąc, to nie był nasz pomysł, Sparhawk. Bhlok zgłosił się na ochotnika. Cóż, zgłosił się to za dużo powiedziane. Zaczął wspinać się na ścianę, zanim zdołaliśmy go powstrzymać. Powiedział: „Wydostanę je. Wyniosę kobietę Anakhy i jej przyjaciółkę, żebyśmy mogli zabić wszystkie dzieci Cyrgona i zjeść je”. Bhlok jest trochę prostolinijny, ale ma serce we właściwym miejscu. Trudno mi to przyznać, lecz

naprawdę zaczynam go lubić.

Kalten rozejrzał się nerwowo.

- Gdzie jest teraz? - spytał.

- Poluje. Gdy przybyliśmy do miasta nad jeziorem, przekonaliśmy go, żeby nie jadł ludzi. Zamiast tego poleciliśmy mu psy. Naprawdę je polubił, ale tu, w Natayos, nie ma zwierząt, toteż poszedł do lasu. Prawdopodobnie gania teraz słonie.

Nagle, kątem oka, Ulath dostrzegł dziwne migotanie.

- Co to jest, na miłość boską?

- Co? - spytał Kalten, rozglądając się ze zdumieniem.

- Zza rogu wyszedł ktoś zrobiony z tęczy! - Ulath z otwartymi ustami wpatrywał się w zbliżającą się niewyraźną postać. Wielobarwne światła oślepiły go.

- To Xanetia - wyjaśnił Sparhawk. - Naprawdę ją widzisz?

- A ty nie?

- Jest niewidzialna, Ulacie.

- Nie dla mnie.

- Zapewne ma to coś wspólnego z dziwnym czasem, w którym się znalazłeś, przyjacielu - odgadł Bevier. - Lepiej daj jej znać, że ją widzisz. Kiedyś może się to okazać ważne. Migocząca tęcza zatrzymała się kilka kroków od nich.

- Anakho - rzekła miękko.

- Słyszę cię, Anarae - odparł Sparhawk.

- Z bólem wyznać muszę, iż zawiodłam cię - wyznała. - Umysł Scarpy tak bardzo chory jest i skrzywiony, iż myśli zeń składnych wydobyć nie umiem. Wszelako umysły towarzyszy jego zbadalam i wieść ci smutną przynoszę. Królowej twej nie ma już w Natayos. Gdy wrogowie nasi podstęp z młodym panem Beritem odkryli, Zalasta żonę twą i jej służkę pod osłoną ciemności wywiózł. Jeśli zachcesz, cel ich podróży z myśli kompanów jego wydobyć spróbuję.

Serce Ulatha ścisnęło nagle współczucie na widok rozpaczliwej twarzy Sparhawka.

* * *

Biegli bez wysiłku nie kończącymi się oddziałami, wysocy i lekkobrojni; ich brązowa skóra połyskiwała w zimnym szarym świetle. Potężny król Androl osobiście prowadził swoje wojska. Dobrze było znów ruszyć w drogę, a perspektywa bitwy zachwycała

go. Bitwy miały sens i od razu było widać wyniki. Nieobecność żony sprawiła, że na nie przygotowane barki Androla spadło tysiące drobnych obowiązków administracyjnych. Niezmiernie drażniło go podejmowanie decyzji w kwestiach, których nie pojmował, a jeszcze bardziej irytował fakt, iż nie widział natychmiastowych efektów, świadczących, czy postąpił właściwie. I znów król Atanu podziękował swemu bogu za to, że dał mu za żonę Betuanę. Razem tworzyli świetny zespół. Królowa znakomicie radziła sobie z drobiazgami - umysł miała bystry i potrafiła dostrzec subtelności i niuanse często umykające jej mężowi. Androl natomiast został stworzony do działania. Chętnie pozwalał żonie podejmować nudne decyzje, a kiedy wszystko już ustalono i wiadomo było, co robić, zajmował się wprowadzaniem ich w życie. W gruncie rzeczy tak było lepiej. Król Atanu doskonale zdawał sobie sprawę z własnych ograniczeń i wiedział, że żona wybaczy mu, kiedy od czasu do czasu coś przeoczy. Miał nadzieję, że nie sprawia jej zbytniego zawodu.

Jej sugestie - nigdy nie wydawała mu rozkazów - by powiódł główną armię na południowy kraniec jeziora Sama i zajął pozycję do wielkiej bitwy o Tosę, były dokładnie tym, co uwielbiał. Oto działanie, proste i nieskomplikowane. Wszystkie męczące decyzje zostały już podjęte, ujawniono tożsamość wroga i załatwiono nudne formalności. Uśmiechnął się, prowadząc wojska w głąb ostatniego pasma górskiego, pięćdziesiąt lig na południowy wschód od Tualas. W swej wiadomości Betuana dała mu do zrozumienia, iż bitwa pod Tosą zapowiada się na tytaniczne starcie, wielki bój. Walkę armii, których szeregi będą rozciągać się na całe mile, a ogłuszający szczeł mieczy wzbije się pod niebo. Wiedział, że będzie z niego dumna.

Szlak wiódł w górę wysokiej skalnej grani, poprzez wąską szczelinę i dalej, w dół głębokiego jaru bystrego strumienia, który przez tysiące lat wyżłobił skałę.

Po dotarciu na szczyt, skąd poprowadził swe wojska w dół zbocza, król Androl oddychał nieco ciężiej niż zwykle. Godziny zmarnowane na naradach z ambasadorem Norkanem sprawiły, że brakowało mu kondycji. Wojownik nigdy nie powinien dać się odciągnąć od ćwiczeń, tak z bronią, jak i fizycznych. Przyspieszył kroku, wiodąc swe wojska w dół wąskiego jaru. Biegli lekko południowym brzegiem rwącej górskiej rzeki. Jeśli jemu brakowało kondycji, zapewne dotyczyło to również jego żołnierzy. Miał nadzieję, że nad jeziorem Sarna znajdzie miejsce odpowiednie na obozowisko. Prawdziwe obozowisko, z dostateczną ilością miejsca do ćwiczeń, szkolenia i niezbędnej gimnastyki, doprowadzającej wojowników do szczytowej formy. Androl był święcie przekonany, że każdego przeciwnika da się pokonać, jeśli tylko dysponuje się w pełni wyszkoloną armią.

- Androlu królu! - zawołał generał Pemaas, przekrzykując ryk strumienia. - Spójrz!

- Gdzie? - spytał Androl, odwracając się i sięgając po miecz.

- Na szczyt jaru - po prawej!

Władca Atanów przekrzywił głowę i powiódł wzrokiem w górę gładkiej skalnej ściany, aż do skalistej krawędzi wysoko nad nimi.

Król Atanu widział w swym życiu wiele rzeczy, ale nic, co mogłoby się równać z ogromną potworną postacią wznoszącą się nagle nad przepaścią. Stwór był lśniaco czarnym niczym wygładzona skóra. Miał niewiarygodnie rozłożyste skrzydła, przypominające skrzydła nietoperza. Klinowaty kształt głowy podkreślały jeszcze płonące ukośne oczy i rozwarta paszcza, z której spływały płomienie.

Król Androl zastanowił się. Podstawowy problem polegał, rzecz jasna, na tym, iż ogromny stwór siedział na szczycie jaru, podczas gdy on stał na dnie. Mógł oczywiście zawrócić i pobiec z powrotem w górę zbocza do szczeliny i nad przepaść, to jednak dałoby owej istocie mnóstwo czasu do ucieczki, a wówczas, aby ją zabić, musiałby rzucić się w pościg. W jego obecnym niedoskonałym stanie trwałoby to stanowczo zbyt długo. Mógł też oczywiście wdrapać się na skały, to jednak także zabrałoby mnóstwo czasu, a stwór mógłby dostrzec jego nadejście i spróbować ucieczki.

I wówczas, ku jego zdumieniu, olbrzymia istota na szczycie urwiska sama znalazła rozwiązanie. Wzniosła w górę gigantyczne ramiona i zaczęła uderzać w skałę czymś, co wyglądało jak ogień.

Androl uśmiechnął się, patrząc, jak skalna ściana przechyla się i wali w dół jaru. Głupi stwór sam przyczynił się do własnego zniszczenia. Jak mógł być tak niemądry?

Król zręcznie uskoczył przed toczącym się ku niemu gła-’ zem wielkości domu, starannie oceniając rozmiary rosnącego w oczach rumowiska u stóp skały.

Bestia zamierzała zaatakować! Androl roześmiał się radośnie. Stwór był co prawda niewiarygodnie głupi, ale trzeba przyznać, że nie brakło mu odwagi - co prawda niemądrej, niemniej jednak odwagi. Cały wszechświat wiedział, że Androl z Atanu jest niezwykły, a jednak ten biedny tępy stwór zamierzał przeciwstawić swą mizerną siłę potędze największego wojownika wszech czasów.

Król przyjrzał się stromej kamiennej pochylni, puszczając mimo uszu krzyki tych swych żołnierzy, którzy okazali się nie dość zręczni, by uniknąć zmiżdżenia pod sypiącą się na nich lawiną. Już prawie sięgała szczytu; jeszcze tylko kilka stóp. W końcu ocenił, iż rumowisko urosło dostatecznie, by dać mu dostęp do durnego stworzenia ryczącego w gorze i łopoczącego skrzydłami. Uskoczył przed kolejnym głazem i ruszył naprzód, wspinając się, uskakując, śmigając, byle szybciej dotrzeć do skazanej na śmierć bestii.

Gdy niemal osiągnął szczyt, przystanął, dobył miecza i przygotował się.

A potem z dzikim wojennym okrzykiem popędził naprzód, ignorując chwilowy przeblask litości dla odważnego i niemądrego stworzenia, które właśnie miał zabić.

* * *

- Dokąd to? - spytał ostro rosły Dacita odziany w postrzępioną mundurową tunikę i trzymający w dłoni długą włócznię, gdy Sparhawk i Kalten podciągnęli do budynku rozklekotany wóz z dwiema beczkami. i

- Dostawa od Sengi dla mości Kragera - odparł Kalten.

- Każdy może tak powiedzieć.

- Idź go spytaj - zaproponował Kalten.

- Nie chcę przeszkadzać.

- Więc lepiej nas przepuść. Od dawna czeka na to wino. Jeśli zatrzymasz dostawę, naprawdę się zdenerwuje. Może nawet wystarczająco mocno, by wspomnieć o tym panu Scarpie.

Na twarzy strażnika odbił się nagły lęk.

- Poczekajcie tutaj - polecił, po czym odwróciwszy się, pomaszerował do ciężkich tylnych drzwi.

- Kiedy wejdziemy do środka, będę się trzymał z boku - powiedział cicho Sparhawk. - Gdyby się pytał, wyjaśnij, że jestem osiłkiem, którego wezwałeś, aby pomógł ci ciągnąć wóz.

Kalten przytaknął.

- Jesteś tu, Anarae? - spytał Sparhawk. Rozejrzył się, choć wiedział, że nie zdoła jej dostrzec.

- Zaiste, Anakho, u twego stoję boku - odparł cicho jej głos.

- Postaramy się jak najdłużej podtrzymywać rozmowę. Prawdopodobnie będzie nieco pijany. Czy to bardzo utrudni ci zadanie?

- Myśli owego Kragera wcześniej już dzieliłam - odparła. - Póki zbyt wiele nie wypije, rozum swój zachowuje. Jeśli okazja się nadarzy, uwagę jego ku domowi, w którym królową twą przetrzymywali, skierujcie. To może myśli przywołać, które przydać się nam mogą.

- Zobaczę, co da się zrobić, Anarae - przyrzekł Kalten. W tym momencie wrócił wartownik.

- Przyjmie was - oznajmił.

- Byłem dziwnie pewien, że się zgodzi - odparł Kalten ze złośliwym uśmiechem. -

Mości Krager przepada za tym gatunkiem wina.

Wraz ze Sparhawkiem unieśli dyszel i pociągnęli wóz po nierównej, zaśmieconej ulicy na tyłach częściowo odbudowanej ruiny, gdzie mieściła się kwatera główna Scarpy.

Krager czekał niecierpliwie w drzwiach. Głowę miał ogoloną, poza tym jednak zupełnie się nie zmienił. Brudny i zaniedbany, spoglądał na nich krótkowzrocznymi przekrwionymi oczami, a jego ręce trzęsły się wyraźnie.

- Wnieście je do środka - polecił znajomym zgrzytliwym głosem.

Kalten i Sparhawk położyli na ziemi dyszel, rozwiązali sznury podtrzymujące obie beczki i ostrożnie postawili jedną z nich na progu. Kalten zmierzył jej wysokość kawałkiem sznura, po czym sprawdził szerokość drzwi.

- Ledwo, ledwo - rzekł. - Przewróć ją, Fron. Damy radę wtoczyć to do środka.

Sparhawk pchnął beczkę i wraz z przyjacielem wturlali ją do zagraconego pomieszczenia. Przy jednej ścianie stało nie posłane łóżko, cała podłogę zaścielały ubrania. W powietrzu wisiał kwaśny smród nie mytego, nasiąkniętego tanim winem ciała, a w kącie piętrzył się stos pustych baryłek i potłuczonych glinianych flaszek.

- Gdzie mamy je postawić, mości Kragerze? - spytał Kalten. , - Gdziekolwiek - odparł niecierpliwie Krager. ' - To niezbyt przewidujące z twojej strony - rzekł krytycznie Kalten. - Są zbyt ciężkie, byś sam zdołał je przesunąć. Wybierz dogodne miejsce.

- Może i masz rację. - Mrużąc oczy, Krager rozejrzał się po pokoju. W końcu podszedł do miejsca obok głowy łóżka i kopnął w kąt kilka ubrań. - Postawcie je tutaj - polecił.

- Cóż - zanim to zrobimy, może załatwimy rachunki? To bardzo drogie wino, mości Kragerze.

- Ile?

- Senga mówił, że musi dostać pięćdziesiąt koron za beczkę. Arcjańskie czerwone niełatwo dostać tak daleko od Arcjum.

- Pięćdziesiąt koron?! - wykrzyknął Krager.

- Za sztukę - upierał się Kalten. - Kazał mi też otworzyć obie beczki.

- Umiem otworzyć beczkę z winem, Col.

- Nie wątpię, lecz Senga to uczciwy handlarz i chce, abym się upewnił, że jesteś zadowolony z towaru, zanim wezmę pieniądze. - Podtoczył beczkę do ściany. - Pomóż mi ją postawić, Fronie. - Razem dźwignęli ciężar i Kalten wyjął zza pasa łom. -Takie rzeczy znacznie łatwiej załatwiać, kiedy ma się do czynienia z piwem - zauważył. - Ktoś powinien wspomnieć arcjańskim winiarzom o korzyściach płynących ze szpuntowania beczek. - Ostrożnie podważył wieko.

Krager czekał tuż za jego plecami, niecierpliwie ściskając w dłoni kubek.

- Skosztuj, mości Kragerze - powiedział Kalten, unosząc wieko i cofając się o krok.

Pijak zanurzył kubek w ciemnoczerwonym płynie, uniósł go drżącą ręką i pociągnął głęboki łyk.

- Wspaniale! - westchnął z zachwytem.

- Powiem Sendze, że zyskało twoją aprobatę. - Kalten roześmiał się. - Pewnie nie spodziewasz się tego po rozbójniku, lecz Sendze bardzo zależy na zadowoleniu klientów. Uwierzyłybyś, że kazał nam wylać baryłkę piwa, które skwaśniało? No dalej, Fronie, przynieśmy drugą beczkę. Kiedy mości Krager spróbuje i z niej, załatwimy rachunki.

Obaj mężczyźni wyszli na dwór i dźwignęli drugą beczkę z wozu.

- Spytaj go, czemu odwołali wartowników pilnujących drzwi domu, w którym trzymali Ehlanę i Alean - szepnął Sparhawk.

- Jasne - mruknął Kalten, stawiając beczkę na ziemi. Wkrótce znalazła się obok pierwszej. Kalten podważył wieko i Krager skosztował wina.

- Dobrze? - spytał Kalten.

- Świetne - odparł Krager. Nabrał kolejny kubek i szczęśliwy opadł na łóżko. - Absolutnie rewelacyjne.

- Należy się sto koron.

Krager wyciągnął zza pasa ciężki worek i lekceważąco cisnął go Kaltenowi.

- Masz - rzekł - sam przelicz. I nie kradnij zbyt wiele.

- To są interesy, mości Kragerze - odparł Kalten. - Gdybym cię okradał, przystawiłbym ci do gardła sztylet. - Zmiotł ze stołu kilka ubrań i parę suchych skórek chleba i zaczął odliczać monety. - Zauważyliśmy, że odwołaliście wszystkich strażników pilnujących domu z zakratowanymi oknami - rzekł. - Parę dni temu nie dało się zbliżyć do tego miejsca na dwadzieścia kroków, lecz dziś rano razem z Fronem przeciągnęliśmy wózek tuż obok drzwi i nikt nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi. Czy pan Scarpa zabrał stamtąd coś, co było tak cenne?

Opuchnięta twarz Kragera zdradziła nagłą czujność.

- Nie twoja sprawa, Colu.

- Nie twierdziłem, że to moja sprawa. Mógłbyś jednak zasugerować coś panu Scarpie. Jeśli nie chce, by ludzie zauważali podobne rzeczy, nie powinien niczego zmieniać. Trzeba było zostawić wartowników na posterunkach. My wszyscy, łącznie z Senga, jesteśmy rabusiami i wierzyliśmy, że pan Scarpa przechowuje w tym domu swój skarb. Samo słowo „skarby” starczy, by ludzie tacy jak my nadstawili uszu.

Krager patrzył na niego przez chwilę, po czym ryknął śmiechem.

- Co cię tak rozbawiło? - Kalten uniósł wzrok znad pieniędzy.

- Owszem, to był skarb, Colu - Krager prychnął. - Ale nie taki, który da się przeliczyć.

- Jak powiedziałaś, to nie moja sprawa, ale każdy, kto pracuje w tawernie Sengi, wie, że został przeniesiony. Z pewnością zaczną węszyć w ruinach, szukając nowej kryjówki.

- Niech sobie szukają. - Krager wzruszył ramionami. - Do tej pory skarb znalazł się już daleko stąd.

- Mam nadzieję, że wciąż go pilnujecie. W lasach roi się od ludzi takich jak Fron czy ja. Zechcesz tu podejść i sprawdzić czy dobrze policzyłem?

- Ufam ci, Colu. , - Zatem jesteś głupcem.

- Weź jeszcze dziesięć koron dla ciebie i twojego towarzysza - rzekł wielkodusznie Krager. - A teraz, jeśli nie macie nic przeciw temu, chciałbym zostać sam z moimi dwiema nowymi przyjaciółkami.

- Bardzo to szczerze z twojej strony, mości Kragerze. -Kalten wyjął kolejnych kilka monet z mieszka, zgarnął wcześniej odliczone pieniądze i wrzucił je do bocznej kieszeni kaftana.

-Chodźmy, Fronie. Mości Krager chce zostać sam.

- Przekaż Sendze, że jestem mu wdzięczny. - Krager zaczerpnął kolejną porcję wina. - I uprzedź, żeby miał oko na ten trunek. Kupię wszystko, co zdoła znaleźć.

- Powtórzę mu, mości Kragerze. Baw się dobrze. - Z tymi słowy Kalten zawrócił i wyszedł z cuchnącego pokoju. Sparhawk zamknął drzwi i wyciągnął rękę.

- O co chodzi? - spytał Kalten.

- Moje pięć koron, jeśli łaska - powiedział stanowczo Sparhawk. - Regulujmy rachunki na bieżąco, dobrze?

- Przebiegłyś, panie Kaltenie - szepnął znikąd głos Xanetii. -Zręcznie myśli jego powiodłeś dokładnie tam, gdzie skierować je pragnęliśmy.

Kalten demonstracyjnie odliczył monety, kładąc je na dłoni Sparhawka.

- Czego się dowiedziałaś, Anarae? - spytał z napięciem.

- Dzień czy dwa temu z miejsca tego zamknięty powóz odjechał, zatrzymując się wcześniej - pod strażą - przy drzwiach domu, który uwagę naszą przyciągnął. Powóz, przynętę jeno stanowiący, do Panem-Dea zmierza. Wszelako tych, których szukamy, nie ma w nim. Wcześniej już Natayos opuściły w towarzystwie Zalasty.

- Czy Krager wiedział, dokąd Zalasta je zabiera? - wtrącił Sparhawk.

- Najwyraźniej pragnieniem Zalasty było, by nikt tego nie odkrył - odparła Xanetia. -

Wszelako Krager, świadom ryzyka, wiedział dobrze, iż gdyby zdarzenia nie po ich myśli się potoczyły, wieści o celu czarodzieja życie ocalić mu mogą. Ze wszelkich sił zatem starał się plany Styrika przeniknąć. Udając pijackie otępienie, rozmowę Zalasty z towarzyszem jego Cызadą podsłuchał. I choć obaj po styricku mówili, Krager, mimo iż nikt o tym nie wie, zna trochę język ten, toteż z pospiesznej ich rozmowy dowiedzieć się zdołał tego, co i my odkryć pragniemy.

- A to niespodzianka - mruknął Kalten. - Pijany czy trzeźwy, Krager wciąż pozostaje przebiegły. Dokąd Zalasta zabiera nasze panie, Anarae?

Xanetia westchnęła.

- Wieść ta zasmuci cię, panie Kaltenie - odparła. - Lękam się, iż Zalasta zamianuje królową i jej służkę do Ukrytego Miasta Cyrgi zawieźć, gdzie sam Cyrgon władzę dzierży, a jego moc nie dopuścić nas może do tych, których kochamy.

CZEŚĆ TRZECIA
CYRGA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Gdyby tylko dali jej spać! Świat wokół zdawał się zniekształcony, nierzeczywisty, a ona patrzyła jedynie przed siebie w zubożętym na wszystko zdumieniu. Wyczerpane ciało tęskniło za snem, a nawet za śmiercią. Chwiejąc się, stała przy oknie. Niewolnicy krzątający się wokół jeziora leżącego poniżej wyglądali niczym mrówki pełzające po brunatnej ziemi i atakujące ją prymitywnymi narzędziami. Inni niewolnicy zbierali chrust wśród drzew na zboczach kotliny. Słabe echa uderzeń toporów docierały do okien czarnej wieży, z której patrzyła.

Alean leżała na wyściełanej ławie, śpiąca lub martwa - Ehlana nie potrafiła rozpoznać. Tak czy inaczej, zazdrościła swej służce chwili spoczynku.

Oczywiście nie były same. Nigdy nie były same. Zalasta, o twarzy ściągniętej zmęczeniem, prowadził nie kończące się rozmowy z królem Santheoclesem. Ehlana była zbyt znużona, by wnikać w sens monotonnych słów Styrika. Z roztargnieniem zerknęła na króla Cyrgaich, mężczyznę w obcisłym stalowym napierśniku, krótkiej skórzanej spódniczce i bransoletach na przegubach. Santheocles należał do innej rasy, a wiele pokoleń selektywnego doboru podkreśliło jeszcze cechy najbardziej podziwiane przez jego lud. Był wysoki i wspaniale umięśniony. Skórę miał bardzo jasną, choć starannie utrefione i naoliwione loki oraz broda połyskiwały głęboką czernią. Prosty nos przechodził płynnie w gładką linię czoła. Oczy były wielkie, bardzo ciemne - i całkowicie puste. Oblicze wykrzywiał wyniosły okrutny grymas. Miał twarz aroganckiego głupca, pozbawionego wszelkiego miłosierdzia, czy nawet zwykłego poczucia przyzwoitości.

Ozdobny napierśnik odsłaniał ręce i ramiona. Słuchając przemowy Styrika, Santheocles odruchowo zaciskał pięści, sprawiając, że pod bladą skórą grały mięśnie. Najwyraźniej nie zwracał zbyt wielkiej uwagi na słowa Zalasty, całkowicie zaabsorbowany rytmicznym napinaniem i rozluźnianiem mięśni ramion. Pod każdym względem był idealnym żołnierzem, połączeniem doskonale wyszkolonego ciała i nie tkniętego myśłą umysłu.

Ehlana powiodła zmęczonym wzrokiem po pokoju wyposażonym w osobliwe meble. W ogóle nie było tu krzesel, jedynie ławy i wyściełane stołki o ozdobnych poręczach, lecz pozbawione oparcia. Najwyraźniej Cyrgai nie wynaleźli jeszcze krzesła z oparciem. Stół pośrodku pokoju był niewygodnie niski, lampy stanowiły relikwiarz przeszłości - ręcznie kute miedziane misy oleju, w którym pływały knoty. Podłogę z szorstkich desek pokrywały maty z sitowia, bazaltowe ściany nie miały ozdób, a okna - zasłon.

Drzwi otwały się i do środka wszedł Ekatas. Ehlana z najwyższym wysiłkiem usiłowała skupić myśli. Tu, w Cyrdze, Santheocles był królem, ale naprawdę rządził Ekatas. Najwyższy kapłan Cyrgona nosił czarną szatę z kapturem, jego wiekową twarz pokrywała gęsta sieć zmarszczek. Choć rysy twarzy zdradzały tę samą arogancję i okrucieństwo co rysy króla, oczy kapłana spoglądały przebiegle, bez cienia litości. Przód czarnej szaty ozdabiał symbol pojawiający się wszędzie w Ukrytym Mieście: biały kwadrat zwieńczony stylizowanym złotym płomieniem. Z pewnością miał jakieś znaczenie, lecz Ehlana była zbyt zmęczona, by się nad tym zastanawiać.

- Chodź ze mną - polecił ostro Ekatas. - Zabierz kobiety.

- Służąca się nie liczy - odparł Zalasta z wyzywającą nutką w głosie. - Pozwólmy jej spać.

- Nie przywykłem, by ktoś kwestionował moje rozkazy, Styriku.

- Zatem przywyknij, Cyrgu. Kobiety są moimi więźniarkami. Swą umowę zawarłem z Cyrgonem, ty jesteś do niej jedynie dodatkiem. Twoja wyniosłość zaczyna mnie drażnić. Zostaw dziewczynę w spokoju.

Ich oczy spotkały się i nagle w komnacie zapanowała pełna napięcia atmosfera.

- I co, Ekatasie? - spytał cicho Zalasta. - Nadszedł już czas? Zebrałeś w końcu dość odwagi, by mnie wyzwać? Kiedy tylko zechcesz, Ekatasie. Kiedy zechcesz.

Ehlana, na dobre rozbudzona, dostrzega błysk strachu w oczach najwyższego kapłana.

- Zabierz więc królową - rzekł gniewnie. - To ją chce ujrzeć Cyrgon.

- Mądra decyzja, Ekatasie - odparł ironicznie Zalasta. - Jeśli nadal będziesz dokonywał właściwych wyborów, może jeszcze trochę pożyjesz.

Ehlana wzięła płaszcz i łagodnie nakryła nim Alean. Następnie odwróciła się do trzech mężczyzn.

- Załatwmy to - powiedziała, przywołując resztkę królewskiej dumy.

Santheocles wstał sztywno z miejsca i nałożył na głowę szpiczasty hełm, bardzo uważając, by nie potargać starannie ułożonych włosów. Zmarnował kilka chwil, zaciągając rzemienie wielkiej okrągłej tarczy, a potem dobył miecz.

- Co za osioł! - zauważyła z pogardą Ehlana. - Jesteście pewni, że jego wysokość powinien dotykać ostrych przedmiotów? Mógłby sobie zrobić krzywdę.

- Taki jest zwyczaj, kobieto - odparł sztywno Ekatas. - Więźniowie zawsze pozostają pod ścisłą strażą.

- Ach! - westchnęła. - A my musimy słuchać nakazów tradycji, prawda, Ekatasie? Tam gdzie rządzą zwyczaje, myśl nie jest potrzebna.

Zalasta uśmiechnął się słabo.

- Zdaje się, że chciałeś nas zabrać do świątyni, Ekatasie? Nie pozwólmy Cyrgonowi czekać.

Ekatas powstrzymał cisnącą się na usta ripostę, gwałtownie otworzył drzwi i wprowadził ich na chłodny korytarz.

Stopnie biegnące w dół najwyższej wieży pałacu królewskiego były wąskie i strome; kręte, nie kończące się schody, opadające coraz niżej i niżej. Gdy w końcu dotarli na dziedziniec, Ehlana drżała.

Zimowe słońce świeciło jasno na niebie, nie dając jednak zbyt wiele ciepła.

Przecięli brukowany dziedziniec, zmierzając do świątyni, budynku wzniesionego nie z marmuru, lecz z masywnego wapienia. W odróżnieniu od marmuru wapien miał mętną powierzchnię, w której nie odbijało się światło; świątynia wyglądała jak tknięta chorobą, zżerana trędem.

Znów wspięli się po schodach i weszli do środka wielkimi drzwiami. Ehlana spodziewała się, że w najświętszej ze świątyni będzie panował mrok, okazało się jednak, iż się myliła. Ze zdumieniem przemieszonym z lękiem spojrzała na źródło światła, gdy tymczasem Ekatas i Santheocles padli na twarze, krzyząc unisono:

- Vanet, tyek Alcor! Vala Cyrgon!

I wówczas królowa pojęła znaczenie wszechobecnego emblematu, zdobiącego wszystko w Ukrytym Mieście. Biały kwadrat i symbolizował masywny ołtarz, ustawiony dokładnie pośrodku świątyni, jednakże płonący na nim ogień nie stanowił stylizowanego symbolu. Był to prawdziwy płomień, rozbłyskujący i przygasający, zachłannie sięgający w górę.

Niespodziewanie Ehlanę ogarnął strach. Płonący na ołtarzu ogień nie był jedynie ofiarą wotywną, lecz żywym płomieniem, świadomym, rozumnym, posiadającym niepokonaną wolę. Jasny jak słońce, Cyrgon we własnej osobie płonął wiecznie na swym ołtarzu.

* * *

- Nie - oznajmił Sparhawk - lepiej nie. Nie wychylajmy się -przynajmniej dopóki Xanetia nie zdoła przeczesać kilku umysłów. Zawsze możemy wrócić tu później, by rozprawić się ze Scarpą i jego kolegami. W tej chwili musimy wiedzieć, dokąd Zalasta zabrał Ehlanę i Alean.

- Już to wiemy - wtrącił Kalten. - Do Cyrgi.

- W tym cały problem - odparł Ulath, tym razem widzialny. - Nie mamy pojęcia, gdzie leży Cyrga.

Cała grupa wróciła do zduszonych pod grubą warstwą pnączy ruin i zgromadziła się na pierwszym piętrze w tym miejscu nietkniętego pałacu, by rozważyć plany.

- Aphrael mniej więcej się orientuje - odparł Kalten. - Nie moglibyśmy na razie skierować się do środkowej Cynesgi i trochę tam powęszyć?

- Wątpię, żeby coś to dało - zauważył Bevier. - Od ostatnich dziesięciu tysiącleci Cyrgon kryje swe miasto za zasłoną złudzeń. Prawdopodobnie moglibyśmy chodzić po jego ulicach i niczego nie dostrzec.

- Ale nie ukrywa go przed wszystkimi - zastanawiał się na głos Caalador. - Wysłannicy wciąż śmigają tam i z powrotem, zatem ktoś tu w Natayos musi znać drogę. Sparhawk ma rację. Pozwólmy Xanetii pokręcić się tu trochę. To lepsze, niż gdybyśmy mieli włączyć się po pustyni, schodzić z drogi skorpionom i węzom i zaglądać pod wszystkie kamienie i ziarna piasku.

- Zatem zostajemy tutaj? - spytał Tynian.

- Na razie - odparł Sparhawk. - Nie róbmy nic, co mogłoby przyciągnąć czyjąś uwagę, póki nie dowiemy się, co odkryła Xanetia. W tej chwili to najlepszy plan.

- Byliśmy tak blisko! - złościł się Kalten. - Gdybyśmy tylko dotarli tu dzień czy dwa wcześniej.

- Ale nie zrobiliśmy tego - odparł beznamiętnie Sparhawk, dusząc w zarodku własny zawód i frustrację - więc uratujmy, co tylko się da.

- Podczas gdy Zalasta oddała się z każdą chwilą - dodał z goryczą Kalten.

- Nie martw się, Kaltenie - odparł Sparhawk tonem zimnym jak śmierć. - Zalasta nie może biec dostatecznie szybko czy daleko, by przede mną uciec, kiedy postanowię ruszyć jego śladem.

* * *

- Jesteś zajęty, Sarabianie? - spytała z wahaniem cesarzowa Elysoun, stając w drzwiach błękitnej komnaty.

- Niespecjalnie, Elysoun - westchnął. - Po prostu myślę. / Ostatnio dotarło do mnie wiele złych wieści.

- Wobec tego wrócę kiedy indziej. Gdy masz na głowie kłopoty, nie jesteś zbyt

zabawny.

- Tylko to się dla ciebie liczy, Elysoun? - spytał ze smutkiem. - Zabawa?

Jej promienna twarz napięła się lekko, gdy cesarzowa weszła do pokoju.

- Po to przecież nas poślubiłeś, Sarabianie - odparła cierpko ;'; w języku tamulskim, zupełnie nie przypominającym melodyjnego dialektu z Yalesii. - Nasze małżeństwa mają scementować polityczne więzi. Jesteśmy tu symbolami, zabawkami i ozdobami. Z pewnością nie częścią rządu.

Spostrzegawczość żony i nagła zmiana, która w niej zaszła, zaskoczyły Sarabiana. Łatwo było nie doceniać Elysoun. Stałe dążenie do przyjemności i agresywnie otwarta natura jej stroju narodowego sprawiały, iż powszechnie uważano ją za pustogłową ślicznotkę. Jednakże teraz ujrzał przed sobą zupełnie inną Elysoun. Spojrzał na nią z nowym zainteresowaniem.

- Co ostatnio porabiałaś, ukochana? - spytał ciepło.

- To, co zwykle. - Wzruszyła ramionami. Odwrócił wzrok.

- Proszę, nie rób tego.

- Czego?

- Nie podskakuj tak. To mnie rozprasza.

- I ma rozpraszać. Nie sądziłeś chyba, że tak się noszę, bo jestem zbyt leniwa, by założyć coś innego?

- Czy po to właśnie przyszłaś? Dla zabawy? A może chodziło ci o coś nudniejszego? - Nigdy dotąd nie rozmawiali w ten sposób. Jej nagła otwartość zaintrygowała go.

- Najpierw pomówmy o nudnych rzeczach - odparła, przyglądając mu się krytycznie. - Potrzebujesz więcej snu - upomniała go.

- Wiem, ale nie mogę zasnąć. Mam zbyt wiele na głowie.

- Zobaczą, co się da z tym zrobić. - Urwała. - W pałacu kobiet coś się dzieje, Sarabianie.

- Ach, tak?

- Ostatnio obok zwykłego zestawu rozpieszczonych piesków i dworskich żmij pojawiło się mnóstwo obcych.

Roześmiał się.

- Cóż za bezlitosny opis dworzan!

- Ale prawdziwy. Nie ma wśród nich ani jednego prawdziwego mężczyzny. Kręcą się po pałacu, pomagając nam w spiskach. Wiedziałeś chyba, że bez przerwy spiskujemy przeciw sobie?

Wzruszył ramionami.

- Niezły sposób spędzania wolnego czasu.

- To jedyny rodzaj czasu, jaki znamy, mężu. Brak nam zajęć, Sarabianie. Oto nasz podstawowy problem. W każdym razie owi obcy przybysze nie są związani z żadnym z dotychczasowych dworów.

- Na pewno?

W odpowiedzi uśmiechnęła się złośliwie.

- Wierz mi, miałam już do czynienia ze wszystkimi stałymi bywalcami. Są jak beztroskie motyle, ci przybysze natomiast przypominają szerszenie.

Spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Naprawdę zdołałaś już zaliczyć wszystkich dworzan w pałacu kobiet?

- Mniej więcej. - Ponownie wzruszyła ramionami. Cesarz pomyślał, że robi to specjalnie.

- Prawdę mówiąc, było to dość nudne. Dworzanie nie są zbyt ciekawi, ale dzięki temu mogłam na bieżąco śledzić sytuację.

- Zatem robiłaś to nie tylko dla...

- Może trochę, ale muszę też się chronić. Nasze knowania polityczne są raczej subtelne, lecz ci przybysze sprawiają wrażenie dzikusów.

- Czy to Tamulowie?

- Część owszem, część nie.

- Od jak dawna to trwa?

- Odkąd przeniosłyśmy się do pałacu kobiet. Gdy mieszkaliśmy tu z Hienami, nie widziałam przy nas żadnego z owych szerszeni.

- Zatem wszystko zaczęło się przed kilkoma tygodniami? Przytaknęła.

- Uznałam, że powinieneś wiedzieć. To może być dalszy ciąg starych spisków, ale nie przypuszczam. Czuję, że jest inaczej. My działamy znacznie subtelniej niż mężczyźni, a teraz w pałacu kobiet czuć męską politykę.

- Zechciałabyś mieć oko na wydarzenia? Byłbym ci wdzięczny.

- Oczywiście, mój mężu. Ostatecznie jestem ci wierna.

- Naprawdę?

- Nie popełniaj tego błędu, Sarabianie. Wierność nie ma nic wspólnego z tamtymi sprawami. One nic nie znaczą. Wierność -owszem.

- Przyznaję, że potrafisz mnie zaskoczyć, Elysoun.

- Ach, tak? Nigdy nie próbowałam niczego ukrywać. - Odetchnęła głęboko.

Zaśmiał się ponownie,

- Masz jakieś plany na ten wieczór?

- Nic, czego nie mogłabym odłożyć. Co proponujesz?

- Pomyślałem, że moglibyśmy porozmawiać.

- Porozmawiać?

- Między innymi.

- Pozwól, że najpierw wyślę posłańca. Potem możemy rozmawiać, jak długo zechcesz

- między innymi.

* * *

Opuścili Tianę dwa dni wcześniej i ruszyli w drogę szlakiem do Ardżuny, okrążając od zachodu jezioro. Obóz rozbili na brzegu nieopodal drogi i Khalad zastrzelił z kuszy jelenia.

- Zapasy na drogę - wyjaśnił Beritowi, oprawiając zwierzę. - To nam oszczędzi czasu i pieniędzy.

- Świetnie sobie radzisz z tą kuszą - zauważył Berit. Khalad wzruszył ramionami.

- Kwestia praktyki - odparł. Nagle gwałtownie unióśł głowę. - Mamy towarzystwo. - Wskazał nożem trakt.

- Ardżuni - mruknął Berit, przyglądając się jeźdźcom zmrużonymi oczami.

- Nie wszyscy - nie zgodził się Khalad. - Ten na przedzie to Elen. Sądząc po stroju, Edomczyk. - Giermek otarł zakrwawione dłonie o bujną trawę, podniósł kuszę i naciągnął ją. - Na wszelki wypadek - rzekł. - Pamiętajmy, iż wiedzą, kim naprawdę jesteśmy.

Berit przytaknął ponuro i lekko wysunął miecz z pochwy.

Jeźdźcy zatrzymali się pięćdziesiąt jardów od nich.

- Pan Sparhawk?! - wykrzyknął po eleńsku Edomczyk.

- Może! - zawołał Berit. - Czym mogę służyć, ziomku?

- Mam dla ciebie wiadomość.

- Jestem wzruszony. Przynieś ją.

- Przyjdź sam - dodał Khalad. - Nie potrzebujesz ochrony.

- Słyszałem, jak potraktowaliście ostatniego posłańca.

- To dobrze - odparł Khalad. - Chcieliśmy, żeby wieści się rozeszły. Miał pewne kłopoty z manierami, lecz ty z pewnością okażesz się grzeczniejszy. Podejdz. Jesteś bezpieczny, póki pamiętasz o grzeczności.

Edomczyk wciąż się wahał.

- Przyjacielu - powiedział zgryźliwie Khalad - i tak jesteś w zasięgu mojej kuszy, więc lepiej rób, co mówię. Podejdź tu sam. Załatwimy nasze sprawy, a potem będziesz mógł zabrać swoich ardzuńskich przyjaciół i odejść w swoją stronę. W przeciwnym razie może spotkać cię coś nieprzyjemnego.

Edomczyk naradził się krótko ze swymi strażnikami, a potem ostrożnie wyjechał naprzód, unosząc nad głowę złożony kawałek pergaminu.

- Nie jestem uzbrojony - oznajmił.

- To niezbyt rozsądne, ziomku - odparł Berit. - Mamy niepewne czasy. Daj mi ten list. Posłaniec powoli opuścił rękę i wyciągnął ku nim pergamin.

- Plany uległy zmianie, panie Sparhawku - rzekł uprzejmie.

- Zdumiewające. - Berit rozłożył pergamin i czule ujął w palce znajomy kosmyk włosów. - To zaledwie trzeci raz. Najwyraźniej wasi szefowie nie potrafią się zdecydować. - Zerknął na pergamin. - Jak miło! Tym razem ktoś narysował nam nawet mapkę.

- Wioska nie jest powszechnie znana - wyjaśnił Edomczyk. - To maleńka osada, która istnieje tylko dzięki handlowi niewolnikami.

- Jesteś świetnym posłańcem, przyjacielu - rzekł Khalad. - Czy zechciałbyś przekazać ode mnie wiadomość Kragerowi?

- Spróbuję, młody panie.

- Dobrze. Powiedz mu, że go znajdę. Niech pilnuje swoich pleców, bo nieważne, jak to się skończy, pewnego dnia znajdę się za nimi.

Edomczyk głośno przełknął ślinę.

- Powtórzę mu to, młody panie.

- Będę wdzięczny.

Posłaniec ostrożnie cofnął konia, a potem zawrócił i dołączył do ardzuńskiej eskorty.

- I co? - spytał Khalad.

- Vigayo, w Cynesdze.

- To niezbyt wielkie miasto.

- Byłeś tam?

- Przelotnie. Bhelliom zabrał nas tam przez pomyłkę, kiedy Sparhawk z nim ćwiczył.

- Jak to daleko stąd?

- Około stu lig, ale przynajmniej we właściwym kierunku. Aphrael mówiła, że Zalasta zabiera królową do Cyrgi. Z Vigayo będzie nam bliżej niż z Ardżunu. Przekaż wiadomość,

Bericie. Powiedz Aphrael, że ruszamy jutro wczesnym rankiem. Potem możesz pomóc mi rozebrać tego jelenia. Jazda do Vigayo potrwa dziesięć dni, toteż przyda nam się mięso.

* * *

- Był tam - oznajmiła Xanetia. - Ukryte Miasto wspomnienia żywe w pamięci jego pozostawiło, sam szlak jednak pomni mgliście jeno. Zdołałam dostrzec zaledwie oderwane podróży obrazy. Szaleństwo myśli jego całkiem zagmatwało, umysł Scarpy bez celu i składu między fantazją a jawą wędruje.

- No to mamy problemik - rzekł przeciągle Caalador. - Sta-reńki Krager nie zna drożyny, bo kiedyś Zalasta gadał o wyjeździe, był w trupa pijany. A Scarpa ma zbyt wielkiego świra, by pamintać, jak tam dotrzeć. - Jego oczy się zwężyły. Nagle porzucił dialekt. - A co z Cызadą? - spytał Xanetię.

Delficzka zadrzała.

- Nie obłąd czy opilstwo wstępu mi do myśli Cызady z Esos wzbrania - odparła głosem pełnym odrazy - głęboko bowiem sięgnął w mrok, który zwał się Azashem, i stwory z zaświatów posiadały go tak doszczętnie, iż umysł jego ludzkim być przestał. Zakłęcia z początku demonom straszliwym pęta narzuciły, potem jednak KJaela wezwał i w akcie tym zło całe uwolnił. Błagam, w chaos ów złowrogi więcej mnie nie posyłajcie. Cызadą do Cyrgi drogę zna dokładnie, my jednak podążyć nią nie możemy, albowiem przez krainę ognia, ciemności i grozy niewypowiedzianej wiedzy.

- I to wyczerpuje możliwości oferowane nam przez to miejsce.

- Wszyscy odwrócili się szybko na dźwięk znanego głosu, i Bogini-dziecko przycupnęła skromnie na parapecie, trzymając w dłoniach flet.

- Czy to rozsądne, o boska? - spytał Bevier. - Nasi wrogowie mogą wyczuć twą obecność.

- Nie został tu już nikt, kto mógłby to zrobić, Bevierze - odparła. - Zalasta odszedł. Wpadłam, by wam powiedzieć, iż Berit otrzymał nowe instrukcje. Wraz z Khaladem jadą do Vigayo, wioski po drugiej stronie cynesgańskiej granicy. Gdy tylko będziecie gotowi, zabiorę was tam.

- Co to da? - zapytał Kalten.

- Xanetia musi się znaleźć blisko następnego posłańca - odparła Aphrael. - Cyrga pozostaje ukryta - nawet przede mną. Istnieje jednak klucz do tej iluzji i jego właśnie musimy znaleźć. Bez klucza możemy się postarzyć, wędrując bez celu po pustkowiach, i wciąż nie

znajdziemy miasta.

- Chyba masz rację - ustąpił Sparhawk, po czym spojrzał na nią. - Mogłabyś zorganizować następne spotkanie? Wszystko zmierza ku końcowi i muszę pomówić z pozostałymi - zwłaszcza Vanionem i Bergstenem, a zapewne także z Betuaną i Krin-giem. Mamy do dyspozycji całe armie, lecz nie na wiele się przydadzą, jeśli będziemy podążać w trzech różnych kierunkach, bądź atakować na oślep Cyrę. Mniej więcej orientujemy się, w jakiej okolicy leży miasto, i chciałbym je otoczyć pierścieniem stali, nie życzę sobie jednak, by ktokolwiek wpakował się tam, zanim nie wydostaniemy stamtąd bezpiecznie Ehlany i Alean.

- Przez ciebie wpadnę w kłopoty, Sparhawk - odparła cierpko. - Masz pojęcie, jakie obietnice muszę złożyć, by uzyskać pozwolenie na takie spotkanie? A do tego będę musiała wszystkich dotrzymać.

- To naprawdę bardzo ważne, Aphrael.

Pokazała mu język, a potem zafalowała i zniknęła.

* * *

- Domi Tikume przysłał nam rozkazy, wasza dostojność - poinformował Bergstena Peloi o ogolonej głowie, gdy spotkali się w namiocie patriarchy tuż obok miasta Pela w środkowym Astelu. - Mamy zapewnić wam wszelką możliwą pomoc.

- Wasz domi to dobry człowiek, przyjacielu Daiyo - odparł zbrojny rycerz.

- I jego rozkazy poruszyły gniazdo os - powiedział sucho Daiya. - Pomysł sojuszu z rycerzami kościoła wywołał ciągnącą się całymi dniami debatę teologiczną. Większość ludzi tu, w Astelu, wierzy, że rycerze kościoła urodzili się i wychowali w piekle. Znaczna część dyskutantów omawia teraz te sprawy z bogiem we własnej osobie.

- Rozumiem, że dyskusje religijne między Peloiimi są dość gwałtowne.

- O tak - zgodził się Daiya. - Jednakże wiadomość od archi-mandryty Monsela nieco uspokoiła nastroje. Peloi nie zastanawiają się zbyt nad swą religią. Ufamy swemu bogu, a teologię pozostawiamy księżom. Skoro archimandryta wydał swą zgodę, to nam wystarczy. Jeśli się myli, sam za to spłonie w piekle.

- Jak daleko jest stąd do Cynestry? - spytał Bergsten.

- Około stu siedemdziesięciu pięciu lig, wasza dostojność.

- Trzy tygodnie - mruknął kwaśno patriarcha. - Cóż, chyba nic nie zdołamy na to poradzić. Ruszymy jutro o świcie. Powiedz swoim ludziom, żeby się wyspali, przyjacielu

Daiyo. Przez następny miesiąc nie zaznają wiele spoczynku.

* * *

- Bergstenie - wymawiający jego imię głos brzmiał lekko i melodyjnie.

Thalezyjski patriarcha usiadł gwałtownie, natychmiast sięgając po topór.

- Nie rób tego, Bergstenie. Nie skrzywdzę cię.

- Kto tam? - spytał ostro, szukając po omacku świecy i krzesiwa.

- Proszę. - Z ciemności wynurzyła się drobna dłoń, na której tańczył jasny płomyk.

Bergsten zamrugał. Jego gość był dziewczynką, z wyglądu sądząc - Styriczką, ślicznym dzieckiem o długich włosach i wielkich oczach, czarnych jak noc. Bergsten poczuł, jak trzęsą mu się ręce.

- Jesteś Aphrael, prawda? - wykrztusił.

- Bystre spostrzeżenie, wasza świętobliwość. Sparhawk chce się z tobą widzieć.

Patriarcha cofnął się przed istotą, która wedle standardowej doktryny kościoła nie istniała, nie miała prawa istnieć.

- Zachowujesz się niemądrze, wasza świętobliwość - powiedziała. - Wiesz, że nie mogłabym nawet z tobą rozmawiać, gdybym nie uzyskała najpierw zgody twojego boga. Bez jego pozwolenia nie wolno mi się do ciebie zbliżyć.

- Cóż, teoretycznie - przyznał z niechęcią. - Możesz jednak być demonem, a ich nie dotyczą te ograniczenia.

- Czy wyglądam na demona?

- Wygląd a rzeczywistość to dwie różne rzeczy - upierał się. Spojrzała mu prosto w oczy i wymówiła prawdziwe imię eleń-skiego boga, jeden z najściślej strzeżonych sekretów kościoła.

- Demon nie mógłby go wypowiedzieć, prawda, wasza świętobliwość?

- No, chyba nie.

- Myślę, że się dogadamy, Bergstenie. - Uśmiechnęła się i ucałowała go lekko w policzek. - Ortzel spierałby się o to całymi tygodniami. Proszę, zostaw topór. Stał budzi we mnie dreszcze.

- Dokąd idziemy?

- Spotkać się ze Sparhawkiem. Już o tym mówiłam.

- Czy to daleko?

- Niezupełnie. - Uśmiechnęła się, unosząc klapę namiotu. W Peli nadal panowała noc,

jednakże na zewnątrz był dzień -dziwnie jasny dzień. Nieskalanie biała plaża graniczyła z szafirowym morzem pod tęczowym niebem; z niewiarygodnie błękitnych fal jakieś pół mili od brzegu wyrastała mała zielona wysepka, zwieńczona lśniąca alabastrową świątynią.

- Co to za miejsce? - spytał Bergsten, wystawiając głowę z namiotu i rozglądając się ze zdumieniem.

- Myślę, że mógłbyś je nazwać niebem, wasza świątobliwość - odparła bogini, zdmuchując tańczący na dłoni płomyk. -Należy do mnie. Istnieją jeszcze inne, ale to jest moje.

- Gdzie ono leży?

- Wszędzie, w każdym miejscu. Wszystkie nieba są wszędzie jednocześnie. Podobnie jak piekła, ale to już inna historia. Idziemy?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Cordz z Nelanu był człowiekiem doskonałym. Uświadomienie sobie tego faktu nie przyszło łatwo pobożnemu Edomczykowi. Dopiero po długim wgłębianiu się we własną duszę i starannym zbadaniu świętych ksiąg swej wiary doszedł do nieuniknionego wniosku. Był doskonały. Przestrzegał wszystkich boskich przykazań, czynił to, co powinien, i nie sięgał po zakazane. Czyż nie na tym właśnie polega perfekcja?

Miło było wiedzieć, że jest się doskonałym, acz Cordz nie należał do ludzi spoczywających na laurach. Teraz, gdy sam osiągnął ideał w oczach boga, nadszedł czas, by zwrócić uwagę na niedoskonałości sąsiadów. Grzesznicy jednak rzadko grzeszą otwarcie, toteż Cordz musiał uciec się do podstępów. Zaglądał wieczorami w okna, podsłuchiwał prywatne rozmowy, a gdy jego grzeszni sąsiedzi przebiegle skrywali swe uczynki, wyobrażał sobie postęпки, jakie mogliby popełniać. Dzień pański miał dla Cordza ogromne znaczenie, lecz nie ze względu na kazania. Ostatecznie po cóż kazania człowiekowi idealnemu? Jednakże właśnie tego dnia mógł powstać i ogłosić publicznie grzechy sąsiadów, zarówno te, które popełniali, jak i te, które uznał, że mogliby popełnić.

Prawdopodobnie drażnił nawet diabła. Bóg świadkiem, iż drażnił swych sąsiadów.

Potem jednak w Edomie doszło do kryzysu. Zepsuty heretycki kościół Chyrellos po dwóch tysiącleciach spisków i knowań szykował się w końcu do wystąpienia przeciw wyznawcom prawdziwej wiary. Rycerze kościoła już maszerowali, a wraz z nimi wędrowała niewyobrażalna groza.

Cordz jako jeden z pierwszych zaciągnął się do armii Rebala; doskonały człowiek pozostawił swych sąsiadów ich grzechom, aby przystąpić do świętej sprawy. Wkrótce został najbardziej zaufanym posłańcem Rebala, dziesiątkami zajeżdżającym konie na śmierć, gdy krążył po eleńskich królestwach zachodniego Tamuli, przenosząc tak ważne dla sprawy wiadomości.

Tego dnia Cordz, chłoszcząc niewiarygodnie wyczerpanego wierzchowca, podązał na południe w stronę ziejących zepsuciem miast południowej Daconii, prawdziwych ognisk grzechu i rozpusty, których mieszkańcy nie tylko nie wiedzieli, iż są grzesznikami, ale wręcz ich to nie obchodziło. Co gorsza, mało znana i prawdopodobnie heretycka tradycja dacońskiego kościoła nie pozwalała wiernym odzywać się głośno podczas nabożeństwa. I tak doskonały człowiek przemawiający głosem boga nie mógł ujawnić światu grzechów, które oglądał wokół siebie. Czasami miał ochotę krzyczeć z wściekłości.

Przez ostatni tydzień przemierzył szmat drogi i był bardzo zmęczony, z ulgą zatem dotarł na szczyt wzgórza, z którego roztaczał się widok na port Melek.

I nagle zapomniał o grzechach innych. Gwałtownie ściągnął wodze potykającego się konia, gdy spojrzał ze zgrozą przed siebie.

Na połyskującym w zimowym słońcu morzu ujrzał ogromną armadę, niezliczoną flotyllę statków żeglujących majestatycznie wzdłuż wybrzeża pod czerwono-złotymi banderami kościoła Chyrellos!

Ogarnięty przerażeniem, doskonały człowiek do tego stopnia zapomniał o całym świecie, że nie usłyszał nawet żalosnych tonów pasterskiego fletu, odgrywającego gdzieś z boku starą styricką melodię. Przez dłuższy czas gapił się na ucieleśnienie swych najgorszych koszmarów, a potem rozpaczliwie wbił ostrogi w boki wierzchowca i popędził zaalarmować ludzi.

* * *

Generał Sirada, dowódca sił rebeliantów w Panem-Dea, był młodszym bratem księcia Milanisa. Król Rakya tak wszystko zaaranżował, że większość generałów Scarpy stanowili Ardżuni. Sirada zdawał sobie sprawę z ryzyka, lecz młodsi synowie szlacheckich rodzin muszą ryzykować, jeśli chcą dojść do czegoś w świecie. Oni bowiem majątek i pozycję zdobywają w walce. Sirada cierpliwie znosił lata współpracy z szalonym bękartem karczemnej dziewczki i niewygodę obcowania w dżungli, czekając na swą szansę.

I wreszcie nadeszła. Wariat z Natayos wydał w końcu rozkaz wymarszu. Kampania rozpoczęła się. Tej nocy w Panem-Dea nikt nie spał. Przygotowania do wymarszu trwały mimo ciemności, a niezdiscyplinowana zbieranina, którą dowodził Sirada, nie potrafiła zrobić niczego po cichu. Sam generał spędził noc, ślęcząc nad mapami.

Musiał przyznać, że strategia wyglądała obiecująco. Niedaleko od Derelu miał połączyć się ze Scarpą i pozostałymi buntownikami. Stamtąd pomaszerują na północ, aż do Gór Tamulskich, gdzie wzmocnią ich oddziały Cynesgan. Następnie ruszą na Tosę, szykując się do ostatecznego ataku na Matherion.

Własna strategia generała Sirady była znacznie mniej skomplikowana. Scarpą zmiażdży opór w Tosie, lecz nie dożyje dnia, gdy ujrzą ogniste kopuły stolicy. Sirada uśmiechnął się okrutnie i pogładził schowany w wewnętrznej kieszeni flakonik z trucizną. Ich armia zdobędzie Matherion, ale to generał Sirada poprowadzi atak i osobiście przebijie mieczem cesarza Sarabiana. Młodszy brat księcia Milanisa spodziewał się, że zostanie za tę

kampanię wynagrodzony co najmniej tytułem hrabiego.

Drzwi otwały się gwałtownie i do pokoju wpadł jego adiutant. Był śmiertelnie blady, oczy wychodziły mu z orbit.

- Dobry Boże, generale! - krzyknął.

- Co ty wyprawiasz? - spytał ostro Sirada. - Jak śmiesz? Każę cię za to wychłostać!

- Atakują nas, generale!

Dopiero teraz Sirada usłyszał wrzaski przerażenia. Wstał szybko i wyszedł na dwór.

Świt jeszcze nie nadszedł, lekka mgiełka wypłynęła ze splątanej dżungli, pokrywając przejrzystym woalem zrujnowane domy i mury Panem-Dea. Wokół płonęły pochodnie, przeganiając czerwonym blaskiem mrok, lecz na zarośniętych gęstwiną krzaków ulicach rozbłyskiwały inne światelka - blade, zimne ognie, które nie płonęły. Lśniące istoty, białe niczym księżyc, wędrowały po ulicach Panem-Dea. Serce generała zamarło ze zgrozy. To niemożliwe! Światliści byli tylko mitem, podobne stwory nie istnieją!

Sirada otrząsnął się ze strachu i dobył miecza.

- Utrzymujcie pozycje! - ryknął na swych przerażonych ludzi. - Uformujcie szyki! Pikinierzy naprzód! - Przebił się przez oszalały tłum wystraszonych żołnierzy, płazując na prawo i lewo. - Do szyku! W linię!

Jednakże na twarzach kiepsko wyszkolonych ludzi nie dostrzegł ani śladu rozsądnej myśli czy lęku przed jego władzą. Wrzeszczący tłum rozstał się przed nim i umknął na boki.

Sirada ruszył ku nim wymachując mieczem, powalając własnych ludzi.

Tak bardzo zajęła go próba przywrócenia porządku, że nie poczuł nawet ciosu noża, który wbił się tuż pod żebrami po lewej stronie. Nie rozumiał, czemu ugięły się pod nim kolana i czemu padł pod nogi własnych żołnierzy, umykających z wrzaskiem w gęstwinę.

* * *

- Jesteś pewien, że to dokładna mapa, Tynianie? - spytał patriarcha Bergsten, przyglądając się miniaturze świata pod swymi stopami.

- To najdokładniejsza mapa, jaką widziałeś, wasza świątobliwość - uspokoił go Tynian. - Bhłokw rzucił zaklęcie i bogowie trolli przyłożyli dłonie do ziemi, by wyczuć kształt kontynentu. Oto on, do ostatniego drzewa i kępy krzaków. Wszystko tu jest.

- Oprócz Cyrgi, Tynianie rycerzu - poprawił Engessa. Atański generał zdążył już wyzdrowieć i całkowicie odzyskał siły. Jego twarz zdradzała jednak niepokój. Po przybyciu

na wyspę królowa powitała go niemal szorstko i wyraźnie unikała.

Sephrenia siedziała na jednej z ław w alabastrowej świątyni Aphrael. Tęczowa poświata niezwykłego nieba rzucała barwne refleksy na jej policzki.

- Mieliliśmy nadzieję, że Schlee zdoła wyczuć Cyrge, gdy odtworzy kontynent, wasza świątobliwość - rzekła - lecz iluzja Cyrгона zdaje się doskonala. Nawet zakłęcie trolli nie potrafi jej przełamać.

- Może spróbujemy zgadnąć? - zasugerował Bergsten.

Aphrael przeszła lekko po maleńkim świecie, przywołanym przez Bhlokwa. Przekroczyła miniaturową Cynestrę i skierowała się na południe w stronę górzystego terenu pośrodku pustyni.

- Kiedyś leżała mniej więcej w tej okolicy - rzekła, wskazując góry.

- Leżała? - spytał ostro Bergsten. . Bogini wzruszyła ramionami.

- Czasami przesuwały różne rzeczy.

- Całe miasta?

- To możliwe, choć stanowi oznakę kiepskiego planowania.

Bergsten zadrżał i zaczął odmierzać drugim kawałkiem sznurka odległości na małym kontynencie.

- Ja jestem tu, w Peli - oznajmił, wskazując punkt w środkowym Astelu. - To prawie trzysta lig od okolicy, w której leży Cyrga. A po drodze będę musiał zająć Cynestrę. Wy znajdujecie się znacznie bliżej, toteż będziecie musieli poczekać, jeśli mamy tam dotrzeć mniej więcej jednocześnie. Aphrael wzruszyła ramionami.

- Pomajstruję - rzekła. Patriarcha spojrział na nią pytająco.

- Boska Aphrael potrafi skracać czas i odległości, wasza świątobliwość - wyjaśnił Sparhawk. - Może...

- Nie chcę tego słuchać, Sparhawk! - przerwał mu ostro Bergsten, zatykając uszy. - Już sprowadzając mnie tutaj, naraziłeś moją duszę. Proszę, nie pogarszaj sytuacji, mówiąc o rzeczach, których nie muszę wiedzieć.

- Jak sobie wasza świątobliwość życzy - zgodził się Sparhawk.

Emban krążył wokół skupiska wysokich gór pośrodku Pustyni Cynesgańskiej.

- Skoro wszyscy zmierzamy w stronę gór, czy nie byłoby najlepiej zatrzymać się na pogórzcu i poczekać, aż nasze siły zajmą pozycję do rozstrzygającego ataku?

- Nie, wasza świątobliwość - odparł stanowczo Vanion. - Trzymajmy się z dala od wszelkich wzniesień - przynajmniej o dzień jazdy. Jeśli natkniemy się na stwory Kisia, będzie nam potrzebne pole manewru. W takim przypadku chcę mieć wokół siebie sporą równinę.

Tłusty kapłan wzruszył ramionami.

- Ty jesteś żołnierzem, Vanionie. - Wskazał na południe. -Oto nasz słaby punkt - rzekł. - Dysponujemy siłami nadciągającymi ze wschodu, pomocnego wschodu i północy, ale nikim na południu.

- Czy zachodzie - dodał Sarabian.

- Zachód pozostawcie mnie, wasza wysokość - oznajmił Bergsten. - Mogę rozmieścić rycerzy i Pelloich tak, by zablokowali cały teren.

- Czyli wciąż pozostaje południe - zastanawiał się głośno Emban.

- Już to załatwiliśmy, Embanie - oznajmiła Aphrael. - Stragen rozpuszczał pogłoski o ogromnej flocie kościoła na południowym wybrzeżu, a ja potwierdzałam je iluzjami. Ile czasu trzeba, by trolle zajęły pozycje na północ od Zhubay, Ulacie?

- Tyle, ile wymaga przekonanie bogów trolli, że potrzebujemy ich dzieci w tamtym miejscu, a nie w Górach Tamulskich - odparł rośli Thalezyjczyk. - Zapewne jakiś dzień. Kiedy już ich przekonamy, umieszczą swe dzieci w bezpiecznym miejscu. Gdybyśmy nie musieli czynić postojów, by nakarmić trolle, dotarlibyśmy do Zhubay, nim ktokolwiek z was zdążyłby choć mrugnąć. Gdybym wiedział, gdzie leży Cyrga, rankiem na jej progu stałoby półtora tysiąca trolli.

- Nie ma pośpiechu. - Bogini-dziecko powiodła wokół stalowym wzrokiem. - Nikt, absolutnie nikt nie zaatakuje Cyrgi, póki nie upewnię się, że Ehlana i Alean są bezpieczne. Jeśli będę musiała, potrafię sprawić, abyście setki lat uganiaли się w kółko po pustyni, więc nie próbujcie żadnych sztuczek.

- Czy królowa Elenii jest dla ciebie aż tak ważna, o boska? - spytała łagodnie Betuana.

- Wojna bywa ciężka i trzeba pogodzić się ze stratami.

- To sprawa osobista, Betuano - ucięła Aphrael. - Oto wasze pozycje. - Wskazała miniaturowy kontynent. - Bergstanie, ty nadciągniesz z północy i zachodu, blokując tę część miasta. Ulath, Tynian i Bhłokw sprowadzą trolle z Zhubay i dołączą do Atanów Betuany na lewej flance. Vanion nadejdzie od wschodu, po jego lewej staną Kring i Pelloi. Stragen przekonał dacońskiego degenerata w Beresie, że na wybrzeżu w okolicy Verelu i Kaf-talu lada moment wyląduje milion rycerzy kościoła. To powinno odwrócić uwagę niemal całej armii Cynesgi. Naszym celem jest Cyrga. Dzielą nas od niej różne odległości, ale załatwię to. Gdy nadejdzie czas, wszyscy będziecie na miejscu, nawet gdybym miała przenieść was tam po kolei. - Urwała. - Co się z tobą dzieje, Bergstanie? Nie śmieję się ze mnie albo złapię cię za nos i potrząsnę.

- Nie śmiałem się, o boska - zapewnił ją. - Uśmiechałem się jedynie z aprobatą. Gdzie

tak dobrze poznałaś strategię i taktykę?

- Obserwuję was, Elenów, toczących wojny, odkąd odkryliście ogień, wasza świątobliwość. Przez ten czas musiałam nauczyć się kilku waszych sztuczek. - Nagle odwróciła się do Bhlokwa. - Co znowu? - spytała z irytacją w mowie trolli.

- U-lat powtórzył mi twoje słowa, bogini-dziecko. Czemu to robimy?

- Żeby ukarać złych, kapłanie bogów trolli.

- Co takiego? - spytał oszołomiony Sparhawk Ulatha. - Jak go nazwała?

- Nie wiedziałeś? - odparł łagodnie Ulath. - Nasz włośchaty przyjaciel to ważna osobistość.

- Oni mają kapłanów?

- No jasne. Jak chyba wszyscy.

- Dobrze jest ukarać złych, którzy ukradli kobietę Anakhy -mówił Bhlokwa. - Ale czy musimy zabrać tak wielu? Khwaj ukarze złych. Nadeszła pora Schlee i powinniśmy ruszyć na łowy. Trzeba nakarmić młode albo umrą. A to niedobrze.

- Ojej - mruknęła Aphrael.

- Co się tu dzieje, panie Ulacie? - spytał Sarabian.

- Trolle to myśliwi, wasza wysokość - wyjaśnił Ulath - nie wojownicy. Nie rozumieją, na czym polega walka. Pożerają to, co zabijają.

Sarabian zadrżał.

- To bardzo moralne, wasza wysokość - zauważył Ulath. -

Z punktu widzenia trolla marnowanie mięsa jest przestępstwem.

Aphrael przyglądała się kapłanowi bogów trolli, mrużąc oczy.

- Dobrze jest jednocześnie ruszyć na łowy i ukarać złych -rzekła. - Jeśli będziemy polować w ten sposób, zranimy złych i zdobędziemy mnóstwo mięsa dla młodych w porze Schlee.

Bhlokwa rozważył jej słowa.

- Łowy ludzkich stworów są nieproste - rzekł z powątpiewaniem - lecz myślę, że łowy boskich stworów są jeszcze bardziej nieproste. - Zastanowił się chwilę. - Ale to dobrze. Łowy, na których zdobywa się nie tylko mięso, to dobre łowy. Dobrze polujesz, bogini-dziecko. Kiedyś powinniśmy zjeść razem i pomówić o dawnych łowach. Dobrze jest to robić. Takie rozmowy zbliżają towarzyszy stada i sprawiają, że razem polują lepiej.

- Ucieszę się, jeśli to zrobimy, Bhlokwie.

- Zatem zrobimy to. Zabiję dla nas psa. Psy są jeszcze smaczniejsze niż świnie.

Aphrael zakrztusiła się lekko.

- Czy rozniewam cię, przemawiając do naszych towarzyszy stada w ptasich dźwiękach, Bhlokwie? - wtrącił Sparhawk. - Wkrótce nadejdzie pora rozpoczęcia łowów i wszystko musi być gotowe.

- Nie rozniewasz mnie, Anakho. U-lat może powtórzyć, co mówisz.

- Dobrze zatem - powiedział Sparhawk, odwracając się do pozostałych. - Wszyscy wiemy, którądy mamy maszerować do Cyrgi, lecz kilkoro z nas musi się najpierw dostać do miasta. Proszę was, wstrzymajcie atak, póki nie zajmiemy pozycji. Nie deptajcie nam po piętach.

- Kogo ze sobą zabierasz, Sparhawk? - spytał Vanion.

- Kaltena, Beviera, Talena, Xanetię i Mirtai. ‘

- Niezupełnie różu... Sparhawk uniósł dłoń.

- To Aphrael ich wybrała, mój panie - rzekł. - Jeśli masz jakieś obiekcje, zwróć się do niej.

- Musisz zabrać ze sobą tych ludzi, Sparhawk - wyjaśniła cierpliwie Aphrael. - Jeśli tego nie zrobisz, przegrasz.

- Skoro tak twierdzisz, o boska - ustąpił.

- Czy to znaczy, że wyprzedzicie Berita i mnie? - spytał Khalad.

Sparhawk przytaknął.

- Nasi przeciwnicy będą oczekiwali, że ruszymy za wami. Jeśli was wyprzedzimy, możemy ich zmylić - przynajmniej taką mamy nadzieję. Aphrael zabierze nas wprost do Vigayo, gdzie trochę powęszymy. Jeżeli posłaniec z następną wiadomością dotarł już na miejsce, Xanetia powinna wychwycić kolejny punkt docelowy. Wcześniej czy później ktoś będzie musiał wam podać klucz do skrywającej Cyrgę iluzji, a tę właśnie informację musimy zdobyć. Gdy już ją poznamy, reszta będzie łatwa.

- Podoba mi się jego definicja słowa „łatwa” - mruknął do Stragena Caalador.

Emban zanotował kolejny punkt swego nieuniknionego spisu, następnie odchrząknął.

- Musisz, Embanie? - spytał Bergsten.

- To mi pomaga myśleć, Bergstanie, i dzięki temu upewniam się, że niczego nie pominęliśmy. Jeśli tak bardzo cię nudzę, nie słuchaj.

- Ludzkie stwory dużo mówią, kiedy decydują, jak będą polować, U-lat - poskarżył się Bhlokwi.

- Taka jest natura ludzkich stworów.

- To dlatego, że łowy ludzkich stworów są zbyt nieproste. Myślę, że ich łowy są nieproste, bo nie jedzą tych, których zabijają. Polują i zabijają z powodów, których nie

rozumiem. Myślę, że rzecz, którą ludzkie stwory nazywają wojną, jest wielkim złem.

- Nie chcemy rozgniewać kapłana trollich bogów - wtrącił patriarcha Bergsten w bezbłędnym języku trolli. - Rzecz, którą ludzkie stwory nazywają wojną, przypomina to, co się dzieje, gdy dwa stada trolli przybywają na łowy w te same góry.

Bhlokw zastanawiał się przez moment. W końcu odchrząknął i jego włochata twarz rozpromieniła się w nagłym olśnieniu.

- Teraz rozumiem - rzekł. - Rzecz, którą ludzkie stwory nazywają wojną, jest jak łowy na myśli. Dlatego jest nieprosta. Ale wciąż zbyt wiele mówicie. - Mrużąc oczy, troll przyjrzał się Embanowi. - Ten jest najgorszy - dodał. - Jego myślobrzuch jest równie wielki jak brzuchobrzuch.

- Co on powiedział? - spytał ciekawie Emban.

- Nie da się tego przetłumaczyć, wasza świątobliwość - odparł z pozorną obojętnością Ulath.

Patriarcha Emban zerknął na niego podejrzliwie i raz jeszcze szczegółowo omówił rozmieszczenie wojsk, po drodze odhaczając kolejne punkty listy. Gdy skończył, rozejrzał się.

- Ktoś jeszcze ma jakiś pomysł?

- Możliwe. - Sephrenia lekko zmarszczyła brwi. - Nasi nieprzyjaciele wiedzą, że Berit to fałszywy Sparhawk, uważają jednak, iż Sparhawk nie będzie miał wyboru; musi podążać w ślad za tamtymi. Dobrze byłoby potwierdzić owe przekonanie. Chyba znam sposób powielenia dźwięku i uczucia obecności Bhelliomu. Jeśli się uda, wrogowie pomyślą, że Sparhawk jedzie pośrodku kolumny rycerzy, którą prowadzi Vanion. Zamiast go szukać skoncentrują się na nas.

- Bardzo się narażasz, Sephrenio - zaoponowała Aphrael.

- To nic nowego - uśmiechnęła się - a gdy się zastanowić nad tym, czego próbujemy dokonać, nigdzie nie jest bezpiecznie.

- Zatem to wszystko? - Engessa wstał.

- Najpewniej, przyjacielu Engesso - odparł Kring. - Teraz przez następną godzinę będziemy sobie powtarzać, żebyśmy byli ostrożni.

Engessa wyprostował ramiona, obrócił się i spojrział wprost na władczynię.

- Jak brzmią twoje rozkazy, Betuano królowo? - spytał oficjalnym tonem.

Betuana wyprostowała się wyniośle.

- Rozkazujemy, abys wrócił z nami do Sarny, Engesso Atanie. Tam z powrotem obejmiesz dowodzenie naszymi armiami.

- Uczynię, jak każesz, Betuano królowo.

- Natychmiast po powrocie wyprawisz biegaczy do mojego męża, króla. Powiedz mu, iż Tosie nic już nie grozi. Świetliści zajmą się Scarpą.

Engessa sztywno skinął głową.

- Powiedz też, że potrzebuję jego sił w Sarnie. Przygotowujemy się bowiem do głównej bitwy i powinien tam być, by objąć dowództwo. - Urwała. - Nie myśl, że twoje przywództwo nam nie odpowiada, Engesso Atanie, jednakże Androl jest królem. Dobrze się spisałeś. Królewski ród Atanu jest ci wdzięczny.

- To mój obowiązek, Betuano królowo - odparł, tłukąc w salucie pięścią w napierśnik.

- Nie potrzeba mi wdzięczności.

- Ojejku - mruknęła Aphrael.

- Co się stało? - spytała Sephrenia.

-Nic.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

- To bez wątpienia Chacole i Torellia, Sarabianie - powtarzała z uporem Elysoun kilka dni później. - O ile wiem, Chacole wszystkim kieruje. Jest starsza i przebieglejsza. Obcy zazwyczaj idą wprost do niej. Jakiś czas rozmawiają na osobności, a potem wzywają Torellię. Jeszcze niedawno za sobą nie przepadały, teraz jednak przez cały czas szepczą między sobą.

- Zapewne dostały rozkazy z domu - zastanawiał się w głos Sarabian. - Król Jaluah z Cynesgi to brat Chacole, a Torellia jest córką króla Rakyi z Ardżuny. Zdołałaś się zorientować, do czego zmierzają?

Potrząsnęła głową.

- Jest zbyt wcześnie.

- Wcześnie?

- To znów kobieca polityka. Jesteśmy podstępniejsze od mężczyzn. Zanim Chacole zacznie tworzyć nowe sojusze, zechce wszystko zawczasu przygotować. Na razie kontroluje Torellię, ale nie jest jeszcze gotowa do dalszej ekspansji.

- Torellia na pewno się jej podporządkowała? Elysoun przytaknęła.

- Słudzy Chacole rządzą jej służbą. To pierwsza oznaka dominacji w pałacu kobiet. Służący Cieronny są niezdolni, bo ich pani jest pierwszą żoną i wszystkie jej podlegamy - oczywiście, z wyjątkiem Liatris.

- Oczywiście. - Sarabian uśmiechnął się. - Nikt zdrowy na umyśle nie potraktuje impertynencko Liatris. Czy ostatnio znów kogoś zabiła?

- Nie, odkąd w zeszłym roku. zarżnęła pachółka Cieronny.

- Mam myśl. A gdyby tak wtajemniczyć Liatris? Elysoun pokręciła głową.

- Może później, ale nie na tym etapie. Atana Liatris jest zbyt bezpośrednia. Gdybym zwróciła się do niej, po prostu zabiłaby Chacole i Torellię. Zanim przedstawimy nasz plan Liatris, poczekajmy, by Chacole skontaktowała się ze mną.

- Jesteś pewna, że to zrobi?

- Prawie pewna. Moi służący dysponują wielką swobodą ruchów - ze względu na moje rozrywki.

- Delikatne określenie.

- Kiedy się ze mną żeniłeś, wiedziałeś, że jestem Yalesianką, Sarabianie, i znałeś nasze zwyczaje. Dzięki temu moja służba może krążyć po całym zespole pałacowym. Tak każe tradycja.

Westchnął.

- Ilu masz w tej chwili, Elysoun?

- Żadnego. - Uśmiechnęła się. - Naprawdę nie rozumiesz, Sarabianie? Najzabawniejsze we wszystkich moich przygodach były zawsze intrygi, a te zapewnia mi gra polityczna.

- Nie czujesz się nieco samotna?

- Zniosę to. - Wzruszyła ramionami. - A gdyby doszło do najgorszego, mam jeszcze ciebie. - Uśmiechnęła się figlarnie.

* * *

- Nu, panoczku Valashu - rzekł przeciągle Caalador, odchylając się na krześle w kącie zatłoczonego strychu. - Stareńkj Vymer rzeka, co to dobrym grosim płacisz za jenformacje. Uznał, że chceta posłuchać historyjek o tym, co widzielech w południo-wem Atanie.

- Wy dwaj długo się znacie, prawda? - spytał Valash.

- Jak rany, tak, mości Valashu. My i Vymer znamy się z dawien dawna. Byliśma wszytkie razem w Matherionie. Ja, Fron i Reldin - i jeszcze inne. Nieźleśmy się tam ubawieli. A gdy zgubili policję, rozleźlim się i umkli na wietrze. Dobrzutko jest przycupnąć gdziesik w kuncie, jak nas gania prawo.

Stragen usiadł nieco z boku poza rzucanym przez samotną świecę kręgiem światła i uważnie obserwował oblicze Valasha. Caalador dopiero co przybył do miasta, aby zastąpić Sparhawk i Talena w oszukiwaniu Dacity. Stragenowi po raz kolejny zaimponowała zręczność przyjaciela. Valash zdawał się oczarowany prostackim dialektem Caaladora. Osobiście Stragen nienawidził tej mowy, musiał jednak przyznać, iż jest użyteczna. Zawsze zdawała się tak naturalna, całkowicie szczerą.

- Gdzie w ogóle podziewa się Fron? - spytał Valash.

- Un i Reldin zmyli się jakisik tydzień temu. - Caalador wzruszył ramionami. - Po drudze tutaj wpadłem zech do karczmy w Dęło. Był tam gościu, co to mniał policjant wypisane na gembie. Opisywał starego Frona i chłopaka, jota w jotę. Jak tyleńko tu zjechałem, powiedziałem jem i uznali, że czas jechać. Ten tu Vymer gado, że jenteresuje was, cosik się tam dzieje, a gdym musiał zwiewać z Matherionu, widzialech to i owo. Vymer rzecze, że możeta chcieć za to zabulić.

- Niewątpliwie posłucham, Ezeku. - Valash gwałtownie uniósł głowę, gdyż nieruchomy Ogerajin zaczął mamrotać przez sen.

- Czy z nim wszystko w porządku? - spytał Stragen.

- To nic ważnego - odparł krótko Valash. - Ciągłe mu się to zdarza. Proszę, mów, Ezeku.

- Nu, to było parę tygodniów tymu. Zwiewałem przez Atan, myślunc, że ruszmy dalej przełajem przez Astel, do Darsos - no bo prawo deptało mi po piniach. Schodziłem z jechnich górów, gdym stanął, bo zoczyłem więcej złotych Atanów, niżli umiem zliczyć. Nie wiedziałem, że jest ich aż tylu na świecie - ciągnuli się na mile. Draniów było jak mrówek - narychtowanych do wujny i całych nastroszonych.

- Cała armia atańska?! - wykrzyknął Valash.

- Bardziej wynglundało to na jech cały naród, mości Valashu. Nigdech nie widział tak wielu.

- Gdzie dokładnie byli? - spytał Valash z podnieceniem.

- Nu, z tego, co wiem, tuż pod granico Cynesgi - obok miejsciny, co ją zowią Zhubay. Jakbyś tak mniał pod rynko mapę, mógłbych ci wskazać dokładnie. - Caalador spojrział na Dacitę, mrużąc oczy. - No to wiele jist warta dla ciebie ta jenformacja?

Valash bez wahania sięgnął po mieszek.

* * *

- To było bardzo dziwne, domi Tikume - rzekł do przyjaciela Kring. Jechali razem przez Pustynię Cynesańską na czele połączonych szczepów, następnego ranka po naradzie na wyspie Aphrael. - Bogini-dziecko mówiła, że śnimy, ale wszystko zdawało się takie rzeczywiste. Czulem zapach kwiatów i trawy. Nigdy dotąd nie zdarzało mi się to we śnie.

Tikume spojrział na niego z powątpiewaniem.

- Jesteś pewien, że podróż tam to nie herezja, domi Kringu? Kring zaśmiał się cierpko.

- Jeśli nawet, miałem dobre towarzystwo. Byli tam patriarchowie Emban i Bergsten. W każdym razie mamy nadal organizować wypady w głąb Cynesgi. Potem wyruszmy w stronę gór pośrodku pustyni. Liczymy na to, że zanim tam dotrzemy, księżę Sparhawk ustali dokładne położenie Cyrgi.

Jeden ze zwiadowców krążących po spalonej brązowej pustyni przygalopował z powrotem.

- Domi Tikume - rzekł, ściągając wodze. - Znaleźliśmy ich.

- Gdzie? - spytał Tikume.

- Dwie mile przed nami, w wyschniętym korycie rzeki, domi. Ukryli się tam. Myślę,

że chcą nas złapać w pułapkę.

- Co to za żołnierze? - wtrącił Kring.

- Cynesgańską kawaleria i ci olbrzymi w stalowych maskach, których ostatnio ganiamy na śmierć. Dostrzegłem też inną piechotę, ale ich nie rozpoznałem.

- Napierśniki? Krótkie spódniczki? Hełmy z pióropuszcami i wielkie okrągłe tarcze?

- Jakbyś ich widział, domi Kringu. < ^ Kring potarł dłonią ogoloną czaszkę.

- Jak szerokie jest to koryto? - spytał. .>‘ , - Około pięćdziesięciu kroków, domi.

- Zakrzywione, dość głębokie? Zwiadowca przytaknął.

- Rzeczywiście to pułapka - rzekł Kring. - Kawaleria zamierza zapewne pokazać się nam na wabia i wycofać do wąwozu. Jeśli ruszymy w pościg, wpadniemy wprost na piechotę. Dotąd uganiał się za żołnierzami Kljela na otwartym terenie, więc chcą ograniczyć nam swobodę ruchów.

- Co zrobimy? - spytał Tikume.

- Będziemy się trzymać z daleka, przyjacielu Tikume. Kiedy ich jeźdźcy wyjadą, pošlij naszych, by odcięli im drogę powrotną. Wytniemy w pień wszystkich. To powinno wywabić żołnierzy Kisła.

- A co z Cyrgaimi? Czy to znów oddziały z przeszłości, na które wciąż natrafiamy?

- Nie sądzę. Jesteśmy w Cynsedze, zapewne więc to żywi żołnierze z Cyrgi. - Kring urwał nagle. Po chwili jego usta wygięły się w złośliwym uśmiechu. - Właśnie coś przyszło mi do głowy. Wyślij naszych ludzi, przyjacielu Tikume. Daj mi trochę czasu. Muszę to jeszcze przemyśleć.

- Masz paskudny uśmiech, przyjacielu Kringu.

- Czasami bywam paskudnym człowiekiem, przyjacielu Tikume - odparł Kring, uśmiechając się jeszcze szerzej.

* * *

- Handlarze niewolników - powiedziała krótko Mirtai, rzuciwszy jedno spojrzenie ze szczytu skalistego wzgórza na kolumnę ludzi, pełznącą wolno przez jałowe piaski. Niemal natychmiastowe przejście z wilgotnej dżungli Ardżuny do rozpalonej pustyni Cynesgi sprawiło, że Sparhawka rozbolała głowa.

- Skąd wiesz z takiej odległości? - spytał Bevier.

- Dzięki tym czarnym szatom z kapturami - odparła, wyglądając ponownie zza głązu, za którym się ukryli. - Po przyjeździe do Cynesgi handlarze niewolników zakładają te stroje,

by miejscowe władze im nie przeszkadzały. Cynesga to chyba jedyny kraj, w którym niewolnictwo pozostało legalne. Inne królestwa raczej go nie popierają.

- To całkiem niezła myśl, Sparhawk - rzekł Bevier. - Gdybyśmy zdołali dostać w swe ręce kilka tych czarnych szat, moglibyśmy podróżować po pustyni, nie zwracając niczyjej uwagi.

- Nie wyglądamy jak Ardżuni, Bevierze - zaprotestował Kalten.

- Nie musimy - wtrącił Talen. - Z tego, co słyszałem, w Be-resie, na pustyni działają szajki bandytów napadające na karawany i kradnące niewolników, toteż ardżuńscy handlarze wynajmują do ochrony swego towaru opryszków z najróżniejszych ras.

- Ach, tak - rzekł Kalten. - Zastanawiam się, skąd by tu wziąć czarne szaty.

- Tam widzę ich całą setkę. - Bevier wskazał ręką karawanę.

- Eleni! - westchnęła Xanetia, unosząc wzrok ku niebu.

- Zaczynasz nawet mówić jak Sephrenia, Anarae. - Sparhawk uśmiechnął się lekko. -

Co przeczyliśmy?

- Szaty każdej barwy posłużyć nam mogą, Anakho - wyjaśniła cierpliwie. - Te zaś bez wątpienia w Vigayo przy oazie zdobyć możemy.

- Muszą być czarne, Anarae - zaproponował Bevier.

- Barwa aspektem światła jest jeno, panie Bevierze, ja zaś władzę nad światłem posiadałam.

- Ach! - rzekł. - Nie pomyślałem o tym.

- Sama także to zauważyłam - niemal natychmiast.

- Bądź grzeczna - mruknął.

* * *

Rycerze Bergstena i ich pelojscy sprzymierzeńcy przekroczyli cynesgańską granicę pewnego pochmurnego, chłodnego popołudnia, po ostrej jeździe, która zdawała się trwać kilka dni. Stamtąd ruszyli na południowy wschód w stronę stolicy Cynestry. Pelojscy zwiadowcy badali teren, tego dnia jednak nie natknęli się na żaden opór. Rozbili obóz, wystawili warty i wcześniej położyli się spać.

Gdy następnego ranka - tak przynajmniej sądzili - zwinęli obóz i wyruszyli w drogę, Daiya dołączył do Bergstena i Hel-dina na czele kolumny.

- Moi zwiadowcy meldują, że niecałą milę stąd zbierają się żołnierze, wasza dostojność - oznajmił.

- Cynesganie? - spytał szybko Bergsten.

- Raczej nie, wasza dostojność.

- Rzuć na nich okiem, Heldinie - rozkazał Bergsten.

Pandionita przytaknął i spiął ostrogami konia, kierując się na szczyt skalistego wzgórza ćwierć mili dalej. Po chwili wrócił z posępną miną.

- Mamy problem, wasza świątobliwość - zagrzmał. - To kolejny oddział tych samych potworów, na które natknęliśmy się we wschodnim Zemochu.

Bergsten wymamrotał pod nosem paskudne przekleństwo.

- Wiedziałem, że wszystko za dobrze nam idzie.

- Domi Tikume uprzedził nas o owych obcych żołnierzach -rzekł Daiya. - Czy uraziłoby to waszą dostojność, gdybym zaproponował, abyście zostawili ich nam? Domi Tikume i domi Kring opracowali taktykę, która podobno działa.

- Zupełnie nie czuję się urażony, przyjacielu Daiyo - odparł Bergsten. - Podczas naszego ostatniego starcia z tymi stworami nie okryliśmy się chwałą, toteż chętnie zobaczę coś, co sprawdza się w walce lepiej niż nasza strategia.

Daiya naradził się krótko z wodzami klanów, a potem poprowadził Bergstena, Heldina i kilku innych rycerzy na szczyt wzgórza, skąd mogli obserwować bitwę.

Bergsten natychmiast dostrzegł przewagę lekkiej kawalerii nad zbrojnymi rycerzami, dosiadającymi ciężkich rumaków bojowych. Potężni żołnierze w obcisłych zbrojach sprawiali wrażenie oszołomionych błyskawicznymi atakami uzbrojonych w oszczepy Peloich. Miotali się rozpaczliwie, usiłując zbliżyć się do swych prześladowców, lecz śmigłe konie Peloich były po prostu zbyt szybkie. Wkrótce oszczepy zaczęły zbierać swe żniwo; coraz więcej roślących potworów padało pod naporem śmiercionośnego deszczu.

- Chodzi o to, by zmusić ich do biegu, wasza dostojność -wyjaśnił Daiya. - Z bliska są bardzo niebezpieczni, lecz brak im wytrzymałości, toteż w szybkiej walce nie stanowią zagrożenia.

- Vanion wspominał mi o tym - rzekł Bergsten. - Czy domi Tikume określił, ile czasu trzeba, by zabrakło im tchu?

- Nie podał dokładniejszych informacji, wasza dostojność. Patriarcha wzruszył ramionami.

- Nic nie szkodzi, przyjacielu Daiyo. Mamy tu mnóstwo miejsca, a ranek jeszcze nie minął. Jeśli trzeba, będziemy ich ganiać cały dzień.

Oszołomieni powtarzającymi się atakami, potężni żołnierze zaczęli ciężko przeć naprzód, szurając nogami, unosząc straszliwą broń i wykrzykując gardłowe okrzyki wojenne.

Jednakże Peloi nie podjęli wyzwania, nadal atakując i odskakując.

Wówczas doprowadzone do szału stwory zaczęły biec ku nim chwiejnym krokiem.

- To możliwe - zastanawiał się głośno pan Heldin swym dźwięcznym basem. -
Będziemy jednak potrzebowali innego ekwipunku.

- O czym ty mówisz, Heldinie? - spytał Bergsten.

- O planach na przyszłość, wasza świątobliwość. Jeśli te bestie staną się stałym elementem walk, będziemy musieli zmienić kilka rzeczy. Może nieźle byłoby wyszkolić i wyekwipować kilka oddziałów rycerzy kościoła jako lekką kawalerię.

- Heldinie - odrzekł kwaśno Bergsten - jeśli te stwory staną się stałym elementem walk, będzie tak dlatego, że przegraliśmy tę wojnę. Czemu uważasz, że wówczas pozostaną jeszcze jacyś rycerze kościoła?

- Ustępują, wasza dostojność! - krzyknął podniecony Dai-ya. - Uciekają!

- Ale dokąd, Daiyo? - odparł Bergsten. - To powietrze ich zabija, a powietrze jest wszędzie. Gdzie mogą się ukryć, Daiyo? Dokąd pójść?

* * *

- Dokąd uciekają? - spytał ze zdumieniem Kring, gdy żołnierze Klaela przerwali niezdarny pościg za pelojskimi jeźdźcami i uciekli na pustynię.

- Kogo to obchodzi? - Tikume roześmiał się. - Niech sobie biegają. Wciąż mamy jeszcze uwięzionych w jarze Cyrgaich. Lepiej zmusimy ich do wyjścia w pole, zanim jakiś sprytny oficer na tyłach zorientuje się, gdzie są.

Cyrgai stosowali taktykę starą jak świat. Miarowo posuwali się naprzód, maszerując równym krokiem; wielkie okrągłe tarcze osłaniały ciała, drugie włócznie unosili przed sobą. Gdy Peloi śmigali ku nim, żołnierze zatrzymywali się i zwierali szyk. Pierwszy szereg klękał, stykając tarcze i unosząc włócznie. Następne rzędy przysuwały się bliżej, także z zetkniętymi tarczami i wzniesioną bronią.

Było to niezwykle piękne - lecz całkowicie nieskuteczne w walce z kawalerią.

- Musimy zmusić ich do biegu, domi Tikume! - krzyknął do przyjaciela Kring, gdy obaj skręcali galopem przed szeregiem wroga. - Po każdym ataku każ swoim dzieciom cofać się nieco dalej. Jeśli te zabytki będą maszerowały w takim tempie, nasz plan zawiedzie. Zmusz ich do biegu!

Tikume wykrzyknął rozkazy i jego jeźdźcy zmienili taktykę, cofając się o kilkaset jardów i zmuszając Cyrgaich, by ci przyszli do nich.

Pośrodku jednego z regimentów odezwała się trąba i Cyrgai ruszyli naprzód truchtem, wciąż utrzymując doskonałą formację.

- Dobrze wyglądają, prawda? - zaśmiał się Tłkume.

- Wyglądaliby, gdyby byli na defiladzie - odparł Kring. - Ukrujmy ich i cofnijmy się jeszcze dalej.

- Jak daleko stąd do granicy? - spytał Tikume.

- Kto wie? Nikt, z kim rozmawiałem, nie miał pewności. Jesteśmy jednak blisko. Zmusz ich do biegu, Tikume! Do biegu! Tikume uniósł się w strzemionach.

- Przekażcie dalej! - huknął. - Zarządzam odwrót.

Peloi zawrócili i pogalopowali na wschód po zgrzytającym brązowym żwirze.

Oddziały Cyrgaich wydały z siebie słaby okrzyk radości i trąbka odezwała się ponownie. Starożytni żołnierze, wciąż utrzymując identyczne tempo i perfekcyjne formacje, przyspieszyli kroku. Sierżanci wywarkiwali dźwięczne rozkazy. Łoskot butów Cyrgaich uderzających w jałową ziemię przypominał dźwięk wielkiego bębna.

I nagle pełny blask zimowego południa przygaśł, jakby olbrzymie milczące skrzydła przysłoniły niebo. Nad pustynią powiał zimny wiatr, ich uszu dobiegł skowyt, w którym dźwięczały echa wszelkich odmian ludzkiego cierpienia.

Gwałtownie porażeni Cyrgai marli bezgłośnie, padając bezwładnie na ziemię. Ich ślepo pracy naprzód towarzysze wdeptywali trupy w żwir, po czym, zdumieni, walili się na nie.

Kring i Tikume, bladzi, wstrząsani dreszczami, patrzyli z podziwem, jak pradawne styryckie przekleństwo zbiera straszliwe żniwo. W końcu, czując mdłości, zawrócili i pojechali z powrotem na wschód, odwracając się plecami od mizerycznych resztek doskonałych żołnierzy pędzących na oślep na spotkanie lodowatej zawodzącej śmierci.

* * *

- Te ubrania świetnie spisują się w Ardżunie i Tamulu, ziomku - rzekł do kramarza Sparhawk później tego samego dnia - ale w burzy piaskowej są do niczego. Podczas ostatniej naleciało mi za koszulę cztery funty pyłu.

Kramarz przytaknął z powagą.

- Inne rasy wyśmiewają się z naszych tradycyjnych strojów, dobry panie - zauważył. - Zazwyczaj śmieją się do czasu spotkania z pierwszą burzą piaskową.

- Czy wiatr wieje tam bez przerwy? - spytał Talen.

- Niezupełnie bez przerwy, młody panie. Popołudnia są zazwyczaj najgorsze. -
Mężczyzna spojrział na Sparhawk. - Ilu szat potrzebujesz, dobry panie?

- Jest nas sześciu, ziomku, i żaden nie przepada za innymi do tego stopnia, by dzielić się z nimi swą szatą.

- Masz jakieś preferencje, jeśli chodzi o kolory?

- Czy jakiś kolor lepiej niż inne chroni przed piaskiem?

- Nie zauważyłem.

- A więc każdy się nada.

Kramarz zniknął w magazynie i powrócił ze stosem starannie złożonych strojów. Następnie uśmiechnął się, zatarł dłonie i poruszył temat zapłaty.

- Za dużo ci policzył, wiesz o tym? - spytał Talen, gdy wyszli z zagraconego sklepu na zapyloną ulicę. Sparhawk wzruszył ramionami.

- Możliwe - odparł.

- Któregoś dnia będę musiał cię nauczyć zasad targowania się.

- Jakie to ma znaczenie? - Sparhawk przywiązał naręczce cynesgańskich szat do łęku siodła. Rozejrzał się. - Anarae?

- Tu jestem, Anakho - odparł cichy szept.

- Zdołałaś dowiedzieć się czegośkolwiek?

- Nie, Anakho. Posłaniec wyraźnie nie pojawił się jeszcze.

- Berit i Khalad wciąż mają przed sobą kilka dni jazdy, Sparhawk - rzekł cicho Talen - a ta wieś nie jest aż tak ciekawa, by posłaniec miał przyjechać wcześniej i napawać się widokami. - Rozejrzał się wokół, wodząc wzrokiem po przywiedłych palmach i mulistej sadzawce pośrodku zbiorowiska białych domów.

- Ciekawe czy nie, musimy znaleźć jakiś pretekst, żeby tu zostać - powiedział Sparhawk. - Nie możemy wyjechać, póki nie zjawi się posłaniec i Anarae Xanetia nie wysłucha jego myśli.

- Samą pozostać tu mogę, Anakho - oznajmiła Xanetia. - Nikt obecności mej nie wyczuje, ochrony mi tedy nie trzeba.

- Mimo to zostaniemy, Anarae - uciął Sparhawk. - Uprzejmość i tak dalej, rozumiesz. Eleński dżentelmen nie pozostawi damy bez opieki.

Na osłoniętym od słońca ganku czegoś, co przypominało ta-wernę bądź winiarnię, wybuchła kłótnia.

- Nie wiesz, o czym gadasz, Echonie - oznajmił skrzekliwie stary mężczyzna w brudnym, połatanym płaszczu. - Stąd do rzeki Samy jest co najmniej sto mil, a po drodze nie

ma żadnej wody.

- Albo za dużo wypiliśmy, albo też zbyt długo siedziałeś na słońcu, Zagorri - odparł pogardliwie Echon, stary zasuszony człowiek w granatowej szacie. - Według mojej mapy to sześćdziesiąt mil, nie więcej.

- Jak dobrze znasz człowieka, który nakreślił tę mapę? Mieszkam tu całe życie i wiem, jak daleko stąd do Sarny. Ale proszę, ruszaj w drogę. Weź dość wody na sześćdziesiąt mil. Twoje muły padną, a ty przez ostatnie czterdzieści będziesz pił piasek. Mnie to nie przeszkadza, bo i tak nigdy za tobą nie przepadałem. Zapamiętaj jednak moje słowa, Echonie. Sto mil dzieli Studnię Vigaya od brzegów Sarny. - Stary mężczyzna splunął w stronę brązowej sadzawki.

Nagle Talen wybuchnął śmiechem.

- Co cię tak rozbawiło? - spytał Sparhawk.

- Właśnie dopisało nam szczęście, dostojny przywódco - odparł wesoło chłopak. - Jeśli już skończyłeś, proponuję, żebyśmy wracali do naszych towarzyszy. Powinniśmy porządnie się wyspać - bo zapewne wczesnym rankiem wyruszymy w drogę.

- Ach tak? Dokąd?

- Oczywiście do Cyrgi. Czyż nie tam zmierzamy?

- Owszem, ale nie wiemy, gdzie ona leży.

- I tu się mylisz, Sparhawk. Znamy drogę do Cyrgi - a przy-; najmniej ja znam.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

- Dobrą miał śmierć? - spytała Betuana. Jej twarz pobladła, poza tym jednak nie zdradzała wzruszenia.

- Stosowną, Betuano królowo - odparł posłaniec. - Byliśmy na dnie jaru, a Klael bestia zasypywał nas lawinami. Androl król zaatakował go. Gdyby nie to, zginęłoby wielu wojowników.

Królowa zastanowiła się chwilę.

- Tak - rzekła w końcu. - To była stosowna śmierć. Taką ją zapamiętamy. Czy armia nadaje się do dalszego marszu?

- Mamy wielu rannych, Betuano królowo, a tysiące pozostało w jarze. Wycofaliśmy się do Tualas, oczekując na rozkazy.

- Wyznacz kilku wojowników, by zajęli się rannymi, i sprowadź tu armię - poleciła. - Tosie nic już nie grozi. Niebezpieczeństwo jest tutaj.

- Zrobię, jak każesz, moja królowo. - Zasalutował, uderzając pięścią w pancerz.

Władczyni Atanu wstała, jej blada twarz nadal nie zdradzała żadnych uczuć.

- Muszę odejść i rozważyć to, co się stało, Itagne ambasadorze - rzekła oficjalnym tonem.

- Tak być powinno, Betuano królowo - odparł. - Podzielam twój ból.

- Ale nie mą winę. - Odwróciła się i powoli opuściła komnatę.

Itagne spojrział na stojącego obok z kamienną twarzą Engesse.

- Lepiej przekażę wiadomość pozostałym - rzekł. Engessa przytaknął krótko.

- Czy mógłbyś wypytać posłańca, zanim odjedzie, Engesso? - poprosił Itagne. - Pan Vanion zechce poznać liczbę ofiar, by móc zmienić swą strategię.

- Zdobędę tę informację, Itagne ambasadorze. - Engessa skłonił głowę i wyszedł.

Itagne zaklął, waląc pięścią w stół.

- Że też wybrał sobie akurat ten moment! - prychnął. - Gdyby ten idiota zaczekał choć trochę, zanim dał się zabić.

Betuana nie zrobiła nic złego. Jej troska o zdrowie Enges-sy nie splamiła reputacji królowej. Gdyby tylko miała tydzień czy dwa na otrząśnięcie się z szoku, na pewno zapomniałaby o wszystkim - włączając w to własne uczucia. Lecz śmierć An-drola, następująca właśnie w tym momencie... Itagne ponownie zaklął. Królowa Atanów była im potrzebna, a ostatnie wydarzenie mogły uczynić ją niezdolną do walki. Równie dobrze mogła

szukować się w tej chwili do przebiccia mieczem. Wstał i ruszył na poszukiwanie papieru i pióra. Musiał uprzedzić Vaniona, nim sytuacja w Samie wymknie się spod kontroli.

* * *

- Wszystko wskoczyło na miejsce, gdy usłyszałem, jak stary nazwał tę sadzawkę Studnię Vigaya - wyjaśnił Talen. - Ogerajin użył dokładnie tej samej nazwy.

- Nie wiem, czy to ma aż tak wielkie znaczenie - powiedziała z powątpiewaniem Mirtai. - Cynesganie wszystkie pustynne źródła określają mianem studni. Vigay był zapewne jej odkrywca.

- Ważne, że to jeden z punktów orientacyjnych, które wymienił Ogerajin - odparł Bevier. - Czemu w ogóle poruszył ten temat? - spytał Talena.

- Stragen i ja snuliśmy bajki na użytek Valasha. Ogerajin przybył właśnie z Verelu i siedział w fotelu, a jego mózg gnił sobie cichutko. Stragen opowiadał Valashowi o czymś, co jak twierdził, podsłuchał - o gościu mówiącym, że Scarpa czeka, aż Cyrga przyśle instrukcje. Próbując zdobyć jak najwięcej informacji, jak gdyby nigdy nic spytał, jaki szlak prowadzi do Cyrgi. Wówczas włączył się Ogerajin. Zaczął bełkotać o Studni Vigaya i Solnych Równinach oraz innych miejscach o nazwach rodem z baśni. Sądziłem, że bredzi w malignie, lecz Valash bardzo się zdenerwował i próbował go uciszyć. To obudziło moją czujność - miałem przeczucie, iż Ogerajin udziela Stragenowi bardzo szczegółowych wskazówek, tyle że zaciemniały je owe baśniowe nazwy. Teraz, gdy znaleźliśmy Studnię Vigaya, zaczynam się zastanawiać, czy wskazówki były rzeczywiście tak mętne i zniekształcone, jak sądziłem.

- Jak dokładnie jego słowa brzmiały, młody Talenie?

- Powiedział: „Szlak wiedzie obok Studni Vigaya”. Wówczas Valash próbował go uciszyć, ale Ogerajin gadał dalej. Wspomnił, że chce udzielić Stragenowi wskazówek, aby ten mógł się udać do Cyrgi i pokłonić Cyrgonowi. Kazał mu iść na północny zachód od Studni Vigaya do Zakazanych Gór. Sparhawk sprawdził na mapie.

- W środkowej Cynesdze rzeczywiście można znaleźć kilkanaście łańcuchów górskich. I leżą one w okolicy wskazanej przez Aphrael. Co jeszcze powiedział, Talenie?

- Przeskakiwał w przód i w tył. Mówił o Zakazanych Górach i Kolumnach Cyrgona. Potem cofnął się i zaczął gadać coś o Solnych Równinach. Z tego, co powiedział Stragenowi, wynika, iż z równin tych widać owe Zakazane Góry. Potem wspomnił o ognistych białych kolumnach i Równinie Kości. Twierdził, że należą one do „bezimiennych niewolników, pracujących w znoju do śmierci dla wybranego ludu Cyrgona”. Najwyraźniej kiedy w Cyrdze

umiera niewolnik, jego trupa wyrzucają na pustynię.

- To cmentarzysko leży zatem niedaleko miasta - zastanawiał się głośno Kalten.

- Wszystko zdaje się do siebie pasować, Sparhawk - rzekł z powagą Bevier. - Sami Cynesganie to nomadzi, którzy nie potrzebują wielu niewolników. Ogerajin mówił o „wybranym ludzie Cyrgona”. Zapewne chodziło im o Cyrgaich i to oni właśnie kupują niewolników.

- Co oznacza, że karawana handlarzy, którą widzieliśmy, zmierza do Cyrgi - dodał z podnieceniem Talen.

- Rzeczywiście jechali na północny zachód - przytaknęła Mirtai. - Dokładnie w kierunku, który podał Ogerajin.

Sparhawk podszedł do juków i wyciągnął mapę. Usiadłszy, rozłożył ją, podtrzymując łopoczący na wietrze papier.

- Wiemy, że Cyrga leży gdzieś w górach środkowej Cynes-gi - rzekł - toteż i tak chcemy ruszyć w tamtą stronę. Jeśli nawet Ogerajin bredził i jego wskazówki doprowadzą nas donikąd, postępując według nich, i tak znajdziemy się we właściwej okolicy.

- To lepsze niż siedzenie i czekanie na Berita i Khalada - powiedział niecierpliwie Kalten. - Muszę coś robić - nawet jeśli mam tylko kręcić się w kółko po pustyni.

Sparhawk bez słowa położył w pocieszającym geście dłoń na ramieniu przyjaciela. Jego własna rozpaczliwa troska była równie bolesna jak ta, dręcząca Kaltena, on jednak wiedział, że nie wolno mu dopuszczać jej do siebie. Zrozpaczeni ludzie popełniają błędy, a jeden błąd mógłby narazić Ehlanę na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Uczucia wrzeszczały na niego, on jednak z ponurą determinacją zepchnął je do oddzielnej części i stanowczo zatrzasnął drzwi.

* * *

- Anakha uraduje się, jeśli to zrobimy - rzekł w mowie trolli Ulath, zwracając się do stojących obok przytłaczających obecności.

Ghworg, bóg zabijania, zagrzmiał złowieszczo.

- Myśl Anakhy jest jak wiatr - poskarżył się. - Raz mówi nam: „Idźcie do miejsca, które ludzkie stwory zwą Górami Ta-mulskimi, i zabijajcie dzieci Cyrgona”. Teraz mówi: „Idźcie do miejsca, które ludzkie stwory nazywają Zhubay, i zabijajcie dzieci Cyrgona”. Nie może się zdecydować, które dzieci Cyrgona mamy zabić?

- Na tym polegają nasze łowy, Ghworgu - wyjaśnił Tynian. - Dzieci Cyrgona nie są jak

jelenie, pozostające w tym samym miejscu. Dzieci Cyrgona są jak renifery, przenoszące się wraz ze zmianą pór roku w poszukiwaniu lepszego jedzenia. Wcześniej zmierzały do Gór Tamulskich, by się pożywić. Teraz jednak chcą się pożywić w Zhubay. Jeśli będziemy polować w Górach Tamulskich, nie znajdziemy zwierzyny, którą możemy zabić i zjeść.

- Dobrze mówi - wtrącił Ghnomb, bóg jedzenia. - To nie Anakhy myśl się zmienia, lecz ścieżka stworów, na które polujemy. Dla dobra łowów musimy udać się tam, gdzie żerują, jeśli chcemy znaleźć je, zabić i zjeść.

- Te łowy stają się coraz bardziej nieproste - zagrział Ghworg.

- To dlatego, że ludzkie stwory są bardziej nieproste niż jelenie stwory - rzekł Khwaj, bóg ognia. - Myśl Tyniana z Deiry jest dobra. Ten, kto poluje w miejscu, gdzie nie ma zwierzyny, nie je.

Ghworg zastanawiał się chwilę.

- Musimy podążać drogą łowów - zdecydował. - Zabierzemy nasze dzieci do miejsca zwanego Zhubay, by polowały na dzieci Cyrgona. Gdy przybędą tam na żer, nasze dzieci zabiją je i zjedzą.

- To nas uraduje - odparł uprzejmie Tynian.

- Wprowadzę nasze dzieci w czas, który nie płynie - oznajmił Ghnomb. - Dotrą do miejsca zwanego Zhubay, zanim zjawią się tam dzieci Cyrgona.

Schlee, bóg lodu, wbił ogromne palce w piach. Ziemia zadrżała lekko i zmieniła się w wizerunek kontynentu.

- Pokaż nam gdzie, Ulacie z Thalesii - rzekł. - Gdzie leży miejsce zwane Zhubay?

Ulath przeszedł kawałek wzdłuż południowo-zachodniego skraju maleńkich gór Atanu, przyglądając się uważnie gruntowi pod stopami. W końcu zatrzymał się, schylił i dotknął miejsca na północnym skraju Pustyni Cynesgańskiej.

- Tutaj, Schlee - rzekł. Ghworg, bóg zabijania, wstał.

- Zabierzemy tam nasze dzieci - postanowił. - Uradujmy Anakhę.

* * *

- Obserwują nas, Vanionie - powiedziała cicho Sephrenia. Vanion skierował konia bliżej ukochanej.

- Styricy? - spytał, zniżając głos.

- Jeden z nich, owszem - odparła. - Nie jest zbyt dobry. - Uśmiechnęła się lekko. - Będę musiała trzasnąć go w głowę, żeby cokolwiek zauważył.

- Jak sobie życzysz, kochana - rzekł. Obejrzał się przez ramię na zdążającą za nimi kolumnę rycerzy, po czym popatrzył do przodu. Schodzili z gór i dolina Sarny zaczynała się rozszerzać. - Jutro powinniśmy dotrzeć do mostu - rzekł. - Po przebyciu rzeki znajdziemy się w Cynesdze.

- Tak, mój drogi - odparła. - Widziałam mapę.

- Czemu nie rzucisz zaklęcia? - zaproponował. - Dajmy naszej styrickiej ofermie szansę, by mógł zarobić na swe utrzymanie. - Zmierzył ją poważnym spojrzeniem. - Zaczynam mieć pewne wątpliwości. Klael wciąż gdzieś tu jest i jeśli uzna, iż Sparhawk maszeruje w tej kompanii z Bhelliomem, natychmiast nas zaatakują.

- Nie można jednocześnie mieć wszystkiego, Vanionie - odparła czule Sephrenia. - Powiedziałeś, że nigdy już nie spuścisz mnie z oka. Skoro jednak upierasz się odwiedzać wszystkie te niebezpieczne miejsca, muszę ci towarzyszyć. A teraz, jeśli mi wybaczysz, obudzę tego Styrika. - Zaczęła przemawiać miękko po styricku, szybkimi gestami splatając zaklęcie.

Vanion patrzył zdumiony. Często szczyił się swą znajomością większości zaklęć, tego jednak nigdy wcześniej nie słyszał ani nie oglądał. Zaczął uważnie obserwować swą towarzyszkę.

- Nie ma mowy - powiedziała z naciskiem, przerywając zaklęcie. - Nie musisz go znać.

- Ale...

- Odwróć wzrok, Vanionie. Poradzę sobie bez twojej pomocy. - Urwała. - Spełnij mój kaprys, kochany. Każda kobieta potrzebuje kilku sekretów.

Uśmiechnął się i odwrócił głowę.

Jakieś dziesięć jardów od nich powietrze nagle zgęstniało, a potem Vanion ujrzał w nim Sparhawką, jak zawsze dosiadającego złośliwego srokacza. Wizerunek był tak rzeczywisty, że wokół konia natychmiast pojawiły się muchy.

- Wspaniale! - wykrzyknął Vanion. Wysłał naprzód badawczą myśl i poczuł znajomą obecność Sparhawką. - Gdybym nie wiedział, przysięgłbym, że naprawdę jedzie z nami. Zdołasz podtrzymać iluzję?

- Oczywiście - odparła z irytującą nonszalancją. A potem roześmiała się, wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku.

* * *

- Co ci zabrało tyle czasu? - spytał boginię-dziecko Talen, gdy następnego ranka pojawiła się na skraju ich obozowiska nieopodal Vigayo.

- Byłam zajęta - odparła, wzruszając ramionami. - To bardzo złożone przedsięwzięcie. Wszyscy chcemy dotrzeć na miejsce w tym samym czasie. O co chodzi, Sparhawk?

- Możliwe, że dla odmiany dopisało nam szczęście, o boska - odparł. - Odwiedziliśmy wczoraj z Talenem wioskę i usłyszeliśmy, jak jeden z mieszkańców nazywa tę oazę mianem Studni Vigaya.

- I?

- Może sam jej opowiesz, Talenie?

Młody złodziej szybko powtórzył zasłyszaną w Beresie roz- (mowę pomiędzy Ogerajinem i Stragenem.

- Co ty na to? - spytał niecierpliwie Kalten.

- Czy ktoś ma mapę? - odpowiedziała pytaniem.

Sparhawk sięgnął do juków, wyciągnął ciasno zwinięty rulon i podał jej.

Aphrael rozłożyła płachtę na ziemi, uklękła i przyglądała jej się przez dłuższą chwilę.

- Rzeczywiście są tam słone równiny - przyznała.

- I leżą we właściwym kierunku - podkreślił Bevier.

- Ogerajin tam był - dodał Talen. - Przynajmniej tak twierdzi. Zatem powinien chyba znać drogę.

- Istnieje także szlak handlarzy niewolników, prowadzący na północny zachód - oznajmiła Mirtai. - Kiedy tu dotarliśmy, ujrzeliśmy zdążającą nim karawanę. Ogerajin wspominał, iż Cyr-gai trzymają niewolników, logika zatem wskazuje, że karawana zmierza właśnie do Cyrgi.

- Wszystkie te domysły opieracie na bredniach szaleńca - zauważyła krytycznie Flecik.

- Sama mówiłaś, że Cyrga leży gdzieś w środkowej Cynesdze - przypomniał jej Kalten. - A tam właśnie zbiegają się wszystkie drogi. Nawet jeśli Ogerajin coś pominął, znajdziemy się w bezpośredniej bliskości Cyrgi; w każdym razie bliżej niż obecnie.

- Skoro wszyscy podjęliście już decyzję, czemu zawracacie mi głowę? - W głosie bogini zabrzmiała rozzalona nutka. Talen uśmiechnął się szeroko.

- Uznaliśmy, że nieuprzejmie byłoby wyruszać w drogę, nie informując cię, o boska.

- Jeszcze się policzymy, Talenie - zagroziła.

- Jak sądzisz, o ile wyprzedza nas ta karawana? - spytał Mirtai Sparhawk.

- Dziesięć lig - odparła - najwyżej dwanaście. Karawany z niewolnikami nie poruszają się zbyt szybko.

- Zatem to chyba najlepsze wyjście. Zakładajmy czarne płaszcze i ruszajmy. Będziemy jechać kilka mil za karawaną, a jeśli ktoś nas dostrzeże, uzna nas za maruderów.

- Wszystko lepsze niż to siedzenie - rzekł Kalten.

- Przypuszczałem, że tak na to spojrzysz - odparł Sparhawk.

* * *

- W gruncie rzeczy jesteśmy tu więźniarkami - oznajmiła cesarzowa Chacole, szerokim gestem wskazując luksusowo wyposażone wnętrza pałacu kobiet. Chacole była trzydziestoparoletnią Cynesganką o ponętnej figurze. W jej głosie brzmiało jedynie lekkie niezadowolenie, lecz oczy spoglądające na Elysoun patrzyły twardo i przebiegle.

Elysoun wzruszyła ramionami.

- Osobiście nigdy nie miałam problemów z wchodzeniem do pałacu i wychodzeniem z niego.

- To dlatego, że jesteś Valezjanką - odparła cesarzowa To-rellia z odrobiną zazdrości.

- Przysługują ci swobody, jakich reszta z nas nie zaznaje. Uważam, że to niesprawiedliwe.

Elysoun ponownie wzruszyła ramionami.

- Sprawiedliwe czy nie, taki mamy zwyczaj.

- Czemu dają ci więcej swobody niż nam?

- Bo prowadzę intensywne życie towarzyskie.

- Nie wystarcza ci mężczyzn w pałacu kobiet?

- Nie bądź złośliwa, Torellio. Jesteś jeszcze zbyt młoda i nie do twarzy ci ze złośliwością. - Elysoun oceniła w duchu arduńską cesarżową. Torellia była szczupłą dziewczyną po dwudziestce i, podobnie jak wszystkie kobiety Ardzunich, odznaczała się uległością. Chacole bezwstydnie to wykorzystywała.

- Nie widać, żeby ktoś ograniczał poruszenia Cieronny - wtrąciła Chacole.

- Cieronna jest pierwszą żoną - odparła Elysoun. - I najstarszą. Powinniśmy przynajmniej uszanować jej wiek.

- Nie będę służącą starej tamulskiej wiedźmy! - wybuchnęła Chacole.

- Ona nie chce, byś jej służyła, Chacole - odparła Elysoun. - Ma więcej sług, niż potrafi zliczyć, chyba że Liatrix znów przerzedziła ich szeregi. W gruncie rzeczy Cieronna pragnie tylko ładniejszej korony niż reszta z nas i prawa stąpania przed nami podczas uroczystych procesji. Niewiele trzeba, by ją uszczęśliwić. Nie jest najbystrzejszą osobą w Matherionie.

Torellia zachichotała.

- O, idzie Gahenas - syknęła Chacole.

Tegańska cesarzowa o odstających uszach, spowita aż po brodę w szorstką wełnę, zbliżyła się ku nim z miną pełną dezaprobaty. Jej twarz przybierała ów wyraz zawsze, gdy Gahenas dostrzegała ledwie ubraną Elysoun.

- Panie! - Powitała je sztywnym ukłonem.

- Dołącz do nas, Gahenas - zaprosiła ją Chacole. - Rozmawiamy o polityce.

Wyłupiaste oczy Gahenas rozbłysły. Teganie żyli polityką...

- Chacole i Torellia chcą, byśmy złożyły petycję na ręce naszego męża - oznajmiła Elysoun. Uniosła ręce i ziewnęła głęboko, rozciągając brzuch i dosłownie wypinając swe nagie piersi na Gahenas.

Teganka pospiesznie odwróciła wzrok.

- Przepraszam, moje panie - rzekła Elysoun. - Niewiele spałam zeszłej nocy.

- Jakim cudem starczy ci godzin każdego dnia? - spytała gniewnie Gahenas.

- To tylko kwestia planowania, Gahenas - Elysoun wzruszyła ramionami. - Jeśli starannie rozporządzasz czasem, możesz dokonać mnóstwa rzeczy. Proponuję, żebyśmy porzuciły ten temat. Ty mnie nie aprobujesz, a ja zupełnie się tym nie zajmuję. Nigdy się nie zrozumiemy, więc po co tracić na darmo czas?

- Jeśli najdzie cię ochota, możesz się udać, gdziekolwiek zechcesz w obrębie zespołu pałacowego, prawda, Elysoun? - spytała nieśmiało Chacole.

Elysoun udała kolejne ziewnięcie, żeby ukryć uśmiech. Chacole wreszcie przeszła do sedna. Valezjańska cesarzowa zastanawiała się, ile czasu jej to zajmie.

- Mogę wchodzić i wychodzić, gdzie tylko zechcę - odparła. - Podejrzewam, że wszyscy szpiedzy już dawno znudzili się próbami śledzenia mej osoby.

- Mogłabyś wyświadczyć mi przysługę?

- Oczywiście, moja droga. Czego ci potrzeba?

- Cieronna mnie nie lubi i jej szpiedzy podążają za mną krok w krok. W tej chwili jestem czymś zajęta i wołałabym, żeby tego nie odkryła.

- Ależ, Chacole! Twierdzisz, że wreszcie postanowiłaś poszukać sobie dodatkowej rozrywki?

Cynesgańska cesarzowa spojrzała na nią tępo, wyraźnie nie rozumiejąc aluzji.

- Daj spokój, moja droga - dodała przebiegle Elysoun. - Tu, w pałacu kobiet, wszystkie mamy swoje rozrywki - nawet nasza Gahenas.

- Z całą pewnością nie! - zaprotestowała Teganka.

- Naprawdę, Gahenas? Widziałam twojego nowego pazia. Smaczny z niego kąsek.

Kto jest twoim najnowszym kochankiem, Chacole? Jakiś przystojny młody porucznik straży? Chcesz, żebym przemyciła ci go do pałacu?

- Nie o to chodzi, Elysoun.

- Oczywiście, że nie o to - zgodziła się z ironią Valezjanka. -W porządku, Chacole, przeniosę twoje liściki - jeśli jesteś pewna, że chcesz dopuścić mnie blisko niego. Ale czemu zapuszczać się tak daleko, siostrze? Gahenas ma tego ślicznego małego pazia i z pewnością doskonale go wyszkoliła. Czyż nie tak, Gahenas? - Uniosła drwiąco brwi. - Powiedz mi, moja droga - dodała - czy był prawiczkim. To znaczy: zanim dostałaś go w swoje ręce.

Gahenas uciekła, ścigana szyderczym śmiechem Elysoun.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

- To mają być dwa słowa - upierał się tego popołudnia Kalten. Vigayo pozostało kilka mil za nimi. - Barani. Róg. Dwa słowa.

- Chodzi o hasło, panie Kaltenie - próbował wyjaśnić Ta-len. - Baraniróg. O tak.

- A ty co powiesz, Sparhawk? - spytał przyjaciela Kalten. -Jedno słowo czy dwa?

Trzej towarzysze skończyli właśnie usypywać kamienie na podobieństwo grobu tuż przy szlaku i Talen i Kalten spierali się o sporządzony przez chłopca prymitywny nagrobek.

- Co za różnica? - Sparhawk wzruszył ramionami.

- Jeśli źle napiszemy, Berit może go nie poznać, kiedy tu dotrze - rzekł Talen.

- Pozna je - nie zgodził się Sparhawk. - Berit jest bystry. Nie poruszcie tylko złotych kamieni na szczycie grobu.

- I Khalad na pewno zrozumie, co one znaczą? - spytał sceptycznie Talen.

- Twój ojciec by rozumiał - odparł Sparhawk. - A jestem pewien, że nauczył Khalada wszystkich tradycyjnych znaków.

- Nadal twierdzą, że to powinny być dwa słowa - upierał się Kalten.

- Bevierze! - zawołał Sparhawk.

Ciemnowłosa cyrinita podszedł do pseudogrobu i popatrzył na nich pytająco.

- Ci dwaj kłócą się o pisownię naszego hasła - oznajmił Sparhawk. - Ty jesteś uczonym. Rozstrzygnij to.

- Twierdzą, że źle napisał - rzekł ze złością Kalten. - To powinny być dwa słowa, prawda?

- Ach... - odparł wymijająco Bevier. - Istnieją w tej materii dwie szkoły.

- Może opowiesz im o nich w czasie jazdy? - zasugerowała Mirtai.

Sparhawk obejrzał się na Xanetię.

- Nie rób tego - ostrzegł ją cicho.

- Czegóż mi robić nie każesz, Anakho? - spytała z niewinną miną.

- Nie śmieć się. Nawet się nie uśmiechaj. Tylko pogorszysz sprawę.

* * *

Być może minęły trzy tygodnie. Patriarcha Bergsten zrezygnował z prób obliczania prawdziwego czasu. Zamiast tego, ogarnięty głębokim teologicznym niesmakiem, z posępną

miną przyglądał się błotnistym murom Cynestry i obrzydliwie młodej i wstrętnej postaci, zbliżającej się ku nim szybkim krokiem. Bergsten wierzył w niezmienny porządek świata i naruszenia owego porządku niezwykle go drażniły.

Miała złotą skórę i czarne jak noc włosy, była bardzo wysoka, a także niezwykle piękna i wspaniale umięśniona. Wyłoniła się z głównej bramy Cynestry, unosząc białą flagę, po czym lekko pobiegła im na spotkanie. Zatrzymała się kawałek przed nimi i Bergsten, pan Heldin, Daiya oraz Neran, ich tamulski tłumacz, wyjechali jej na spotkanie. Dłuższą chwilę rozmawiała z Ne-ranem.

- Nie patrz, gdzie nie trzeba, Heldinie - mruknął Bergsten.

- Ja tylko...

- Wiem, co robiłeś. Skończ z tym. - Bergsten urwał. - Ciekawe, czemu wysłali kobietę.

Neran, smukły Tamul, oddany im do dyspozycji przez ambasadora Fontana, powrócił do swych towarzyszy.

- To Atana Maris - oznajmił. - Dowódca atkańskiego garnizonu w Cynestrze.

- Kobieta?! - wykrzyknął ze zdumieniem Bergsten.

- Wśród Atanów to nic niezwykłego, wasza świątobliwość. Oczekiwała nas. Minister spraw zagranicznych Oscagne zawiadomił ją o naszym przybyciu.

- Jak wygląda sytuacja w mieście? - spytał Heldin.

- Przez ostatni miesiąc król Jaluah sprowadzał dyskretnie wojska do Cynestry - odparł Neran. - Garnizon Atany Maris liczy tysiąc Atanów, a Cyneskanie próbowali ograniczyć ich swobodę ruchów. Zaczynało ją to drażnić. Prawdopodobnie zaatakowałyby pałac królewski już tydzień temu, lecz Oscagne polecił jej czekać na nasze przybycie.

- Jak się wydostała z miasta? - zagrzemiał Heldin.

- Nie pytałem jej, panie Heldinie. Nie chciałem jej obrazić.

- Chodzi mi o to, czy nie próbowali jej zatrzymać.

- Jeśli to zrobili, są martwi.

- Ale przecież to kobieta! - zaprotestował Bergsten.

- Nie zna pan zbyt wielu Atanów, wasza dostojność? - domyślił się Daiya.

- Słyszałem o nich, przyjacielu Daiyo. Zawsze sądziłem, że w opowieściach tych jest sporo przesady.

- Bynajmniej, wasza dostojność - odrzekł stanowczo Daiya. - Znam reputację tej dziewczyny. To najmłodszy dowódca w całej armii atkańskiej i nie osiągnęła tego wrodzoną słodyczą i dobrymi manierami. Słyszałem, że to absolutna dzikuska.

- Przecież jest taka ładna - zaproponował Heldin.

- Panie Heldinie - wtrącił Neran - podziwiając jej wdzięki, zwróć szczególną uwagę na budowę ramion i rąk. Jest silna jak byk i jeśli tylko ją urazisz, rozedrze cię na strzępy. Niemal zabiła Itagne'a - tak przynamniej głoszą plotki.

- Brata ministra spraw zagranicznych? - upewnił się Bergsten.

Neran przytaknął.

- Wypełniał tu pewną misję i postanowił ogłosić w mieście stan wyjątkowy. Potrzebował do tego pomocy Atany Maris, więc ją uwiódł. Zareagowała z entuzjazmem - i ogromną siłą. Bądźcie przy niej bardzo ostrożni, panowie. Jest niemal równie niebezpieczna jako sojusznik, jak i wróg. Poleciała mi, żebym przekazał wam instrukcje.

- Instrukcje?! - wybuchnął Bergsten. - Nie będę słuchał rozkazów kobiety!

- Wasza świątobliwość - odparł Neran - technicznie rzecz biorąc, w Cynestrze wciąż panuje stan wyjątkowy, a to oznacza, iż Atana Maris tu dowodzi. Ma rozkaz przekazać wam miasto. Poleciała jednak, byśmy zaczekali poza murami, póki nie zmiażdży resztek oporu. Chce wam oddać stolicę jak podarek - czystą i ładnie zapakowaną. Proszę, nie psujcie tego. Uśmiechajcie się, podziękujcie uprzejmie i zaczekajcie, aż skończy oczyszczać ulice. Kiedy już trupy zostaną ułożone w schludne stosiki, zaprosi was i przekaze władzę - najprawdopodobniej wraz z głową króla Jaluaha. Wiem, że wszystko to wydaje wam się nienaturalne, ale, na miłość boską, nie róbcie niczego, co mogłoby ją urazić. W razie najmniejszej prowokacji bez wahania wypowie wam wojnę.

- Ale jest taka ładna! - powtórzył Heldin.

* * *

Berit i Khalad zeskoczyli z siodła i prowadzili konie do oazy, żeby je napoić. Teoretycznie, rzeczywiście mogli tak szybko dotrzeć do Vigayo.

- Potrafisz stwierdzić, czy już tu jest? - mruknął Khalad. Berit potrząsnął głową.

- Zapewne oznacza to, że nie jest Styrikiem. Będziemy musieli poczekać, aż sam do nas przyjdzie. - Przebiegł wzrokiem po kilku pobielonych domach, przycupniętych w cieniu niskich palm. - Mają tu jakąś gospodę?

- Bardzo wątpię. Po drugiej stronie oazy widzę sporo namiotów. Popytam, ale nie licząc na wiele. Berit wzruszył ramionami.

- No cóż, nieraz nocowaliśmy w namiotach. Dowiedz się, gdzie możemy rozbić obóz.

Wioska Vigayo leżała po wschodniej stronie oazy, a tymczasowy obóz nomadów i

kupców zajął zachodni brzeg sporego zbiornika, zasilanego z artezyjskiego źródła. Berit i Khalad przywiązali konie do palików, rozbili obóz niedaleko wody i usiedli w cieniu.

- Potrafisz stwierdzić, czy gdzieś w pobliżu kręci się Sparhawk? - spytał Khalad. Berit potrząsnął głową.

- Mógł już wyruszyć w dalszą drogę albo może obserwuje nas z jednego ze wzgórz za miastem, nie chcąc ujawniać swej obecności przed tutejszymi ludźmi.

Jakąś godzinę po zachodzie słońca, gdy zapadał już zmrok, do ich namiotu zbliżył się Cynesganin w luźnej pasiastej szacie.

- Mam spytać, czy jednego z was zowią może Sparhawk-kiem - rzekł w lekko akcentowanym tamulskim. Berit wstał.

- Może mnie zowią Sparhawk-kiem, ziomku.

- Może?

- Tak sformułowałeś swe pytanie. Przyniosłeś mi list. Mógłbyś po prostu oddać mi go i ruszać w dalszą drogę? W gruncie rzeczy nie mamy o czym rozmawiać.

Twarz posłańca stężała. Sięgnął za pazuchę, wyjął złożony i zapieczętowany pergamin i lekceważąco cisnął go pod nogi Berita. Następnie odwrócił się i odszedł.

- Wiesz, Bericie - rzekł Khalad - czasami zachowujesz się jeszcze bardziej szorstko niż Sparhawk we własnej osobie.

Berit uśmiechnął się szeroko.

- Wiem. Staram się podtrzymać jego reputację. - Schylił się, podniósł list i przełamał pieczęć. Wyjąwszy ze środka kolejny pukiel włosów, szybko przeczytał wiadomość.

- I co? - spytał Khalad.

- Nic szczególnego. Piszą, że jest tu szlak karawan, prowadzący na północny zachód. Mamy nim pojechać. Dokładniejsze instrukcje dostaniemy po drodze.

- Czy po opuszczeniu miasta możesz bezpiecznie użyć zaklęcia i porozmawiać z Aphrael?

- Chyba tak. Z pewnością uprzedziłaby mnie, gdybym nie mógł posługiwać się nim w Cynesda.

- I tak nie mamy wyboru - odparł Khalad. - Nie potrafimy poznać, czy Sparhawk już tu był, czy może jest teraz, czy też jeszcze nie dotarł na miejsce. A musimy zawiadomić go o nowych rozkazach.

- Uważasz, że powinniśmy wyruszyć dziś wieczór?

- Nie, nie kręćmy się w ciemności. Moglibyśmy przeoczyć szlak, a pustynia jest wyjątkowo pusta.

* * *

- Nie zrobię nic, co mogłoby narazić Berita na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo - powtarzała z uporem Elysoun kilka dni później. - Bardzo go lubię.

- Już dość dawno odkryli, że tylko udaje Sparhawk, Elysoun - odparła baronowa Melidere. - Zdradzając to, niczego nie zmienisz. A jeśli uprzedzisz Chacole o podstępnie, przekona się, że przeszłaś na ich stronę i że masz dostęp do ważnych informacji.

- Mogłabyś też dać im do zrozumienia, że mąż szaleje na twym punkcie, cesarzowo Elysoun - dodał patriarcha Emban. - Niech myślą, że powtarza ci wszystko.

- A szalejesz, Sarabianie? - spytała wyniośle Elysoun.

- Całkowicie, moja droga. - Uśmiechną się. - Uwielbiam cię.

- Jakież to miłe z twojej strony! - Również obdarzyła go ciepłym uśmiechem.

- Później, dzieci - powiedziała z roztargnieniem Melidere, z namysłem marszcząc czoło. - W tej samej rozmowie, w której powiesz Chacole o przebraniu Berita, wspomnij mimochodem o flocie okrętów rycerzy kościoła, krążącej po Zatoce Dacoń-skiej. Stragen starał się im to wmówić od jakiegoś czasu, więc potwierdźmy jego doniesienia. Po informacji o Bericie będą skłonni uwierzyć w historyjkę o flocie. - Spojrzała na cesarza. - Czy jest jeszcze coś, co moglibyśmy ujawnić, nie szkodząc naszej sprawie? Coś, co zdołaliby zweryfikować?

- To musi być ważna wiadomość?

- Nie, jedynie prawdziwa. Potrzebujemy jeszcze jednej prawdy do uzyskania właściwych proporcji.

- Proporcji?

- To jak przepis, wasza wysokość. - Uśmiechnęła się. - Dwie prawdy na jedno kłamstwo. Zamieszać i podawać. Jeśli dobrze ustalimy proporcje, przełkną wszystko bez problemu.

* * *

Wyruszyli o brzasku i słońce nie zdążyło jeszcze wstać, gdy pokonali niskie wzniesienie i ujrzeli rozciągające się przed nimi martwe białe pustkowia. Czas, podobnie jak klimat, tracił tu wszelkie znaczenie.

- Nie chciałbym jechać tędy latem - doszedł do wniosku Kalten.

- Istotnie - mruknął Sparhawk.

- Szlak handlarzy niewolników skręca na północ - zauważył Bevier - prawdopodobnie po to, by ominąć równiny. Gdyby natknął się tu na nas cynesgański patrol, moglibyśmy mieć kłopoty z przekonaniem ich, że należymy do karawany.

- Powiemy po prostu, że się zgubiliśmy. - Kalten wzruszył ramionami. - Ja to załatwię, Bevierze. I tak cały czas błędzę, więc potrafię być bardzo przekonujący. Jak daleko jest na drugą stronę, Sparhawk?

- Według mojej mapy jakieś dwadzieścia pięć lig.

- Dwa dni, jeśli będziemy się spieszyć - obliczył Kalten.

- I żadnego ukrycia - dodał Bevier. - W całej tej bieli nie dałoby się ukryć nawet... - Urwał. - Co to? - spytał, wskazując oślepiająco jasny punkcik na górzystym zachodnim horyzoncie.

Talen przyjrzał się mu, mrużąc oczy.

- Myślę, że to punkt orientacyjny, którego szukaliśmy - rzekł.

- Skąd ten pomysł? - spytał sceptycznie Kalten.

- Jest we właściwym kierunku, prawda? Ogerajin mówił, że z Vigayo powinniśmy udać się na północny zachód w stronę Solnych Równin. Potem rzekł: „Ze skraju Solnych Równin ujrzysz nisko na horyzoncie czarne sylwetki Zakazanych Gór i jeśli Cyrgon zechce, jego ogniste białe kolumny poprowadzą cię do Ukrytego Miasta”. Tam naprawdę są góry, a światło rozbłyskuje dokładnie między nimi. Jego źródłem muszą być te kolumny.

- Ten gość był szalony, Talenie - zaproponował Kalten.

- Może - wtrąciła Sparhawk - ale jak dotąd wszystko, co opisał, znajdowało się dokładnie tam, gdzie mówił. Zaryzykujmy. Kierunek się zgadza.

- Jedyną rzeczą, która mogłaby okazać się kłopotliwa, byłoby przypadkowe spotkanie z cynesgańskim patrolem. Mogliby zechcieć okazać nam pomoc i odeskortować do karawany, za którą ponoć podążamy - zauważyła Mirtai.

- Logicznie rzecz biorąc, szansę natknięcia się na patrol są niewielkie - oznajmił Bevier. - Po pierwsze, Cynesganie zazwyczaj unikają tego pustkowia, a po drugie, większość żołnierzy patrolujących kraj poszła na wojnę.

- A po trzecie, jeśli jakiś patrol będzie miał pecha i natknie się na nas, nikomu już nie złoży raportu - dodała Mirtai, kładąc dłoń na rękojeści miecza.

- Wstępnie ustaliliśmy położenie kolumn - oznajmił Sparhawk - i jeśli Ogerajin wiedział, co mówi, potrzebujemy ich, by przeniknąć iluzję. Teraz, gdy je znaleźliśmy, nie zgubmy ich. Pozostaje nam tylko zaryzykować przeprawę. Jeśli będziemy mieli szczęście,

nikt nas nie zauważy. W przeciwnym razie spróbujemy ich okłamać, a jeżeli i to się nie uda, wciąż mamy miecze. - Powiódł wzrokiem po twarzach przyjaciół. - Czy ktoś chciałby coś dodać?

- Chyba powiedziałaś wszystko. - W głosie Kaltena nadal brzmiała nutka powątpiewania.

- A zatem ruszajmy.

* * *

- Po prostu przegrali walkę i uciekli, przyjacielu Vanionie -powiedział dzień później Kring. Jego twarz zdradzała zdumienie. - Stosowaliśmy taktykę, którą opracowaliśmy wraz z Tiku-mem, i wszystko szło mniej więcej tak, jak się spodziewaliśmy, gdy nagle ktoś zadął w róg, a oni podwinęli ogony pod siebie i pobiegli - ale dokąd? Jeśli prawdą jest to, co nam mówiono, na całym świecie nie ma miejsca, w którym mogliby swobodnie odetchnąć.

- Czy ktoś ich śledził? - spytał Vanion.

- Pewnie powinienem był kogoś wysłać, ale zająłem się zwabianiem Cyrgaich przez granicę. - Kring uśmiechnął się do Se-phrenii. - Mimo upływu dziesięciu tysięcy lat styricka klątwa nie straciła swej mocy, o pani. Trzy pełne regimenty Cyrgaich padły jak świeżo zżęta pszenica, gdy tylko przekroczyły granicę. - Urwał. - Nie są zbyt bystrzy, prawda?

- Cyrgai? Nie. To sprzeczne z ich religią.

- Można by sądzić, że przynajmniej kilku zorientuje się, że coś jest nie tak, ale oni po prostu biegli i padali trupem.

- Nie zachęca się ich do niezależnego myślenia. Są uczeni wykonywać rozkazy - nawet głupie. Kring spojrział na most ponad Sarną.

- Będziesz działał stąd, przyjacielu?

- Umieszczę oddział po drugiej stronie mostu - odparł Va-nion - lecz nasz główny obóz pozostanie tutaj. Rzeka stanowi granicę między Tamulem właściwym a Cynesgą, prawda?

- Technicznie rzecz biorąc. - Domi wzruszył ramionami. -Linia klątwy przebiega jednak kilka mil dalej na zachód.

- W ciągu lat granica wiele razy ulegała zmianie - wyjaśniła Sephrenia.

- Tikume uznał, że powinienem przyjechać tu i omówić z tobą nasze dalsze plany, przyjacielu Vanionie - oznajmił Kring. -Nie chcemy przeszkadzać Sparhawkowi, więc nie zapuszczaliśmy się zbyt daleko w głąb Cynesgi, lecz powoli brakuje nam ludzi, których

moglibyśmy ścigać.

- Jak daleko dotarliście? - spytał Vanion.

- Sześć, siedem lig - odparł Kring. - Co noc wracamy do Samaru - choć właściwie nie ma już po co. Wątpię, by nadal chcieli go oblegać.

- Owszem - zgodził się Vanion. - Naciskamy na nich do tego stopnia, że nie mogą się skoncentrować na Samarze. - Wyjął mapę i przez kilka chwil przyglądał jej się, marszcząc brwi. W końcu przyklęknął na jedno kolano i rozłożył ją na zbrzo-wiałej zimowej trawie. - Proszę, przydepnij jeden róg - rzekł do Sephrenii. - Nie chcę znów za nią ganiać.

Kring spojrzał na niego pytająco.

- To taki rodzinny żart - wyjaśniła Sephrenia, przydepując drobną stopą narożnik papierowej płachty. - Vanion bardzo lubi mapy, a dwa dni temu przelotny powiew zamienił jego najnowszą faworytkę w latawiec.

Vanion puścił to mimo uszu.

- Zgadzam się, że nie powinniśmy następować Sparhawkowi na pięty, domi, ale chyba już czas wznieść na pustyni kilka fortów. Dzięki nim, gdy ruszymy na Cyrge, będziemy dysponowali bazami wypadowymi.

- Pomyślałem o tym samym, przyjacielu Vanionie.

- A zatem przekroczmy granicę - zdecydował Vanion. - Poślę wiadomość Betuanie, by zrobiła to samo.

- Jak daleko mamy dotrzeć? - spytał Kring. Vanion zerknął na Sephrenię.

- Dziesięć lig? - zaproponował. - To za mało, abyśmy przeszkadzali Sparhawkowi, zyskamy jednak pole manewru, a ty będziesz mogła użyć swego zaklęcia.

- Wykorzystanie zaklęcia to dobry plan, przyjacielu Vanionie - rzekł z lekkim powątpiewaniem Kring. - Lecz w ten sposób z rozmysłem ściągniesz największe siły wroga na siebie -i na panią Sephrenię. Czy tego właśnie chcesz? Bez urazy, ale walka z żołnierzami Klaela mocno przerzedziła wasze szeregi.

- To jeden z powodów, dla których chcę wybudować na pustyni forty, domi - odparł cierpko Vanion. - Jeśli dojdzie do najgorszego, wycofam się do nich. Jestem niemal pewien, że mogę liczyć na przyjaciół, którzy przyjdą mi z odsieczą.

- Dobrze powiedziane - mruknęła Sephrenia.

* * *

- Stój! - rzucił ostro Khalad, ścigając wodze konia, gdy znaleźli się jakieś pięć mil za

Vigayo.

- O co chodzi? - spytał z napięciem Berit.

- Umarł tu ktoś imieniem Baraniróg - wyjaśnił Khalad, wskazując ręką. - Chyba powinniśmy zatrzymać się i pokłonić zmarłemu.

Berit spojrział na prymitywny grób obok szlaku.

- Zupełnie go nie zauważyłem - przyznał. - Przepraszam, Khaladzie.

- Uważaj, mój panie.

- Chyba już mi to mówiłeś. Zeskoczyli z koni i podeszli do grobu.

- Sprytne - mruknął cicho Berit. Co prawda nie musiał zniżać głosu, ale weszło mu to w nawyk.

- Pewnie to pomysł Talena - odparł Khalad, gdy obaj ukłękli obok wzgórek. - Jest nieco zbyt subtelny jak na Sparhawk.

- Czy to nie powinny być dwa słowa? - spytał Berit, wskazując starą deskę, na której wycięto napis Baraniróg.

- To ty masz wykształcenie, mój panie. Nie dotykaj tych kamieni.

- Których?

- Żółtych. Wpierw muszę je odczytać.

- Czytasz kamienie? Tak jak mewy?

- Niezupełnie. To wiadomość od Sparhawk. Opracowali ten system z moim ojcem wiele lat temu. - Brodaty młodzieniec pochylił się najpierw w jedną, potem w drugą stronę, nie spuszczać wzroku z pagórka. - Oczywiście - rzekł wreszcie z rezygnacją. Wstał i przeszedł na drugą stronę grobu.

- Co się stało?

- Sparhawk napisał ją do góry nogami. Teraz ma sens. - Khalad przez chwilę studiował pozornie przypadkowo rozrzucone żółte kamienie na brązowym grobie. - Módl się, Bericie - rzekł. - Ofiaruj modlitwę za spójność duszy naszego zmarłego, brata, Baraniegoroga.

- Gadasz bzdury, Khaladzie.

- Ktoś może nas obserwować. Okaż gorliwość religijną. - Szorstki młody giermek ujął wodze koni i odprowadził je kilka jardów na bok od ledwie widocznego szlaku. Następnie schylił się, chwycił oburącz lewą przednią nogę Farana i uważnie obejrzał kopyto.

Faran posłał mu nieprzychylnie spojrzenie.

- Przepraszam - powiedział cicho Khalad do złośliwego zwierzęcia. - To nic ważnego.

- Powoli opuścił kopyto na ziemię. - W porządku, Bericie - rzekł głośniej. - Powiedz amen i ruszamy w dalszą drogę.

- O co w tym wszystkim chodziło? - spytał z urazą Berit, dosiadając wierzchowca.
- Sparhawk zostawił nam wiadomość - wyjaśnił Khalad, wskakując na siodło. - Układ żółtych kamieni powiedział mi, gdzie ją znaleźć.
- A gdzie jest teraz? - W głosie Berita zadźwięczał nagły zapach.
- W tej chwili? W cholewie mojego lewego buta. Podniosłem ją, kiedy sprawdzałem kopyto Farana.
- Nie widziałem, żebyś coś podnosił.
- Bo nie miałeś widzieć, mój panie.

* * *

Odgłos odległych krzyków obudził Kragera, który ocknął się z dreszczem grozy. Od dawna już dni i noce zlały się w jego umyśle w jedną całość. Lecz słońce, bezlitośnie atakujące jego oczy było niezbitym dowodem, że nadszedł kolejny paskudny dzień. Nie zamierzał wcale wypić tak wiele ostatniego wieczoru, jednak świadomość, że zbliża się do dna ostatniej baryłki czerwonego arcjańskiego wina, dręczyła go, w miarę jak upijał się coraz bardziej. Pewność, iż trunek wkrótce się skończy, przekształciła się w jego zmaconym umyśle w nakaz wypicia wszystkiego, zanim ktoś mu go odbierze.

Teraz płacił za swą głupotę. W jego skroniach boleśnie pulsowała krew, żołądek płonął, w ustach czuł potworny niesmak, jakby coś wpełzło tam i zdechło. Trząsł się gwałtownie, a wątrobę przeszywał ostry ból. Usiadł na skraju rozbebeszonego łóżka, przytrzymując głowę rękami. Ogarnął go strach, przecucie nadciągającej grozy. Nie otwierając piekących oczu, zaczął macać pod łóżkiem drżącą dłonią w poszukiwaniu przechowywanej tam awaryjnej butelki. Płyn, który zawierała, nie był winem ani piwem, lecz koszmarną miksturą, wymyśloną przez Lamorków i uzyskiwaną poprzez wystawianie w zimie kiepskich win na dwór i czekanie, by zamarzły. Wypływający na górę płyn był niemal czystym spirytusem. Smakował paskudnie i okrutnie palił gardło, lecz potrafił uśpić nawet najgorsze koszmary. Wstrząsany dreszczami Krager wypił spory kufel wstrętnego napoju, po czym chwiejnie dźwignął się na nogi.

Kiedy wyszedł na ulicę, promienie słońca boleśnie uderzyły w jego oczy. Ruszył naprzód w poszukiwaniu źródła krzyków, które go obudziły. Dotarłszy na główny plac, wzdrygnął się ze zgrozy. Na środku z wyjątkowym okrucieństwem torturowano kilkunastu mężczyzn, podczas gdy Scarpa, odziany w nędzną imitację cesarskiej szaty i niby-koronę, siedział w ozdobnym fotelu, przyglądając się z aprobatą.

- Co się tu dzieje? - spytał Krager Cabaha, brudnego dacoń-skiego rozbójnika, z którym często się upijał. Cabah odwrócił się szybko.

- A, to ty, Kragerze - rzekł. - Z tego, co się orientuję, Świetliści zaatakowali Panem-Dea.

- To niemożliwe - odrzekł szybko Krager. - Ptąga nie żyje. Nikt już nie podtrzymuje iluzji, siejących panikę wśród Tamulów.

- Jeśli uwierzyć słowom tych umierających ludzi, ci, którzy wkroczyli do Panem-Dea, nie byli iluzjami - odparł Cabah. -Znaczna część oficerów, którzy próbowali walczyć, została rozpuszczona.

- Co się tu dzieje? - spytał Krager, wskazując wrzeszczących mężczyzn, przywiązanych do słupów pośrodku placu.

- Scarpa postanowił przykładowo ukarać tych, którzy uciekli. Kazał ich poćwiartować. O, idzie Cyzada. - Cabah wskazał Styrika, zbliżającego się szybkim krokiem od strony siedziby Scarpy.

- Co ty wyprawiasz?! - ryknął Cyzada, patrząc na siedzącego na swym tanim tronie szaleńca.

- Opuścili posterunki - odparł Scarpa. - Zostali ukarani.

- Potrzebujesz każdego człowieka, idioto!

- Rozkazałem im pomaszerować na północ, by dołączyli do mych wiernych armii. - Scarpa wzruszył ramionami. - Poczęstowali mnie stekiem kłamstw, próbując usprawiedliwić swe nieposłuszeństwo. Muszą zostać ukarani. Mają słuchać moich rozkazów !

- Nie będziesz zabijać własnych żołnierzy! Każ swoim rzeź-nikom przestać!

- To niemożliwe, Cyzado. Raz wydanego rozkazu cesarskiego nie można cofnąć. Poleciałem, by każdy dezterter z Panem-Dea został zamęczony na śmierć. Nic już nie mogę zrobić.

- Ty wariacie! Do jutra rana nie zostanie ci żaden żołnierz! Wszyscy zdezerterują!

- Wówczas znajdę nowych i schwytam ich wszystkich. Mają mi być posłuszni!

Cyzada z Esos z wyraźnym trudem opanował wściekłość. Krager ujrzał, jak usta Styrika poruszyły się, a jego palce zaczęły kreślić w powietrzu misterne wzory.

- Wynośmy się stąd, Cabahu - rzekł gwałtownie.

- Co? Ten wariat kazał nam patrzeć.

- Wierz mi, nie chcesz patrzeć na to, co się za chwilę stanie. Cyzada rzuca zaklęcie - najprawdopodobniej zemoskie. Wzywa demona, aby nauczył naszego „cesarza” prawdziwego znaczenia słowa: posłuszeństwo.

- Nie może tego zrobić. Zalasta przekazał dowództwo synowi.

- Bynajmniej. Prawdę mówiąc, to Cызada tu dowodzi. Osobiście słyszałem, jak Zalasta polecił Styrikowi, który w tej chwili wymachuje palcami, zabić Scarpę w momencie, gdy tamten złamie jego rozkazy. Oczywiście Cызada może mieć inne plany, nie będzie to jednak piękny widok. Nie wiem, jak ty, przyjacielu, ale ja poszukam sobie jakiejś kryjówki. Widywałem już istoty, które służyły Azashowi, a że dziś rano nie czuję się zbyt tego, wolałbym ich nie oglądać.

- Będziemy mieli kłopoty, Kragerze.

- Nie, jeśli demon, którego wzywa Cызada, pożre Scarpę żywcem. - Krager odetchnął głęboko. - To twoja decyzja, Cabahu. Zostań, jeśli chcesz, ale ja dość się już naoglądałem Natayos.

- Zamierzasz zdezerterować? - Cabah spojrział na niego ze zdumieniem.

- Sytuacja uległa zmianie. Jeśli Sparhawk sprzymierzył się z Delphae, wolę znaleźć się jak najdalej stąd, kiedy wynurzą się z dżungli, lśnić w mroku. Nagle ogarnęła mnie gwałtowna tęsknota za Eosią. Jeśli chcesz, zostań, Cabahu, ale ja wyjeżdżam - i to już.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Gdy Ekatas przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi małej wilgotnej celi na szczycie wieży, wpuszczając do środka Zalastę, twarz czarodzieja była dziwnie odmieniona. Wątpliwości i żal widoczne na niej, kiedy sprowadził Ehlanę i Alean do Cyrgi, zniknęły - oblicze Styrika wyrażało teraz chłodną obojętność. Jednym spojrzeniem ogarnął całe pomieszczenie. Ehłana i Alean, przykute do ściany, siedziały na stertach przegniłej słomy, która miała służyć im za posłania. Na podłodze obok stały nietknięte gliniane miski, wypełnione zimną owsianką.

- To niedopuszczalne, Ekatasie - powiedział Zalasta bezbarwnym głosem.

- Nie masz tu nic do gadania - odparł najwyższy kapłan. - Tu, w Cyrdze, trzymamy więźniów pod ścisłą strażą. - Jak zawsze, kiedy zwracał się do Zalasty, Ekatas przemówił wyniosłym, pogardliwym tonem.

- Nie te więźniarki. - Zalasta przekroczył próg i ujął w dłonie łańcuchy, którymi przykuto obie kobiety. Następnie, nie zdradzając żadnych emocji, zmiażdżył je w rdzawy pył.

- Sytuacja uległa zmianie, Ekatasie - warknął, pomagając Ehłanie wstać. - Każ tu posprzątać.

Ekatas wyprostował się.

- Nie przyjmuję rozkazów od Styrików. Jestem najwyższym kapłanem Cyrgona.

- Naprawdę mi przykro, wasza wysokość - rzekł przepaszająco Zalasta. - Przez ostatni tydzień miałem na głowie inne sprawy. Najwyraźniej nie dość jasno wyraziłem swe życzenia temu Cyrgai. Pozwól, że przeproszę cię na moment, a natychmiast naprawię to przeoczenie. - Odwrócił się do Ekatasa. - Kazałem ci coś zrobić - rzekł złowieszczym tonem. - Czemu jeszcze nie zacząłeś?

- Wyłaż stamtąd, Zalasto, albo zamknę cię razem z nimi. « - Naprawdę? - Zalasta uśmiechnął się lekko. - Sądziłem, że zostało ci więcej rozsądku. Nie mam na to czasu, Ekatasie. Każ tu posprzątać. Muszę znów zabrać naszych gości do świątyni.

- Nie otrzymałem podobnych instrukcji.

- Czemu miałbyś otrzymać?

- Cyrgon przemawia przeze mnie.

- Właśnie. Te polecenia nie pochodzą od Cyrgona.

- Cyrgon jest tu bogiem.

- Już nie. - Zalasta zmierzył go niemal litościwym spojrzeniem. - Nawet tego nie poczułeś, Ekatasie? Świat zatrząsł się wokół ciebie, a ty niczego nie zauważyłeś? Jak możesz

być taki tępy? Cyrgon został zdetronizowany. Teraz Klael rządzi w Cyrdze, a ja przemawiam w jego imieniu.

- To niemożliwe! Kłamiesz!

Zalasta wyszedł z celi i chwycił przód szaty kapłana.

- Spójrz na mnie, Ekatasie - rozkazał. - Przyjrzyj mi się uważnie, a potem powtórz, że kłamię.

Ekatas szamotał się przez moment, po czym, niezdolny już dłużej do stawiania oporu, spojrzał w oczy Zalasty. Z jego twarzy powoli odpłynęła krew, a potem krzyknął raz, drugi, starając się wyrwać z żelaznego uchwytu Styrika.

- Błagam! - zawołał głosem pełnym grozy. - Dostyc już! Dostyc! - Skulił się, zakrywając oczy dłońmi.

Zalasta z pogardą wypuścił czarną szatę kapłana, który osunął się na podłogę, wstrząsany gwałtownym szlochem.

- Teraz już rozumiesz? - spytał dziwnie łagodnie czarodziej. - Wraz z Cyzadą usiłowaliśmy ostrzec ciebie i twojego mizernego bożka przed niebezpieczeństwem związanym z wezwaniem KJaela, ale nie chcieliście słuchać. Cyrgon pragnął zniewolić Bhelliom, a teraz sam stał się niewolnikiem przeciwnej mu siły. Ponieważ zaś przemawiam w imieniu Klaela, oznacza to, iż ty jesteś moim niewolnikiem. - Trącił stopą płaczącego kapłana. - Wstawaj, Ekatasie! Wstań, kiedy przemawia do ciebie twój pan!

Szlochający kapłan zerwał się na nogi, jego mokre od łez oblicze wciąż wykrzywiało się w niewyobrażalnej zgrozie.

- Powiedz to, Ekatasie - polecił okrutnym tonem Zalasta. - Chcę usłyszeć, jak to mówisz. A może wolałbyś obejrzeć śmierć; kolejnej gwiazdy?

- P... panie - wykrztusił najwyższy kapłan.

- Jeszcze raz. Trochę głośniej, jeśli nie masz nic przeciw temu.

- Panie! - Zabrzmiało to niemal jak wrzask.

- Znacznie lepiej, Ekatasie. A teraz obudź tych leniwych kretynów w wartowni obok i zagon ich do sprzątnięcia celi. Kiedy wrócę ze świątyni, zaczniemy się szykować. Anakha sprowadzi Bhelliom do Cyrgi i musimy być gotowi na jego przyjęcie. - Odwrócił się. - Zabierz swoją służkę, Ehlano. Klael chce ci się przyjrzeć. - Zalasta urwał, oglądając ją krytycznie. - Wiem, że źle cię traktowaliśmy, ale nie pozwól, by nasze złe wychowanie stłamsiło twojego ducha. Pamiętaj, kim jesteś, i czerp z tego siłę. Klael szanuje władzę i tych, którzy ją dzierżą.

- Co mam mu powiedzieć?

- Nic. Dowie się wszystkiego, czego chce, patrząc na ciebie. Nie rozumie twojego

męża i twój widok pozwoli mu lepiej poznać naturę Anakhy. Anakha jest w tym równaniu jedyną niewiadomą. Chyba zawsze nią był. Klael rozumie Bhelliom. To twór Bhelliomu go niepokoi.

- Zmieniłeś się, Zalasto.

- Chyba tak - przyznał. - Mam przecucie, że nie pożyję zbyt długo. Dotknięcie Klaela wywiera dziwny wpływ na ludzi. Lepiej nie każmy mu czekać. - Spojrzał na Ekatasę, który stał obok, drżąc gwałtownie. - Kiedy wrócimy, ma tu być czysto.

- Dopilnuję tego, panie - przyrzekł kapłan groteskowo służalczym tonem.

* * *

- Jak znów je znajdziecie? - spytał Itagne. - Chodzi mi o to, że wszystkie trolle są nadal w beczasie, ale wy z Tynianem musieliście przejść do prawdziwego czasu po to, by zjawić się w Sarnie. I czas wokół was zaczął płynąć. Jak wrócicie do chwili, w której pozostawiliście trolle?

- Proszę, nie zadawaj metafizycznych pytań, Itagne - odparł Ulath ze zboląłą miną. - Po prostu wrócimy tam, gdzie się z nimi rozstaliśmy, i znajdziemy je. My zajmiemy się miejscem, bogom trolli pozostawiając czas. Potrafią przeskakiwać w nim, nie zwracając uwagi na zasady.

- Gdzie są w tej chwili trolle?

- Tuż za miastem - odparł Tynian. - Uznaliśmy, iż sprowadzenie ich do Sarny to nie najlepszy pomysł. Zaczynają wymykać się spod kontroli.

- Czy to coś, o czym powinniśmy wiedzieć, Tynianie rycerzu? - spytał Engessa.

Ulath wygodnie rozparł się na krześle.

- Kiedy Cyrgon przybył do Thalesii, udając Ghworgę, całkowicie złamał zasady rządzące życiem trolli - wyjaśnił z powagą. - Zalasta opowiedział mu wprawdzie o trollach, lecz Cyrgon długo trzymał się na uboczu, toteż pomylił je z praludźmi. Praludzie byli istotami stadnymi, trolle jednak zbierają się w mniejsze grupy. Zwierzęta żyjące w gromadzie przyjmą każdego członka swojego gatunku, lecz te wędrujące w mniejszych stadach są nieco bardziej wybredne. Chwilowo utrzymywanie trolli w jednym stadzie działa na naszą korzyść - przynajmniej wszystkie zmiernają w tym samym kierunku - lecz stopniowo pojawiają się problemy. Gromada zaczyna się dzielić i coraz więcej trolli walczy na siebie.

Tynian zerknął na królową Betuanę, która, spowita w czerń, siedziała nieco na uboczu. Wezwał do siebie Engesę.

- Czy z nią wszystko w porządku? - spytał cichutko.

- Betuana królowa odbywa rytualną żałobę - odparł również szeptem Engessa. - Utrata męża głęboko ją dotknęła.

- Byli sobie aż tak bliscy?

- Nie wyglądało na to - przyznał Engessa. Kiedy patrzył na pogrążoną w melancholii królową, jego oczy miały niespokojny wyraz. - Obecnie rzadko przestrzega się rytuału żałoby. Cały czas jej pilnuję. Nie wolno pozwolić, by coś sobie zrobiła. - Mięśnie ramion Atana napięły się.

Tyniana zdumiała jego słowa.

- Istnieje takie niebezpieczeństwo?

- Kilka stuleci temu zdarzało się to całkiem często - odparł Engessa.

- Oczekiwaliśmy was wcześniej - powiedział jednocześnie Itagne, zwracając się do Ulatha. - Z tego, co rozumiem, beczas oznacza, iż trolle potrafią niemal natychmiast przenosić się z miejsca na miejsce.

- Niezupełnie natychmiast, Itagne. Dotarcie tu z Gór Tamul-skich zabrało nam prawie tydzień. Musimy dość regularnie wracać w prawdziwy czas, aby mogły polować. Głodne trolle nie są najlepszymi towarzyszami podróży. A teraz opowiedz nam, co się działo. Kiedy jesteśmy w beczasie, nie możemy nawiązać kontaktu z Aphrael.

- Sparhawk odkrył wskazówki dotyczące położenia Cyrgi - odparł Itagne. — Nie są zbyt dokładne, ale zamierza spróbować podążać ich śladem.

- Co z patriarchą Bergstenem?

- Zajął Cynestrę. Prawdę mówiąc, dostał ją na talerzu.

- Ach, tak.

- Pamiętasz Atanę Maris?

- Ładną dziewczynę, dowodzącą garnizonem w Cynestrze? Tę, która tak cię lubiła? Itagne uśmiechnął się.

- Tę samą. To dość gwałtowna panna i darzę ją wielką sympatią. Kiedy ujrzała nadciągających rycerzy kościoła i Bergstena, postanowiła dać im miasto w prezencie. Oczyszczyła ulice z cy-nesgańskich wojsk i otworzyła przed Bergstenem bramy. Zamierzała podarować mu także głowę króla Jaluaha, ale przekonał ją, by tego nie robiła.

- Szkoda - mruknął Ulath - ale tak bywa, kiedy porządny człowiek znajdzie sobie religię.

- Vanion jest już na miejscu - ciągnął Itagne. - Wraz z Krin-giem zakładają forty dzień jazdy w głąb Cynesgi. Zamierzamy zrobić tu to samo, ale uznaliśmy, że zaczekamy na wasze

przybycie.

- Czy ktokolwiek natrafił na poważny opór? - spytał Tynian.

- Trudno stwierdzić - zastanawiał się głośno Itagne. - Wkraczamy do środkowej Cynesgi, lecz żołnierze Kljela wyskakują z każdej skalnej dziury. Im dalej ich odpychamy, tym ciasniej się skupiają. Jeśli wkrótce nie znajdziemy sposobu na to, by ich wyeliminować, będziemy musieli wycinać sobie wśród nich drogę, a z tego, co mówił Vanion, niełatwo zwalić ich z nóg. Obecnie taktyka Kringa sprawdza się znakomicie, ale gdy zbliżymy się do Cyrgi... - Bezradnie rozłożył ręce.

- Coś wymyślimy - pocieszył go Ulath. - Co jeszcze?

- Nic pewnego, panie Ulacie - odrzekł Itagne. - Bajeczki rozpuszczane przez Stragena i Caaladora w Beresie odciągnęły większość cynesgańskiej kawalerii od wschodniej granicy. Połowa zmierza na południe w stronę wybrzeża wokół Kaftalu, a druga część pędzi na północ ku małej wiosce zwanej Zhubay. Ca-alador dodał do widmowej floty Stragena przy południowym wybrzeżu gromadzącą się na północy wymyśloną armię Atanów. We dwóch podzielili całą armię cynesgańską i wysłali w pościg za cieniami.

- Mówisz, że połowa zmierza na północ? - spytał z niewinną miną Tynian.

- W stronę Zhubay, owszem. Z niewiadomych przyczyn sądzą, że zbierają się tam Atani.

- Zdumiewające - wtrącił Ulath, starannie skrywając rozbawienie. - Tak się przypadkiem składa, że wraz z Tynianem zmierzamy mniej więcej w tamte okolice. Sądziś, że Cynesganie będą bardzo zawiedzeni, jeśli zamiast Atanów natkną się na trolle?

- Moglibyście pójść do nich i spytać - odparł Itagne bez cienia uśmiechu. Wszyscy wiedzieli, co się zdarzy w Zhubay.

- Przeprós ich w naszym imieniu, Ulacie rycerzu - dodała Betuana ze smutnym uśmiechem.

- Bardzo chętnie, wasza wysokość - zapewnił ją Ulath - o ile po parogodzinnej zabawie z trollami zdołamy znaleźć kogoś żywego.

* * *

- Wyńście się stamtąd! - krzyknął Kalten, galopując w stronę stworzeń przypominających psy, skupionych wokół czegoś leżącego na twardym żwirze pustyni. Zwierzaki odbiegły, zanosząc się bezdusznym chichotem.

- Czy to psy? - spytał z obrzydzeniem Talen.

- Nie - odparła krótko Mirtai. - Hieny. Kalten dołączył do nich.

- Człowiek - oznajmił ponuro. - Czy też raczej to, co z niego zostało.

- Musimy go pogrzebać - wtrącił Bevier.

- Wówczas znów go wykopią - odparł Sparhawk. - Poza tym - dodał - jeśli zaczniesz grzebać ich wszystkich, spędzimy tu kilkaset lat. - Wskazał gestem zasłaną kośćmi równinę, sięgającą aż po niskie pasmo czarnych gór na zachodzie. Spojrzał na Xanetię. - Popelniliśmy błąd, zabierając cię ze sobą, Anarae -przeprosił. - Dalej będzie jeszcze gorzej.

- Spodziewać się tego mogłam, Anakho - odparła. Kalten uniósł wzrok ku krążącemu na nimi stadu sępów.

- Paskudne ptaszyska - mruknął.

Sparhawk dźwignął się w strzemionach, patrząc przed siebie.

- Mamy jeszcze kilka godzin do zachodu słońca, ale może lepiej zrezygnujmy z kilku mil, cofnijmy się nieco i wcześniej rozbijmy obóz. Musimy tu spędzić jedną noc. Po co spędzać dwie?

- I tak potrzebujemy tych kolumn, żeby ustalić kierunek -dodał Talen. - A po wschodzie słońca są znacznie jaśniejsze.

- Oczywiście, jeśli owo światełko, którym się kierujemy, naprawdę pochodzi z kolumn - dodał z powątpiewaniem Kalten.

- Przecież doprowadziło nas tutaj, nieprawdaż? To musi być miejsce, które Ogerajin nazwał Równiną Kości. Przyznaję, z początku sam powątpiewałem w jego słowa. Większą część czasu okropnie bredził i byłem pewien, że pokręcił przynajmniej część wskazówek, ale jak dotąd nas nie zawiódł.

- Jeszcze nie dotarliśmy do miasta, Talenie - przypomniał mu Kalten - więc na twoim miejscu wstrzymałbym się z pisaniem listu dziękczynnego.

* * *

- Mam dość pieniędzy, by resztę życia spędzić w dostatku, Ordenie - oznajmił nonszalancko Krager, rozpierając się w fotelu i wyglądając przez okno na budynki i port miasta Dęło. Pociągnął kolejny łyk wina.

- Na twoim miejscu nie przechwalałbym się tym, Kragerze -poradził rostry Orden. - Zwłaszcza tu, na nabrzeżach.

- Wynająłem już paru ludzi do ochrony. Mógłbyś popytać i dowiedzieć się, czy w ciągu tygodnia nie odpływa stąd jakiś statek do Zengi, w Cammorii?

- Po co ktoś miałby płynąć do Zengi?

- Wychowałem się tam i tęsknię za domem - odparł Krager, wzruszając ramionami. - Poza tym chciałbym zagrać na nosie paru osobom - wszystkim tym, którzy w dzieciństwie powtarzali mi, że do niczego w życiu nie dojdę.

- Czy podczas pobytu w Natayos natknąłeś się przypadkiem na gościa imieniem Ezek?
- spytał Orden. - Chyba był Deira-ninem.

- Owszem, kojarzę to imię. Zdaje się, że pracował dla jegomościa prowadzącego tawernę.

- Ja go tam wysłałem - wyjaśnił Orden. - Razem z dwoma innymi - Colem i Shallagiem. Chcieli dołączyć do bandy rozbójników Narstila.

- Może i dołączyli, ale kiedy wyjeżdżałem, pracowali w ta-wernie.

- To nie moja sprawa, skoro jednak tak dobrze ci się wiodło w Natayos, czemu wyjechałeś?

- Instynkt, Ordenie - odparł uroczyście Krager. - Miewam takie zimne uczucie u podstawy czaszki i wówczas wiem, że należy uciekać. Słyszałeś kiedyś o człowieku imieniem Sparhawk?

- Masz na myśli księcia Sparhawk? Wszyscy o nim słyszeli. Ma niezłą reputację.

- O tak. Istotnie. W każdym razie Sparhawk od jakiś dwudziestu lat szuka okazji, by mnie zabić, a coś takiego znakomicie wyostrza instynkt. - Krager pociągnął kolejny długi łyk.

- Powinieneś poważnie zastanowić się nad tym, by na jakiś czas to rzucić - poradził Orden, spoglądając znacząco na trzymany przez Kragera kufel czerwonego arcjańskiego wina. - Prowadzę karczmę i nauczyłem się rozpoznawać objawy. Zaczyna ci nawalać wątroba, przyjacielu. Twoje białka żółkną.

- Ograniczę picie, kiedy wyjdziemy w morze.

- Chyba będziesz musiał zrobić coś więcej niż tylko je ograniczyć, Kragerze. Jeśli pragniesz nadal żyć, musisz to rzucić. Wierz mi, nie chciałbyś kończyć tak jak większość pijaków. Znałem jednego, który wrzeszczał z bólu przez trzy tygodnie, zanim w końcu umarł. To było straszne.

- Moja wątroba jest w porządku - odparł ostro Krager. - To przez to oświecenie. Kiedy wypłyniemy, ograniczę picie. Nic mi nie będzie. - Jego twarz miała jednak znękany wyraz, a sama wzmianka o rezygnacji z trunku sprawiła, że dłonie Kragera zaczęły gwałtownie dygotać.

Orden wzruszył ramionami. Przynajmniej próbował go ostrzec.

- To już twoja sprawa, Kragerze - rzekł. - Popytam w porcie, czy znajdzie się statek,

który zabierze cię poza zasięg rąk księcia Sparhawka.

- I to szybko, Ordene. Szybko. - Krager uniósł kufel. -A tymczasem może jeszcze należesz?

* * *

Ekrasios i jego oddział Delphae dotarli do Norenji późnym popołudniem mrocznego, dusznego dnia. Ciężkie chmury wisiały tiisko nad wierzchołkami drzew, powietrze trwało w wilgotnym bfezruchu. Ekrasios wraz z przyjacielem z dzieciństwa Adrasem podkradł się poprzez splątane poszycie na skraj polany, by obejrzyć ruiny.

- Azali sądzisz, iż opór stawiać nam zechcą? - spytał cicho Adras.

- Trudno to przewidzieć - odparł Ekrasios. - Anakha i jego I towarzysze powiadomili nas, iż buntownicy owi mizernie są wyszkoleni. Sądzę tedy, że reakcja ich na nasze nagłe pojawienie od charakteru oficerów zależeć będzie. Winniśmy drogę ucieczki do lasu im pozostawić. Gdybyśmy okrążyli miasto, rozpacz do walki ich popchnie. Adras przytaknął.

- Bramę naprawić się starali - rzekł, wskazując wejście do miasta.

- Przeszkody dla nas stanowiąc nie będzie. Wkrótce zakłęcia wszystkich nauczę, które klątwę Edaemusa odmienia. Nowe bramy z drewna są zbudowane, a drewno, jako i ciało, rozkładowi podlega. - Uniósł wzrok, spoglądając na brudnoszare chmury. -Azali porę dnia określić umiesz?

- Do zmierzchu dwie godziny pozostały - odparł Adras.

- Zaczynamy tedy. Drugą bramę znaleźć musimy, aby ucieczkę zapewnić tym, z którymi w nocy tej spotkać się nam przyjdzie.

- A jeśli bramy takowej nie ma?

- Wówczas wszyscy do ucieczki skłonni sami drogę sobie znajdą. Niechętnie pełną moc klątwy Edaemusa uwolnię. Gdyby wszelako konieczność zmusiła mnie do tego, przed obowiązkiem ciężkim się nie cofnę. Jeśli uciekną, rad będę. Jeśli jednak zostać i walczyć zechcą, to co konieczne - uczynimy. Zapewniam cię, Adrasie, że gdy rankiem wstanie słońce, nikt żywy wewnątrz murów Norenji nie zostanie.

* * *

- Dobry Boże! - krzyknął Berit, zerkając zza krawędzi suchego jaru na potężnych żołnierzy w obcisłych zbrojach, biegnących na zachód po spieczonym żwirze. - To potwory!

- Mów ciszej! - ostrzegł Khalad. - Nie wiadomo, jak dobry mają słuch.

Potworni żołnierze przewyższali wzrostem Atanów. Ich lśniące stalowe napierśniki ciasno przylegały do tułowia, podkreślając każdy mięsień. Na głowach mieli hełmy, ozdobione misternymi rogami bądź skrzydłami, a przyłbice owych hełmów różniły się od siebie; wyraźnie wykuto je tak, by pasowały do rysów twarzy. Biegli na zachód w nieporządnej formacji. Nawet ze sporej odległości słychać było, jak głośno dyszą.

- Dokąd oni biegną? - spytał Berit. - Granica leży w przeciwnym kierunku.

- Z tego na końcu sterczy złamany oszczep - odparł Khalad. - Myślę, iż oznacza to, że starli się z Peloimi Tikumego. Byli już przy granicy, a teraz wracają.

- Wracają? Dokąd? - W głosie Berita brzmiało zdumienie. - Dokąd mogliby pójść? Nie mogą tu oddychać.

Khalad ostrożnie wystawił głowę nad krawędź jaru i mrużąc oczy, spojrzał w dół skalistej pustyni.

- Wygląda na to, że kierują się w stronę wzgórz jakąś milę na zachód. - Urwał. - Jak tam dziś z twoją ciekawością, Bericie?

- Co ci chodzi po głowie?

- Ten jar prowadzi aż do wzgórz i jeśli nim pójdziemy, nie wyglądając na zewnątrz, nie zobaczą nas. Może zboczymy nieco na zachód? A nuż, śledząc ich, odkryjemy coś pożytecznego? Berit wzruszył ramionami.

- Czemu nie?

- To niezbyt logiczna odpowiedź, Bericie. Potrafię ci podać pół tuzina powodów, czemu nie? - Mrużąc oczy, Khalad przyjrzał się dyszącym żołnierzom, biegnącym chwiejnie przez pustynię. - Ale i tak to zrobimy.

Wśliznęli się z powrotem do jaru i poprowadzili konie na zachód suchym korytem strumienia.

Jakiś kwadrans wędrowali cicho dnem koryta.

- Wciąż tam są? - szepnął Berit.

- Zaraz sprawdzę. - Khalad ostrożnie wdrapaj się na strome zbocze i wystawił głowę, rozglądając się. Po chwili zsunął się z powrotem. /

- Nadal maszerują w stronę wzgórz - zameldował. - Przed nami jar zaczyna się podnosić. Zostawmy tu konie.

Skradali się naprzód, przygarbieni, by pozostać w ukryciu, a że jar wciąż stawał się coraz płytszy, wkrótce musieli pełznąć na czworakach.

Khalad znów uniósł głowę.

- Najwyraźniej skręcają za tamto wzgórze - rzekł cicho. - Wdrapmy się na szczyt i zobaczymy, co się tam kryje.

Obaj wyczołgali się z płytkiego zagłębienia i popęzli zboczem w górę, do miejsca, z którego mogli przekonać się, co leży za wskazanym przez Khalada wzgórzem.

Ujrzeni płytką kotlinkę pomiędzy trzema pagórkami, osłaniającymi ją od pustyni. Kotlinka była pusta.

- Dokąd oni poszli? - szepnął Berit.

- Tu właśnie zmierzali - upierał się Khalad, marszcząc brwi. - Zaczekaj. O, jest ten z oszczepem w brzuchu.

Obserwowali rannego żołnierza, który potykając się, wpadł do kotlinki, niemal upadł, po czym dźwignął się i ruszył naprzód. Uniósł okrytą maską twarz i ryknął.

Khalad i Berit czekali w napięciu.

Z wąskiej szczeliny w zboczu jednego ze wzgórz wyłonili się dwaj inni żołnierze. Zeszli do kotlinki i niemal powlekli swego rannego towarzysza w górę, w głąb jaskini.

- Oto odpowiedź - oznajmił Khalad. - Przebiegli kilka mil pustkowi, żeby dostać się do tej jaskini.

- Po co? Co im to da?

- Nie mam pojęcia, Bericie, ale uważam, że to ważne. - Khalad wstał. - Wracajmy do miejsca, gdzie zostawiliśmy konie. Przed zachodem słońca możemy pokonać jeszcze parę mil.

* * *

Ekrasios przycupnął na skraju lasu, czekając, by pochodnie wewnątrz murów Norenji wypaliły się, a odgłosy ludzkiej krzątaniny umilkły. Wydarzenie w Panem-Dea potwierdziły ocenę buntowników, jaką przekazał mu w Samie pan Vanion. Kiepsko wyszkoleni żołnierze korzystali z każdej nadarzającej się okazji ucieczki, to zaś doskonale odpowiadało Ekrasiosowi. Nadal odczuwał niechęć na myśl o skorzystaniu z klątwy Edaemusa, a ludzie, którzy uciekli, nie musieli zostać zniszczeni.

Adras powrócił cichy niczym duch, stając na skraju spowitej nocną mgiełką dżungli.

- Wszystko gotowe, Ekrasiosie - zameldował cicho. - Bramy w proch runą pod najbliższym dotknięciem.

- Ruszajmy zatem - odparł Ekrasios, wstając i z ulgą uwalniając kontrolowane dotąd wewnętrzne światło. - Módlmy się, by wszyscy ludzie skryci w owych murach umknęli.

- A jeśli nie?

- Wówczas zginać muszą. Przyrzeczenie złożone Anace wiąże nas. Ruiny te opróżnijmy - tak czy inaczej.

* * *

- Tu nie jest nawet tak źle - zauważył Kalten, gdy zsiadali z koni. - Po pierwsze, kości są starsze. - Konieczność zmusiła ich do spędzenia poprzedniej nocy na upiornym cmentarzysku i wszyscy pragnęli jak najszybciej opuścić równinę grozy.

Sparhawk mruknął potakująco, spoglądając ponad zwirową pustynią ku strzępiastemu bazaltowemu urwisku na zachodnim skraju Zakazanych Gór. Słońce wstawało właśnie nad wschodnim horyzontem i jego jaskrawe promienie odbijały się od dwóch gór o kwarcowych szczytach, sterczących ponad rdzawoczarnymi pasmami skał na zachodzie.

- Czemu się zatrzymaliśmy? - spytała Mirtai. - Urwisko jest pięć mil dalej.

- Zdaje się, że powinniśmy skierować się ku tym dwóm szczytom - odparł Sparhawk. - Talenie, pamiętasz dokładnie słowa Ogerajina?

- Zobaczymy. - Chłopiec w skupieniu zmarszczył czoło. Po chwili przytaknął. - Już mam - rzekł.

- Jak ty to robisz? - zaciekał się Bevier.

Talen wzruszył ramionami.

- Kryje się w tym pewna sztuczka. Nie myśli się o słowach, zamiast tego koncentrujemy się na chwili, gdy je słyszeliśmy. - Lekko uniósł twarz, zamknął oczy i zaczął recytować: - „Za Równiną Kości dotrzesz do Wrót Ułudy, za którymi niewidoczne leży Ukryte Miasto Cyrga. Oko śmiertelnika wrót owych nie dostrzeże. Wznoszą się niczym pęknięty mur na skraju łańcucha Zakazanych Gór, przegradzając ci drogę. Skieruj wzrok jednak na dwie białe Kolumny Cyrгона i kroki swe skieruj w stronę pustki między nimi. Świadectwu swych oczu nie ufaj, albowiem solidny na pozór mur jest niczym mgła i przekroczyć go możesz”.

- To nawet nie brzmiało jak twój głos - zauważył Bevier.

- Na tym właśnie polega sztuczka - wyjaśnił Talen. - Mówiłem głosem Ogerajina - mniej więcej.

- W porządku zatem - wtrącił Sparhawk. - Przekonajmy się, czy naprawdę wiedział, co mówi. - Mrużąc oczy, przyjrzał się dwóm oślepiającym punkcikom odbitego światła.

- Oto kolumny. - Postąpił kilka kroków naprzód i potrząsnął głową. - Z tego miejsca

stapiają się w jedno światełko. - Przeszedł na lewo. - Tu jest tak samo. - W końcu wrócił do punktu wyjścia. - To jest właściwe miejsce - rzekł z lekkim podnieceniem. - Te dwa szczyty są bardzo blisko siebie. Jeśli zboczymy nawet o kilka stóp, nie widać odstępu między nimi. Gdybyśmy specjalnie go nie wypatrywali, moglibyśmy w ogóle przeoczyć jego istnienie.

- Cudownie, Talen - rzekł z sarkazmem Kalten. - Kiedy się zbliżymy, urwisko przysłoni nam oba szczyty. Talen wywrócił oczami.

- Co znowu? - spytał Kalten.

- Po prostu zacznij iść w stronę urwiska, Kaltenie. Sparhawk może tu stać i patrzeć na odstęp. Powie ci, czy powinieneś skrócić w prawo, czy w lewo.

- Ach! - Kalten rozejrzał się po twarzach pozostałych. - Nie wspominajcie o tym - rzekł, po czym ruszył w kierunku skał.

- Lekko na prawo - polecił Sparhawk. Kalten przytaknął i zmienił kierunek.

- Za daleko. Teraz odrobinę w lewo.

Jasnowłosa pandionita maszerował w stronę urwiska, zmieniając kierunek w zależności od wykrzykiwanych przez Sparhawką poleceń. Gdy dotarł do celu, zaczął obmacywać skalną ścianę. W końcu dobył sztylet, wbił go w ziemię i ruszył z powrotem.

- I co?! - zawołał Sparhawk, gdy przyjaciel pokonał już połowę drogi.

- Ogerajin nie widział, co mówi! - odkrzyknął Kalten. Sparhawk zaklął.

- To znaczy, że nie ma otworu?! - zawołał Talen.

- Ależ jest - odparł Kalten. - Ale leży co najmniej pięć stóp w lewo od miejsca, które podał ci ten szaleniec.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

- Proszę, nie rób tego, Talenie - powiedział Bevier. - Wejdz do środka albo zostań na zewnątrz. Widok połowy twego ciała sterczącej z twardej skały okropnie mnie drażni.

- To nie jest twarda skała, Bevierze. - Chłopak wsunął w kamień dłoń i wyciągnął ją, demonstrując prawdziwość swych słów.

- Ale wygląda na twardą. Proszę, Talenie, tu albo tam. Nie tkwij pośrodku.

- Kiedy wkładasz tam głowę, czujesz cokolwiek? - spytała Mirtai.

- W środku jest nieco chłodniej - odrzekł Talen. - To jakaś jaskinia albo tunel. Po drugiej stronie widać światło.

- Możemy wprowadzić tam konie? - spytał Sparhawk. Talen przytaknął.

- Jest na to dość duże - jeżeli będziemy szli pojedynczo. Przypuszczam, że Cyrgon chciał zminimalizować szansę, by ktoś przypadkiem natrafił na wejście do miasta.

- Lepiej puśćcie mnie pierwszego - rzekł Sparhawk. - Po drugiej stronie mogli wystawić strażę.

- Idę tuż za tobą - dodał Kalten, podnosząc z ziemi sztylet i dobywając miecz.

- Złudzenie to zręcznym jest nad podziw - zauważyła Xane-tia, dotykając skalnej ściany po lewej stronie bramy. - Gładko w rzeczywisty kamień przechodzi. Niczym się odeń nie różni.

- Było dostatecznie dobre, by ukrywać Cyrge przez dziesięć tysięcy lat - mruknął Talen.

- Wchodzimy - oznajmił Sparhawk. - Chcę się przyjrzeć miastu.

Oczywiście konie sprawiały kłopoty. Nieważne, jak dobitnie wyjaśniać wszystko koniowi, zwierzę z własnej woli nie wejdzie w kamienną ścianę. Bevier znalazł w końcu rozwiązanie, owijając im głowy materiałem, i ze Sparhawkiem na przedzie grupka przyjaciół poprowadziła wierzchowce w głąb tunelu.

Miał on jakieś sto stóp długości, a ponieważ wylot po drugiej stronie pozostawał wciąż w cieniu, padające z niego światło nie oślepiało.

- Przytrzymaj mojego konia - mruknął Sparhawk do Kaltena, po czym ze spuszczonego mieczem podkradł się cicho w stronę wylotu. Gdy do niego dotarł, napiął mięśnie i szybko wypadł na zewnątrz w oczekiwaniu ataku z obu stron.

- I co? - szepnął donośnie Kalten.

- Nic. Nikogo tu nie ma.

Reszta grupy ostrożnie wyprowadziła wierzchowce z tunelu. Znaleźli się w ocienionej drzewami dolinie, porośniętej suchą trawą, wśród której sterczały białe kamienne nagrobki.

- Dolina Bohaterów - mruknął Talen.

- Co? - spytał Kalten.

- Tak ją nazwał Ogerajin. Pewnie uznali, że brzmi to lepiej niż cmentarz.

Najwyraźniej Cyrgai traktują swoich zmarłych nieco lepiej niż zwłoki niewolników.

Sparhawk rozejrzał się po ogromnym cmentarzysku i wskazał na zachód, gdzie lekkie wzniesienie znaczyło kraniec doliny.

- Chodźmy - rzekł do przyjaciół. - Chcę na własne oczy sprawdzić, z czym mamy do czynienia.

Przecięli cmentarz i dotarłszy do stóp zbocza, przywiązali konie do drzew, po czym ostrożnie przemknęli na szczyt.

Kotlina była wyraźnie niższa niż otaczająca ją pustynia. W samym jej środku leżało spore jezioro, ciemne i matowe w porannym mroku. Otaczały je brązowe splechotki zimowych pól oraz las czarnych drzew, porastających zbocza. Wszystko sprawiało wrażenie pedantycznego porządku, jakby sama natura została tu wtłoczona w proste linie i precyzyjne kąty. Stulecia ciężkiej pracy przekształciły to niegdyś piękne miejsce w surowe odbicie umysłu Cyrgona.

Dolina miała około pięciu mil szerokości. Po jej drugiej stronie wznosiło się miasto, które od dziesięciu tysiącleci pozostawało w ukryciu. Otaczające je góry dostarczyły materiałów budowlanych, toteż wszystkie domy i umocnienia wzniesiono z tego samego brązowoczarnego bazaltu. Mury zewnątrz były wysokie i masywne; wewnątrz nich wyrastało wysokie stożkowe wzgórze o zboczach pokrytych budowlami. Jego szczyt okalał kolejny mur, za którym ujrzeli wyniosłe iglice wież, czarnych z jednej strony i białych, szokująco kontrastujących z otoczeniem - z drugiej.

- Niezbyt to pomysłowe - zauważył krytycznie Bevier. - Tutejszy architekt nie miał zbyt bogatej wyobraźni.

- Wśród Cyrgaich wyobraźnia pożądaną cechą nie jest, panie rycerzu - poinformowała go Xanetia.

- Moglibyśmy okrążyć kotlinę i zbliżyć się do miasta - podsunął Kalten. - Ukryjemy się wśród drzew. Tereny wokół jeziora są zupełnie otwarte.

- Mamy czas - odparł Sparhawk. - Na razie oddalmy się od wylotu tunelu. Skoro to jedyna droga wiodąca do doliny, z pewnością panuje w nim spory ruch. Widzę ludzi pracujących na polach w dole - najpewniej niewolników. Cyrgai z pewnością ich pilnują.

Możliwe też, że wokół krążą patrole. Zanim się na nie wpakujemy, zobaczymy, czy nie uda nam się ustalić rozkładu wart.

* * *

Berit i Khalad rozbili obóz pośród kolejnego skupiska rozrzuconych głazów, dwa dni jazdy od miejsca, w którym widzieli niezwykłych żołnierzy. Oszczędnie napoili konie i nie rozpalili ognia, pożywiając się suchym prowiantem. Khalad prawie się nie odzywał. Zamiast tego siedział w bezruchu, spoglądając melancholijnie w głąb pustyni.

- Przestań się tym zadrećcać, Khaladzie - powiedział Berit.

- Mam to na końcu języka, Bericie. Wiem, ale nie potrafię tego określić.

- Chcesz porozmawiać? Żaden z nas się nie wyśpi, jeśli będziesz się tym zadrećcał całą noc.

- Potrafię rozmyślać po cichu.

- Wcale nie. Zbyt dużo czasu spędziliśmy razem, przyjacielu. Słyszę twoje myśli.

Khalad uśmiechnął się słabo.

- Chodzi o te stwory - rzekł.

- Naprawdę? Nigdy bym nie zgadł. Od dwóch dni rozmyślasz tylko o nich. Czego chciałbyś się o nich dowiedzieć poza tym, że są wielkie, brzydkie, groźne i mają żółtą krew?

- To właśnie nie daje mi spokoju - ta żółta krew. Aphrael twierdzi, iż oznacza to, że żołnierze Klaela oddychają wątrokami. Muszą tak robić, bo u siebie mają inne powietrze. Przez jakiś czas mogą tu przebywać, kiedy jednak zmuszamy ich do wysiłku, zaczynają padać z nóg. Ci, których widzieliśmy parę dni temu, nie biegali bez celu po pustyni. Zmierzali do określonego miejsca.

- Tej jaskini? Sądzisz, że mogą mieć tam kryjówkę?

- Zaczynamy do czegoś dochodzić. - Twarz Khalada zdradzała skupienie. - Peloi są zapewne najlepszą lekką kawalerią świata, lecz żołnierze Klaela niemal dorównują rozmiarami trollom i potrafią znosić rany, które zabiłyby każdego z nas. Nie sądzę, by uciekali przed Peloi.

- Nie. Próbują uciec przed powietrzem. Khalad pstryknął palcami.

- Właśnie! To dlatego przerywają walkę i uciekają do jaskiń. Nie ukrywają się przed Peloi, lecz przed powietrzem.

- Powietrze to powietrze, Khaladzie - nieważne, czy na zewnątrz, czy wewnątrz jaskini.

- Chyba jednak nie, Bericie. Myślę, że Kisi napełnił tę jaskinię powietrzem, do którego przywykli jego żołnierze. Nie może zmienić go na całym świecie, bo w ten sposób zabiłby Cyrgaich i nas wszystkich, a Cyrgon nie dopuściłby do tego. Potrafi jednak wypełnić nim jaskinię. To idealne miejsce - zamknięte i mniej więcej szczelne. Dzięki temu zmęczone potwory dysponują bezpiecznym schronieniem. Mogą tam odpocząć, a potem wyjść i podjąć walkę. Lepiej przekaż to innym, Bericie. Aphrael powinna zawiadomić pozostałych, że żołnierze Klaela ukrywają się w jaskiniach, bo mogą tam oddychać.

- Powiem jej - rzekł z powątpiewaniem Berit. - Nie wiem, na co nam się to przyda, ale powiem jej.

Khalad z szerokim uśmiechem oparł się na łokciu.

- Nie myślisz logicznie, Bericie. Jeśli coś sprawia ci problemy i ukrywa się w jaskini, nie musisz go ścigać. Wystarczy jedynie zawalić wyjście. Kiedy przeciwnik zostanie uwięziony w środku, możesz o nim zapomnieć. Zechcesz powtórzyć to Aphrael? Zasugeruj, by poradziła naszym przyjaciółom zwałać stropy wszystkich jaskiń, na jakie się natkną. Nie będzie nawet musiała robić tego sama. - Nagle znów zmarszczył czoło.

- O co chodzi tym razem?

- To było zbyt łatwe - rzekł Khalad - i niewiele nam pomoże. Zważywszy na siłę tych stworów, można by zwalić na nie całą górę, a one i tak się wykopią. Kryje się w tym coś jeszcze. - Uniósł rękę. - Dojdę do tego - przyrzekł. - Nawet jeśli miałyby mi to zabrać całą noc.

Berit jęknął.

* * *

- Postanowiłam iść z wami, Bergstanie kapłanie - oznajmiła Atana Maris, zająkując się nieco w mocno akcentowanym eleńskim. Właśnie doścignęła kolumnę rycerzy, którzy zdążyli już oddalić się o pięć dni jazdy na południe od Cynestry. Bergsten z trudem powstrzymał przekleństwo.

- Jesteśmy armią, Atano Maris - próbował wyjaśnić dyplomatycznie. - Nie zdołamy zapewnić ci stosownych wygód i bezpieczeństwa, gdy zatrzymamy się na noc.

- Wygód? - Maris spojrzała pytająco na ich tłumacza, Nerana. Neran przez chwilę mówił coś po tamulsku; nagle wysoka dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

- Co cię tak bawi, Atano? - spytał podejrzliwie Bergsten.

- Fakt, że w ogóle się tym przejmujesz, Bergstanie kapłanie. Jestem żołnierzem.

Potrafię bronić się przed mężczyznami, którzy zanadto mnie podziwiają.

- Czemu postanowiłaś nam towarzyszyć, Atano Maris? - wtrącił Heldin.

- Przyszło mi to do głowy, gdy opuściliście Cynestrę, Heldinie rycerzu - odparła. - Od wielu tygodni zamierzałam poszukać Itagne'a ambasadora. Zmierzacie tam, gdzie on, toteż pójdę z wami.

- Moglibyśmy przekazać mu wiadomość od ciebie, Atano. Nie musisz nam towarzyszyć. Potrząsnęła głową.

- Nie, Heldinie rycerzu, to sprawa osobista pomiędzy Ita-gne'em ambasadorem a mną. Kiedy odwiedził Cynestrę, traktował mnie bardzo przyjaźnie. Potem musiał wyjechać, ale obiecał, że będzie pisał listy. Nie zrobił tego. Teraz muszę go znaleźć i upewnić się, że nic mu nie jest. - Jej oczy stwardniały. - Jeśli nic mu się nie stało, muszę wiedzieć, czy chce dalej przyjaźnić się ze mną. - Westchnęła. - Mam nadzieję, że jego uczucia nie uległy zmianie. Wolałabym go nie zabijać.

* * *

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego - oznajmiła gwałtownie Gahenas, wstając i posyłając swym towarzyszkom pełne potępienia spojrzenie. - Chętnie przyłączyłabym się do was, gdyby chodziło tylko o utarcie nosa Cieronnie, ale nie dam się wciągnąć w zdradę.

- Kto tu mówi o zdradzie, Gahenas? - zaprotestowała Cha-cole. - Tak naprawdę naszemu mężowi nie zagrozi żadne niebezpieczeństwo. Stworzymy tylko pozory spisku - i podrzucimy dość dowodów, by wskazać na Cieronnę. Gdyby Sarabiana naprawdę spotkało coś złego, na tron wstąpiłby książę następca, a Cieronna zostałaby regentką - tego zaś nie chce żadna z nas. Nie, ujawnimy jej spisek, zanim cokolwiek się zdarzy. Zostanie zdyskredytowana - prawdopodobnie uwięziona - a my nie będziemy już musiały się jej kłaniać.

- Nie dbam o to co mówisz, Chacole - odparła stanowczo tegańska cesarzowa o odstających uszach. - Knujesz coś, co pachnie zdradą, i nie życzę sobie w tym uczestniczyć. Będę mieć na ciebie oko, Chacole. Oddal szpiegów i natychmiast porzuć ten szalony plan, bo inaczej... - Gahenas złowieszczo zawiesiła głos, po czym odwróciła się na pięcie i odeszła.

- To było bardzo niezręczne, Chacole - rzekła przeciągle Elysoun, starannie wybierając owoc ze srebrnego półmiska na stole. - Może zgodziłaby się na współpracę, gdybyś nie podała jej tylu szczegółów. Nie musiała wiedzieć, że naprawdę zamierzasz wysłać zabójców. Nie byłaś jej pewna i działałaś zbyt szybko.

- Zaczyna brakować mi czasu, Elysoun. - W głosie Chacole brzmiała desperacja.

- Osobiście nie widzę powodów do pośpiechu - odparła Elysoun - a ile czasu dziś zaoszczędziłaś? Od tej pory ta tegańska wiedźma będzie śledzić każdy twój krok. Popelniłaś błąd, Chacole. Teraz będziesz musiała ją zabić.

- Zabić? - Chacole śmiertelnie zbladła.

- Chyba że sama chcesz stracić głowę. Jedno słowo Gahenas może posłać cię na szafot. Nie nadajesz się do męskiej polityki, moja droga. Za dużo mówisz. - Elysoun leniwie dźwignęła się z miejsca. - Możemy porozmawiać o tym później - dodała. - Teraz czeka na mnie pełen entuzjazmu młody gwardzista i nie chcę, żeby ochłonął. - Odeszła, kołysząc biodrami.

Pod maską nonszalancji kryła jednak szczerzy niepokój. Cy-nesgańskie wychowanie Chacole sprawiło, iż przejrzenie jej zamiarów było dziecinnie łatwe. Do swych celów wykorzystywała nienawiść, jaką pozostałe żony Sarabiana darzyły cesarżową Cie-ronnę. To było nawet sprytne, lecz wymyślna historyjka o niby--zamachu nie zwiodłaby nikogo. Niewątpliwie, wbrew solennym zapewnieniom Chacole i Torelli, próba zabójstwa miała się powieść. Elysoun przyspieszyła kroku. Musiała dotrzeć do męża i ostrzec go, że jego życiu zagraża niebezpieczeństwo.

- Xanetio! - Kalten wzdrygnął się zaskoczony, gdy tego wieczoru Anarae pojawiła się nagle wśród nich. - Nie mogłabyś zakasać albo coś w tym rodzaju?

- Zaskoczyć cię nie było moim zamiarem, mój obrońco - powiedziała przepraszającym tonem.

- Jestem ostatnio nieco spięty - odparł.

- Poszczyło ci się? - spytała Mirtai.

- Wiele się dowiedziałam, Atano Mirtai. - Xanetia urwała, zbierając myśli. - Niewolnicy niezbyt uważnie są strzeżeni - zaczęła - a pilnują ich cynesgańscy nadzorcy, podobnie przyziemne zajęcia są bowiem poniżej Cyrgaich godności. Sama pustynia wystarczy, by ich uwięzić. Niemądrzy, którzy ucieczki próbują, nieodmiennie giną na jałowych pustkowiach.

- Jak wygląda ich rozkład dnia, Anarae? - spytał Bevier.

- Niewolnicy z zagród swych wychodzą o świcie - odparła -i strażnicy pozbawieni miasto opuszczają, by pracę rozpocząć. O zachodzie słońca zasię bez rozkazów niczyich, ledwie postrzegani, wracają do swych zagród, gdzie dostają jadło. Wówczas w łańcuchy ich się zakuwa i zamyka w zagrodach na noc, by znów uwolnić o pierwszym brzasku.

- Niektórzy z nich kręcą się po lesie - zauważyła Mirtai, wyglądając pomiędzy drzew,

wśród których się kryli. - Co tam mają robić?

- Drwa na opał dla swych panów rąbią. Cyrgai od zimowych chłódów ogniem się ogrzewają. Zamknięci w zagrodach niewolnicy mrozy znosić muszą.

- Czy zdołałaś zorientować się w układzie miasta, Anarae? - spytał Bevier.

- W znacznym stopniu, panie rycerzu. - Gestem wezwała ich na skraj lasu, by mogli spojrzeć przez dolinę na czarne mury miasta. - Sami Cyrgai na zboczach wzgórza piętrzącego się wewnątrz murów mieszkają - wyjaśniła - ze wzdargą traktując pospolitą część miasta w dole. Wewnątrz kolejny mur wzniesiono, wybrańców Cyrgona od kontaktów z niższymi rasami chroniący. W dolnym mieście zagrody niewolników leżą, a także magazyny żywności i baraki Cynesgan, niewolnych doglądających i patrolujących mur zewnętrzny. Jako widzicie, szczyt wzgórza trzeci mur okala. Za nim pałac króla Santheoclesa się kryje, a także Świątynia Cyrgona.

Bevier przytaknął.

- Standardowy plan ufortyfikowanego miasta.

- Skoroś wiedział o tym z góry, po coś pytał, panie rycerzu? - rzuciła cierpko Delficzka.

- Aby potwierdzić swe domysły, droga pani - odrzekł z uśmiechem. - To miasto ma dziesięć tysięcy lat. Fortece wzniesione przed wynalezieniem współczesnej broni mogły różnić się od naszych. - Mrużąc oczy, spojrział przez dolinę na umocnienia Cyrgi. - Niewątpliwie są gotowi poświęcić dolne miasto. W przeciwnym razie zewnętrznego muru broniliby Cyrgai. Fakt, iż obowiązek ten przekazali Cynesganom, oznacza, że nie przykładają specjalnej wagi do magazynów i zagród niewolników. Umocnienia u stóp „Góry Cyrgona” będą znacznie silniej bronione, a w razie konieczności mogą wycofać się na szczyt do fortyfikacji wokół pałacu i świątyni.

- Wszystko to bardzo pięknie, Bevierze - przerwał mu Kalten - ale gdzie przetrzymują Ehlanę i Alean? Bevier posłał mu zdumione spojrzenie.

- Oczywiście na samym szczycie - odparł. - W pałacu albo świątyni.

- Skąd to wiesz?

- Są zakładniczkami, Kaltlenie. Kiedy bierzesz zakładników, musisz trzymać ich pod ręką, by móc zagrozić ich życiu, kiedy wróg zbliży się za bardzo.

- Coś wymyślimy - rzekł Sparhawk pewnym siebie tonem. - Cofnijmy się do lasu i przygotujmy na noc.

Wrócili pomiędzy drzewa i pożywili się zimnym prowiantem; rozpalenie ogniska, rzecz jasna, nie wchodziło w grę.

- Nadal pozostaje jeden problem, Sparhawk - rzekł Kalten, gdy w ukrytej dolinie zapadł zmierzch. - Jak dostaniemy się za te mury?

- Pierwszy mur to łatwizna - odparł Talen. - Po prostu wejdziemy przez bramę.

- Jak niby chcesz to zrobić, nie wzbudzając podejrzeń? - spytał ostro Kalten.

- Ludzie co rano wychodzą z tego miasta i wracają wieczorami, nieprawdaż?

- To są niewolnicy.

- Właśnie.

Kalten spojrział na niego bez słowa.

- Chcemy przecież dostać się do miasta. To najłatwiejszy sposób.

- A co z następnymi murami? - zaproponował Bevier.

- Wszystko w swoim czasie, panie rycerzu - odparł wesoło Talen. - Wszystko w swoim czasie. Najpierw pokonajmy pierwszy. Potem będziemy się martwić następnymi dwoma.

* * *

Późnym rankiem następnego dnia Daiya przygalopował na swym koniu przez żwirową pustynię.

- Znaleźliśmy ich, wasza dostojność - zameldował Bergste-nowi, ściągając wodze. - Cynesgańska jazda próbowała odciągnąć nas od ich kryjówek, ale i tak ich znaleźliśmy. Są na wzgórzach tuż przed nami.

- Znów ci wielcy żołnierze z maskami na twarzach? - spytał Heldin.

- Część z nich owszem, przyjacielu Heldinie - odparł Daiya. - Lecz towarzyszą im też inni - w staroświeckich hełmach, uzbrojeni we włócznie.

- Cyrgai - mruknął Bergsten. - Vanion wspominał o nich. Stosują tak archaiczną taktykę, że nie stanowią żadnego problemu.

- Gdzie dokładnie są, przyjacielu Daiyo? - spytał Heldin.

- W wąwozie po wschodniej stronie wzgórz, przyjacielu Heldinie. Moi zwiadowcy widzieli ich z góry.

- Z całą pewnością nie powinniśmy pakować się tam za nimi, wasza świątobliwość - ostrzegł Heldin. - To piechota i walka wręcz odpowiada im idealnie. Musimy obmyślić sposób pozwalający wywabić ich na otwartą przestrzeń.

Atana Maris zadała Neranowi pytanie po tamulsku. Wysłuchawszy długiej wypowiedzi, przytaknęła, powiedziała kilka słów, po czym odbiegła na południe.

- Dokąd ona idzie? - spytał Bergsten.

- Powiedziała, że wrogowie zastawili na was pułapkę, wasza świątobliwość - odparł Neran, wzruszając ramionami. - Zamierza w nią wpaść.

- Zatrzymaj ją, Heldinie! - rzucił ostro Bergsten.

Na obronę pana Heldina trzeba rzec, że naprawdę usiłował doścignąć zwinną śmigłostopą Atankę, ona jednak zaledwie obejrzała się przez ramię, wybuchnęła śmiechem i pobięła jeszcze szybciej, pozostawiając go daleko w tyle. Na próżno z całych sił poganiał konia i mamrotał pod nosem przekleństwa.

Przekleństwa Bergstena były znacznie głośniejsze. Zdawało się, że powietrze wokół patriarchy goreje.

- Co ona wyprawia? - spytał Nerona.

- Nasi przeciwnicy zaplanowali zasadzkę, wasza świątobliwość - odrzekł spokojnie Tamul. - Nie uda im się, jeśli ktoś zauważy kryjących się w wąwozie żołnierzy. Atana Maris zamierza wbiec do środka, pokazać im się, a potem wybiec. Będą musieli spróbować ją schwytać. Dzięki temu wywabi ich na górę. Radziłbym nieco przyspieszyć kroku. Sprawimy jej wielki zawód, jeśli wyprowadzimy ich, nie ujrzy was na pozycjach.

Patriarcha Bergsten spojrział na biegnącą po pustyni złotoskórą Atanę, która pędziła na południe, a jej czarne włosy powiewały za nią. Potem znów zaklął, dźwignął się w strzemionach i ryknął:

- Do ataku!

* * *

Ekrasios i jego towarzysze dotarli do Synaąuy późnym popołudniem. Słońce przebiło się właśnie przez ciężką zasłonę chmur, która przez ostatnie kilkanaście dni przesłaniała niebo.

Ruiny Synaąuy były w znacznie gorszym stanie niż te w Pa-nem-Dea czy Norenji. Jeden z licznych strumieni płynących leniwie przez rozległą deltę rzeki Ardżun podmył cały wschodni mur, który zawalił się w odległej przeszłości. Gdy buntownicy Scarpy wprowadzili się do miasta, zastąpili go drewnianą palisadą. Wzniesli ją raczej nieporządnie, toteż nie sprawiała zbyt imponującego wrażenia.

Ekrasios siedział zatopiony w ponurych myślach i patrzył, jak słońce tonie pośród chmur na zachodzie. Ich atak na Norenję okazał się katastrofą. Choć zdawało im się, iż jest tam wiele bram, którymi mogą uciec spanikowani buntownicy, dowódca przygotowując

miasto do obrony kazał zabarykadować je wszystkie stosami gruzu. Przerażeni żołnierze zostali uwięzieni w środku i nie mając wyboru, musieli podjąć walkę. Setki zginęły w niewypowiedzianych mękach, nim Ekrasios zdołał skierować swych ludzi do nie zamieszkanego części ruin, otwierając tym samym drogę ucieczki przez główną bramę. Wielu Delphae otwarcie płakało, wstrząśniętych koszmarnym losem, który za ich przyczyną spotkał ludzi będących w gruncie rzeczy zaledwie zbłąkanymi chłopami. Ekrasios potrzebował dwóch dni i całej swej elokwencji, by powstrzymać połowę oddziału przed porzuceniem towarzyszy i natychmiastowym powrotem do Delphaeusu.

Adras, przyjaciel Ekrasiosa z dzieciństwa i jego zastępca, należał do najbardziej wstrząśniętych ostatnimi wydarzeniami. Obecnie, gdy tylko mógł, unikał swego przywódcy, a kiedy musiał się z nim porozumieć, wymieniali jedynie kilka krótkich oficjalnych zdań. Dlatego też Ekrasios zdumiał się, gdy Adras zbliżył się do niego nie wzywany o zachodzie słońca, który barwił okolicę na czerwono.

- Mogę słowo z tobą zamienić, Ekrasiosie? - spytał z wahaniem.

- Oczywiście, Adrasie. Wiesz, że pytać mnie o to nie potrzebujesz.

- Muszę rzec zatem, że w dzisiejszym ataku uczestniczyć nie będę.

- Przysięga złożona Anace wiąże nas, Adrasie - przypomniał mu Ekrasios. - Nasz Anari słowem swym poręczył i przyrzeczenia jego dotrzymać musimy.

- Nie mogę, Ekrasiosie! - wykrzyknął Adras. Z jego oczu popłynęły łzy. - Nie mogę znieść tego, co uczyniłem i znów uczynię, jeśli do miasta wkroczę. Z pewnością Edaemus nie chciał, byśmy straszliwego daru jego w ten sposób użyli.

Ekrasios mógł przytoczyć w odpowiedzi dziesiątki argumentów, w głębi serca jednak wiedział, że na nic się to nie zda.

- Nalegał nie będę, Adrasie, niegodne bowiem byłoby to przyjaciela. - Westchnął. - Wyznaję, iż niepokój nie mniejszy niż ty odczuwam. Nie nadajemy się do wojen, Adrasie, a klątwa Edaemusa sprawia, iż nasz sposób prowadzenia wojny straszliwszy jest niżli inszych ras krwawe starcia. A że złości nie czujemy, groza dusze nasze rozdziera. - Urwał. - Nie ty jeden decyzję takową podjąłeś, prawda, Adrasie? Inni także walczyć nie chcą, czyliż nie?

Adras przytaknął w milczeniu.

- Ilu?

- Blisko stu pięćdziesięciu, przyjacielu. Wiadomość ta wstrząsnęła Ekrasiosiem. Niemal trzecia część jego oddziału, praktycznie rzecz biorąc, zdezerterowała.

- Zmartwiłeś mię, Adrasie - rzekł. - Sprzeciwić się nakazom sumienia twego rozkazać ci nie mogę, wszelako nieobecność twa i tych, którzy uczucia twe podzielają, powodzeniu

naszemu tej nocy zagrozić może. Pozwól tedy, iż pomyślę nieco. - Zaczął przechadzać się tam i z powrotem po błotnistej polanie, rozważając różne scenariusze zdarzeń. - Może jednak zwycięstwo uda nam się ocalić - rzekł w końcu. - Niechaj moc wątpliwości twych zgłębię, przyjacielu. Zakładam, iż pozostając w zgodzie z sumieniem swym, wnijść do leżących przed nami ruin nie możesz, azali jednak całkiem porzucić mnie zechcesz?

- Nigdy, Ekrasiosie.- Dziękuję ci, Adrasie. Możesz jednak wraz z towarzyszami swymi działania nasze wspomóc, uczuć przy tym nie raniąc. Jako w Norenji odkryliśmy, klątwa Edaemusa nie tylko na ciało wpływa.

- Istotnie - zgodził się Adras. - Bramy owych żalonych ruin rozpadły się pod najłżejszym naszym dotknięciem.

- Wschodni mur Synaąuy z drewna jest zbudowany. Azali mogę przekonać cię, byś z towarzyszami swymi obalił go, podczas gdy ja i reszta oddziału naszego do miasta wnijdziemy?

Adras błyskawicznie pojął, do czego zmierza jego przyjaciel. Uśmiechnął się szeroko, gdy runął nagle mur obcości, jaki wyrósł między nimi w ciągu ostatnich dni.

- Do dowodzenia wojskami zrodzonyś, Ekrasiosie - rzekł ciepło. - Wraz z przyjaciółmi z radością zadanie to spełnię. Tak tedy wraz ze swym oddziałem do Synaąuy główną bramą wkroczysz, podczas gdy ja z towarzyszami mymi szeroką wyrwę otworzę, by mieszkańcy miasta swobodnie opuścić je mogli. Dzięki temu obaj zadania nasze wypełnimy.

- Dobrze powiedziane, Adrasie - rzekł z aprobatą Ekrasios. -Dobrze powiedziane.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

- Nie widzą nas - syknął Talen. - Łapcie ich wóz.

Kalten i Sparhawk podnieśli się zza krzaków, złapali na wpół wypełniony drewnem wóz i ściągnęli go na bok. Właśnie dochodziło południe.

- Nadal uważam, że to głupi pomysł - skarżył się Kalten. - Zakładając, że nie zatrzymają nas, gdy będziemy usiłovali przejść przez bramę, jak zdołamy niepostrzeżenie wyładować naszą broń i kolczugi? I jak wydostaniemy się z zagród niewolników, by je zabrać?

- Zaufaj mi.

- Przez tego chłopaka czuję się staro, Sparhawk - mruknął Kalten.

- To się może udać, Kaltenie - wtrącił Bevier. - Xanetia mówiła, że cynesgańscy nadzorcy nie zwracają specjalnej uwagi na niewolników. Na razie jednak zabierzmy stąd ten wóz, zanim ci, do których należy, wrócą i odkryją jego zniknięcie.

Pociągnęli chwiejny wózek na dwóch kołach wąską ścieżką aż do miejsca, w którym czekały ukryte w krzakach Xanetia i Mirtai.

- Cóż za radość! - rzekła cierpko Mirtai. - Nasi bohaterowie wracają z łupami wojennymi.

- Kocham cię, siostrzyczko - odpalił Sparhawk - ale czasem miewasz przesadnie ostry język. Kalten ma rację, Talenie. Sami nadzorcy może i są zbyt głupi, by zorientować się, co robimy, lecz zapewne dostrzegą to inni niewolnicy. A pierwszy, który otworzy usta i zacznie gadać, z pewnością zwróci ich uwagę.

- Pracuję nad tem, Sparhawk - odparł chłopiec. Ukłąkł, oglądając uważnie spodnią część wozu. - Żaden problem - rzekł w końcu pewnym siebie tonem, wstając i otrzepując kolana z pyłu.

Zmodyfikowali nieco kupione w Vigayo cynesgariskie szaty, usuwając rękawy i kaptury i odcinając poły tuż nad kolanami.

Otrzymane w ten sposób stroje przypominały kaftany niewolników, pracujących na polach i w lasach wokół Cyrgi.

Podczas gdy reszta grupy rozeszła się po lesie, zbierając drwa ze stosów wyrąbanych przez niewolników, Talen pozostał na miejscu, pracując w skupieniu nad spodnią stroną wozu. Do czasu gdy skończył, zgromadzili spory stos drewna. Sparhawk wrócił z kolejnej wycieczki, niosąc naręczce szczap akurat w chwili, gdy chłopak zakończył pracę.

- Chcesz rzucić okiem, Sparhawk? - spytał spod wozu.

Rycerz ukląkł i obejrzał dzieło młodego złodzieja. Talen wcisnął końce smukłych gałęzi drzew pomiędzy tworzące podwozie wozu deski, po czym splótł z nich płytki kosz, przylegający ciasno do podłogi skradzionego pojazdu.

- Jesteś pewien, że się nie rozpadnie, jeśli trafimy na wybój? - spytał z powątpiewaniem Sparhawk. - Czułbym się głupio, gdyby nasza broń i kolczugi wysypały się akurat w chwili, gdy przejeżdżamy przez bramę.

- Jeśli chcesz, sam w nim pojedę - odparł Talen. Sparhawk mruknął niezobowiązująco.

- Zwiąż miecze, żeby nie dzwoniły, i owiń trawą kolczugi, aby stłumić ich brzęk.

- Dobrze, o wielki przywódco. Ile jeszcze rzeczy, które już wiem, chciałbyś mi powiedzieć?

- Po prostu to zrób, Talenie. Oszczędź mi kąśliwych komentarzy.

- Nie chciałbym cię urazić, Mirtai - mówił tymczasem Kalten. - Po prostu twoje nogi są znacznie ładniejsze od moich.

Mirtai uniosła rąbek kaftan i przyjrzała się krytycznie swym długim złotym nogom. Następnie, mrużąc oczy, spojrzała na kończyny Kaltena.

- Rzeczywiście - przyznała.

- Chodzi o to, że nie będą się tak wyróżniać, jeśli wysmarujesz je błotem. Wątpię, by na strażników przy bramie wybrano ślepców, a jeśli jeden z nich dostrzeże dołeczki na twoich kolanach, zapewne zorientuje się, że nie jesteś mężczyzną, i zechce przyjrzeć się bliżej.

- Lepiej, żeby tego nie robił - odparła lodowatym tonem.

* * *

- W tym miejscu jest znacznie mniej gniazd ludzkich stworów niż w miejscu zwanym Sopal czy w miejscu zwanym Ardżun - zauważył Bhlok, gdy wraz z Ulathem spojrzeli w dół na wioskę Zhubay. Zdawało się, że podróżowali kilkanaście dni, lecz wiedzieli, iż to tylko złudzenie.

- Nie - zgodził się Ulath. - To mniejsze miejsce i mniej tu ludzkich stworów.

- Ale po drugiej stronie wodopoju widać więcej gniazd z materii - ciągnął troll, wskazując szeregi namiotów po przeciwnej stronie oazy.

- Na tych właśnie polujemy - poinformował go Ulath.

- Na pewno wolno nam ich zabić i zjeść? - zapytał Bhlok. - Ty i Tin-in nie

pozwalaliście mi tego robić w miejscu zwanym Sopal, w miejscu zwanym Ardżun, czy nawet w miejscu zwanym Nat-os.

- Tu pozwalamy. Wypuściliśmy przynętę, żeby zwabić ich w to miejsce, tak abyśmy mogli polować na nich i zjeść.

- Jakiej przynęty używacie do zwabienia ludzkich stworów? - spytał ciekawie Bhłokw.

- Jeśli umysły bogów kiedykolwiek wydobreją i pozwolą nam wrócić do dawnych łowów, dobrze będzie to wiedzieć.

- Przynętą jest myśl, Bhłokwie. Ludzkie stwory w gniazdach z materii przybyły do tego miejsca, bo część naszych towarzyszy stada podsunęła im myśl, że wysokie ludzkie stwory o żółtej skórze tu będą. Ci z gniazd z materii przybyli, aby walczyć z wysokimi stworami o żółtej skórze.

Twarz Bhłokwa wykrzywiła się w potwornej parodii ludzkiego uśmiechu.

- To dobra przynęta, U-lat - rzekł. - Wezwę Ghworga i Ghnomba i powiem im, że zaczniemy polować. Ilu możemy zabić i zjeść?

- Wszystkich, Bhłokwie. Wszystkich.

- To niedobra myśl, U-lat. Jeśli zabijemy i zjemy wszystkich, nie rozmnożą się i w następnym sezonie nie będzie na kogo polować. Dobrze jest zawsze pozwolić uciec tyłu, by utrzymać stado. Jeśli zjemy wszystkich, nic nie zostanie na później.

Ulath rozważał jego słowa, podczas gdy Bhłokw rzucił krótkie zakłęcie trolli, przyzywające Ghworga i pozostałych bogów. W końcu uznał, że lepiej nie drażnić tego tematu. Trolle były myśliwymi, nie wojownikami, i zbyt długo zajęłoby wyjaśnianie im koncepcji wojny totalnej.

Bhłokw naradzał się przez dłuższą chwilę z ogromnymi obecnościami swoich bogów w szarym świetle bezczasu, a potem uniósł brutalne oblicze i rykiem wezwał trolle.

Wielka masa włochatych ciał runęła w dół zbocza, w stronę wioski i widocznego w stalowym blasku zastygłej chwili lasu namiotów za oazą, podczas gdy Ulath i Tynian patrzyli ze szczytu. Trolle podzieliły się, rozbiegły wokół i rozproszyły między namiotami Cynesgan, gdzie każdy z wielkich potworów wybrał sobie ofiarę. A potem, wyraźnie na sygnał Bhłokwa, chłodne światło zamigotało i nagle znaleźli się w blasku słońca.

Oczywiście natychmiast rozległy się krzyki, ale też trudno oczekiwać czegoś innego. Praktycznie żaden człowiek na świecie nie zdołałby powstrzymać krzyku, gdyby tuż przed nim wyłrżył się z nicości dorosły troll, ogarnięty morderczym szałem.

Rzeź wokół oazy była zaiste upiorna, trolle bowiem nie tyle walczyły z Cynesganami, ile rozdierały ich na sztuki, szykując się do uczt.

- Część ucieka - zauważył Tynian, wskazując na sporą liczbę Cynesgan rozpaczliwie smagających galopujące na południe konie.

Ulath wzruszył ramionami.

- Sztuki rozplodowe - odparł.

- Co?

- To pomysł trolli. W ten sposób zapewniają sobie stały dopływ żywności. Gdyby trolle zjadły wszystkich dzisiaj, na jutrzejszą kolację nic by nie zostało.

Tynian zadrżał z odrazy.

- To potworne, Ulacie! - wykrzyknął.

- Owszem - zgodził się Ulath - dość potworne, ale zawsze należy szanować zwyczaje i tradycje sprzymierzeńców, nie sądzisz?

Nie zdążyło nawet minąć pół godziny, gdy wszystkie namioty leżały płasko na ziemi, sztuki rozplodowe uciekły, a trolle zabrały się do jedzenia. Cynesgańskie zagrożenie na północy zostało skutecznie wyeliminowane i oddział trolli mógł dołączyć do marszu na Cyrge.

* * *

Khalad usiadł gwałtownie na posłaniu, odrzucając koce.

- Bericie! - rzekł ostro.

Berit ocknął się natychmiast, sięgając po miecz.

- Nie - uspokoił go Khalad. - Nie o to chodzi. Wiesz, co to jest gaz kopalniany?

- Nigdy o nim nie słyszałem. - Berit ziewnął i przetarł oczy.

- Będę musiał zatem pomówić z Aphrael - osobiście. Ile czasu zajmie ci nauczanie mnie zaklęcia?

- Przypuszczam, że to zależy. Nie możesz przekazać jej wszystkiego przeze mnie?

- Nie. Muszę zadać jej parę pytań, a ty nie zrozumiałbyś, o czym mowa. Sam będę musiał z nią pomówić. To bardzo ważne, Bericie. Mogę nie rozumieć języka, wystarczy, żebym powtórzył słowa, prawda?

Berit zmarszczył brwi.

- Nie jestem pewien. Sephrenia i Styrik, który zastąpił ją w Demos, nie pozwalali nam tego robić w ten sposób, bo twierdzili, że powinniśmy myśleć po styricku.

- To może być ich przesąd, nie Aphrael. Spróbujmy i zobaczymy, czy zdołam się z nią porozumieć.

Nauka zajęła im prawie dwie godziny i Berit, półprzytomny i rozpaczliwie śpiący, pod koniec zaczął robić się niemły.

- Po prostu będę źle wymawiał słowa - oznajmił w końcu Khalad. - W żaden sposób nie zdołam tak wykrzywić ust, by wydobyć z siebie część wymaganych dźwięków. Spróbujmy i zobaczymy, co się stanie.

- Rozzłościł ją - uprzedził Berit.

- Przejdzie jej. No to zaczynamy. - Khalad, jękając się, powoli wygłosił zaklęcie, a jego palce z wahaniem poruszały się w towarzyszących mu gestach.

- Co ty, do licha, wyprawiasz, Khaladzie? - Jej głos niemal go ogłuszył.

- Przepraszam, Fleciku - odparł - ale to pilne.

- Beritowi chyba nic się stało? - spytała ostro z nutką troski w głosie.

- Nie. Nic mu nie jest. Po prostu musiałem pomówić z tobą osobiście. Wiesz, co to jest gaz kopalniany?

- Tak. Czasem zabija górników.

- Mówiłaś, że żołnierze Kisła oddychają czymś podobnym do gazu błotnego.

- Owszem. Do czego zmierzasz? Jestem w tej chwili trochę zajęta.

- Proszę, bądź cierpliwa, o boska. Wciąż usiłuję to wszystko ogarnąć. Berit mówił ci chyba, że widzieliśmy, jak owi obcy uciekali do jaskini, prawda?

- Owszem. Ale nadal nie...

- Pomyślałem, że Klael mógł wypełnić jaskinie gazem błotnym, by umożliwić swym żołnierzom oddychanie, ale zaczynam mieć wątpliwości. Może gaz już tam był? «• — Zechciałbyś przejść dorzeczy?

- Czy gaz kopalniany i gaz błotny są do siebie podobne? Aphrael wydała z siebie irytująco cierpiętnicze westchnienie.

- Bardzo podobne, Khaladzie - i nic dziwnego, zważywszy na to, że są tym samym.

- Kocham cię, Aphrael - odparł z radosnym śmiechem.

- A to skąd się wzięło?

- Wiedziałem, że musi istnieć jakieś powiązanie. To pustynia, nie ma tu żadnych mokradeł. Za nic nie potrafiłem pojąć, skąd Klael bierze gaz błotny, by wypełnić nim jaskinię. Ale przecież nie musiał, prawda? Jeśli gaz błotny to to samo co kopalniany, wystarczyło jedynie znaleźć jaskinię z pokładami węgla.

- W porządku. A teraz, kiedy odpowiedziałam na pytanie i zaspokoiliam twoją ciekawość naukową, mogę już sobie pójść?

- Jedną chwileczkę, boska Aphrael. - Khalad radośnie zatarł ręce. - Czy potrafiłabyś

wdmuchnąć do jaskini trochę naszego powietrza, tak by pomieszało się z gazem kopalnianym, którym oddychają owi żołnierze?

Przez chwilę bogini milczała.

- To potworne, Khaladzie! - wykrzyknęła w końcu.

- A to, co spotkało pana Abriela i rycerzy pana Vaniona, nie było potworne? Mamy wojnę, Aphrael, i to wojnę, którą absolutnie musimy wygrać. Jeśli żołnierze Klaela będą uciekać do jaskiń, by odetchnąć, nigdy nie dadzą spokoju naszym przyjaciołom. Musimy znaleźć sposób na ich wyeliminowanie i sądzę, że właśnie to zrobiłem. Zechcesz zabrać nas do jaskini, w której widzieliśmy owych żołnierzy?

- W porządku - rzekła nadąsanym tonem.

- O czym z nią rozmawiałeś? - spytał Berit.

- O tym, jak wygrać wojnę, Bericie. Spakujmy nasze rzeczy. Aphrael zabierze nas do jaskini.

* * *

- Wciąż nas ścigają?! - zawołał Vanion do pana Endrika, który jechał na tyłach za kolumną rycerzy.

- Tak, mój panie! - odkrzyknął Endrik. - Część jednak zaczyna zwalniać kroku.

- Dobrze, to znaczy, że słabną. - Vanion powiódł wzrokiem po skalistym pustkowiu. - Mamy mnóstwo miejsca - rzekł do Sephrenii. - Wyprowadzimy ich na równiny i trochę poganiamy.

- To okrutne, Vanionie - upomniała go.

- Nie muszą nas ścigać, ukochana. - Podniósł się w strzemionach. - Przyspieszmy kroku, panowie! - zawołał do rycerzy. - Chcę porządnie przegonić te potwory.

Rycerze posłuchali i z ogłuszającym brzękiem stali wypadli na jałowe pustkowie.

- Uciekają! - ryknął Endrik z tyłu, mniej więcej po półgodzinie.

Vanion uniósł zakutą w stal rękę, nakazując żołnierzom, by się zatrzymali. Następnie ściągnął wodze i obejrzał się.

Olbrzymi w maskach zrezygnowali z pościgu i potykając się, biegli wprost na zachód, zmierzając w stronę skupiska skalistych wzgórz kilka mil dalej.

- Tego właśnie nikt nie rozumie - powiedział do Sephrenii. - Z tego, co słyszałem od Aphrael, inni także natknęli się na to zjawisko. Żołnierze Kisła ścigają nas przez jakiś czas, a potem rezygnują i uciekają w stronę najbliższych wzgórz. Co właściwie chcą tam znaleźć? Co

mogłoby im pomóc?

- Nie mam pojęcia, mój drogi - odparła.

- Wszystko to pięknie - rzekł Vanion, z troską marszcząc czoło - ale gdy rozpoczniemy ostatni marsz na Cyrge, nie będziemy mieli czasu ścigać się z tymi stworami. Co gorsza, Klael zacznie zapewne wysyłać większe oddziały niż te, na które natykaliśmy się dotychczas. Jeśli nie znajdziemy jakiegoś sposobu ostatecznego wyeliminowania jego żołnierzy, nie mamy zbyt wielkich szans, by dotrzeć cało do celu.

- Panie Vanionie! - zawołał z niepokojem jeden z rycerzy. -Nadciągają następni!

- Skąd? - Vanion rozejrzył się.

- Z zachodu!

Mistrz zakonu odprowadził wzrokiem uciekających. I wówczas ujrzał następnych. Najwyraźniej na równinie kryły się dwa regimenty żołnierzy Klaela. Ci, których spotkali wcześniej, chwiejnym krokiem zmierzali w stronę sterczących na horyzoncie wzgórz. Pozostali nadciągali stamtąd, nie okazując najmniejszych oznak śmiertelnego zmęczenia.

* * *

- To śmieszne - mruknął Talen, badając delikatnymi opuszkami zamknięcie swego łańcucha.

- Mówiłeś, że umiesz je otworzyć - szepnął oskarżycielsko Kalten.

- Kaltlenie, nawet tobie by się udało. To najgorsze zamki, jakie kiedykolwiek widziałem.

- Po prostu je otwórz, Talenie - rzekł cicho Sparhawk. - Nie wygłaszaj wykładów. Wciąż musimy wydostać się z zagrody.

Dołączywszy do innych niewolników o zachodzie słońca, bez przeszkód weszli do Cyrgi. Następnie podążyli w ślad za resztą na otwarty plac nieopodal bramy. Ładunek ułożyli na jednym ze stosów drewna, a sam wóz oparli o szorstki kamienny mur obok innych. Potem, niczym potulne bydło, ruszyli do wielkiej zagrody i pozwolili cynesgańskim nadzorcom przykuć się do sterczących ze ściany zardzewiałych żelaznych pierścieni.

Po zjedzeniu wodnistej zupy ułożyli się na stosach brudnej słomy, oczekując nadejścia nocy. Xanetia im nie towarzyszyła. Milcząca i niewidoczna, wędrowała po ulicach miasta.

- Nie ruszaj nogą, Kaltlenie - syknął Talen. - Nie mogę zdjąć ci łańcucha, kiedy się tak miotasz.

- Przepraszam.

Chłopak skupił się przez chwilę i nagle zamek otworzył się z trzaskiem. Talen natychmiast ruszył dalej, czołgając się po szeleszczącej słomie.

- Tylko bez poufałości - mruknął w ciemnościach głos Mirtai.

- Przepraszam. Szukam twojej kostki.

- To po drugiej stronie nogi.

- Sam zauważyłem. Jest ciemno, Atano, nie widzę, co robię.

- Co wy tam wyprawiacie? - Jękliwy służalczy głos dochodził z miejsca poza legowiskiem Kaltena.

- Nie twoja sprawa - warknął Kalten. - Idź spać.

- Chcę wiedzieć, co robicie. Jeśli mi nie powiecie, zawołam nadzorców.

- Lepiej go ucisz, Kaltenie - mruknęła Mirtai. - To donosiciel.

- Zajmę się nim - odparł groźnie Kalten, przemykając po słomianym posłaniu.

- Co ty robisz? - dopytywał się niewolnik o jęklwym głosie. - Jak się... - Nagle umilkł. W nocnej ciszy rozległ się gwałtowny szelest, któremu towarzyszył świszczący bulgot.

- Co się tam dzieje?! - zawołał ostro jeden z nadzorców. Drzwi baraku otwarły się, zalewając dziedziniec światłem.

Odpowiedziało mu jedynie kilka cichych szelestów. Kiedy Kalten wrócił na miejsce, miał lekko przyspieszony oddech. Szybko owinał kostkę łańcuchem i okrył ją słomą.

Czekali w napięciu, lecz Cynesganin najwyraźniej postanowił nie dochodzić prawdy. Wrócił do środka, zamykając za sobą drzwi i ponownie pogrążając wszystko w mroku.

- Często się to zdarza wśród niewolników? - szepnął do Mirtai Bevier, gdy Talen zaczął go uwalniać.

- Nieustannie - odparła. - Niewolnicy nie znają lojalności. Jeden zdradzi drugiego za dodatkową skórkę chleba.

- Smutne.

- Niewolnictwo? Znam gorsze określenia niż smutne.

- Chodźmy - szepnął Sparhawk.

- Jak znajdziemy Xanetię? - spytał cicho Kalten, gdy przemierzali zagrodę.

- Nie znajdziemy. Sama będzie musiała nas odszukać.

Otwarcie wrót zajęło Talenowi jedynie chwilę. Wszyscy wymknęli się na pogrążoną w mroku ulicę. Przekradli się szybko na plac, gdzie zostawili drwa, i przystanęli, nie wychodząc na otwartą przestrzeń.

- Rozejrzyj się, Talenie - zaproponował Sparhawk.

- Jasne. - Młody złodziej wtopił się w ciemność. Reszta czekała z napięciem.

- Droga wolna - wyszeptał po kilku minutach Talen. - Wozy są tutaj.

Podążając za dźwiękiem jego głosu, wkrótce dotarli do rzędu wozów opartych o mur.

- Widziałeś jakichś strażników? - zapytał Kalten.

- Kto miałby czuwać całą noc, pilnując stosu drewna? - Talen położył się na brzuchu i wczołgał pod wóz. Ciasno splecione gałęzie, tworzące prowizoryczny kosz, ustąpiły z cichym trzaskiem. - Proszę - rzekł chłopak. Sparhawk poczuł, jak ostrze miecza dźga go w łydkę.

Ujął miecz, przekazał go Kaltenowi i schylił się.

- Podawaj je rękojeścią naprzód - polecił. - Nie dźgaj mnie mieczem.

- Przepraszam.

Talen rozdał przyjaciołom broń. Po niej nadeszła kolej na tuniki i kolczugi. Uzbrowieni, natychmiast poczuli się lepiej.

- Anakho - głos był miękki i bardzo cichy.

- To ty, Xanetio? - Jeszcze zanim Sparhawk zadał to pytanie, uświadomił sobie jego głupotę.

- Istotnie - odparła. - Chodźmy stąd, proszę. Szept naturalnym głosem jest podstępny i nocą niesie się daleko. Odejdźmy, nim przybędą strażnicy uspiętego miasta strzegące, źródła nieostrożnych rozmów szukając.

* * *

- Przygotuj się na dłuższe czekanie - uprzedził Khalad. - Aphrael musi najpierw wdmuchnąć do jaskini powietrze.

- Jesteś pewien, że to się uda? - spytał z powątpiewaniem Berit.

- Nie do końca, ale warto spróbować, prawda?

- Nie wiesz nawet na pewno, czy wciąż są w jaskini.

- To nieistotne. Tak czy inaczej, nie będą mogli się już tu ukryć.

Khalad zaczął starannie owijać jeden ze swych beltów szmatką nasączoną oliwą. Potem, osłaniając iskry własnym ciałem, począł krzesać ogień. Po chwili hubka się zajęła. Zapalił od niej ogarek i natychmiast zgasił tłący się żar. W końcu ostrożnie odstawił świeczkę za spory kamień.

- Aphrael nie wydaje się tym uszczęśliwiona, Khaladzie - zauważył Berit, gdy zerwał się chłodny wietrzyk.

- Ja nie byłem uszczęśliwiony tym, co spotkało pana Abrie-la - odparł ponuro Khalad.

- Darzyłem go ogromnym szacunkiem, a te potwory o żółtej krwi rozszarpały go na kawałki.

- Zatem robisz to z zemsty?

- Nie. Nie do końca. Po prostu to najpraktyczniejszy sposób pozbycia się ich. Poproś Aphrael, by dała mi znać, kiedy w jaskini znajdzie się dość powietrza.

- Ile to potrwa?

- Nie mam pojęcia. Wszyscy górnicy, którzy kiedykolwiek oglądali z bliska podobne zjawisko, nie żyją. - Khalad podrapał się po brodzie. - Nie jestem do końca pewien, co się stanie, Bericie. Kiedy zapala się gład błotny, po prostu płonie i gaśnie. Gaz kopalniany może dać efekt nieco bardziej widowiskowy.

- Po co w ogóle wdmuchiwać powietrze do jaskini? - dopytywał się Berit.

Khalad wzruszył ramionami.

- Ogień to żywa istota. Musi oddychać.

- To wszystko wyłącznie domysły, prawda? Nie masz pojęcia, czy twój plan się powiedzie - a jeśli nawet, co dokładnie się wydarzy.

Khalad uśmiechnął się złośliwie.

- Dysponuję niezłą teorią.

- Chyba oszalałeś. Przez te swoje eksperymenty jeszcze podpalisz całą pustynię.

- Do tego chyba nie dojdzie.

- Chyba???

- To bardzo mało prawdopodobne. Widzę już wylot jaskini. Może spróbuję?

- Co się stanie, jeśli chybisz?

- Jego towarzysz wzruszył ramionami.

- Strzelę jeszcze raz.

- Nie o to mi chodziło. Ja tylko... - Berit urwał, nasłuchując uważnie. - Aphrael mówi, że mieszanka jest już odpowiednia. Możesz strzelać, kiedy tylko zechcesz.

Khalad wsunął koniec bełtu w płomień świecy i obrócił go wolno, upewniając się, że naoliwiona szmatka zajęła się ogniem. Następnie umieścił na miejscu płonącego bełtu, oparł koniec kuszy na kamieniu i starannie wycelował.

- No to ruszamy - rzekł, powoli naciskając spust.

Kusza zadźwięczała donośnie i płonąca strzała pomknęła przez mrok, znikając w wąskim wylocie jaskini.

Nic się nie stało.

- I tyle, jeśli chodzi o twoją teorię - rzekł sarkastycznie Berit. Khalad zaklął, tłukąc pięścią w żwir.

- To musi zadziałać, Bericie. Zrobiłem wszystko dokładnie...

W tym momencie wzgórze eksplodowało z ogłuszającym hukiem. W powstałym w jego miejsce kraterze zapłonęła kula ognia o średnicy setek stóp. Khalad bez namysłu skoczył Beritowi na plecy i osłonił własny kark dłońmi.

Na szczęście spadający na nich deszcz odłamków składał się głównie z drobnego żwiru. Większe kamienie poleciały znacznie dalej.

Przez kilkanaście minut z nieba sypały się kamyki. Obaj młodzi mężczyźni, wstrząśnięci i poobijani, na leżąco znosili katastrofalne skutki doświadczenia Khalada.

W końcu bolesny deszcz ustał.

- Ty idioto! - wrzasnął Berit. - Mogłeś zabić nas obu.

- Chyba trochę się przeliczyłem - przyznał Khalad, wytrząsając z włosów piach. - Zanim znów spróbujemy, będę musiał nad tym nieco popracować.

- Znów spróbujemy? O czym ty mówisz?

- To działa, Bericie - powiedział rozsądnym tonem Khalad. - Muszę tylko troszkę to dopracować. Każdy eksperyment wymaga ulepszeń. - Wstał i klepnął się dłonią w bok głowy, by uciszyć brzęczenie w uszach. - Udoskonale to, mój panie - przyrzekł, pomagając Beritowi podnieść się z ziemi. - Następnym razem będzie lepiej. A teraz może zechcesz poprosić Aphrael, żeby zabrała nas z powrotem do obozu. Prawdopodobnie nas śledzą, więc nie wzbudzajmy niepotrzebnych podejrzeń.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

- Jesteśmy w mieście, Aphrael - oznajmił bezgłośnie Sparhawk, rzuciwszy zakłęcie.

- Jak wam się to udało? - Bogini sprawiała wrażenie zdumionej.

- To długa historia. Powiedz Khaladowi, że zaznaczyłem drogę prowadzącą do doliny.

Będzie wiedział, czego szukać.

- Odkryłeś już, gdzie przetrzymują matkę?

- Mniej więcej.

Przez długą chwilę milczała.

- Lepiej tam przyjdę.

- Jak nas znajdziesz?

- Użyję ciebie jako przewodnika. Po prostu do mnie mów.

- Nie sądzę, aby był to najlepszy pomysł. Tkwimy tuż pod nosem Cyrгона. Nie wyczuje cię?

- Jest tam przecież Xanetia, prawda?

- Owszem.

- Zatem Cyrgon nic nie poczuje. Dlatego właśnie wysłałam ją z wami. - Znow urwała.

- Kto wymyślił sposób dostania się do miasta?

- To był pomysł Talena.

- Widzisz? A chciałeś się kłócić o to, czy go zabrać. Kiedy nauczysz mi się ufać, ojczy? Mów dalej. Niemal już ustaliłam twoje położenie. Opowiedz mi, jak Talen zdołał przemycić was za mury Cyrgi.

Dokładnie opisał ich podstęp.

- W porządku - odezwała się tuż za jego plecami. - Wystarczy. Już rozumiem. - Odwrócił się i ujrzał ją w ramionach Xa-netii. Rozejrzała się. - Widzę, że Cyrgai nie odkryli jeszcze ognia. Ciemniej tu niż wewnątrz starego buciora. Gdzie dokładnie jesteśmy?

- W zewnętrznym mieście, o boska - rzekł cicho Bevier. - Chyba można to nazwać dzielnicą handlową. Są tu zagrody niewolników i różne magazyny. Pilnują jej Cynesganie, i to niezbyt czujnie.

- Świetnie. Zejdźmy z ulicy.

Talen zaczął obmacywać ścianę jednego z przypominających stodołę magazynów, póki nie znalazł drzwi.

- Tutaj - szepnął.

- Zamknięte? - spytał Kalten.

- Już nie.

Dołączyli do niego i weszli do środka.

- Zechciałabyś, moja droga? - poprosiła Xanetię Aphrael. - Zupelnie nic nie widzę.

Sylwetka Xanetii zaczęła świecić łagodnym blaskiem, który rozjaśnił lekko pomieszczenie wokół nich.

- Co tu przechowują? - Kalten usiłował przeniknąć wzrokiem ciemność. - Może żywność? - dodał z nadzieją. - Te pomyje, którymi nas nakarmili, nie były zbyt pożywne.

- To raczej nie jest magazyn z żywnością - odparł Talen. - Pachnie nieco inaczej.

- Możecie go zwiedzić kiedy indziej - upomniała ich cierpko Aphrael. - Teraz mamy do załatwienia inne rzeczy.

- Jak idzie pozostałym? - spytał Sparhawk.

- Bergsten zajął Cynestrę - zameldowała - i ciągnie na południe z rycerzami kościoła. Ulath i Tynian zabrali trolle do Zhu-bay, gdzie pożarły połowę cynesgańskiej jazdy. Betuana i En-gessa maszerują na południowy zachód z Atanami, Vanion i Se-phrenia jadą przez pustynię, udając, że im towarzyszysz. Tikume i Kring pozwalają, by Cyrgai, jazda cynesgańska i przerośnięci żołnierze Klaela ganiłi ich po pustyni na zachód od Sarny, choć wątpię, żeby ci ostatni długo sprawiali nam kłopoty. Khalad wymyślił sposób ich wyeliminowania.

- Zupelnie sam? - W głosie Talena dźwięczało zdumienie.

- Klael przechytrzył. Znalazł jaskinie, w których mogą oddychać jego żołnierze. Ukrywają się i wychodzą, by znów nas zaatakować. Khalad wymyślił, jak podpalić owe jaskinie. Efekty są dość hałaśliwe.

- Cały mój brat - rzekł z dumą Talen.

- Owszem - odparła krytycznie bogini-dziecko. - Na każdym kroku wymyśla nowe koszmary. Stragen i Caalador zdołali przekonać swego Dacitę w Beresie, że przy południowym wybrzeżu krąży flota inwazyjna i... - Urwała. - Przecież i tak wszystko to już wiesz, Sparhawk. Czemu marnuję czas, opisując ci sytuację?

- A zatem wszystko idzie zgodnie z planem? - spytał. - Żadnych opóźnień? Żadnych niespodzianek?

- Nie dla nas. Cyrgon bawi się znacznie gorzej. Delphae niemal całkowicie rozpędzili armię Scarpy, toteż Matherionowi praktycznie nie grozi już niebezpieczeństwo. Poprosiłam o pomoc kilku członków mojej rodziny. Zmniejszając czas i odległości. Gdy tylko Ehlana będzie bezpieczna, przekażę im wiadomość i na progu Cyrgi staną całe armie.

- Zawiadomiłaś pozostałych o odkryciu Khalada? - spytał Talen.

- Mój kuzyn Setras się tym zajął. Setras bywa czasami nieco roztargniony, lecz powtórzyłam mu to kilkanaście razy. Mam nadzieję, że niczego nie popłacze. Wszyscy są już na miejscach i czekają na nasz sygnał, toteż bierzmy się do pracy. Czy ktokolwiek zdołał się tu rozejrzeć?

- Do pewnego stopnia miasto zbadalam, boska Aphrael -odparła Xanetia. - Anakha uznał, iż nierozsądnie by było, gdybym jak oni niewolnika udawała.

Bogini-dziecko podała Talenowi wielką kartkę sztywnego skrzypiącego pergaminu i ołówek.

- Masz - powiedziała. - Zarób na swoje utrzymanie.

- Skąd to wzięłaś? - zapytał ciekawie.

- Z kieszeni.

- Ty nie masz kieszeni, Fleciku. Obdarzyła go cierpiętniczym spojrzeniem.

- Ach - rzekł. - Z jakichś przyczyn wciąż o tym zapominam. W porządku, Anarae, ty opisz miasto, a ja je narysuję.

Powstały szkic był całkiem szczegółowy - choć tylko miejscami.

- Muru okalającego miasto wewnętrzne przeniknąć nie zdołałam - rzekła przepraszająco Xanetia. - Bramy stale zamknięte pozostają, Cyrgai z dala się bowiem trzymają od cynesgańskich swych wyrobników i niewolników pracą swą byt im zapewniających.

- Na razie to powinno wystarczyć. - Flecik ściągnęła usta, uważnie oglądając rysunek Talena. - W porządku, Bevierze, ty jesteś specjalistą od umocnień. Wskaż mi słaby punkt.

Cyrinita przez kilkanaście minut studiował rysunek.

- Widziałaś jakieś studnie, Anarae? - spytał.

- Nie, panie rycerzu.

- Tuż przed bramą mają jezioro, Bevierze - przypomniał mu Kalten.

- Nie na wiele zdałoby im się podczas oblężenia - odparł Bevier. - Wewnątrz murów musi być źródło - albo studnia, albo jakiś zbiornik. Jeśli obrońcom brakuje wody, oblężenie kończy się dość szybko.

- Czemu uważasz, że to miejsce wzniesiono tak, żeby mogło oprzeć się atakowi? - spytała Mirtai. - Podobno nikt nie potrafi go znaleźć.

- Mury są nieco zbyt wysokie i grube, by stanowić jedynie ozdobę, Atano. Cyrga to forteca, co oznacza, iż wzniesiono ją z myślą o oblężeniach. Cyrgai nie są zbyt inteligentni, ale nikt nie byłby dość głupi, by zbudować fort bez źródła wody. Oto moja propozycja, boska

Aphrael. Dowiedz się, skąd czerpią wodę - zarówno tu, w mieście zewnętrznym, jak i w środku. To może być ich słaby punkt. Jeśli nie, będziemy musieli przekopać się pod murem, albo spróbować się na niego wspiąć.

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie - mruknęła Aphrael. - Jesteśmy na terenie wroga i im dłużej się tu kręcimy, tym bardziej ryzykujemy, że ktoś nas odkryje. Jeśli to tylko możliwe, chciałabym, abyśmy uwolnili Ehlanę i Alean jeszcze dziś w nocy. Zawiadomię pozostałych, żeby ruszali. Dziś nikt się nie wyśpi, ale nie da się nic na to poradzić. W porządku, Xanetio, poszukajmy wody. Reszta niech zostanie tutaj. Wolałabym nie musieć szukać was po powrocie.

* * *

- Zwariowałaś, Gardasie? - spytał ostro Bergsten, zwracając się do ciężkozbrojnego rycerza alcjonity. Thalezyjski patriarcha z uporem odwracał wzrok, nie chcąc patrzeć na młodego, przystojnego mężczyznę stojącego obok rycerza. - Nie wolno mi nawet przyznać, że istnieje, a co dopiero siadać i rozmawiać z nim!

- Aphrael wspominała, że możesz mieć z tym problemy, Bergstenie - zauważył przybysz, którego Gardas odeskortował do namiotu patriarchy. - Czy pomogłoby ci, gdybym zrobił jakiś cud?

- Boże! - westchnął Bergsten. - Proszę, nie rób tego! Moja dusza i tak jest już zagrożona!

- Kiedy go odwiedziłem, Dolmant także miał pewne kłopoty z zaakceptowaniem mojej obecności - zauważył kuzyn Aphrael. - Wy, słudzy boga eleńskiego, życie dziwaczne uprzedzenia. Jego nie niepokoi nasza obecność, więc czemu miałyby denerwować was? W każdym razie do zakończenia obecnego kryzysu zwykle zasady zostały zawieszane. Pomagają nam nawet Edaemus i bóg Atanów - a oni nie odzywali się do nas od tysięcy lat. Aphrael chce, żebym uprzedził was o czymś, co dotyczy żołnierzy sprowadzonych przez Klaela. Ktoś imieniem Khalad wymyślił metodę ich zniszczenia.

- Opowiedz o tym Gardasowi - podsunął Bergsten. - On przekaze mi twoje słowa, a ja nie popadnę w tarapaty.

- Przykro mi, Bergstenie, lecz Aphrael nalegała, żebym rozmawiał bezpośrednio z tobą. Uważaj, że jestem snem czy czymś w tym stylu. - Oblicze Setrasa przybrało lekko zdumiony wyraz, a jego wielkie lśniące oczy zdradzały przerażający brak rozeznania. - Nie do końca to rozumiem - przyznał. - Aphrael jest znacznie mądrzejsza ode mnie, ale ponieważ się

kochamy, rzadko wypomina mi moją głupotę. Jest okropnie grzeczna. Traktuje uprzejmie nawet waszego boga, a on bywa strasznie męczący. O czym to ja mówiłem?

- Cóż - rzekł łagodnie pan Gardas - miałeś właśnie opowiedzieć jego świątobliwości o żołnierzach Klaela, boski Setrasie.

- Naprawdę? - Wielkie oczy zaszyły mgłą. - A tak, rzeczywiście. Nie możesz pozwalać mi na takie dywagacje, Gardasie. Wiesz, jak łatwo tracę wątek.

- Tak, boski Setrasie. Zdążyłem zauważyć.

- W każdym razie - ciągnął Setras - ten Khalad - z tego, co słyszałem, niezwykle bystry młodzieniec - zorientował się, iż wstrętne powietrze, którym oddychają żołnierze Klaela, przypomina coś, co nazywa gazem kopalnianym. Masz pojęcie, o co mu chodziło, Bergstenie? - Setras zawahał się. - Czy powinienem zwracać się do ciebie „wasza świątobliwość”, tak jak Gardas? Naprawdę jesteś taki świątobliwy? Wyglądasz zupełnie normalnie.

- To oficjalny tytuł, o boski - wyjaśnił Gardas.

- Ach, tak. Nie musimy traktować się oficjalnie, prawda, Bergstenie? Jesteśmy już prawie starymi przyjaciółmi.

Patriarcha Emsatu głośno przełknął ślinę, po czym westchnął.

- Tak, boski Setrasie - rzekł. - Chyba rzeczywiście jesteście. Proszę, opowiedz mi o strategii, którą opracował giermek Sparhawk.

- Oczywiście. A, jeszcze jedno. Do rana musimy dotrzeć do Cyrgi.

* * *

- Proszę, Atano Liatris - powiedziała cierpliwie baronowa Melidere do atańskiej żony cesarza Sarabiana. - My chcemy, żeby spróbowali zamachu.

- To zbyt niebezpieczne - upierała się Liatris. - Jeśli od razu zabiję Chacole i Torellię, pozostali uciekną i spisek się nie powiedzie.

- Tyle że nigdy się nie dowiemy, kto jeszcze w nim uczestniczył - wyjaśnił patriarcha Emban - i nie będziemy mieli pewności, że znów nie spróbują.

Księżniczka Danae siedziała z boku z Mmrr na kolanach. Przed oczami miała dziwnie rozdwojony świat. Jeden obraz nakładał się na drugi. Zdawało się, iż mroczne ulice Cyrgi leżą tuż za plecami ludzi rozmawiających tu, w salonie.

- Wzrusza mnie twoja troska, Liatris - mówił właśnie Sara-bian - ale nie jestem taki bezbronny, na jakiego wyglądam. - Machnął rapierem.

- Poza tym rozstawimy w pobliżu strażę - dodał minister spraw zagranicznych Oscagne. - Chacole i Torellia musiały zapewnić sobie pomoc kogoś z rządu - najpewniej niedobitków sprzed próby przewrotu.

- Zanim je zabiję, wyduszę z nich prawdę - oznajmiła Liatrix. Sarabian skrzywił się na słowo „wyduszę”.

- Jesteśmy już niemal u celu, boska Aphrael. - Głos Xanetii zdawał się dobiegać jednocześnie z bliska i z bardzo daleka. - Tuszę, iż zapach wody czuję. - Ciemna, wąska ulica, którą wędrowały, sto stóp dalej rozszerzała się, tworząc plac.

- Wyłapmy wszystkich, Liatrix - nalegała Elysoun. - Może zdołasz wydobyć z Chacole i Torelli jedno czy dwa imiona, ale jeśli schwytały zamachowców podczas próby zabójstwa, będziemy mogli oczyścić z nich cały pałac. W przeciwnym razie nasz mąż przez resztę życia będzie trzymał w ręku rapier.

- Stop! - szepnęła Xanetia w drugim mieście. - Szmer płynącej wody słyszę.

Danae skupiła się. Śledzenie obu miejsc naraz było bardzo wyczerpujące.

- Pozwól, że ujmę to w ten sposób, Liatrix - rzekł z niechęcią Sarabian. - Zabraniam ci zabić Chacole i Torellię. Zajmiemy się nimi potem, jak ich zabójcy spróbują mnie zabić.

- Jak każesz, mój mężu - odparła odruchowo Liatrix.

- Chcę natomiast, żebyś chroniła Elysoun i Gahenas - dodał. - W tej chwili Gahenas grozi zapewne największe niebezpieczeństwo. Elysoun wciąż jest użyteczna dla spiskowców, lecz Gahenas wie więcej, niż powinna. Z pewnością spróbują ją zabić, toteż jeszcze dziś wydostańmy ją z pałacu kobiet.

- To pod ulicą, o boska - powiedziała Xanetia. - Zdaje się, iż pod stopami naszymi struga wody przepływa.

- Istotnie - odparła bogini-dziecko. - Podążmy za dźwiękiem aż do jego źródła. Musi istnieć jakiś sposób dostania się do tej wody w zewnętrznym mieście.

- Jak się w to wmieszałaś, Elysoun? - pytała tymczasem Liatrix.

Elysoun wzruszyła ramionami.

- Mam więcej swobody ruchów niż reszta z was - odrzekła. - Chacole potrzebowała kogoś zaufanego do wnoszenia wiadomości z pałacu kobiet. Udałam, że podoba mi się jej plan. Nietrudno było oszukać Chacole. Ostatecznie to Cynesganka.

- Tutaj, o boska - szepnęła Xanetia, kładąc dłoń na wielkim żelaznym włązie, osadzonym wśród brukowych kamieni. - Przez żelazo samo prąd wody wyczuć łąco można.

- Wierzę ci na słowo, Anarae. - Aphrael wzdrygnęła się na samą myśl o dotknięciu żelaza. - Jak go otworzyć?

- Pierścienie te sugerują, iż właz dźwignąć można.

- Wracajmy i sprowadźmy pozostałych. Zdaje się, że znalazłyśmy słaby punkt, którego szukał Bevier.

Danae ziewnęła. Najwyraźniej wszystko szło jak należy, toteż skuliła się na krześle, tuląc Mmrr w ramionach, i natychmiast zasnęła.

* * *

- Czy nie mogłabyś po prostu - no...? - Talen pomachał palcami.

- To żelazo, Talenie - odparła Flecik z przesadną cierpliwością.

- I co z tego? Zadrzała.

- Nie mogę znieść dotknięcia żelaza. Bevier przyglądał jej się uważnie.

- Bhelliom cierpi na tę samą awersję - zauważył.

- Owszem. No i co?

- To sugerowałoby pewne pokrewieństwo.

- Oszałamia mnie twoja zdolność dostrzegania rzeczy oczywistych, Bevierze.

- Zachowuj się - upomniał ja Sparhawk.

- Co jest takiego nieprzyjemnego w żelazie? - dopytywał się Talen. - Zimny, twardy metal, z którego można wykuwać różne rzeczy i który rdzewieje.

- Cóż za zwięzły naukowy opis! Wiesz, co to jest magnes?

- Kawałek żelaznej rudy, która przywiera do innych rud żelaza. Pamiętam, jak Platime wspominał kiedyś o czymś, co nazywał magnetyzmem.

- I słuchałeś go? Zdumiewające.

- To dlatego Bhelliom musiał wcielić się w szafir! - wykrzyknął Bevier. - Chodzi o magnetyzm żelaza, prawda? Bhelliom nie znosi go, i ty także!

- Proszę, Bevierze - rzekła słabo Aphrael. - Sama myśl o tym sprawia, że przechodzą mnie dreszcze. W tej chwili nie chcemy mówić o żelazie. Interesuje nas woda. Pod ulicami zewnętrznego miasta płynie strumień albo rzeka. Najwyraźniej spływa w stronę wewnętrznego muru. Niedaleko, pośrodku ulicy, znalazłyśmy duży żelazny właz. Słychać pod nim bieżącą wodę. Myślę, że to jest ów słaby punkt, którego szukałeś. Woda płynie tunelem, tunel zaś przechodzi pod murem wewnętrznej fortecy - przynajmniej taką mam nadzieję. Dowiem się, gdy tylko podniesiecie ów właz, panowie.

- Widziałyście na ulicach jakiegokolwiek patrolu? - spytał Kalten.

- Nie, panie rycerzu - odparła Xanetia. - Stulecia nawyków czujność Cynesgan za

obronę zewnętrznego miasta odpowiedzialnych stępiły.

- Senne marzenie złodzieja - mruknął Talen. - Mógłbym wzbogacić się w tym mieście.

- A co byś ukradł? - zainteresowała się Aphrael. - Cyrgai nie wierzą w złoto ani srebro.

- To z czego robią pieniądze?

- Z niczego. Nie potrzebują pieniędzy. Cynesganie dostarczają im wszystkiego, co konieczne, toteż nawet nie myślą o pieniądzach.

- To potworne!

- O gospodarce możemy dyskutować innym razem. W tej chwili chcę zbadać ich zaopatrzenie w wodę.

* * *

- Ty idioto! - rzuciła gniewnie królowa Betuana, zwracając się do swego generała.

- Musieliśmy to sprawdzić, Betuano królowo - wyjaśnił Engessa - a nie posłę żołnierzy w miejsce, w które sam bym nie poszedł.

- Jestem z ciebie bardzo niezadowolona, Engesso Atanie. -Betuana porzuciła ochronną otoczkę rytualnej żałoby. - Czy ostatnie spotkanie z bestiami Klaela niczego cię nie nauczyło? Mogły kryć się tuż przy wejściu do jaskini i znów sam musiałbyś stawić im czoło!

- Rozsądek podpowiada, iż to raczej niemożliwe - odparł sztywno. - Posłaniec Aphrael powiadomił nas, że bestie Klaela chronią się w jaskiniach, by móc oddychać innym powietrzem. Powietrze przy wejściu nie różniłoby się od tego na zewnątrz. Nie ma to jednak znaczenia. To już przeszłość i nic złego się nie stało.

Z wyraźnym wysiłkiem zdusiła gniew.

- I cóż udowodniłeś swym niemądrym wybrykiem, Engesso Atanie?

- Bestie Klaela zamknęły jaskinię, Betuano królowo - odparł. - Sto kroków od wejścia wznosi się stalowy mur. Rozsądek nakazuje przypuszczać, iż da się go otworzyć. Bestie Klaela cofają się za tę barierę, zamykają ją za sobą i jakiś czas mogą swobodnie oddychać. Następnie wylaniają się stamtąd i ruszają do ataku.

- Czy informacja ta była warta ryzyka?

- To się dopiero okaże, moja królowo. Taktyka opracowana przez Kringa domiego pozwala nam trzymać się poza zasięgiem bestii Klaela, lecz nie podoba mi się to stałe uciekanie.

Spojrzenie Betuany stwardniało.

- Mnie także - przyznała. - Za każdym razem, gdy uciekam, przynoszę hańbę pamięci mojego męża.

- Wedle słów kuzyna Aphrael Khalad giermek odkrył, że powietrze, którym oddychają bestie Klaela, płonie po zmieszaniu z naszym powietrzem.

- Nie widziałam jeszcze, by powietrze się paliło.

- Ja także. Jeżeli pułapka, którą zastawiłem na bestie Klaela, zadziała, być może oboje to obejrzymy.

- Jaka pułapka, Engesso Atanie?

- Latarnia, moja królowo - dobrze ukryta.

- Latarnia? To wszystko?

- Jeśli Khalad giermek miał rację, powinna wystarczyć. Zamknąłem latarnię tak, by bestie Klaela nie dostrzegły światła, gdy otworzą stalowe drzwi. Wówczas ich powietrze złączy się z naszym i mieszanka dotrze do świecy, płonącej wewnątrz ukrytej latarni. Wtedy odkryjemy, czy Khalad giermek miał rację.

- Musimy zatem poczekać, aż otworzą drzwi. Nie pozostawię ich za moimi plecami. Najpierw muszę się upewnić, że owo spalenie powietrza ich zabije. Jak mawia Ulath rycerz, jedynie głupiec zostawia za sobą żywych nieprzyjaciół.

Ukryli się za niewielką skałą i czekali, uważnie obserwując ledwie widoczny w świetle gwiazd wylot jaskini.

- Może minąć nieco czasu, nim znów otworzą drzwi, moja królowo - zauważył Engessa.

- Engesso Atanie - powiedziała stanowczo Betuana - od dawna uważam, iż powinienesz zrezygnować z oficjalnego tonu. Jesteśmy żołnierzami i towarzyszymi broni. Proszę, zwracaj się do mnie jak do przyjaciela.

- Jak sobie życzysz, Betuano Atano.

Czekali cierpliwie, obserwując spory górski szczyt i ziejący w nim czarny otwór jaskini. Nagle oszałamiający huk podziemnego gromu rozdarł ciszę, wstrząsając ziemią, i z jaskini wytrysnął wielki jęzor ognia, opalając kilka najbliższych Ciernistych krzewów. Płomienie tryskały z jaskini długą chwilę; w końcu powoli przygasły.

Engessa i jego królowa, wstrząśnięci gwałtownym wybuchem, patrzyli w milczeniu. W końcu Betuana dzwignęła się z ziemi.

- Teraz widziałam płonące powietrze - zauważyła spokojnie. - Warto było czekać. - To rzekłszy, uśmiechnęła się do oszołomionego towarzysza. - Dobrze zastawiasz pułapki, Engesso Atanie, ale teraz musimy się spieszyć, by dołączyć do trolli. Ulath rycerz mówił, że

do rana mamy znaleźć się w Cyrdze.

- Jak każesz, Betuano Atano - odparł.

* * *

- Kiedy powiem „już”, podnoście wszyscy razem - polecił Sparhawk, ujmując w dłonie pierścienie - i uważajcie, by nie zabręczał przy odkładaniu. W porządku. Już!

Kalten, Bevier, Mirtai i Sparhawk podnieśli się wolno, napinając mięśnie, aby dźwignąć zardzewiały żelazny wąż, od wieków tkwiący w bruku.

- Uważaj - uprzedził Mirtai Talen. - Nie wpadnij do środka.

- Może chciałbyś mnie zastąpić? - spytała. Cała czwórka poruszyła się lekko i przesunęła swe brzemię nieco na bok, częściowo odsłaniając wielki prostokątny otwór.

- Połóżcie go - rzucił Sparhawk przez zaciśnięte zęby.j*

Delikatnie! - dodał. j»j Wolno opuścili wąż na kamienie.

- Łatwiej byłoby podnieść dom - wydyszał Kalten.

- Odwróćcie się - rozkazała Flecik.

- Musisz to robić? - spytał Talen. - Czy to jak latanie?

- Po prostu się odwróć, Talenie.

- Nie zapomnij o ubraniu - rzucił Sparhawk.

- Tylko by mi przeszkadzało. Jeśli ci się nie podoba, nie patrz. - Jej głos zdążył już nabrać głębi.

Bevier mocno zaciskał powieki, jego usta poruszały się. Najwyraźniej się modlił - z wielkim zapalem.

- Zaraz wrócę - obiecała bogini. - Nie odchodźcie. Zdawało im się, że czekają całymi godzinami. W końcu usłyszeli cichy plusk w dole. Towarzyszył mu stłumiony śmiech. Kalten ukląkł na skraju prostokątnego szybu.

- Wszystko w porządku? - wyszeptał.

- Tak.

- Co cię tak rozśmieszyło?

- Cyrgai. Nie uwierzyłybyś, jacy są głupi.

- Co znów zrobili?

- Woda wypływa z wielkiej artezyjskiej studni tuż przy zewnętrznym murze. Cyrgai zbudowali wokół niej duży zbiornik. Następnie wykuli tunel pod wewnętrznym murem. Woda spływa nim do wielkiego basenu pod górą, na której wzniesli główne miasto.

- Co w tym takiego głupiego?

- Nic - na razie. Wyraźnie zrozumieli to samo, co Bevier: zaopatrzenie w wodę stanowi ich słaby punkt, toteż starannie przegrodzili wylot tunelu kamienną kratą. Nikt nie może dostać się do niego ze zbiornika.

- Wciąż nie widzę w tym nic śmiesznego.

- Właśnie do tego zmierzam. Ten szyb, prowadzący w głąb tunelu, został dodany później - zapewne po to, by mogli dostać się do tunelu i go oczyścić.

- Całkiem niezły pomysł. Ostatecznie to ma być woda pitna.

- Owszem. Ale kiedy wykopali szyb, o czymś zapomnieli. Wylot tunelu, ten wewnątrz drugiego muru, pozostał zupełnie otwarty. Nie ma krat, włazów, łańcuchów, niczego.

- Nie mówisz poważnie?

- Niechbych mi jinzyk odpadł i zgniel!

- To będzie łatwiejsze, niż przypuszczałem - mruknął Kalten.

Nachylił się i zerknął w ciemność. - Czy prąd jest bardzo szybki? - zawołał cicho.

- Dostatecznie - odparła Aphrael. - Ale nic nie szkodzi. Doprowadzi was wprost do celu, toteż nie będziecie musieli zbyt długo wstrzymać oddechu.

- Nie będziemy musieli czego? - wykrztusił.

- Wstrzymać oddechu. Musicie płynąć pod wodą.

- Nie ja - rzekł stanowczo.

- Umiesz chyba pływać?

- Jeśli trzeba, nawet w pełnej zbroi.

- Więc o co chodzi?

- Nie pływam pod wodą. Natychmiast wpadam w panikę.

- On ma rację, Aphrael - zawołał cicho Sparhawk. - Gdy tylko jego głowa zanurza się pod wodę, Kalten zaczyna krzyczeć.

- Ale przecież nie może. Utonie.

- Właśnie. Kilka razy musiałem stawać mu na piersi, by wycisnąć z niego wodę. Kiedy byliśmy chłopcami, wciąż mu się to zdarzało.

- Jejku! - westchnęła. - Tego się nie spodziewałam.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Księżyc był niemal w pełni; nie wzeszedł jeszcze, lecz jego nadejście zwiastowała jasna luna na horyzoncie, blada imitacja świtu. Wznosił się powoli, jaśniejąc nad lśniąco białymi Solnymi Równinami.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Berit, rozglądając się wokół z przerażeniem. To, co w słabym świetle gwiazd zdawało się okrągłymi białymi kamieniami, okazało się nagimi czaszkami, leżącymi pośród stosów kości i patrzącymi z niemym wyrzutem w niebo.

- Wygląda na to, że trafiliśmy w dobre miejsce - zauważył Khalad. - List, który zostawił nam Sparhawk, wspominał o Równinie Kości.

- Ciągnie się bez końca! - wykrztusił Berit, patrząc na zachód.

- Miejmy nadzieję, że nie. Musimy ją przebyć. - Khalad zatrzymał się, patrząc uważnie na zachód. - O, jest - rzekł, wskazując lśniący punkcik odbitego światła pośrodku niskiego pasma ciemnych wzgórz poza upiorną równiną.

- Co?

- Nasz drogowskaz. Sparhawk nazwał go Kolumnami Cyr-gona. Coś tam odbija promienie księżyca. Mamy jechać w jego stronę.

- Kto to? - syknął Berit, wskazując zbliżającą się ku nim postać, wędrującą po zasłanej kośćmi pustyni. Khalad wysunął lekko miecz z pochwy.

- Może kolejna notka od Kragera - mruknął. - Zaczniemy zachowywać większą ostrożność, mój panie. Chyba zbliżamy się do miejsca, w którym nie będziemy już dłużej potrzebni.

Nieznajomy szedł swobodnym, lekkim krokiem. Kiedy się zbliżył, dostrzegli jego rysy.

- Uważaj, Khaladzie! - syknął ostro Berit. - To nie człowiek! Khalad także to poczuł. Nic określonego, jedynie przejmujące wrażenie obecności, aurę, której nie miał żaden człowiek. Na oko przybysz był niezwykle przystojnym młodzieńcem. Miał mocno skręcone włosy, klasyczne rysy i ogromne, niemal przejrzyste oczy.

- A, jesteście panowie - rzekł uprzejmie w bezbłędnym eleńskim. - Wszędzie was szukam. - Rozejrzył się. - To naprawdę paskudne miejsce, zgodzicie się? Wymarzona siedziba dla Cyr-gaich. Cyrgon jest strasznie skrzywiony. Uwielbia brzydotę. Spotkaliście go kiedyś? Koszmarny gość. Żadnego wyczucia piękna. - Uśmiechnął się promiennym, lekko roztargnionym uśmiechem. - Przysłała mnie moja kuzynka, Aphrael. Przyszła-by sama, ale jest w tej chwili zajęta - choć, z drugiej strony, Aphrael zawsze jest zajęta, prawda? Nie

potrafi ani chwili usiedzieć spokojnie. - Zmarszczył brwi. - Chciała, żebym coś wam powtórzył. - Zmarszczki na jego czole się pogłębiły. - O co chodziło? Ostatnio mam kiepską pamięć. - Uniósł rękę. - Nie -rzekł - nie mówcie mi. Za chwilę sobie przypomnę. Ale to bardzo ważne i mamy się spieszyć. Pewnie przypomnę sobie po drodze. - Rozejrzał się. - Wiedzie może przypadkiem, w którą stronę mamy pójść?

* * *

- To się nie uda, Aphrael - powiedział z rezygnacją Kaltan. -Próbowałem już nurkować po pijanemu. Nic z tego. Kiedy czuję, jak woda zamyka mi się nad głową, dostaję szału.

- Po prostu spróbuj, Kaltanie - nalegała oszczędnie ubrana bogini. - To cię odpręży. - Wetknęła mu w dłoń kubek. Powąchał podejrzliwie.

- Pachnie nieźle. Co to?

- Pijamy to na przyjęciach.

- Piwo bogów? - Jego oczy rozblęły. - No, no. - Pociągnął ostrożnie łyżeczek. - No, no! - wykrzyknął z entuzjazmem. - Tak właśnie powinno smakować.

- Wypij wszystko - poleciała, obserwując go z napięciem.

- Chętnie. - Opróżnił kubek i otarł usta. - Naprawdę świetne. Gdybym miał przepis, mógłbym... - Urwał. Jego oczy wywróciły się.

- Połóżcie go - rozkazała Aphrael. - Szybko, zanim zeszywnieje. Nie chcę, żeby skręcił się w precel. W końcu mam ciągnąć go tym tunelem.

Talen, zgięty w pół, przyciskał do ust obie dłonie, aby stłumić śmiech

- O co ci chodzi? - rzuciła cierpko bogini.

- O nic - wykrztusił. - Zupełnie o nic.

- Czeka mnie z nim jeszcze dużo pracy - mruknęła do Sparhawka Aphrael.

- Czy to się uda? - spytał Sparhawk. - Chodzi o Kaltana. Naprawdę zdołasz przeciągnąć pod wodą nieprzytomnego człowieka, nie topiąc go przy tym?

- Zatrzymam jego oddech. - Rozejrzała się po pozostałych. -Nie chcę, żeby którekolwiek z was próbowało mi pomóc -ostrzegła. - Skupcie się na tym, by bezpiecznie dotrzeć na drugą stronę. Ja nie muszę oddychać, ale wy - owszem. I nie chcę spędzić następnej godziny, wyławiając was po kolei ze zbiornika. Czy ktoś jeszcze ma jakieś problemy, o których mi nie wspomniał? Nadeszła pora, żeby się z nich zwierzyć - zanim znajdziemy się pod wodą. - Spojrzała znacząco na Beviera. - Chciałbyś mi coś powiedzieć,

panie rycerzu? Wyglądasz, jakbyś przeżywał kryzys.

- To nic, o boska - wymamrotał. - Nic mi nie będzie. Pływam jak ryba. - Z rozmysłem starał się na nią nie patrzeć.

- Co się zatem gnębi?

- Wolałbym nie mówić. Westchnęła.

- Mężczyźni. - Następnie zeszła w głąb szybu prowadzącego ku niewidocznej strudze, pędzącej w stronę wewnętrznego muru. - Znieście Kaltena - poleciła. - I ruszajmy.

* * *

- Naprawdę chciałabym coś z tym zrobić - mruknęła Se-phrenia do Vaniona. Oboje spoglądali ze szczytu zwirowego pagórka na obozowisko handlarzy niewolników.

- Ja także, ukochana - odparł Vanion. - Ale lepiej odłóżmy to na później. Jeśli wszystko pójdzie tak jak powinno, kiedy dotrą do Cyrgi, będziemy już na nich czekać. - Uniósł się lekko. - Mam wrażenie, że tuż za szlakiem, którym zdążają, widać Solne Równiny.

- Upewnimy się, kiedy wzejdzie księżyc - odparła.

- Masz jakieś wieści od Aphrael?

- Nic, co mogłabym zrozumieć. Kiedy jest w dwóch miejscach naraz, echo bardzo utrudnia komunikację. Wygląda na to, że w Matherionie sytuacja staje się napięta, a Aphrael i Sparhawk płyną.

- Płyną? To jest pustynia, Sephrenio.

- Owszem, zauważyłam. Znaleźli jednak jakąś wodę. - Urwała. - Czy Kalten umie pływać?

- Okropnie chłapie, ale potrafi utrzymać się na powierzchni, choć nie wygląda przy tym zbyt wdzięcznie. Czemu pytasz?

- Ma z nim jakieś problemy i dotyczy to pływania. Dołączmy do pozostałych, kochany. Sam widok tych handlarzy sprawia, że krew wrze mi w żyłach.

Zsunęli się po zwirowym zboczach i podążając brzegiem płytkiego jaru, ruszyli w stronę zbrojnego oddziału.

Rycerz cyrinita, pan Launesse, stał nieśmiało u boku osobistości o misternie skręconych włosach, krzaczastych brwiach, rozłożystych ramionach i arystokratycznych rysach.

- Sephrenio! - zagrzemiał przybysz, który z pewnością nie był człowiekiem, głosem słyszalnym przypuszczalnie aż w Thale-sii. - Bądź pozdrowiona!

- Bądź pozdrowiony, boski Romalicu - odparła, niemal niedostrzegalnie wzdychając z rezygnacją.

- Moja droga - mruknął Vanion - poproś, by niżył głos.

- Nikt inny go nie słyszy - zapewniła. - Bogowie przemawiają głośno, lecz tylko do niektórych uszu.

- Siostra twa prosi, bym cię pozdrowił - oznajmił Romalic głosem gromu.

- Uprzejmyś wielce, pozdrowienia owe przekazując, o boski.

- Odlóży na bok konwenanse, Sephrenio - rzekł potężny bóg, przeczesując brodę ogromnymi palcami. - Azaliś gotowa służyć nam wszystkim i miejsce swe właściwe zająć?

- Niegodna go jestem, o boski - odparła skromnie. - Z pewnością wielu znajdziecie mądrzejszych i stosowniejszych kandydatów.

- O co tu chodzi? - spytał Vanion.

- To się ciągnie od bardzo dawna, mój drogi - wyjaśniła. -r Od stuleci unikam tego tematu, ale Romalic zawsze go porusza, i Nagle w umyśle Vaniona wszystkie kawałki układanki złożyły j się w jedną całość.

- Sephrenio! - wykrztusił. - Chcą, żebyś została arcykapłan-i ką, prawda?

- Chodzi im o Aphrael, Vanionie, nie o mnie. Uważają, że proponując mi to stanowisko, zdołają ją ujarzmić. Wcale go nie chcę, a oni nie chcą mi go dać, ale boją się Aphrael i w ten sposób pragną ją ugłaskać.

- Aphrael pośpiech nam nakazuje - oznajmił Romalic. -O świcie u wrót Cyrgi stanąć musicie, noc bowiem decyzji nastąpi, gdy walczyć nam przyjdzie, i mam nadzieję pokonać Cyr-gona, a nawet Klaela samego. Już teraz Anakha niczym duch po ulicach Ukrytego Miasta krąży, do celu swego zmierzając. Spieszmy zatem. - Wzniósł głos i zagrzemiał: - Do Cyrgi!

- Czy on zawsze jest taki? - mruknął Vanion.

- Romalic? - upewniła się Sephrenia. - O tak. Znakomicie nadaje się na opiekuna cyrinitów. Chodź, mój drogi. Ruszajmy do Cyrgi.

* * *

W dali nad ich głowami połyskiwały słabe światełka, lecz w zbiorniku panowała nieprzenikniona ciemność. Sparhawk wypłynął na powierzchnię i gwałtownie wypuścił wstrzymywane powietrze.

- Kaltienie! - usłyszał głos Aphrael. - Obudź się. Odpowiedział je zdumiony okrzyk i głośny plusk.

- Och, przestań - upomniała przyjaciela Sparhawk bogini. -Już po wszystkim. Nic ci się nie stało. Xanetio, moja droga, zechciałabyś nam poświęcić?

- Oczywiście, o boska - odparła Anarae i jej twarz załśniła w mroku.

- Jesteśmy tu wszyscy? - Aphrael rozejrzała się wokół. Gdy blask Xanetii rozjaśnił nieco ciemność, Sparhawk ujrzał, że bogini wydaje się stać w głębokiej do pasa wodzie. Jedną dłonią podtrzymała Kaltena, unosząc go za tył tuniki.

- Mógłbyś mi pomóc, Sparhawk? - rzucił Bevier.

- Jasne. - Sparhawk podpłynął do cyrinity. Razem pociągnęli cienką linę, którą Bevier rozwijał za sobą, płynąc tunelem. Na drugim końcu uwiązali ciasno zwinięte kolczugi i miecze.

- Chwileczkę - rzekł Bevier, gdy lina napięła się nagle. -O coś się zahaczyła. - Kilka razy odetchnął głęboko, zanurkował i popłynął w głąb tunelu.

Sparhawk czekał, nieświadomie wstrzymując oddech. Nagle lina zwiotczała i wybrał ją szybko. Bevier wypłynął na powierzchnię, wypuszczając powietrze.

- Czy na pewno nie jesteś w połowie rybą? - spytał Sparhawk.

- Zawsze miałem dobre płuca - wyjaśnił Bevier. - Myślisz, że powinniśmy wyciągnąć miecze?

- Zobaczmy, co powie Aphrael - uznał Sparhawk, rozglądając się wokół. - Na razie nie widzę, jak mielibyśmy wyjść z tej wody. ,-(«... ,w ,<*i<j.H a

- I co teraz? - pytał boginię Talen. - Pływamy na dnie studni. - Powiódł wzrokiem po gładkich ścianach szybu, wznoszących się ku górze. - Są tam otwory, ale nie ma sposobu, by się do nich dostać.

- Masz go, Mirtai? - spytała Aphrael. Olbrzymka przytaknęła.

- Przepraszam na chwilę - rzekła i zanurzywszy się, zaczęła ściągać tunikę.

- Co ona robi? — Talen usiłował przeniknąć wzrokiem czystą wodę.

- Rozbiera się - odparła Aphrael - i nie potrzebuje twojej pomocy. Odwróć się.

- Ty cały czas biegasz goła - zaprotestował. - Czemu nagle nie chcesz, żebyśmy patrzyli na Mirtai?

- To zupełnie co innego - odparła wyniosłym tonem. - A teraz rób, co każe.

Talen z pluskiem okręcił się w wodzie.

- Nigdy tego nie zrozumieć - poskarżył się.

- Zrozumiesz, Talenie - zapewniła go tajemniczo. - Ale jeszcze nie teraz. Za kilka lat sama ci to wyjaśnię.

Mirtai wynurzyła się, trzymając w dłoni zwój liny, którą przewiesiła przez ramię pod

tuniką.

- Muszę na czymś stanąć, Aphrael - rzekła, unosząc przyczepiony do liny hak. - Inaczej nie zdołam nim rzucić.

- W porządku, panowie - rzuciła surowo Aphrael. - Nie patrzcie.

Sparhawk uśmiechnął się w ciemności. Talen miał rację.

Aphrael zdawała się niemal nieświadoma własnej nagości, lecz Mirtai to nie dotyczyło. Usłyszał szmer wody, ściekającej ze smukłych kończyn złocistoskórej olbrzymki, która uniosła się, stając, jak mu się zdawało, na samej powierzchni zbiornika.

Jego uszu dobiegł świst przecinającego powietrze haka. Zapadła pełna wyczekiwania cisza. Potem wysoko w górze rozległ się brzęk stali uderzającej o kamień, a po nim zgrzyt wbijających się w mur ostrzy.

- Dobry rzut - zauważyła Aphrael.

- Miałam szczęście - odparł Mirtai. - Zazwyczaj potrzeba dwóch, trzech zamachów.

Sparhawk poczuł na ramieniu czyjeś dotknięcie.

- Proszę. - Mirtai podała mu linę. - Przytrzymaj ją, a ja się ubiorę. Wejdziemy na górę i poszukamy twojej żony.

* * *

- Co ty, u licha, wyprawiasz, Bergstanie? Patriarcha Emsatu wzdrygnął się gwałtownie i odwrócił głowę, patrząc na boga, który właśnie pojawił się za jego plecami.

- Miałeś przecież się spieszyć - upomniał go Setras. - Aphrael chce, żeby do rana wszyscy zajęli pozycje.

- Natknęliśmy się na żołnierzy Kładą, o boski - zagrział pan Heldin. - Są wewnątrz jaskini. - Wskazał ledwo widoczny otwór w zboczu wzgórza po drugiej stronie płytkiej kotliny.

- Czemu nie rozprawiliście się z nimi? Mówiłem wam, jak to zrobić.

- Umieściliśmy w środku latarnię, ale wewnątrz jaskini są drzwi, Setrasie boże - wyjaśniła Atana Maris.

- Zatem je otwórz, droga pani - rzekł Setras. - Naprawdę musimy dotrzeć do Cyrgi przed świtem. Jeśli się spóźnimy, Aphrael będzie na mnie wściekła.

- Chętnie byśmy je otworzyli, gdybyśmy wiedzieli jak, o boski - powiedział Bergsten. - W każdym razie nie zamierzam stąd odjechać, pozostawiając za sobą te potwory. Jeśli to rozłości Aphrael, trudno. - Z jakichś przyczyn przystojny niemądry bóg okropnie grał mu na

nerwach.

- Czy wszystko muszę robić sam? - westchnął Setras. -Zaczekajcie tutaj. Zaraz to załatwię i będziemy mogli ruszać. Jesteśmy już okropnie spóźnieni. Musimy się spieszyć, jeśli chcemy dotrzeć na czas. - Przeszedł przez skalistą dolinkę i wma-szerował do jaskini.

- Ten młodzieniec doprowadza mnie do szału - mamrotał Bergsten. - Próbować mu coś wyjaśnić to jak przemawiać do ściany. Jak może być tak... - Bergsten urwał, z trudem wstrzymując się przed obrażeniem boga.

- Wraca - oznajmiła Atana Maris.

- Tak też sądziłem - rzekł z satysfakcją Bergsten. -Najwyraźniej nie poszczęściło mu się bardziej niż nam.

Setras wędrował ku nim, nucąc styrycką melodię, gdy nagle całe wzgórze zniknęło w wielkiej ognistej eksplozji, która wstrząsnęła ziemią. Rozszerzająca się z potwornym rykiem kula ognia cisnęła Bergstena i pozostałych na ziemię, ogarniając kuzyna Aphrael.

- Dobry Boże! - wykrztusił Bergsten, wpatrując się w rozszalałe płomienie.

A potem Setras, niewzruszony, wynurzył się z ognistego piekła.

- No proszę - rzekł łagodnie. - To nie było wcale takie trudne, prawda?

- Jak zdołałeś otworzyć te drzwi, boski? - spytał ciekawie Heldin.

- Ja tego nie zrobiłem, mój stary. - Setras uśmiechnął się. -Prawdę mówiąc, oni je otworzyli.

- Ale czemu?

- Zapukałem, drogi chłopcze. Zapukałem. Nawet takie potwory mają odrobinę dobrych manier. Możemy już ruszać?

* * *

- Inni Cyrgai niezmiernie się ich lękają - zameldowała Xa-netia - i wszyscy z drogi im schodzą.

- To mogłoby być użyteczne, gdyby nie różnice w wyglądzie - zauważył Bevier.

- Różnice podobne niepokonanej przeszkody nie stanowią, panie rycerzu - zapewniła go Xanetia. - Gdyby konieczność takowa zaistniała, rysy twe i twych kompanów raz jeszcze odmienić można. Boska Aphrael z pewnością miejsce swej siostry zająć zechce, abyśmy złączyć kryjące was zaklęcia zdołały.

- Pomówimy o tym za chwilę - ucięła Flecik. - Najpierw jednak powinniśmy zorientować się w układzie tej części miasta. - Bogini przyjęła z powrotem znajomą postać i

Bevier wyraźnie odetchnął z ulgą.

- Myślę, iż góra ta naturalnym tworem nie jest, o boska -rzekła Xanetia. - Zbocza jej jednak są strome, a wiodące na szczyt drogi bardziej schody przypominają. W regularnych odstępach przecinają je krągłe ulice.

- Cóż za brak wyobraźni! - zauważyła Mirtai. - Czy wielu z nich kręci się po okolicy?

- Nie, Atano. Późno już i większość dawno na spoczynek się udała.

- Moglibyśmy zaryzykować - zastanawiał się głośno Kalten. - Jeśli Flecik i Xanetia zdołają upodobnić nas do Cyrgaich, moglibyśmy po prostu wmaszerować do zamku.

- Nie w tych strojach - odezwał się Sparhawk.

Talen wynurzył się z cieni i skręcił w korytarz wiodący do głównego szybu studni. Pod wieloma względami zręczny młody złodziej potrafił być niemal równie niewidzialny jak Xanetia.

- Nadchodzą kolejni żołnierze - szepnął.

- Te patrole mogą okazać się kłopotliwe - mruknął Kalten.

- Ci nie przypominają innych - rzekł Talen. - Nie patrolują bocznych ulic. Po prostu wspinają się po schodach na szczyt miasta. Mają też zupełnie inne zbroje.

- Opisz ich, miody panie - poprosiła z napięciem Xanetia.

- Po pierwsze, noszą płaszcze - odparł Talen - a na napierśnikach zauważyłem jakiś emblemat. Ich hełmy także różnią się od pozostałych.

- Tedy to straż świątynna - oznajmiła Xanetia. - Ci, o których wcześniej wspominałam. Z myśli kilku przechodniów napotkanych wiem, że inni Cyrgai unikają ich, jak mogą, i kłaniać się im muszą.

Sparhawk i Bevier wymienili znaczące spojrzenia.

- Oto ubrania, których potrzebujesz, Sparhawk - rzekł Bevier.

- Ilu ich jest? - spytał Talena Sparhawk.

- Naliczyłem dziesięciu.

Sparhawk namyślał się przez moment.

- Zróbmy to - rzekł. - Ale starajmy się ograniczyć hałas. -To rzekłszy, wyprowadził ich z korytarza na ulicę.

* * *

- Wielkie nieba, Ulacie! - wykrzyknął Itagne. - Nie rób tego! O mało nie dostałem ataku serca!

- Przepraszam, Itagne - usprawiedliwił się rosły Thalezyjczyk. - Nie istnieje delikatny sposób wychodzenia z bezczasu. Porozmawiajmy z Betuaną i Engesą.

Zawrócili konie i dołączyli do królowej i jej generała.

- Pan Ulath przyniósł właśnie najnowsze wieści, wasza wysokość - rzekł uprzejmie Itagne.

- Rozumiem - odparła królowa. - Dobre czy złe wieści, Ułacie rycerzu?

- I takie, i takie, wasza wysokość. Trolle są kilka mil na wschód stąd.

- A dobra wiadomość? Uśmiechnął się lekko.

- To jest dobra wiadomość. Zła brzmi, iż na południu kolejny duży oddział żołnierzy Klaela zastawił pułapkę. Prawdopodobnie uderzą w ciągu godziny. Stoją nam na drodze, a my musimy się spieszyć. Sparhawk i pozostali zamierzają dziś w nocy uwolnić Ehlanę i jej służącą, toteż do rana musimy dotrzeć do miasta.

- Przyjdzie nam zatem walczyć z bestiami Kisła - podsumowała.

- To może być kłopotliwe - mruknął Itagne.

- Wymyśliliśmy z Tynianem pewne rozwiązanie - ciągnął Ulath - ale nie chcieliśmy cię urazić, więc uznałem, że najpierw omówię to z tobą. Oddziały Klaela przygotowują zasadzkę. Wiem, że wolałabyś załatwić to sama, ale ponieważ zależy nam na szybkości, zechciałabyś zrezygnować z tej rozrywki?

- Chętnie cię wysłucham, Ułacie rycerzu.

- Oczywiście moglibyśmy wyminąć tę pułapkę, lecz Klael prawdopodobnie potrafi robić z czasem i odległością to samo, co Aphrael i jej kuzyni, a chyba nie chcemy, by te potwory deptały nam po piętach.

- Co proponujesz, Ułacie rycerzu?

- Mam do dyspozycji sporą armię, wasza wysokość - odparł. - I to zdecydowanie wygłodniała. Ponieważ jesteśmy w tej chwili zbyt zajęci, by uganiać się po pustyni, pozwólmy, by trolle zjadły żołnierzy Kisła na śniadanie.

* * *

Pan Anosian, jadący na spotkanie Kringa i Tikumego, sprawiał wrażenie mocno wstrząśniętego.

- Co się stało, przyjacielu Anosianie? - spytał odzianego w czarną zbroję pandionitę Tikume. - Wyglądasz, jakbyś ujrzał ducha.

- Gorzej, przyjacielu Tikume - odparł Anosian. - Właśnie dostałem reprimendę od

boga. Większość ludzi nie przeżyłaby podobnego doświadczenia.

- Znowu Aphrael? - domyślił się Kring.

- Nie, przyjacielu Kringu. Tym razem to jej kuzyn, Hanka. Jest bardzo gwałtowny.

Pomaga w zaklęciach rycerzom genidia-nitom.

- Był z ciebie niezadowolony? - spytał Tikume. - Co znowu zrobiłeś?

Anosian skrzywił się cierpko.

- Czasami trochę zniekształcam zaklęcia - przyznał. - Aphrael jest dość wielkoduszna, by mi wybaczyć. Jej kuzyn nie. -Zadrzał. - Boski Hanka trochę przyspieszy naszą jazdę.

- Ach, tak?

- O świcie musimy dotrzeć do bram Cyrgi.

- Jak to daleko? - spytał Kring.

- Nie mam pojęcia - przyznał Anosian - zważywszy na okoliczności, uznałem, że lepiej nie pytać. Hanka chce, abyśmy ruszyli na zachód.

Tikume zmarszczył brwi.

- Jeśli nie wiemy, jak to daleko, skąd mamy pewność, że dotrzemy tam do rana?

- Dotrzemy, przyjacielu Tikume - uspokoił go Anosian. -Chyba powinniśmy już ruszać. Boski Hanka słynie z braku cierpliwości. Jeśli wkrótce nie zaczniemy jechać na zachód, może podnieść nas i rzucić wprost do Cyrgi.

* * *

Strażnicy świątynni przyjęli wojownicze postawy - sztywne formalne pozycje, jakie czasami widuje się na fryzach stworzonych przez średnio zdolnych rzeźbiarzy. Kalten odepchnął miecz swego przeciwnika i rąbnął pięścią w bok jego hełmu. Strażnik zachwiał się i runął ciężko na bruk. Próbował się podnieść, lecz Kalten wymierzył mu solidnego kopniaka w twarz.

- Cicho, Kaltenie - szepnął szorstko Sparhawk.

- Przepraszam. Chyba mnie poniosło. - Rycerz schylił się i uniósł powiekę powalonego strażnika. - Będzie spał do południa - rzekł. Wyprostował się i rozejrzał. - Czy to już wszyscy?

- Ten był ostatni - odszepnął Bevier. - Ściągnijmy ich z ulicy. Wkrótce księżyc wszędzie nad góry i w dolinie zrobi się jasno jak w dzień.

To była krótka paskudna walka. Sparhawk i jego przyjaciele wypadli z ciemnej, mrocznej uliczki, atakując oddziałek od tyłu. Swoje zwycięstwo w znacznej mierze

zawdzięczali zaskoczeniu, a resztę załatwiło kiepskie przygotowanie oddziałów reprezentacyjnych. Sparhawk uznał, że Cyrgai wyglądają imponująco, lecz z upływem wieków ich wyszkolenie stało się do tego stopnia sformalizowane i oderwane od rzeczywistości, iż sposób walki bardziej przypominał taniec niż przygotowanie do prawdziwego starcia. Ponieważ Cyrgai nie mogli przekroczyć linii klątwy Sty-rików, od dziesięciu tysięcy lat nie uczestniczyli w żadnych potyczkach, toteż nie byli przygotowani na paskudne sztuczki, stosowane często przy zwarciach.

- Nadal nie widzę, jak miałyby się nam udać - wydyszał Talen, wlokąc za sobą w cień nieruchomego strażnika. - Jedno spojrzenie wystarczy, by straż przy bramie zorientowała się, że nie jesteśmy Cyrgaimi.

- Już o tym rozmawialiśmy - odparł Sparhawk - kiedy wyszedłeś na zwiad. Xanetia i Aphrael znów połączą zaklęcia, tak jak Anarae i Sephrenia w Matherionie. Będziemy dostatecznie przypominali Cyrgaich, żeby przejść przez bramę - zwłaszcza jeśli reszta tych ludzi tak bardzo boi się straży świątynnej, jak mówiła Xanetia.

- A skoro już przy tym jesteśmy - wtrącił Kalten. - Kiedy przejdziemy za bramę, chcę dostać z powrotem swoją twarz. Istnieją spore szanse, że dziś w nocy zginiemy, i wolałbym, by na nagrobku widniało moje własne imię. Poza tym, jeśli jakimś cudem nam się powiedzie, nie chciałbym zaskoczyć Alean, zbliżając się do niej z twarzą nieznajomego. Po tym, co przeszła, zasłużyła, by zobaczyć mnie prawdziwego.

- Mnie to odpowiada - zgodził się Sparhawk.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Kapitan Jodral wrócił tuż po zmroku. Jego luźna szata łopotiała, a oczy wychodziły z orbit, gdy rozpaczliwie chłostał znużonego konia.

- Jesteśmy zgubieni, generale! - wrzasnął.

- Opanuj się, Jodralu - warknął generał Piras. - Co widziałeś?

- Są ich miliony, generale! - Jodral był wyraźnie na skraju hysterii.

- Jodralu, nigdy nie widziałeś miliona czegokolwiek. O co tu chodzi?

- Przeprowadzają się przez Sarnę, generale! - odparł Jodral, najwyższym wysiłkiem woli próbując uspokoić drżący głos. - Meldunki o flocie są prawdziwe. Widziałem te statki.

- Gdzie? Jesteśmy dziesięć mil od wybrzeża.

- Pożęglowali w górę rzeki Sarny, generale Pirasie, i powiązali statki burta w burtę, tworząc mosty.

- Bzdura! Sama ma tam pięć mil szerokości. Mów rozsądnie, człowieku!

- Wiem, co widziałem, generale. Pozostali zwiadowcy wkrótce wrócą i potwierdzą moje słowa. Kaftal stoi w ogniu. Nawet stąd widać pożar. - Jodral odwrócił się i wskazał na południe, w stronę potężnej łuny na niebie ponad niskimi przybrzeżnymi wzgórzami, oddzielającymi cynesgańskie oddziały od morza.

Generał Piras zaklął. Już trzeci raz w tym tygodniu zwiadowcy zameldowali o przekroczeniu Sarny albo rzeki Verel, a jak dotąd nie udało mu się natrafić na żaden ślad wrogich sił. W normalnych okolicznościach kazałby po prostu wychłostać posłańców, może nawet zabić, ale okoliczności nie były normalne. Wroga armia nękająca południowe wybrzeże składała się z rycerzy kościoła Chyrellos - samych czarowników, zdolnych zniknąć i pojawić się kilka mil na jego tyłach. Wciąż mamrocząc pod nosem przekleństwa, wezwał adiutanta.

- Sallacie! - warknął. - Obudź żołnierzy. Powiedz im, by się przygotowali. Jeżeli ci przekłęci żołnierze naprawdę przekraczają tu Sarnę, będziemy musieli ich zaatakować, zanim zdołają zdobyć przyczółek na drugim brzegu rzeki.

- To tylko kolejna zmyłka, generale - odparł adiutant, patrząc z pogardą na kapitana Jodrala. - Za każdym razem, gdy jakiś idiota widzi trzech rybaków w łodzi, dostajemy meldunek o przekroczeniu rzeki.

- Wiem, Sallacie - odrzekł Piras - ale muszę zareagować. Jeśli pozwolę rycerzom przebyć rzekę, król Jaluah każe skrócić mnie o głowę. - Generał bezradnie rozłożył ręce. - Co

jeszcze mógłbym zrobić? - Ponownie zaklął. - Odrąb wymarsz, Sallacie. Może tym razem po dotarciu do rzeki zastaniemy prawdziwego przeciwnika.

* * *

Kiedy Zalasta odprowadził swe więźniarki do małej, lecz obecnie starannie wysprzątanej celi po kolejnym potwornym milczącym spotkaniu z błoniastokrzydłym Kładem, Alean dygotała gwałtownie, natomiast Ehlana czuła się wyzuta z wszelkich emocji. Dziwny łagodny dotyk owego nieskończonego umysłu miał w sobie coś perwersyjnie uwodzicielskiego i po skończonym seansie królowa czuła się zbrukana i nieczysta.

- To już ostatni raz, Ehlano - rzekł Zalasta. - Może pocieszy cię informacja, że twój mąż wciąż stanowi dla niego zagadkę. Klael nie potrafi pojąć, jak jakakolwiek istota o podobnej mocy z własnej woli mogła poddać się... - Zawahał się.

- Zwyczaj kobiecie, Zalasto? - podsunęła ze znużeniem.

- Nie, Ehlano, nie o to chodzi. Częścią opanowanych przez Kładą światów rządzą kobiety, a mężczyźni są hodowani jedynie w celach rozrodczych. Nie, Klael po prostu nie może zrozumieć związku łączącego cię ze Sparhawkim.

- Mógłbyś mu wyjaśnić znaczenie miłości, Zalasto. - Urwała. - Ale przecież sam jej nie rozumiesz. Jego twarz stężała.

- Dobranoc, wasza wysokość - rzekł beznamiętnym tonem, po czym odwrócił się i wyszedł z celi, przekręcając klucz w zamku.

Zanim jeszcze umilkło echo trzaśnięcia drzwi, Ehlana przywarła do nich, uważnie nasłuchując.

- Nie boję się ich - usłyszała głos króla Santheoclesa.

- Zatem jesteś większym głupcem, niż sądziłem - odparł brutalnie Zalasta. - Wszyscy twoi sprzymierzeńcy są systematycznie eliminowani, a wrogowie otaczają cię coraz ciasniej.

- Jesteśmy Cyrgai - upierał się Santheocles. - Nikt nie zdoła nas pokonać.

- To mogło być prawdą dziesięć tysięcy lat temu, gdy wasi wrogowie ubierali się w futra i atakowali włóczyniami o grotach z krzemienia. Teraz masz do czynienia z atańskimi wojownikami, którzy zabijają twoich żołnierzy gołymi rękami; z Peloimi śmigającymi wzdłuż waszych szeregów niczym wiatr i trollami, nie tylko mordującymi twoich wojowników, ale i ich pozerającymi. Co gorsza, jest z nimi również Aphrael, która potrafi zatrzymać w biegu słońce albo zamienić was w kamień. Najgorsze zaś, iż przeciw wam staje też Anakha i Bhelliom, a to oznacza całkowite unicestwienie.

- Potężny Cyrgon nas obroni. - W głosie Santheoclesa brzmiała nuta kretyńskiego uporu.

- Może pomówisz o tym z Othą z Zemochu, Santheocle-sie? - rzucił z pogardą Zalasta. - Opowie ci o tym, jak starszy bóg Azash wrzeszczał, kiedy Anakha go unicestwił. - Zalasta urwał nagle. - Nadchodzi! - wykrztusił. - Jest bliżej, niż podejrzewaliśmy !

- O czym ty mówisz? - ostro spytał Ekatas.

- Anakha jest tutaj! - wykrzyknął Zalasta. - Idź do swoich generałów, Santheoclesie! Powiedz, by wezwali wojska i rozkazali im przeczesywać ulice Cyrgi, bo Anakha przeniknął do wewnątrz murów! Szybciej, człowieku! Anakha tu jest, a to może oznaczać naszą śmierć! Chodź ze mną, Ekatasie! Musimy uprzedzić Cyrgona i odwiecznego Klaela! Nadeszła noc rozstrzygnięcia!

* * *

Boski błękicie, troski wszelkie leczysz

I koisz ból w śmiertelnych sercach człowieczych.

Elron odliczył na placach sylaby i zaklął. Nieważne, jak bardzo zniekształcał i skracał słowa, ostatnia linijka wciąż była za długa. Cisnął swym gęsim piórem przez pokój i ukrył twarz w dłoniach w artystycznej pozie poetyckiej rozpacz. Elron często to robił, układając wiersze.

Po chwili z nadzieją uniósł wzrok, przyszła mu bowiem do głowy pewna myśl. Ostatecznie zbliżał się do końcowych strof swego arcydzieła i zmiana metrum dodałaby im wyrazu. Tylko co powiedzieliby krytycy?

Elron zmagał się z sobą, nie mogąc podjąć decyzji. Przeklinał dzień, w którym postanowił zamknąć najważniejsze dzieło swego życia w ryzach jedenastozgłoskowca. Nienawidził go. Był tak bezlitośnie regularny i rytmiczny, a kończące każde wers rymy krępowały go niczym łańcuch ciężący u szyi. Losy Ody do błękitu ważyły się na włosku, podczas gdy jej twórca walczył z nieubłaganym uporem formy i metrum.

Nie miał pojęcia, jak długo z dworu dobiegały krzyki i kiedy dokładnie się zaczęły. Jego pogrążony w twórczym szale umysł ignorował wszystko, co nie miało związku z tym wściekle opornym wierszem. Poeta z irytacją wstał z miejsca i podszedł do okna, wyglądając na oświetlone pochodniami ulice Natayos. Skąd te krzyki?

Żołnierze Scarpy - w większości nieuczni i niedomyci poddani - biegli, wrzeszcząc

ze strachu niczym stado beczących owiec. Co ich spłoszyło tym razem?

Elron wychylił się lekko, wyglądając na dwór. Z wciąż porośniętej splątanymi krzakami i pnączami części zrujnowanego miasta dobiegało inne światło. Zmarszczył brwi. Z pewnością nie był to blask pochodni. Owa biała, biała poświata, pochodząca z dziesiątków miejsc jednocześnie, zupełnie go nie przypominała.

I wówczas usłyszał głos Scarpy, wznoszący się ponad krzykami. Obląkany szarlatan wywrzaskiwał jakieś rozkazy swym najbardziej władczym tonem, ale zbieranina na ulicach kompletnie go ignorowała. Rzeki ludzi przelewały się brukowanymi ulicami zrujnowanego Natayos w stronę głównej bramy, przepychając się, wyjąc, napierając na siebie i walcząc w beznadziejnie zatłoczonym przejściu. Za bramą Elron ujrzał mrugające pochodnie, oddalające się w głąb dżungli. Na miłość boską, co się tam działo?

I nagle krew zastygła mu w żyłach. Ze zgrozą gapił się na lśniące postaci, wychodzące z bocznych uliczek ruin i maszerujące powoli szeroką aleją, prowadzącą do bramy. Świetliści, którzy wyludnili Panem-Dea, Norenję i Synaąę, zaatakowali w końcu Natayos!

Poeta tylko przez chwilę stał jak skamieniały, a potem jego umysł zaczął działać szybciej niż kiedykolwiek. Walka bez wątpienia nie wchodziła w rachubę. Tłum kompletnie zatkał bramę i nawet ci, którzy dotarli do wyjścia, praktycznie nie mieli szans przebić się na zewnątrz. Elron skoczył do stołu i pacnął dłonią świecę, pograżając pokój w ciemności. Jeśli okna na piętrze pozostaną ciemne, koszmary wędrujące po ulicach nie będą miały powodów, by przeszukać dom. Potykając się w mroku, rozpaczliwie biegał z pokoju do pokoju, desperacko poszukując innych świec, które mogłyby zdradzić jego położenie.

Potem, upewniwszy się, iż na razie jest bezpieczny, człowiek znany w całym Astelu jako Pałasz zakradł się do swego pokoju, zerkając z lękiem znad parapetu na ulice w dole.

Scarpa wspiął się na częściowo zwalony mur i wydawał sprzeczne rozkazy regimentom, które widział jedynie on sam. Ramiona owinał wytartym aksamitnym płaszczem, prowizoryczna korona siedziała krzywo na głowie.

Nieopodal szaleńca Cyzada mówił coś swym głuchym głosem - Elron odgadł, iż zapewne jest to zakłęcie - a jego palce kreśliły w powietrzu misterne wzory. Przemawiał coraz głośniejsze i głośniejsze, w nosowym styrickim języku, wzywając Bóg jeden wie jakie potwory, by stawiły czoło zbliżającym się ku niemu milczącym lśniącym postaciom. Jego głos wzniósł się we wrzasku. Rozpaczliwie wymachiwał rękami w powietrzu, wykonując kolejne magiczne gesty.

A potem jeden ze świetlistych intruzów dotarł do niego. Cyzada krzyknął i gwałtownie szarpnął się w tył, za późno jednak. Lśniaca dłoń już go dotknęła. Zachwiał się,

jakby owo łagodne muśnięcie miało moc potężnego ciosu. Pragnąc uciec, odwrócił się i Elron ujrział jego twarz.

Poeta zwymiotował, przyciskając do ust dłonie, aby stłumić wszelkie dźwięki, które mogłyby ujawnić jego obecność. Cyzada z Esos rozpuszczał się. Jego potwornie zniekształcona twarz ściekała po czaszce niczym stopiony wosk. Na przedzie białej styryckiej szaty rozlewała się szybko powiększająca się plama. Postąpił chwiejnie kilka kroków w stronę wciąż bredzącego Scar-py. Jego dłonie wyciągały się zachłannie ku szaleńcowi, nawet kiedy ciało spłynęło już z kości. A potem Styryk opadł powoli na kamienie, rozpluwając się w oczach. Gnijące ciało przeciekało przez materiał szaty.

- Łucznicy, naprzód! - polecił Scarpa głębokim teatralnym głosem. - Zasypać ich strzałami!

Elron padł na podłogę, odczołgując się od okna.

- Kawaleria na flanki! - usłyszał rozkaz Scarpy. - Szable w dłoń!

Elron pełzł w stronę stołu, macając w ciemności.

- Cesarska gwardia! - ryknął Scarpa. - Naprzód marsz! q Elron znalazł stołową nogę, sięgnął w górę i chwycił

townie kartki papieru, leżące na blacie.

- - Pierwszy regiment do ataku! - polecił donośnie Scarpa.

Elron przewrócił stół, jęcząc z rozpacz.

- Drugi regiment... - Głos Scarpy załamał się nagle i poeta usłyszał jego wrzask.

Rozłożył ręce, próbując zebrać w ciemności jak najwięcej bezcennych kart Ody do błękitu.

Scarpa odezwał się znowu.

- Matko! - krzyknął przenikliwie. - Proszęproszęproszę! — Jego donośny głos przeszedł w piskliwy wrzask. - Proszęproszęproszę! - Brzmiało to zupełnie, jakby próbował krzyżeć pod wodą. - Proszęproszęproszę! - I nagle krzyk załamał się w straszliwym bulgocie, po czym zapadła cisza.

Przyciskając do piersi odnalezione karty, Pałasz zrezygnował z dalszych poszukiwań, na czworakach przemknął przez pokój i schował się pod łóżkiem.

* * *

Kiedy Bhlok w zbliżył się ku nim przez pogrążoną w nocnym mroku pustynię, jego

włochata twarz zdradzała głęboką urazę.

- To było złe, U-lat - rzekł oskarżycielsko. - Jesteśmy towarzyszami stada, a powiedziałeś nam coś, choć tak nie było.

- Nie zrobiłbym tego, Bhlokwie - zaprotestował Ulath.

- Zaraziłeś mój myślobrzuch myślą, że wielkie stwory z żelazem na twarzach są smaczne. One nie są smaczne.

- Czy były niesmaczne, Bhlokwie? - spytał współczująco Tynian.

- Bardzo niesmaczne, Tm-in. Nigdy jeszcze nie kosztowałem czegoś tak niesmacznego.

- Nie wiedziałem o tym, Bhlokwie - próbował usprawiedliwiać się Ulath. - Myślałem, iż stwory są tak wielkie, że jeden czy dwa wystarczą, by napelnić wam brzuchy.

- Zjadłem tylko jednego - odparł Bhlokwi. - Był tak niesmaczny, że nie chciałem zjeść drugiego. Nawet ogry by ich nie zjadły, a ogry jadają wszystko. Nie cieszy mnie, że powiedziałeś mi coś, choć tak nie było, U-lat.

- Mnie też to nie cieszy - przyznał Ulath. - Mówiłem o czymś, choć tego nie wiedziałem. To bardzo źle z mojej strony. Królowa Betuana odwołała Tyniana na bok.

- Ile czasu zajmie nam dotarcie do Ukrytego Miasta, Tynianie rycerzu? - spytała.

- Czy wasza wysokość pyta o prawdziwy czas, czy też o nasze subiektywne wrażenie?

- O jedno i drugie.

- Będzie się wydawać, że trwa to tygodniami, Betuano królowo, lecz w istocie znajdziemy się tam natychmiast. Ulath i ja opuściliśmy Matherion zaledwie kilka tygodni temu wedle prawdziwego czasu, odnosimy jednak wrażenie, że podróżujemy już niemal rok. To bardzo dziwne, ale po jakimś czasie można przywyknąć.

- Powinniśmy wyruszyć wkrótce, jeśli przed świtem mamy dotrzeć do Cyrgi.

- Ulath i ja będziemy musieli pomówić o tym z Ghnombem. To on zatrzymuje czas, ale jest również bogiem jedzenia. Zapewne nie jest z nas zadowolony. Pomysł, by trolle zabiły rycerzy Klaela nie był zły, ale Ghnomb spodziewa się, że jego dzieci zjedzą to, co zabijają, a smak tych stworów im nie odpowiada.

Zadrzała.

- Jak możesz znieść towarzystwo trolli bestii, Tynianie rycerzu? To straszne stworzenia.

- Nie są takie złe, wasza wysokość - bronił ich Tynian. - To bardzo moralny gatunek. Są absolutnie oddane swym stadom, nie umieją kłamać i nie zabijają niczego, jeśli nie chcą tego zjeść - albo jeżeli ich nie zaatakują. Gdy tylko Ulath skończy przeproszać Bhlokwa,

wezwiemy Ghnomba i poprosimy, aby zatrzymał czas, tak żebyśmy mogli dotrzeć do Cyrgi. - Tynian skrzywił się. - To trochę potrwa. Trzeba mieć sporo cierpliwości, jeżeli chce się coś wytłumaczyć bogom trolli.

- Czy to właśnie robi Ulath rycerz? - spytała ciekawie. -Przeprasza?

Tynian przytaknął.

- Nie jest to wcale łatwe zadanie, wasza wysokość. W języku trolli nie istnieje odpowiednik naszego „przykro mi”. Zapewne dlatego, że trolle nigdy nie robią nic, czego mogłyby się wstydzić.

* * *

- Będziesz ty cicho? - syknęła Liatris do protestującej Ga-henas. - Są teraz w sąsiedniej komnacie.

Trzy cesarzowe ukrywały się w ciemnym przedpokoju przylegającym do prywatnej kwatery Teganki. Liatris stała przy drzwiach ze sztyletem w dłoni.

Czekały w napięciu.

- Odeszli - powiedziała Liatris. - Lepiej jednak odczekajmy chwilę.

- Czy mogłybyście wyjaśnić, co się tu dzieje? - spytała Ga-henas.

- Chacole wysłała ludzi, żeby cię zabili - odparła Elysoun. -Liatris i ja dowiedziałyśmy się o tym i przyszłyśmy cię uratować.

- Po co Chacole miałyby to robić?

- Bo za dużo wiesz o jej zamiarach.

- Chodzi ci o ten głupi plan wplątania Cieronny w pozorowaną próbę zamachu?

- Zamach nie będzie pozorowany, a Cieronna nie ma z tym nic wspólnego. Chacole i Torellia chcą zabić naszego męża.

- Zdrada! - wykrztusiła Gahenas.

- Chyba nie. Chacole i Torellia należą do rodów królewskich pozostających obecnie w stanie wojny z Imperium Tamulskim i słuchają rozkazów z domu. Zabójstwo Sarabiana można ostatecznie nazwać działaniem wojennym. - Elysoun cofnęła się, bo ogarnęła ją fala mdłości. - Ojej! - jęknęła słabo.

- Co ci jest? - spytała ostro Liatris.

- Nic. Zaraz przejdzie.

- Jesteś chora?

- Coś w tym stylu. Nie ma się czym przejmować. Powinnam była zjeść coś, kiedy

mnie obudziłaś. To wszystko.

- Zbladłaś jak papier. Co się z tobą dzieje?

- Jeśli naprawdę musisz wiedzieć, jestem w ciąży.

- To musiało się w końcu stać, Elysoun. - Gahenas uśmiechnęła się złośliwie. - Jestem zdumiona, że doszło do tego tak późno, zważywszy na twoje prowadzenie. Masz w ogóle pojęcie, kto jest ojcem?

- Sarabian - odparła Elysoun, wzruszając ramionami. - Myślisz, że możemy już iść, Liatris? Powinnyśmy jak najszybciej dotrzeć do naszego męża. Chacole nie wysłałaby zabójców do Gahenas, gdyby tej nocy nie zamierzała zgładzić Sarabiana.

- Jej ludzie będą pilnowali wszystkich drzwi - rzekła Liatris.

- Nie wszystkich, moja droga. - Elysoun uśmiechnęła się. -Znam co najmniej trzy wyjścia, o których nie ma pojęcia. Widzisz, Gahenas, aktywne życie towarzyskie ma swoje zalety. Sprawdź korytarz, Liatris. Zabierzmy stąd Gahenas, zanim zabójcy Chacole wrócą.

Cyrgai pełniący wartę przy bramie z brązu cofnęli się z lękiem, gdy Sparhawk poprowadził swych towarzyszy po ostatnich stopniach.

- Vala Cyrgon! - huknął ich dowódca, uderzając pięścią w napierśnik w uroczystym geście pozdrowienia.

- Odpowiedz, Anakho - szepnął w ucho Sparhawkowi głos Xa-netii. - Tak nakazuje zwyczaj.

- Vala Cyrgon! - odparł Sparhawk, także bijąc się w pierś. Uważał przy tym, żeby zdjęty z nieprzytomnego strażnika świątynnego płaszcz nie rozchylił się, ukazując, że zamiast ozdobnego półpancerza ma na sobie kolczugę.

Oficer niczego nie zauważył. Sparhawk i pozostali przemaszerowali przez bramę i ruszyli szeroką ulicą w stronę centralnego placu.

- Czy wciąż nas obserwuje? - mruknął Sparhawk.

- Nie, Anakho - odparła Xanetia. - On sam i jego ludzie do strażnicy przy bramie powrócili.

Z dołu zdawało się, iż jedynymi budynkami na szczycie Cyrgi są pałac-forteca i świątynia, nie do końca jednak odpowiadało to prawdzie. Stały tu również inne niskie budynki gospodarcze -Sparhawk domyślał się, iż kryły w sobie głównie magazyny.

- Talenie! - rzucił przez ramię. - Odbij dyskretnie na bok i poszukaj drzwi, które możesz szybko otworzyć. Zejdźmy z widoku. Xanetia zbada okolicę.

- W porządku - odparł chłopak i zanurkował w cień. Po chwili usłyszeli jego szept i szybko skręcili ku drzwiom, które im otworzył.

- Co teraz? - spytał Kalten.

- Razem z Xanetią wybierzemy się na poszukiwania Ehlany i Alean - odparł z ciemności głos Aphrael.

- Gdzie ty byłeś? - zainteresował się Talen. - To znaczy, kiedy wspinaliśmy się na górę.

- Tu i tam - odparła. - Moja rodzina prowadzi naszych przyjaciół na pozycje i chciałam się upewnić, że wszystko idzie zgodnie z planem.

- A idzie?

- Teraz już tak. Wystąpiło kilka problemów, ale zajęłam się nimi. Ruszajmy, Xanetio. Do rana mamy jeszcze mnóstwo pracy.

* * *

- A, tu są - ucieszył się Setras. - Nie zboczyłem aż tak bardzo, prawda?

- Czy tym razem jesteś pewien? - spytał Bergsten.

- Gniewasz się na mnie, prawda, Bergstenie?

Patriarcha westchnął i postanowił nie drażnić tematu.

- Nie, boski - odparł. - Wszyscy popełniamy błędy.

- To okropnie przyzwoite z twojej strony, mój stary - podziękował Setras. - Ogólnie zmierzaliśmy w dobrym kierunku, odbiłem tylko o kilka stopni na bok.

- Czy tym razem to na pewno właściwe szczyty, o boski? - zagrział Heldin.

- Absolutnie - odparł radośnie Setras. - Są dokładnie takie, jakie opisywała Aphrael. Widzicie, jak lśnią w blasku księżyca?

Heldin, mrużąc oczy, spojrział ponad pustynią na dwie lśniące iglice, sterczące z ciemnej masy potrzaskanych skał.

- Wyglądają jak trzeba - rzekł z powątpiewaniem.

- Muszę iść znaleźć bramę - oznajmił Setras. - Ma leżeć dokładnie na linii wyznaczonej przez odstęp pomiędzy szczytami.

- Jesteś pewien, boski? - zapytał Bergsten. - Tak było od południa, ale skąd mamy wiedzieć, czy na północy będzie identycznie?

- Nigdy nie spotkałeś Cyrгона, prawda? To najnudniejszy gość na świecie. Jeśli na południu jest brama, będzie też na północy, wierzcie mi. Nie odchodźcie, zaraz wrócę. - Odwrócił się i ruszył spacerkiem przez pustynię w stronę dwóch szczytów lśniących w promieniach księżyca.

Atana Maris stała obok Bergstena. Heldin dostrzegł na jej twarzy lekkie zakłopotanie.

- O co chodzi, Atano? - spytał.

- Chyba czegoś nie rozumiem, Heldinie rycerzu - odparła, usiłując wyrazić swe myśli po eleńsku. - Ten Setras to bóg?

- Styricki, owszem.

- Skoro jest bogiem, jak mógł zabłądzić?

- Nie jesteśmy pewni, Atano Maris.

- Tego właśnie nie rozumiem. Gdyby Setras był człowiekiem, powiedziałabym, że jest głupi. Ale to bóg, więc nie może być głupi, prawda?

- Lepiej omów to z jego świątobliwością - odrzekł Heldin. - Ja jestem tylko rycerzem, to on zajmuje się teologią.

- Dzięki, Heldinie - wycedził przez zęby Bergsten.

- Jeśli naprawdę jest głupi, Bergstenie kapłanie, skąd mamy pewność, że przyprowadził nas we właściwe miejsce?

- Musimy zaufać Aphrael, Atano. Setras jest nieco roztargniony, ale nie Aphrael. A o ile pamiętam, dość długo z nim rozmawiała.

- Bardzo wolno - dodał Heldin. - Używając krótkich, prostych słów.

- Czy to możliwe, Bergstenie kapłanie? - nalegała Maris. - Czy bóg naprawdę może być głupi? Bergsten spojrzał na nią bezradnie.

- Nasz nie jest - rzekł wymijająco. - I jestem pewien, że wasz także nie.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Bergstenie.

- Masz rację, Atano - odparł. - Nie odpowiedziałem. I nie zamierzam. Po skończonej walce zabiorę cię do Chyrellos i możesz zapytać Dolmanta.

- Śmiało powiedziane, panie Bergstenie - mruknął Heldin.

- Zamknij się, Heldinie.

- Tak jest, wasza świątobliwość.

* * *

Sparhawk, Bevier i Kalten stali przy małym zakratowanym okienku w cuchnącym pleśnią magazynie, spoglądając na górującą nad miastem fortecę-pałac.

- To naprawdę archaiczna konstrukcja - rzekł krytycznie Bevier.

- Według mnie wygląda całkiem solidnie - odparł Kalten.

- Budynek przylega do muru zewnętrznego, Kaltenie. Dzięki temu nie trzeba wznosić

dotychczasowych ścian, lecz jednocześnie osłabia się samą fortecę. Daj mi parę miesięcy i kilka porządnych katapult, a rozwalę ten pałac na kawałki.

- Wątpię, by kiedy go budowano, istniało coś takiego jak katapulty, Bevierze - wtrącił Sparhawk. - Dziesięć tysięcy lat temu była to zapewne najmocniejsza warownia na świecie. - Powiódł wzrokiem ku ponurej, wyniosłej kamiennej budowli. Jak słusznie zauważył Bevier, przylegała ona do muru oddzielającego tę część Cyrgi od reszty miasta. Niższe baszty otaczały potężną środkową wieżę, wznoszącą się wysoko ponad pałac i najwyraźniej wyrastającą z samego muru. Wyglądało na to, że pałac wzniesiono tak, by spoglądał nie na miasto, lecz na białą wapienną świątynię. Cyrgai najwyraźniej pragnęli oglądać tylko swego boga i odwracali się plecami do reszty świata.

Drzwi, którymi Talen wpuścił ich do magazynu, zaskrzypiały, otwierając się i zamykając ponownie. Delikatny blask twarzy Xanetii raz jeszcze rozjaśnił nieco otaczający ją mrok.

- Znalazłyśmy je - oświadczyła bogini-dziecko, gdy Anarae postawiła ją na kamiennej posadzce. Serce Sparhawk'a zabiło mocniej.

- Dobrze się czują?

- Nie traktowano ich najlepiej. Są zmęczone, głodne i okropnie wystraszone. Zalasta zaprowadził je do Kładą, a to wystarczy, by przerazić każdego. .. - Gdzie są? - dopytywała się Mirtai.

- Na samej górze najwyższej wieży na tyłach pałacu. I

- Rozmawiałas z nimi? - spytał ostro Kalten. i Aphrael potrząsnęła głową.

- Uznałam, że to nie najlepszy pomysł. Jeśli czegoś nie wiedzą, nie mogą tego ujawnić.

- Anarae - rzekł z namysłem Bevier - czy żołnierze pałacowi pozwalają strażą świątynnej krążyć swobodnie po budynku?

- Nie, panie rycerzu. Cyrgaimi tradycja kieruje, a świątynna straż powodów nie ma, by do pałacu wkraczać.

- Możemy zatem pożegnać się z tymi strojami. - Kalten ściągnął ozdobny hełm z brązu i czarny płaszcz skradziony w dolnym mieście. Dotknął policzka. - Wciąż wyglądamy jak Cyrgai. Nie moglibyśmy podwędzić innych mundurów i wma-szerować do środka?

Xanetia potrząsnęła głową.

- Żołnierze pałacowi krewniakami są wszyscy, do królewskiego klanu należą i znają się nawzajem. Podstęp takowy ze zbyt wielkim ryzykiem się wiąże.

- Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby dotrzeć na wieżę! -zaprotestował Kalten.

- Już go znalazłam - odparła spokojnie Mirtai. - Jest niebezpieczny, ale to chyba jedyne wyjście.

- Mów dalej - polecił Sparhawk.

- Może zdołalibyśmy przekraść się przez pałac, ale gdyby nas odkryli, musielibyśmy walczyć, a to naraziłoby Ehlanę i Alean. Sparhawk przytaknął z ponurą miną.

- To zbyt niebezpieczne - zgodził się.

- W porządku zatem. Jeśli nie możemy przejść przez pałac, pozostaje nam droga zewnętrzna.

- Chcesz się wdrapać na wieżę? - spytał z niedowierzaniem Kalten.

- To nie takie trudne, jak się zdaje, Kaltenie. Murów nie wzniesiono z marmuru, więc nie są gładkie. Ułożono je z grubo ciosanych kamiennych bloków, na których pozostało mnóstwo uchwytów i punktów podparcia. W razie konieczności wdrapałabym się po murze jak po drabinie.

- Nie jestem specjalnie zręczny, Mirtai - rzekł z powątpiewaniem Kalten. - Zrobiłbym wszystko, by ocalić Alean, ale nie na wiele jej się zdam, jeśli zmylę krok i wyląduję pięćset stóp niżej, w dolnym mieście.

- Mamy liny, Kaltenie. Uchronią cię od upadku. Talen potrafi wdrapać się na górę jak wiewiórka, a ja wspinam się niemal równie dobrze. Gdyby nam towarzyszyli Stragen i Caalador, zdążyliby już pokonać połowę ściany.

- Mirtai - powiedział zboliałym głosem Bevier - mamy na sobie kolczugi. Wspinaczka po gładkim murze, kiedy dźwigasz na sobie siedemdziesiąt funtów stali, to niezłe wyzwanie.

- Więc ją zdejmij, Bevierze.

- Kiedy dotrę na górę, mogę jej potrzebować.

- Żaden problem - zapewnił go Talen. - Zwiążemy nasze rzeczy i wciągniemy je za sobą. Podoba mi się ten pomysł, Sparhawk. To cichy sposób, dość szybki, a prawdopodobnie na szczycie wieży nie czekają strażnicy wypatrujący intruzów. Stragen i Caalador dobrze przeszkolili Mirtai, a ja jestem urodzonym włamywaczem. My dwoje załatwimy prawdziwą wspinaczkę. Po drodze będziemy spuszczać wam liny, a wy wciągniecie za sobą kolczugi i miecze. W mgnieniu oka znajdziemy się na górze. Możemy to zrobić, Sparhawk. To łatwe.

- Nie widzę innej możliwości - przyznał z lekkim powątpiewaniem Sparhawk.

- A zatem do dzieła - rzuciła Mirtai. - Zabierzmy stamtąd Ehlanę i Alean. Kiedy znajdą się w bezpiecznym miejscu, możemy zacząć rozwalać ten pałac.

- Gdy tylko dostanę z powrotem moją prawdziwą twarz -dodai z uporem Kalten. -

Alean zasługuje na to.

- Załatwmy to od razu, Xanetio - rzekła Aphrael. - W przeciwnym razie Kalten przez całą noc będzie głądził na ten temat.

- Głądził? - zaproponował Kalten.

- Jakiego koloru miałaś włosy, Kaltenie? Fioletowe, prawda? - spytała z drwiącym uśmiechem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Zachodnią fasadę pałacu kobiet skrywał głęboki cień, gdy Elysoun, Liatris i Gahenas wynurzyły się z rzadko używanych bocznych drzwi i przemknęły szybko w mroku, ukrywając się w pobliskim zagajniku krzewów ozdobnych.

- Teraz robi się naprawdę niebezpiecznie - uprzedziła cicho Liatris. - Chacole wie już, że jej zabójcy nie znaleźli Gahenas, i z pewnością wysłała ludzi, aby przeszkodzili nam w dotarciu do zamku Ehlany.

Elysoun spojrzała na skąpany w blasku księżyca trawnik.

- To niemożliwe - rzekła. - Jest za jasno. Znam ścieżkę prowadzącą przez ten gaj do miejsca niedaleko Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

- To w złym kierunku - zaprotestowała Gahenas. - Eleński zamek leży po przeciwnej stronie.

- Tak, wiem, ale nie mamy żadnej osłony. Od zamku dzieli nas wyłącznie trawnik. Lepiej trzymajmy się cienia. Jeżeli obejdziemy Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i przemkniemy się przez tereny Ministerstwa Spraw Zagranicznych, do mostu zwodzonego będziemy miały zaledwie piętnaście jardów.

- A jeśli go podnieśli?

- Będziemy się tym martwić, kiedy już tam dotrzemy, Gahenas. Najpierw dostanemy się do ogrodów Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

- A zatem ruszajmy, moje panie - rzekła gwałtownie Liatris. - Niczego nie osiągniemy, stojąc tu i rozmawiając. Przekonajmy się, z czym musimy się zmierzyć.

* * *

- Tutaj - szepnął Talen, wyłaniając się z ciasnej uliczki. - Na końcu tej alejki mur pałacowy styka się z zewnętrznymi umocnieniami. Róg, w którym się łączą, idealnie nadaje się do wspinaczki.

- Będziesz tego potrzebował? - spytała Mirtai, wyciągając ku niemu hak.

- Nie. Potrafię dotrzeć na szczyt bez niego, a lepiej nie ryzykować, że jakiś strażnik usłyszy brzęk metalu na kamieniach.

Poprowadził ich alejką do zaułka, w którym mur pałacu stykał się z imponującymi fortyfikacjami, odgradzającymi szczyt góry od reszty miasta.

- Jak myślisz, ile wysokości ma ten mur? - spytał Kalten, spoglądając w górę

zmrużonymi oczami. Dziwnie było po tygodniach przebrania znów oglądać oblicze Kaltena. Sparhawk dotknął nieśmiało własnej twarzy i natychmiast rozpoznał znajomy kształt złamanego nosa.

- Jakież trzydzieści stóp - odparł cicho Bevier. Mirtai badała uważnie narożnik, w którym łączyły się oba mury.

- To nie powinno być trudne - szepnęła.

- Cała ta budowla została kiepsko zaprojektowana - zgodził się krytycznie Bevier.

- Pójdę pierwszy - rzekł Talen.

- Nie rób żadnych głupstw - uprzedziła go Mirtai.

- Zaufaj mi.

Postawił stopę na jednym z wystających kamieni zewnętrznego muru i chwycił się kawałka ściany pałacu. Szło mu to bardzo sprawnie.

- Kiedy dotrzemy na górę, sprawdzimy, czy wystawili strażę - powiedziała cicho Mirtai. - Potem zrzucimy wam linę. - Wyciągnęła rękę i podążyła w ślad za młodym złodziejem.

Bevier odchylił się i spojrzał ku górze.

- Księżyc już wzeszedł - oznajmił.

- Azali sądzisz, iż obecność naszą ujawnić może? - spytała Kanetia.

- Nie, Anarae. Będziemy wdrapywać się po północnej stronie wieży, toteż przez cały czas pozostaniemy w cieniu.

Czekali w napięciu z wyciągniętymi szyjami, obserwując pełznących w górę przyjaciół.

- Ktoś idzie! - syknął Kalten. - Tam, wzdłuż blanków. Kalten i Mirtai zamarli, niknąc w cieniach ostrego kąta pomiędzy murami.

- Ma pochodnię - szepnął Kalten. - Jeśli wystawi ją poza blanki... - Nie dokończył. Sparhawk wstrzymał oddech.

- Już w porządku - oznajmił Bevier. - Wraca.

- Kiedy dotrzemy na górę, chyba powinniśmy się nim zająć - zauważył Kalten.

- Nie, jeśli da się tego uniknąć - nie zgodził się Sparhawk. - Nie chcemy, by ktoś zaczął go szukać.

Talen dotarł na szczyt. Przez chwilę przywarł do nierównych kamieni, nasłuchując, po czym prześliznął się nad blankami i zniknął im z oczu. Po kilku nie kończących się minutach Mirtai podążyła jego śladem.

Sparhawk i jego towarzysze czekali w ciemności.

A potem lina Mirtai zsunęła się po ścianie.

- Ruszajmy - rzucił Sparhawk. - Pojedynczo.

Cyrgai wznosili swe budowle z wielkich, ledwie ociosanych bloków, które wystawały nierówno ze ścian, sprawiając, że wspinaczka była łatwiejsza, niż można by sądzić. Sparhawk nie zawracał sobie nawet głowy liną. Dotarłszy na szczyt, przeturlał się przez mur.

- Czy wartownicy patrolują to miejsce wedle jakiegoś rozkładu? - spytał Mirtai.

- Wygląda na to, że każdemu z nich przydziela się jeden odcinek muru - odparła. - Ten tutaj nie chodzi zbyt szybko. Tylko zgaduję, ale powiedziałabym, że mamy jeszcze kwadrans.

- Moglibyśmy się gdzieś przedtem schować?

- Pierwsza wieża ma drzwi. - Talen wskazał przysadzistą budowlę wyrastającą ze skraju muru. - Otwierają się na klatkę schodową.

- Przyjrzałeś się już tyłom umocnień? Talen przytaknął.

- Po tej stronie nie ma tarasu, a jedynie gzyms szeroki na parę stóp, w miejscu, gdzie mur zewnętrzny łączy się z tylną ścianą pałacu. Będziemy mogli przejść po nim aż do środkowej wieży. Potem znowu zaczynamy wspinaczkę.

- Czy kiedy wartownik zawraca, ogląda się za siebie?

- Ostatnim razem tego nie zrobił - odparła Mirtai.

- Obejrzyjmy zatem te schody - zdecydował Sparhawk. - Gdy tylko dołączą do nas pozostali, schowamy się tam, póki wartownik nie pomaszkuje z powrotem. To nam da pół godziny na dotarcie do środkowej wieży. Nawet jeśli następnym razem wyjrzy za róg, powinniśmy znajdować się już poza zasięgiem światła pochodni.

- O niczym nie zapomina, prawda? - rzucił wesoło Talen do Mirtai.

- Co się dzieje z tym chłopakiem? - spytał Sparhawk złoci-stoskorą olbrzymkę.

- Wiąże się z tym spore podniecenie, kochaniutki - odparła. - Krew szybciej krąży w żyłach.

- Kochaniutki?

- Zawodowy dowcip, Sparhawk. Nie zrozumiałbyś.

* * *

Zwiadowcy Vaniona powrócili o zachodzie słońca, meldując nawiązanie kontaktu z Kringiem na południu i Atanami królowej Betuany na północy. Pierścień stali wokół Zakazanych Gór zaciskał się nieubłaganie. Księżyc wschodził już nad pustynią, gdy Betuana i Engessa przybyli z prawej flanki Vaniona, a Kring i Tikume nadjechali z lewej.

- Tynian rycerz wkrótce do nas dołączy, Vanionie mistrzu -zameldował Engessa. -
Wraz z Ulatem rycerzem rozmawiali z Bergstenem kapłanem po ich prawej. Ulat rycerz pozostał z trollami, by zapobiec incydentom.

- Incydentom? - spytała Sephrenia.

- Trolle są głodne. Ulat rycerz dał im do jedzenia oddział bestii Kisła, lecz ich smak nie odpowiadał trollom. Ulat rycerz próbował je przeprosić, ale nie wiem, czy trolle zrozumiały.

- Czy widziałeś już Berita i Khalada, przyjacielu Vanionie? -spytał Kring.

- Nie. Ale Aphrael mówiła, że jadą tuż przed nami. Jej kuzyn doprowadził ich do miejsca, w którym podobno znajduje się ukryta brama.

- Jeśli wiedzą, gdzie jest brama, moglibyśmy wejść do środka - zaproponowała Betuana.

- Lepiej zaczekajmy, moja droga - odrzekła Sephrenia. -Aphrael da mi znać, gdy tylko Sparhawk uwolni Ehlanę i Alean.

Wkrótce zjawił się Tynian, galopujący przez bezkresne cmentarzysko.

- Bergsten zajął już pozycję - zameldował, zeskakując z siodła. Spojrzał na Itagne'a. - Mam dla ciebie wiadomość, ekscelencjo.

- Ach tak? Od kogo?

- Jest z nimi Atana Maris. Chce z tobą pomówić. Oczy Itagne'a rozszerzyły się.

- Co ona tu robi?! - wykrzyknął.

- Mówiła, że twoje listy musiały gdzieś zginąć. Nie dotarł do niej ani jeden. Pisałeś przecież, prawda, ekscelencjo?

- Cóż, zamierzałem. - Itagne sprawiał wrażenie lekko zakłopotanego. - Jednak coś zawsze mi przeszkadzało.

- Z pewnością to zrozumie. - Twarz Tyniana nie zdradzała żadnych uczuć. - W każdym razie, kiedy już oddała Cynestrę Bergstenowi, postanowiła cię poszukać.

Oblicze Itagne'a zachmurzyło się lekko.

- Nie liczyłem na to - przyznał.

- O to tu chodzi? - spytała ciekawie Betuana.

- Podczas swego pobytu w Cynestrze ambasador Itagne zaprzyjaźnił się z Ataną Maris, wasza wysokość - wyjaśniła Sephrenia. - Bardzo się zaprzyjaźnił.

- A - mruknęła Betuana. - Nie zdarza się to zbyt często, ale się zdarza, a Maris zawsze była impulsywną dziewczyną. - Choć ataska królowa wciąż nosiła żałobny strój, porzuciła już rytualne milczenie. - Pozwól, że ci poradzę, Itagne ambasadorze - jeśli zechcesz

wysłuchać.

- Oczywiście, wasza wysokość.

- Niemądrze jest igrać z sercem atkańskiej kobiety. Może tego nie widać, lecz jesteśmy bardzo uczuciowe. Czasami obiektami naszych uczuć stają się niezbyt odpowiedni ludzie - mówiąc to, popatrzyła na Engesę. - Niemniej jednak uczucia te są niezwykle potężne i kiedy już nas ogarną, nie możemy nic na nie poradzić.

- Rozumiem - rzekł. - Dobrze to sobie zapamiętam, wasza wysokość. ,

- Chcesz, żebym znalazł Berita i Khalada i sprowadził ich tutaj, przyjacielu Vanionie?

- spytał Kring. Vanion zastanowił się.

- Lepiej trzymajmy się z dala od bramy - uznał. - Cyrgai mogą jej pilnować. Berit i Khalad mają tam być, ale my nie. Nie wywołujemy zamieszania, póki Sparhawk nie zawiadomi nas, że jego żona jest bezpieczna. Wtedy wkroczymy do miasta. Mamy tu wiele nie spłaconych rachunków, które wszyscy pragniemy uregulować.

* * *

Wąska półka na tyłach pałacu sprawiła, że dotarcie do środkowej wieży przypominało lekki spacer. Niemniej jednak wymagało nieco czasu, a Sparhawk boleśnie zdawał sobie sprawę z faktu, iż mają przed sobą mniej niż pół nocy. Mirtai i Talen szybko posuwali się naprzód, lecz reszta z nich, dla bezpieczeństwa związana razem, podążała znacznie wolniej.

Sparhawk patrzył w górę, gdy dołączył do niego Kalten.

- Gdzie jest Aphrael? - spytał cicho jasnowłosa pandionita.

- Wszędzie. Nie mówiła ci?

- Bardzo śmieszne. - Kalten zerknął na wschód. - Zdążymy przed brzaskiem?

- Może być ciężko. Tuż nad nami widać jakiś balkon -i oświetlone okna.

- Okrążymy je?

- Każę Talonowi je sprawdzić. Jeśli w pokoju nie ma zbyt wielu Cyrgaich, może dokończymy tę wspinaczkę w środku?

- Nie ryzykujmy, Sparhawk. Jeżeli będzie trzeba, wdrapię się nawet na księżyc. Ruszaj w górę. Odwiązałem już linę.

- Jasne. - Sparhawk znów zaczął się wspinać. Zerwał się lekki wietrzyk, muskający delikatnymi palcami bazaltowy mur. Na razie nie był dość mocny, by stanowić jakiegokolwiek zagrożenie, lecz Sparhawk zdecydowanie wolał, by nie nabrał siły.

- Brak ci kondycji, Sparhawk - oznajmiła krytycznie Mirtai, gdy dotarł do miejsca

tuż pod nimi. Oboje z Talenem przywarli nieruchomo do muru.

- Nikt nie jest doskonały. Widzicie jakieś szczegóły tego balkonu?

- Właśnie zamierzałem tam skoczyć i rozejrzeć się - rzekł Talen. Odwiązał opasującą go w taliu linę i ruszył po murze w stronę balkonu.

- Gniewam się na ciebie, Sparhawk — głos Aphrael zabrzmiał donośnie w ciszy jego umysłu. - Mam pewne plany związane z tym młodym człowiekiem i z całą pewnością nie obejmują one zeskrobywania go z ulicy pięćset stóp niżej.

- On wie, co robi. Znadto się martwisz. Skoro jednak już tu jesteś, czy mogłabyś opisać mi szczegółowo szczyt wieży?

- Jest to odrębny budynek - prawdopodobnie dobudowany później. Składa się z trzech pomieszczeń - wartowni, w której stacjonuje pluton reprezentacyjnych wojsk, celi, gdzie przetrzymują matkę i Alean, oraz wielkiej komnaty od frontu. Santheocles spędza tam większość czasu.

- Santheocles?

- Król Cyrgaich. To idiota. Zresztą jak oni wszyscy, ale ten jest z nich najgorszy.

- Czy cela Ehlany ma okno?

- Bardzo małe. Wstawili w nie kratę, ale i tak nie dostałbyś się do środka. Sam budynek jest mniejszy niż reszta wieży, toteż otacza go szeroki taras.

- Pilnowany?

- Nie, nie ma takiej potrzeby. To najwyższe miejsce w całym mieście i Cyrgaim nigdy nie przyszło do głowy, że ktoś mógłby dotrzeć aż tutaj.

- Czy Santheocles jest tam w tej chwili?

- Nie. Był, ale mam wrażenie, że zdążył już odejść. Towarzyszyli mu Zalasta i Ekatas. Wybierali się na jakieś spotkanie.

Nagle rozległ się cichy gwizd i Sparhawk spojrział w stronę balkonu. Talen wzywał go gestem.

- Idę sprawdzić - poinformował Mirtai.

- Lepiej się pospiesz - uprzedziła. - Zaczyna brakować nam czasu.

Mruknął w odpowiedzi i ruszył w stronę balkonu.

* * *

Zwodzony most był spuszczoney i nikt go nie strzegł.

- Cóż za szczęśliwy traf! - mruknęła Elysoun, gdy wraz z Liatrix i Gahenas

przemykały się na dziedziniec zamku. - Cha-cole myśli o wszystkim.

- Zdawało mi się, że przy moście pełnią wartę rycerze kościoła - powiedziała Gahenas. - Chacole nie mogła ich przecież przekupić.

- Pan Vanion zabrał rycerzy ze sobą - odparła Liatris. - Obowiązek strzeżenia zamku przekazano oddziałom reprezentacyjnym z głównego garnizonu. Jakiś oficer zapewne bardzo się wzbogacił od zeszłego wieczoru. Byłaś już tu wcześniej, Elysoun. Gdzie znajdziemy naszego męża?

- Zazwyczaj jest na piętrze, w komnatach królewskich.

- Lepiej się pospieszmy. Ta niestrzeżona brama bardzo mnie niepokoi. Wątpię, byśmy w całym zamku znalazły choć jednego strażnika, to zaś oznacza, iż zabójcy Chacole mają swobodny dostęp do Sarabiana.

* * *

Balkon wyglądał na nie używany co najmniej od pokolenia. W kątach zalegał głęboki kurz, a pokrywająca podłogę gruba warstwa ptasich odchodów była nieporuszona. Kiedy Sparhawk przeskoczył przez kamienną balustradę, ujrzał Talena kucającego obok okna i zaglądnącego ostrożnie do środka.

- Jest tam kto? - wyszeptał wielki pandionita.

- Cały tłum - odszepnął Talen. - Właśnie zjawił się Zalasta z dwoma Cyrgaimi.

Sparhawk dołączył do swego młodego przyjaciela i zerknął do środka.

Pomieszczenie za oknem wyglądało na oświetloną pochodniami salę tronową. Balkon, na którym tkwili Sparhawk z Tale-nem, wznosił się nad poziom podłogi. Z wewnątrz wchodziło się nań po kamiennych stopniach. Po przeciwnej stronie sali ujrzeli lekkie podwyższenie, na którym ustawiono tron wyrzeźbiony z jednego kawałka kamienia. Siedział na nim potężnie umięśniony przystojny mężczyzna w ozdobnym napierśniku i krótkiej skórzanej spódniczce. Z wyniosłym wyrazem twarzy przyglądał się otaczającym go ludziom. Zalasta stał u boku człowieka na tronie. Naprzeciw nich przystanął pomarszczony mężczyzna w bogato zdobionej czarnej szacie, przemawiający we własnym języku. Sparhawk zaklął i szybko rzucił zaklęcie przyciągające uwagę bogini-dziecka.

- Co znowu? - zadzwęczał w jego głowie głos Aphrael.

- Mogłabyś mi to przetłumaczyć? .. - Zrobię coś lepszego.

Usłyszał odległe brzęczenie i na moment świat zawirował mu między oczami.

- ...a ich siły, w chwili gdy to mówimy, otaczają święte miasto - mówił pomarszczony

mężczyzna w języku, który Sparhawk zaczął nagle rozumieć.

Z tłumu zgromadzonego przed podwyższeniem wystąpił Cyr-gai o szpakowatych włosach i potężnych, muskularnych ramionach.

- Czegóż mamy się lękać, Ekatasie? - spytał donośnym głosem. - Potężny Cyrgon przesłania oczy naszych wrogów, jak to czynił przez sto wieków. Niechaj tkwią wśród kości poza naszą doliną i na próżno szukają Wrót Ułudy. Są jak ślepcy. Nie zagrażają Ukrytemu Miastu.

Pozostali uczestnicy narady odpowiedzieli pełnym aprobaty pomrukiem.

- Generał Ospados słusznie mówi - oznajmił kolejny wojskowy, także występując naprzód. - Zignorujmy zatem jak zawsze tych słabych cudzoziemców stojących u naszych bram.

- Hańba! - ryknął trzeci mężczyzna, znajdujący się w pewnej odległości od dwóch pierwszych mówców. - Czyż mamy się ukrywać przed niższymi rasami? Ich obecność u naszych bram to afront, który musimy ukarać.

- Rozumiesz, co oni mówią? - szepnął Talen.

- Kłóć się - odparł Sparhawk.

- Naprawdę? - głos Talena dosłownie ociekał sarkazmem. - Mógłbyś mówić nieco jaśniej, Sparhawkku?

- Najwyraźniej kuzyni Aphrael zdołali sprowadzić tu wszystkich naszych przyjaciół. Z tego, co mówił tamten gość w czarnej szacie, wynika, że miasto jest otoczone.

- Miło jest mieć w pobliżu sojuszników. Co ci ludzie planują z tym zrobić?

- O to właśnie się kłóć. Część z nich chce zostać w mieście i nic nie robić, inni pragną zaatakować.

Wówczas Zalasta podszedł na skraj podwyższenia.

- Oto słowa Przedwiecznego Klaela - oświadczył. - Armie poza Wrotami Ułudy nie mają znaczenia. Niebezpieczeństwo kryje się wewnątrz murów Ukrytego Miasta. Już teraz Anakha przebywa w zasięgu mojego głosu.

Sparhawk zaklął.

- Co się stało? - spytał ostro Talen.

- Zalasta wie, że tu jesteśmy.

- Jak to odkrył?

- Nie mam pojęcia. Twierdzi, że przemawia w imieniu Klaela, a Klael prawdopodobnie może wyczuć Bhelliom.

- Nawet przez złoto?

- Złoto mogłoby ukryć klejnot przed Cyrgonem, lecz Bhelliom i Klael to bracia. Zapewne wyczuwają swoją obecność po drugiej stronie wszechświata, nawet kiedy dzieli ich płonące słońce. - Sparhawk uniósł rękę. - Mówi coś jeszcze. - Nachylił się bliżej ku oknu.

- Wiem, że mnie słyszysz, Sparhawk - rzekł głośnie Zalasta, przemawiając po eleńsku. - Jesteś tworem Bhelliomu, a to daje ci sporą moc. Ja jednak należę teraz do Klaela i moc moja dorównuje twojej. - Zalasta skrzywił się pogardliwie. - Przebrania były sprytnym posunięciem, lecz Klael natychmiast je przejrzał. Powinieneś być posłuchać rozkazów, Sparhawk. Skazałeś swych młodych przyjaciół na śmierć - i nic nie możesz na to poradzić.

* * *

W korytarzu, przed drzwiami pokoju, w którym Elysoun odwiedzała ostatnio cesarza, czaiło się pół tuzina mężczyzn w skromnych strojach. Elysoun nie zastanawiała się nawet przez moment.

- Sarabianie! - krzyknęła. - Zamknij się na klucz!

Cesarz oczywiście nie posłuchał. Po krótkiej chwili oszołomienia, gdy zabójcy zastygli w miejscach, a Liatrix, klnąc gwałtownie, dobyła sztyletu, drzwi otwarły się z impetem i Sarabian, odziany w eleńskie nogawice oraz płócienną koszulę z szerokimi rękawami, z długimi włosami związanymi na karku, wypadł na zewnątrz, dzierżąc w dłoni rapier.

Jak na Tamula Sarabian był dość wysoki. Już pierwszym pchnięciem przygwoździł do ściany jednego z zamachowców, a następnie teatralnym ruchem wyrwał rapier z osuwającego się na podłogę ciała.

- Przestań się popisywać! - warknęła na męża Liatrix, zręcznie rozpruwając brzuch jednego z napastników. - Uwważ!

- Dobrze, moja kochana - odparł wesoło Sarabian, stając en garde.

Elysoun dysponowała jedynie ostrym sztyletem o pięciocalowej klindze. Okazał się jednak dostatecznie długi. Ardzuński zabójca, uzbrojony w wielki kindżał, odparował następne pchnięcie Sarabiana i z pogardliwym prychnięciem wycelował cienkim jak igła ostrzem prosto w oczy cesarza. Nagle ze zduszonym krzykiem wygiął się do tyłu. Mała klinga Elysoun, ostra jak brzytwa, wbiła się gładko wprost w jego nerki.

Jednak to Gahenas zaskoczyła wszystkich. Jej bronią był wąski zakrzywiony nóż. Z przenikliwym okrzykiem teagańska cesarzowa o odstających uszach wskoczyła w sam środek walki, tnąc na odlew twarze wynajętych zabójców. Wrzeszcząc nieustannie, Gahenas dźgała

zaskoczonych zamachowców, a Sarabian wykorzystywał każdą chwilę ich nieuwagi. Jego cienka klinga świszczła, gdy tańczył śmiertelny taniec wypadów i flint. Nie oznaczało to, rzecz jasna, iż cesarz Tamuli był mistrzem szermierki. Radził sobie całkiem nieźle, ale Stragen z pewnością wytknąłby mu wiele niedociągnięć. W istocie to żony stały się bohaterkami dnia - czy też, w tym przypadku, nocy.

- Do środka, moje drogie - polecił Sarabian, popychając swe groźne kobiety ku drzwiom, podczas gdy sam przeciął ze świstem powietrze nad ciałem powalonego zabójcy. - Ubezpieczę wasz odwrót.

- Ojej! - mruknęła Liatris do Elysoun i Gahenas. - Okropne z niego dziecko.

- Owszem, Liatris - odparła Elysoun, obejmując czule swą brzydką tegańska siostrę - ale jest nasz.

- Nadjężdża Kring - powiedział cicho Khalad, wskazując czarną postać jeźdźca, galopującego w blasku księżyca po zasłanej kośćmi pustyni.

- To nie najlepszy pomysł - Berit zmarszczył brwi. - Ktoś może nas obserwować.

Dotarliszy do nich, domi gwałtownie ściągnął wodze.

- Uciekajcie! - polecił.

- Co się stało? - spytał ostro Berit.

- Bogini-dziecko każe wam dołączyć do nas. Zbliżają się Cyrgai, którzy chcą was zabić.

- Zastanawiałem się, kiedy w końcu podejmą próbę. - Khalad posłusznie wskoczył na konia. - Ruszajmy, Bericie. Berit przytaknął, sięgając po wodze Farana.

- Czy kiedy Cyrgai wyjdą z miasta, pan Vanion zamierza coś zrobić? - spytał Kringa.

Peloi odpowiedział mu wilczym uśmiechem.

- Przyjaciel Ulath czeka już przy bramie. Ma dla nich pewną niespodziankę - odparł. » Berit rozejrzał się.

- Gdzie on jest? - spytał. - Nie widzę go.

- Cyrgai też go nie zobaczą, póki nie będzie za późno. Oddalmy się od tej skały. Kiedy wyjdą i my przestaniemy się kryć. Rozkazano im was zabić, więc rzucą się w pościg. Przyjaciel Ulath ma ze sobą sześć czy osiem bardzo głodnych trolli, które natychmiast zajmą się Cyrgaimi.

* * *

- Czy wiedział, gdzie jesteś? - spytał z napięciem Kalten, przywierając do muru obok

przyjaciela.

- Nie sędzę - odparł Sparhawk. - Orientuje się, że gdzieś w mieście, ale istnieje kilka sposobów, dzięki którym mógłbym go podsłuchiwać. Wątpię, by zdawał sobie sprawę, jak blisko byłem, kiedy zaczął mi grozić.

- A Berit i Khalad? Czy z nimi wszystko w porządku? Sparhawk przytaknął.

L Kiedy Zalasta wygłosił swoją przemowę, była ze mną Aphrael. Zajął się tym.

- W porządku, Sparhawk! - zawołała z góry Mirtai. - Łapcie. Koniec liny wynurzył się z mroku i Sparhawk szybko wspiął się po niej.

- Jak daleko jeszcze? - spytał cicho, dotarłszy do Mirtai.

- Zaledwie jedna wspinaczka - odparła. - Talen już tam jest.

- Powinien był poczekać - złościł się Sparhawk. - Muszę pomówić z tym chłopakiem.

- To nic nie da. Talen lubi ryzykować. Czy Kalten ciągle wlecze za sobą nasz sprzęt?

Nie chciałabym dotrzeć na górę i mieć za jedyną broń paznokcie.

- Wciąga go, kawałek po kawałku. - Sparhawk zerknął ku szczytowi wieży. - Może tym razem puścisz mnie pierwszego? Jak najszybciej zgromadź tu pozostałych. Wciąż mamy mnóstwo roboty, a noc nie potrwa wiecznie.

Uniosła dłoń w zapraszającym geście.

- Ależ proszę - powiedziała.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek ci to mówiłem - rzekł. - Cieszę się, że przyjechałaś z nami. Jesteś chyba najlepszym żołnierzem, jakiego znałem.

- Tylko się nie rozczulaj, Sparhawk. To krępujące. Zamierzasz wdrapać się na tę ścianę czy wolisz poczekać do wschodu słońca?

Sparhawk podjął wspinaczkę, poruszając się bardzo ostrożnie. Fakt, iż pomocna strona wieży kryła się w cieniu, działał na ich korzyść, lecz sprawiał, że trzeba było wymacywać każdy uchwyt i badać starannie palcami nóg miejsca podparcia dla stóp. Skoncentrował uwagę na wspinaczce, nie poddając się impulsowi nakazującemu unieść głowę i spojrzeć na mur w górze oraz ostrą krawędź tarasu jakieś pięćdziesiąt stóp dalej.

- Co cię zatrzymało? - szepnął Talen, gdy wielki pandionita prześliznął się ponad balustradą okalającą wierzchołek wieży.

- Chciałem powąchać kwiatki - odparł kwaśno Sparhawk. Natychmiast zerknął na wschód i ujrzał słaby blask przedświt nad górami. Została im najwyżej godzina ciemności. - Rozumiem, że nie ma tu żadnych wart? - szepnął.

- Nie - odparł Talen. - Cyrgai najwyraźniej bardziej cenią sobie sen.

- Sparhawk? - dobiegł z dom szept Kaltena.

- Tu jestem.

- Weź bagaż.

Z ciemności wyleciał zwój liny.

- Pomóż mi, Talenie. - Rycerz przechylił się przez kamienną poręcz. - Puść! - zawołał cicho do Kaltena. - Wciągniemy go.

Kalten mruknął coś w odpowiedzi i usłyszeli, jak odsuwa się na bok. Wówczas Sparhawk i Talen powoli wciągnęli niewygodną pakę na szczyt wieży, uważając, by nie uderzała o kamienny mur. Sparhawk szybko wyjął swój miecz, po czym zaczął grzebać wśród kolczug.

Zdyszany Kalten przeskoczył balustradę.

- Czemu pozwoliłeś mi do tego stopnia wyjść z formy, Sparhawk? - spytał oskarżycielsko.

Jego przyjaciel wzruszył ramionami.

- Pewnie przez brak uwagi. O, jest. - Wyciągnął swoją kolczugę.

- Skąd wiesz, że to twoja? - spytał ciekawie Talen. -»fest przecież ciemno.

- Noszę ją ponad dwadzieścia lat. Wierz mi, zawsze ją rozpoznam. Zobacz, jak idzie pozostałym.

Talen podszedł do poręczy i pomógł Xanetii, podczas gdy Bevier i Mirtai samodzielnie pokonali przeszkodę.

W ciągu paru minut rycerze znów się uzbroili.

- Dokąd poszedł Talen? - szepnął Kalten, rozglądając się wokół.

- Węszyc - odrzekła Mirtai, zapinając pas z mieczem.

- To się chyba nazywa zwiady - poprawił Bevier. Wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz.

W tym momencie Talen wrócił.

- Chyba znalazłem to, czego szukamy - rzekł cicho. - Małe okienko z żelazną kratą. Jest wysoko, więc nie zaglądałem.

- A co z Aphrael? - spytał Bevier. - Powinniśmy na nią poczekać?

Sparhawk potrząsnął głową.

- Wkrótce zacznie dzień. Aphrael wie, co robimy. Pilnuje, by pozostali zajęli pozycje.

Talen poprowadził ich do wschodniej części wieży.

- Tutaj - szepnął, wskazując małe zakratowane okienko dziesięć stóp wyżej.

- Czy okna z frontu mają kraty? - spytał Sparhawk.

- Nie. Są też większe i znajdują się niżej nad podłogą.

- A zatem to tutaj. - Sparhawk z trudem zwalczył pragnienie nakazujące krzyknąć z radości. - Aphrael mi je opisała. Mrużąc oczy, Kalten przyjrzał się wysokiemu oknu.

- Upewnijmy się, zanim zaczniemy świętować. - Wsparł się dłońmi o mur, stając w szerokim rozkroku. - Wejdz na mnie i rozejrzyj się, Sparhawkku.

- Jasne.

Sparhawk posłusznie wdrapał się na szerokie plecy przyjaciela. Ostrożnie postawił stopy na ramionach Kaltena i wyprostował się powoli, wyciągając ręce ku zakrywającej okno zardzewiałej kracie. Podciągnął do niej twarz i spojrzał w mrok.

- Ehlano? - zawołał cicho.

- Sparhawk? - W jej głosie brzmiało zdumienie.

- Proszę, mów ciszej. Wszystko w porządku?

- Teraz już tak. Skąd się tu wzięłeś?

- To długa historia. Jest z tobą Alean?

- Owszem, książę Sparhawkku - odparł srebrzysty dziewczęcy głos. - Czy Kalten przybył z tobą?

- W tej chwili stoję na jego ramionach. Możecie zapalić jakieś światło?

- Kategorycznie nie! - W głosie Ehlany dzwięczała rozpacz.

- Co się stało?

- Obcięli mi wszystkie włosy, Sparhawkku! - jęknęła. - Nie chcę, żebyś zobaczył mnie w takim stanie!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Talen zeskoczył z okna na kamienny taras.

- Mogę przez nie przejść - szepnął pewnym siebie tonem.

- A co z kratą? - spytał Kalten.

- To tylko ozdoba. Od początku nie była zbyt solidna, a w dodatku zamontowano ją kilka wieków temu. Szybko ją oblużuję.

- Zaczekajmy do powrotu Xanetii - zdecydował Sparhawk. - Zanim przejdziemy do działania, muszę wiedzieć, z czym mamy do czynienia.

- Nie chciałabym cię urazić - rzekła cicho Mirtai do Talena -ale nie pojmuję, na co może przydać się twoja obecność w celi, kiedy dojdzie do walki i pół tuzina Cyrgaich wpadnie do środka, żeby zabić Ehlanę i Alean.

- Chodzi o to, kochanieńka, że nie dostanom siem do celi -odparł z szerokim uśmiechem. - Drzwi są zamknięte.

- Oni mają klucz.

- Daj mi pół minuty sam na sam z zamkiem, a ich klucz przestanie pasować. Nie wejdą, wierz mi.

- Istnieje jakaś inna możliwość? - wtrącił Bevier.

- Biorąc pod uwagę, jak mało czasu zostało nam do wschodu słońca, nie - odrzekł Sparhawk, zerkając z troską na wschodni horyzont. - Kaltenie, wejdź na górę i przyjrzyj się kracie.

- Dobrze.

Jasnowłosy pandionita wdrapał się na ścianę. Dotarłszy do okienka, chwycił oburącz starą żelazną kratę i zaczął nią szarpać. Wkrótce na jego kompanów posypały się odłamki zaprawy.

- Cicho! - szepnęła Mirtai.

- Już jest luźna - odparł ochrypłym szeptem. - Zaprawa się kruszy. - Przestał szarpać żelazne pręty i nachylił się bliżej okna. - Ehлана chce z tobą pomówić, Sparhawk - zawołał cicho.

Sparhawk wspiął się ku niemu.

- Tak, ukochana? - szepnął w mrok.

- Co planujesz, Sparhawk? - mruknęła; jej głos zabrzmiał tak blisko, że wydało mu się, iż mógłby niemal jej dotknąć.

- Wyrwiemy kratę, a potem Talen wczółga się przez okno. Zablokuje zamek, by żołnierze nie mogli dostać się do celi. Wówczas reszta grupy zaatakuje strażę. Czy Zalasta jest gdzieś w pobliżu?

- Nie. Razem z Ekatasem poszli do świątyni. On wie, że tu jesteś, Sparhawk. Jakoś cię wyczuł. Santheocles kazał swoim ludziom szukać was w mieście.

- Chyba ich wyprzedzamy. Wątpię, by zdawali sobie sprawę, że dotarliśmy już na górę.

- A jak właściwie się tu dostaliście, Sparhawk? Wszystkie schody są strzeżone.

- Wspięliśmy się po ścianie wieży. Kiedy budzą się ci wartownicy?

- Zazwyczaj o świcie. Gotują w wartowni paskudztwo, które uchodzi tu za jedzenie.

Potem przynoszą śniadanie Alean i mnie.

- Dziś rano wasze śniadanie może się nieco spóźnić, ukochana - szepnął z szerokim uśmiechem. - Obawiam się, że wkrótce kucharze będą mieli na głowie ważniejszą sprawę.

- Bądź ostrożny, Sparhawk.

- Oczywiście, moja królowo.

- Sparhawk! - zawołała cicho Mirtai. - Xanetia wróciła.

- Muszę już uciekać, kochana - szepnął w mrok. - Wkrótce cię stamtąd wyciągniemy.

Kocham cię.

- Jak to miło z twojej strony! Sparhawk szybko zsunął się na ziemię.

- Witaj z powrotem, Anarae - powiedział do Xanetii.

- W osobliwym zdajesz się humorze, Anakho - odparła lekko zaskoczonym tonem.

- Właśnie rozmawiałem z moją żoną - rzekł. - To zawsze poprawia mi nastrój. Z iloma strażnikami musimy się rozprawić?

- Lękam się, iż najmniej z dwiema dziesiątkami, Anakho.

- Chyba mamy problem, Sparhawk - zauważył Bevier. - To co prawda Cyrgai i w dodatku niezbyt bystry, lecz dwudziestu wciąż może sprawić nam nieco kłopotów.

- Może nie - nie zgodził się Sparhawk. - Aphrael twierdzi, że tu na górze są tylko trzy pomieszczenia - główny pokój, cela, w której przetrzymują Ehlanę i Alean, oraz wartownia. Miała rację, Anarae?

- Istotnie - odparła Xanetia. - Cela i wartownia po północnej leżą stronie, komnata główna po południowej; okna jej na świątynię Cyrgona wychodzą. Z półsennych myśli Cyrgaich, którzy łoża już opuścili, wiem, iż wieża ta ulubionym miejscem jest króla Santheoclesa, który rad królestwo swe z niej ogląda - jako i rozkoszuje się poddanych uwielbieniem.

- Dureń - mruknęła Mirtai. - Nie ma nic lepszego do roboty? Xanetia uśmiechnęła się słabo.

- Niczego innego robić nie potrafi, Atano. Nawet strażnicy jego, sami sprytu pozbawieni, umysł króla swego w pogardzie mają, wszelako rozum czy też jego brak znaczenia tu nie ma. Santheocles potomkiem jest królewskiego rodu i obowiązek tylko jeden ma: nosić koronę.

- Mógłby to robić zwykły wieszak - zauważył Talen.

- Zaiste.

- Czy wartownicy zmieniają się według jakiegoś rozkładu? - spytał Bevier.

- Nie, panie rycerzu. Muszą jedynie w gotowości trwać, by na rozkazy króla swego się stawić, i nic ponadto. Po prawdzie bardziej trębacze to niż wojownicy. Najważniejsze ich zadanie to fanfarą donośną pobratymcom ogłaszać, iż Santheocles na wieży się pojawi, by uwielbieniem Cyrgaich się napawać.

- I czekają na to w wartowni? - naciskał Sparhawk.

- Prócz czterech - dwóch drzwi więzienia królowej twej pilnujących i dwóch, co schodów strzegą, które na niższe piętra wieży wiodą.

- Czy z wartowni mogą dostać się do celi królowej? - dopytywał się Bevier.

- Nie. Jedne jeno drzwi tam wiodą.

- A jak szerokie jest przejście pomiędzy wartownią a głównym pomieszczeniem?

- Na jednego człowieka szerokie, panie Bevierze.

- Kalten i ja utrzymamy je bez trudu, Sparhawk.

- Czy do wartowni prowadzą jeszcze inne drzwi? - wtrącił Kalten.

Xanetia pokręciła głową.

- Duże okna?

- Jedno tylko - bliźniacze do tego nad głowami naszymi, choć kraty pozbawione.

- To ogranicza liczbę przeciwników w głównej komnacie do czterech - podsumował Kalten. - Bevier i ja możemy utrzymać resztę w zamknięciu przez tydzień, jeśli będzie potrzeba.

- A my ze Sparhawkiem załatwimy tych przy drzwiach celi i na szczycie schodów - dodała Mirtai.

- Najpierw niech Talen wejdzie do celi - zdecydował Sparhawk, ponownie oglądając się na wschód, gdzie ciemność powoli ustępowała miejsca jasnemu brzaskowi.

Kalten z powrotem wdrapał się na mur i zaczął dłubać w zaprawie ciężkim sztyletem.

- Anarae, przejdź na przód i trzymaj straż. Daj nam znać, jeśli ktokolwiek wejdzie po

tych schodach.

Xanetia przytaknęła i zniknęła za rogiem wieży.

Sparhawk wdrapał się na ścianę i zaatakował zaprawę po lewej stronie żelaznej kraty, podczas gdy jego przyjaciel zajął się stroną prawą. Po kilku chwilach Kalten chwycił zardzewiałe sztaby i pociągnął.

- Dół już wyszedł - mruknął. - Teraz góra.

- Jasne. - Obaj skoncentrowali się na górnej części kraty, pospiesznie odbijając zaprawę. - Uważaj, kiedy się urwie - ostrzegł Sparhawk. - Nie chcemy, żeby spadła na ziemię i narobiła hałasu.

- Z tej strony już wyszła - szepnął Kalten. - Przytrzymam ją, podczas gdy ty wydłubiesz swoją. - Sięgnął do środka i poszukał bezpiecznego uchwytu dla prawej dłoni, lewą ściskając żelazne pręty.

Sparhawk zdwoił wysiłki, zasypując taras poniżej deszczem pyłu i odłamków.

- Chyba już - wyszeptał.

- Zobaczymy. - Ramiona Kaltena napięły się i stara krata ze zgrzytem wysunęła się ze ściany. Tym samym ruchem przyjaciel Sparhawk cisnął ciężki przedmiot przez balustradę.

- Co ty wyprawiasz? - wykrztusił Sparhawk.

- Pozbywam się jej.

- Wiesz, ile hałasu narobi, kiedy uderzy w ziemię?

- I co? To pięćset stóp niżej. Niech sobie hałasuje. Jeżeli jakiś Cyrgai czy cynesgański poganiacz niewolników stoi akurat pod nią, czeka go paskudna niespodzianka. Ale nam przecież to nie przeszkadza.

Sparhawk przepchnął głowę przez odsłonięty otwór.

- Ehlano - szepnął - jesteś tam?

- A gdzie indziej mogłabym być, Sparhawkku?

- Przepraszam, to było głupie pytanie. Wyrwaliśmy już kratę. Posyłamy do środka Talena. Krzyknijcie albo co, gdy tylko zablokuje zamek, by strażnicy nie mogli się tam dostać.

- Zejdź mi z drogi, Sparhawkku - mruknął ostro czekający tuż pod nim Talen. - Nie dostanę się tam, póki zasłaniasz całe okno.

Sparhawk odsunął się i zręczny chłopak zaczął przeciskać się do środka. Nagle przerwał.

- Nic z tego - mruknął. - Wyciągnijcie mnie.

- Co się stało? - spytał Kalten.

- Po prostu mnie wyciągnijcie, Kaltenie. Nie mam czasu na wyjaśnienia.

Serce Sparhawk zamarło, gdy wraz z Kalteniem wyszarpnęli młodego złodzieja z otworu.

- Jedną chwileczkę. - Talen obrócił się na bok, potem wyciągnął ręce, sięgając ponad głowę. - W porządku. Pchajcie.

- Zaraz znowu utkniesz - zaprotestował Kalten.

- Więc będziecie musieli pchać mocniej. Oto do czego prowadzi zdrowa żywność, ćwiczenia i uczciwe życie, do którego mnie zmuszasz, Sparhawk. Tak bardzo urosłem, że nie mogę precyzyjnie przycisnąć ramion. - Znow zaczął wiercić się w okienku. — Pchajcie, panowie - polecił.

Obydwaj rycerze nacisnęli dłońmi jego stopy.

- Mocniej! - wykrztusił.

- Zedrzesz sobie całą skórę - ostrzegł Kalten.

- Jestem młody. Przeżyję. Pchajcie.

Posłusznie naparli na jego nogi i po chwili, wierząc się i klnąc pod nosem, Talen zniknął w celi.

- Nic mu nie jest? - szepnął ochryple Sparhawk.

- Wszystko w porządku, Sparhawk - odszepnął Talen. - Lepiej ruszajcie. To nie potrwa długo. Sparhawk i Kalten zeskoczyli na ziemię.

- Zaczynamy - powiedział krótko Sparhawk. Trzej rycerze i atańska olbrzymka pobiegli bezszelestnie na południową stronę wieży.

- Ciszej, Anakho. - Głos Xanetii zdawał się dobiegać znikąd.

- Czy już się budzą, Anarae? - spytał Bevier.

- Z wartowni pierwsze dźwięki dochodzą - odparła.

Od frontu w ścianie wieży po obu stronach szerokich drzwi tkwiły dwa wielkie nieoszkłone okna. Sparhawk ostrożnie uniósł głowę nad parapetem bliższego i zajrzał do środka. Pomieszczenie, jak mówiła Aphrael, było raczej spore. Na skąpe umeblowanie składały się ławy, kilka stołków i parę niskich stołów. Wnętrze oświetlały prymitywne lampy oliwne. Z tyłu po prawej dostrzegł wąskie drzwi, których strzegli dwaj podobni do posągów Cyrgai. Schody po lewej stronie pokoju, także strzeżone, z trzech stron otaczał niski mur. Drugie drzwi, te wiodące do wartowni, również znajdowały się po lewej, nieopodal szczytu stopni.

Sparhawk przyjrzał się uważnie strażnikom, studiując ich broń i ekwipunek. Byli to muskularni mężczyźni w archaicznych napierśnikach, hełmach z pióropuszcami i krótkich skórzanych spódniczkach. Każdy z nich miał przypiętą do lewego ramienia dużą okrągłą

tarczę, a w prawej dłoni ścisnął ośmiostopową włócznię. U ich pasów wisiały miecze i ciężkie sztylety.

Sparhawk odsunął się od okna.

- Lepiej się im przyjrzyjcie - szepnął do przyjaciół. Kalten, Bevier i Mirtai po kolei unieśli się odrobinę, zerkając do pokoju.

- Czy są zamknięte, Anarae? - zapytał Sparhawk, wskazując wyjście z budynku.

- Uznałam, iż rozsądniej będzie nie sprawdzać, Anakho. Cyr-gai rzemieślnikami nie są zręcznymi i myślę, iż żadnego w mieście rygła bezdźwięcznie unieść się nie da.

- Chyba masz rację - uznał. - Cofnijmy się za róg - polecił pozostałym, prowadząc ich na wschód.

- Robi się jaśniej - zauważył Kalten, wskazując horyzont. Sparhawk mruknął potakująco.

- Wejdziemy przez okna - powiedział. - W drzwiach tylko byśmy się zaklinowali. Bevierze, ty i Mirtai atakujcie z jednej strony. My z Kaltenem wpadniemy przez drugie okno. Uważajcie. Włócznie chyba są ich podstawową bronią, więc pewnie niezłe nimi władają. Nie zwlekajcie. Załatwcie ich szybko, a potem zatarasujcie drzwi wartowni. My zajmiemy się schodami.

- Ja to zrobię, Sparhawk - zapewniła go Mirtai. - Ty skup się na wydostaniu z celi naszych przyjaciół.

- Zgoda. Gdy tylko uwolnimy całą trójkę, wyciągnę Bhel-liom. To powinno znacząco zmienić równowagę sił.

I wówczas nad uśpionym miastem wzniósł się czysty głos, nucący przejmująco smutną pieśń.

- Oto sygnał! - rzucił Kalten. - To Alean! Talen skończył! Ruszajmy!

- Słyszeliście? - dodał Sparhawk, cofając się, aby przepuścić Mirtai i Beviera. - Dam wam znak i wkraczamy wszyscy naraz.

Bevier i Mirtai, schylając się, przebiegli obok okna i zajęli pozycje po drugiej stronie drzwi.

- Ty trzymaj się z daleka, Anarae - mruknął Sparhawk do niewidzialnej Xanetii. - To nie twoja walka. - Zmarszczył brwi.

Nie wyczuwał w pobliżu jej obecności. - W porządku, Kaltene - rzekł. - Bierzmy się do roboty.

Obydwaj podkradli się cicho z mieczami w dłoniach i przykucnęli pod szerokim oknem. Sparhawk uniósł lekko głowę, rozglądając się. Mirtai i Bevier czekali w napięciu.

Odetchnął głęboko i sprężył się.

- Teraz! - krzyknął, kładąc dłoń na framudze i wskazując do środka.

Przed chwilą w środku było czterech Cyrgaich - teraz dziesięciu.

- Zmieniają warty, Sparhawk! - huknął Bevier, biorąc oburącz zamach swą śmiercionośną halabardą.

Zaskoczenie wciąż działało na ich korzyść, lecz sytuacja uległa drastycznej zmianie. Sparhawk zaklął i powalił mężczyznę niosącego jakieś naczynie - najpewniej śniadanie więźniarek. Następnie skoczył ku czterem oszołomionym wartownikom, kręcącym się przed drzwiami celi. Jeden z nich siłował się z zamkiem, podczas gdy trzej pozostali starali się zająć pozycje. Niewątpliwie byli zdyscyplinowanymi wojownikami, a ich włócznie stanowiły poważny problem.

Sparhawk zmełł w ustach przekleństwo i zamachnął się ciężkim mieczem, celując w drzewca włóczni. Stojący z boku Kalten także zajął się bronią przeciwników. Z drugiej strony pomieszczenia dochodziły odgłosy walki, lecz Sparhawk nie miał czasu się oglądać, gdyż całkowicie skupił się na próbach dotarcia do strażnika usiłującego otworzyć drzwi celi.

Dwie włócznie były już złamane. Cyrgai odrzucili je i dobyli mieczy. Trzeci żołnierz, dzierżąc nietkniętą broń, cofnął się, osłaniając walczącego z zamkiem towarzysza.

Sparhawk zaryzykował szybki rzut oka na drugą stronę pomieszczenia. Mirtai uniosła właśnie nad głowę szamoczącego się wartownika i cisnęła go z całych sił w dół schodów. Po sekundzie rozległ się ogłuszający łoskot. Dwaj inni Cyrgai leżeli na podłodze, martwi lub umierający. Bevier, jak kiedyś w sali tronowej Othy, strzegł drzwi wartowni, podczas gdy Mirtai niczym wielki złocisty kot atakowała pozostałych strażników na szczycie schodów. Sparhawk szybko odwrócił się ku swoim przeciwnikom.

Cyrgai niezbyt dobrze radzili sobie z mieczami, a ich wielkie tarcze raczej zawadzały, niż chroniły. Sparhawk zamarkował cios w głowę jednego z nich, a gdy tamten odruchowo uniósł tarczę, natychmiast cofnął się i wbił klingę w środek błyszczącego napierśnika. Cyrgai krzyknął i runął do tyłu. Z otworu w zbroi tryskała krew.

To nie wystarczyło. Cyrgai przy drzwiach celi porzucił zmagania z zamkiem i zaczął napierać na nie ramieniem. Sparhawk wyraźnie słyszał trzask pękającego drewna. Rozpaczliwie ponowił atak. Jeśli strażnik je wyłamie...

I wtedy drzwi same otwarły się do wewnątrz. Z triumfalnym okrzykiem wyważający je Cyrgai dobył miecza, a potem wrzasnął, gdy pomieszczenia zalało nowe światło.

Xanetia, płonąca niczym słońce, stała na progu, wyciągając śmiercionośną dłoń.

Strażnik ponownie krzyknął, cofnął się, zaplątał pomiędzy dwóch walczących

towarzyszy. Uwolniwszy się, popędził do okna i skoczył.

Nie zwalniając kroku, pokonał balustradę i z rozpaczliwym wrzaskiem runął w dół.

Dwaj pozostali Cyrgai przy drzwiach celi również uciekli, przemykając pod ścianami niczym przerażone myszy.

- Mirtai! - ryknął Sparhawk. - Cofnij się! Przepuść ich!

Atanka dzwignęła właśnie nad głowę kolejnego wrywającego się wojownika. Zrzuciła go ze schodów i odwróciła się gwałtownie, po czym natychmiast odskoczyła, przepuszczając wystraszonych żołnierzy.

- Odejdź, panie rycerzu - poleciła Bevierowi Xanetia. - Ja drzwi te zagrodzę i zaręczam, iż nikt przez nie nie przejdzie.

Bevier spojrzał na jej lśniąca twarz, po czym cofnął się bez słowa.

Cyrgaim wewnątrz wartowni wystarczył jeden rzut oka na świetlistą postać. Odskoczyli za próg i gwałtownie zatrzęsnęli drzwi.

- Już w porządku, Ehlano! - zawołał Sparhawk.

Talen wyszedł pierwszy, blady i wstrząśnięty. Tunika chłopca była porozrywana w kilkunastu miejscach, a długie krwawiące zadrapanie na ramieniu świadczyło o ciężkiej walce stoczonej z wąskim oknem. Z podziwem patrzył na Xanetię.

- Wleciała przez okno w obłoku dymu, Sparhawk! - wykrztusi).

- Mgły, młody Talenie - poprawiła spokojnie Xanetia. Wciąż jaśniejac wewnętrznym blaskiem, pełniła straż przy drzwiach wartowni. - Dym bowiem ludzkiemu ciału nie służy.

Z wnętrza pomieszczenia dobiegały głośnie hurkoty.

- Chyba przestawiają meble, Sparhawk! - roześmiał się Bevier. - Pewnie usypują z nich barykadę.

I wówczas z celi wypadła Alean, rzucając się w ramiona Kaltena. Tuż za nią z więzienia wyłoniła się Ehlana. Była jeszcze bledsza niż zwykle, co podkreślały dodatkowo ciemne kręgi pod oczami. Ubranie miała obdarte, a jej głowę spowijał ciasno kwef, przypominający bandaż.

- Och, Sparhawk! - krzyknęła cicho, wyciągając ręce. Natychmiast podbiegł i objął ją mocno. Daleko w dole rozległ się dziki ryk.

- Anakho! - zagrzmiął w głowie Sparhawk głos Bhellio-mu. - Cyrgon grożące mu niebezpieczeństwo wyczuł. Uwolnij mię!

Sparhawk wyszarpnął sakwę spod tuniki i zaczął rozplątywać sznurki.

- Co to za krzyk?

- Cyrgon wie, że uwolniliśmy Ehlane! - odparł z napięciem Sparhawk, wyciągając z

sakwy puzdro Kurika.

- Otwórz się! - polecił.

Pokrywka uniosła się i twarz Sparhawk załża błękitna poświata Bhelliomu. Rycerz ostrożnie uniół klejnot.

- Wchodzą po schodach, Sparhawk! - ostrzegła Mirtai.

- Odsuń się - rzucił ostro. - Błękitna Rózo, azali zechcesz nieprzyjaciołom naszym, którzy w chwili tej po schodach się wspinają, drogę zagrozić?

Bhelliom nie odpowiedział, lecz sięgający im do pasa mur, który otaczał szczyt schodów, runął z hukiem naprzód. Lawina kamieni posypała się w dół, wzbijając w powietrze potężną chmurę pyłu.

- Aphrael powiadom, iż matka jej jest bezpieczna - polecił sucho Bhelliom. - Niechaj rozpocznie się atak. Sparhawk rzucił zakłęcie.

- Aphrael! - powiedział ostro - mamy Ehlane. Każ naszym zaczynać.

- Czy Bhelliom mógłby przełamać iluzję Cyrgona ? - spytała tonem równie spiętym jak przedtem szafirowa róża.

- Błękitna Rózo - rzekł bezdźwięcznie Sparhawk - uluda Cyrgona wciąż dostępu przyjaciołom naszym do miasta broni. Azali mógłbyś rozproszyc ją, by ich siły przypuściły atak na to miejsce przeklęte?

- Będzie, jak sobie życzysz, mój synu.

Zapadła cisza. Po chwili ziemia zadrżała lekko, a niebo zamigotało i wydało się falować. Z dziobatej białej świątyni daleko w dole dobiegł przeraźliwy wrzask bólu.

- O rany! - mruknęła łagodnie Flecik, pojawiając się na środku pokoju. - Nigdy nie przełamano mi zakłęcia liczącego dziesięć tysięcy lat. Założę się, że to musi boleć. Biedny Cyrgon ma naprawdę paskudną noc.

- Noc ta końca jeszcze nie dobiegła, bogini-dziecię - przemówił Bhelliom ustami Kaltena. - Zachowaj niestosownej swej pychy wyrazy do zwycięstwa chwili.

- Też mi!

- Cicho, Aphrael. Strzec się musimy, Anakho. Co Cyrgon wie, Klael wie także. Zbliża się walka nasza i musimy być na nią gotowi.

- Istotnie - zgodził się Sparhawk. Powiódł wzrokiem po twarzach przyjaciół. - Ruszajmy - rzekł. - Zajmijmy pozycje na blankach i miejmy oczy szeroko otwarte. Nadchodzi Kisi, a nie chcę, żeby zaskoczył mnie nieprzygotowanego. Czy schody zostały zablokowane?

- Nawet mysz nie prześliznęłaby się przez to rumowisko - odparła Mirtai.

- Możemy zapomnieć o wartownikach - oznajmił Bevier, odwracając się od drzwi ich

pomieszczenia. - Wciąż przestawiają meble.

- Doskonale. - Sparhawk podszedł do drzwi prowadzących na zewnątrz. Zardzewiałe zawiasy zazgrzytały w donośnym proteście. - Tylko bez żadnych popisów - uprzedził przyjaciół. -To walka pomiędzy Bhelliomem i Kładem. Rozdzielcie się i uważajcie.

Gdy wyszli na szczyt wieży, niebo na wschodzie jaśniało, zapowiadając nadchodzący dzień, a pełne cierpienia wrzaski Cyr-gona wciąż odbijały się echem w Ukrytym Mieście.

- Tam! - Talen wskazał bazaltową ścianę za jeziorem na południu.

Z Doliny Bohaterów wylewała się masa drobniutkich sylwetek, czarnych w świetle poranka, zmierzających w stronę kotliny przed bramami Cyrgi.

- Kto to?! - krzyknęła Ehlana, ściskając nagle rękę męża.

- Vanion - odparł Sparhawk. - Oraz wszyscy inni - Betuana, Kring, Ulath i trolle, Sephrenia...

- Sephrenia?! - wykrzyknęła Ehlana. - Ona nie żyje!

- Nie sądziłaś chyba, że pozwoliłabym Zalaście zabić moją siostrę, Ehlano? - wtrąciła Flecik.

- Ale mówił, że pchnął ją prosto w serce. Bogini-dziecko wzruszyła ramionami.

- Owszem, lecz Bhelliom ją uleczył. I nie martw się, YanioA zamierza podjąć stosowne kroki. >i Talen przybiegł ku nim z drugiej strony wieży.

- Stamtąd nadciąga Bergsten - zameldował. - Jego rycerze, nie zwalniając nawet kroku, zmiażdżyli właśnie trzy regimenty Cyrgaich.

- Mam nadzieję, że nie znajdziemy się w samym środku oblężenia - rzekł z zatroskaną miną Kalten.

- Mało prawdopodobne - odrzekł Bevier. - Obrona tego miasta jest załóżnie słaba, a patriarcha Bergsten bywa bardzo gwałtowny.

Nagle w dole rozległ się ogłuszający huk i dach białej świątyni eksplodował, rozsypując na wszystkie strony odłamki wapienia. Nieskończony mrok Kisła wynurzył się z domu Cyrгона, rozkładając potężne skórzaste skrzydła. Płonące skośne oczy rozglądały się szaleńczo.

- Anakho, unieść mię zechciej, by brat mój zoczyć mię mógł. - W głosie dobiegającym z ust Kaltena brzmiała niezwykła obojętność.

Dłoń Sparhawka drżała, gdy podnosił nad głowę szafirową różę.

Kalten, poruszając się sztywno, łagodnie uwolnił się z objęć Alean i stanął na kamiennej poręczy, okalającej szczyt wieży. Przemówił w języku, którego nie zdołałby powtórzyć żaden człowiek. Jego słowa słyszano zapewne w Chyrellos, po drugiej stronie

świata.

Ogromny Klael, po pas zagrzebany w ruinach świątyni Cyrгона, uniósł trójkątną twarz i ryknął w odpowiedzi. Z jego ostrych kłów ściekał ogień.

- Czujnym bądź, Anakho. - Głos Bhelliomu przemówił cicho w umyśle Sparhawk. - Nadal szydzić będę ze zbłąkanego brata mego, póki wściekłością ogarnięty nie przybędzie, by bitwę ze mną stoczyć. Wytrwaj w obliczu nadciągającej grozy, albowiem sukces nasz bądź porażka od twojej odwagi i siły ramienia zależą.

- Nie pojmuję, Błękitna Różo. Azali porazić mam Klala? o - Nie, Anakho. Zadaniem twym jest mię uwolnić. j, Olbrzymi stwór ciemności gwałtownie odrzucił wapienne gruzy i ruszył w stronę pałacu, wyciągając zgłodniałe ramiona. Gdy dotarł do potężnej bramy, powalił ją jednym ciosem pioruna, zaciśniętego niczym bicz w gigantycznej pięści. Kalten nadal zasypywał go ogłuszającymi wyzwiskami, a Klael wył z wściekłości, przebijając się przez niższe skrzydła pałacu i niszcząc wszystko, co zagrażało mu drogę do wieży. W końcu dotarł do niej i chwytając ogromnymi rękami nierówne kamienie, zaczął się wspinać. Jego skrzydła biły o powietrze, gdy wznosił się wyżej i wyżej.

- Jak mam cię uwolnić. Błękitna Różo? - spytał szybko Sparhawk.

- Brat mój i ja na krótko złączyć się musimy, synu - odparł Bhelliom - by znów stać się jednością jako kiedyś, alibo na zawsze uwięzionym pozostanę w lazurowym kryształ - jako i Klal w swej obecnej straszliwej postaci. Złączywszy się na czas jakiś, obaj okowy zrzucimy.

- Połączyć się? Jak?

- Gdy na wysokość tę znaczną dotrze i wyraz da swej radości zwycięskim okrzykiem, cisnąć mię musisz wprost w otwartą paszczę jego.

- Co takiego?

- Z całego serca pożreć mię pragnie. Pozwól mu. W chwili złączenia Klcel i ja jednak z obecnych naszych postaci uwolnieni będziemy i wówczas walka nasza się rozpocznie. Nie zawieź mię, synu, to jest bowiem cel życia twego i przeznaczenie, dla którego cię stworzyłem.

Sparhawk odetchnął głęboko.

- Nie zawiodę cię, ojciec - przyrzekł z całego serca.

Wciąż rycząc ze złości i rozkładając złaknione wiatru skóra-ste skrzydła, Klael wspinał się coraz wyżej i wyżej po przedniej ścianie pałacowej wieży. Sparhawk ogarnęła dziwna chłodna obojętność. Spojrzał wprost w oblicze króla piekieł i nie poczuł strachu. Jego zadanie było najprostsze na świecie. Musiał jedynie cisnąć szafirową różę w rozwartą

paszczę, a jeśli nie nadarzy się sposobność - skoczyć samemu z Bhelliomem w wyciągniętej ręce. Powziąwszy to postanowienie, nie czuł żalu czy nawet smutku. Lepsze to niż śmierć w bezsensownej, nierozstrzygniętej potyczce granicznej, jaka spotkała wielu jego przyjaciół. W ten sposób przynajmniej dokonałby czegoś ważnego, a na cóż więcej mógłby liczyć żołnierz?

Klael wciąż parł w górę, wspinając się coraz wyżej, sięgając zachłannie ku swemu znenawidzonemu bratu. Był już zaledwie o kilka jardów od nich. Ukośne oczy płonęły okrutnym zwycięskim blaskiem, z poszarpanych kłów ściekały płomienie, gdy zagrział wyzywająco.

Wówczas Sparhawk wskoczył na starożytne blanki, stając z wysoko wzniesionym Bhelliomem.

- Za Boga i moją królową! - krzyknął w odpowiedzi. Klael wyciągnął olbrzymią rękę.

I wtedy Sparhawk uderzył, jak nagle zwolniona potężna sprężyna. Jego ręka śmignęła niczym bat.

- Idź! - krzyknął, uwalniając lśniący klejnot.

Celna jak strzała szafirowa róża popłynęła z jego ręki ku rozwierającym się szczękom Klasla i zniknęła w ognistej paszczy.

Wieża zadrżała, gdy przez uczeponą jej ściany lśniaco czarną istotę przebiegł gwałtowny dreszcz. Sparhawk z trudem utrzymał równowagę na szczycie blanków. Patrzył, jak Kalten pada do tyłu na kamienny taras.

Skrzydła Klaela rozpostarły się na całą szerokość w straszliwym napięciu. Potężna bestia nadęła się i stała jeszcze większa. Potem zaczęła się kurczyć, marszczyć...

A potem eksplodowała.

Wybuch wstrząsnął ziemią i Sparhawk runął ciężko na kamienne płyty. Szybko odturlał się na bok, zerwał na równe nogi i popędził z powrotem ku balustradzie.

Dwie świetlne istoty, jedna lśniaco błękitna, druga ognisto-czerwona, zmagaly się z sobą, wisząc w powietrzu zaledwie dziesięć stóp od niego. Ich walka była prosta i żywiołowa: gwałtowne starcie woli i siły. Pozbawione cech szczególnych postacie tylko w ogólnych zarysach przypominały ludzi. Przepychając się w przód i w tył, zwarły się z sobą niczym zapaśnicy na wiejskim targu, całą mocą i umysłem próbując pokonać równie silnego przeciwnika.

Sparhawk i jego przyjaciele stali przy blankach, zamarli w bezruchu, zdolni jedynie obserwować tę odwieczną walkę.

A potem dwie istoty oderwały się od siebie i stanęły w pół-ukłonie, wyciągając ku sobie ręce, nieśmiertelni bracia złączeni w niepojętym porozumieniu.

- Brzemie to na cię spada, Anakho. - Głos Bhelliomu w umyśle Sparhawka był bardzo spokojny. - Gdybyśmy z Klalem dalej walczyli, świat ten z pewnością uległby zagładzie, jak to często bywało w przeszłości. Tyś jest z tego świata, musisz zatem rycerzem mym zostać. Ograniczenia wiążą cię, których ja nie znam. Rycerz Klcela także ze świata tego pochodzi i moc jego podobnie jest ograniczona.

- Będzie, jako każesz, ojcie - odparł Sparhawk. - Jeśli trzeba, rycerzem twym się stanę. Z kim walczyć muszę?

Daleko w dole rozległ się ryk wściekłości i ze strzaskanych ruin kredowobiałej świątyni wystrzelił żywy płomień.

- Oto przeciwnik twój, mój synu - odparł błękitny duch. - Kitel wezwał go, aby do bitwy z tobą stanął.

- Cyrgon!

- Rzekłeś.

- Ależ to bóg!

- A tyś nim nie jest?

Sparhawk poczuł, jak kręci mu się w głowie.

- Wejrzyj w siebie, Anakho. Synem mym jesteś i uczyniłem z ciebie naczynie mej woli. Teraz uwolnię ją, abyś stał się rycerzem tego świata. Poczuj, jak moc ma cię napełnia.

Przypominało to otwarcie drzwi, które zawsze dotąd pozostawały zamknięte. Sparhawk czuł, jak jego umysł i wola nabierają nieskończonej mocy, gdy padła bariera, a wraz z owym napływem mocy ogarnął go niewiarygodny spokój.

- Teraz zaiste naprawdę Anakhą jesteś, synem mym! - radował się Bhelliom. - Wola twa moją jest wolą, wszystkiego dokonać możesz. Twoja to wola pokonała Azasha. Ja byłem jedynie instrumentem. Teraz jednak ty moim się staniesz. Skup wolę swą niezwykłą na tym zadaniu. W dłoń ją uchwycić i ukształtować. Wykuj w umyśle broń i staw czoło Cyrgonowi. Jeśli serce twe prawym pozostanie, wygrać z tobą nie zdoła. A teraz idź. Cyrgon czeka.

Sparhawk odetchnął głęboko i spojrzął w dół, na zasłany rumowiskiem plac. Płomień, który wynurzył się z ruin, przybrał postać ognistego człowieka stojącego przed gruzami świątyni.

- Przybądź, Anakho! - ryknął. - Nasze spotkanie przepowiedziane zostało od początku czasu! Oto twe przeznaczenie! Zaszczyc największy cię spotka, albowiem z mojej zginiesz ręki!

Sparhawk z rozmysłem odrzucił pompatyczne zadęcie archaicznych fraz.

- Nie zaczynaj świętować przed zwycięstwem, Cyrgonie! - odkrzyknął. - Nie odchodź!

Zaraz tam będę! - To rzekłszy, położył dłoń na blankach i lekko je przeskoczył.

I natychmiast zawisł w powietrzu. ,

- Puszczaj, Aphrael - rzekł.

- Co ty wyprawiasz?! - zawołała.

- Rób, co ci każe. Puść mnie.

- Spadniesz.

- Nie spadnę. Dam sobie radę. Nie wtrącaj się. Cyrgon na mnie czeka, więc puść, proszę.

Nie było to dokładnie latanie, choć Sparhawk wiedział, że gdyby zechciał, potrafiłby też latać. Szybując powoli w dół, ku ruinom świątyni Cyrgona, czuł osobliwą lekkość. Nie znaczyło to, że nic nie ważył, lecz że jego ciężar stracił znaczenie. Wola przewyciężyła grawitację. Z mieczem w dłoni opadał coraz niżej niczym złowrogie szybujące piórko.

Cyrgon czekał. Płonąca postać starożytnego boga zebrała wokół siebie ogień, tworząc z niego antyczną zbroję, podobną do tej, którą przywdziewali jego wyznawcy - lśniący stalowy półpancerz, hełm z pióropuszem, wielką okrągłą tarczę i miecz.

Kiedy Sparhawk opadał w chłodnym porannym powietrzu, nagle zrozumiał naturę swego przeciwnika. Cyrgon był nie tyle głupi, ile konserwatywny. To zmiany nienawidził. Jej lękał się najbardziej. Sprawił więc, iż jego Cyrgai zastygli na wieczność w czasie, wymazując z ich umysłów dążenie do zmian i innowacji. Cyrgai, nie tknięci wichrami czasu, na zawsze pozostaną tacy sami jak w chwili, gdy powstali w umyśle swego boga. Cyrgon stworzył ideał, obwarowując go prawem, zwyczajami i wrodzoną nienawiścią do przemian, i skazując przez to na zagładę - od dnia, gdy pierwszy z jego ludu postawił stopę w sandale na piaskach nieustannie zmieniającego się świata.

Sparhawk uśmiechnął się lekko. Najwyraźniej Cyrgonowi przyda się krótkie szkolenie w zakresie korzyści płynących ze zmian, a jego pierwsza lekcja dotyczyć będzie przewagi, jaką daje współczesny ekwipunek, broń i taktyki. Pomyślał „zbroja” i natychmiast okryła go czarna oksydowana stal. Nonszalancko odrzucił prosty codzienny miecz, ujmując w dłoń cięższe i dłuższe ceremonialne ostrze. Był teraz pełnozbrojnym rycerzem Pan-dionu, żołnierzem Boga, wielu bogów - poprawił melancholijnie w duchu. Tym samym stał się orędownikiem nie tylko swojej królowej, kościoła i Boga, ale także, jeśli dobrze pojął myśli Bhelliomu, swej pięknej, choć czasem próżnej siostry - świata.

Opadł i osiadł na ziemi pośród ruin zburzonej świątyni.

- Bądź pozdrowiony, Cyrgonie - rzekł uroczyście.

- Bądź pozdrowiony, Anakho - odparł bóg. - Źle cię osądzałem. Godnym stałeś się

przeciwnikiem. Z rozpaczą obserwowałem cię w obawie, iż nigdy prawdziwego swego przeznaczenia nie pojmiesz. Nauka twa długo trwała. Tuszę, iż przeszkodził ci w niej niestosowny związek z Aphrael.

- Tracimy czas, Cyrgonie - uciał Sparhawk, znużony kwiecistymi przemowami. - I tak już spóźniłem się na śniadanie. n - Niechaj i tak będzie, Anakho! - Twarz o klasycznych rysach wyrażała aprobatę. - Broń się! - To rzekłszy, wziął zamach, celując w głowę Sparhawk.

Lecz Sparhawk zdążył już wznieść miecz i ostrza zderzyły się w powietrzu.

Dobrze było znów walczyć. Żadnej polityki, żadnych mętnych słów i fałszywych obietnic - jedynie czysty, ostry brzęk stali i gładkie ruchy ścięgien i mięśni.

Cyrgon był szybki, równie szybki jak Martel w młodości, i mimo nienawiści do zmian prędko się uczył. Nieznaczne ruchy przegubu i ramienia, znamionujące prawdziwego mistrza walki, przychodziły starożytnemu bogu niemal bez wysiłku.

- Odświeżające, prawda? - wydyszał Sparhawk, uśmiechając się drapieżnie i kalecząc boleśnie ramię boga. - Otwórz umysł, Cyrgonie. Nic nie jest wieczne i niezmiennie - nawet coś takiego jak to. - Ponownie wyprowadził cios, kolejny raz raniąc rękę z mieczem Cyrгона.

Nieśmiertelny napierał na niego, unosząc wielką tarczę, próbując wykorzystać swą ogromną siłę i potężną wolę, by pokonać lepiej wyszkolonego przeciwnika.

Sparhawk wejrzał w tę piękną twarz i dostrzegł na niej żal i desperację. Zgarbił się lekko, jak uczył go Kurik, i zablokował rękę z tarczą, tworząc nieprzeniknioną barierę, chroniącą go przed nieskutecznymi atakami przeciwnika. Odparowywał jego ciosy lekko trzymanym mieczem.

- Poddaj się, Cyrgonie - rzekł - i żyj. Poddaj się, i Kisł zostanie wygnany. Obaj jesteśmy z tego świata. Niechaj Klael i Bhelliom zmagają się o inne. Weź swój lud i swoje życie i odejź. Nie pragnę twojej śmierci.

- Ze wzgardą odrzucam obelżywą twą ofertę, Anakho! - niemal wrzasnął Cyrgon.

- To chyba zadowala wymogi rycerskiego honoru - mruknął do siebie z pewną ulgą Sparhawk. - Bóg jeden wie, co bym zrobił, gdybyś się zgodził. - Ponownie wzniósł miecz. - Niechaj i tak będzie, bracie - rzekł. - I tak nie było nam pisane żyć w tym samym świecie. - Poczł, jak skryte wewnątrz zbroi umysł i ciało napinają się nagle. - Patrz, bracie - syknął przez zaciśnięte zęby. - Patrz i ucz się.

A potem z całą furią i biegłością, którą zawdzięczał szkoleniu, będącemu efektem pięciu wieków doświadczeń, runął na nieszczęsnego, bezsilnego bożka, próbującego pozbawić cały świat pokoju - pokoju, którego Sparhawk łaknął od chwili powrotu z wygnania

w Rendorze. Rozdarł udo Cyrгона klasyczną kwartą.

Używając wynalezione go przez Martela pchnięcia, rozciął doskonałą twarz boga. Tercją i fintą Vaniona odrąbał górną połowę okrągłej tarczy. Ze wszystkich rycerzy kościoła pandionici byli najlepsi w szermierce, a wśród wszystkich pandionitów Spar-hawkowi przypadała palma pierwszeństwa. Bhelliom nazwał go równym bogom, lecz Sparhawk walczył jak człowiek - wspaniale wyszkolony, odczuwający lekki brak kondycji i naprawdę za stary na podobne starcia, lecz całkowicie pewny, że jeśli w jego rękach spoczywają losy świata, zdoła jeszcze poradzić sobie w jednej walce.

Jego miecz połyskiwał w blasku wschodzącego słońca, śmigając w przód i w tył, zataczając kręgi i wyprowadzając pchnięcia.

Oszołomiony starożytny Cyrgon usiłował odpowiedzieć. Nagle nadarzyła się szansa i Sparhawk dostrzegł w tym wszystkim idealną symetrię. Cyrgon nieświadomie popełnił dokładnie ten sam błąd co Martel w świątyni Azasha. Martel doskonale pojmował znaczenie tej serii ciosów, Cyrgon natomiast nie. Toteż był całkowicie zaskoczony, kiedy ostrze przeszło jego ciało. Bóg zeszywniał, z pozbawionych czucia palców wysunął się miecz, gdy Cyrgon zachwiał się po ostatnim ciosie.

Sparhawk cofnął się i uniósł w pozdrowieniu zakrwawioną klingę.

- Nowinka, Cyrgonie - rzekł obojętnym tonem. - Jesteś naprawdę bardzo dobry, ale powinienes nieco odświeżyć swą wiedzę.

Cyrgon osunął się na kamienne płyty dziedzica. Z wyrwy w napierśniku wyciekało nieśmiertelne życie.

- Azali zawładniesz teraz światem, Anakho? - wykrztusił. Sparhawk przykucnął przed powalonym bogiem.

- Nie, Cyrgonie - odparł ze znużeniem. - Nie chcę świata, jedynie mały cichy zakątek.

- Czemu zatem stanąłeś przeciw mnie?

- Nie chciałem też, abyś ty nim zawładnął, bo wtedy mój mały zakątek nie byłby już bezpieczny. - Wyciągnął rękę i ujął bladą dłoń. - Dobrze walczyłeś, Cyrgonie. Zasłużyłeś na mój szacunek. Bądź pozdrowiony i żegnaj.

Głos Cyrгона stawał się coraz cichszy, przechodząc w szept.

- Bądź pozdrowiony i żegnaj, Anakho.

Nagle nad ich głowami rozległ się ogłuszający krzyk rozpacz i wściekłości. Sparhawk uniósł wzrok i ujrzał ludzką postać z ognistoczerwonego światła, mknącą w górę ku porannemu niebu. To Klael podjął swą bezkresną podróż ku najdalszym gwiazdom.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Gdzieś toczyła się walka - brzęk stalowych mieczy, krzyki, wrzaski - lecz Ehlana ledwie słyszała owe dźwięki. Całą uwagę skupiała na placu między ruinami świątyni i tylko odrobinę mniej zrujnowanym pałacem.

Słońce wynurzyło się już całkowicie znad wschodniego horyzontu, zalewając starożytne ulice Cyrgi ostrym nieubłaganym światłem. Królowa Elenii była okropnie zmęczona, lecz męki uwięzienia dobiegły końca i pragnęła już tylko rzucić się w objęcia męża. Niewiele pojęła z tego, czego była świadkiem, ale nie miało to żadnego znaczenia. Stała na blankach, trzymając w ramionach boginię-dziecko, i spoglądała na swego niewyciężonego rycerza.

- Myślisz, że możemy bezpiecznie zejść na dół? - spytała trzymaną w objęciach małą boginię.

- Schody są zasypane, Ehlano - przypomniała Mirtai.

- Mogę to załatwić - oznajmiła Flecik.

- Może lepiej zostanmy tutaj. - Bevier z troską zmarszczył czoło. - Cyrgon i Klael odeszli, lecz Zalasta wciąż się tam kręci. Mógłby znów porwać królową i wykorzystać ją jako zakładniczkę, by bezpiecznie opuścić miasto.

- Lepiej, żeby tego nie robił - odparła złowieszco bogini--dziecko. - Ehlana ma rację. Chodźmy.

Wrócili do środka, dotarli do szczytu schodów i zatrzymali się, próbując przeniknąć wzrokiem nową chmurę kurzu.

- Co zrobiłaś? - spytał Talen Flecika. - Gdzie się podziały wszystkie kamienie?

Wzruszyła ramionami.

- Zamieniłam je w piasek - odparła.

Schody biegły po spirali wzdłuż wewnętrznych ścian wieży.

Kalten i Bevier z mieczami w dłoniach szli na przedzie, uważnie sprawdzając każdy kolejny poziom. Pierwsze trzy czy cztery były puste. Jednakże gdy dotarli do połowy wieży, Xanetia syknęła ostro.

- Ktoś się zbliża!

- Gdzie? - spytał Kalten.

- Ilu?

- Dwóch, i w naszą stronę zmierzają.

- Zajmę się nimi - mruknął, mocniej ściskając rękojeść miecza.

- Nie rób nic głupiego - uprzedziła go Alean.

- To ci ludzie na schodach są głupcami, ukochana. Zostań z królową. - Ruszył naprzód.

- Ja z nim pójdę - oznajmiła Mirtai. - Bevier, teraz twoja kolej na pilnowanie Ehlany.

- Ale...

- Cii - ucięła. - Rób, co mówię.

- Tak jest - ustąpił z lekkim uśmiechem.

Z dołu schodów dobiegło ich echo zniżonych głosów.

- Santheocles - wyszeptła Ehlana, rozpoznając jednego z mówców.

- A towarzysz jego? - spytała Xanetia.

- Ekatas.

- Ach - westchnęła Delficzka. Jej blade czoło zmarszczyło się w skupieniu. - Niedokładnie myśli ich oddaję - rzekła przepraszająco - zdaje się jednak, iż nieświadomi twego uwolnienia do dawnego waszego więzienia pędzą w nadziei, że życiu twemu grożąc, bezpiecznie poza szeregi wrogów swych ujdą.

Dwadzieścia stopni niżej dostrzegli podest. Kalten i Mirtai zatrzymali się tam i cofnęli nieco, by uzyskać większą swobodę ruchów.

Santheocles, odziany w lśniący napierśnik i hełm z pióropuszem, biegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. W dłoni trzymał miecz. Dotarł na podest i stanął jak wryty, patrząc z niedowierzaniem na Kaltena i Mirtai. Machnął ku nim mieczem i we własnym języku rzucił ostrą komendę nie znoszącym sprzeciwu tonem.

- Co powiedział? - dopytywał się Talen.

- Rozkazał im zejść mu z drogi - wyjaśniła Aphrael.

- Nie zdaje sobie sprawy, że to nieprzyjaciele?

- Nieprzyjaciel to pojęcie, które trudno pojąć komuś takiemu jak Santheocles - wyjaśniła Ehlana. - Nigdy nie opuścił murów Cyrgi i wątpię, by przez całe życie oglądał więcej niż dziesięciu ludzi spoza własnej rasy. Cyrgai słuchają go bez wahania, toteż nie ma wielkiego doświadczenia z otwartą wrogością.

X Zdyszany Ekatas dołączył do Santheoclesa. Jego pomarszczona twarz miała barwę popiołu, oczy wychodziły z orbit. Przemówił ostro do króla i Santheocles posłusznie odsunął się na bok. Ekatas wyprostował się i zaczął głośno mówić, wymachując jednocześnie rękami.

- Powstrzymajcie go! - krzyknął Bevier. - Rzuca zaklęcie.

- Próbuje rzucić zaklęcie - poprawiła Aphrael. - Czeka go paskudna niespodzianka.

Głos najwyższego kapłana wznosił się w długim, powolnym crescendo. Nagle opuścił rękę, kierując ją na Kaltena i Mirtai.

Nic się nie stało.

Cyrgai uniósł pustą dłoń do twarzy, przyglądając jej się w niemym zdumieniu.

- Ekatasie! - zawołała słodko Aphrael. - Przykro mi, że to ja muszę przekazać ci smutne wieści, lecz teraz, gdy Cyrgon nie żyje, twoje zaklęcia już nie działają.

Popatrzył na nią powoli. Na jego twarzy odbiło się zrozumienie. Nagle odwrócił się na pięcie i śmignął przez drzwi po lewej stronie, zatraskując je za sobą.

Mirtai natychmiast skoczyła za nim. Na próbę pchnęła drzwi, po czym cofnęła się i kopniakiem rozwalila je na kawałki.

Kalten tymczasem ruszył ku pogardliwie skrzywionemu królowi Cyrgaich. Santheocles przyjął bohaterską pozę, wyciągając przed siebie wielką tarczę, unosząc miecz i wysoko dzierżąc głowę.

- Nie da rady Kaltenowi - rzekł Bevier. - Czemu nie ucieka?

- Wierzy, iż niezwyciężonym jest, panie Bevierze - odparła Xanetia. - Na polu ćwiczebnym wielu własnych żołnierzy zabił, tak tedy za największego wojownika świata się uważa. W istocie jednak poddani nie atakowali go, zaiste nawet się nie bronili, ich królem był bowiem.

Ogarnięty żądzą zemsty Kalten z ponurą miną runął niczym lawina na królewskiego dumnia. Twarz Santheoclesa wykrzywiła się w grymasie zdumienia i oburzenia, gdy po raz pierwszy w jego życiu ktoś ośmielił się wznieść przeciw niemu broń.

Wynik tej krótkiej i paskudnej walki był z góry przesądzony. Kalten odtrącił tarczę, odparował kilka sztywnych ciosów celujących w głowę, a potem wbił swój miecz po rękojeść w sam środek lśniącego napierśnika. Santheocles patrzył na niego w absolutnym zdumieniu. Następnie westchnął, zsunął się z ostrza i bezwładnie runął w dół schodów.

- Tak! - krzyknęła Ehlana, widząc śmierć najnieznośniej-szego ze swych prześladowców.

Zza roztrzaskanych drzwi dobiegł ich przeciągły wrzask rozpacz, który rychło ucichł w dali, i Mirtai dołączyła do nich z pełnym ponurej satysfakcji uśmiechem.

- Co z nim zrobiłaś? - spytał ciekawie Kalten.

- Defenestrowałam go - odparła wzruszając ramionami.

- Mirtai! - wykrztusił. - To okropne!

Spojrzała na niego pytająco. - i - O czym ty mówisz?

- To najstraszniejsza rzecz, jaką można zrobić mężczyźnie!

- Wyrzucić go przez okno? Potrafię wymyślić znacznie straszniejsze rzeczy.
- Czy to właśnie znaczy to słowo?
- Oczywiście. Stragen używał go w Matherionie.
- Ach! - Kalten zarumienił się lekko.
- A myślałeś, że co znaczy?
- Nieważne, Mirtai. Zapomnij, że cokolwiek mówiłem.
- Musiałeś mieć coś na myśli.
- Zostawmy ten temat, dobrze? Źle cię zrozumiałem, i tyle. - Powiódł wzrokiem po pozostałych. - Ruszajmy dalej - zaproponował. - Nie sądzę, by ktokolwiek jeszcze wszedł nam w drogę.

Nagle Ehlana wybuchnęła płaczem.

- Nie mogę! - wyszlochała. - Nie mogę stanąć tak przed Sparhawkim! - Położyła dłoń na okrywającym oszpeconą głowę kwefie.

- Wciąż się tym przejmujesz? - spytała Aphrael.
- Tak okropnie wyglądam. Bogini wywróciła oczami.
- Chodźmy do tego pokoju - powiedziała. - Załatwię to - jeśli to dla ciebie takie ważne.
- Mogłabyś? - spytała z zapalem Ehlana.
- Oczywiście. - Bogini-dziecko przyjrzała jej się, mrużąc oczy. - Chciałabyś, żebym zmieniła kolor? - spytała. - Albo dodała ci loki?

Królowa ściągnęła wargi.

- Może o tym porozmawiamy? - rzekła.

* * *

Cynesganie, którymi obsadzono zewnętrzny mur Ukrytego Miasta, od początku niezbyt dobrze radzili sobie z żołnierskim rzemiosłem, a kiedy z beczasu wyskoczyły trolle i zaczęły wdrapywać się ku nim po murach, wpadli w panikę i uciekli.

- Powiedziałeś trollom, żeby otwały nam bramy? - spytał Vanion Ulatha.
- Tak, mój panie - odparł genidianita - ale może minąć trochę czasu, zanim sobie przypomnę. W tej chwili są bardzo głodne. Najpierw zjedzą śniadanie.

- Musimy dostać się do środka, Ulacie! - nalegała Sephre-nia. - Trzeba ochronić zagrody niewolników.

- O Boże! - westchnął. - Zupełnie zapomniałem. Trolle nie odróżnią niewolników od Cynesgan.

- Pójdę się przyjrzeć - rzekł Khalad. Zeskoczył z konia i podbiegł do masywnych drewnianych wrót. Po kilku chwilach wrócił. - To żaden problem, pani Sephrenio - zameldował. - Te bramy rozpadłyby się, gdyby na nie kichnąć.

- Co?

- Drewno jest bardzo stare i od dawna już próchnieje. Za pozwoleniem, panie Vanionie, wezmę kilku ludzi i przygotuję taran. Wyważymy bramy i dostaniemy się do środka.

- Oczywiście - odparł Vanion.

- Chodź, Bericie! - zawołał przyjaciela Khalad.

- Przy tym młodym człowieku zawsze czuję się jak głupiec -mruknął Vanion, odprowadzając wzrokiem dwóch młodzieńców zmierzających w stronę głównego oddziału rycerzy.

- Z tego co pamiętam, jego ojciec też tak na ciebie działał -odparła Sephrenia.

Zza załomu muru wybiegł Kring.

- Przyjaciel Bergsten szykuje się do ataku na północną bramę - zameldował.

- Poślij mu wiadomość, żeby zachował ostrożność, przyjacielu Kringu - uprzedziła Betuana. - Trolle są już w mieście -i to bardzo głodne. Lepiej byłoby, gdyby nieco opóźnił atak.

Kring przytaknął.

- Współpraca z trollami zmienia nieco zasady gry, nieprawdaż, Betuano królowo? W walce to wspaniali sprzymierzeńcy, ale nie chcemy, by zrobili się głodni.

Po jakiś dziesięć minut Khalad wraz z kilkoma tuzinami rycerzy przyciągnęli pod bramę wielki pień drzewa, podwiesili go na linach przyczepionych do kilku prowizorycznych trójnogów i zaatakowali spróchniałe wrota. Brama zadrżała, po czym w obłoku czerwonego pyłu zaczęła trzeszczeć i rozpadać się na kawałki.

- Ruszamy! - zawołał z napięciem Vanion, wzywając swoją osobliwą armię i prowadząc ją do miasta. Posłuszni naleganiom Sephrenii rycerze skierowali się wprost do zagród, uwolnili skutych niewolników i odeskortowali ich w bezpieczne miejsce poza murami. Następnie oddziały Vaniona podeszły pod wewnętrzną linię umocnień, chroniącą strome wzgórze pośrodku Cyrgi.

- Ile to może potrwać, panie Ulacie? - Vanion gestem wskazał grupkę oszalałych trolli.

- Trudno powiedzieć, panie Vanionie - odrzekł Ulath. - Nie sądzę, abyśmy mogli liczyć na ich współpracę, póki po ulicach zewnętrznego miasta uganiają się Cynesganie.

- Może to i dobrze - uznał Vanion. - Chyba powinniśmy dotrzeć do Sparhawka i pozostałych przed trollami. - Rozejrzył się. - Khaladzie! - zawołał. - Każ swoim ludziom podciągnąć tu taran. Rozwalmy bramę wewnętrznego miasta i poszukajmy Sparhawka.

- Tak jest, panie! - odkrzyknął Khalad.

Bramy w wewnętrznym murze były znacznie mocniejsze i taran Khalada wciąż tłukł w nie z ogłuszającym hukiem, kiedy zjawił się patriarcha Bergsten. Towarzyszył mu doświadczony pandionita, pan Heldin, Peloi, którego Vanion nie rozpoznał, i wysoka zręczna Atanka. Vanion zdumiał się nieco, widząc obok nich styrickiego boga Setrasa.

- Co ty wyprawiasz, Vanionie?! - ryknął Bergsten.

- Wyważam bramę, wasza świętobliwość - odparł Vanion.

- Nie o tym mówię. Na miłość boską, co cię opętało? Czemu pozwoliłeś trollom przeprowadzić pierwszy atak?

- Wcale im nie pozwalałem, wasza świętobliwość. Nie pytały mnie o zgodę.

- W zewnętrznym mieście panuje całkowity chaos. Moi rycerze nie mogą skupić się na walce, bo wciąż natykają się na trolle. Wiesz chyba, że wpadły w szal. W tej chwili zjedzą wszystko, co się rusza.

- Mógłbyś opuścić szczegóły? - Sephrenia zadrzała, wstrząśnięta nagłym dreszczem.

- Witaj, Sephrenio - powiedział Bergsten. - Dobrze wyglądasz. Ile jeszcze zajmie ci wyważenie tej bramy, Vanionie? Wprowadźmy naszych ludzi do wewnętrznego miasta, gdzie będą musieli martwić się tylko Cyrgaimi. Twój sprzymierzeńcy bardzo ich niepokoją. - Spojrzył na szczyt wewnętrznego muru, odcinający się ostro na tle porannego nieba. - Podobno Cyrgai mieli być żołnierzami? Czemu nie bronią miasta?

- W tej chwili są nieco zdezorientowani - wyjaśniła Sephrenia. - Sparhawk właśnie zabił ich boga.

- Naprawdę? Sądziłem, że Bhelliom to zrobi. Styriczka westchnęła.

- W pewnym sensie tak było - rzekła. - Trudno w tej chwili oddzielić od siebie ich obu. Aphrael nie jest do końca pewna, gdzie kończy się Bhelliom, a zaczyna Sparhawk.

Bergsten zadrzał.

- Chyba nie chcę o tym wiedzieć - przyznał. - Już i tak mam sporo kłopotów z teologią. A co z Klaelem?

- Odszedł. Został wygnany, gdy tylko Sparhawk zabił Cyr-gona.

- Świetnie, Vanionie - rzekł patriarcha zgryźliwie. - Każesz mi jechać tysiąc mil w środku zimy, a walka kończy się, zanim dotrę na miejsce.

- Trochę ćwiczeń z pewnością nie zaszkodzi, wasza świętobliwość. - Vanion podniósł

głos. - Ile jeszcze, Khaladzie?! -zawołał.

- Kilka minut, panie - odrzekł giermek Sparhawk. - Belki zaczynają trzeszczeć.

- To dobrze - rzekł złowrogo Vanion. - Chcę znaleźć Zalastę. Musimy o czymś porozmawiać - i to szczegółowo.

* * *

- Wszyscy uciekli, Sparhawk - zameldował Talen, powracając z szybkiego zwiadu w zrujnowanym pałacu. - Bramy stoją otworem, a oprócz nas nie ma tu nikogo.

Sparhawk przytaknął ze znużeniem. To była długa noc i czuł się wyczerpany, tak psychicznie jak i fizycznie, wciąż jednak nie opuszczał go ów niezwykle spokojny, który spłynął na niego, gdy w końcu pojął prawdziwe znaczenie swojego dziwnego pokrewieństwa z Bhelliomem. Chwilami ogarniały go przelotne pokusy - a może tylko ciekawość - pragnienie poeksperymentowania i zbadania granic nowo poznanych zdolności. Z rozmysłem opierał się im.

- No dalej, Sparhawk. - W dźwięczącym w jego umyśle głosie Flecika brzmiała nuta wyzwania. Lekko zwrócił głowę, patrząc na pozbawione wieku dziecko, stojące obok jego żony. Ehlana z błogą miną przeczesywała palcami długie, jasne włosy.

- Co miałbym zrobić? - spytał w myślach.

- Cokolwiek ci przyjdzie do głowy.

- Po co?

- Nie jesteś ani trochę ciekaw? Nie chciałbyś się przekonać, czy potrafisz odwrócić górę do góry nogami?

- Potrafię - odparł. - Nie widzę jednak najmniejszych powodów.

- Okropny jesteś, Sparhawk! - wybuchnęła nagle.

- O co ci chodzi, Aphrael?

- Jesteś takim niezgułą! Uśmiechnął się do niej łagodnie.

- Wiem, ale przecież i tak mnie kochasz.

- Sparhawk! - zawołał Kalten, stojąc przy ozdobnej bramie z brązu. - Vanion tu jedzie. I jest z nim Bergsten.

* * *

Vanion znał Sparhawk od czasów nowicjatu, lecz ów znużony mężczyzna w czarnej

zbroi wydał mu się niemal obcy. W jego twarzy i oczach kryło się coś, czego nigdy wcześniej tam nie dostrzegął. Mistrz podszedł do swego starego przyjaciela z patriarchą Bergstenem i Sephrenią, ogarnięty nieomal nabożnym podziwem.

Gdy tylko Ehlana ujrzała Sephrenię, pobiegła do niej z cichym krzykiem i uścisnęła gorąco.

- Widzę, że zburzyłeś kolejne miasto, Sparhawk. - Bergsten uśmiechnął się szeroko. - Niech ci to nie wejdzie w nałóg.

- Dzień dobry, wasza świątobliwość - odparł Sparhawk. - Miło znów cię widzieć.

- Sam to wszystko zrobiłeś? - Bergsten wskazał szerokim gestem zrujnowaną świątynię i na wpół zburzony pałac.

- Większość załatwił Klael, wasza świątobliwość. Rosły kapłan wyprostował się.

- Przywożę ci rozkazy od Dolmanta - rzekł. - Masz mi oddać Bhelliom. Może zrób to od razu - zanim obaj zapomnimy.

- Obawiam się, że to niemożliwe, wasza świątobliwość. - Sparhawk westchnął. - Już go nie mam.

- Co z nim zrobiłeś?

- Przestał istnieć - przynajmniej w dotychczasowej postaci. Został uwolniony z więzienia, by móc podjąć swą podróż.

- Uwolniłeś go bez konsultacji z kościołem? Będziesz miał kłopoty, Sparhawk.

- Och, bądź poważny, Bergstenie - wtrąciła Aphrael. - Sparhawk zrobił to, co należało. Później sama wyjaśnię wszystko Dolmantowi. u. Vaniona jednakże zajmowało coś zupełnie innego.

- Wszystko pięknie - rzekł ponuro - lecz w tej chwili znacznie bardziej zależy mi na znalezieniu Zalasty. Czy ktoś ma pojęcie, gdzie się podział?

- Może być pod tym wszystkim, Vanionie. - Ehlana wskazała zburzoną świątynię. - Wybierali się tu z Ekatasem, gdy odkryli, że Sparhawk dostał się do wnętrza murów Cyrgi. Ekatas uciekł i Mirtai go zabiła, lecz Zalasta mógł zostać zmiażdżony, kiedy Klael rozwalił to miejsce.

- Nie - odparła krótko Aphrael. - Nie ma go w mieście.

- Naprawdę chcę go znaleźć, o boska - rzekł Vanion.

- Setrasie, mój drogi - powiedziała słodko bogini do swego kuzyna. - Zechciałbyś poszukać dla mnie Zalasty? Musi odpowiedzieć za swe zbrodnie.

- Zobaczę, co da się zrobić, Aphrael - przyrzekł piękny bóg. - Ale naprawdę powinienem już wracać do pracowni. Przez to wszystko bardzo ucierpiała moja praca.

- Proszę, Setrasie - wdzięczyła się, atakując go porażającym uśmiechem.

Zaśmiał się bezradnie.

- Widzisz, co miałem na myśli, Bergstenie? - rzekł do wysokiego patriarchy. - Ona jest naprawdę najniebezpieczniejszą istotą we wszechświecie.

- Tak też słyszałem - odrzekł Bergsten. - Chyba lepiej zrób, o co cię prosi, Setrasie. W końcu i tak ustąpisz.

- A, tu jesteś, Itagne ambasadorze. - Vanion odwrócił się, słysząc głos Atany Maris. Gibka młoda dowódczym garnizonu w Cynesdze zbliżała się nieubłaganie do wyraźnie zalęknionego tamulskiego dyplomaty. - Wszędzie cię szukałam - ciągnęła. -Mamy do omówienia mnóstwo spraw. Dziwnym trafem nie dotarł do mnie ani jeden z twoich listów. Chyba powinieneś udzielić posłańcowi reprimendy.

Na twarzy Itagne'a odbiła się rozpacz człowieka schwytanego w pułapkę.

* * *

Jeszcze przed południem, gdy ostatni przerażeni Cyrgai skapitulowali, Betuana wyprawiła biegaczy do Matherionu. Pan Ulath bardzo podkreślał fakt, że na decyzję mieszkańców o poddaniu w znacznej mierze mogło wpłynąć to, co spotkało Cynes-gan w dolnym mieście. Patriarcha Bergsten zaczął przyglądać się swemu rodakowi z lekką podejrzliwością. Bergsten sam co prawda nie był sztywnym fanatykiem i bez skrupułów naginał wszelkie prawa w imię skuteczności, lecz nawet jemu trudno przychodziło przełknąć nieopanowany ekumenizm Ulatha.

- Przejawia nieco zbyt wielki entuzjazm, Sparhawku - oznajmił potężny patriarcha. - Zgoda, przyznaję, że trolle okazały się bardzo użyteczne, ale... - Urwał, nie mogąc znaleźć słów, które wyraziłyby dręczące go wątpliwości.

- Ulatha i Bhlokwa łączy szczególna więź, wasza świątobliwość - odparł wymijająco Sparhawk. - Czy wiele jeszcze zostało nam tu do zrobienia? Chciałbym zabrać żonę z powrotem do cywilizacji.

- Możesz już jechać, Sparhawku. - Bergsten wzruszył ramionami. - Sami tu posprzątam. Nie zostawiłeś nam zbyt wiele pracy. Wraz z rycerzami zajmiemy się wyłapywaniem resztek Cyrgaich. Tikume poprowadzi swych Peloich do Cynestry, by pomóc Itagne'owi i Atanie Maris okupować miasto, a Betuana wyśle swych Atanów do Ardżuny, aby przywrócić tam władzę cesarza. - Wykrzywił się cierpko. - W zasadzie pozostały nam tylko szczegóły administracyjne. Pozbawiłeś mnie całkiem niezłej walki, Sparhawku.

- Jeśli chcesz, mogę posłać po kolejnych żołnierzy Klaela.

- Nie, dzięki Sparhawkowi - odparł szybko Bergsten. - Mogę się obejść bez bitwy z tym akurat przeciwnikiem. Wracasz wprost do Matherionu?

- Nie całkiem, wasza świątobliwość. Uprzejmość wymaga, abyśmy najpierw odeskortowali Anarae Xanetię do Delphaeusu.

- To niezwykła kobieta - zastanawiał się głośno Bergsten. - Za każdym razem, gdy wchodzi do pokoju, mam ochotę skłonić się przed nią.

- Ludzie często tak na nią reagują, wasza świątobliwość. Jeśli rzeczywiście nas tu nie potrzebujesz, pomówię z pozostałymi i zacznę szykować się do drogi.

- Co tu się naprawdę stało, Sparhawkowi? - spytał bez ogródek Bergsten. - Muszę złożyć raport Dolmantowi, a dotychczasowe relacje tylko zamąciły mi w głowie.

- Nie jestem pewien, czy umiem to wyjaśnić, wasza świątobliwość - odrzekł Sparhawk. - Przez jakiś czas Bhelliom i ja złączyliśmy się w jedną całość. Chyba potrzebowałem mojego ramienia. - Była to łatwa odpowiedź, całkowicie pomijająca najważniejsze kwestie, o których Sparhawk wolał na razie nawet nie myśleć.

- Zatem byłeś jedynie narzędziem? - Bergsten przyglądał mu się uważnie.

Rycerz wzruszył ramionami.

- A czyż wszyscy nimi nie jesteśmy, wasza świątobliwość? Jesteśmy instrumentami w rękach Boga. Za to nam płacą.

- Sparhawkowi, niebezpiecznie zbliżasz się do herezji. Nie używaj słowa „bóg” w tym znaczeniu.

- Rzeczywiście, wasza świątobliwość - zgodził się Sparhawk. - To jedynie efekt ograniczeń naszego języka. Istnieją rzeczy, których nie pojmujemy i dla których nie mamy nazw. Po prostu skupiamy je razem, nazywamy bogiem i zostawiamy. Obaj jesteśmy żołnierzami, patriarcho Bergstenie. Płacą nam, żebyśmy ruszali do boju, gdy ktoś zadmie w trąbkę. Niech Dolmant rozstrzygnie tę kwestię. To w końcu jego praca.

* * *

Sparhawk z przyjaciółmi, w towarzystwie Kringa, Betuany i Engessy, wyjechali ze zburzonej Cyrgi wkrótce po świcie następnego ranka, zmierzając do Samy. Od swego spotkania z Cyr-gonem Sparhawk nie widział ani nie słyszał Bhelliomu i czuł się dziwnie zawiedziony. Bogowie trolli także odeszli ze swymi dziećmi - wszystkimi oprócz Bhlokwa, który wędrował pomiędzy Ulathem i Tynianem. Bhlokwa uparczywie unikał odpowiedzi na

pytanie, czemu wciąż im towarzyszy.

Jechali na północny wschód przez jałowe pustkowia Cynesgi, pokonując kolejne krótkie etapy. Nic już nie zmuszało ich do pośpiechu. Sephrenia i Xanetia, znów działając wspólnie, przywróciły twarze prawowitym właścicielom, i powoli wszystko wracało do normy.

Późnym rankiem, dziesięć dni po opuszczeniu Cyrgi, kiedy znaleźli się zaledwie kilka lig od Sarny, Vanion podjechał naprzód i dołączył do prowadzącego grupę Sparhawk.

- Możemy zamienić słówko? - spytał.

- Oczywiście.

- To sprawa osobista.

Sparhawk przytaknął, przekazał prowadzenie Bevierowi i szturchnął Farana, który ruszył szybkim klusem. Wraz z Vanionem zwolnili dopiero, znalazłszy się ćwierć mili przed resztą grupy.

- Sephrenia chce, żebyśmy się pobrali - oznajmił Vanion, rezygnując z wszelkich wstępów.

- Prosisz mnie o pozwolenie? Vanion spojrzał na niego nieprzychylnie.

- Przepraszam - rzekł Sparhawk. - Trochę mnie zaskoczyłeś.

Wiesz chyba, że wiąże się z tym sporo problemów. Kościół nigdy nie zaaprobuje tego związku, podobnie jak Tysiąc Styricum. Nie jesteśmy co prawda tak strasznie konserwatywni jak kiedyś, lecz idea małżeństwa członków dwóch ras, wyznawców dwóch religii, wciąż wzbudza oburzenie.

- Wiem - odparł ponuro Vanion. - Sam Dolmant prawdopodobnie nie miałby obiekcji, lecz prawo kościelne i doktryna wiążą mu ręce.

- Kto zatem będzie przewodniczył ceremonii? * - Sephrenia już rozwiązała ten problem. Zaślubi nas Xanetia. Sparhawk o mało się nie udławił.

- Ona jest kapłanką, Sparhawk.

- No cóż, technicznie rzecz biorąc. - Nagle Sparhawk wybuchnął śmiechem.

- Co cię tak rozbawiło? - spytał z urazą Vanion.

- Wyobrazasz sobie minę Ortzela, gdy usłyszysz, że mistrz jednego z czterech zakonów, patriarcha kościoła, został poślubiony członkini Tysiąca Styricum przez delficką kapłankę?

- Rzeczywiście, to łamie kilka zasad - przyznał z cierpkim uśmiechem Vanion.

- Kilka? Vanionie, wątpię, by jakikolwiek czyn mógłby naruszyć ich więcej.

- A zatem ty także protestujesz?

- Nie ja, stary przyjacielu. Jeśli tego właśnie pragniecie, będę was popierał nawet

przed hierarchią.

- Czyli zostaniesz moim druhną? No wiesz, podczas uroczystości.

Sparhawk klepnął go po ramieniu.

- To dla mnie zaszczyt, przyjacielu.

- Świetnie. A zatem wszystko pozostanie w rodzinie. Sephrenia rozmawiała już z twoją żoną. Ehlana będzie jej druhną.

- Tak też podejrzewałem - rzekł ze śmiechem Sparhawk.

Zostawiwszy za sobą Sarnę, jechali na północ zasypanym śniegiem górskim szlakiem w stronę Dirgis w południowym Ata-nie. Dotarli do miasta, znów skręcili na zachód, wkraczając w wysokie góry.

- Zostawiamy za sobą szeroki ślad, Sparhawk - rzekł Bevier pewnego późnego śnieżnego popołudnia - i ów ślad prowadzi prosto do Delphaeusu.

Sparhawk obejrzał się natychmiast.

- Masz rację - przyznał. - Może powinienem porozmawiać z Aphrael. Co prawda wiele się zmieniło, wątpię jednak, by Delphae mieli ochotę przyjmować u siebie dумы zwiedzających. - Zawrócił Farana i dołączył do pań. Aphrael jak zwykle jechała z Sephrenią.

- Mogę coś zaproponować, o boska? - zapytał nieśmiało Sparhawk.

- Mówisz zupełnie jak Tynian. . Puścił tę uwagę mimo uszu. i - Jak dobrze radzisz sobie z pogodą? ; - Chcesz, żeby nadeszło lato?

- Nie. Prawdę mówiąc wołałbym niewielką śnieżycę. Zosta-Wiamy za sobą ślady, które prowadzą wprost do Delphaeusu.

- I co z tego?

- Delphae mogą nie życzyć sobie niezapowiedzianych gości.

- Nie będzie żadnych gości, zapowiedzianych czy nie. Obiecałeś zamknąć ich dolinę, pamiętasz?

- O Boże! - westchnął. - Zupełnie zapomniałem. To może być problem. Nie mam już Bhelliomu.

- Lepiej więc spróbuj się z nim skontaktować, Sparhawk. Ostatecznie obietnica to obietnica. Xanetia dotrzymała swej części umowy, toteż masz moralny obowiązek wypełnić swoją.

Sparhawk, czując dziwny niepokój, odjechał na bok w gęsty zagajnik smukłych młodych sosenek i zeskoczył na ziemię.

- Błękitna Rózo - rzekł głośno, właściwie nie oczekując odpowiedzi. - Błękitna Rózo!

- Słyszę cię, Anakho - odparł natychmiast głos w jego umyśle. - Sądziłem, iż w

niełasce u cię pozostają.

- Nigdy, Błękitna Rózo. Wypełniłeś - bądź przekroczyłeś' -wszystkie me oczekiwania. Nasi wrogowie zostali pokonani, a ja raduję się z tego. Honorem mym jednak zaręczyłem Delphae, że w zamian za pomoc życzenie ich spełnię. Muszę tedy dolinę ich zamknąć, tak by nikt z tego świata wnijść w nią nie zdołał.

- Przyrzeczenie twe pamiętam, Anakho. W dobrej wierze je złożyłeś. Wkrótce wszelako potrzebne już nie będzie.

- Znaczenie słów twych umyka mi.

- Patrz tedy, mój synu, i ucz się. - Zapadła długa cisza. -Urazić cię bym nie chciał, czemu jednak w materii tej mię przyzwałeś?

- Słowo me dałem, że dolinę ich zamknę, ojczce.

- Tedy zamknij ją.

- Pewien nie byłem, czy wciąż o pomoc prosić cię mogę.

- Pomocy nie potrzebujesz, Anakho - ni mojej, ni żadnej innej. Azali spotkanie twe z Cyrgonem nie przekonało cię, że

456

wszystko w mocy twej leży? Anakhą jesteś i synem moim; w gwieździstym wszechświecie nie ma tobie podobnego. Stworzyć musiałem cię, by me plany wypełnić. Cokolwiek dzięki mnie sprawić możesz, równie łatwo własną ręką uczynisz. - Głos zamilkł na chwilę. - Rad jednak jestem, iż nieświadom mocy swej byłeś, albowiem miałem sposobność lepiej cię poznać. W ciągłej mej podróży wspominać cię często będę. Ruszajmy tedy do Delphaeusu, gdzie towarzysz twój Vanion i ukochana nasza Sephrenią złączą się i gdzie ujrzysz cud.

- Jakież to cud, Błękitna Rózo?

- Nie byłby cudem, gdybyś zawczasu wiedział, czego oczekiwać, synu. - Lekko rozbawiony głos umilkł i Sparhawk nie czuł już obecności Bhelliomu.

Wczesnym wieczorem pokonali w końcu wysoką ośnieżoną grań i ujrzeli przed sobą dolinę. Lśniące jezioro, skryte w zamieci wirujących płatków śniegu, połyskiwało blaskiem prawie tak jasnym jak księżyc. Stary Cedon czekał na nich przy ciężkiej bramie, wiodącej do tego drugiego ukrytego miasta. A obok niego stał przyjaciel Itagne'a, Ekrasios.

Rozmawiali do późna, bo też wiele mieli sobie do powiedzenia. Następnego dnia Sparhawk obudził się przed południem i powiódł wzrokiem po osobliwej niskiej sypialni, którą dzielił z żoną. Jedną z cech charakterystycznych delfickiej architektury było to, że podłogi większości pomieszczeń znajdowały się poniżej poziomu gruntu. Sparhawk nie

zwracał na to szczególnej uwagi, lecz Khalada zaintrygował ów pomysł.

Rycerz delikatnie ucałował wciąż śpiącą żonę, wymknął się cicho z łóżka i poszedł szukać Vaniona. Pamiętał dzień własnego ślubu i nie wątpił, że przyjacielowi przyda się wsparcie.

Zastał siwowłosego mistrza w prowizorycznej stajni. Vanion rozmawiał z Talenem i Khaladem. Twarz giermka miała zacięty wyraz.

- O co chodzi? - spytał Sparhawk, dołączając do nich.

- Mój brat jest niezbyt szczęśliwy - wyjaśnił Talen. - Rozmawiał z Ekrasiosem i innymi Delphae, którzy rozproszyli armię Scarpy w Ardżunie. Nikt nie potrafił mu powiedzieć, co się stało z Kragerem.

- Zakładam, że nadal żyje - oznajmił Khalad. - Jest zbyt śliski. Z pewnością uciekł.

- Mamy co do ciebie plany, Khaladzie - powiedział Vanion. - Jesteś zbyt cenny, abyś miał zmarnować życie, próbując schwytać sprytnego pijaka, który w dodatku, być może, nie uszedł z życiem z Natayos.

- To nie zajmie mu zbyt wiele czasu, panie Vanionie - wtrącił Talen. - Gdy tylko wrócimy ze Stragenem do Cimmury, porozmawiamy z Platime'em, a on rozpuści wieści. Jeśli Krager wciąż żyje - gdziekolwiek na tym świecie - wkrótce się dowiemy.

- Co robisz panie? - spytał nerwowo Vanion.

- Ehlana jeszcze śpi - odparł Sparhawk. - Czy po odjeździe stąd wybieriecie się z Sephrenią z nami do Matherionu?

- Na krótko - oświadczył Vanion. - Sephrenią chce porozmawiać o kilku sprawach z Sarabianem. Potem wrócimy do Ata-nu z Betuaną i Engessą. Stamtąd do Sarsos już niedaleko. A przy okazji: zauważyłeś, co się dzieje pomiędzy Betuaną i Engessą?

Sparhawk przytaknął.

- Najwyraźniej Betuaną uznała, że Atani potrzebują króla. Engessą świetnie się nadaje i jest znacznie inteligentniejszy niż Androl.

- To niezbyt duża sztuka, Sparhawk. - Talen uśmiechnął się szeroko. - Pan Androl był niewiele mądrzejszy od cegły.

Czas płynął. Damy, rzecz jasna, całkowicie oddały się długim przygotowaniom. Rycerze natomiast starali się ze wszystkich sił zająć czymś Vaniona.

Jeden z osobliwych dogmatów delfickiej religii nakazywał, by ceremonia odbyła się na brzegu jeziora o zmierzchu. Sparhawk mniej więcej pojmował, czemu mogło to mieć znaczenie dla Świetlistych, lecz ślub Vaniona i Sephrenii miał niewiele, jeśli w ogóle cokolwiek, wspólnego z przymierzem zawartym między Delphae i ich bogiem. Uprzejmość

wszelako nakazywała, by opinię swą zatrzymał dla siebie. zaproponował, iż przystroi Vaniona w tradycyjną czarną zbroję pandionity, jednakże mistrz wybrał zamiast niej białą styrycką szatę.

- Walczyłem w swej ostatniej wojnie, Sparhawk - rzekł z lekkim smutkiem. - Po tym, co się dziś stanie, Dolmant nie będzie miał wyboru. Musi mnie ekskomunikować i pozbawić tytułu rycerskiego. To znaczy, że znów będę cywilem. Prawdę mówiąc, nigdy nie przepadałem za noszeniem zbroi. - Spojrzał ciekawie na Ulatha i Tyniana, pogrążonych w gorącej dyskusji z Bhlokem tuż za drzwiami stajni. - Co oni robią?

- Próbują wyjaśnić swemu przyjacielowi koncepcję małżeństwa. Nie idzie im najlepiej.

- Wątpię, by trolle dbały o takie ceremonie.

- I słusznie. Kiedy samiec pragnie samicy, przynosi jej coś - bądź kogoś - do jedzenia. Jeśli zje, są małżeństwem.

- A jeśli nie?

Sparhawk wzruszył ramionami.

- Zazwyczaj próbują się pozabijać.

- Orientujesz się, czemu Bhlok nie odszedł z resztą trolli?

- Nie mam pojęcia, Vanionie. Nie zdołaliśmy wyciągnąć z niego odpowiedzi. Najwyraźniej bogowie trolli chcą, żeby jeszcze coś zrobił.

Popołudnie ciągnęło się niemiłosiernie, a Vanion z każdą chwilą stawał się coraz bardziej rozdrażniony. Wreszcie pochmurny dzień ustąpił miejsca szaremu wieczorowi i nad ukrytą doliną Delphaeusu zapadł zmierzch.

Ścieżka wiodąca od bramy miasta na brzeg jeziora została starannie oczyszczona, Aphrael zaś, zawsze gotowa oszukać nieco w dobrej sprawie, zasypała ją płatkami kwiatów. Delphae, lśniący i śpiewający starożytny hymn, ustawili się po obu stronach. Vanion czekał na brzegu ze Sparhawkiem, a pozostali członkowie grupy stali nieopodal, patrząc z uśmiechem, jak Sephrenią z Ehlana u boku opuszcza miasto i rozpoczyna wędrówkę.

- Odwagi, mój synu - mruknął do przyjaciela Sparhawk.

- To miało być śmieszne?

- Małżeństwo nie boli, Vanionie.

To się stało, gdy panna młoda i jej drużyna pokonały połowę drogi do brzegu. Na skraju zasypanej śniegiem łąki pojawiła się nagle chmura nieprzeniknionego mroku. Donośny głos zagrzmiął: „NIE!” Potem pośrodku obłoku zabłysła oślepiająca iskra, która zaczęła złowieszczo rosnać, otoczona ognistą jasno-fioletową poświatą. Sparhawk natychmiast

rozpoznał to zjawisko.

- Zabraniam tej potworności! - ryknął ów głos.

- Zalasta! - krzyknął Kalten, wpatrując się w szybko rosnącą kulę.

Wychudzony Styrik miał zmierzwione włosy i brodę. Ubrany był w swą zwykłą białą szatę, w drżących dłoniach trzymał lśniąca laskę. Stał wewnątrz świetlistej kuli, otoczony ochronnym nimbem. Sparhawk poczuł, jak ogarnia go lodowaty spokój, gdy jego umysł i duch szykowały się do nieuniknionego starcia.

- Straciłem cię, Sephrenio - oznajmił Zalasta - lecz nie pozwolę, byś poślubiła tego Elena!

Aphrael śmignęła ku siostrze w burzy czarnych włosów. Jej drobna twarz miała zacięty, nieubłagany wyraz.

- Nie lękaj się, Aphrael - rzekł Zalasta po styricku. - Nie przybyłem do tego przekłętego miejsca, by wystąpić przeciw tobie czy twojej zbłąkanej siostrze. W materii tej przemawiam w imieniu całego Styricum. Zjawilem się, żeby zapobiec tej bezwstydney ceremonii, która skaziłaby całą naszą rasę. - Wyprostował się i wycelował oskarżycielski palec w Sephrenię. - Nakazuję ci, kobieto, zrezygnuj ze swego występku! Odejdź stąd, Sephrenio z Ylary! Ten ślub nie zostanie zawarty!

- Zostanie! - Głos Sephrenii dźwięczał donośnie. - Nie możesz temu zapobiec! Odejdź, Zalasto! Straciłeś do mnie wszelkie prawa, gdy próbowałeś mnie zabić! - Zadarła podbródek. -Czyżbyś chciał spróbować ponownie?

- Nie, Sephrenio z Ylary. Tamto sprawiło szaleństwo, które mnie wówczas ogarnęło. Istnieje inny sposób zapobieżenia tej potworności. - Odwrócił się szybko, kierując swą śmiercionośną laskę w stronę Vaniona. Z czubka kija wystrzeliła jasna iskra i migocząc w bladym wieczornym świetle, pomknęła niczym strzała, niosąc ze sobą śmierć i całą nienawiść Zalasty.

Lecz czujny Anakha był gotów, pojął bowiem już wcześniej, kogo zaatakuje Zalasta. Śmiercionośny pocisk mknął do celu, ale zręczny Anakha wyciągnął rękę i schwycił go. Ujął w dłoń iskrę i ujrzał, jak jej wściekłość goreje mu między palcami. A potem, niczym chłopczyk ciskający kamieniem w ptaka, odrzucił ją tak, że eksplodowała na powierzchni lśniącej kuli.

- Brawo, synu mój! - pochwalił głos Bhelliomu.

Zalasta wzdrygnął się gwałtownie wewnątrz ochronnego blasku. Blady i wstrząśnięty, wpatrywał się w złowrogą postać Dziecięcia Bhelliomu.

Metodyczny Anakha uniósł rękę dłonią naprzód i zaczął zadawać ciosy świetlnej kuli,

chroniącej zdesperowanego Styrika. Uderzał siłą, która tworzy słońca. Mimochodem dostrzegł, iż goście weselni rozbiegli się, a Sephrenia przypadła do boku Vaniona. Raz po raz, używając swej mocy, zaciekawiony Anakha badał ją, testując jej siłę, szukając ograniczeń.

Nie znalazł żadnych.

Bezlitosny Anakha napierał na kłamliwego Styrika, który był przyczyną tak wielu cierpień i nieszczęść. Wiedział, że mógłby jedną myślą zmieść przerażonego czarodzieja z powierzchni ziemi.

Ale nie chciał.

Mściwy Anakha szedł naprzód, miażdżąc ostatnie desperackie próby ochrony Styrika, niszcząc je po kawałku i lekceważąc żalosne próby odwetu Zalasty.

- Anakho, nie tak winno być! - Głos przemówił w języku trolli.

Zaskoczony Anakha odwrócił się i spojrział.

To był Bhlok, a Dziecię Bhelliomu darzyło szacunkiem włochoatego kapłana bogów trolli.

- To ostatni ze złych - oznajmił Bhlok. - Khwaj pragnie go zranić. Czy dziecko kwietnego klejnotu wysłucha słów Khwaja? Niespokojny Anakha rozważył prośbę kapłana bogów trolli.

- Wysłucham słów Khwaja - rzekł. - Powiniennem tak uczynić, bo ja i Khwaj jesteśmy towarzyszami stada.

Na łące, w syku parującego śniegu, pojawił się ogrom boga ognia.

- Czy dziecko Bhelliomu wiąże obietnicą jego towarzysza stada, Ulatha z Thalesii? - spytał głosem ryczącym niczym otwarte palenisko.

- Słowo Ulatha z Thalesii jest moim słowem, Khwaju - odparł honorowy Anakha.

- Zatem zły należy do mnie! Zmartwiony Anakha opanował swój gniew.

- Słowa Khwaja są dobre - zgodził się. - Jeśli Ulath z Thalesii oddał złego Khwajowi, i ja tak uczynię. - Popatrzył na przerażonego Styrika, który rozpaczliwie starał się obronić przed tym, co nastąpi. - Jest twój, Khwaju. Sprawił mi wiele bólu i w odwecie sam bym go zranił, lecz jeśli Ulath z Thalesii powiedział, że Khwaj ma go zranić, niechaj tak będzie.

- Dziecko Bhelliomu dobrze mówi. Znasz honor, Anakho. -Bóg ognia spojrział oskarżycielsko na Zalastę. - Uczyniłeś wiele zła, człowieku zwany Zalasta.

Nic nie rozumiejący Styrik wpatrywał się z przerażeniem w Khwaja.

- Powtórz mu, co powiedziałem, Anakho - poprosił Khwaj. -Musi wiedzieć, czemu zostanie ukarany. Uprzejmy Anakha rzekł:

- Uczynię tak, Khwaju. - Popatrzył surowo na wstrząśniętego Styrika. - Zadałeś mi

wiele bólu, Zalasto - rzekł złowieszczym tonem, mówiąc po styricku. - Zamierzałem odpłacić ci za wszystkich moich przyjaciół, których zabiłeś bądź sprowadziłeś na złą drogę, lecz Khwaj twierdzi, że ma pierwszeństwo, a ja uznałem jego prawo. Powinieneś być trzymać się z daleka, Zalasto. Vanion w końcu by cię znalazł, lecz śmierć to drobnostka i wkrótce nadchodzi koniec. To, co uczyni z tobą Khwaj, będzie trwało całą wieczność.

- Czy teraz już rozumie? - spytał Khwaj.

- Do pewnego stopnia.

- Z czasem zrozumie więcej. A ma wiele czasu - całą wieczność. - I złowrogi bóg ognia ruszył naprzód, lekceważąc ostatnie żalosne próby obrony Zalasty. Dziwnie łagodnym gestem położył dłoń na czole skulonego Styrika. - Płoń! - rozkazał. - Uciekaj i płoń do kresu dni!

I spowity płomieniami Zalasta ze Styricum odbiegł z wrzaskiem, trawiony wiecznym ogniem. Współczujący Anakha westchnął, patrząc, jak płonący człowiek pędzi przez zaśnieżoną łąkę i oddala się coraz bardziej, a wraz z nim krzyki bólu, cierpienia i niewyobrażalnej samotności, gdy rozpoczął pierwszą godzinę swej nie kończącej się kary.

EPILOG

Poranek został jasny i chłodny. Pokrywający górskie zbocza śnieg lśnił oślepiająco w promieniach słońca, a jezioro pośrodku ukrytej doliny Delphaeusu parowało. Ślub, rzecz jasna, przełożono i miał się odbyć tego wieczoru.

Oczywiście padło wiele pytań, lecz Sparhawk wyjaśnił krótko, że wszystko, co się zdarzyło, było dziełem Bhelliomu, a on sam stanowił jedynie instrument - co zresztą nie do końca miało się z prawdą.

Dzień upłynął spokojnie, po zachodzie słońca zaś, gdy w dolinie zaległy wieczorne cienie, wszyscy zebrali się w milczeniu. Przez całe popołudnie Sparhawk nie opuszczało dziwne przeczucie. Wiedział, że stanie się coś niezwykłego. Bhelliom uprzedził go, iż będzie świadkiem cudu, a w jego ustach słowo to nabrało nowego, mocniejszego znaczenia.

Mrok już gęstniał, gdy Sparhawk i pozostali mężczyźni odprowadzili Vaniona na brzeg lśniącego jeziora, gdzie miał czekać na orszak panny młodej. Świetliści raz jeszcze podjęli pradawny hymn, który przerwano im tak brutalnie poprzedniego wieczoru.

Wreszcie narzeczona ukazała się w bramie z królową Elenii u boku. Reszta dam postępowała tuż za nimi. Bogini-dziecko, wywijająca piruety i tańcząca w powietrzu do wtóru przypominającej dźwięki fletu piosenki, wyprzedzała je, raz jeszcze sypiąc im pod nogi płatki kwiatów.

Twarz zmierzającej ścieżką Sephrenii miała błogi, pogodny wyraz. Gdy drobna Styriczka zbliżyła się do mężczyzny, którego dwie wielkie religie zabraniały jej poślubić, jej osobista bogini dała wyraźny znak, że przynajmniej ona w pełni to aprobuje. Nad ich głowami zaczynały właśnie rozbłyskiwać gwiazdy i jedna z nich nagle zmyliła drogę. Niczym małeńka kometa oślepiająca iskra spłynęła z nieba ku promiennie uśmiechniętej Sephrenii i łagodnie osiadła jej na głowie jak świecąca girlanda kwiatów.

Sparhawk uśmiechnął się ciepło. Trudno było nie dostrzec podobieństwa do koronacji Mirtai podczas rytuału dojrzewania.

- Krytyk - rzucił oskarżycielsko głos Aphrael.

- Mc nie mówiłem.

- I dobrze.

Gdy hymn Delphae wzniósł się w triumfalnym crescendo, Sephrenia i Vanion podali sobie dłonie. A wtedy Xanetia, w pełnym blasku swego wewnętrznego światła, podeszła ku nim w towarzystwie dwóch innych lśniących postaci, jednej białej, a drugiej błękitnej,

stąpając po tafli jeziora. Wśród Delphae rozszedł się cichy, pełen tęsknoty pomruk i Świetliści jak jeden mąż osunęli się z czcią na kolana.

Anarae czule uściśnęła swą styricką siostrę i skromnie ucałowała Vaniona w policzek.

- Uprosiłam ukochanego Edaemusa, by do nas dołączył i szczęśliwy ten związek pobłogosławił - oznajmiła, zwracając się do zebranych - on zasię drugiego gościa przyprowadził, także ceremonią dzisiejszą zainteresowanego.

- Czy ten niebieski jest tym, o kim myślę? - mruknął do Sparhawk Kalten.

- O tak - odparł Sparhawk. - To postać, jaką przyjął w Cyr-dze - pamiętasz? - kiedy wepchnąłem go w gardło Kisła.

- Byłem wówczas nieco zdezorientowany. A zatem tak wygląda naprawdę? No wiesz, kiedy już zrzuci szafirową powłokę?

- Wątpię. Bhelliom to duch, nie postać. Myślę, że ta forma jest oznaką uprzejmości - wobec nas.

- Sądziłem, że już odszedł.

- Nie do końca.

Świetlista postać Edaemusa wyprostowała się; bóg wyglądał w tej chwili na szczerze zakłopotanego. Twarz Xanetii stwardniała, jej oczy się zwężyły.

- Złe o tobie myślałem, Sephrenio z Ylary - przyznał bóg Delphae. - Anarae ma przekonała mię, iż w materii tej srodze się myliłem. Proszę cię tedy o wybaczenie. - Najwyraźniej łagodna Xanetia umiała jednak zaleść mu za skórę.

Sephrenia uśmiechnęła się dobrotliwie.

- Oczywiście, że ci wybaczam, o boski Edaemusie. Wyznaję, że i ja nie byłam tu bez winy.

- Pomódlmy się zatem do naszych bogów, aby pobłogosławili związkowi tego mężczyzny i tej kobiety - powiedziała uroczyście Xanetia - znaczy on bowiem początek nowej ery zrozumienia i wzajemnego zaufania dla całej ludzkości.

Sparhawk żywił w tej kwestii pewne wątpliwości, lecz, podobnie jak pozostali, pochylał głowę. Nie skierował jednak swych prośb do eleńskiego boga.

- Błękitna Rózo - pomyślał głośno.

- Czyżbyś modlił się do mnie, mój synu? - W głosie Bhellio-mu brzmiało lekkie rozbawienie.

- Tylko zasięgam rady. Błękitna Rózo - poprawił Sparhawk. - Inni prośby swe do boga eleńskiego zwrócają, ja zaś tuszę, iż szybko nadchodzi moment, gdy rozstać się nam przyjdzie.

- Istotnie.

- Pragnę zatem ze sposobności skorzystać i o przysługę cię prosić.

- Jeśli tylko w mocy mej leży.

- Mocy twej ogrom poznałem. Błękitna Rózo - i w pewnej mierze dzieliłem ją z tobą. Nieszczeryś, sugerując, iż potęga twoja jakoweś ma granice.

- Bądź grzeczny - mruknął Bhelliom. Zwrot ten wyraźnie przypadł mu do gustu. - Jak tedy prośba twa brzmi, mój synu?

- Proszę cię, abyś odchodząc, cała moc swą ze sobą zabrał. To brzemię, któregoś przyjął niegotów. Synem twym jestem. Błękitna Rózo, ale też i człowiekiem. Brak mi zarówno mądrości, jak i cierpliwości, by odpowiedzialność, którąś na barki me złożył, przyjąć. Świat ten, przez cię stworzony, bogów ma dosyć. Nie potrzebuje jeszcze jednego.

- Zastanów się, synu. Pomyśl, z czego chcesz zrezygnować.

- Już to zrobiłem, ojczu. Byłem Anakhą, potrzeba taka bowiem nastąpiła. — Sparhawk usiłował wyrazić swe uczucia w archaicznym eleńskim. - Gdy jako Anakhą Styrikowi Zalaście czoło stawiałem, w głębi ducha obcość wielką poczułem, i obcość ta nadal tkwi w sercu moim. Zdaje mi się bowiem, iż dar twój mię odmienił, uczynił kimś więcej - alibo mniej - niżli człowiekiem jeno. Nie pragnę być już „cierpliwym Anakhą”, „ciekawym Anakhą” czy „nieubłaganym Anakhą”. Anakhą zadanie swe spełnił. Teraz sercem całym łaknę znów Sparhawkiem zostać. Bycie „miłującym Sparhawkiem”, czy nawet „gniewnym Sparhawkiem”, zaiste większą radość mi sprawi niżli Anakhy pustka straszliwa.

Zapadła długa cisza.

- Wiedz tedy, iżem rad, mój synu. - W rozbrzmiewającym w umyśle Sparhawka głosie dźwięczała дума. - W chwili tej bardziej godnym cię znajduję aniżeli w każdej inszej. Bądź pozdrowiony. Sparhawku. - Głos umilkł.

Pod pewnymi względami ceremonia zaślubin była bardzo dziwna, pod innymi - ludzako znajoma. Stanowiła celebrację miłości, łączącej Vaniona i Sephrenię, brakowało w niej natomiast charakterystycznego eleńskiego moralizatorstwa. W końcu Xanetia w geście błogosławieństwa łagodnie złożyła dłonie na głowach świeżo złączonej pary. Gest stanowił sygnał do zakończenia ceremonii.

Ta jednak jeszcze się nie skończyła.

Jedna ze świetlistych postaci, towarzyszących Xanetii w wędrówce po jaśniejących wodach jeziora, wystąpiła naprzód, lśniąc błękitnym blaskiem, by dodać własne błogosławieństwo. Uniosła ręce nad mężczyznę i kobietę, którzy przez moment także rozbłyśli jaskrawym światłem. A kiedy blask przygasł, Sephrenia uległa subtelnej przemianie. Troska i znużenie, które odcisnęły piętno na jej twarzy, zniknęły; wyglądała teraz na

rówieśnicę Alean. U Vaniona zmiany, wywołane świetlistym dotknięciem Bhelliomu, okazały się znacznie wyraźniejsze i bardziej widoczne. Jego ramiona, lekko przygarbione pod ciężarem lat, znów się wyprostowały. Zmarszczki na twarzy wygładziły się, a włosy i broda przybrały ciemnorudą barwę, którą Sparhawk pamiętał jak przez mgłę z czasów swego nowicjatu. Był to ostatni dar Bhelliomu i nic nie mogłoby bardziej uradować Sparhawk.

Aphrael z piskiem radości klasnęła w dłonie i pofrunęła w ramiona przejrzystej, lśniącej postaci, która właśnie odmłodziła jej siostrę i Vaniona.

Sparhawk starannie ukrył uśmiech. Bogini-dziecko zdołała w końcu wmanewrować Bhelliom tak, by przypuścić na niego miążdzący atak za pomocą swych niezwycięzonych pocałunków. Oczywiście mogły one stanowić jedynie wyraz czystej wdzięczności - lecz prawdopodobnie tak nie było.

Zaślubiny dobiegły końca, ale lśniący Delphae nie wrócili do swego pustego miasta. Zamiast tego Xanetia objęła wątłe stare ramiona Anariego Cedona i poprowadziła go na błyszczącą powierzchnię jeziora, a reszta Świetlistych podążyła za nimi, łącząc głosy w kolejnym hymnie, podczas gdy jasna postać Edaemusa unosiła się w powietrzu. Światło jeziora stawało się coraz jaśniejsze; widmowy blask Delphae zlewał się z nim, aż wreszcie nie dało się już odróżnić poszczególnych sylwetek. A potem, niczym grot włóczni, Edaemus pomknął w górę, i wszystkie jego dzieci podążyły jego śladem. Kiedy Sparhawk z przyjaciółmi po raz pierwszy przybyli do Delphaeusu, Anari Cedon powiedział, że Delphae zmierzają ku światłu i sami staną się światłem, lecz istnieją jeszcze pewne przeszkody. Najwyraźniej Bhelliom usunął owe bariery. Delphae jaśnieli na rozgwieżdżonym niebie niczym komety, gdy tak wznosili się, rozpoczynając swą niepojętą podróż.

Czysty, jasny blask jeziora zgasł, jednakże wcale nie było ciemno. W powietrzu zawisła lazurowa iskierka, gdy Bhelliom oglądał swe dzieło i uznał, że jest dobre. Potem i on wzleciał nad ziemię, by dołączyć do odwiecznych gwiazd.

* * *

Tę noc spędzili w opuszczonym Delphaeusie. Sparhawk jak zwykle obudził się wcześniej, ubrał się cicho i pozostawiając potarganą, śpiącą żonę w sypialni, wyszedł sprawdzić, jaka jest pogoda.

Flecek dołączyła do niego przy bramie.

- Czemu nie założysz butów? - spytał, widząc, jak jej poplamione trawą stopy grzęzną w śniegu.

- A po co mi buty, ojczec? - Wyciągnęła ręce i rycerz posłusznie ją podniósł.

- To była niezła noc - zauważył, spoglądając w pochmurne niebo.

- Dlaczego to zrobiłeś, Sparhawku?

- Co zrobiłem?

- Wiesz, o co mi chodzi. Zdajesz sobie sprawę, ile mogłeś dokonać? Mogłeś przemienić ten świat w raj, ale odrzuciłeś to.

- Nie sądzę, by był to dobry pomysł, Aphrael. Moje wyobrażenie raju zapewne różniłoby się od wizji innych ludzi. -Zaczął węszyć w mroźnym powietrzu. - Znosi się na zmianę pogody - rzekł.

- Nie wykręcaj się. Dysponowałeś nieograniczoną mocą. Czemu z niej zrezygnowałeś? Westchnął.

- Niezbyt mi odpowiadała. Jej zdobyciu nie towarzyszył żaden wysiłek, a jeśli dostajesz coś bez trudu, nie ma dla ciebie wartości. Poza tym jestem związany z pewnymi ludźmi.

- I co z tego?

- Co miałbym zrobić, gdyby Ehlana uznała, że chce podbić Arcium? Albo jeśli Dolmant zechciałby nawrócić Styricum czy Tamuli? Mam pewne zobowiązania, Aphrael, i wcześniej czy później doprowadziłyby mnie do podjęcia błędnych decyzji. Wierz mi. Dokonałem właściwego wyboru.

- Myślę, że go pożałujesz.

- Żałowałem już wielu rzeczy. Można nauczyć się z tym żyć. Zabierzesz nas do Matherionu?

- Wiesz chyba, że sam mogłeś to zrobić.

- Przestań płakać nad rozlanym mlekiem, Aphrael. Jeśli nie chcesz nam pomóc, będziemy musieli przebijać się przez zasy. Już to robiliśmy.

- Okropny jesteś, Sparhawku. Wiesz, że na to nie pozwolę.

- Teraz widzisz, co miałem na myśli, mówiąc o związkach i zobowiązaniach?

- Tylko bez wykładów, ojczec. Nie jestem w nastroju. Idź, obudź resztę i ruszajmy.

- Jak sobie życzysz, o boska.

Z łatwością znaleźli wielką wspólną kuchnię, w której Del-phae przygotowywali wszystkie posiłki, oraz spiżarnie, gdzie przechowywali żywność. Mimo tysięcy lat wrogości dietetyczne nawyki Styryków i Delphae okazały się zdumiewająco zbliżone. Sephrenii bardzo smakowało śniadanie, Kalten natomiast okrutnie narzekał. Jednocześnie jednak dwukrotnie prosił o dokładkę.

- Co się stało z przyjacielem Bhlokem? - spytał Kring, odsuwając talerz. - Właśnie sobie uświadomiłem, że nie widziałem go od chwili, gdy Khwaj zapalił Zalastę.

- Odszedł ze swymi bogami, domi - odparł Tynian. - Zrobił to, po co go przysłali, a teraz wraz z innymi trollami wraca do Thalesii. Życzył nam pomyślnych łowów. W mowie trolli to niemal odpowiednik pozegnania.

- Może to zabrzmiało dziwnie - przyznał Kring - ale go lubiłem.

- Jest dobrym towarzyszem stada - powiedział Ulath. - Dobrze poluje i chętnie dzieli się zdobyczą.

- O tak. - Tynian wzdygnął się. - Jeśli nie świeżo zabitym psem, to surowym udźcem jakiegoś Cyrgai.

- Tylko to miał, Tynianie - bronił swego kudłatego przyjaciela Ulath - i był gotów się podzielić. Więcej chyba nie można wymagać.

- Panie Ulacie - wtrącił Talen - dopiero co zjadłem. Czy moglibyśmy pomówić o czymś innym?

Osiadłali konie i opuścili Delphaeus.

Wyjeżdżając, Khalad ściągnął wodze, zeskoczył na ziemię i zamknął bramę.

- Po co to zrobiłeś? - spytał Talen. - Wiesz, że Delphae już tu nie wróci. t - Bo tak trzeba - odparł Khalad, z powrotem dosiadając wierzchowca. - Pozostawienie jej otworem byłoby oznaką braku szacunku.

Ponieważ wszyscy wiedzieli, kim jest, tym razem Flecik nawet nie próbowała ukrywać swych manipulacji. Konie parły naprzód jak to konie, lecz horyzont co kilka minut migotał i ulegał zmianie. Raz, nieco na wschód od Dirgis, Sparhawk uniósł się w strzemiączkach i obejrzał przez ramię. Wyraźnie widoczne ślady wiodły na środek rozległej łąki, gdzie urywały się nagle, jakby wierzchowce i jeźdźcy spadli tam wprost z nieba.

Pod wieczór dotarli na znajome wzgórze, z którego rozciągał się widok na ogniste kopuły Matherionu, i godnie wjechali do miasta. Długo już wędrowali i ucieszyli się z powrotu do domu. Sparhawk zastanowił się nad tym i szybko poprawił się w myślach: Matherion nie był jego domem. Dom to wilgotne, brzydkie miasto nad rzeką Cimmurą, po drugiej stronie świata.

U bramy zespołu pałacowego przywitało ich kilka zdumionych spojrzeń; jeszcze większe zdumienie odbiło się na twarzach rycerzy strzegących zwodzonego mostu, wiodącego do zamku Ehlany. Vanion z uporem odmawiał naleganiom żony, proszącej, by ukrył głowę pod kapturem płaszcza, demonstrując wszem wobec fakt, że odmłodził o trzydzieści parę wiosen. Czasami taki już był.

W samym zamku również zaszły widoczne zmiany. Cesarza zastali w błękitnym salonie na piętrze; oprócz baronowej Meli-dere, Embana i Oscagne'a towarzyszyły mu także trzy żony: Elysoun, Gahenas i Liatris. Elysoun wyróżniała się najbardziej, bo nosiła nader skromną suknię.

- Dobry Boże, Vanionie! - wykrzyknął na widok mistrza pandionitów Emban. - Co się z tobą stało?

- Ożeniłem się, wasza świątobliwość - odparł Vanion, odgarniając ciemnorude włosy.

- To jeden z prezentów ślubnych. Podoba ci się?

- Wyglądasz idiotycznie!

- Nie powiedziałabym - rzekła Sephrenia. - Mnie się podoba.

- Rozumiem, że należą się wam gratulacje - wtrącił uprzejmie Sarabian. Cesarz Tamulu wyraźnie się zmienił. Była w nim wewnętrzna siła, pewność siebie, której wcześniej mu brakowało. -Zważywszy na ogromne bariery religijne, kto przewodził ceremonii?

- Xanetia, wasza wysokość - odparł Vanion. - Delficka doktryna nie zna podobnych ograniczeń. , Sarabian rozejrział się.

- A gdzie się podziewa Xanetia?

Sephrenia wskazała w górę.

- Tam - odrzekła z lekkim smutkiem - wraz z resztą Delphae.

- Co takiego? - Twarz cesarza zdradzała oszołomienie.

- Edaemus ich zabrał, Sarabianie - wyjaśniła Flecik. - Najwyraźniej zawarł z Bhelliomem jakiś układ. - Powiodła wzrokiem po komnacie. - Gdzie Danae?

- Jest w swojej sypialni, o boska - odparła baronowa Meli-dere. - Była nieco zmęczona, więc wcześniej poszła do łóżka.

- Lepiej uprzedzę ją, że jej matka wróciła - zdecydowała bogini-dziecko, kierując się w stronę drzwi prowadzących do królewskich apartamentów.

- Otrzymaliśmy mnóstwo raportów - powiedział minister spraw zagranicznych Oscagne - ale we wszystkich pełno było ogólników: „Wojna skończona. Wygraliśmy” i tym podobne. Bez urazy, Betuano królowo. Twoi Atani to wspaniali posłańcy, lecz trudno z nich wydobyć szczegóły.

Wzruszyła ramionami.

- Zapewne to wada całej naszej rasy, Oscagne ekscelencjo. — Jak zawsze Betuana stała tuż obok milczącego Engessy. Wyraźnie nie miała ochoty spuszczać z niego oka.

- Najbardziej jednak zdumiała mnie dość mętna wiadomość od mojego brata - wyznał Oscagne.

- Itagne ambasador ma w tej chwili mnóstwo na głowie -odparła beznamiętnie Betuana.

- Ach tak?

- Kiedy zeszłej jesieni został wysłany do Cynestry, on i Atana Maris bardzo się zaprzyjaźnili. Itagne nie traktował tego zbyt poważnie, ale ona - tak. Zaczęła go szukać. Znalazła w Cyrdze i zabrała z powrotem do Cynestry.

- Naprawdę? - twarz Oscagne'a nie zdradzała żadnych uczuć. Wzruszył ramionami. - No cóż, już najwyższy czas, by Itagne się ustatkował. Z tego, co pamiętam, Atana Maris jest bardzo energiczną młodą kobietą.

- Owszem, Oscagne ekscelencjo, i bardzo zdeterminowaną. Myślę, że dni twego sprytnego brata jako kawalera są policzone.

- Co za szkoda! - Oscagne westchnął. - Przepraszam na chwilę. - Szybko przeszedł do sąsiedniego pokoju, skąd natychmiast dobiegły stłumione odgłosy szaleńczego śmiechu.

I wtedy do komnaty wpadła Danae w burzy czarnych włosów i rzuciła się w ramiona matki.

Oblicze Sarabiana spowaźniało.

- Kto w końcu zabił Zalastę? - spytał. - W sumie przecież to on stał za tym wszystkim.

- Zalasta nie zginął - odparła ze smutkiem Sephrenia, sadzając sobie Flecika na kolanach.

- Nie? Jak mu się udało uciec?

- Sami go puściliśmy, wasza wysokość - odrzekł Ulath.

- Oszaleliście? Wiecie, do czego jest zdolny!

- Teraz już do niczego, wasza wysokość - powiedział Va-nion - chyba że wzniesi kilka pożarów stepów.

- Nie, Vanionie - uspokoiła go Flecik. - To ogień duchowy, a nie rzeczywisty.

- Czy ktoś zechciałby mi wyjaśnić, co się stało? - wtrącił Sarabian.

- Zalasta zjawił się na ślubie Sephrenii, wasza wysokość -odparł Ulath. - Próbował zabić Vaniona, ale Sparhawk go powstrzymał. Nasz stary przyjaciel zamierzał właśnie zrobić z Zalasta coś nieodwracalnego, ale Khwaj zgłosił swoje pierwszeństwo. Sparhawk rozważył wszystkie aspekty sytuacji i zgodził się. Wówczas Khwaj podpalił Zalastę.

- Cóż za straszny pomysł! - Sarabian zadrżał, po czym spojrzał pytająco na Sephrenię.

- Zdawało mi się, że mówiłaś, iż nie zginął. Ale pan Ulath powiedział właśnie, że spłonął żywcem.

- Nie, wasza wysokość - poprawił go Ulath. - Powiedziałem, że Khwaj go podpalił. To

samo spotkało barona Paroka.

- Idea sprawiedliwości trolli całkiem mi się podoba. - Sarabian uśmiechnął się złowrogo. - Jak długo będą płonąć?

- Całą wieczność - odrzekł ponuro Tynian. - Ten ogień nigdy nie zgaśnie.

- Dobry Boże!

- Sam nie posunąłbym się aż tak daleko - przyznał Sparhawk - ale, jak wspomniał Ulath, musiałem wziąć pod uwagę wszystkie aspekty sytuacji.

Rozmawiali do późna, opisując szczegółowo kampanię, poszukiwania Ehlany i Alean, uwolnienie Bhelliomu i ostateczne starcie Sparhawka z Cyrgonem. Sparhawk nieustannie podkreślał, iż on sam służył jedynie za narzędzie, i powtarzał, że przestał już być Anakhą. Chciał na zawsze zamknąć ten rozdział swego życia, nie pozostawiając najmniejszych wątpliwości, że nie da się go już otworzyć.

W trakcie długiej rozmowy Sarabian opowiedział im o próbie zamachu na jego życie, zorganizowanej przez Chacole i Torellię.

- Mogłoby im się udać, gdyby nie Elysoun - zakończył, patrząc czule na swą skromną valezjańską żonę. Mirtai przyjrzała się jej, pytając unosząc brwi.

- Skąd ta zmiana kostiumu? - spytała bez ogródek. Elysoun wzruszyła ramionami.

- Spodziewam się dziecka - odparła. - Wygląda na to, że skończyłam z przygodami. - Na widok zdumionej miny Mirtai wyjaśniła: - To valezjański zwyczaj. Pozostawia nam się sporą swobodę do czasu pierwszej ciąży. Potem musimy zachowywać się przyzwoicie. - Uśmiechnęła się. - I tak w zasadzie wyczerpałam już możliwości całego pałacu - dodała. - Czas się usat-kować - i wyspać.

- Mieliście może wieści od Strageny i Caaladora? - zapytał Talen.

- Wicehrabia Stragen i książę Caalador wrócili do Matherionu tydzień temu - odrzekł Sarabian.

- Nowe zaszczyty? - Ehlana nie kryła zdumienia.

- Nagrody za wyjątkowe zasługi, Ehlano. Uznałem, że to stosowna zapłata. Książę Caalador przyjął stanowisko w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, toteż wrócił do Lebas, żeby uporządkować tamtejsze sprawy.

- A Stragen?

- Jest w drodze do Astelu, wasza wysokość - odparła ze złowrogim uśmiechem baronowa Melidere. - Powiedział, że chce zamienić kilka słów z Elronem.

- Czyżby Elron zdołał ujść z życiem z Natayos? - W głosie Kaltena dźwięczało zdumienie. - Ekrasios twierdził, że Świetliści starli to miejsce z powierzchni ziemi.

- Z tego, co słyszał Caalador, Elron ukrył się gdzieś, kiedy Świetliści rozpuszczali Scarpę i Cyzadę. Po ich odejściu wyczołgał się z ruin i uciekł do domu. Stragen zamierza złożyć mu wizytę. - Baronowa spojrzała na Khalada. - Krager także ocalał - dodała. - Caalador dowiedział się, że popłynął do Zengi we wschodniej Cammorii. Powinieneś jednak coś o nim wiedzieć.

- Co?

- Pamiętasz, jak umarł król Wargun?

- W końcu wysiadła mu wątroba, prawda? Przytaknęła.

- To samo dzieje się z Kragerem. Caalador rozmawiał w Dęło z człowiekiem imieniem Orden. Kiedy wsadzili go na statek do Zengi, Krager zachowywał się jak wariat.

- Wciąż jednak żyje, tak? - spytał ponuro Khalad.

- Jeśli można to nazwać życiem. - Westchnęła. - Daj sobie spokój, Khaladzie. Nawet nie poczuje, kiedy przeszyjesz go mieczem. Nie będzie wiedział, kim jesteś ani za co go zabijasz.

- Dziękuję, baronowo, ale myślę, że po powrocie do Eosii pojedziemy z Beritem do Zengi - tylko żeby się upewnić. Krager zbyt często nam się wymykał. Nie możemy ryzykować. Chcę go widzieć w grobie.

- Mogę jechać z wami? - spytał z zapalem Talen.

- Nie - odparł Khalad.

- Jak to nie?

- Czas, żebyś rozpoczął nowicjat.

- To może poczekać.

- Nie, nie może. Już i tak masz pół roku opóźnienia. Jeśli wkrótce nie zaczniesz szkolenia, nigdy nie osiągniesz prawdziwej wprawy.

Vanion popatrzył z aprobatą na giermka Sparhawka.

- Nie zapomnij naszej rozmowy, Sparhawku - rzekł. - I przekaż Dolmantowi moje rekomendacje.

- O co tu chodzi? - chciał wiedzieć Khalad.

- Później ci powiem - obiecał Sparhawk.

- A przy okazji, Ehlano - powiedział Sarabian - skoro już poruszyliśmy ten temat, czy obraziłabyś się na mnie, gdybym obdarzył tytułem twojego słowika? - Uśmiechnął się ciepło do Alean. - Mam nadzieję, że nie, moja droga, bo i tak to zrobię - chociażby za wybitne zasługi dla imperium.

- Cóż za wspaniały pomysł, Sarabianie! - wykrzyknęła Ehlana.

- Obawiam się, że nie mogę przypisać go sobie - przyznał z lekkim żalem. - Prawdę mówiąc, podpowiedziała mi go twoja córka. Jej księżęca wysokość potrafi być niezwykle uparta.

Sparhawk zerknął na swą córkę, a potem na Flecika. Obie dziewczynki miały identyczne, zadowolone z siebie miny. Najwyraźniej boska Aphrael nie pozwalała, by cokolwiek stanęło na przeszkodzie wyswataniu dobranych przez nią par. Rycerz uśmiechnął się lekko, po czym odchrząknął.

- Ach, wasza wysokość - rzekł, zwracając się do cesarza -zrobiło się dość późno, a wszyscy jesteście zmęczeni. Proponuję, by dalsze rozmowy odłożyć do jutra.

- Oczywiście, księżę Sparhawk - zgodził się Sarabian, wstając z miejsca.

- Możemy zamienić słówko, Sparhawk? - spytał patriarcha Emban, gdy zebrani powoli opuszczali komnatę.

- Jasne.

Zaczekali, póki nie zostali sami.

- Co zrobimy z Vanionem i Sephrenią? - zapytał Emban.

- Niezupełnie rozumiem, wasza świętobliwość.

- Zdajesz sobie sprawę, że ich tak zwane małżeństwo stawia Dolmanta w dość trudnej sytuacji.

- To nie jest „tak zwane małżeństwo”, Embanie - odparł stanowczo Sparhawk, porzucając oficjalny ton.

- Wiesz, co mam na myśli. Konserwatyści wśród hierarchów prawdopodobnie wykorzystają je, by osłabić pozycję Sarathiego.

- Po co więc im mówić? To nie ich sprawa. Tu w Tamuli wydarzyło się wiele rzeczy, których nie potrafi wyjaśnić nasza teologia. Imperium pozostaje poza zasięgiem jurysdykcji naszego kościoła, czemu więc miałbyś wspominać o nich hierarchom?

- Nie mogę tak po prostu ich okłamać, Sparhawk.

- Wcale tego nie sugerowałem. Po prostu pomini w swej relacji nieistotne fakty.

- Muszę złożyć raport Dolmantowi.

- Nie szkodzi. Sarathi jest dość elastyczny. - Sparhawk zastanowił się chwilę. - To zresztą i tak najlepsze rozwiązanie. Odwołamy Dolmanta na bok i opowiemy mu o wszystkim, co się tu zdarzyło. Niechaj on zadecyduje, ile z tego można zdradzić hierarchom.

- Składasz na jego barki ogromny ciężar, Sparhawk. Rycerz wzruszył ramionami.

- Za to mu płacą, prawda? A teraz, jeśli wasza świętobliwość wybaczy, mamy dziś spotkanie rodzinne, w którym zapewne powinienem uczestniczyć.

* * *

Następne tygodnie upłynęły w nastroju melancholijnego wyczekiwania. Wszyscy doskonale wiedzieli, że kiedy tylko zmieni się pogoda, większość z nich opuści Matherion. Prawdopodobieństwo, że spotkają się jeszcze kiedyś w tym samym gronie, było raczej nikłe. Napawali się więc każdą wspólnie spędzoną chwilą i często odchodzili na bok parami bądź trojkami, na pozór oddając się drugim, nieistotnym rozmowom, w rzeczywistości zaś próbując wyryć na zawsze w pamięci twarze, barwę głosów i wszelkie inne drobiazgi.

Pewnego wietrznego ranka Sparhawk, wszedłszy do salonu, ujrzał Sarabiana i Oscagne'a, pochylających się nad jakąś księgą. Po ich minach znać było oburzenie.

- Kłopoty? - spytał.

- Polityka - odparł kwaśno Sarabian. - Zawsze są z nią kłopoty.

- Wydział Historii Najnowszej naszego uniwersytetu opublikował właśnie swoją wersję niedawnych wydarzeń, książkę Sparhawku - wyjaśnił Oscagne. - Niewiele w niej prawdy - zwłaszcza zważywszy fakt, iż Pondia Subat, nasz szanowny kanclerz, został przedstawiony jako bohater.

- Powiniennem był usunąć Subata, gdy tylko dowiedziałem się, co wyprawia - rzekł melancholijnie Sarabian. - Kto mógłby najlepiej odpowiedzieć na te bzdury, Oscagne?

- Mój brat, wasza wysokość - odparł bez wahania minister spraw zagranicznych. - Wykłada tam i zyskał sobie sporą reputację. Na nieszczęście w tej chwili przebywa w Cynestrze.

- Wezwij go, Oscagne. Sprowadź go tu, zanim Wydział Historii Najnowszej zatruje umysły całego pokolenia.

- Maris także zechce przyjechać, wasza wysokość.

- I dobrze. Twój brat jest stanowczo za sprytny. Niech Atana Maris ma go na oku. Może zdoła go nauczyć pokory.

- Co zrobimy z Cyrgaimi, wasza wysokość? - spytał Sparhawk. - Sephrenia twierdzi, że więżąca ich klątwa została zdjęta w chwili śmierci Cyrgona, a choć to nie ich wina, we współczesnym świecie nie ma dla nich miejsca.

- Sam się nad tym zastanawiałem - przyznał cesarz. - Myślę, że powinniśmy trzymać ich z daleka od normalnych ludzi. Jakies pięćset lig na wschód od Tęgi leży pewna wyspa. Jest całkiem żyzna i ma zupełnie znośny klimat. Skoro Cyrgai tak lubią się izolować, powinna im odpowiadać. Jak sądzisz, ile czasu trzeba, by wynaleźli łodzie?

- Kilka tysięcy lat. Cyrgai nie są zbyt pomysłowi. Sarabian uśmiechnął się szeroko.

- A zatem to chyba idealne miejsce.

Sparhawk odpowiedział identycznym uśmiechem.

- Też tak sędzę.

* * *

Tego roku wiosna w Tamuli nastąpiła wyjątkowo szybko. Nagły ciepły, wilgotny wiatr znad Morza Tamulskiego w ciągu jednej nocy stopił śniegi pokrywające zbocza gór. Rzecz jasna, strumienie natychmiast wezbrały, toteż wciąż było zbyt wcześnie na wyjazd. Niecierpliwość Sparhawka rosła z każdym kolejnym dniem. Nie chodziło nawet o to, że w domu czekały na niego ważne obowiązki - po prostu przedłużające się pożegnanie było niezwykle bolesne.

W tym czasie doszło też do poważnego sporu. Z początku Ehlana nalegała, by wszyscy udali się do Atanu i uczestniczyli w weselu Mirtai i Kringa.

- Znów zachowujesz się jak ignorantka, Ehlano - powiedziała w końcu Atanka z typową dla niej brutalną szczerością. - Oglądałaś już wiele ślubów i masz na głowie całe królestwo. Wracaj do Cimmury, gdzie twoje miejsce.

- Nie chcesz, żebym była przy tobie? - W oczach królowej zakręciły się łzy. Mirtai uścisnęła ją.

- Ależ będziesz, Ehlano. Na zawsze pozostaniesz w moim sercu. Wracaj do Cimmury. Przyjadę, gdy tylko urządzimy się z Kringiem w Peli, czy też gdziekolwiek zamieszkamy.

Vanion i Sephrenia postanowili towarzyszyć orszakowi królowej Betuany aż do Atanu, po czym odjechać dalej, do Sarsos.

- To dla nas chyba najlepsze miejsce, mój drogi - powiedziała do Sparhawka Styriczka. - Mam tam pewną pozycję i mogę zakrzyczeć fanatyków, którzy będą próbowali protestować przeciw naszemu małżeństwu.

- Dobrze powiedziane. - Sparhawk westchnął. - Będę za tobą tęsknił, mateczko. Wiesz chyba, że już nigdy nie będziecie mogli z Vanionem wrócić do Eosii.

- Nonsens, Sparhawku. - Roześmiała się. - Zawsze podróżowałam tam, gdzie miałam ochotę, i nie zamierzam tego zmieniać. Istnieją metody pozwalające ukryć twarz Vaniona - i moją - toteż będziemy do was wpadać od czasu do czasu. Choćby dlatego, że powinnam mieć oko na twoją córkę. - To rzekłszy, ucałowała go. - Idź już, mój drogi. Muszę pomówić z Sarabianem. Chodzi o Betuanę.

- Tak?

- Wygaduje bzdury o tym, że abdykuje, by móc poślubić Engesę. Atani podlegają koronie cesarskiej, więc muszę przekonać Sarabiana, by powstrzymał ją przed zrobieniem czegoś głupiego. Engessa będzie dobrym współrządcą, a Sarabian potrzebuje w Atanie spokoju.

* * *

Kiedy wiosenne roztopy ustały, a otaczające stolicę błotniste pola zaczęły wysychać, Sparhawk udał się do przystani w poszukiwaniu kapitana Sorgiego. W zatłoczonym porcie cumowało co prawda wiele mniej poobijanych i bardziej luksusowych statków, lecz Sparhawk ufał Sorgiemu, a powrót pod jego dowództwem stanowiłby znakomite zakończenie wyprawy. Zastał kapitana w czystej, jasno oświetlonej portowej gospodzie, wyraźnie prowadzonej przez Elena.

- Jest nas trzynaścioro, kapitanie - oznajmił Sparhawk -i siedem koni.

- Będzie trochę tłoczno, panie Cluffie - odparł Sorgi, mrużąc oczy - ale damy sobie radę. Sam zapłacisz za przeprawę? Sparhawk uśmiechnął się szeroko.

- Cesarz łaskawie zaproponował, że pokryje wszystkie koszty. To przyjaciel, więc postaraj się go nie zrujnować. Sorgi odpowiedział uśmiechem.

- Jakżebyś śmiał, panie Cluffie! - Rozparł się wygodnie na krześle. - To był ciekawy okres, a Imperium Tamulskie to ciekawe miejsce, ale dobrze będzie znów wrócić do domu.

- O tak - zgodził się Sparhawk. - Czasami mam wrażenie, że całe życie usiłuję wrócić do domu.

- Podliczę koszty podróży i każę bosmanowi zanieść wiadomość do pałacu. Wiesz, że o mało go nie straciłem?

- Bosmana? Sorgi przytaknął.

- Paru łajdaków napadło go w ciemnej uliczce. Ledwie uszedł z życiem.

- To ci dopiero - powiedział beznamiętnie Sparhawk. Najwyraźniej Valash usiłował oszczędzać nie tylko na informatorach, ale i na zabójcach.

- Kiedy dokładnie chcecie wypłynąć, panie Cluffie?

- Jeszcze nie ustaliliśmy daty - gdzieś w przyszłym tygodniu. Dam ci znać. Część naszych przyjaciół odjeżdża łądem do Atanu. Uznałem, że najlepiej będzie wyruszyć tego samego dnia.

- Rozsądny pomysł - rzekł z aprobatą Sorgi. - Najlepiej nie przeciągać pożegnań.

Żeglarze ucą się żegnać w pośpiechu. Kiedy trzeba podnieść kotwicę, musimy zdążyć przed przyływem, a on nie czeka na spóźnialskich.

- Dobrze to ująłeś, Sorgi. - Sparhawk uśmiechnął się. Zgodnie z oczekiwaniami to Betuana podjęła w końcu decyzję.

- Wyruszamy jutro - oznajmiła przy kolacji tydzień później nie znoszącym sprzeciwu tonem.

- Tak szybko? - spytał lekko zdławionym głosem Sarabian.

- Wody w strumieniach opadły, a pola wyschły, Sarabianie cesarzu. Po co zwlekać?

- No... - Nie dokończył.

- Jesteś zbyt sentymentalny, Sarabianie - powiedziała brutalnie. - Wiesz, że musimy wyjechać. Po co to przeciągać? Odwiedź Atan przyszłą jesienią; zapolujemy na dziki. Zbyt wiele czasu spędzasz w zamknięciu w Matherionie.

- Trudno mi się stąd wyrwać - rzekł z powątpiewaniem. -Ktoś musi pilnować interesu.

- Niech Oscagne to zrobi. Ma zasady, więc nie ukradnie zbyt wiele.

- Wasza wysokość! - zaprotestował minister. Uśmiechnęła się.

- Tylko się z tobą droczyłam. Przyjaciele mogą to robić, nie raniąc niczyich uczuć.

Tej nocy nie zaznali zbyt wiele snu. Oczywiście musieli się spakować i poczynić tysiące przygotowań, lecz przede wszystkim biegali po korytarzach, przekazując sobie nawzajem ostatnie pilne prośby, w gruncie rzeczy sprowadzające się do tego samego: „Obiecuj, że będziemy w kontakcie”.

Rzecz jasna, wszyscy obiecali i szczerze zamierzali dotrzymać obietnicy. Mogła pozostać w mocy przez rok, może nawet dwa.

O pierwszym brzasku zgromadzili się na dziedzińcu, wymieniając zwyczajowe pocałunki i mocne uściski dłoni.

Wreszcie Khalad, poczciwy, solidny Khalad, uważnie przyjrzał się niebu na wschodzie, odchrząknął i powiedział:

- Lepiej już ruszajmy, Sparhawk. Jeśli przez ciebie ucieknie mu odpływ, Sorgi policzy ci za dodatkowy dzień.

- Jasne - zgodził się Sparhawk. Podniósł Ehlanę i posadził ją w otwartym powozie, w którym zajęli już miejsca Emban, Talen, Alean i Melidere. Następnie obejrzał się na córkę, która rozmawiała z Flecikiem.

- Danae! - zawołał. - Czas ruszać.

Następczyni tronu Elenii ostatni raz pocałowała boginię-dziec-ko Styricum i posłusznie podeszła do ojca.

- Dzięki, że wpadłeś, Sparhawk - rzekł z prostotą Sarabian, wyciągając rękę.

Rycerz ujął dłoń cesarza.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Sarabianie - odparł. Dosiadł Farana i poprowadził swych towarzyszy przez most zwodzony i wciąż pograżone w półmroku trawniki.

Dotarcie do portu zabrało im kwadrans, wprowadzenie koni do ładowni na dziobie - pół godziny. Sparhawk wyszedł na pokład, gdzie czekali już jego kompani, i spojrzał na wschód. Słońce jeszcze nie wzeszło.

- Gotowi, panie Cluffie?! - zawołał z rufy Sorgi.

- Owszem, kapitanie Sorgi! - odkrzyknął Sparhawk. - Zrobiliśmy to, po co przybyliśmy. Wracajmy do domu.

Napuszony bosman przechadzał się po pokładzie, niepotrzebnie doglądając rzucania cum i stawiania żagli.

Odpyw stawał się coraz szybszy, wiał też sprzyjający wiatr. Sorgi zręcznie manewrował swym starym, steranym statkiem, wypływając z przystani na pełne morze.

Sparhawk uniósł jedną ręką Danae. Drugą objął ramiona Ehla-ny i stali tak przy relingu, odprowadzając wzrokiem miasto, które Tamulowie zwali pępkiem świata. Sorgi zmienił kurs na południowo-wschodni, zamierzając okrążyć półwysep, i w chwili, gdy żagle wydeły się na wietrze, zza horyzontu wynurzyło się słońce.

W porannych cieniach Matherion wyglądał blado i niepozornie, teraz jednak opalizujące kopuły zapłonęły tęczowym, migotliwym ogniem. Sparhawk, jego żona i córka stali na pokładzie, patrząc z zachwytem na lśniące miasto, które zdawało się żegnać ich i życzyć bezpiecznej podróży.

Tak kończy się opowieść o przygodach Sparhawka w Imperium Tamuli.